

An abstract painting with warm, earthy tones of ochre, brown, and red. A large, solid red shape is prominent on the right side. The background is textured with brushstrokes. At the top center, there is a small horizontal bar with a white top half and a red bottom half.

Realności z wyobraźnią

Kultura

1976-2000

wybór tekstów

Realis̄ci z wyobraźni

Kultura

1976-2000

wybór tekstów

Realiści z wyobraźnią
Kultura
1976-2000
wybór tekstów



Wybrali i wstępem opatrzyli
Basil Kerski
Andrzej S. Kowalczyk

Lublin 2007
Wydawnictwo
Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu



Redakcja: Teresa Dunin, Elżbieta Muszyńska, Andrzej Peciak

Projekt okładki i stron tytułowych: Jerzy Durakiewicz

Skład: „Bez Erraty” Joanna Dyszczyk

© Instytut Literacki, Paryż

ISBN 978-83-227-2620-4

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5, 20-031 Lublin

tel. (0-81) 537-53-04

www.wydawnictwo.umcs.eu

Dział Handlowy: tel./faks (0-81) 537-53-02

e-mail: wydawnictwo@umcs.eu

Druk i oprawa: petit sc, Lublin

Wstęp

1.

W czerwcu 1976 roku zmarł Juliusz Mieroszewski. W nekrologu Redaktor napisał, że wraz z Mieroszewskim „umarła część »Kultury«”.¹ Rzeczywiście, po roku 1976 „Kultura” stała się inna, ale nie tylko z powodu odejścia Londyńczyka. „Kultura” stała się inna, gdyż w owej epoce zmieniała się Polska, pojawili się ludzie, którzy podali w wątpliwość aksjomat o trwałości systemu komunistycznego i zakwestionowali dyktaturę monopartii. Nowe postawy i idee, jakim dawali wyraz, od lat obecne były na łamach „Kultury” jako postulaty polityczne i etyczne. Giedroyc nieustannie podkreślał konieczność solidarnego wystąpienia wszystkich warstw społecznych przeciw dyktaturze, gdyż jej likwidacja leżała w interesie ogromnej większości Polaków. Przed inteligencją stawiał Redaktor zadanie upowszechnienia tej wiedzy, wypracowania taktyki walki i koncepcji nowego ładu po komunizmie.

W połowie lat siedemdziesiątych nadszedł czas weryfikacji postulatów Giedroycia i Mieroszewskiego. Po protestach robotniczych w Radomiu i Ursusie powstał w Warszawie Komitet Obrony Robotników – grupa inteligentów, którzy postanowili pomóc represjonowanym przez władze komunistyczne uczestnikom protestów. Uwięzionym zapewniał adwokatów, pozbawionym pracy – zapomogi, skatowanym przez milicję – lekarzy i lekarstwa. Ten elementarny odruch solidarności społecznej miał w ciągu kilku lat zaowocować niezwykłym w skali całego obozu komunistycznego rozwojem niezależnych inicjatyw społecznych: od partii niepodległościowych, po wykłady Uniwersytetu Łatającego; rozwojem, który kulminował powstaniem i rozkwitem NSZZ „Solidarność” w latach 1980 i 1981. W owym pięcioleciu narodziły się i upowszechniły nowe wzory postaw obywatelskich, zrzućenie komunistycznego gorsetu, hamującego rozwój wspólnoty i jednostek, stało się już tylko kwestią czasu. Wprowadzony 13 grudnia 1981 roku przez generała Jaruzelskiego i jego juntę stan wojenny zamroził proces emancypacyjny, ale nie mógł go już zniweczyć.

Przez ćwierć wieku Mieroszewski był głównym publicystą „Kultury” i *porte-parole* Redaktora, z którym uzgadniał tezy najważniejszych artykułów. Miejsce Londyńczyka zajęło kilku autorów; zabrakło jego wielkiego pióra, za to w piśmie zabrzmiał wielogłos. Do tej pory „Kultura” mówiła do kraju, teraz stała się miejscem debaty krajowych autorów. Nie pojawił się nikt na miarę Mieroszewskiego, żaden z nowych publicystów nie dorównywał mu przenikliwością sądów i talentem literackim, ale każdy

¹ Od Redakcji, *Juliusz Mieroszewski*, „Kultura” 1976, nr 7–8.

wnosił jakiś element klimatu społecznego ówczesnej Polski, ukazywał sposób myślenia Polaków. Jak zauważyła Grażyna Pomian, od roku 1976 „Kultura” nie tylko używa swoich łamów autorom krajowym, lecz wprost staje się pismem politycznym polskiej opozycji.²

Najważniejszymi publicystami „Kultury” byli w drugiej połowie lat siedemdziesiątych autorzy z kraju: Stefan Kisielewski (Kisiel), Zdzisław Najder używający na łamach pisma pseudonimu Socjusz i Czesław Bielecki pisujący pod pseudonimem Maciej Poleski. Powstanie w kraju kilku ugrupowań opozycyjnych, coraz liczniejszych pism i oficyn wydawniczych sprzyjało pluralizmowi ideowemu, ożywieniu wielu środowisk i regionów Polski. Pojawiły się też polemiki wokół programów. W nowej sytuacji „Kultura” wyznaczyła sobie podwójną rolę: mediatora dbającego o poziom dyskusji i wzajemne zrozumienie argumentów oraz mentora czuwającego, by w ferworze sporów nie zagubiły się sprawy najważniejsze. Po pierwsze więc polemizowano z tezami Kisiela, który z programu opozycji wykreślał hasło suwerenności Polski.

Zawsze będziemy sąsiadować z Niemcami i Rosją – przekonywał – więc musimy się zdecydować na jednego wroga i jednego przyjaciela. Tym drugim musi być Rosja, bo gwarantuje nam granicę zachodnią. Nawet ewolucja, ewentualnie upadek komunizmu, nie zmieni proporcji sił. W tej mierze możemy zrobić jedno: próbować się dogadać z Moskwą ponad głowami polskich komunistów, by w zamian za zgodę na utworzenie autentycznego przedstawicielstwa narodu ofiarować wieczny sojusz. Miraż niepodległości odwołuje Polaków od konkretnych zadań: obrony tożsamości narodowej, porządkowania gospodarki, odbudowy moralności społecznej.

Z poglądami Kisiela, mającego w kraju niemało zwolenników, polemizował Giedroyc, powtarzając *credo* polityczne „Kultury”:

[...] świat współczesny nie jest geopolityczną skamieliną, graniczymy wprawdzie ze Związkiem Sowieckim, ale naszymi sąsiadami są Ukraińcy, Litwini, Białorusini, musimy więc brać pod uwagę również ten czynnik, bo na pewno nie zawsze będzie on uśpiony. Dziś nie wolno nam rezygnować z niczego, a więc i z przyszłej suwerenności.

W sukurs Redaktorowi pośpieszył Socjusz. Nie należy – głosił – „niczego naszym przymusowym hegemonom obiecywać ani oferować”. Nie wykluczając z góry przymierza niepodległej Polski jutra z Rosją, dziś nie powinniśmy takiej propozycji wysuwać, bo stawia nas to w pozycji proszałnej, nawet żebrackiej. Ofertę winna przedstawić druga strona. Dziś musimy podnieść naszą własną wartość, potencjał gospodarczy, poczucie narodowej godności, gotowość do poświęceń. „Przygotowujemy – pisał Redaktor, nawiązując do formuły Juliusza Mieroszewskiego – kadre realistów, a nie fantastów, ale realistów z wyobraźnią”. W polemice tej spotkali się ludzie reprezentujący dwa style myślenia: Kisielewski żył wciąż w cieniu Jałty i klęski powstania warszawskiego, Socjusz zaś wyszedł ze szkoły politycznej Giedroycia i Londyńczyka.

Socjusz wskazywał również na relikty myślenia rewizjonistycznego w nowych programach opozycyjnych. Polemizował z niektórymi tezami zawartymi w *Zasadach ideowych* Jacka Kuronia, przestrzegając przed wiązaniem się opozycji z jakąkolwiek frakcją

² Grażyna Pomian, *Miedzy legendą a historią*, [w:] *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976*, Lublin 1999.

PZPR, nawet tą, która gotowa byłaby realizować żądania społeczne. Nie należy postulować zmian personalnych ani zadowalać się nimi, gdyż przyczyną upadku kraju jest nie taka czy inna klika lub ekipa partyjna, lecz system. Trzeba żądać zmian strukturalnych.

W programowym artykule *Ile jest dróg?* z roku 1978 Socjusz rozróżniał dwie płaszczyzny aktywności opozycyjnej: sferę pryncypiów i ideałów oraz sferę działania konkretnego, pracy organicznej. Pierwsza nie znosi ustępstw i połowiczności, w drugiej nie wolno lekceważyć zadań codziennych, celów pośrednich. Wolność jest niepodzielna, a suwerenność ograniczona nie jest wcale suwerennością – powiada Socjusz – ale ta wiedza nie może prowadzić do bezczynności. Rzetelna praca organiczna jest szkołą kształcącą ludzi, którzy upomną się o demokrację i wywalczą niepodległość. Dziś opozycja jest wciąż nieliczna i izolowana. Można to zmienić tylko w jeden sposób: przekonując ludzi, że prawdziwą przyczyną niedoli dnia powszedniego, przyczyną naszego ubóstwa i poniżenia jest brak suwerenności narodowej, pogodzenie się z rządami ludzi niegodnych, bierność polityczna. Najskuteczniej zaś przekonują słowa i czyny ludzi walczących z krzywdą, kłamstwem, bezprawiem, marnotrawstwem.

2.

Strajkowy sierpień 1980 roku zdawał się toczyć wedle scenariusza politycznego Giedroycia. Przygotowany został przez opozycję obywatelską skupiającą inteligentów i robotników, zróżnicowaną ideowo, bo składającą się i z liberalno-lewicowego Komitetu Samoobrony Społecznej KOR i z Ruchu Młodej Polski, nawiązującego do tradycji narodowych. Strajkujący ograniczyli protest do terenów swych zakładów pracy, uniemożliwiając prowokacje i bezpośrednie ataki sił bezpieczeństwa. Swój stosunek do władz komunistycznych wyrażali nie w podpalaniu komitetów PZPR, lecz w formułowaniu konkretnych żądań, w większej zresztą mierze społecznych i ekonomicznych niż politycznych. Nic dziwnego, że Giedroyc określił zwycięstwo strajkujących jako moment przełomowy w nowoczesnej historii Polski. Doradzał konsekwencję, a jednocześnie umiarkowanie i powściągliwość w żądaniach. Nowe, niezależne związki muszą działać w ramach ustroju. Giedroyc lekceważył historyczne zapowiedzi straszące interwencją sowiecką. ZSRR ma zbyt wiele do stracenia, by wikłać się w nowy Afganistan, tym razem jednak w środku Europy. Umiejętna i roztropna taktyka opozycji łatwo odwróci groźbę inwazji. Dla zachodnich rządów, dla zdumionej i przestraszonej wydarzeniami w Polsce opinii publicznej zachował pełne rezerwy słowa:

Od Zachodu nie oczekujemy podziwu i poklasku, do niczego nam to niepotrzebne, przeciwnie – wywołuje mdłości i upiory natchnienia świata. Oczekujemy od niego natomiast konkretnej, wytrwałej, rozumnej pomocy i solidarności.

Komentarze Redakcji i główne teksty w okresie siedemnastu miesięcy „Solidarności” tchną spokojem i rozumą. Temperatura komentarzy natomiast wzrasta, gdy mowa o stanie polskiej gospodarki. W lecie 1981 roku w *Obserwatorium* sformułowana zostaje teza, że zdobycze polityczne „Solidarności” może pogrzebać katastrofa ekonomiczna. Dlatego równie ważne jak jedność Związku jest uświadomienie Polakom konieczności wyrzeczeń i sprawdzanie, czy nie idą one na marne. Mówi się też o złym

stanie rolnictwa wymagającego dużych nakładów i ochronie najlepiej rozwiniętych gałęzi gospodarki. Powinny być one jak najszybciej sprywatyzowane (autor używa słowa „uprywatnione”). Do „Kultury” więc należy jeden z pierwszych głosów domagających się reformy socjalistycznej gospodarki przez powierzenie jej prywatnym właścicielom. Stanowisku Redakcji wtórował Stefan Kisielewski, formułując jesienią 1981 roku „jedynie możliwe hasło”: odejście od socjalizmu i powrót jeżeli nie do kapitalizmu, to na początek do indywidualnej gospodarki rynkowej.

O stosunku do Rosji pisano bez emocji. Po czerwcowym liście KC KPZR do KC PZPR o zagrożeniu niepodległości Polski przez sytuację wewnętrzną w *Obserwatorium* jasno zostały sformułowane warunki ułożenia stosunków polsko-rosyjskich. Aluzyjnemu i pokrętnemu stylowi ultimatum Moskwy Giedroyc przeciwstawił jednoznaczne tezy o jawności, równouprawnieniu, prawdzie o przeszłości – zbrodni katyńskiej, powstaniu warszawskim, losie Polaków w ZSRR. Po marcowej prowokacji w Bydgoszczy Socjusz spokojnie przekonywał, że kompromis pozwalający Związkowi dalej pracować jest lepszy niż konflikty i próby sił. Zachęcał do roztropnej determinacji:

Trzeba iść naprzód, bo lepszej drogi nie ma. Interwencja nastąpić może równie dobrze dlatego, że nas będą widzieli jako słabych, jak i dlatego, że się wydamy zbyt zuchwali.

Stan wojenny określił Giedroyc jako „zamach partyjnej soldateski” dokonany „za zgodą i zachętą Moskwy”. Stanowisko „Kultury” było jednoznaczne: narzucając Polsce stan wojenny, komuniści polscy wykluczyli się sami ze wspólnoty narodowej:

Cios, jaki na nas spadł 13 grudnia 1981 – pisał Krzysztof Pomian – daje się porównać tylko z najazdem hitlerowskim albo z wyczynami NKWD w latach 1944–1945.

System wprowadzany przez Jaruzelskiego nazwał autor sowietofaszyzmem. „Kultura” zawsze odrzucała tezy propagandy dającej aluzyjnie do zrozumienia, że stan wojenny pozwolił uniknąć zbrojnej interwencji sowieckiej. Herling-Grudziński określił tę teorię „mniejszego zła” jako szantaż prowadzący do paraliżu. Dla Moskwy największym i niewybaczalnym błędem „Solidarności” było samo jej powstanie.

W napisanym 19 grudnia 1981 roku komentarzu Redaktora brak tak typowej dla ówczesnej publicystyki konspiracyjnej emocjonalnej frazeologii. Sygnalizuje to już aforyzm Piłsudskiego służący jako motto artykułu:

Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, lecz i bardzo kosztownym.

Giedroyc nie daje się też zwieść łatwej nadziei. Z dostępnych danych wnioskuje, że pucz Jaruzelskiego będzie skuteczny, „Solidarność” musi więc wypracować taktykę adekwatną do nowych okoliczności. Związek – powiada Giedroyc – był nieprzygotowany organizacyjnie i psychologicznie na agresję i na ryzyko ofiar śmiertelnych. Nieprzygotowanie to wynikało nie tylko z pokojowego etosu „Solidarności”, lecz również z krótkowzrocznego ograniczenia repertuaru metod walki politycznej:

Jeżeli chce się uniknąć rzezi bezbronnych – trzeba być gotowym do odpowiedzią przemocą na przemoc.

Giedroyc nie namawia do straceńczych gestów, przypomina tylko podstawową zasadę: kto waży się na walkę z bezwzględny przeciwnikiem, nie może liczyć na jego

humanitaryzm czy dobrą wolę. Działalność polityczna – przekonywał Redaktor – nie znosi próżni i improwizacji. Trzeba wiedzieć, że zaniedbania i błędy zostaną natychmiast wykorzystane przez wroga, który obróci je w swoje zwycięstwo. Koszt niepodległości, o którym mówi Piłsudski, to w sytuacji „Solidarności” gotowość przywódców do ofiar, odwaga cywilna członków Związku i systematyczna praca organizacyjna na wszystkich szczeblach ruchu. Aforyzm Piłsudskiego przywoływał Giedroyc w latach osiemdziesiątych jeszcze kilkakrotnie.

W pierwszych miesiącach stanu wojennego „Kultura” starała się więc zaproponować rozbitej represjami opozycji krajowej nie tylko diagnozę sytuacji, lecz i program. Najważniejsze zadania stojące przed społeczeństwem starał się sformułować Socjusz w artykule *Przy zasadach stójmy*. Na pierwszym miejscu autor postawił konieczność ocalenia idei „Solidarności”, a także tych wartości moralnych i politycznych, które pozwolą Polsce w przyszłości odzyskać podmiotowość. Uwydatnienie etycznego wymiaru sytuacji polskiej i imperatywu wierności etosowi Sierpnia było odpowiedzią na propagandę reżimu szkalującą Związek i jego przywódców. Pomagało stawiać opór i budować struktury podziemne. Na początku 1982 roku Redaktor odrzucił felieton Kisielewskiego *Bić się czy rozmawiać*, opowiadającego się za szukaniem porozumienia z Jaruzelskim. „Kultura” wielokrotnie podkreślała, że ponawiane przez podziemną Tymczasową Komisję Koordynacyjną „Solidarności” apele do władz o dialog nie spotkają się nigdy z odzewem. Nadzieje na kompromis są płonne, bo z istoty swojej władza ta – wbrew deklaracjom – do kompromisu jest niezdolna. Taktyka władzy potwierdzała opinię Giedroycia. W połowie 1983 roku w rubryce *Obserwatorium* – a więc wyrażającej poglądy Redakcji – ukazał się list otwarty Wiktora Woroszyńskiego do wicepremiera Mieczysława Rakowskiego. W dniu, w którym umarł zakatowany przez milicjantów Grzegorz Przemyk, maturzysta z warszawskiego liceum, 14 maja 1983 roku Rakowski po raz kolejny deklarował „politykę otwarcia”. Woroszyński zaś pytał, co premier zrobi, aby mordercy zostali ukarani.

Po delegalizacji „Solidarności” w roku 1983 Giedroyc nie tylko napiętnował to posunięcie władz, ale i wydrukował „czarną listę” posłów, którzy głosowali za nową ustawą o związkach zawodowych. Wzywał do bojkotu wyborów, a amnestię w 1986 uznał za chwyt mający przysporzyć Jaruzelskiemu popularności na Zachodzie. Władza chce po prostu się pozbyć kompromitujących ją więźniów politycznych.

Represje – pisał Giedroyc w listopadzie 1986 roku – są straszne dla jednostek. Ale ruchy społeczne wychodzą z nich często wzmocnione.

W roku 1983, po zawieszeniu stanu wojennego, Redaktor przekonywał, że gesty władz to „komedia”, której w żadnym razie nie należy brać na serio. Jedyną odpowiedzią społeczeństwa winna być samoorganizacja i rozbudowywanie struktur konspiracyjnych, rozszerzanie niezależnej działalności politycznej i kulturalnej, by wolność wygnana z oficjalnego życia miała się gdzie schronić. Wypowiedziom Redaktora towarzyszyły artykuły Macieja Poleskiego (Czesława Bieleckiego), który uzasadniał tezy Giedroycia, odwołując się do realiów krajowych. W tekście *Program i organizacja* proponował sposoby wzmocnienia struktur konspiracyjnych i najważniejsze zadania. Domagał się na przykład moralnego piętnowania kolaborantów reżimu:

[...] nic tak nie osłabia solidarności społeczeństwa poddanego przemocy jak bezkarność karnali.

3.

W połowie lat osiemdziesiątych „Kultura” zarzucała działaczom „Solidarności”, że demobilizują masy związkowe, ludząc je i samych siebie mirażem porozumienia z władzą. „Solidarność” zastępowana jest stopniowo przez ducha, ideę, staje się symbolem bezbronny i bezsilny. Nie można pokornie wyczekiwać na łaskę rządzących.

Zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki w roku 1984 Redaktor odczytywał jako przejaw dążenia władz do oderwania Kościoła od środowisk opozycyjnych i pozbawienia go autorytetu społecznego. Widział bowiem w Kościele dwa nurty. Przedstawiciele pierwszego, których symbolem stał się ksiądz Jerzy, odważnie demaskowali kłamstwo komunizmu i udzielali jawnego poparcia „Solidarności”. Drugi nurt reprezentowali niektórzy hierarchowie Kościoła. Skłonni do pertraktacji z władzami podkreślali apolityczność Kościoła. W „Kulturze” pojawiały się krytyczne uwagi o niektórych posunięciach i wypowiedziach prymasa Glempa. Publicyści miesięcznika uważali, że jego taktyka wobec władz jest ugodowa, a wypowiedzi księdza prymasa nazbyt często grzeszą niezręcznością. Redaktor nie miał wątpliwości, że to właśnie ksiądz Jerzy Popiełuszko na co dzień praktykował społeczną naukę Kościoła.

Kwestia politycznej roli Kościoła w Polsce była w „Kulturze” w latach osiemdziesiątych dyskutowana bardzo często. W roku 1982 Gustaw Herling-Grudziński z niepokojem reagował na głosy niektórych polityków katolickich głoszących, że Kościół nie może być stroną w konflikcie władz komunistycznych z podziemną „Solidarnością”. W „Kulturze”, podobnie jak w kraju, analizowano polityczny bilans drugiej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski w roku 1983. Wedle publicystów pisma, a także samego Redaktora, bilans ten był mimo wszystko dla społeczeństwa ujemny. W roku 1984 „Kultura” piórem Antoniego Pawlaka odpowiedziała na polemiczny artykuł Tomasza Wołka w „Polityce Polskiej”, zarzucający Giedroycowi tworzenie wokół Kościoła atmosfery niechęci i podejrzeń oraz straszenie PRL-owskim wydaniem sojuszu ołtarza z tronem. Na tematy kościelne systematycznie polemizował z „Kulturą” wydawany w Wiedniu przez Andrzeja Micewskiego kwartalnik „Znaki Czasu”.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pismo zdominowała tematyka polityczna. Literatura, krytyka literacka i artystyczna, filozofia zepchnięte zostały na dalszy plan. Nowi autorzy występowali zazwyczaj w roli publicystów, choć skądinąd znani byli jako poeci, filozofowie, eseiści, krytycy. Oprócz wyżej już wymienionych często lub regularnie w piśmie publikowali: Roman Zimand (pod pseudonimem Leopolda), Tadeusz Chrzanowski (ps. Tymoteusz Klempski), Zbigniew Romaszewski, Leszek Szaruga, Krzysztof Wolicki, Mariusz Wilk, Rafał Grupiński, Marek Zieliński, Włodzimierz Bolecki, Tomasz Jastrun (ps. Witold Chałcamp, Smecz), Ewa Berberyusz, Robert Kaczmarek. Kilka artykułów zamieścił w „Kulturze” Stanisław Lem (ps. P. Zławca).

„Kultura” i publikacje Instytutu Literackiego były głównym źródłem, z którego czerpały pisma i wydawnictwa drugiego obiegu. Zestawiona przez Mirosława Adama Supruniuka bibliografia przedruków wydawnictw Instytutu Literackiego w krajowych oficynach wydawniczych (a więc bez czasopism) w latach 1977–1990 liczy 1073 pozycje. Niezależnych wydawnictw korzystających z dorobku „Kultury” i innych jej publikacji bibliograf doliczył się kilkuset. Najczęściej przedrukowywane przez podziemne oficyny teksty to: wywiad z pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim *Wojna z narodem*

widziana od środka (32 przedruki), wybory wierszy Miłosza, nie licząc poszczególnych tomów poetyckich (zachowało się 27 wydań, na pewno było ich znacznie więcej), *Dziennik Gombrowicza* (23), *Archipelag GULag* Solżenicyna w przekładzie Jerzego Pomianowskiego (22), *Rok 1984* Orwella w przekładzie Juliusza Mieroszewskiego (18).

W stanie wojennym Giedroyc udzielił zgody na przedruk książek kilkudziesięciu wydawnictwom podziemnym. Jedynym warunkiem było zaznaczenie, że pierwszym edytorem był Instytut Literacki. Podziemny wydawca zobowiązany był do wpłacenia 3% wartości nakładu na konto Funduszu „Kultury” w kraju, którym dysponowała Niezależna Oficyna Wydawnicza. Drugą obok NOWej oficyną związaną z „Kulturą” i dotowaną przez Instytut było kierowane przez Czesława Bieleckiego wydawnictwo CDN.

Redaktor dysponował nie tylko pieniędzmi, które na fundusz „Kultury” przekazywali czytelnicy emigracyjni. Autorytet i zaufanie, jakimi się cieszył, sprawiły, że instytucje międzynarodowe i polonijne jemu właśnie powierzały znaczne sumy na pomoc dla Polski. Szczególnie owocna była współpraca Giedroycia z Bonawenturą Migalą z Kongresu Polonii Amerykańskiej. Zasięg krajowych kontaktów Giedroycia, jego bezstronność i rzetelność gwarantowały, że pieniądze, sprzęt i materiały poligraficzne trafiały do rozmaitych środowisk, bez względu na orientację polityczną. Natomiast na sposób wykorzystania tych darów w kraju Redaktor nie miał już wpływu.

Znaczej pomocy finansowej udzielał Giedroyc środowisku Komitetu Kultury Niezależnej, a także Funduszowi Wydawnictw Niezależnych, do którego zadań należało między innymi zapewnienie regularnego ukazywania się książek i czasopism, wypłata honorariów autorskich, a także – na czym Giedroycowi szczególnie zależało – wspieranie rozwoju małych wydawnictw regionalnych. Wsparcie finansowe otrzymywały wszystkie pisma zajmujące się problematyką Europy Środkowo-Wschodniej: „Niepodległość”, „ABC”, „Nowa Koalicja”, „Obóz”.

Redaktor wspomagał również biblioteki niezależne, przekazując im środki na zakup książek i utrzymanie lokalu. Z pomocy korzystały biblioteki w Krakowie, Łodzi, Wrocławiu i Warszawie. Szerokim strumieniem płynęły do kraju pisma i książki wydane na emigracji. Ogromną pomoc świadczyła francuska Bibliothèque Nationale, sprawnie organizował transport do Polski Andrzej Chilecki w Niemczech, a także księgarnia Libella w Paryżu. Książki szły do kraju również przez Szwecję, gdzie Norbert Żaba, przyjaciel Giedroycia i przedstawiciel „Kultury” w Skandynawii, zorganizował świetnie działający system przerzutu nieocenzurowanych wydawnictw. W ekspedycji książek do Polski brała również udział Biblioteka Fundacji Nobla, której przesyłki okazały się nietykalne.

Poza Warszawą pomoc Redaktora trafiała do Krakowa, który był największym odbiorcą książek i sprzętu poligraficznego, Wrocławia i Poznania. W latach 1985–1986 powstał program „Video”, dzięki któremu dokumentowano na taśmie filmowej bieżące wydarzenia, a także zorganizowano sieć dystrybucji kaset z niedostępnymi w oficjalnym obiegu obrazami fabularnymi. W latach 1983–1987, kiedy odbiorców dotacji było najwięcej, Giedroyc pomagał rocznie kilkudziesięciu pismom, wydawnictwom i organizacjom. Pokwitowania ukazywały się w pismach zwykle w postaci podziękowań: „Redakcja... dziękuje Jerzemu za... dolarów”.

Po amnestii dla więźniów politycznych jesienią 1986 roku spontanicznie zaczęły powstawać w całym kraju jawne komisje zakładowe „Solidarności”. Władze czyniły drobne koncesje na rzecz środowisk opozycyjnych. W Związku Radzieckim rozpoczęła się pierestrojka i kampania głośności. „Kultura” zachowywała jednak wobec tych procesów daleko idącą rezerwę. Na początku 1987 roku przeciw nawiązywaniu dialogu z władzą wypowiadał się zarówno Herling-Grudziński, jak i piszący z kraju Pelikan (Zbigniew Florczak). Nie wierono w szczerość intencji, obawiano się nowych oszustw i manipulacji. W numerze kwietniowym z 1987 roku ukazał się obszerny wywiad z pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim, oficerem Sztabu Generalnego WP i wieloletnim współpracownikiem wywiadu amerykańskiego. Tekst na nowo postawił kwestię odpowiedzialności za stan wojenny. Wypowiedzi płk. Kuklińskiego potwierdzały stanowisko Giedroycia, że zamach 13 grudnia nie był bynajmniej koniecznością historyczną, lecz inicjatywą rządzącej ekipy. Kierownictwo PZPR znajdujące się od sierpnia 1980 roku pod stałą presją Moskwy w ogóle nie brało pod uwagę utworzenia z „Solidarnością” wspólnego frontu w obronie suwerenności i integralności kraju. Związek Radziecki nie zdecydowałby się na interwencję, gdyby kierownictwo partyjno-wojskowe uznało aspiracje narodu.

Kiedy w roku 1988 po fali protestów i strajków władza postanowiła rozpocząć rozmowy z „Solidarnością”, Redaktor przestrzegał przed przedwczesnym optymizmem i przyjmowaniem warunków przeciwnika.

Widzę, że wszędzie się mówi o liberalizacji – powiedział dziennikarzowi drugoobiegowego „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych” – a zapomina o niepodległości.

Giedroyc wskazywał na fatalny stan gospodarki, przestrzegał przed katastrofą cywilizacyjną i żądał energicznego działania. Nie uległ również euforii obrad Okrągłego Stołu i wyborów 1989 roku. Uważał, że opozycja nie przygotowała się do przejęcia władzy, nie wyszkoliła ludzi ani nie opracowała programów działania. Kierując się krótkowzroczną taktyką, zaniechano tych prac, choć nie brakowało na nie pieniędzy.

4.

Dynamika polityczna 1989 roku w Europie przyniosła Polsce niepodległość, co oznaczało również koniec emigracji politycznej. Wydarzeniem, które symbolizowało początek tej nowej ery, był udział Instytutu Literackiego w Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie w maju 1989 roku, krótko przed pierwszymi wyborami parlamentarnymi z udziałem „Solidarności”. Po upadku imperium sowieckiego i odzyskaniu przez Polskę niepodległości część czołowych autorów „Kultury”, jak Czesław Miłosz czy Jerzy Pomianowski, wróciła na stałe do kraju, inni zaś, jak Gustaw Herling-Grudziński czy Leopold Unger, do Polski się nie przenieśli, niemniej jednak zaczęli często jeździć do kraju. Motywowany wolą zachowania niezależności i dystansu do życia politycznego w kraju Jerzy Giedroyc nie przeniósł Instytutu Literackiego do Polski, nie odwiedził również kraju. W rozmowie z „Rzeczpospolitą” w 1996 roku tak tłumaczył swoją decyzję:

Odwiedzenie Polski w sensie turystycznym mało mnie interesowało. Natomiast jakiś dłuższy pobyt skończyłby się tym, że niewątpliwie z wielu stron podjęto by próby politycznego wykorzystywania mnie w taki czy inny sposób. Więc nie miałem na to ochoty.³

Intensywne spotkania z rodakami w domu „Kultury” w Maisons-Laffitte, dostęp do polskiej telewizji, lektura gazet i czasopism zapewniły Redaktorowi szczegółową wiedzę o sytuacji w kraju.

Mimo dystansu Jerzego Giedroycia do niepodległej Polski i mimo powrotu do kraju wybitnych osobowości polskiej emigracji podparyski dom „Kultury” nie znalazł się po 1989 roku na peryferiach polskiego życia politycznego i kulturalnego. Upadek żelaznej kurtyny w Europie zwiększył liczbę wizyt w redakcji „Kultury”. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku nie było dnia w Maisons-Laffitte bez spotkań z polskimi politykami, intelektualistami, artystami czy grupami młodzieży. Trudno byłoby znaleźć w Polsce przedstawiciela mediów, który nie przeprowadziłby w tamtym czasie wywiadu z założycielem Instytutu Literackiego. Obecność wielu badaczy literatury i historii w Maisons-Laffitte świadczyła o rosnącym zainteresowaniu dziedzictwem „Kultury”.

Zniesienie ograniczeń dla wolności słowa oraz liberalizacja środków masowego przekazu spowodowały, iż obywatel polski stanął po 1989 roku przed trudną do ogarnięcia ofertą medialną. W Polsce „Kultura” stała się jednym z periodyków wartych czytania. Nie było to nowe doświadczenie dla „Kultury”. Kolejne fale emigracji z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku niosły narodziny wielu wybitnych czasopism, jak na przykład założony przez braci Smolarów w Londynie kwartalnik polityczny „Aneks” czy też powstałe na początku lat osiemdziesiątych w Paryżu „Zeszyty Literackie”. Należy także pamiętać, że późne lata osiemdziesiąte prowadziły do złagodzenia cenzury w PRL, dzięki czemu niektóre tygodniki wydawane nad Wisłą, na przykład „Tygodnik Powszechny” czy „Polityka”, mogły sobie pozwolić na podejmowanie kontrowersyjnych tematów. Miały one, podobnie jak publikacje emigracyjne i drugoobiegowe, duży wpływ na świadomość niezależnych elit w Polsce.

Niektóre z czasopism emigracyjnych oraz drugoobiegowych nie przetrwały okresu wprowadzenia wolnego rynku w Polsce, straciły wielu czytelników lub całkowicie przestały istnieć. Wybitnym publicystom i pisarzom emigracyjnym nowa sytuacja przyniosła szansę publicznego zaistnienia w kraju poprzez telewizję lub wysokonakładowe gazety i periodyki. Wielu czołowych autorów „Kultury” rozpoczęło współpracę z dużymi dziennikami i czasopismami krajowymi. Znanie lub nowo powstałe oficyny wydawnicze zaczęły wydawać książki autorów „Kultury” czy przypominać klasyczne pozycje z programu wydawniczego Instytutu Literackiego. Dzięki tym inicjatywom udostępniono czytającej publiczności nie tylko książki tak popularnych autorów, jak Gombrowicz, Czapski czy Herling, lecz spopularyzowano także dzieła kultowych, ale mało znanych klasyków „Kultury”: Jerzego Stempowskiego, Zygmunta Haupta, Andrzeja Bobkowskiego i Leo Lipskiego.

Nowe, konkurencyjne warunki wydawnicze nie działały na Redaktora demotywująco. Nie widział w nich zagrożenia, wręcz przeciwnie, dostrzegał w nich większą szansę oddziaływania myśli „Kultury” na Polaków. W nowej sytuacji Giedroyc ograniczył swoją działalność wydawniczą, decydując się na intensywną współpracę z krajowymi ofi-

³ „Prawda w oczy, groch o ścianę”. Z Jerzym Giedroycem rozmawiają Maciej Łukasiewicz i Elżbieta Sawicka, „Rzeczpospolita”, 17–18 lutego 1996.

cynami (np. „Czytelnikiem” czy Wydawnictwem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej) i w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku skoncentrował się wyłącznie na wydawaniu „Kultury” oraz „Zeszytów Historycznych”. Aby wzmocnić obecność Instytutu w Polsce, pod koniec 1992 roku Giedroyc rozpoczął równoległą edycję krajowego wydania „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”.

Mimo podeszłego wieku Jerzy Giedroyc wciąż wybiegał myślą w przyszłość. Nieustannie szukał nowych autorów i tematów, pośredniczył w nawiązywaniu kontaktów, pisał codziennie wiele listów. Dzięki Jego pracowitości, otwartości, trosce o los Rzeczypospolitej „Kultura” do ostatniego, październikowego zeszytu z 2000 roku pozostała czasopismem interesującym, zaskakującym i żywym, podważającym coraz to nowe problemy, jak na przykład wyzwania globalizacji czy radykalizacja islamu. „Kultura” lat dziewięćdziesiątych, podobnie jak we wcześniejszych rocznikach, była forum polskich publicystów żyjących w Polsce i za granicą oraz tradycyjnie kosmopolitycznym periodykiem, publikującym wybitnych europejskich i amerykańskich autorów. Nadzwyczajna była także umiejętność pozyskiwania nowych autorów. „Kultura” nie zamykała się w ograniczonym kręgu, a Redaktor mimo legendarnego, powściągliwego temperamentu i zaawansowanego wieku potrafił nawiązać współpracę z ludźmi młodszymi o dziesiątki lat.

Obok działalności redakcyjnej Jerzy Giedroyc w wielu wywiadach regularnie komentował kwestie polityki polskiej i europejskiej, stając się znaną i wpływową osobistością życia publicznego Trzeciej Rzeczypospolitej. Swoje poglądy coraz częściej wyrażał także bezpośrednio na łamach „Kultury” w ukazującej się od października 1993 roku rubryce „Notatki Redaktora”. Składały się na nią krótkie, kilku- lub kilkunastozdaniowe komentarze, w których Giedroyc wypowiadał swoje zdanie na aktualne tematy. Redaktor zabierał głos nie tylko na temat kompetencji ministrów, polskiej polityki zagranicznej czy rabunkowego wyrębu starodrzewia w Puszczy Białowieskiej, lecz również w sprawie prasy parafialnej lub inflacji odnacczeń i orderów państwowych. Ton „Notatek” był na ogół bardzo krytyczny. Giedroyc nie zwykł stosować taryfy ulgowej. Zbyt drogo kosztowała nas niepodległość – zdawał się mówić Redaktor – byśmy teraz mogli tolerować niedołęstwo rządzących, bierność obywateli, prywatę jednych i drugich.

Demokratyzacja Polski, zmieniająca się mapa polityczna Europy, a szczególnie powstanie niepodległych państw na wschód od Polski działało na Redaktora nadzwyczaj motywująco. Przełom w Europie przyniósł szansę na aktywną politykę zagraniczną. „Rola Polski w tej chwili może być ogromna”, mówił Redaktor w rozmowie z Krzysztofem Pomianem w 1991 roku.

Jest obecnie koniunktura, jakiej nie mieliśmy od paruset lat. Mamy wszelkie dane, by przyczynić się do stabilizacji tej części Europy i być łącznikiem między Wschodem a Zachodem. Możemy też mieć wielki wpływ na procesy demokratyzacyjne w Rosji i na Ukrainie.⁴

W tym samym wywiadzie pesymistycznie ocenił szanse wykorzystania przez Polaków tej sprzyjającej koniunktury.

⁴ Rozmowa Krzysztofa Pomiana z Jerzym Giedroycem w Centre du Dialogue w Paryżu 6 grudnia 1991 r., „Kultura” 1992, nr 1–2.

Z dużym krytycyzmem Redaktor komentował działania elit politycznych oraz polską politykę zagraniczną, systematycznie wskazywał na negatywne skutki gospodarczych i społecznych przemian w kraju. Nie szczędził krytycznych ocen politykom, których notabene szanował za ich wkład w odzyskanie niepodległości. Redaktor zarzucał na przykład rządowi premiera Mazowieckiego, że od początku podjęcia urzędu utracił kontakt ze społeczeństwem i nie potrafił mu wytłumaczyć sensu reform i wyzwoleń. Jego zdaniem opozycja popełniła błąd: w przededniu rozpadu Związku Radzieckiego i samolikwidacji PZPR uznała komunistów za realną siłę, paktowała z nimi i szła na niepotrzebne ustępstwa. Redaktor domagał się więc usunięcia z urzędów PRL-owskiej nomenklatury odpowiedzialnej za katastrofę gospodarczą kraju. Giedroyc przeciwny był jednak dekomunizacji: należy tylko ukarać funkcjonariuszy bezpieki, sędziów i prokuratorów odpowiedzialnych za haniebne represje czy mordostwa.

Z nieufnością obserwował Redaktor rozwój sytuacji w Kościele. Mimo iż z szacunkiem odnosił się do zasług Kościoła w drodze do niepodległości, obawiał się, że część hierarchów, domagając się stworzenia kraju wyznaniowego, stanie się problemem dla młodej demokracji. Giedroyc obawiał się religijnego fundamentalizmu, krytykował Episkopat za bierność wobec objawów antysemityzmu, politycznego radykalizmu Radia Maryja i księdza Jankowskiego.

Perspektywa „Kultury” tradycyjnie nie ograniczała się wyłącznie do analizy wewnętrznego rozwoju Polski. Redaktor wzywał do uznania niepodległości krajów bałtyckich i poparcia ich aspiracji na forum międzynarodowym. Piętnował zwłaszcza zwlekanie rządu polskiego z uznaniem niepodległej Litwy. Krytykował Trzecią Rzeczpospolitą za bierną politykę kulturalną za granicą, za to, iż za mało i bez wyobraźni inwestuje w budowanie bezpośrednich kontaktów Polaków ze społeczeństwami narodów sąsiednich. W wymiarze polityki zagranicznej największą nadzieję wiązał z procesem normalizacji obciążonych historycznie stosunków z Ukrainą, Litwą, Rosją czy Niemcami. Z tego powodu z dużym zainteresowaniem obserwował rozwój regionów przygranicznych. „Kultura” wspierała inicjatywy pozarządowe, angażujące się na rzecz dialogu z sąsiadami oraz próbujące budować nową tożsamość regionalną na podstawie respektu dla wielokulturowego dziedzictwa Rzeczypospolitej i odciążenia się od megalomanii narodowej Polaków. Redaktor dał symboliczny wyraz tej postawie, przyznając nagrodę „Kultury” za rok 1996 olsztyńskiej „Borussii”, sejneńskiej „Krasnogródzie” oraz ukazującej się na pograniczu polsko-niemiecko-czeskim „Ziemi Kłodzkiej”. Ponownie podkreślił znaczenie pozarządowych inicjatyw działających na polu edukacji i na rzecz zbliżenia sąsiadów, odbierając w 1999 roku nagrodę Fundacji Kultury Polskiej „Złote Berło”. Zgodnie z regulaminem, który pozwala wskazać nagrodzonemu kandydata do oddzielnego wyróżnienia przez fundację, wybór Jerzego Giedroycia padł na Krzysztofa Czyżewskiego, inicjatora działalności Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur i narodów” w Sejnach, instytucji, która publikując w 2000 roku książkę *Sąsiedzi* Jana Tomasza Grossa, wywołała w Polsce największą debatę historyczną ostatnich lat.

Przykładem pozytywistycznego nastawienia Redaktora było także jego zaangażowanie na rzecz budowy Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów w Lublinie, współtworzonego przez Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej i Katolicki Uniwersytet Lubelski wraz z uniwersytetami z Kijowa i Lwowa. Na podwalinach kolegium ma powstać w przyszłości Uniwersytet Polsko-Ukraiński. Na polu re-

lacji polsko-rosyjskich Jerzy Giedroyc był współinicjatorem rosyjskojęzycznego miesięcznika „Nowaja Polska”, prowadzonego przez Jerzego Pomianowskiego, bliskiego współpracownika Redaktora.

Źródłem pozytywizmu Giedroycia był jego stosunek do społeczeństwa polskiego.

To jest społeczeństwo, któremu można i trzeba mówić prawdę w oczy, społeczeństwo, które można brać pod włos. To jest jedna z tych dziwnych cech polskich, które jednak napędzają pewnym optymizmem.

Redaktor był zafascynowany nowymi, prywatnymi inicjatywami gospodarczymi;

Mimo idiotyzmów rządowych, biurokracji, złego systemu podatkowego, drobny przemysł się rozwija. Widzę w tym początek powstania klasy średniej, polskiego mieszczaństwa, którego dotychczas nie było.⁵

Stanowczo krytykując elity polityczne Trzeciej Rzeczypospolitej, sam stronił od radykalnych poglądów. W imię racji stanu Redaktor był nawet gotów do konstruktywnej współpracy ponad politycznymi podziałami. Wyraził to pragmatyczne nastawienie, spotykając się w grudniu 1995 roku z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Redaktor namawiał nowo wybranego prezydenta do aktywnej polityki wschodniej. Giedroyc, podobnie jak Gustaw Herling-Grudziński, nie ocenił nowego prezydenta pozytywnie, określił go nawet jako człowieka „gładkiego i słabego”. Niemniej jednak – w przeciwieństwie do Herlinga – uważał za rzecz szkodliwą bojkotowanie nowej głowy państwa, obawiając się zamknięcia Kwaśniewskiego w „postkomunistycznym getcie”.

Kwestie traktowania byłych elit PRL oraz interpretacja przyczyn rozpadu obozu solidarnościowego poróżniły Redaktora z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Autor *Innego świata* rozstał się w 1996 roku z „Kulturą”. Giedroyc odrzucił odcinek *Dziennika pisanego nocą*, zawierający „prywatny dekalog 1989–1995, dekalog głupstw, błędów, grzechów, jak kto woli”, w którym Herling potępiał działalność polityczną Tadeusza Mazowieckiego i Adama Michnika. Pisał tam:

Mazowiecki określił przeszłość, uniemożliwiając konieczną lustrację i dekomunizację, przyczynił się do Zamazania. Okrągły Stół z normalnej procedury pertraktacji, godnej i pełnej wzajemnego dystansu, stał się szybko orgią obłapek, atmosfery kochamy się, Polak z Polakiem, słowem wprowadził właściwie owo Zamazanie, które było upragnionym przez komunistów obaleniem nieodzownej Cezury. Pierwotne Zamazanie utorowało postkomunistom drogę do odbudowy i odmrożenia swojego organizacyjnego i finansowego kapitału. Bratanie się obu stron (śmieszność „bruderszaftu” Michnika z Jaruzelskim) pogłębiło dodatkowo proces Zamazywania.⁶

Na pytanie o powód zerwania z Giedroyciem Herling-Grudziński mówił, że nie może się pogodzić z jego poglądem, iż należy zaakceptować Aleksandra Kwaśniewskiego i postkomunistów, bo nie ma innego wyjścia. Herling pisał o Kwaśniewskim,

⁵ „Prawda w oczy, grzech o ścieżkę”.

⁶ Gustaw Herling-Grudziński, *Dziennik pisanego nocą, 1993–1996*, Warszawa 1998, s. 480–484.

„należy do politycznej formacji szukającej powrotu”. Jego zdaniem należało zastosować w Polsce wobec komunistów, tak jak to zrobiono wobec włoskich faszystów po wojnie, epurację, czyli polityczną kwarantannę. *Dziennik pisanego nocą* zaczął ukazywać się w „Rzeczpospolitej”, w dodatku „Plus Minus”. Redaktor „Kultury” stracił jednego z najważniejszych autorów, klasyka polskiej literatury.

5.

W grudniu 1993 roku wydawnictwo „Czytelnik” rozpoczęło edycję serii książek pod tytułem „Archiwum »Kultury«”, publikując korespondencję Redaktora oraz jego autobiografię. W wypadku Jerzego Giedroycia publikacja fragmentów ogromnej i bogatej korespondencji uczyniła zeń jednego z najważniejszych epistolografów polskich drugiej połowy XX wieku. Z listów wyłania się fascynujący zapis indywidualnej egzystencji, zapis towarzyszący wydarzeniom, nieoczyszczony jeszcze i uładzony, jak w *Autobiografii na cztery ręce* (w tym sensie rację ma Leszek Szaruga, że listy Redaktora możemy czytać jak jego dziennik). W *Autobiografii na cztery ręce* Jerzy Giedroyc bilansuje własne życie, zna już rozstrzygnięcie zmagania z komunizmem w Europie, a tym samym finał swojej najważniejszej walki. Przeszłość jest już sprawą zamkniętą, stąd spokój, pewność i dystans. Zupełnie inny obraz rzeczywistości wyłania się z lektury listów. Tylko czytelnik zna puentę opowieści, jej bohaterowie nie wiedzą, które posunięcie okaże się trafne, a które chybione, kto urośnie, a kto skarleje, na jaką kartę postawić, jaka taktyka okaże się właściwa, a jaka wiedzie na manowce. Paradoksalnie, listy uświadamiają nam wielkość protagonistów, bo ukazują ich w zamęcie życia codziennego, wśród piętrzących się trudności, kuszonych przez rozmaite iluzje. Wielu emigrantów nie potrafiło oprzeć się złudzeniom, stawić czoła własnej słabości, w rezultacie kapitulowali, schodzili na manowce. Wiele takich klęsk i porażek zna historia naszego wojennego i powojennego wychodźstwa.

Listy ukazują nam „Kulturę” jako proces, ruch, niewolny bynajmniej od zahamowań i kryzysów. *Autobiografia na cztery ręce* jest historią Instytutu Literackiego, oficjalną i uładzoną, listy natomiast odsłaniają nam samo działanie się, rozmaitość rozwijających się wątków, mnogość opinii, tłum postaci zaludniających kulisy „Kultury”. Giedroyc, jak dyrygent wielkiej orkiestry, rozważa możliwości poszczególnych muzyków i instrumentów, wypróbowuje nawet wirtuozów. Słucha chórów i solistów, znajduje czas dla wielkich i dla debutantów. Dbą o repertuar klasyczny, ale nie ustaje w poszukiwaniu nowych partytur. Wreszcie, po miesiącu prób, dyrygent wyprowadza swoją orkiestrę na scenę. Muzycy i publiczność spotykają się na koncercie, którym jest kolejny numer „Kultury”. Zeszyt pisma jest więc zawsze pierwszą krystalizacją pomysłów, zabiegów, prób, zestrojeniem tonów. A jednocześnie dyrygent dba o to, aby kolejne koncerty podporządkować wielkiej wizji, która, choć najważniejsza, wciąż podlega korektom.

Jak słusznie zauważył Krzysztof Pomian, listy Redaktora stanowią znaczący wkład do literatury polskiej. Giedroyc bowiem był nie tylko wybitnym epistolografem z uwagi na liczbę napisanych listów:

Również dlatego, że są wśród nich teksty świetne, doskonale skomponowane, dowcipne, niekiedy złośliwe, uderzające swobodą tonu, brakiem jakiegokolwiek sztuczności i pozy. Giedroyc, choć zapewne jak wielu z jego pokolenia lubił pisać listy, pisał je z konieczności, bo były dla

niego jedynym sposobem utrzymania więzi z autorami rozszanymi po świecie. Tak oto, w ramach wykonywania obowiązków służbowych, powstał ten jedyny w swoim rodzaju twór, jakim jest zbiór jego listów, zarazem źródło historyczne i dzieło literackie: obraz epoki przełamany przez pryzmat jego osobowości.⁷

Przy współpracy z Krzysztofem Pomianem powstało w latach dziewięćdziesiątych XX wieku inne wybitne dzieło Redaktora, jego autobiografia. Pod koniec książki Jerzy Giedroyc zamieścił swoje przesłanie.⁸ W kilku zdaniach naszkicował ogólny zarys swojej wizji Polski, o której realizację walczył – esencja myśli „Kultury”. W swoim przesłaniu Redaktor jeszcze raz podkreślił, jak wielką szansą dla niepodległej Polski jest budowanie przyjaznych stosunków z sąsiadami, prowadzenie samodzielnej polityki pozbawionej megalomanii narodowej, szczególnie na wschodzie Europy. Warunkiem dobrosąsiedzkich relacji, uważał Redaktor, jest poszanowanie praw mniejszości narodowych. W silnej pozycji na Wschodzie widział szansę na wzmocnienie autorytetu demokratycznej Polski w Europie. Według Giedroycia mocna Polska musi powstać na fundamentach silnej demokracji. Wymaga to rządów prawa, walki z korupcją, wolnej prasy oraz rozdziału Kościoła od państwa. W realizacji tych celów Redaktor dostrzegał nie tylko szansę na efektywne państwo, lecz także na zmianę mentalności narodu, pozbycia się elementów kultury politycznej Polaków, które w historii prowadziły do utraty niepodległości.

6.

Jerzy Giedroyc zmarł w wieku 94 lat, 14 września 2000 roku w Maisons-Laffitte, kilka tygodni po śmierci Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Zgodnie z wolą Redaktora „Kultura” przestała się ukazywać. W listopadzie 2000 roku Instytut Literacki wydał ostatni, 637. numer pisma. Zawierał on między innymi wiersze Agnieszki Osieckiej i Natalii Gorbaniewskiej poświęcone Giedroycowi, homilię pogrzebową księdza Henryka Hosera, szkice o Giedroycu pióra jego bliskich współpracowników: Czesława Miłosza, Bohdana Osadczyka, Krzysztofa Pomiana i Wacława Zbyszewskiego. Po odejściu Jerzego Giedroycia dyrektorem Instytutu Literackiego została Zofia Hertz, a po jej śmierci w 2003 roku zastąpił ją Henryk Giedroyc. Instytut Literacki przekształcony został w stowarzyszenie Association Institut Littéraire Kultura. Nadal ukazuje się kwartalnik „Zeszyty Historyczne”, który redaguje Jacek Krawczyk.

7.

Nasza antologia jest pod względem chronologicznym kontynuacją antologii *Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976*, opracowanej przez Grażynę Pomian, wydanej przez Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu i Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (Lublin 1999). Formuła niniejszej antologii jest jednak inna: postanowiliśmy ukazać „Kulturę” jako pismo podejmujące

⁷ Krzysztof Pomian, *Jerzy Giedroyc w historii Polski*, „Kultura” 2000, nr 10.

⁸ Jerzy Giedroyc, *Przesłanie*, [w:] Jerzy Giedroyc, Krzysztof Pomian, *Autobiografia na cztery ręki*, Warszawa 1994, s. 227–228.

najważniejsze problemy polityczne i społeczne w wymiarze globalnym. Najważniejsze bez wątpienia były sprawy polskie, ale Jerzy Giedroyc nigdy nie tracił z pola widzenia kontekstu światowego. Zresztą, od końca lat siedemdziesiątych XX wieku, ewolucja postaw społecznych w Polsce przestaje być sprawą lokalną, zyskuje znaczenie światowe, „deklansując” – jak mawiał Redaktor – rozkład i rychły koniec komunizmu. Związek Radziecki upada, uwalniając narody Europy Wschodniej, Kaukazu i Azji. „Kultura” odegrała w ziszczeniu tego marzenia Jerzego Giedroycia niemałą rolę.

Z utworów literackich uwzględniliśmy w antologii tylko eseistykę jako gatunek szczególnie dla „Kultury” ważny, była bowiem przez pięćdziesiąt lat mekką polskiego esaju, zawdzięczając też wiele stylowi eseistycznemu, który kojarzy polot i namysł, swadę i skupienie, rozmach i poczucie miary.

Zamieszczone w antologii teksty zostały przedrukowane bez skrótów, wyjątkiem jest fragment *Dziennika pisanego nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Poprawiono nieliczne błędy literowe i omyłki. Oczywiście ograniczenia zmusiły nas do rezygnacji z wielu znakomitych artykułów i szkiców, mamy jednak nadzieję, że nasza antologia zachęci niejednego czytelnika do sięgnięcia po numery „Kultury”. „Ale naprawdę ze wzruszeniem przerzucałem te stare »Kultury«” – pisał Andrzej Bobkowski do Jerzego Giedroycia w liście z 29 listopada 1959 roku. – To jest piękny Opus Pana. Wie Pan – pomimo lat te dawne, okurzone numery ciągle ŻYJĄ, krew w nich krąży”.



Redaktorzy niniejszej antologii serdecznie dziękują dyrektorowi Andrzejowi Peciakowi, pani Joannie Dyszczyk, Jackowi Krawczykowi oraz Krzysztofowi Zastawnemu za życzliwą pomoc oraz cierpliwą współpracę.

Basil Kerski, Andrzej Stanisław Kowalczyk

Literatura na temat „Kultury” i Instytutu Literackiego

- Małgorzata Alberska, *Ośrodki emigracji polskiej wobec kryzysów politycznych w kraju (1956–1981)*, Wrocław 2000.
- Ewa Berberysz, *Książę z Maisons-Laffitte*, Gdańsk 1995.
- Iza Chruslińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz*, Lublin 2003 (wydanie drugie).
- Andrzej Friszke, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999.
- Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, oprac. Andrzej S. Kowalczyk, Warszawa 1993.
- Jerzy Giedroyc, Krzysztof Pomian, *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1994.
- Jerzy Giedroyc, Konstanty A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, oprac. Wojciech Karpiński, Warszawa 1995.
- Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, oprac. Jan Zieliński, Warszawa 1997.
- Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, tom 1–2, oprac. Andrzej S. Kowalczyk, Warszawa 1998.
- Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, tom 1–2, oprac. Krzysztof Pomian, Warszawa 1999.
- Jerzy Giedroyc, Melchior Wańkowicz, *Listy 1945–1963*, oprac. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2000.
- Jerzy Giedroyc, Emigracja ukraińska, *Listy 1950–1982*, oprac. Bogumiła Berdychowska, Warszawa 2004.
- Jerzy Giedroyc – Redaktor. *Polityk. Człowiek*, pod red. Krzysztofa Pomiana, Lublin 2001.
- Rafał Habielski, *Życie społeczne i kulturalne emigracji*, Warszawa 1999.
- Zygmunt Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952–1979*, oprac. Renata Gorczyńska, Paryż 1992.
- Iwona Hofman, *Zjednoczona Europa w publicystyce paryskiej „Kultury”*, Lublin 2001.
- Krzysztof Kopczyński, *Przed przystankiem Niepodległość. Paryska „Kultura” i kraj w latach 1980–1989*, Warszawa 1990.
- Janusz Korek, *Paradoksy paryskiej „Kultury”. Ewolucja myśli politycznej w latach 1947–1980*, Sztokholm 1998; wydanie krajowe – Lublin 2000.
- Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*, Wrocław 1999.
- Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia republika epistolarna*, Sejny 2006.
- Zdzisław Kudelski, *Spotkania z paryską „Kulturą”*, Lublin 1995.
- „Kultura” i jej krąg, katalog wystawy czterdziestolecia Instytutu Literackiego, Paryż 1988; wydanie krajowe – Lublin 1995.
- Paweł Machcewicz, *Emigracja w polityce międzynarodowej*, Warszawa 1999.
- Andrzej Mencwel, *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku*, Warszawa 1997.
- Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952–1998*, oprac. Dobrosława Platt, Wrocław 2001.
- O „Kulturze”. *Wspomnienia i opinie*, pod red. Grażyny i Krzysztofa Pomianów, Londyn 1997.
- Krzysztof Pomian, *W kręgu Giedroycia*, Warszawa 2000.
- Leszek Szaruga, *Przestrzeń spotkania. Eseje o „Kulturze” paryskiej*, Lublin 2001.
- Wizja Polski na łamach „Kultury” 1947–1976, tom 1–2, pod red. Grażyny Pomian, Lublin 1999.
- Marian S. Wolański, *Europa Środkowo-Wschodnia w myśli politycznej emigracji polskiej 1945–1975*, Wrocław 1996.
- Zostało tylko słowo. O „Kulturze” paryskiej i jej twórcach*, oprac. Krzysztof Dybciak, Lublin 1990.

Redaktor

Uwagi wdzięcznego współbiesiadnika

W pierwszych dniach lutego 1951 roku zjawiłem się w „Kulturze”, czyli w domu przy avenue Corneille, gdzie mieściła się redakcja, tudzież mieszkał trzyosobowy zespół wydający to pismo. Dom, z gatunku tzw. *pavillons* francuskich przedmieść, stał w zaniedbanym ogrodzie i był równie zaniedbany. Doprowadzenie go do stanu mieszkalności kosztowało zespół wiele trudu. Przesiadawali zwykle w kuchni przy stole pokrytym ceratą, jako że ogrzanie innych pokoi piecykami, w których paliło się węglowe brykiety, częściowo tylko się udawało. Stół służył do posiłków przyrządzanych przez Zosię, do czytania korespondencji, do robienia korekty. Ta trójka, tj. Jerzy Giedroyc, Zosia i Zygmunt Hertzowie, przebywali, ośmielałem się tak powiedzieć, na dnie klęski. Byli wrogami Imperium, natomiast Imperium miało wszystko po swojej stronie: wygraną wojnę, miliony w łagrach, kontrolę nad połową Europy i kontrolę nad umysłami w drugiej jej połowie, pieniądze na propagandę, dobrze opłacany aparat policyjny i szpiegowski. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić rozmiary triumfu tego państwa. W Polsce dobrze zdawano sobie z tego sprawę i emigracja stawała się symbolem niebytu, co miało wpływ obezwładniający. Zaledwie jednak zaczęto przystosowywać się do swego miejsca w brzuchu molocha, nastąpił rok 1949 i utrata złudzeń, jeżeli ktoś je żywił.

Myślałem tak jak moi koledzy w Polsce i lądując w „Kulturze”, przyłączałem się, moim zdaniem, do klęski. A jeżeli pisałem, to z pozycji „człowieka przewróconego”, jak powiadał Gombrowicz. Moje środowisko w Polsce kierowało się towarzyskimi ambicjami i niepisanym kodeksem towarzyskiego taktu. Zostać emigrantem znaczyło spaść w towarzyskiej hierarchii. Ogłosić się antykomunistą było po prostu nietaktem. Wspominam o tym, bo odpowiada to prawdzie, choć nikt już nie chciałby się do tego przyznać. Moja ponurość, nawet histeria i prowokacje stąd się brały, że cierpiałem męki poniżonej ambicji. Dzisiaj w całej dyskusji o komunizmie za mało uwagi udziela się towarzyskiemu prestiżowi. Później, za „Solidarności”, potrzeba tego prestiżu działała w odwrotnym kierunku. W 1951 roku byłem zatruty nie tylko heglizmem, także samotnością kogoś, kto zrywa ze swoją konfraternią, jedyną, jaką ma na świecie. Staje się samodzielną, nawet odważną jednostką, ale mimo woli.

Jerzy Giedroyc pochodził z innych układów i inne były jego presje środowiskowe. Opierając się im, wyzwał się z etnocentrycznej ortodoksji patriotów. Jego wizja możliwej współpracy polsko-ukraińskiej, polsko-litewskiej i polsko-białoruskiej była (wtedy!) szaleńcza, a pomysł oddziaływania na Polskę z odległości – karkołomny. Choć właśnie w tej swojej części człowieka stamtąd, ze wschodu, jak Jerzy Stempowski czy Stanisław Vincenz, znającego tamte problemy narodowościowe, był mi bliski. To naprawdę tworzyło nic porozumienia.

Nienawidziłem sowieckiego potwora i byłem świadomy, że cudem uniknąłem łagru. Wydostając się z Polski, wziąłem na siebie obowiązek walki. Ale to nie znaczy, że wierzyłem w zwycięstwo i wcale nie zamierzam przyłączać się do tych, którzy teraz utrzymują, że zawsze wiedzieli, co będzie.

Jerzy Giedroyc w swojej niezłomności był dla mnie postacią enigmatyczną. Czy naprawdę wierzył, że podział Europy ulegnie zmianie wcześniej niż za sto lat? Czy też, wobec całkowitego nieprawdopodobieństwa sukcesu swoich poczynań, postępował, jak postępował, w imię zasady stoickiej, dlatego że tak trzeba, bez obliczania szans? Jego uparta działalność i wybór jednego celu, któremu poświęcił życie, zasługiwały na mój szacunek i niechętny podziw. Niechętny, bo przeciwko niemu zwracała się wszelka realistyczna ocena. Jednakże w swoim bezwzględnym oddaniu celowi nie był sam: stała za nim murem ta, bez której nie byłoby „Kultury”, przez której ręce przechodziła każda stronica pisma, sekretarka i naczelny szef ich falansteru w jednej osobie, Zofia Hertz. Też na próżno próbowałem odgadnąć, jaka w niej siedzi siła napędowa, że zdolna jest co dzień do czternastu godzin pracy. W imię idei? W imię samego uporu, jak wtedy, kiedy rąbała las na zesłaniu w Marijskiej Republice? Z głębokiej wiary w sensowność przedsięwzięcia? Bo powiedzmy szczerze, że Zygmunt tyrał, pakował egzemplarze i woził ręcznym wózkiem na Gare St. Lazare nie dlatego, że wierzył. Poświęcał się świadomie, z miłości do żony, lojalny wobec wybranej przez nią misji. Ponieważ był sceptykiem, okazywał się bardziej dostępny mojemu sceptycznemu usposobieniu.

Powracam teraz, po śmierci Giedroycia, do tych pierwszych lat „Kultury” dlatego, że tak tylko umiem myśleć o wielkości dzieła, które zostawił. Wygrał, ale ryzyko przegranej należało do gry, będącej próbą charakterów. Co prawda można by składać mu hołd za dar przewidywania, jednakże wtedy brakło logicznych przesłanek do upadku sowietyzmu, a i dzisiaj jego zapadnięcie się od środka wymyka się pojęciu przyczyn i skutków, podobne natomiast jest do cudu. Jako że publikowałem przez dziesiątki lat w „Kulturze” i w Instytucie Literackim, korzystam niezаслужenie z części sławy należnej Giedroycowi i jego najbliższemu współpracownikom. Myślę, że właśnie pokazując mizериę początków, sprowadzam do właściwej skali mój udział, literata, który korzystał z gościny i opieki ubożuchnego wydawcy.

Giedroyc jest jedną z wielkich postaci polskiej historii. Na pewno oceny jego „Kultury” będą się zmieniać, ale zawsze będzie obecny przy debatach o bolesnej

likwidacji dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej jako człowieka, który wcześniej zrozumiał, że stosunki pomiędzy wchodzącymi niegdyś w jej skład narodami muszą być oparte na nowych zasadach. Śmierć jego jest stratą dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, ale dzięki niemu nigdy już, miejmy nadzieję, nie zdobędzie przewagi polski etnocentryczny sposób myślenia.

[10/2000]

Jerzy Giedroyc w historii Polski*

Widziano w nim przyszłego premiera. Premierem nie został. Zawsze był i nadal jest Redaktorem. Ale w świadomość Polaków Jerzy Giedroyc wpisał się mocniej i trwalej niż wielu premierów, których nazwisk nikt już nie pamięta.

1.

Pisma Giedroycia, „Bunt Młodych” i „Polityka”, wyróżniały się na tle polskiej prasy przedwojennej klasą reportażu, poziomem publicystyki, drapieżnością, horyzontem problemowym. Ale „Kultura” jest fenomenem na skalę światową. Klub czasopism, które przekroczyły pięćdziesiątkę, ma w Europie zapewne kilkudziesięciu członków. W Polsce jest ich co najmniej dwóch: „Twórczość” i „Znak”. Ktoś przyrównał dwadzieścia pięć lat w życiu pisma do stu w życiu człowieka. Jeśli tak jest w warunkach normalnych, to jaki mnożnik należy zastosować, by określić prawdziwy wiek miesięcznika, który, jak „Kultura”, był nieco ponad czterdzieści lat emigrantem politycznym? Który nie miał debitu we własnym kraju, dokąd nie dopuszczały go straże graniczne i służby celne, gdzie ścigali go towarzysze z bezpieczeństwa, gdzie zwalczał go aparat propagandy. Za którym nie stała żadna stabilna i zamożna instytucja. Który, by móc przetrwać, musiał zdobyć i, co znacznie trudniejsze, zatrzymać na dziesięciolecia kilka tysięcy czytelników rozproszonych po wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy. Mierzona tą miarą „Kultura” byłaby nestorką światowego czasopiśmiennictwa.

Nawet mierzona zwykłą miarą „Kultura” osiągnęła długowieczność rzadką, a wśród pism emigracyjnych – nie tylko polskich – wręcz wyjątkową. I tym dziwniejszą, że zawsze była w pełni niezależna, co znaczy, że jej linię polityczną wytyczał wyłącznie Redaktor, często po dyskusji z Józefem Czapskim lub Konstantym Jeleńskim, i z reguły w porozumieniu ze swym przyjacielem i głównym

* Uzasadnienie wniosku o nadanie tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie Redaktorowi Jerzemu Giedroycowi.

doradcą Juliuszem Mieroszewskim, a po jego śmierci w 1976 roku – z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, aż do urwania się tej współpracy. Jak każdy, kto musi zajmować stanowisko w toku wydarzeń, Redaktor mógł się mylić w analizie układu sił, w przewidywaniu kierunku zmian, w ocenie osób. Ale błędy te dotyczyły środków. Nigdy celu, którym niezmiennie pozostawało odzyskanie przez Polskę niepodległości i ustanowienie w niej ustroju demokratycznego.

Niezależność „Kultury” znaczyła też, że jej istnienie było zawieszone na corocznie odnawianych decyzjach czytelników, którzy zawsze mogli przecież zrezygnować z prenumeraty i niekiedy, acz rzadko, robili to na znak protestu. Redakcja pamiętała o tym nieustannie. Nie schlebiała jednak czytelnikom i nie ulegała ich gustom; bywało też, że uderzała w ich poglądy. Redaktor odrzucał wszystko, co schodziło poniżej poziomu artystycznego ustawionego na ogół bardzo wysoko. I nie unikał tematów politycznych trudnych, spornych, drażliwych, bolesnych. Gdy uważał to za konieczne, „bił siekierą w szczękę”. Również swych autorów traktował bez pobłażania. „Kultura” nie była nigdy pismem wzajemnej adoracji. Nie ominęły jej dramatyczne konflikty wewnętrzne i bolesne rozstania. Zresztą nie otaczała kultem siebie samej, nie celebrowała swych jubileuszy, nie przypominała zasług. Nie odprawiała aktów strzelistych do swoich piór. Pozwalała polemizować z nimi, nawet ostro, byle rzeczowo. Dopuszczała poglądy różne, niekiedy sprzeczne. Pozostawiała poza nawiasem tylko rzeczników PZPR, maniakalnych antykomunistów i endeków. Za sprawą Redaktora, dla którego miało to i nadal ma zasadnicze znaczenie, „Kultura” jest jedynym pismem polskim, które nigdy nie śpiewało *unisono*.

Nieugięcie przestrzegana niezależność i nieodłączna od niej polifoniczność pozwalały „Kulturze”, w ciągu jej pierwszych czterdziestu lat, być znacznie więcej niż tylko pismem. Również łącznikiem między skupiskami polskimi, źródłem wiadomości o życiu w Polsce i na uchodźstwie, biblioteką i archiwum, oficyną wydawniczą, salonem literackim, ośrodkiem politycznym początkowo zwracającym się wyłącznie do emigracji, a po 1956 roku w coraz większym stopniu do Kraju. Nadto zaś, przed powstaniem prasy niezależnej i nowego pokolenia pism emigracyjnych, jedynym forum swobodnej dyskusji o stanie teraźniejszym i perspektywach Polski, a później, po roku 1976 – inspiratorką ruchu dysydenckiego i trybuną większości jego orientacji. Namiastką parlamentu. I zawsze – łącznikiem z Zachodem oraz pomostem między Polską a jej sąsiadami, których losy znajdowały w niej żywy oddźwięk.

Trudno wskazać na świecie inny miesięcznik, który, dysponując tak nikłymi środkami, odegrałby tak wielką rolę.

2.

Czym by była literatura polska bez wydawnictwa stworzonego przez Giedroycia z garstką przyjaciół? Ilu dzieł w ogóle by nie napisano? Ile zaginęłoby

bez śladu? Ile by wydobyło z rękopisów dopiero teraz, a ile za następnych pięćdziesiąt lat? Nie ma odpowiedzi na te pytania. Wiadomo tylko, jak długa jest lista pisarzy, którzy publikowali wyłącznie lub niemal wyłącznie w Instytucie Literackim. Bobkowski, Czapski, Gombrowicz, Herling-Grudziński, Jeleński, Miłosz, Stempowski, Straszewicz – to tylko najbardziej znani z tego kręgu. Ci, o których można powiedzieć, że byli pisarzami „Kultury”, gdyż ogłaszali się na jej łamach i utrzymywali bliskie związki z Redaktorem nawet wtedy, gdy – jak Bobkowskiego czy Gombrowicza – dzieliły ich od niego tysiące kilometrów. Są wśród nich tacy, których trudno sobie wyobrazić gdzie indziej. Gdzie ukazałby się *Trans-Atlantyk*, gdyby nie ukazał się był w „Kulturze”? Gdzie drukowałby Miłosz, gdy był wykłębny przez znaczny odlam emigracji? Znacznie później pisarze krajowi, gdy już przestali ulegać cenzurze, a jeszcze nie mogli korzystać z wydawnictw niezależnych, posyłali swe rzeczy do Maisons-Laffitte. Nikt nigdy nie ustalił, bo nie sposób, ile wartościowych utworów literackich powstało, ponieważ można było liczyć na ogłoszenie ich przez Giedroycia.

Samo istnienie Instytutu Literackiego było więc zachętą do pisania. I to takiego, które, na emigracji, mogło ignorować obyczajowe tabu i patriotyczne świętości, co gorszyło i budziło sprzeciw części czytelników; wystarczy przypomnieć reakcję na *Przyjaciela Flora* Józefa Mackiewicza i na *Traktat poetycki* Miłosza. I które w Kraju pozwalało łamać obręcz cenzury, czego efektem były powieści Stalińskiego (Kisielewskiego), *Apelacja* Andrzejewskiego, *Nierzeczywistość* Brandysa, *Raport z obłożonego miasta* Herberta – a to tylko kilka przykładów wybranych z wielotomowej biblioteki krajowej poezji i prozy ogłoszonej przez Giedroycia.

Uzupełniała ją biblioteka rosyjska: Borys Pasternak, Daniel i Siniawski, których pierwsze wydania na Zachodzie ukazały się w Instytucie Literackim, Solżenicyn i wielu innych. I biblioteka ukraińska – Łobodowski, Lewicki, Koszeliwec – na czele z ogromną antologią Ławryńienki, *Rozstrilane widrodzennia*, która przywróciła ukraińskiej pamięci czołowe osiągnięcia poezji i prozy lat dwudziestych i przyczyniła się przeto do ponownego zmartwychwstania literatury na Ukrainie. Dodajmy przekłady z języków zachodnich: Aron, Burnham, Camus, Greene, Koestler, Silone, Simone Weil...

Rola Giedroycia nie ograniczała się jednak do wydawania rzeczy już napisanych. Niektórych pisarzy musiał naprzód odnaleźć, by móc nawiązać z nimi ponownie kontakt. Później starał się dla nich o pomoc, o nagrody, zasiłki czy stypendia, o możliwość przyjazdu do Europy. Wreszcie niektórych namawiał do uprawiania rodzaju literackiego najbardziej przydatnego, jego zdaniem, dla „Kultury”: dziennika. Tak więc literatura polska zawdzięcza inspiracji Giedroycia to arcydzieło, jakim są dzienniki Gombrowicza, nadto zaś *Notatnik niespiesznego przechodnia* Stempowskiego i *Dziennik pisany nocą* Herlinga. Zawdzięcza mu też przechowanie dzienników Kisielewskiego i Mycielskiego do czasu, gdy mogły wreszcie ukazać się w druku.

Giedroyc wniósł jeszcze jeden ważki wkład do literatury polskiej, tym razem – jako autor. Już dziś bowiem, choć znaczna część jego korespondencji czeka jeszcze na wydanie, jawi się on jako najwybitniejszy bodaj polski epistolograf XX wieku. Nie tylko z uwagi na ilość napisanych przez siebie listów. Również dlatego, że są wśród nich teksty świetne, doskonale skomponowane, dowcipne, niekiedy złośliwe, uderzające swobodą tonu, brakiem jakiegokolwiek sztuczności i pozy. Giedroyc, choć zapewne jak wielu z jego pokolenia lubi pisać listy, pisał je z konieczności, bo były dla niego jedynym sposobem utrzymania więzi z autarami rozsianymi po świecie. Tak oto, w ramach wykonywania obowiązków służbowych, powstał ten jedyny w swoim rodzaju twór, jakim jest zbiór jego listów, zarazem źródło historyczne i dzieło literackie: obraz epoki przełamany przez pryzmat jego osobowości.

3.

„Zeszyty Historyczne” Giedroyc zaczął wydawać w 1962 roku. Ale zbieraniem gazet i czasopism, druków ulotnych, pamiętników, dokumentów osobistych i publicznych oraz wszelkiego rodzaju poloników zespół „Kultury”, a w pierwszym rzędzie jej Redaktor, zajmował się od początku. To systematyczne kompletowanie zbiorów uczyniło z Instytutu Literackiego w ciągu jego ponad półwiekowego istnienia jedną z najważniejszych polskich placówek archiwalnych w zakresie historii najnowszej. Bez uwzględnienia złożonych tam materiałów niepodobna porządnie zbadać historii emigracji żołnierskiej, okresu międzywojennego, drugiej wojny światowej i PRL.

Gromadzenie źródeł, jak inne poczynania Giedroycia, wynikało z przekonania, że walka z panowaniem sowieckim nad Europą Środkową i Wschodnią oraz z ideologią komunistyczną, która uprawomocnia je w oczach znacznych odłamów tamtejszej inteligencji i lewicy zachodniej – że walka ta toczy się w istotnej mierze na obszarze kultury, że jest walką o rozumienie kultury, a tym samym, w swej zasadniczej treści, walką o pamięć. Tym ważniejszą że przeszłość Polski była cenzurowana i zakłamywana bardziej chyba niż jakiegokolwiek innego kraju. Stosunki polsko-rosyjskie i polsko-ukraińskie od średniowiecza do pierwszej wojny światowej; okoliczności odzyskania przez Polskę niepodległości i wojna z 1920 roku; polityka wewnętrzna i zagraniczna II Rzeczypospolitej, zwłaszcza zaś – stosunki z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim; druga wojna światowa – pakt Ribbentrop–Mołotow, agresja sowiecka z 17 września, ruch oporu w Kraju, Katyń, wywózki, polskie siły zbrojne na Zachodzie, Powstanie Warszawskie, zagłada Żydów; ruch komunistyczny, w tym zwłaszcza KPP i okupacyjna PPR; emigracja powojenna; Polska Ludowa, od manifestu PKWN poczynając – oto niepełna zapewne lista tematów, które za czasów PRL nie doczekały się w oficjalnej historiografii rzetelnego opracowania.

Wszystkie te tematy były od początku podejmowane w „Kulturze”. Później przejęły je w znacznej mierze „Zeszyty Historyczne”; dotyczy to zwłaszcza publikacji dokumentów. Równolegle ukazywały się poświęcone im książki: prace oryginalne, niekiedy pisane na zamówienie Giedroycia, oraz przekłady, które pozwalały zapłacić luki produkcji rodzimej. Szczególna rola w tym zakresie przypadła serii Archiwum Rewolucji, ale wiele ważnych pozycji ukazało się poza nią. Wystarczy wymienić rzeczy tak skądinąd różne, jak Aleksandra Hertza *Żydzi w kulturze polskiej*, Swianiewicza *W cieniu Katynia*, *Moje wspomnienia* Witosa, *Historię Stanów Zjednoczonych* Pawła Zarembę, *Raporty* (Polska 1945–1946) Eugenio Reale, Daniela Beauvois *Polacy na Ukrainie 1831–1863*, Jerzego Holzera „*Solidarność*” 1980–1981 i *Po wyzwoleniu* Wiktorii Kraśniewskiej (Barbary Skargi), by dać pojęcie o miejscu i zakresie tematyki historycznej w programie wydawniczym Giedroycia.

Publikowanie relacji, źródeł i opracowań, przypominanie osób i wydarzeń przemilczanych, prostowanie przeinaczeń, fałszerstw i zmyśleń – wszystko to podważało wiarygodność peerelowskiej propagandy, a zarazem budowało, cegielką po cegielce, rzetelny obraz przeszłości. Obraz ten, choć powodował niekiedy spory na emigracji i budził odruchy oburzenia u czytelników krajowych, wywierał jednak wpływ na polską historiografię akademicką i ożywiał pamięć zbiorową. Jeśli inteligencja polska nie cierpiała na zbiorową amnezję, jeśli znała, a przynajmniej mogła znać własną historię, stało się tak za sprawą wielu czynników: tradycji rodzinnych przekazywanych z pokolenia na pokolenie, Kościoła katolickiego, rozgłośni polskojęzycznych na czele z RWE, tych historyków w Kraju, którzy chcieli i umieli wykorzystać każde rozluźnienie cenzury. Wśród tych czynników jednym z najważniejszych był Jerzy Giedroyc.

4.

Niepodległość, granice, sąsiedzi, demokracja, Europa: takie były najważniejsze kwestie polityczne dyskutowane na łamach „Kultury” podczas jej pierwszych trzydziestu lat. Podejmował je przede wszystkim czołowy publicysta i rzecznik pisma Juliusz Mieroszewski. Jak świadczy jego korespondencja z Giedroyciem, ich współpraca była jednak tak ścisła, że artykuły pierwszego wyrażały zazwyczaj poglądy drugiego, co zrozumiałe, gdyż poglądy obu kształtowały się i uściślały w toku wymiany zdań, niekiedy ostrej, między nimi.

Śmierć Mieroszewskiego w czerwcu 1976 roku nastąpiła kilka lat po przyjeździe do „Kultury” nowego pokolenia współpracowników: od 1969 pisze w niej Michał Heller, od 1970 – Leopold Unger, od 1971 – Leszek Kołakowski; obok nich pojawia się sporadycznie wiele innych nazwisk emigracji pomarcowej. Śmierć Mieroszewskiego zbiegła się też w czasie z początkami nowej sytuacji politycznej w PRL, której widomymi przejawami były protesty przeciw zmianom w konstytucji, manifestacja robotnicza w Radomiu

i utworzenie KOR-u oraz upolitycznienie listów pasterskich Episkopatu. Odtąd „Kultura” drukuje coraz więcej dokumentów i artykułów przesyłanych z Kraju, a Giedroyc i cały krąg „Kultury” zajmują się coraz bardziej pomocą dla polskiej dysydencji, a po roku 1980 – dla „Solidarności”, naprzód jawnej, później w podziemiu: informowaniem mediów w krajach zachodnich, inspirowaniem protestów przeciw prześladowaniu działaczy ruchów niezależnych i organizowaniem innych przejawów poparcia, zbieraniem i przesyłaniem pieniędzy, zaleganiem stypendiów i opieki lekarskiej dla osób czasowo przebywających na Zachodzie...

W okresie Mieroszewskiego „Kultura” określiła warunki niepodległego istnienia Polski. Wykazała, że można je zapewnić tylko w ramach zjednoczonej Europy – wtedy myślano wręcz o federacji europejskiej, w której wpływy niemieckie są równoważone przez Francję. Stąd stanowisko konsekwentnie proeuropejskie, temperowane jedynie przekonaniem o zależności Europy od Stanów Zjednoczonych jako jedyne go mocarstwa zdolnego powstrzymać ekspansję Związku Sowieckiego. „Kultura” zakładała przy tym nienaruszalność granic Polski wytyczonych w następstwie drugiej wojny światowej. Dotyczyło to granicy zachodniej na linii Odry i Nysy, co zmuszało do szukania dróg porozumienia z Niemcami; przyświecała temu nadzieja, że Niemcy prędzej czy później przystaną na tę granicę, gdyż bez tego nie będą w stanie wyrwać Polski z orbity sowieckiej i zyskać w niej sojusznika. Dotyczyło to również granicy wschodniej. „Kultura” zajęła stanowisko, że Lwów powinien należeć do Ukrainy, a Wilno – do Litwy, i że tylko pogodzenie się z tym stanem rzeczy może uzdrowić stosunki Polski z tymi krajami i otworzyć perspektywę sojuszu z nimi, co by wzmocniło pozycję wszystkich wobec Rosji bez względu na jej orientację ideologiczną. Powiązanie sprawy niepodległości Polski z uznaniem granic powojennych, z określeniem po nowemu stosunków z sąsiadami ze Wschodu i z Zachodu i z przynależnością do zjednoczonej Europy – to najbardziej trwały wkład Mieroszewskiego i Giedroycia do polskiego myślenia geopolitycznego.

W okresie Mieroszewskiego „Kultura” określiła też swe stanowisko wobec przyszłego ustroju Polski, opowiadając się jednoznacznie za demokracją w stylu zachodnim. Również w tym zakresie Polska miała stać się częścią Europy. Było to odrzucenie wszelkich odmian myślenia totalitarnego i autorytarnego: komunistycznej, co oczywiste, oraz tradycjonalistycznej i endeckiej, które miały jeszcze całkiem wpływowych wyznawców na emigracji. Demokracja w rozumieniu Giedroycia i Mieroszewskiego nie ma być ani „ludowa”, ani „narodowa”. Ma zasa-
dzać się na uznaniu konfliktu politycznego za zjawisko normalne, a wraz z tym – na uznaniu opozycji za niezbywalny składnik życia publicznego i na przyjęciu za regułę, że dzisiejsza opozycja może jutro stać się rządem. Znaczy to, że polityka nie jest przedłużeniem wojny domowej innymi środkami, że jest od niej radykalnie odmienna; co wymaga poniechania raz na zawsze wszelkich prób unicestwienia przeciwnika jeśli nie fizycznie, to prawnie.

W tym punkcie program Giedroycia i Mieroszewskiego czeka jeszcze urzeczywistnienia. Jakoż wśród aktorów polskiej sceny politycznej nadal występują tacy, którzy marzą o społeczeństwie bezkonfliktowym, zespolonym jedną wiarą i rządzonym przez jedną partię z jednym wodzem. I dla których uprawianie polityki jest zatem prowadzeniem wojny, co świadczy, że mentalność totalitarna bynajmniej nie znikła bez śladu. Program ten czeka jeszcze urzeczywistnienia również w innych punktach. Postulował on bowiem administrację państwową poddaną, rzecz jasną, kontroli instytucji przedstawicielskich, ale wyłączoną z gry politycznej, praworząd-
ną i zdolną przeto zapewnić porządek publiczny i szacunek dla procedur demokratycznych na wszystkich szczeblach. Polska jest jeszcze od tego bardzo odległa.

5.

Od z górą dziesięciu lat Jerzy Giedroyc występuje w nowej roli. Nadal wydaje „Kulturę”, która pozostaje najbardziej chyba niezależnym pismem w języku polskim. Ale zarazem uczestniczy w życiu politycznym, wypowiadając się na aktualne tematy w „Kulturze” i w innych mediach oraz podczas spotkań z politykami, którzy często odwiedzają Maisons-Laffitte. Działa zatem na rzecz zbliżenia Polski z Ukrainą, Litwą i Białorusią, które – jego zdaniem – nie tylko nie koliduje z jej członkostwem w Unii Europejskiej, ale jest jego naturalnym dopełnieniem. Zwalcza antysemityzm, wszelkie przejawy ksenofobii i – ogólnie – ideę narodu, o przynależności do którego decydować by miały kryteria wyznaniowe, oraz ideę państwa, które by nie było całkowicie oddzielone od Kościoła. Robi to co dzień, wkraczając w sprawy, które zdają się niekiedy mieć znaczenie czysto lokalne, ale w których dostrzega niepokojące oznaki żywotności odruchów endeckich i kontrreformacyjnego, wojującego katolicyzmu. W ten sposób tłumaczy ogólne zasady na język konkretów.

Włożył wiele wysiłku w sprawę pojednania narodowego. Pokazał własnym przykładem, że można być całe życie konsekwentnym antykomunistą i być równie konsekwentnym wrogiem totalitaryzmu we wszystkich jego postaciach i odmianach. Sytuuje się ponad partiami, nie kieruje się resentymentem, stara się oceniać jednostki i organizacje z perspektywy interesów Polski. Cała jego działalność w ciągu minionych dziesięciu lat ilustruje i potwierdza to rozumienie demokracji i polityki, które „Kultura” wpajała swym czytelnikom. Jest rzadkim przykładem osobistości publicznej, której stanowisko pozostaje w zgodzie z zasadami, jakie zawsze wyznawała.

Lata po drugiej wojnie światowej można zasadnie określić jako czas Jerzego Giedroycia nie tylko w historii polskiego czasopiśmiennictwa. Również w historii literatury polskiej, historiografii polskiej, polskiej myśli politycznej i polskiego życia publicznego. W historii Polski.

Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem*

Bardzo trudno jest pogodzić się z okrutnym faktem, że Jerzy Giedroyc już nie żyje. Był zbyt wielkim symbolem, synonimem bycia i trwania, moralnym i politycznym autorytetem ponad podziałami partyjnymi, przesądami klasowymi i konfliktami narodowościowymi. Jak rzadko kto reprezentował umiar i rozsądek, był uosobieniem tolerancji. Są to cechy charakteru raczej rzadkie na naszych szerokościach geograficznych i nietypowe dla politycznego obyczaju. Jego śmierć powoduje głęboką wyrwę w nieformalnym, ale od wielu lat praktykowanym układzie sił i tendencji. Nie będąc w środku szybko zmieniających się nastrojów, mógł z dala nie tylko obserwować procesy przemian – nie zawsze uchwytnych nawet dla ich uczestników – ale przez powagę i ciężar gatunkowy swojej postaci w wydatny sposób wpływać na politykę współczesnych elit politycznych.

Przypominanie dziś, w obliczu majestatu śmierci, że był jednym z największych Polaków XX stulecia, jest truizmem i właściwie banałem. Ale stwierdzenie wielkości jego postaci na tle straszliwej epoki, wciąż jeszcze zionącej atmosferą nieprawdopodobnych okrucieństw zdegenerowanych systemów władzy i ogromem ludzkich nieszczęść, jest tylko skromną i oczywistą daniną. W ostatnich latach czasem wydawało się, że nie tylko ogół naszych społeczeństw, od którego trudno oczekiwać dociekliwości, ale nawet klasa polityczna z kręgu podstawowych działań Jerzego Giedroycia – czyli Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy – nie dostrzega głębi i doniosłości życiowego dzieła tego nie tylko zdolnego wydawcy, genialnego redaktora, ale przede wszystkim politycznego wizjonera.

Nie trzeba grzeszyć zbyt wybujałą fantazją, aby wyobrazić sobie, co działałoby się w naszym regionie, jakie konflikty, awantury narodowościowe i graniczne hulałyby po głowach społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej, gdyby nie zwyciężyła koncesja przyjaźni i współpracy, wypracowana w kręgu paryskiej „Kultury” pod egidą Jerzego Giedroycia.

* Niniejszy artykuł ukazał się w tygodniku ukraińskim „Nasze Słowo” nr 41 (2254), 8 października 2000 r.

Jego dalekowzroczność i zbawienny opór wobec małości i krótkowzroczności ówczesnych emigracyjnych oponentów sprawiły, że projekt – na miarę tamtych czasów i poglądów – zakrawający na nieziszczalną utopię, wyprowadził naszą ówczesną geopolitykę z ulicy bez wyjścia na współczesną drogę pojednania i współpracy. Ten potomek litewskiego, z czasem spolszczonego, arystokratycznego rodu zdobył się na rewolucyjną koncepcję radykalnego zerwania z koślawą przeszłością – bez przelewu krwi, a drogą ewolucyjnej perswazji, nieustannego dłubania skały obojętności i niewiary.

Całe dzieje ludzkości nie znają podobnego fenomenu, aby grupa ludzi na emigracji, oddalona od kraju ojczystego o tysiące kilometrów i nierozporządzająca ani potęgą militarną, ani wielką fortuną, zdołała nie tylko opracować projekt uśmierzenia dawnych przeciwności i przygotowania okresu współpracy poza granicami – bo takich projektów było wiele i wszystkie one pozostały na papierze – ale z koncepcją tą dotrzeć do nowych klas politycznych i zdobyć ich oparcie dla jego realizacji w nowym układzie sił w Europie.

Historyczne zasługi zmarłego wielkiego Polaka wykraczają daleko poza granice stosunków polsko-ukraińskich, ale właśnie w tej dziedzinie są powodem szczególnej dziękczynności. Jestem święcie przekonany, że przyszli badacze nieprostycho dziejów naszego sąsiedztwa ocenią wkład i wysiłek Jerzego Giedroycia jako epokowe dzieło w wytyczeniu drogi do nowego cyklu w naszej wspólnej przyszłości.

KS. HENRYK HOSER SAC

Homilia na pogrzebie śp. Jerzego Giedroycia

Le Mesnil-le-Roi, 21 września 2000

W Starym Testamencie, w Pierwszej Księdze Samuela, opisane jest zdarzenie o wyjątkowym, ponadczasowym znaczeniu. Prorok Samuel otrzymuje od Boga polecenie: „Posyłam cię do Jessego Betlejemity, gdyż między jego synami upatrzyłem sobie króla” (1 Sm 16,1). Spośród ośmiu synów Jessego prorok ma wskazać wybrańca, a będzie to przyszły król Dawid. Stoi Samuel wobec wielowarżnego wyboru: zadania uwidocznienia słusznej wartości człowieka, można by powiedzieć, jego wartości bezwzględnej.

Od śmierci Jerzego Giedroycia minęło kilka dni, prawie tydzień. Prasa, radio i telewizja obfitują w lawinowo pojawiające się wypowiedzi, oceniające człowieka i dzieło; Jego życie i znaczenie Jego śmierci.

Wszyscy jednak czujemy, jak osoba Redaktora wymyka się najbardziej nawet przenikliwym, subtelnym czy błyskotliwym wypowiedziom. Jesteśmy bezradni bezradnością Samuela, szukającego rozpaczliwie klucza do rozeznania Bożych upodobań. I wówczas otrzymuje Samuel od swego Pana konieczne światło, odpowiednią metodę, jedną z najważniejszych zasad mających zastosowanie w odkrywaniu tajemnicy człowieka. Zasada ta brzmi: „Nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce” (1 Sm 16,7). A serce oznacza w tym wypadku najbardziej skryte i intymne sanktuarium ludzkiego istnienia i chcenia, źródło najgłębszej motywacji, mieszkanie wolności.

My również przypatrzmy się sercu człowieka, który był tak bardzo obecny w naszym życiu i naznaczył kończący się dwudziesty wiek. Niech nam zatem będzie wolno odczytać Pana Jerzego, tę postać monumentalną i historyczną, w świetle Bożych kryteriów i ocen, w ostrym świetle Ewangelii. Oddajmy głos Jemu samemu i słuchajmy głosu Jezusa, pomijając wszystkie osoby postronne.

Śp. Jerzy Giedroyc był człowiekiem skromnym; nie przeceniał swej roli, a była ona wielka, nie stawiał się na piedestale, unikał jak ognia pochlebców, odsuwał turyferarzy. Jego zachowanie cechowała głęboko zakorzeniona wstydliwość, odpowiadająca francuskiemu słowu *pudeur*. Mówił z dużą autoironią:

Jak dotąd, z mojego miotania nic nie wychodzi. Poza „Kulturą” zabieram głos, gdzie tylko mogę. Do Maisons-Laffitte ciągną jak do cadyka z Góry Kalwarii różni dygnitarze, ale to jałowa gadanina, z której nic nie wynika.

Jezus zaś nauczał:

Tak mówcie i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono; „Śludzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać”. (Łk 17,10)

Zdawał się wtórować ewangelicznej radzie, uważając, że tylko pełni swoją powinność.

Jerzy Giedroyc był człowiekiem utalentowanym. Talent literacki, talent organizacyjny, wyjątkowa intuicja, bystra inteligencja, poczucie smaku i estetyki, umiejętność słuchania, zmysł humoru, godność osobista.

I o tym mówił, jak zwykle oszczędnie.

Jeżeli mam jakiś talent, to jest to talent reżysera: umiejętność dobierania tematów i ludzi. To sprawia, że mam nastawienie zespołowe i że jeśli jestem przekonany, to zmieniam zdanie. [...] Zmieniam taktykę, bo polityka nie jest sakramentem: jeśli chce się ją uprawiać, to trzeba przylegać do rzeczywistości, która się zmienia. Trzeba umieć zachowywać zasady i zmieniać poglądy.

Dzisiaj słucha i dogłębnie rozumie przypowieść o talentach, bo ona właśnie bezpośrednio poprzedza opis Sądu Ostatecznego.

Podobnie też [jest] jak z pewnym człowiekiem, który mając się udać w podróż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden, każdemu według jego zdolności, i odjechał. [...] Po dłuższym czasie powrócił pan owych sług i zaczął rozliczać się z nimi. Wówczas przyszedł ten, który otrzymał pięć talentów. Przyniósł drugie pięć i rzekł: „Panie, przekazałeś mi pięć talentów, oto drugie pięć talentów zyskałem”. Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię: wejdź do radości twego pana!” (Mt 25, 14–15; 19–29)

Jerzy Giedroyc był człowiekiem twórczym. Otrzymane od Stwórcy talenty pomnażał gigantyczną, benedyktyńską pracą, bo tylko ona talentów przysparza. Potomni zawsze będą mieli trudności w zrozumieniu, jak jeden człowiek ze szczupłym gronem współpracowników, stanowiących rzeczywistą Jego rodzinę, mógł dokonać tak wielkiego dzieła. Bo przecież dorobek Instytutu Literackiego stanowi niewyczerpany *corpus* Giedroyciowego życia, mierzony nie tyle długością książkowych pól, ile milionami czytelników.

W tym momencie sięgnijmy do innej ewangelicznej zasady wejrzenia w ludzkie serce, dotarcia do tajemnicy serca Pana Jerzego.

Jezus mówi:

Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórce, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami. Poznać ich po ich owocach. Czy zbiera się winogrona z ciernia, albo z ostu figi? Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wyda-

je złe owoce. Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców. Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone. A więc: poznać ich po owocach. (Mt 7, 15–20)

Dojrzałym owocem tego długiego, pracowitego i urodzajnego życia było słowo: słowo wypowiedziane, słowo zapisane i słowo skierowane do tych, którzy szukali orientacji, światła, kierunku, a zwłaszcza uzasadnienia nadziei, nadziei na życie pełne, życie sprawiedliwe i piękne życie.

Nostalgia za Polską wyśnioną, wyidealizowaną, prawie doskonałą, nasiliła się przy końcu życia Redaktora, gdy wydawało się, że cel jest blisko, a spełnienie możliwe. Stąd nuty jeremiaszowej gorczy, stąd ostra, niecierpliwa krytyka: marzenie pozostawało nadal i tylko marzeniem.

Redaktor wyraził wolę pogrzebu religijnego w Kościele katolickim, który tak często bezlitośnie krytykował. Zapewne Jego wiara była trudna. Pozostanie ona tajemnicą serca, które przestało bić, i opisać jej nie sposób.

Powiem tylko, że dziennik „Rzeczpospolita” opublikował, już pośmiertnie, zdjęcie Pana Jerzego w Jego gabinecie na tle dwóch wizerunków Matki Bożej, a mówiący te słowa posyłał Mu, na Jego prośbę, dokumenty kościelne dotyczące kultu maryjnego. W Jego domu królowała na poczesnym miejscu Matka Boska Ostrobramska. Ta z Wilna i *Pana Tadeusza*, litewska postać Królowej Polski Obojga Narodów. *Servus Mariae numquam peribit*.

I Ona zapewne wyciąga matczyne ręce, by przyjąć duszę Redaktora w Niebieskie Bramy. On zaś staje tam z paszportem w ręku, dziełem życia swego, miniaturką „Kultury”, przenoszoną do Polski z narażeniem życia i wolności wielu, a wydaną na biblijnym papierze. Głosem cichym i zażenowanym mówi Pani Niebieskiej: „zrobiłem dla mojej ojczyzny, dla Polski, coś dobrego”. I dodaje nieśmiało: „wszystko, co zrobiłem, zrobiłem kosztem życia osobistego, którego nie miałem”.

I powiedział Pan: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13).

Amen.

[10/2000]

Trzecia Rzeczpospolita

Adamowi Michnikowi w odpowiedzi*

Piszę z opóźnieniem, bo nie miałem ochoty odpowiadać Adamowi Michnikowi osobiście. Kiedy wieloletni przyjaciel znienacka obrzuca człowieka obelgami i robi to tonem pełnym nienawiści, człowiek szuka dlań usprawiedliwienia i wytłumaczenia.

Usprawiedliwienie znajduję w fakcie, że Michnik długo żył w ustroju mało sprzyjającym uprzejmości i dobrej wierze.

Wytłumaczenie widzę w fakcie, że poczuł się dotknięty do żywego atakiem na politykę, którą od trzech lat uprawia, a której mylność polega – moim zdaniem – dokładnie na tym, co mnie zarzuca, a mianowicie na błędnej ocenie stosunku sił.

W marcu 1988 Polska dźwignęła się po raz ostatni do walki o jedyny cel, który ją interesuje, mianowicie wolność i niezawisłość. Do tego celu można było zmierzać bez zbytniego ryzyka, gdyż rozkład Związku Sowieckiego był już zaawansowany. Nawet gdyby miało na to siły, państwo sowieckie nie mogło zbrojną interwencją zrujnować swego dalekosiężnego planu „wspólnego europejskiego domu”, który ma je uratować i wziąć na garnuszek zachodniej strefy dobrobytu. Polska mogła wówczas stanąć na czele europejskiego ruchu wyzwolenieckiego. Zmarnowała tę okazję i zaszczyt ten przypadł Niemcom, Czechom, nawet Rumunom.

Jeśli chodzi o Michnika, to źródłem błędu, wskutek którego jego kraj nie zrealizował swych dawnych mesjanistycznych nadziei, była pomyłka co do osoby Gorbaczowa. Zaczadzony, być może, pewnym typem sowietologii zachodniej Michnik dostrzegł w tym komunistycznym przywódcy wyzwoliciela. Cóż to za zabójcza pomyłka, by Polak sądził, że wolność może nadejść z tej strony!

Różne inne siły pchały niestety w tym samym kierunku. Przede wszystkim znamię, jakie na umysłach odcisnęło czterdzieści lat komunizmu. Nie jest pew-

* W związku z wywiadem z A. Besançonem („Tygodnik Solidarność”, Warszawa 2.03.1990, nr 9/76) oraz reakcją na ten wywiad Adama Michnika („Gazeta Wyborcza” 22.03.1990, nr 69 i „Libération”, Paryż).

ne, czy „masy” polskie rzeczywiście pragną podjąć ryzyko i ciężką pracę świata zachodniego. Marzą im się równocześnie „kapitalistyczne” bogactwo oraz socjalistyczne lenistwo i brak odpowiedzialności. Następnie klerykalizm Kościoła zabalsamowanego przywilejami, upojonego wpływami i bojącego się, by jego kler nie popadł w ubóstwo, izolację i drugorzędność, które są udziałem księży i biskupów zachodnich. I wreszcie spaczony nacjonalizm, który woli, by Polska była eleganckim przedmieściem świata komunistycznego aniżeli nędzną rogatką świata zachodniego. Wszystko sprzyjało więc odrodzeniu – w karykaturalnej formie – polityki Dmowskiego, nieufnej wobec Zachodu, sprzyjającej Wschodowi.

Skutki tego błędnego punktu wyjścia są od trzech lat coraz dotkliwsze.

Historyczny kompromis, zawarty przy Okrągłym Stole w roku 1989, doprowadził do utworzenia „podwójnej jedynej partii” i podwójnej nomenklatury, trudniejszej do obalenia aniżeli zwykła ekipa Gierka czy Kani. Tandem Jaruzelski-Wałęsa może doprowadzić do dyktatury jednego lub drugiego. Walka polityczna, której „Solidarność” nie chce wytoczyć komunizmowi, obraca się przeciwko prawdziwej opozycji, rozbitej, bezsilnej i wciąż nieumiejącej nadać sobie imienia.

W polityce zagranicznej uformowała się oś Moskwa-Warszawa. Michnik wyraził w „Litieraturnoj Gazecie” zadowolenie z faktu, że wojska sowieckie chcą pozostać w Polsce. Zarzucano mi, że wspominałem o Targowicy, a przecież ta grupa zdradców nigdy nie opowiedziałaby się za przedłużeniem okupacji, która trwa już czterdzieści pięć lat.

Widzieliśmy w Paryżu Jaruzelskiego i Mazowieckiego usiłujących wskrzesić przymierze francusko-rosyjskie, które już tak drogo kosztowało Europę i Polskę; słyszeliśmy Wałęsę grożącego Niemcom w słowach obłąkanych unicestwieniem atomowym, żądającego, jak należy daniny, subsydiów mających wzmocnić dwuznaczny reżim, a pośrednio przynieść korzyści okupantowi. Widzieliśmy zażenowanie Polski wobec bohaterskiej Litwy, która w okolicznościach tyśiąckrotnie groźniejszych próbuje wywalczyć to, przed czym Michnik i jego przyjaciele cofają się od trzech lat. Niestety, wszyscy Litwę opuścili, ale Polska powinna wiedzieć, skąd pochodzą jej najwięksi królowie i jej największy poeta.

Jak ukryć przed samym sobą taką porażkę? Uciekając się gorączkowo do pustych symboli, procesji, przywracając orłowi polskiemu koronę, szermując wyznaną wreszcie zbrodnią katyńską, powszechnie znaną od 1943 roku, snując obrzydliwe wywody o „przebaczeniu”, które – wykluczając wszelką sprawiedliwość i odwagę – jest kpina z chrześcijaństwa, rozprawiając o „posttotalitaryzmie” i „postkomunizmie”, by w ten sposób zaprzeczyć rzeczywistości, której nie chciało się stawić czoła. Cóż ja na to poradzę, że wielu Francuzom kojarzy się to z rządami Vichy?

W Polsce stało się dokładnie to, czego Gorbaczow pragnął dla wszystkich krajów satelickich. Manewr prawie wszędzie spalił na panewce. W Polsce się udał. Jest to największy sukces Gorbaczowa. Michnik ma w nim swój udział.

Czemu jest tak źle, skoro jest tak dobrze?

Kupą, mości panowie, nawoływał dobry psycholog Zagłoba. Często powtarzaną tezę o naszym nadmiernym indywidualizmie radziłbym jeszcze raz przemyśleć... Na oko wygląda, że raczej lubimy wszystko robić zbiorowo; upijać się, śpiewać *Czerwone maki*, klaskać... Trudności z demokracją zapewne wynikają z takich właśnie nawyków. Dlatego może scena polityczna zdominowana została na bardzo długo – zbyt długo jak na doraźny cel wyrwania Polski z komunizmu – przez masowy ruch, będący faktycznie zbiorem najróżniejszych tendencji, które jednak nie potrafią zdobyć się na określenie swoich odrębności. Widać indywidualiście milej razem. Milej niż w pojedynkę nową partię zakładać i na własne ryzyko program wymyślać? Obalwszy zło wcielone, czyli komunizm, na jego miejsce dobro wcielone językiem, piórem i uwielbieniem wspierać postanawiamy. Między złem wcielonym i dobrem wcielonym dla Polaka wybór jasny. Do niuansów cierpliwości nie ma, zresztą wątpi w ich potrzebę. Przy tym, urodziwszy się istotą gromadną, poszukuje łakomym okiem wodza, tęskni do niego, za to o gadułach parlamentarnych źle trzyma. Ale co do wodza Polak także bywa zmienny. Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje. Wałęsa w ostatnich miesiącach zaznaje żartowania.

Ekipa rządząca stanęła wobec dymelatu: miękki jak wosk prezydent – wszystko podpisze, powie, wykona – przewodniczący, co doradców raz słucha, raz nie dosłyszysz... Gdyby prezydentem został, uchowaj Boże... Ekipa ma może pomysł na wyciągnięcie kraju z katastrofy, nie tęskni natomiast do w pełni wolnych wyborów parlamentarnych, które nasi sąsiedzi, choć później na drogę demokracji wkroczyli, już mają za sobą. *Salus rei publicae* leży jej na sercu, a nie marzenia destabilizatorów, demagogów i populistycznych jurystów o suwerenie i ludowładztwie. Ale dla zbawienia Rzeczypospolitej istniejące narzędzia – sejm 35-procentowy i prezydent z Magdaleny – póki co najsprawniejsze! Wolno jednak zapytać, co tkwi u podłoża impasu. Bowiem – gdy wybory rozpiszemy, to zapewne... zaczniemy opłakiwać generała, „z którym się tak dobrze pracowało”, i staniemy wobec dwóch niewiadomych. Jedną niewiadomą będzie nowy prezydent, drugą nowy parlament. Mogą w nim dojść do głosu np. nurty chadeckie, dotąd marginesowe, w Magdalence mało reprezentowane. A więc nie „katolicy otwar-

ci” z KIK-ów, „Więzi” i „Tygodnika Powszechnego”, z „lewicą laicką” od dawna serdecznie sprzymierzeni, wypowiadający się za szeroką koalicją sił reformatorskich – ale różni Łopuszańscy, rozwścieczeni na zesmutniałą i w rozlicznych posiadłościach pokutującą pezetpeerię. Ta cuchnąca „żądzą odwetu” nowa fala a nuż wytnie w pień w wolnych wyborach dotychczasowe elity OKP, w których dość ważną rolę odgrywają zarówno „katolicy otwarci”, w Magdalence oswojeni, jak i ludzie o bujnej nieraz młodości w szeregach partii zwycięskiego proletariatu? Trzeba przebaczyć, powiedzą być może nowi, ale czy koniecznie trzeba tak już całkiem zapomnieć? Wobec tylu dylematów bezpieczniej – każdy się zgodzi – odłożyć czysto formalną legitymizację rządu, aż się nowe struktury wzmocnią. Tak powiada Turowicz i legion. Któż by się oparł autorytetem? Wiadomo zresztą – podszeptują niektórzy – że sformalizowane obyczaje parlamentarne krajów zachodnich nie całkiem odpowiadają aktualnym potrzebom polskiego społeczeństwa. Grożą anarchią i destabilizacją, jak Urban z Rakowskim przestrzegali, i wprowadzają zamęt w zbiorowość miłującą wypróbowane autorytety, co ją prowadzą pewną ręką, mniej zatroskane o czysto przecież formalny sprawdzian wyborczej kartki...

Trzeciego maja, co sfotografowała „Rzeczpospolita”, w katedrze warszawskiej pod ołtarzem stał generał-prezydent z premierem u boku klęczącym... Za to, jak Tadeusz Fredro-Boniecki wypomniął w RWE, a Juliusz Żuławski w liście do „Gazety Wyborczej”, wierni, zwykli w ten dzień zbierać się tam na modlitwę, znaleźli drzwi zatrzasknięte. Czy aby naszym władzom z ks. prymasem bez świadków rażniej? A pamiętać trzeba, że to szczególne sanktuarium religijno-narodowej chwały i religijno-narodowego bólu zamknięto przed Polakami w najważniejszą polską rocznicę, której obchodzenia generał Jaruzelski w latach swoich rządów ze szczególną zaciekleścią zakazywał, obstawiając kordonami ZOMO kościoły, gdzie odprawiano mszę trzeciomajową, by legitymować i zatrzymywać zmierzających tam ludzi. Notabene jak wielu innych w ten dzień, spotkało to i mnie nie tak dawno w Krakowie, w pobliżu Wawelu. Myślę, że zakaz wstępu na uroczystość trzeciomajową do warszawskiej katedry to znamienny, symboliczny afront. Katedra bowiem nie jest gmachem opery, gdzie się wchodzi za zaproszeniami na galowe przedstawienia. Ani nie jest własnością prezydenta, rządu czy nawet księdza prymasa... Arcypasterz warszawsko-gnieźnieńskiej diecezji powinien pamiętać, że w s w o j e święto ma prawo modlić się w niej k a ż d y Polak.

W wielu krajach o utrwalonym systemie parlamentarnym rządy sprawują przemienicznie „liberałowie” i „socjaldemokraci”. Pierwsi pobudzają produkcję, rozkręcają przedsiębiorczość i indywidualne inicjatywy, drudzy natomiast przychodzą przyszytych wypasionej przez liberałów baranka kapitalistycznej *prosperity*, aby dobrobyt stał się również udziałem tych, którym się gorzej powiodło. Taka przemienność zapewnia równowagę społeczną, nie dopuszcza ani do skrajnej polaryzacji bogactwa i nędzy, ani do zdławienia rozwoju gospodarcze-

go przez rozdające to, czego nie wyprodukowało, państwo opiekuńcze. Polacy jednak dzielą się nie na „liberałów” i „socjaldemokratów” (zapomnijmy na chwilę, że u nas dawni komuniści zrabowali niedawno tę nazwę przyzwoitej zachodnioeuropejskiej lewicy!), ale na dobrych Polaków wokół n a s z e g o r z ą d u (tu przykleknąć) wraz z OKP – i destabilizujących zadymiarzy z KPN czy międzynarodówki anarchistycznej, wreszcie podejrzanych o nacjonalistyczno-religianckie zakusy Łopuszańskich, Jurków* i innych uczniów Torquemady. Z tym że „reformatorska część dawnego PZPR”, jak np. generał-prezydent, kilku ministrów i tysiące nomenklatury, sumiennie wypełnia zobowiązania Okrągłego Stołu, *ergo* „pracuje się nam z nimi znakomicie i oby tak trwało jak najdłużej bez pomysłów niechrześcijańskiego rozliczania byłych prominentów za wpędzenie kraju w katastrofę ekonomiczną, ekologiczną i jaką tam jeszcze”. Ale ubolewając słusznie nad tym, że Polacy nie chcą należeć do politycznych ugrupowań i że być może ich temperamentowi lepiej niż kłopotliwy pluralizm odpowiada bezpartyjny blok współpracy z rządem czy coś w rodzaju hinduskiej partii kongresowej (tak to ktoś napisał), musimy zdać sobie sprawę, że rozwój stronnictw politycznych trwa latami, jeśli nie pokoleniami, i że nie wystarczy powołać ministra w tym celu, bo tutaj istotne są rozbudowane struktury organizacyjne, prasa i radio, którymi „Solidarność” i wyrosły z niej ruch obywatelski dysponują. Wolność słowa to jeszcze nie wszystko, trzeba poligrafii, dystrybucji, sieci kolportażu, renomy i reklamy. Celowo nie używam terminów „wiarygodność” i „autorytet”, bo stopień, w jakim zależą od udanej kampanii w mass mediach, bywa niestety trudny do sprecyzowania. Oczywiście każdy z nas może założyć dzisiaj partię polityczną. Jest to równie prawdziwe jak powiedzieć, że każdy z nas może dzisiaj założyć międzynarodowy bank inwestycyjny z oddziałami we wszystkich stolicach świata... Nie da się ukryć, że na raczkujących konkurentów politycznych wielki kolos „rządowo-obywatelski” i jego *de facto* monopolistyczne mass media spoglądają ze wzgardliwą pobłażliwością. Tam General Motors chichocze, widząc maniaka, który w prywatnym garażu produkuje prototyp nowego modelu samochodu. Ale ostra konkurencja wychodzi na zdrowie polityce równie jak gospodarce, i w polityce też powinny działać ustawy antymonopolowe. Rządy oparte na jedynie słusznych poglądach i jedynie słusznym ogólnonarodowym uzgodnieniu („konsensusie”) bywają najkruchsze. Już lepsze „potępieńcze swary” niż gładka fasada, pod którą gipsem zatkanie pęknięcia. W obawie przed „polskim piekłem” uciekniemy w sarmackie „kochajmy się”, a więc w równie idiotyczną zgodę bezmyślności.

Przefarbowane na PSL-Odrodzenie, wczoraj „sojusznicze” Stronnictwo Ludowe, na niedawnym kongresie odrzuciło większością głosów rezolucję popierającą niepodległość Litwy. To haniebne głosowanie oby nie położyło się cie-

* Jerzy Łopuszański i Marek Jurek – posłowie z OKP.

niem na przyszłych stosunkach Polski z wolną Litwą. Przewodniczącym nowego stronnictwa, notabene występującego w aliansie z obłąkanymi narodowcami, został poseł Bartoszcze. Czy poważny odłam ruchu ludowego nie stanie się rezerwatem najdzikszych reliktyw polskiej ksenofobii i polskiego antysemityzmu? Jaki owoc wyda połączenie politycznej ciemnoty tłumu ze sprytem wyrobionych w wieloletnich rozgrywkach o posady intrygantów? A spodziewaliśmy się, że wieś będzie naturalnym zbiornikiem politycznych inicjatyw, tak jak w wielu wypadkach jest terenem interesujących inicjatyw gospodarczych. Czy jednak bardzo się mamy dziwić chłopom, gdy w kręgach decydentów sprawa Litwy traktowana jest jak „gorący kartofel”? Czy rząd nie mógłby podjąć przynajmniej inicjatyw gospodarczych na rzecz pomocy Litwie, jeśli już na myśl o uznaniu jej niepodległości pot występuje na czoło niektórym ministrom? Próba wysłania choćby nadwyżek naszego węgla? Czy w ogóle pomyślano o takiej pomocy? Teraz liczą się także symboliczne, spektakularne gesty. Skoro Jaruzelski w czasie wizyty w Moskwie wbrew oczekiwaniom wielu Polaków ust nie otworzył na temat naszego północnego sąsiada, to nie tylko dowód, że jest człowiekiem z epoki Breżniewa, niezdolnym do reprezentowania polskich interesów wobec Rosji, ale i sygnał, że „kręgi rządowe” nie próbowały wywierać nacisku w tym kierunku. Za taką małoduszność, za taki brak politycznej wyobraźni możemy kiedyś sporo zapłacić. Rząd posuwa się być może we właściwym kierunku, ale jest to zbyt często wynikiem szturchańców przychodzących z zewnątrz, a nie jego własnej inicjatywy. Pamiętam, z jakim przerażeniem (i milicyjnym pałowaniem!) reagowano, gdy młodzież żądała usunięcia pomnika Lenina w Nowej Hucie. Niektórym wydawało się, że z za zerwanego leninowskiego surduta wychyną zaraz sowieckie czołgi. Podobnie sprawa obcych wojsk w naszym kraju pojawiła się dopiero na skutek akcji WIP-owskich „zadymiarzy”.

Wezwanie do aktywnego udziału w wyborach samorządowych znajduje słuchaczy jeśli nie głuchych, to ospałych. Ta ospałość wynika z wielowarstwowej sowietyzacji, ale wynika także ze zmarnowania zeszłorocznej okazji, żeby poderwać społeczeństwo do aktywności. Gabinetowa dyplomacja architektów Okrągłego Stołu, którzy mimo triumfalnego zwycięstwa 4 czerwca, a co więcej mimo błyskawicznego rozpadania się komunizmu u naszych sąsiadów, pozostawili do dziś u władzy znaczące odłamy dawnej nomenklatury, staje oto wobec społeczeństwa znacznie bardziej zniechęconego niż przed rokiem, gdy świeża nadzieja odzyskania całkowitej niepodległości. Trudno przecież uznać za figury niepodległości wieloletnich lojalnych wykonawców sowieckiej dominacji w Polsce, których po zwycięstwie wyborczym odnaleźliśmy na tych samych stanowiskach co przedtem. Ich publiczne dewocje drażnią świeżą jeszcze pamięć całkiem innych słów i zachowań. Trzebaż więc się dziwić, że dziś ludzi absorbują bardziej troski materialne niż dobro Rzeczypospolitej? Zresztą operacja Balcerowicza dokonywana jest w oparciu o stare układy (tylko nie destabilizować Balcerowicza, szepczą tłumy wtajemniczonych redaktorów naczelnych i telewizyjnych,

przyjaciół i doradców, dworzan i trefnisiów), a znacznie mniej w oparciu o świadomą i wyrażoną formalnie w demokratycznych instytucjach wolę społeczeństwa. Reforma jest przyjmowana raczej jako mało zrozumiały „dopust Boży” niż proces, który współtworzymy. Tym samym powiększa rozmiar inercji tego ogromnego cielska, na którym jacyś mądrale dokonują niejasnych a bardzo bolesnych chirurgicznych zabiegów.

Z inicjatywy Jerzego Turowicza grono wybitnych intelektualistów wydało w początku maja oświadczenie rojące się od niewątpliwych i słusznych zdań ogólnych w celu wsparcia rządu i potępienia niejasnych sił coś knujących. O ile zrozumiałem, nie chodziło tu jednak o postkomunistyczną mafię. Jakże interesującą rzeczą – pomyślałem prostodusznie – dla rozwoju samoświadomości współczesnych Polaków byłoby, gdyby owych kilkudziesięciu intelektualistów napisało nieprzeliczoną mnogość samodzielnych tekstów roztrząsających przyczyny, dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze. Na szczęście zamiast tej zbijającej z tropu i kłopotliwej wielości (pluralizmu) najróżnorodniejszych poglądów otrzymaliśmy pogląd jedynie słuszny, wzywający do rzeczy również ponad wszelką wątpliwość słusznych. Poczuliśmy się więc nie tylko spanikowani, ale zarazem i pocieszeni, że czuwa nad nami kolektywny umysł sygnatariuszy apelu. W kupie rażniej, podsumowaliśmy słowami pana Zagłoby.

Drodzy intelektualiści, wierzę w waszą najlepszą wolę, ale redagowaniem odezw w normalnym kraju zajmują się profesjonalne sztaby wyborcze różnych partii politycznych. Na obszarach przez dziesiątki lat pozostających pod rządami azjatyckiego (kolektywistycznego) komunizmu przyjęło się wprawdzie, że w różnych przez władzę wyznaczanych okolicznościach członkowie literackich batalionów samorzutnie uchwalali zbiorowe rezolucje, np. na temat Korei, Wietnamu czy produkcji ziemniaków, a obyczaj ten następnie spodobał się dobrowolnie tysiącom postępowych intelektualistów Francji, Anglii i Zairu. Pisarz niezależny lubił bowiem zagrmieć przeciw możliwym kapitalistycznym światom, zwłaszcza gdy czuł za plecami miłujący pokój naród sowiecki i jego zbrojne ramiona. W latach pohelskiego „odprężenia” pomysł zbiorowych listów przechwycili dysydenci, nieraz z powodzeniem. Ale wiarygodność tego rodzaju wystąpień wyrastała, co podkreślam, w znacznej mierze z represji, które spadały na sygnatariuszy-śmiałków. Za podpis można było stracić paszport, szansę wydania książki, dobrą posadę..., zbiorowa akcja zaś uderzała w kolektywistyczny monopol władzy, która sobie tylko zezwalała na liczbę mnogą: my, niżej podpisani... Już sama forma gramatyczna stanowiła wyzwanie niepokornych rzucone monolitowi, oznaczała myśl niespełnaną, początek społeczeństwa cywilnego. Dla tych wszystkich względów radziłbym tedy dzisiejszym polskim niespełnanym intelektualistom, aby pisali najostrzej, najdrapieżniej, najbardziej odkrywczco, nawet śmiało prorządowo. Byle nie salwą...

Myślę, że powodem takich zbiorowych wystąpień, obok szlachetnej intencji zajmowania (ale dlaczego nie w pojedynkę, każdy na własne ryzyko?) „słuszne-

go stanowiska wobec zjawisk budzących niepokój”, jest nieco staroświeckie przeświadczenie, że takie wystąpienia same w sobie wywierają znaczący efekt. Jednakże niepodobna przegłosować racji większości. *Plus ratio quam vis*, ale też owa *ratio* zupełnie dobrze może wypowiedzieć się jednym jedynym głosem. Kupą można skutecznie zająć Sopolice, nie zaś wymyśleć coś odkrywczego, a po to właśnie – aby takich odkryć dokonali – społeczność potrzebuje owych wybitnych intelektualistów. Wreszcie zbiorowe akcje służą podtrzymywaniu dobrego samopoczucia samych sygnatariuszy, oto włączyli się, zajęli stanowisko, potępili. Nie jest to naganne, raczej stanowi alibi: zamiast robić swoje w swoim zawodzie dla promowania wartości, w które wierzymy, znajdujemy satysfakcję w składaniu podpisu pod tekstami nie swoimi. Jest to w gruncie rzeczy działanie zastępcze. Tak gwiazdy sportu lansują sprzęt znanych producentów: buty narciarskie, rakietki tenisowe, wiatróvky, pozując z uśmiechem do reklamowych zdjęć. Intelektualista może ubiegać się o to, by być sumieniem zbiorowości. Zola swoim *Oskarżam* w obronie Dreyfusa, później Tomasz Mann przemówieniami ostrzegającymi Niemców przed falą hitleryzmu, Bernanos ciskający gromy na pétainowskich kolaborantów hańbiących dobre imię Francji, oto wielkie przykłady takiego rozumienia roli pisarza. Rzeczywiście jednostka o szczególnej wrażliwości etycznej może w pewnych sytuacjach, gdy naród daje się zwieść na błędne ścieżki nacjonalizmu lub na grząski teren zdrady własnej tożsamości, wystąpić z ostrzeżeniem i napomnieniem. Ale pisarzowi nie wolno zapominać, że jest „kościółem jednoosobowym”, że jest jako prorok wartości posłany i wezwany pojedynczo.

Czemu jednak tak hałasuję z powodu trafnego potępienia tendencji „antysemickich i nacjonalistycznych”, potępienia, które podpisałby każdy rozsądny człowiek? Otóż dlatego, że grozi nam myślenie stadem – czego mentalność nacjonalistyczna bywa dość częstym przykładem. Tym gorzej, gdyby podobny styl myślenia zadomowił się i gdzie indziej, prowadząc nie całkiem wiadomo w jaką stronę i nie całkiem jasne przeciw komu...

W dziejach Polski niełatwo znaleźć chwile sprzyjające znormalnieniu stosunków polsko-rosyjskich, zaryzykowałbym nawet, ułożeniu ich na zasadzie sympatii. Przez wiele lat państwo sowieckie występowało wobec swoich sąsiadów w roli kolonizatora, upokarzająca zaś służalczość PRL-owskich rządów tę rolę utwierdzała. Znakiem upokorzenia stawały się niezliczone pomniki wdzięczności, muzea Lenina, obowiązkowe akademie ku czci rewolucji październikowej (nie wymigał się od akademii i nasz aktualny rząd). Nie był to klimat ułatwiający nawiązywanie rzeczywiście partnerskich kontaktów i ludzkich przyjaźni, mimo to rozkwitały one nadspodziewanie często. Każdy, kto z Rosjanami zetknął się nie jako z przedstawicielami „władzy sowieckiej”, ale z ludźmi, zapamiętał wiele ujmujących gestów, wiele znaków dobrej woli i mógł żywić nadzieję, że z takiego ludzkiego podłoża wyrośnie kiedyś korzystna dla obu stron współpraca. Dziś szansa na to wydaje się większa niż kiedykolwiek. Nie wiem, co Gorbaczow nosi w sercu, ale rozpuścił on procesy, które trudno będzie zahamować.

W tym nowym klimacie trzeba jednak zadbać o upowszechnienie wzajemnej znajomości, o umożliwienie spotkania między naszymi narodami nie w stylu akademii ku czci „przyjaźni polsko-radzieckiej”. Na pewno takim rzeczywistym spotkaniem jest... działalność handlowa (żeby nie powiedzieć brzydko przemyt). Ich i nasza. Pisał o tym kiedyś bez zgorszenia Wojciech Maziarski. Nie głoszę tu jednak pochwały kontrabandy, która wynika z życia, jeśli razi naszą wrażliwość estetyczną, uzdrowmy stosunki handlowe na wyższych piętach, by jednostkom nie opłacało się wchodzić w rolę firm przewozowych... Ale my z Rosjanami mamy sobie wiele do powiedzenia. Możemy spotkać się nie tylko na bazarze. Ostatnio w Polsce prowadzi się dialog polsko-ukraiński, polsko-żydowski, polsko-litewski czy polsko-niemiecki „w duchu zrozumienia i pojednania”. Bardzo niemądre byłoby z tej dobrej serii wykluczać Rosjan, i tych ze Związku Sowieckiego, i tych z emigracji. Witając radośnie dążenie do samodzielności zniewolonych dotąd narodów, jak Litwini czy Ormianie, nie zapominajmy o szczególnych ofiarach sowieckiego systemu – Rosjanach. Często znienawidzeni – nie bez racji – jako kolonizatorzy, płacili jednak jako naród najwyższe koszty za utrzymanie imperium. Inni z pewnością łatwiej dostrzegają w komunizmie obcy, narzucony gorset i dlatego łatwiej będzie im go zrzucić. Dla wielu Rosjan gorset ów zrósł się z ciałem w nierozdzielną jedność, komunizm wydaje im się jedyną możliwą formą istnienia. Nie umieją od niego uciec choćby ku własnej, narodowej tradycji. Nawet jeśli własną tradycję pragną odrodzić, wydaje się ona ogniem w imperialnej myśli prowadzącej ku realnemu socjalizmowi. Dla odrodzenia Rosji konieczny wydaje się tedy nie tylko powrót do narodowego dziedzictwa, gdy tymczasem dla innych uciskanych narodów sowieckich (Ukraińcy, Litwini, Łotysze, Estończycy i inni) ten właśnie krok stanowi bez wątpienia zasadniczy fundament desowietyzacji. Rosjanie tą drogą mogą tylko z powrotem trafić do polipa imperium, ich samych najbardziej wysysającego. Muszą zatem odbudowywać swoją narodową tożsamość przede wszystkim na fundamencie praw człowieka i społeczeństwa obywatelskiego. Rosjaninem, który głosił to z niezwykłą mocą ducha, był Andriej Sacharow. Czy jego śmierć zostanie uznana za ofiarę na ołtarzu demokratycznej odrodzonej Rosji?

Polska wspina się teraz stromą ścieżką. Wielu utrzymuje, że w obawie przed „lawiną” należy wyciszyć spory i oddzielić przeszłość „grubą kreską”. Wszelkie pomysły większych zmian politycznych w tych okolicznościach wiodłyby na manowce. Argumentacja ta pomija jednak sprawy, o których warto pamiętać.

A mianowicie, bardzo ważny jest sukces Mazowieckiego i Balcerowicza, ale u fundamentu nowej niekomunistycznej Polski musi położyć się szacunek dla państwa. Szacunek dla najwyższych urzędów Rzeczypospolitej, dla jej prawa i instytucji. Tak Amerykanie czczą swoją konstytucję i wypływające z jej ducha urządzenia. Byłem w Stanach w momencie, gdy dwóch dziennikarzy wykryło sprawę Watergate, śmieszna drobnostka dla nas, poddanych totalitarnego systemu policyjnego: ot, doradcy prezydenta podsłuchują konkurencyjnego kandy-

data... W rezultacie jednak Nixon składa rezygnację. Prezydent bowiem symbolizuje etos państwowy, nie może być osobnikiem posuwającym się do czynów niegodnych. Otóż wielu Polaków chciałoby się wreszcie doczekać prezydenta, którego mogliby szanować...

Michnik domaga się zrezygnowania z niechrześcijańskiej zemsty, woła o przebaczenie dla byłych komunistów. Jego słowa biją na alarm, apelują do sumień. Można by przypuścić, że w Polsce dzieją się rzeczy straszne, samosądy i pogromy, według znanego scenariusza, który komuniści przypisywali „Solidarności” w grudniu 81 roku. Miała ona, jak wiemy z ówczesnych środków przekazu, przygotowywać serię wyrafinowanych aktów przemocy na funkcjonariuszach partyjnych i ich rodzinach, a zwłaszcza dzieciach. Tymczasem faktycznie nic się nie dzieje, komuniści mają swojego prezydenta i swoich paru ministrów, w tym dwóch najważniejszych – wojska i policji, wzbogacili się na rabunku mienia społecznego w tysiącach nomenklaturowych spółek. O cóż więc hałas i spór? O mienie zagarnięte przez byłą PZPR, o uprzywilejowane emerytury dla dawnych esbeków i działaczy, wreszcie o osobę prezydenta, przynajmniej, „kontrowersyjną”! Nikomu dotąd, nawet faktycznym mordercom Włosika i Przemyska, włos z głowy nie spadł. Nie przywołujemy więc wielkich słów o przebaczeniu, gdy idzie o zwykłe, zgodne z prawem rozliczenie ze sprawowanych po gangstersku rządów. Można wprawdzie założyć, że w Magdalence ustalono pewne koszty procesu wyzwalań kraju. Do kosztów należy utrzymanie przywilejów kastowych części nomenklatury, urząd prezydencki dla Jaruzelskiego itp. My nie posłemy czołgów, ale za to zachowamy wille i apanaże. Poddaliśmy się na określonych warunkach, żądamy, aby tych warunków dotrzymywać. Można argumentować, że wyszło taniej, niż gdyby wznosić barykady. Nie zatykam uszu na te argumenty. Ale w takim razie powiedzmy wprost, nie owijając rzeczy we frazesy o przebaczeniu i nie rozdzierając kołnierzyków na trybunie sejmowej, że mamy do czynienia z setkami tysięcy byłych właścicieli byłej PRL, których nie będziemy rozliczać, gdyż w zamian za złożenie broni, za wstrzymanie się od przelewu krwi przyrzekliśmy im w Magdalence w imieniu narodu (do czego notabene może nie mieliśmy prawa...) całkowitą bezkarność.

[7–8/1990]

ROBERT KACZMAREK

Pierwszy stracony rok

Historia ciąży na rozwoju sytuacji w Polsce, także historia najnowsza ruchów opozycyjnych. Fatalną bolączką młodej Rzeczypospolitej jest brak fachowców, alternatywnych programów, brak „ludzi”. A jednak to nie komuniści hamują dziś rozwój i rzeczowy dobór kadr kierowniczych kraju oraz kształtowanie operacyjnych strategii. Na nieskuteczność polskiej polityki wpływają niejasne mechanizmy awansów w środowiskach nowej władzy, zawodowa przeszłość liderów, ich rodowody ideowe, przyzwyczajenie do otrzymywania pomocy z Zachodu i nadmierne oparcie w strukturze rodzimego Kościoła.

Do przeszłości należy nadzwyczajne zjawisko solidarności klasowej Związku z okresu 1980–1981. W NSZZ „Solidarność” dominują dziś robotnicy. Przez długie, wyczerpujące lata stanu wojennego zaznaczył się odpływ inteligencji, zwłaszcza technicznej: część wyemigrowała, część zajęła się inicjatywą prywatną albo wróciła do stanowisk kierowniczych w zakładach. Jednej z przyczyn dopatrzeć się można w długotrwałej jałowości życia podziemnego, spotęgowanej nużącymi sporami o priorytety walki, wśród których górę brały różne postacie bojkotu i starć ulicznych. Z drugiej strony technikom łatwiej przychodziło układanie się z reżimem w ramach własnej, pozornie neutralnej specyfiki zawodowej, niekiedy aż do zaprzaństwa: tak na przykład na Śląsku dozór często szedł ręką w rękę z wojskowymi. Z grona społecznie czynnych ubywali nie tylko inżynierowie, lecz także dobrzy fachowcy szczebla robotniczego. Aura skuteczności, a później i czar prawdziwej władzy przeniosły się gdzie indziej, przyciągając ludzi życiowo zorganizowanych ku nowym horyzontom – niekoniecznie politycznym.

Inna sytuacja rozwinęła się w zawodach nietechnicznych, zwłaszcza humanistycznych. Szczególna koniunktura na kulturę niezależną, w dużym stopniu opłacaną z Zachodu, sprzyjała powstaniu licznej grupy twórców – pisarzy, dziennikarzy, piosenkarzy, aktorów – czerpiących z działalności zawodowej środka do życia i cieszących się zarazem społeczną sympatią i szacunkiem. Przyczyną tego było zaangażowanie polityczne tej kultury, nie tylko przez sam fakt, że będąc niezależną, musiała godzić w system – ale dlatego, że jej treścią najczęściej była antykomunistyczna deklaracja. Zapewniała ona polityczne istnienie nawet poza

strukturami Związku, który zresztą ulegał pogłębiającej się marginalizacji. Jednym z ważnych następstw intensywnego, antykomunistycznego kultu jest wykształcenie się ze środowiska kultury grupy liderów, którzy wspólnie z wojowniczymi kombatantami robotniczej „S” utworzyli polityczną elitę narodu. Nastąpiła wtórna izolacja technokratów, zdystansowanych w hierarchii społecznego zaufania, bardziej niż kiedykolwiek zwróconych ku inicjatywie prywatnej i lokalnym zawodowym priorytetom. Z dwugłowej elity politycznej przywódcy robotników pozostali w obrębie struktur Związku, natomiast władzę w ścisłym tego słowa znaczeniu objęli przedstawiciele niezależnej kultury i sztuki. Trzon rządu, przyniatająca większość OKP, duża część nowych władców regionalnych i niemal wszyscy koryfeusze niekomunistycznych środków przekazu to ludzie, którzy nie mieli styczności z gospodarką, techniką czy finansami. W godzinie technologicznego wyzwania krajem rządzą humaniści, wspomagani kilkoma uczonymi.

Postacie nowych dostojników osobliwie rysują się na tle nienaruszonych struktur urzędowych, zapelnionych funkcjonariuszami komunistycznymi. Argument braku kadr jest obłudny: wynikająca z niego reguła dziwnym trafem znajduje zastosowanie tylko w odniesieniu do pośrednich stanowisk. Innymi słowy, ministrów Polska ma pod dostatkiem, natomiast zastępców i średnie kadry po prostu nie wiadomo skąd brać.

Polityka kadrowa tknięta jest paraliżem tak jak każda inna polityka w Polsce. Dynamika, odwaga, wyobraźnia to pojęcia w niewysokiej dziś cenie i w doborze ludzi rządzący z niechęcią wychylają się poza kumoterstwo i stabilną mitologię „okrągłych stołów”. Nomenklatura komunistyczna, przejściowo potulna lub nawet gorliwa, dobrze spełnia te oczekiwania.

Jednostronne, nieodróżnicowane doświadczenia polskich polityków odgrywają ważną rolę wśród przyczyn ich nieskuteczności. Jedynym sposobem nabycia nowych umiejętności byłoby zwarcie się ze światem na własnym terenie. To jednak wydaje się mało prawdopodobne, ponieważ obyczaje społeczeństwa sterowanego pielęgnuje polityka rządu, tknięta historycznymi kompleksami, nieskora do analizowania współczesnego świata, czerpiąca inspirację z gabinetowych olśnień i tradycyjnej nieufności do własnego społeczeństwa. Tendencją ustaleń prawnych zatem jest szczegółowa kodyfikacja wszystkich możliwych sytuacji, co nazywane jest troską ustawodawcy o ład prawny, natomiast cechą działań rządowych jest brak własnej inicjatywy, nieumiejętność inspirowania zaradności społecznej i niechęć do rządzenia czymkolwiek, czemu ministrowie nadają miano liberalizmu. W stosunku do Zachodu ubiegłoroczną politykę roszczeń zastąpiły zabiegi o odroczenie spłat, o szkolenie fachowców oraz obrona przed Krzyżakami. W polityce wschodniej dostrzec można przede wszystkim zdumienie i niepokój, że chyba imperium się rozpada.

W zasadzie tak integralne niedołęstwo elity władzy powinno rychło sprowadzić ją do politycznego niebytu. Do steru spraw doszliby inni, młodszy, równie

jak kombatanci niedoświadczeni, ale przynajmniej dysponujący wolą zrobienia czegoś pożytecznego w życiu. Zmiana sztafety wydaje się jednak w kraju niemożliwa z uwagi na nieskończoną wyrozumiałość społeczeństwa w stosunku do swoich pasterzy. To chyba echo tęsknot polskiego mitu wodzostwa oraz następstwa przyzwyczajenia społecznych z czasów, kiedy rolą pasterzy była nie władza, ale obrona wartości.

Nikt nie zaprzeczy szczególnej roli kleru w polskiej historii, szczególnie najnowszej. Triumfujący Kościół na ogół gotów był do wsparcia wątlej tkanki niezależnych ruchów społecznych, a w stanie wojennym stanowił wręcz życiowe zaplecze „Solidarności”. Moralność zdominowała scenę polityczną, moralność niekiedy nominalna, niemniej jednak kształtująca układy odniesienia wobec absurdu komunistycznego. Niedoskonałość księży nie miała tu nic do rzeczy; księża nie mogli w końcu odbiegać poziomem od przeciętnej społecznej, są tacy sami jak my.

Chcę tu zwrócić uwagę na zanik krytycyzmu społecznego pod adresem przywódców, zjawisko, które moim zdaniem wywodzi się wprost z tradycji polskiego klerykalizmu. Rolę przywódczą księży przejęli działacze cywilni i w zgodzie z własnymi pierwowzorami rządzą dziś, opierając się na odwołaniach moralnych, nie zaś kategoriach rzeczowych. Pozornie walka o władzę między Wałęsą i triumwiratem Mazowiecki–Geremek–Michnik zdaje się wprowadzać na scenę elementy konfrontacji politycznej, ale to konfrontacja chora, oparta na kategoriach negatywnych i posługująca się głównie podjazdami personalnymi. Obie strony solidarnie wmawiają ludziom, że nie może być inaczej, bo brak jest programów alternatywnych, pozostaje zatem wiara i zaufanie; zyskuje na tym ten, co ma realną władzę, to jest rząd. Cieszy się on nadal zaufaniem społeczeństwa, nikt nie wyobraża sobie potrzeby kontroli jego poczynania. Wprawdzie nowi władcy nie wyglądają na przesadnie kompetentnych ludzi, ale kto jest doskonały? Czyż przed rokiem nie obalili oni komuny?

W powyższym rozumowaniu największym z błędów jest ocena roli dzisiejszych ministrów w obaleniu komuny. Ten przedziwny ustrój dotarł był do granic własnego rozwoju, to jest rabunkowej eksploatacji rezerw ludnościowych, surowcowych i kredytowych. Tym sposobem osiągnięty został stan całkowitego paraliżu gospodarki i niewydolności zespołu wojskowego, beznadziejnie zdystansowanego przez nowoczesne technologie oraz dynamiczne strategie i systemy zarządzania Zachodu. Komuna upadła, bo dożyła własnej śmierci i paradoksalnie dyplomacja „Solidarności” u zarania wolności oraz dzisiejsza nieudolność rządu RP przedłużają trwałość resztek naukowego ustroju.

Jedną z cech tego ustroju, jak wiadomo, jest pełna nieskuteczność rządów. Poczynania poszczególnych resortów władz RP nakładają w tym względzie do głębokiego pesymizmu.

Sprawy międzynarodowe

Prace resortu Skubiszewskiego to pasmo błędów i pozornych zwycięstw, niemniej jednak minister cieszy się w Polsce opinią najbardziej fachowego członka rządu. Ten paradoks wytłumaczyć można populizmem polskiej polityki zagranicznej, która bez reszty poświęciła się obronie narodowych kompleksów i historycznych resentymentów.

Do końca ubiegłego roku Skubiszewski był dość niewidoczny, po świecie hulali związkowcy, niosąc wszędzie ten sam *message*: zrobiliśmy, co do nas należało, teraz prosimy o pieniądze na stół. Rychło ochłodziło to zainteresowanie Polską ze strony sfer finansowo-przemysłowych Zachodu. O ile szkodliwa rola Wałęsy nie ulega tu wątpliwości, o tyle zwrócić należy uwagę, że szare wówczas eminencje tworzącej się i w pełni już uprawnomożnionej elity władzy – Mazowiecki, Geremek, Michnik, Onyszkiewicz, Skubiszewski między innymi – wypuszczając Przewodniczącego do boju, sami albo przezornie nie zabierali głosu, albo – jak Paszyński, Bujak, Onyszkiewicz, Trzeciakowski, Geremek – mówili to samo co on. Cała zaś niezależna prasa basowała skrajnie rewindykacyjnym żądaniom Wałęsy, nadając im pseudoracjonalną sankcję. Promotorem dyskretniej marginalizacji Polski w strategiach wielkiego kapitału był Przewodniczący, ale w rzeczywistości pracowali na nią wszyscy poapołu.

Na przełomie roku Wałęsa zaczął sobie chyba zdawać sprawę z błędu i pozostawił innym scenę międzynarodową, powracając na nią od wypadku do wypadku, za to wyjątkowo niefortunnie. W marcu na przykład wywołał na Zachodzie osłupienie, nawołując do zmazania Niemiec z mapy Europy, jeśli jeszcze raz... Opcja antyniemiecka to kolejne, poza normalnymi roszczeniami, *dossier* polskiej dyplomacji drewnianego konika, przy czym do czołowych ról doszli premier, minister spraw zagranicznych i szef OKP.

W czasie pierwszego spotkania Mazowieckiego z Kohlem, jesienią ubiegłego roku, kanclerz mówił o epoce integracji, a premier o prawie każdego narodu do życia w bezpiecznych granicach. Czuło się, że obaj panowie nigdy się nie porozumieją. Czy wzajemne zrozumienie leży premierowi na sercu, trudno powiedzieć; przychodzi na myśl historia obsadzenia stanowiska ambasadora w Bonn, gdzie premier odmówił mianowania cieszącego się w Niemczech poważaniem Bartoszewskiego, utrzymując, że... za długo tam był i utracił obiektywizm.

Obiektywizm rządu w polityce niemieckiej oparty jest – jak się zdaje – na realiach Józefa Becka. Mazowiecki odmawia Kohlowi układu o wspólnym rozwoju regionów Saksonii i Śląska, za to domaga się formalnych gwarancji granicznych. Skubiszewski jedzie do Paryża, gdzie z naciskiem bagatelizuje stosunki polsko-niemieckie i podkreśla, że głównym partnerem politycznym Warszawy jest Paryż. Mówi nieprawdę i mówi głupstwa – ale celem zachodniej polityki polskiej nie jest rozwijanie rzeczowych stosunków, lecz uwiarygodnienie zagrożenia niemieckiego. Istnienie takiego zagrożenia ogromnie ułatwiłoby polskie starania o utrzymanie *status quo* w imperium.

Ponieważ to ostatnie nie leży ani w interesie Polski, ani Europy, ani skądinąd samego imperium, przyjąć wypada, że troską polskiej dyplomacji jest los Raissy i Michaila Gorbaczowów.

Ceną za poparcie stanowiska Gorbaczowa jest opuszczenie Litwy i Ukrainy, marginalna rola Polski w Europie Wschodniej, a także statyczna polityka gospodarcza, zwłaszcza surowcowa, w stosunku do ZSRR. A tymczasem sytuacja międzynarodowa jest wyjątkowo korzystna. Rozpad imperium umożliwia wysiłki na rzecz wspólnej polityki krajów wyzwalających się. Integracja Zachodu może służyć integracji całej Europy. Upadek komunizmu na Wschodzie i zakwestionowanie ideologii wzrostu na Zachodzie to dobry punkt wyjścia poszukiwań globalnej odpowiedzialności wszystkich za planetę, innymi słowy szansa negocjowania zasad stosunków międzynarodowych, a w szczególności nowego układu finansowego. Nadzwyczajny rozwój ponadnarodowych grup przemysłowo-finansowych wprowadza nowe podmioty globalnych strategii. Polityka międzynarodowa mogłaby w tych warunkach stać się skutecznym narzędziem przemian gospodarczych, gdyby szefowie dyplomacji RP zdawali sobie sprawę, że wolność ubogiego to przede wszystkim szansa uniwersalizmu, a potem dopiero prawo odrębności. Że nie zrównoważone układy to możliwość nowej dynamiki politycznej, a nie tylko podstawa paniki i klajstrowania jedyne go znanego sobie porządku.

Dalekosiężnymi efektami polskiej polityki zagranicznej są: izolacja kraju na arenie międzynarodowej, odsunięcie w odległą przyszłość szansy zbliżenia z Niemcami, utrata potencjalnego zaufania wschodnich sąsiadów. W planie wewnętrznym ksenofobia, promocja prowincjonalizmu i niezaradności, pogłębienie resentymentów nie z tej epoki – to rozległy bilans pierwszego roku na poły suwerennej dyplomacji polskiej.

Finanse

Zespół objawów ideologii finansowej, jakiego dostarcza działalność Balcerowicza, nie jest w Polsce zjawiskiem nowym. Podobnego przykładu dostarczają reformy Grabskiego z połowy lat dwudziestych. Jest to temat pouczający, ponieważ Balcerowicz nazywany bywa nowym Grabskim, nie bez przewrotnej nieuświadamianej racji.

W połowie lat dwudziestych wojennym zawołaniem resortu była mocna i trwała złotówka. Minister z żelazną dyscypliną i przy dużym poparciu społecznym cel ten osiągnął. Pierwsze efekty takiej polityki były oczywiście korzystne, ale uporczywe utrzymywanie sztywnego i wysokiego parytetu pozbawiło monetę roli modelującej stosunki gospodarcze podług zmiennych napięć na rynku. Korzyści gospodarcze, jakie stąd płynęły, można oceniać dwuznacznie, wobec jednak pozagospodarczych kryteriów oceny, związanych z odzyskaniem niepodległości i wykazywaniem dumy narodowej za wszelką cenę, nikt nie zadał sobie trudu przeanalizowania poniesionych przy tym strat.

Dziś polityka finansowa rządu spowita jest bardziej niż kiedykolwiek czarem ideologii. Okazuje się, że dotychczas cyfry były nie takie jak trzeba, nakazem chwili jest zatem ich korekta. Zespół magicznych cyfr to mianowicie inflacja i równowaga budżetowa.

Kontrola obu stanowi oczywiście warunek konieczny skuteczności gospodarczej. Innymi słowy realizuje się on w procesie gospodarowania, oznaczającym stymulowanie produkcji, handlu i usług oraz utrzymywanie równowagi konsumpcji i wydatków. Polityka, która zaniedbuje imperatyw wytwórczości, a zajmuje się wyłącznie uśmierzaniem burzliwego krążenia istniejącej masy pieniężnej, nabiera charakteru cyfrowej magii. To przypadek polityki rządu RP. W przekonaniu, że rozwój gospodarczy rodzi inflację, oddalono niebezpieczeństwo masowych inwestycji, a także rozwoju produkcji i spożycia poprzez uwolnienie cen z jednoczesną blokadą zarobków, oraz przez drogie kredyty, formalny rygor podatkowy i zamknięcie rynku dla wielkiego kapitału zagranicznego. Dla przeciwstawienia się bowiem tendencjom inflacyjnym bez duszenia gospodarki niezbędne są umiejętności gospodarowania na granicy stabilności oraz zwykła odwaga inicjowania społecznego rygoru inwestycyjnego – na przykład długoterminowego oszczędzania zwiększonych zarobków. Wobec braku powyższych cech wybrano zdławienie gospodarki, która w tych warunkach staje się ograniczoną, choć przekraczającą oczekiwania inflacją – ale z łatwością tworzy nadwyżki budżetowe, przynajmniej gdy chodzi o budżet centralny. Zaczarowany krąg cyfrowego mitu zamyka się bez zarzutu.

Wyjątkowo szkodliwą rolę odgrywa przejęty od komunistów „popiwiek”, czyli podatek od wzrostu wynagrodzeń. Bez zawracania sobie głowy intensywnym gospodarowaniem pozwala on na trzymanie w ryzach inflacji za cenę zahamowania rozwoju przedsiębiorstw i wzrostu wydajności pracy. Balcerowicz, ze wzrokiem utkwionym we wskaźniki inflacyjne, wielokrotnie bronił „popiwku”, z dumą podkreślając, że zapobiegnie on wielu bankructwom. Już choćby to uzmysławia w pełni, że minister finansów w ogóle nie rozumie, co czyni.

Dodajmy, że przedsiębiorstwa znalazły na to dość szybko sposób, przeczekując reformę poprzez ograniczanie działalności i zwalnianie pracowników produkcyjnych. W czerwcu br. spadek produkcji osiągnął 30% w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego, a liczba bezrobotnych zbliżyła się do 600 tysięcy. Czy rząd chce wykazać, że za tę cenę dokonała się jakakolwiek „restrukturalizacja” gospodarki? Do końca roku liczba bezrobotnych zbliżyć się może do dwóch milionów. Czy rząd będzie utrzymywał, że odbyło się to w trybie racjonalizacji reszty potencjału produkcyjnego? Jakie nowe fabryki, jakie dynamiczne gałęzie usług wchłoną lawinę ludzi, która runie z prowincji na wielkie miasta?

Magia rodzi magię. Po sprowadzeniu cyfr do porządku następnym krokiem jest piramidalna mistyfikacja, polegająca na przypisaniu dowolnej wartości fabrykom oraz sprawiedliwej dystrybucji tego cyfrowego majątku pomiędzy wy-

borców. Wynalazkowi przypisuje się nazwę prywatyzacji. Powyższa operacja nie doprowadzi do zgromadzenia kapitału inwestycyjnego, ponieważ znalezienie go w kraju jest niepodobieństwem, umożliwi natomiast ściągnięcie z rynku gotówki, dla której brak pokrycia towarowego pozostaje w ścisłym związku z polityką rządu.

Powodzenie przedsięwzięcia jest zapewnione wskutek pomieszania pojęć gospodarczych, zwłaszcza samego pojęcia prywatyzacji, oraz uruchomienia popularnych mechanizmów sprawiedliwości społecznej. Bony prywatyzacyjne, przyznawane obywatelom pozbawionym gotówki, ratalna sprzedaż akcji i preferencje pracownicze na jakiś czas uciszą ludzi karmionych nowym złudzeniem i praktycznie wyeliminują jedyne poważnego kontrahenta, jakim mógłby stać się kapitał zagraniczny. Złudzenie, o jakim mowa, to fikcja własności podzielonej, która niewiele różni się od własności społecznej. Jedyne zarządzanie fabrykami będzie bardziej utrudnione: w strukturze „prywatnych” przedsiębiorstw ministra Balcerowicza jedna trzecia „rad nadzorczych” ma się składać z pracowników zakładu, którym z pewnością starczy siły i przekonania do walki o demokratyczne podejmowanie decyzji produkcyjnych. Przypuszczam, że pospołu z wizją załogi zrzeszonej w „Solidarności” wystarczy to do odstraszenia na dzieściolecia dużego kapitału zagranicznego.

Przemysł

Minister przemysłu i minister finansów od początku przypadli sobie do gustu, zapewne dlatego, że łączy ich temperament rachmistrza: chłodny intelekt, wyobraźnia w cuglach politycznego rachunku i skrupulatnie umiarkowana odwaga. O ile jednak Balcerowicz robi wrażenie człowieka, który nie wie, dokąd zmierza, o tyle Syryjczyk mówi, że nie może dążyć tam, dokąd chce. Gdzie się ruszyć, tam pod górkę. Zdaniem dziennikarza „Gazety Wyborczej” Kowalczyka minister przemysłu narzeka, że krepują go przepisy, nie może nic nakazać (!) ani zmiany organizacji pracy, ani szukania nowego profilu produkcji – chyba że firma zbankrutuje. To prawdziwy pech, jeśli zważyć, że z siedmiu tysięcy państwowych przedsiębiorstw do lipca zechciały upaść tylko cztery (4). Z kolei na zorganizowanym w Krakowie w lipcu seminarium minister doniósł, że żaden zachodni rząd nie musiał sprywatyzować 80% gospodarki ani łamać sobie głowy, skąd obywatele mają wziąć pieniądze na te wszystkie akcje.

A gdyby tak przestać sobie łamać głowę? Przypuszczam, że minister przemysłu doskonale zdaje sobie sprawę z niemożliwości znalezienia w kraju funduszy do postawienia gospodarki na nogi. Dlaczego zatem nie zmierza on do pełnego otwarcia kraju dla kapitału zachodniego? Dlaczego nie dynamizuje pracy resortu poprzez wymianę odziedziczonej ekipy, rozwinięcie sieci analiz i prognoz światowej gospodarki, otwarcie systematycznych negocjacji, nie o licencji i szkolenia, lecz masową wyprzedaż struktur przemysłowych zachodnim koncernom, dlaczego nie prowadzi rzeczowych kampanii uświadamiających

społeczeństwu konieczność zmian obyczajów zawodowych, dlaczego nie inicjuje równoległych prac w innych resortach, zwłaszcza pracy, handlu, stosunków zagranicznych, a przede wszystkim – finansów? Dlaczego nie wpływa na prace legislacyjne sejmu, narzekając przy tym na krępujące go przepisy? Czy minister przemysłu nie zdaje sobie sprawy, że w nowych czasach i z własnego wyboru jest sam swoją własną lokomotywą?

Fundusz Zmian Strukturalnych udzielający niskoprocentowych kredytów na „wiarygodne” przekształcenia; Agencja Restrukturyzacji Przemysłu z połową biliona złotych na studia marketingowe, wprowadzenie licencji, gwarancje kredytowe i przypadkowe ułatwienia podatkowe dla firm zagranicznych; szkolenie dziesiątków, nawet setek ludzi na Zachodzie – wszystkie te inicjatywy resortu to administracyjny surogat rynku, na którym zarobią nieliczni wtajemniczeni i powstanie parę miejsc pracy w komisjach rozdzielających mannę – ale to nie zastąpi polityki przemysłowej na dużą skalę. Droga indywidualnego nagradzania pojętnych uczniów kapitalizmu krajowego nie sprowadzi się na drogę skuteczności reszty przemysłu. Podobnie nie chodzi o to, by przeszkolić na Zachodzie tysiąc ludzi, lecz aby z zachodnią gospodarką, jej kapitałem, umiejętnością wytwarzania zysku i motywowania zetknęło się w kraju 12 milionów pracowników.

Na lipcowym spotkaniu z wielkoprzemysłową „S” Syryjczyk określił granice swojego programu: „wybijmy sobie z głowy zmianę całych gałęzi przemysłu”. Korzystając z malowniczego języka ministra, proponuję ze swej strony, by, przeciwnie, wbić sobie do głowy, że gra jest o przestawienie całej gospodarki, w tym całego przemysłu, w drodze świadomej i odważnej polityki. Sankcją za niepowodzenie może być iranizacja kraju, co oznaczałoby marny dość los polityków, którzy poronią tę zmianę.

Praca i pomoc socjalna

Kuroń jako minister pracy jest przykładem niewłaściwie wykorzystanych umiejętności. To człowiek czynu, o dużej odwadze i szybkim refleksie, umiejący przyjmować nowe rozwiązania i dynamiczne metody. Bardzo korzystnie wpływa na niego wyraźne określenie przeciwnika. Otóż przeciwnikiem ministra pracy w Polsce jest zespół demobilizujących praw i wynikających stąd obyczajów zawodowych, co prowadzi do konieczności narzucenia dwunastu milionom ludzi rygoru produkcyjnego, idącego w kierunku przeciwnym niż zdobycze „Solidarności”, a także sprzecznych z tym, co Kuroń robił od lat: z obroną robotników. Pojęcie to stało się dziś na Wschodzie kategorią tragiczną w sensie Schellera: uprawiana w sposób klasyczny obrona interesów pracowniczych obraca się przeciw nim samym. W gruncie rzeczy interesem robotników jest dziś zwiększenie ustawowego czasu pracy o połowę, zmniejszenie liczby dni wolnych, dobrowolne ograniczenie rewindykacyjnych praw i zdobycze „Solidarności”, liberalizacja prawa zwolnień i zatrudnień, stałe podnoszenie kwalifikacji nawet w późnym stosun-

kowo wieku, częściowa kumulacja wzrostu zarobków składanych na długoterminowych kontach oszczędnościowych...

Kluczowym pojęciem, osią ideologiczną polskiego sporu pracowniczego winno stać się pojęcie godności. Na ogół nie nędza wywołuje desperację i pcha do buntu, lecz poczucie zniewagi. Zawsze pozostanę z głębokim podziwem dla dzieła, jakie Kuroń wykonał dla przywrócenia wyzyskiwanym i prześladowanym godności. Ale dziś dojmującą potrzebą jest przeniesienie akcentu identyfikacyjnego pracowników z pojęcia godności na kategorię towaru. Praca i jej podmiot to towary *par excellence*. Dla ich dowartościowania wypada zacząć od sprzedaży zachodnim grupom fabryk, gdzie przez osiem lat robotnicy walczyli o własną godność. Rola legislacyjna i uświadamiająca ministerstwa pracy byłaby najpiękniejszym, bo skutecznym zwieńczeniem wieloletniej pracy Kuronia – gdyby nagle stał się kimś innym, a zarazem cudownym sposobem znalazł partnerów w rządzie i Związku.

Rozwój prawa i obyczajów w powyższych kierunkach byłby bowiem możliwy tylko pod warunkiem świadomej współpracy wiarygodnego związku zawodowego i równie wiarygodnego, fachowego rządu. Wobec niespełnienia żadnego z powyższych warunków minister pracy ma do wyboru albo wydać wszystkim wojnę, albo skupić się wyłącznie na funkcji strażnika społecznych zabezpieczeń. Funkcja dystrybucyjna ma jednak tylko wówczas sens, gdy poprzedza ją skuteczna produkcja – w braku czego skazani jesteśmy na rolę marionetek.

Kuroń zdaje sobie chyba sprawę, że nie wygra. Na wspomnianym już lipcowym spotkaniu z „Solidarnością”, gdzie był z Syryjczykiem, powiedział, że rząd nie może przedstawić sensownego programu walki z bezrobociem w skali kraju. Zaprzeczyć nie sposób, potwierdza to bowiem rzeczywistość: rząd nie posiada nawet dokładnej statystyki, nietrafne na ogół okazują się jego prognozy zatrudnienia. Strukturalne przyczyny niskiej wartości pracy w Polsce utrwalają się jako betonowy pewnik, tylko w administracji ruch. Dyrektorzy narzekają na brak przepisów wykonawczych, z Niemiec płynie zupa odżywcza, a minister co wtorek wygłasza kazania...

Mieszkania

Jednym z bardziej w Polsce niepopularnych programów jest program mieszkaniowy ministra Paszyńskiego. Polega on głównie na uwolnieniu czynszów. Zdaniem ministra uruchomi to mechanizmy inwestycyjne i zapewni masowe zgłoszenia.

Mamy tu do czynienia z kilkoma nieporozumieniami na raz. Podstawowe polega na tym, że substancja nieistniejąca traktowana jest jako towar. Wprawdzie sytuacja zasadniczych braków dotyczy w Polsce wszystkiego i na ogół nie powinno to stanowić przeszkody w regulowaniu braków rynkowych wysokimi cenami. O ile jednak w większości sektorów czysty bodziec finansowy może napędzić koniunkturę, o tyle inaczej jest z mieszkaniami, których cykl produkcyj-

ny jest wyjątkowo długi i kapitałochłonny. Następstwem uwolnienia cen mieszkaniowych nie będzie nawet inflacja, ponieważ ludzi po prostu nie stać na nieliczne nawet zgłoszenia. Tymczasem mieszkać musi każdy.

Rozwiązanie problemu mieszkaniowego w Polsce może nastąpić przez masowy wkład państwa w budowę tanich mieszkań. Program mieszkaniowy z prawdziwego zdarzenia miałby zwać wszystko na niecałkiem rozumiane mechanizmy rynkowe, określić musi precyzyjnie wielostronne mechanizmy interwencyjne państwa, którego rolą będzie pomoc towarzystwom inwestującym i zarządzającym tanimi mieszkaniami, a także stałe uruchamianie dostępnych finansów na takie budownictwo, na przykład zachęcając ludzi, którzy będą zarabiać więcej, do oszczędzania nadwyżek na zakup mieszkania. Wzrost dochodów ludności stanowić musi przy tym bardzo wyraźny, dla wszystkich jasny bodziec dynamiki wydajności pracy.

Co dalej

Dożyliśmy więc możliwości wyboru pomiędzy dwoma ugrupowaniami politycznymi, to jest grupą Wałęsy z jednej, a grupą rządową z drugiej strony.

Różnice, jakie przypisuje się obu grupom, sięgają już historii. Trudno zapominieć, że Mazowiecki z grupą doradców przybyli do stoczni w sierpniu 1980 roku z zamiarem przekonania robotników, aby usunęli z postulatów... ten punkt, który żądał wolnych związków zawodowych. Do końca stanowili oni w Stoczni tendencję umiarkowaną. Znamienny epizod rozegrał się wokół sprawy uwolnienia aresztowanych działaczy opozycji i korowców z Kuroniem na czele. Wałęsa, zgodnie z opinią doradców i nastrojami wśród delegatów, nie był skłonny interweniować i 30 sierpnia oświadczył to wyraźnie: liczy się porozumienie, nie można drażnić komunistów. Kiedy już będziemy mieć wolne związki, wtedy się upomnimy...

Sala wyraźnie sprzyjała takiemu rozwiązaniu sprawy. Zaprotestowałem bardzo energicznie, poparł mnie Gwiazda – i nastroje uległy wyraźnej zmianie. Niechętnie z początku twarze delegatów zaczęły wyrażać gniew i zdecydowanie, mnożyły się okrzyki o bezwzględnej konieczności ultimatum dla Gierka, Wałęsa stał z boku, pilnie obserwując salę. Jasne było, że ludzie chcą interwencji. Nagle wskoczył na podium i oświadczył, że nie można „tego” pozostawić bez reakcji. Warunkiem wstępnym podpisania porozumienia będzie wypuszczenie uwięzionych, sprawa jest bezdyskusyjna...

Następne lata niewiele zmieniły obu panów. Mazowiecki przesadnie ostrożny, mało widoczny, skłonny do kompromisów, także nedorzecznych; Wałęsa dynamiczny, uparty lub nieoczekiwanie zmienny, bacznie śledzący nastroje społeczne, mistrz demagogii. Żaden z nich nie rozumie gospodarki i pragmatyki Zachodu. Obaj pełni są polskich kompleksów.

Wprawdzie skupiona wokół „Tygodnika Solidarność” ekipa Wałęsy montuje własny program, ale nie wyróżnia się on szczególną oryginalnością. Formalnie

ich postulaty są bez zarzutu: przyspieszyć reformy, zdynamizować politykę. Przypuszczam nawet, że byliby w stanie to uczynić. W części programu, dotyczącej prywatyzacji, wykazują dużo rozsądku, zauważając, że „prywatyzacja” nie zmieni jak za dotknięciem różdżki struktury gospodarki i że w związku z tym państwo powinno nabrać obyczajów dobrego właściciela. Wydaje się jednak, że nie starcza im odwagi do zaproponowania programu zasadniczo odmiennego od rządowego, a mianowicie całkowitego otwarcia na Zachód. Gospodarka ma działać sprawnie, praca administracyjna ma być skuteczna, a klasa menedżerów – wykreowana. I tylko, jak zawsze, nie wiadomo, skąd pojawiają się pieniądze na inwestycje i szkolenie kadr: Lechu załatwi?

Ze swej strony zwolennicy Mazowieckiego, jak Geremek, Michnik czy ostatnio Turowicz, rozwijają wspólne cechy ludzi rozsądnych i odczytanych: Na Zachodzie zręczność lat osiemdziesiątych, której sterylność staje się coraz bardziej przejrzysta, na Wschodzie nadzwyczajną troskę o trwałość imperium, a w kraju salonową ruchliwość zmierzającą do skupienia ludzi pod jakąś ideowo czystą etykietką. Ich największym atutem jest nadal zrozumiała argumentacja: bronimy rządu, bo nie ma alternatywy dla jego programu; bronimy imperium, bo inaczej będzie apokalipsa; bronimy nomenklatury, bo kto z nas jest bez winy.

Prawdopodobnie wyrok już zapadł, różnice w sondażach są zbyt duże na niekorzyść Wałęsy. Dziwi nieprzemyślany pośpiech Przewodniczącego – przy takim rozkładzie opinii powinien spokojnie czekać, aż wyjdzie na światło dnia cała nijakość rządu, punktując go po drodze w sposób wyważony i rzeczowy... z korzyścią dla wszystkich.

Niepowodzenia Wałęsy ilustruje funkcjonowanie mitu politycznego w Polsce. Przez lata ludzie nie byli skłonni do krytycyzmu w stosunku do Przewodniczącego. W atmosferze idolatrii robił, co chciał, tracąc powoli resztki umiaru, nigdy niekontrolowany przez tych, których ciągnął w orszak. Przekroczywszy zaś wszystkie miary, nieoczekiwanie znalazł się w obliczu muru, cichego i potężnego bloku wczorajszych zwolenników.

Dziś z kolei niekontrolowanym zaufaniem cieszy się rząd. Przypuszczam, że jego otrzeźwienie będzie równie gorzkie jak narastająca samotność Przewodniczącego.

W gruncie rzeczy są to ofiary mistycznego cyklu preferencji społecznej w Polsce, gdzie siły podmiotów politycznych nie tworzy ich praca i efekty, lecz balon powszechnego ubóstwienia.

Na dłuższą metę dzisiejsi władcy PR, rząd, „Solidarność” i komuniści pospolu muszą odejść, ponieważ stanowią część upadającego reżimu, sublimację jego konstruktywizmu i roszczeń, schyłkowy produkt groteskowego ustroju, który radził sobie dopóty, dopóki dysponował represyjną siłą, a po jej utracie afiszuje nagą resztę, ból istnienia w normalnym świecie, całkowitą nieumiejętność przekształcania się. Ile czasu trzeba, by przyszli nowi? Jacy nowi? Może z tego pokolenia, które w okresie przejściowym skazane jest na zmarnowanie własnych

zasobów, najgłębszą frustrację osobistej przedsiębiorczości i szans życiowych, daninę niespełnionych osiągnięć zawodowych i pragnień konsumpcyjnych, tak jak ich poprzednicy – dzisiejsi luminarze – składali w innym okresie przejściowym daninę oporu?

W Polsce końca XX wieku poradzą sobie ludzie szczególnie przedsiębiorczy albo należący do uprzywilejowanych warstw: nomenklatura, wolne zawody, wyżsi technicy, wyższa administracja, zamożniejsi rolnicy. Nędza dotknie robotników, niższą administrację, nauczycieli, uboższe chłopstwo... Prowincja stanie się zagłębiem ubóstwa i bezrobocia. Wprawdzie prasa i TV codziennie będą donosić – jak dawniej – o nowych inicjatywach, tym razem prywatnych, nowych licencjach i spółkach zachodnich – lecz, jak dawniej, kryć to będzie marginalizację Polski w świecie i, jak dawniej, pogłębiać się będzie nędza narodu i ruina zasobów kraju. Potem przyjdzie bunt.

Kombatantów u władzy chroni dziś jeszcze powszechne znużenie społeczeństwa po latach komuny. Stąd widoczna niechęć do radykalnych programów i dynamicznych indywidualności, chętna wiara, że nie ma innych programów i że brak ludzi – pozostaje zatem aprobata miernoty, przyzwolenie na eksploatację mitów i zgoda na polityczny jarmark. To jednak nie będzie trwało wiecznie.

W oczekiwaniu na lepsze czasy jak zawsze konieczne jest, by każda głupota budziła gdzieś niepokój, każdy akt indolencji – sprzeciw. Ale samotna konfrontacja moralności i kultury z polityką nie prowadzi do układu zrównoważonego i nie zapewnia racjonalności działań władców. Dla powstrzymania dryfu polityki w kierunku kuglarstwa konieczne jest, by mocne lobby utworzyli także technicy i menedżerowie – ludzie umiejący liczyć i czytać – w obcych językach, w obcych kulturach, w nowych technologiach i nadchodzących czasach.

Paryż, 26.07.1990

[9/1990]

REDAKCJA

Prezydent RP

15 października 1990 londyński „Dziennik Polski” zamieścił komunikat Kancelarii Prezydenta RP na emigracji następującej treści:

W Londynie 12 października 1990 roku odbyły się rozmowy między Prezydentem RP Ryszardem Kaczorowskim a przybyłym w tym celu z Warszawy przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie – doktorem Zdzisławem Najderem.

Prezydent wyraził swą gotowość – po dokonaniu w głosowaniu powszechnym w Polsce wyboru prezydenta – udania się do Warszawy na zaproszenie nowo wybranego prezydenta, by przekazać insygnia prawowitej władzy prezydenckiej Drugiej Rzeczypospolitej.

W drugiej części spotkania wzięli udział Zygmunt Szadkowski, przewodniczący Rady Narodowej RP, i Ryszard Zakrzewski w imieniu Rządu jako minister spraw krajowych. Został wysunięty postulat potrzeby jak najszybszego przeprowadzenia wolnych, demokratycznych wyborów do izb ustawodawczych.

Powyższy komunikat został nadany przez Radio warszawskie natychmiast, 12 października.

„Kultura” miała zawsze krytyczny stosunek do Rządu na emigracji, uważając to za formułę utrudniającą działanie polityczne. Natomiast zawsze uważaliśmy rolę Prezydenta za niezmiernie ważną, symbolizującą walkę emigracji politycznej o całkowitą niepodległość Polski – za rodzaj „pieczętki Rządu Narodowego” w czasie powstania 1863 roku i tę rolę urząd Prezydenta spełniał mimo rozbicia emigracji, różnych dywersji i błędów. Wszyscy uważaliśmy, że rola emigracji politycznej skończy się w chwili wolnych wyborów do parlamentu, uchwalenia nowej konstytucji i wyboru prezydenta. Jednak, głównie na skutek rozgrywek personalnych i wybujałych ambicji, rząd Tadeusza Mazowieckiego i kadłubowy sejm zdecydowali, aby wybory prezydenta odbyły się w pierwszej kolejności. Sprawę skomplikowała osoba gen. Jaruzelskiego. Chciano na nim wymusić zrzeczenie się prezydentury przed wyborami, aby uniknąć przejęcia władzy z jego rąk. Takie stanowisko reprezentował Lech Wałęsa, zapominając czy nie chcąc pamiętać, że gen. Jaruzelski został wybrany na prezydenta na skutek machinacji samej „Solidarności”. Działacze „Solidarności” nie widzieli, że PZPR jest w stanie całkowitego rozkładu i przeceniali groźbę ewentualnej interwencji sowieckiej, nie zdając sobie sprawy, że Imperium Sowieckie jest także w stanie

rozpadania się. Chciano jedynie uzyskać możliwość raczej skromnego udziału we władzy w myśl głośnego sloganu Adama Michnika: „wasz prezydent, nasz premier”. Wałęsa, który w tym przełomowym momencie mógł zająć każde prestiżowe stanowisko, nie chciał ryzykować. Gdy rząd premiera Mazowieckiego zaczął funkcjonować, Wałęsa poczuł się wyeliminowany z gry i rozpoczął kampanię za wyborem go na prezydenta. By uniknąć, w razie zwycięstwa, przejęcia władzy z rąk gen. Jaruzelskiego – postanowił wykorzystać emigrację. Na szczęście akcja Zdzisława Najdera, agenta wyborczego Wałęsy, zmierzająca do wpłatania emigracji politycznej do rozgrywek wyborczych, nie udała się. Uchwała Rady Narodowej RP, która zebrała się w dniach 19 i 20 października, ustaliła, że przekazanie insygniów prezydenckich i zakończenie działalności Rządu na emigracji może nastąpić dopiero po wolnych wyborach do parlamentu. Prezydent Ryszard Kaczorowski na pewno uzna słuszność tej rezolucji.

Cały ten incydent świadczy, jak potrzebna jest ostrożność i zachowanie dystansu do namiętności wybuchających w Polsce w okresie kampanii wyborczej. Ta ostrożność musi być również zachowana wobec niektórych liderów emigracyjnych, którzy także chcieliby nas do tych rozgrywek wciągnąć.

Emigracja powinna godnie zakończyć swoją działalność, swoją już pół wieku trwającą walkę o niepodległość Polski.

[11/1990]

BARBARA SPINELLI

Warszawa – w dzień po pierwszej turze

Z cyklu Wybory prezydenckie

Od paru dni w salonach Warszawy panuje zamęt. Atmosfera apokalipsy, rozgorączkowane spojrzenia, nagle wybuchy płaczu, rozmowy urywane w połowie. Jedni z bezowocnym wysiłkiem szukają właściwych słów, inni zaś zalewają tak ogromną gadatliwością, że przyprawia to nas o zawrót głowy i udzielają się nam ich obsesje bez wyjścia.

Przyczyną tego zagubienia jest też oczywiście niezwykle sukces Tymińskiego, a więc o nim się głównie mówi od rana do wieczora i późną nocą, aż do zupełnego bełkotu.

Skąd przyszedł ten piekielny intruz? Kto go oplaca? Komu przynosi korzyści?

Lecz zdawałoby się, że zjawisko Tymińskiego nie przynosi tu żadnej nauki na temat bolączek postkomunizmu, jego grzechów, jego nędzy i wszystkiego, czego nie dokonał. Tymiński jest złem pochodzącym z zewnątrz i ukazującym twarz Polski szpetnej, niedobrej. Jest tworem Bóg wie jakich mrocznych sił pragnących zniszczyć rodzącą się demokrację z jej piękną, zgodną wspólnotą. Najbardziej wtajemniczeni mówią, że wiedzą wszystko i wymachują dowodami potwierdzającymi związki Tymińskiego z KGB i ze sferami wojskowymi ZSRR. Jego głównym współpracownikiem jest prowokator dawnego reżimu Sławomir Miastowski, który podczas stanu wojennego spowodował aresztowanie wielu członków opozycji. Istnieją poza tym związki Tymińskiego z Libią i dziwne gloryfikacje Jaruzelskiego.

Elita intelektualna i polityczna wyżywa się w tych tematach, zapominając po woli o tym co najważniejsze, o wyborach, które trzeba wygrać, o ślamazarnie ruszającej kampanii do drugiej tury, o dyskusji na temat gospodarki, która jeszcze przed dwoma dniami wydawała się decydująca i, wreszcie, o polemice na temat zerwania z komunizmem, które, według Mazowieckiego, jest faktem dokonanym, a zdaniem Wałęsy nawet się nie zaczęło.

Wyborcy, osłupiali, oglądają telewizję i mają wrażenie, że zostali bezczelnie nabrani, że, być może, cała polemika pomiędzy dwoma obozami „Solidarności” nie była prawdziwa i że chodziło raczej o coś w rodzaju kłótni w rodzinie.

Na ekranach telewizyjnych dwoi się i troi Lech Wałęsa. Nie zapominajmy wszakże, że zdominował on pierwszą turę wyborów, wyruszając dzielnie na wojnę przeciw Mazowieckiemu i obiecując zerwanie z bezpośrednią przeszłością, koniec podlizywania się, kompromisów i jednocyjących „okrągłych stołów”.

Chciałbym powiedzieć, że gdyby Mazowiecki pozostał kandydatem po pierwszej turze wraz ze mną, to wycofałbym się z dalszego współzawodnictwa – powiadamia jednak nagle elektrotechnik z Gdańska.

Przyjaciele, z którymi oglądam telewizję, milkną, pożerają wszystkie cukierki, jakie mają w kieszeni, a jedna z przyjaciółek wrzuca sobie do gardła dwa czy trzy maluchy, które przywiozłam z Zachodu, bo dostaje mdłości. Po chwili próbują się pozbierać. Wałęsa musi przecież mieć jakąś strategię – szepczą bez przekonania – usiłuje pewnie uwieść Mazowieckiego, być może ofiaruje gałązkę oliwną intelektualistom, którzy popierali premiera, proponuje wspólny front przeciw głównemu wrogowi, którym jest, jakkolwiek by było, Tymieński. Dlatego unika polemik, obiecuje rządzić Polską przy pomocy tych samych ministrów jeszcze przez pół roku, aż do wyborów parlamentarnych. Dlatego też może zapewnia, że pod jego rządami świat będzie równocześnie inny i taki sam jak do tej pory, że gospodarka się poprawi, ale że prowadzić ją będzie Balcerowicz, minister skarbu, którego wyborcy pośrednio odrzucili, nie wybierając Mazowieckiego.

Nie będzie więc wymiany sił politycznych, jeśli zaś pewna jest historia zamiaru wycofania się na rzecz Mazowieckiego, o której wspominał Wałęsa, to wszystko wydaje się niczym innym niż sztuczką prestidigitatorską, groteskowym baletem wystawionym dla zwodzenia ludzi.

Zawiedzeni czują się wyborcy Wałęsy i liczne organizacje, które postawiły na niego i na wielką zmianę, którą obiecywał.

Zawiedzeni czują się też wyborcy Mazowieckiego, którym przecież powiedziano, że Wałęsa to już nie charyzmatyczny przywódca, lecz niebezpieczny potencjalny dyktator.

Atmosfera, jaką odczuwa się w tej chwili w Warszawie, nasycona jest tak gęsto histerią, że ktokolwiek bawi tu dłużej, odnosi wrażenie, że przebywa w strefie zatrutej ekologicznie bądź w zakładzie dla umysłowo chorych, w którym jeden wariat pokazuje palcem na drugiego i wytykając mu szaleństwo, usiłuje uwolnić siebie samego od podejrzenia. Psychopata to dziś zresztą często i chętnie stosowane określenie w wypowiedziach tutejszych intelektualistów i polityków.

Psychopatą jest Tymieński, niejasny, oszukańczy „miliarder”, który sprzedaje tanio sny z *Dallas* czy z *Dynastii*.

Psychopatą jest Wałęsa w oczach Adama Michnika, który bardziej historycznie niż ktokolwiek inny atakował w ciągu ubiegłych tygodni tak niegdyś uwielbianego, a dziś tak dlań znienawidzonego związkowca z Gdańska, wyjaśniając

górnolotnymi zdaniem, że sukces Tymieńskiego może być ostrzeżeniem dla innych, ale nie dla niego, który od dawna wszystko zrozumiał.

Alę przede wszystkim określa się jako psychopatów blisko cztery miliony wyborców, którzy w ubiegłą niedzielę głosowali na Tymieńskiego. Tonem wyniosłym i łagodnie zatroskanym prawi ks. Józef Tischner, teolog z Krakowa, swoje zaimprovizowane kazanie w zakończeniu dziennika telewizyjnego. Tłumaczy, że wyborca Tymieńskiego to *homo sovieticus par excellence*, skorumpowane dziecko dawnego ustroju, stojące do niedawna w ogonku do komunistycznego straganu, a dziś wyczekujące, nie mniej służalczo, przed straganem ohydneho emigranta.

A tymczasem Tymieński kontynuuje swoją wszechobecną, przebiegłą kampanię, popierany przez neokomunistów uszczęśliwionych rozłaniem w „Solidarności”, przy czym prawdziwy pluralizm polityczny odłożony zostaje któryś tam raz z rzędu na później. Być może Tymieński naprawdę opłacany jest przez KGB czy powiązany z nomenklaturą. Ludzi jednak mało interesują spóźnione badania i nagle odkrycia. Słuchają tego, co mówi wzbogacony emigrant, utożsamiają się z nim i czują się „brani pod uwagę”, szanowani, choć nieco na opak. „Rządzący chcą wysprzedać Polskę Zachodowi – grzmi Tymieński, budząc uśpioną dumę narodową. – Nie jesteście żadną drugą Polską, nie jesteście Polską oszalałą czy niedojrzałą. Jesteście narodem, który we własnym kraju ma prawo do wyboru”. I konwersuje przyjacielsko ze śląskimi górnikami, stojącymi wobec groźby bezrobocia. Tymieński nie jest wykształcony i obiecuje współpracę ze wszystkimi, łącznie z nomenklaturą. Jest cynikiem, który szuka słów z wysiłkiem i często czyta z kartek podsuwanych przez tajemniczych współpracowników. Ale jego kampania odbierana jest jak kampania kogoś, kto przyrzeka zerwanie z bezpośrednią przeszłością, kto atakuje rząd frontalnie, kto nie kieruje się zasadami moralnymi, ale za to mówi jasno. Nie przypomina to jego wyborcom fałszywych przemówień tych, co wychwalają etos „Solidarności”, od dawna poświęcony dla celów osobistych. „Świat ten jest światem cyników i oszustów – mówi między wierszami – zakasajcie więc i wy rękawy. Jeśli tyłu mogło się wzbogacić, mimo ogólnej katastrofy, jeśli tyłu zdołało się wybić, potraficie wzbogacić się i wybić również wy”. Swoim językiem bez ogródek mówi Tymieński niestety jakąś częściową prawdę. Nie jest tylko wrogiem pochodzącym z zewnątrz, nie jest wyłącznie wcieleniem *homo sovieticus*. Jest jedną z pierwszych wydziałin demokratycznych rewolucji wschodu, często fałszywych, kłamliwych, które nastąpiły ubiegłego roku w Europie Wschodniej, poczynając od Polski. Wyraża gniew narodu, który trzymano przez pół wieku w piwnicy, narodu okupowanego 5 lat przez Niemców i 45 lat przez komunistów, któremu powiedziano: Zostańcie jeszcze trochę w suterenie, zaciśnijcie pasa i pocierpiecie. My tymczasem ułożymy się z komunistami o podział władzy, oszczędzimy nomenklaturę, bo nie lubimy polowań na czarownice, ale obiecamy za to Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu politykę gospodarczą najbardziej godną pochwały.

Zrozpaczonemu, zdezorientowanemu i wynędzniałemu narodowi rząd Mazowieckiego i współpracujący z nim intelektualiści z dawnej opozycji nie potrafili dać żadnej busoli, żadnego kierunku, żadnego punktu odniesienia moralnego. Idea, jaką nieśli oni w sobie, była ideą sielankowej rodziny supermędrców, zamieszkującej harmonijne i monolityczne sfery niebieskie, nietolerującej konfliktów ani w polityce, ani w społeczeństwie, rodziny ignorującej życie codzienne ludzi, życie zresztą coraz cięższe, pomimo mnożenia się gazet i pism kulturalnych i pomimo sklepów pełnych towarów dla wielu niedostępnych.

Wysoka hierarchia kościelna ponosi niestety dużą część odpowiedzialności za ten stan umysłów i świadomości. Z najwyższą troską, w imię rodzinnej i apostołowskiej wizji życia politycznego, starała się ona unikać wszelkich normalnych napięć. Trzeba było tylko zaciskać pasa, nikt jednak nie otwierał drzwi i okien, by wpuścić nowe powietrze i by doznać orzeźwiającego powiewu wolności, jakiego doznały kraje wychodzące z faszyzmu i hitleryzmu.

„Tak naprawdę, to wszyscy byli opozycjoniści są jakoś komunistami, tylko tego nie wiedzą” – mówi jeden z najprzenikliwszych obserwatorów Polski Stefan Kisielewski, atakując tym samym największe niedociągnięcie postkomunistycznego rządu: niezdolność stworzenia atmosfery odbudowy, klimatu, w którym nie jest konieczne wpakowanie do więzienia setek tysięcy komunistycznych funkcjonariuszy, ale w którym mówi się przynajmniej jasno, o co chodzi, gdzie są odpowiedzialności, z kim się chce odbudowywać kraj. Trzeba było przynajmniej dać ludziom orientację, gdzie jest dobro i gdzie leży zło, do czego się dąży, a co uważa się za absolutnie niemożliwe do przyjęcia.

Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji część społeczeństwa chwyta się pierwszego lepszego demagoga, który ją uwodzi, obiecując wyważenie piwnicznych drzwi.

Rząd sam zainaugurował erę nowego cynizmu, myśląc, że wystarczy powtarzać magiczne słowo „demokracja”, aby ta stała się rzeczywistością, rząd, który więcej czasu poświęcał na dyskusje z komunistami niż z własnym społeczeństwem, uważając Wałęsę za groźniejszego od Jaruzelskiego. To właśnie rządowa bylejakość zdemoralizowała ludzi i wytworzyła tę Polskę bylejaką, która dziś się mści, traci rozsądek, ogląda telewizję, nie widzi w niej zasadniczej zmiany i daje się porwać komuś, kto w sztuce cynizmu nie znajduje sobie równych.

A przecież są w Polsce siły zdolne ją uzdrowić, choć niewidoczne, niepozorne. Widziałam je na własne oczy w szpitalu dziecięcym na Woli, robotniczej peryferii Warszawy, gdzie pielęgniarki i chirurdzy harują bohatersko 17 godzin na dobę za głodową pensję, pracując z poświęceniem i żarliwością w pomieszczeniach, gdzie nie sposób jest przestrzegać zasad higieny, gdzie co dzień pękają rury wodociągowe, zapasy tlenu zaś magazynowane są w składzie obok ambulatorium, gdzie w każdej chwili grozi eksplozja.

Tak więc, wśród cynicznych szeptów i histerycznych krzyków, rośnie niebezpieczeństwo, że zaprzepaszczone zostanie nawet wspomnienie wielkiego, wspólnego ruchu oporu, którego uosobieniem była „Solidarność”. Polska jeszcze

raz może przegrać zwycięstwo, jak to już miało niejednokrotnie miejsce w jej historii.

Odcinając się od przyjaciół popierających, wbrew własnej woli, Wałęsę i atakując tego ostatniego, jakby był jego wrogiem osobistym, broniąc postkomunistycznej demokracji, która umiała wprawdzie powstrzymać inflację, ale nie potrafiła tolerować żadnej prawdziwej opozycji, Michnik zdaje się przygotowywać do dziwnych i przewrotnych sojuszków.

Michnik jest zresztą tylko najbardziej jaskrawym wyrazem głębokiej dezorientacji duchowej, jaka opanowała elitę intelektualną i Kościół, który przecież tak wielką rolę odegrał w mrocznych latach totalitaryzmu. Elitę, która nie chce mieć nic wspólnego z Polską przedwojenną, która nie pamięta, co to znaczy służyć naprawdę krajowi, która żywi pogardę do przedwojennych prób budowania demokracji. Elitę, która jest dzieckiem komunizmu, której brak punktów odniesienia w przeszłości i która siłą rzeczy należy po części do albumu rodzinnego Bieruta, Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego.

[Tekst opublikowany przez włoski dziennik „La Stampa” w Turynie 30 listopada 1990. Przekład polski B.M.P., „Kultura” 1/1991]

[1–2/1991]

Z ukosa

Pośpiesznie spisane 10 dni w Polsce – czyli kraj
w kleszczach I i II tury wyborów

Miesiąc temu większość moich znajomych przysięgała, że spakują walizki, jeżeli Wałęsa zostanie prezydentem. Biedni. Nie wiedzieli, że dno naszego piekielka jest wiele niżej. Przybył z czwartego wymiaru Tymiński i pokazał. A przy okazji rzucił miękkie i ciepłe światło na oblicze Wałęsy. Teraz te same walizki są w pogotowiu, gdyby Tymiński... Dramatyczne listy zbiorowe intelektualistów, tych samych od walizek, ich wybitne nazwiska ustawiane w dumnych słupkach apelują do Narodu, by ratował sam siebie i głosował na Wałęsę.

Poszedłem na bankiet, jeden z tysiąca bankietów, jakie urządziła inteligencka Warszawa, zmarznięta i struchlała po klęsce. Tak zaskoczeni przez mrok i mróz rozpalają w lesie ognie, by ogrzać skostniałe dłonie. Ujrzałem rzeszę głów pochylonych w gorączkowych rozmowach. Nad powierzchnię wyskakują jak z kipieli bąbelki, a rozpryskując się, wydają z siebie dwa słowa: Tymiński, Wałęsa. Klęska Mazowieckiego zdaje się stać w kącie i lkać bezgłośnie. Przybywa nowy gość. Oczywiście wysoko zaawansowany w państwowych tajemnicach. Przecież w Urzędzie Ochrony Państwa już roi się od ludzi z towarzystwa. Mają wiele zalet, również tę, że nie są zbyt dyskretni. Już wiemy, że Służby nie śpią po nocach, bo myszkują, szukając jakiegoś paskudztwa na Tymińskiego. Podobno nawet znaleźli, ale nie mogą ujawnić, dlaczego – to już prawdziwa tajemnica.

Obóz Mazowieckiego twierdzi, że to wypowiedzenie wojny na górze wypuściło wszystkie polskie demony. Obóz Wałęsy ogłasza, że przewodniczący przewidział otwarcie puszek Pandory i wyszedł złemu naprzeciw z mieczem w dłoni. A lud uważa, czy może raczej co bardziej światłe kawałki tego ludu, że to obie zwaśnione strony doprowadziły naród do ostateczności w postaci Tymińskiego. Oto głosy ludzi, tak zwanych ludzi prostych, zlane w jeden strumień, któremu spróbuję odnaleźć wspólny nurt:

Mamy dosyć arogancji władzy, którą poparliśmy. Oni nie chcieli, nie potrafili z nami rozmawiać. Dokonali na naszym brzuchu operacji bez znieczulenia, a nie raczyli jasno powiedzieć, dlaczego tak trzeba i kiedy będzie najbardziej bolało. Rozmawiał z nami tylko Kuroń, ale on miał jedynie grochówkę. Spodobała im się władza, ale my rozwaliliśmy starą nomenklaturę, to rozbijemy teraz nową. Wałęsa ma rację, że rzucił się rządowi do gardła, ale on to robi tylko dla swojego interesu. Gdyby było inaczej, nie mówiłby ciągle: ja, ja. Kiedy dojdzie

do władzy, zamordzie wprowadzi. Nie możemy już słuchać o „Solidarności”, o stanie wojennym i że każdy porządny człowiek był kiedyś internowany. Gadające gęby posłów i senatorów doprowadzają nas do szewskiej pasji. Na Tymińskiego głosowaliśmy na złość, z gniewu i rozpacz, i bo nie było innego. Teraz nawet jeżeli będzie gorzej, to będzie inaczej.

Czy to jednak do końca tłumaczy, że 4 miliony dorosłych i zdrowych na umyśle ludzi postanowiło oddać swoją przyszłość w ręce człowieka, którego wewnątrz głowy wydaje się ofiarą poważnej katastrofy? (Niemał został wcielony w życie scenariusz filmu i powieść Kosińskiego *Wystarczy być*, rzecz o kretynie, który zostaje prezydentem USA).

Każdy ruch ma swoje jądro, szlachetny środek i daleki brzeg, gdzie wirują odpady. I oto dzisiaj, kiedy ruch przejął władzę, samo jądro nie potrafi zaspokoić potrzeb obsadzania stanowisk. Nieudacznicy zostali więc wessani na górę. Oto jestem u Wielkiego G. Gabinet ugina się od dostojnych mebli, wytartych przez zady partyjnego aparatu. Jest wzywana prawa ręka G., ważny dyrektor. Otwierają się obite pierzyną drzwi i oczom nie wierzę, wkracza uroczyście D., znany w opozycji nieudacznik. Zawsze niechlujny, ale teraz wszelkie zaniedbania pokryte są krawatem. Od razu widać, że wielki pan, może zostać nawet ministrem, czemu nie?

Miotła nowego jak wiadomo ma wielkie szczyrby. Nic dziwnego, że w innym gabinecie siedzi relikwiarz przeszłości. Gdy wchodzi, nie unosi głowy zajęty składaniem swoich podpisów. Niechętnie odrywa się od tego szlachetnego zajęcia i podaje mi dłoń, jest chłodna jak wyjęta z wody butelka. Patrzy na mnie przez grube szkła okularów, jakby przez szybę akwarium oglądała mnie ryba. Okazuje się, że sprawa nie jest w jego gestii, to znaczy w jego, ale nie w jego. Lepiej byłoby udać się do kogoś innego. Zdenerwowałem się. Wtedy po barwie mego gniewu poznał, że ja z Nowych. Widzę pełną mobilizację organizmu, otwiera się jak stara szafa, gdzie wiszą zakurzone ubrania. Wychodzę, biegnie za mną, ciągnąc za sobą stary korzeń, ten korzeń błaga – ja się jeszcze przyjmem w nowej glebie.

L. jest świeżo po studiach, a teraz wróciła z rocznego pobytu za granicą. Co ją uderzyło po powrocie do kraju? – Nie zmieniło się prawie nic, a przede wszystkim nie zmieniło się, co tak różni nas od Zachodu, a co w pełni widać dopiero teraz. – Smutek i niekompetencja. – Nasz świat obrócił się przez ten rok o kilka stopni, ale wszyscy młodzi znajomi zostali w dawnych bezzadnych pozach, a zarzewia osi tego ruchu są – smutek i niekompetencja.

Uniwersytet. Do Audytorium Maximum przybywa Mazowiecki. Idzie korytarzem oklasków. Sala pełna delegatów z całego kraju. To właściwie pogrzeb, a przynajmniej wielka klęska ROAD, ale jest atmosfera radosnego triumfu. A przecież byłoby naturalne, gdyby premiera niesiono na noszach w grobowym milczeniu. Ta euforia jest wzruszająca, bo świadczy, jak wielu ludzi go kocha, i że nie zawsze jest u nas jak w piosence: „Kiedy ułan z konia spadnie, koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go trują”. Zresztą właściwie spadliśmy wszyscy

i cała inteligencja jest w gipsie. Na taką przykrość czasami dobra jest wesola kompania i wspólny śpiew. I tak właśnie bawiono się w Audytorium Maximum. Starsi i zacni zasiedli na trybunie, szlachetna siwa głowa Turowicza, piękny profil Frasyniuka, nieco pochylone oblicze Tadeusza Mazowieckiego, którego szczupłe barki nie mogły udźwignąć tak wielkiego aplauzu. Kolejni mówcy składali hołd temu, co przegrał tak szlachetnie, że właściwie wygrał. Pewna niewiasta ogłosiła, że należy wszystko odłożyć na bok i zająć się edukacją społeczeństwa, bo ono jest po prostu głupie.

Klaskano nieustannie, by dodać sobie animuszu, a czasami wstawano, wachlując skrzydłami oklasków. Gdy podjęto decyzję o zawiązaniu Unii Demokratycznej, został odśpiewany hymn. Poczulem nagle, że nie mam ochoty wstawać, śpiewać ani niczego zawiązywać. A jako że wśród wstających i wiwatujących roilo się od znajomych, poczułem się nagle przeraźliwie samotnie w tym tłumie, a może nawet w Polsce, kto wie? Premier zaapelował, by mimo wszystko głosić na Wałęsę, co spotkało się z chłodnym przyjęciem. Jakiś młodzian ogłosił, że na siekiere Wałęsy musimy przygotować siekiere jeszcze ostrzejszą. Ale był też głos kreślący wizję obozu koncentracyjnego, gdzie wszyscy obecni na sali znajdują się... jeżeli Tymiński. Ktoś wtedy oświadczył: „Nie mamy wyjścia, bo przy Wałęsie da się jakoś żyć, a przy Tymińskim nie”.

Miarę rzeczy przywrócił na chwilę poseł Rokita, zauważając, że na tej sali Polska się nie kończy i że tworzy się tu najwyraźniej partia arogancji.

Uderzyło mnie, że niektóre ważne osoby nieustannie wymykały się na korytarz, bo jak wiadomo najważniejsze decyzje nie lubią u nas tłumu i najlepiej się czują w korytarzach, gdzie lekkie przeciągi zwiewają papierosowy dym i chłodzą gorące szept.

Wyszedłem, czując gdzieś z boku, niepokojąco blisko, przepaść, która się nagle otworzyła pomiędzy elitą a resztą, czyli motłochem. Zagroził drogę memu zamysłowi pogrzeb, który szeroką rzeką i biciem dzwonów wylewał się z kościoła św. Krzyża, sunęły czarne potoki sióstr zakonnych i księży, niesiono sztandary i szli harcerze. Czyżby tu grzebano nasze inteligenckie złudzenia? – Kogo to niosą? – pytam milicjanta – „A kto tam wie, mówią, że jakiegoś biskupa”. Uspokojony wracam do swych myśli. Nie sądzę, by w Polsce było więcej głupoty niż gdziekolwiek indziej, mam nawet wrażenie, że w tej dziedzinie Bóg dzielił świat nadzwyczaj sprawiedliwie. Są tylko różne rodzaje mądrości i głupoty. Otóż nasze wyżyny intelektualne są wyjątkowo nadęte i skłonne do lekceważenia nizin. Z kolei głupota nasza odznacza się niezwykle aktywnością, a organ dumy, który nosi przed sobą, jest w stanie nieustannej erekcji. Sztab Mazowieckiego uczynił wszystko, by Mazowiecki przegrał, jeszcze więcej zrobiła telewizja.

W ciągu jednego roku dramatycznie kręta stała się droga naszej elity. Od miłości do Wałęsy do nienawiści, i oto w ciągu kilku dni nienawiść, poddana niezwykłemu ciśnieniu, zmieniła się w heroizm zaakceptowania historycznej konieczności.

Przedwojenny dom z podwórkiem ogrodzonym murem, okupacyjna kapliczka z Matką Boską, która miała chronić przed diabłem, co hula na zewnątrz – pomyślałem, że teraz to może się znowu przydać. W tym domu mieszkał poeta Kamil Baczyński. W tym domu od jakiegoś czasu uparcie nie grzeją kaloryfery, a właściciele mniejszych mieszkań polują na większe, na wyższych piętrach. Moi znajomi, których tu odwiedzam, w żaden sposób nie mogą wyżyć ze swojej pensji. Przy bramie wejściowej wisi niechlujna gabłota podobna do tych, w których wieszane są zdjęcia prezentujące ćwiczenia obrony cywilnej. OBRONA CYWILNA CZUWA. W blasku okrutnej jarzeniowej rurki wisi zdjęcie Baczyńskiego z napisem – tu w latach... mieszkał... wyszedł na powstanie...

Baczyński blady, ledwie widoczny na czarno-białym zdjęciu, a po bokach dołożono dwa rumiane portrety Wałęsy podkreślone okrzykiem: „Wybór jest prosty, Wałęsa. Tak!” „Wybierz swego!” – To ten Baczyński dorobił się dwóch braciów – mówi poważnie pan Jasio, dozorca, i rusza na barykadę zimnych kaloryferów uzbrojony we francuski klucz.

Po raz pierwszy od czasu stanu wojennego niepewnie się czuję na ulicach mojego miasta. Właściwie już nie znam nikogo, kto by nie padł ofiarą jakiegoś przestępstwa. Sąsiad z dołu poszedł wczoraj po wódkę. Nowe wspaniałe czasy! Jest sklep alkoholowy czynny całą noc, trochę smutno, bo wymrą rozsiane po okolicy alkoholowe babcie. W tym sklepie młodzian wyciągnął pistolet, bo ktoś się wepchnął przed niego. Jestem u znajomej, bardzo już starszej Pani, pokazuje mi ślady na przegubach. Miesiąc temu wtargnęło dwóch do mieszkania, związali, na łóżko rzucili, przeprosili za brutalność, ale muszą przecież z czegoś żyć. Potem krzyczeć zaczęli: – „Powiedz, gdzie trzymasz złoto”. A jej się wydawało, że czas nagle się cofnął i znowu jest okupacja, kiedy też ją związali...

Spotykam znajomego, wygląda, jakby bolały go zęby. Tłumaczy skąd to cierpienie: „W klasie mojego syna przybito krzyż”. Proszę, by rozwinął tę kwestię. Okazuje się, że jego syn jest niewierzący, ale na szczęście ma do towarzystwa kilku antychrystów. Szkołą praktycznie rządzi obecnie siostra zakonna, osoba bardzo zasadnicza. I chociaż ustalono na zebraniu rodziców, że z powodu tych kilku antychrystów krzyża nie będzie, przybyło dwóch oprawców z młotkiem, drabiną i na oczach dzieci krzyż przybili. Bywa w tej szkole również ksiądz, ale on się nie liczy i, jak głosi plotka, nawet po kryjomu uprawia sprzeciw wobec lekcji religii w szkole. Inna ulotka, tym razem ogólnomiejaska, mówi o księdzu, co kazał nie przeciwko Żydom, a przeciw antysemityzmowi i miał nawet powiedzieć rzecz niesłyszana, co aż strach na głos powtarzać, że Matka Boska była Żydówką. Ten ksiądz na podobieństwo cudu miał się objawić na Muranowie.

Bezradność Kościoła. Nieprzepuszczalność wiernych na kościelne argumenty, jak szczelność kamiennej kąpieli wobec święconej wody. Gromy Kościoła przeciw Tymińskiemu nie zostały dosłyszane i nie dostrzeżono błyskawic. A więc jeszcze jeden dowód, że mamy do czynienia z diabelską robotą.

Wałęsa, który wycofuje się ze swoich wypowiedzi, tych uznanych za antysemityczne. Przypomina kota przykrytego nagle kocem. Jakże jest nieporadny, kiedy kroczy tyłem. Problem wydaje się w tym, że przyszły prezydent nie wie, iż rasizm zaczyna się od momentu rozróżniania i że ten wysilek, by wiedzieć – jest?, nie jest? – stanowi bazę do uprzedzeń. Nie czując tego, doprawdy trudno wycofać się zręcznie. Postulat „ujawniania się” obnażył swoje perspektywy i bogactwa, jeżeli zapytać – do którego pokolenia?

Niezwykle ciekawa nowa kategoria powstała w Polsce – nie antysemita – a więc wolny od uprzedzeń, ale musi wiedzieć.

Krąży po mieście ulotka, której narodziny lokuje się w kościele na Solcu, gdzie wymieniono kilkunastu biskupów jako nosicieli żydowskiego wirusa. Nie ma na tej liście biskupa Orszulika, więc powinien być wiarygodny jego wywód, iż podejrzan o nazwisku Mazowiecki Tadeusz został sprawdzony do wieku XVI i jest czysty.

Myślałem, że nasze polityczne bagno nie zostawi na mnie jednej suchej nitki metafizycznej. Dał mi taką szansę mój dom rodzinny. Oto idąc po schodach, po schodach, które osiwały, nie do wiary, ale one rzeczywiście osiwały, ujrzałem nagle, że uchylają się drzwi na pierwszym piętrze i staje w nich kobieta z butelką mleka w ręku, a ta butelka ma mokry smoczek najwyraźniej przed chwilą odjęty z ust niemowlęcia. Ta kobieta to przecież dziewczynka, z którą bawiłem się na podwórku, a teraz stoi z tą butelką, z brzuchem i twarzą bardziej zniszczoną niż pamiętana przeze mnie twarz jej matki.

Podsluchane rozmowy bab warszawskich.

– Ten Wałęsa to chłop jak rzepa, gruby, z rumieńcem, Tymiński przy nim nic, impotent.

– Jaki z niego impotent, kiedy zmajstrował tyle dzieci.

– Pewnie mu ta Indianka gorące kompresy gdzie trzeba przykładła.

A co piszczy w trawie naszej prowincji, wiem od znajomej, proszę posłuchać, jak grają tam zimowe świerszcze. Znajoma z S. pisze, że w Filipowie i okolicy chłopci zwołują komitet obrony Tymińskiego, bo, jak mówią, „mogą człowieka wykończyć”. A poza tym...

Wieść gminna niesie, że koło Giżycka, że trzy kilometry będzie od szosy w bok, jasnowidz mieszka, który przepowiada, że będzie na najwyższym urzędzie w Polsce rycerz z wąsem, który przejdzie jak huragan wzdłuż i wszerz kraju aż dojdzie do gór, gdzie zmienieni w kamienie śpią rycerze, a one te rycerze obudzą się, a mocne takie są, że im ten Arab od tej nafty nie da rady. I posłuchanie będą mieć te rycerze ze swym hersztem tym z wąsem aż przy rzece Loarze, a rzeka będzie płynąć całą krwią amerykańsko-żydowsko-germańską... itd.

I pisze znajoma, że co rusz elektryzuje S. i okolice wiadomość o przegranych w karty częściach parafii. I że kilku ludzi z Komitetu Obywatelskiego poprzemawiało sklepy państwowe, pozakładali spółki. Ludzie mówią – mafia. Ten, kto dostanie lokal, musi zamówić mszę świętą, pokropić lokal, zawiesić krzyż i mo-

że działać. A Dziesiąty Pułk Ułanów Krechowieckich urządza capstrzyk i patriotyczne obchody, opowiadając się za Moczulskim. Rośnie antysemityzm, bo oddaje się dawnym właścicielom, co im kiedyś zabrano, a okazało się, że większość kamienic przy głównej ulicy jest własnością Żyda, który jest na tyle złośliwy, że żyje. I jakby było mało sensacji, otwarto w S. sklep porno. Baba wiejska, która lażąc po ulicach, trafiła na ten sklep, mówiła:

– Jakie dziwolągi w tym nowym sklepie kiele kościola, jakieś majtki, co nawet dupy nie zakrywajom, toż w takich można się ciężkiej choroby nerek nabawić.

O Tymińskim: – Powiadają, że wariat, to może i dobrze, bo prezydent wariat to przynajmniej naród zrozumie, bo kto nie zwariował, to na pewno zwariuje.

O wolności: – Jaka to wolność, kiedy wszystko upada, a nas Zachód wykupi za marne grosze i będziemy Murzynami Europy.

Tak pisze do mnie znajoma z S.

Walka wyborcza również na plakaty. Nasza wojna na plakaty ma w sobie element magiczno-pierwotny. W portretach atakuje się przede wszystkim oczy. Ulice przypominają pobojuwisko pełne połamanych kości hasel i pokiereszowanych głów. Rozpaczliwy wyraz tych ulic patrzących pustymi oczodołami portretów do wczoraj uwielbianych przywódców.

Powszechny kac, który najbarwniej opisał mój przyjaciel, opisując przy okazji dwa poprzednie kace, które przy wszystkich swoich okropnościach zdawał się przy tym obecnym lekceważyć.

Pierwszy: gdy obudziłem się w izbie wytrzeźwień przypięty skórzanym pasem w izbie gołej jak obdarta ze skóry jaszczurka, na której drzwiach widniał napis „przypadki ciężkie”. Drugi: gdy obudziłem się rankiem w szczelnie zapiętym namiocie, w którym gotowało się powietrze, i wychyłem na zewnątrz, kołatając jak bocian o podniebienie sztywnym jak kolek językiem, by dopełnić do jeziora, pić i rzygać, pić i rzygać... Tak oto teraz pełnę w kierunku 9 grudnia – zakończył swoją opowieść mój przyjaciel.

Potem rozmawiamy o naszych lękach, opowiada, jak złudne i płytkie wydają mu się teraz dawne lęki; lęk przed rewizją, więzieniem, milicyjną pałką. Prawdziwy lęk jest teraz. I coraz większe poczucie samotności, które z nim dzielę. Mówi:

Tymiński, obrzydliwy jak organ płciowy płaza, i na ten organ głosowało 4 miliony moich rodaków. Mazowiecki, którego szanuje, otoczony jest przez ludzi, którymi głęboko gardzę. Wałęsa, nasz marchołt coraz mniejszy i mniejszy. Chodzę ulicami wśród coraz bardziej obcych ludzi. A w tle roztraskane środowiska, z których cieknie posoka...

I tu mój przyjaciel błysnął łzą w oku. A ja mu odbłysnąłem swoją.

Debata telewizyjna Tymiński-Wałęsa. Została gorzka upokorzenia. Każdy, kto czuje się związany z Polską, otrzymał tego wieczora policzek. Znam nawet

takich, co gorzko płakali. Ja, stary kpiarz, nie znalazłem w sobie ani okruszka drwiny. Wałęsa okazał się przy Tymińskim orłem, ale orłem bez piór.

Hala Gwardii otoczona policyjnymi budami. Wilgotny mrok, ludzie przemykają się jak mieszkańcy wilgotnego czyścica. Wewnątrz mdle światło i uderzający brud tej sali, w której ściany wsiąkły tysiące walk bokerskich i wieloletni ryk kibiców. Na podium Tymiński gładki i bez wyrazu jak przed chwilą rozpakowany cukierek. Dwuosobowa grupa zwolenników Wałęsy zbita w twardą kupę skanduje hasła „KGB: Doswidania”, „Wasze czasy już minęły”.

„Nasze czasy jeszcze nie nadeszły” – mówi spokojnie Tymiński, a to nagle pobudza salę, która wybucha entuzjazmem. „Nasz kraj tonie – mówi Tymiński – do tego doprowadził pan Wałęsa, pan Mazowiecki. Czym bliższe nasze zwycięstwo, tym większy krzyk, bo to jest strach”.

Patrzę na zgromadzoną publiczność, wiele umalowanych kobiet w futrach, mężczyzn, którzy wyglądają na majstrów z fabryk, trochę urzędników... Zwolennicy Tymińskiego i jego przeciwnicy wyją do siebie, opluwają się, robią miny, nikt już nie zwraca uwagi na samego idola, który nie wydaje się wytrącony z równowagi i coś bajdurzy, kalecząc przy okazji niemiłosiernie polski język. Umiejętność gadania bredni opanował do perfekcji. Gdy tak majaczy, czuję niemal ból pod czołem, gdy próba wypłatania z tego sensu grzęźnię w kolejnych suplach. Ochrypli, monotonny głos pijaczka z alkoholowego baru w Mławie. I myślę, że gdyby losowo wybrać z takiego baru jednego bywalca, umyć, przebrać, ubrać, dla kurażu dać setkę, dla rumieńca w gębę i postawić przed narodem, zaprezentowałby poziom nie gorszy, bynajmniej.

Bohater wiecu dopuszcza do mikrofonu ludzi z sali. Wszyscy wydają się być pacjentami zbiegłymi z psychiatrycznego szpitala. „Jestem czystym Polakiem, a nie jakimś mieszańcem” – drze się zwolennik Moczulskiego, od wczoraj zwolennik Wałęsy. Głos zabiera narodowiec, niejaki Rybicki. Dostarczył sali atrakcji, opowiadając, jak to w czasach stalinowskich Geremek biegał z pistoletem i dowiedzieliśmy się, że Bujak był agentem, bo jakże inaczej, skoro przez tyle lat nie mogli go złapać. Poczułem w tym momencie, że wszystkie granice zostały przekroczone, ale byłem w błędzie. Tłum zerwał się, żeby bić brawo.

Znowu bierze górę młodzież od Wałęsy, krzyczą: „Tu jest Polska” i krzyczą to wszystko, co w ostatnich latach na ulicach ciskano w tarcze ZOMO. Teraz te okrzyki... jakby ktoś rzucał perły prosto w pysk wieprza.

Na ratunek mężowi rusza żona, Peruwianka z czarnym włosiem i białozębny uśmiechem. Wykonuje jakiś latynoski taniec i krzycząc po hiszpańsku, wprowadza salę w stan euforii.

Potem, gdy Tymiński nie może poradzić sobie z salą, zarządza śpiewanie hymnu narodowego. Co się rozkrzyczą, jest hymn, i wszyscy pogodzeni śpiewają na baczność. Doprawdy nie pamiętam, by kiedyś było mi równie ciężko wstać, a ten śpiew zdawał mi się czymś w rodzaju przymusowego karmienia gęsi. Doświadczyłem oto gwałtu przy użyciu *Jeszcze Polska...*

Mieszam się z wychodzącym tłumem, a ten tłum wylewa się strumieniami na wilgotne i ciemne ulice i szmerze, z tego szmeru wyławiam jeden dźwięk, „Żydzi, Żydzi”, ale uszom nie wierzę, pewien, że się przesłyszałem. Część ludzi zbija się w małe grupki – co oni tam robią? Skradam się, podpatruję i nie do wiary... wyjmują swoje antysemickie organy i wymieniają się pieszczotami. Słychać takie odgłosy: „Rozpanoszyli się Żydzi”; „Znowu będą ich kamienie”.

Miesiąc temu, chodząc po ulicach Warszawy, czułem zapach czarnej sierści, napisałem to i sam się przestraszyłem swego powonienia. A jednak nie myliłem się. Imię tego czarta jest faszyzm. I nieważne, jaki ma kolor, ile w nim pocziwej słowiańskiej domieszki... to właśnie jest to.

Dzwoni do mnie mama. Otwórz telewizor, jest powstanie. Zdenerwowałem się, bo była przejęta. Myślę... secesja Śląska, a może nowy bunt chłopski? Okazało się, że przerwano *Wiadomości* i do studia wkroczyło dwóch niemłodych, ale krzepkich powstańców warszawskich i ogłosili jutro na Zamku Warszawskim mobilizację przeciwko Tymińskiemu. To był początek ofensywy. Do boju ruszyła cała telewizja, już nie mazowiecka, jeszcze nie wałęsowska, ale telewizja wprzęgnięta w świętą sprawę ratowania Narodu przed kanadyjsko-peruwiańskim potworem. Pojechano za ocean, użyto pierwszej żony kandydata na prezydenta, jego dziątek, ujawniono, że nie mówią po polsku, że musiały być chrzczone po kryjomu, sąsiadka ujawniła, że ma mniej pieniędzy, niż to się ludziom marzyło. I przez chwilę miałem wrażenie, że oglądam w stanie wojennym program o opozycji montowany przez kapitana Marka Barańskiego. Ale Barański jest dzisiaj w sztabie Tymińskiego.

Zaraz po tym programie przygotowano kubel święconej wody, by odkazić teren po paskudztwie. I oto nadano program wyborczy Wałęsy. Uznano, że sprawa jest gardłowa i tak zwana racja stanu upoważnia, by sięgnąć do świętego narodowego arsenału. I popłynął anielski śpiew Joan Baez o „Solidarności”, a na falach tego śpiewu unosił się sierpniowy strajk, uliczne manifestacje atakowały zręby imperium zła, objawił się duch księdza Popiełuszki, błogosławił nasz Papież.

I nagle poczułem, że jestem jak przekłuty balon, z którego ucieka, wypływa na zawsze, nasza, moja najdroższa mitologia.

Wałęsa im bliżej prezydenckiego fotela, tym bardziej przerażony. Zobaczył, że ten mebel, co tak szlachetnie wyglądał z daleka, teraz niespodziewanie przybrał postać narzędzia tortur. Takie urządzenie złamie kark każdego mitu, a co dopiero mitu tak wychudzonego. Dlatego zrobiło się nagle cicho, łagodnie i dość spokojnie.

Miesiąc temu niemal wszyscy moi znajomi na górze szykowali się, by wracać z gabinetów do skromniejszych pokoi, jeżeli Wałęsa... Teraz już na pewno Wałęsa, a nikt się nie pakuje. (Nikt jak nikt – pakują się w Gdańsku). Poświęcą się dla Ojczyzny, jeżeli okoliczności pozwolą. Co nie znaczy, że nie dręczą pytania. Jak będzie wyglądało wietrzenie Warszawy, gdzie podzięje się lok Niezabitow-

skiej, czy znikną brody w rządzie, czy nastanie moda na wąsy? Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... A w tych mrokach snują się plotki na temat składu nowego rządu, nadzieje i lęki zaplatają warkocze i słyszę szepty: „Kiedy to się w końcu skończy, kiedy się skończy to paskudztwo, ta obrzydliwość, ta kampania”.

Ktoś na ulicy: „Człowiek się czuje, jakby go głową zanurzyli w gównianym kanale i wyciągli”.

Byle do niedzieli, do niedzieli. Nowe życie zacznie się od poniedziałku. A więc Polska zaczyna się od poniedziałku. Dobranoc.

[1-2/1991]

Rozmowa Krzysztofa Pomiana z Jerzym Giedroycem*

Krzysztof Pomian: Czy przypuszczał Pan, że dożyje upadku komunizmu i odzyskania przez Polskę niepodległości? Jeśli tak, jak Pan sobie to wyobrażał? Co w wydarzeniach z lat 1989–1991 było dla Pana najbardziej zaskakujące, co sprawiło Panu największą radość, co było największym rozczarowaniem?

Jerzy Giedroyc: Byłem od bardzo dawna przekonany, że imperium sowieckie upadnie i że wskutek tego Polska odzyska niepodległość. Nie przypuszczałem jednak, że to może nastąpić tak szybko i jeszcze za mego życia.

W wydarzeniach z lat 1989–1991 największą radość sprawiła mi postawa społeczeństwa: niezmiernie jednolita, zdecydowanie antykomunistyczna i gotowa do największych poświęceń. Ta postawa społeczeństwa niestety nie tylko nie została wykorzystana, ale przeciwnie, zmarnowana. Największym rozczarowaniem była dla mnie postawa nowej elity politycznej, która doszła do władzy. Była ona do tego zupełnie nieprzygotowana. Walczyła cały czas jedynie o nawiązanie dialogu z władzą komunistyczną, niezmiernie przeceniała siłę PZPR-u i na skutek tego z miejsca poszła na niepotrzebne koncesje i ustępstwa. Była również zupełnie nieorientowana w rozpadzie imperium sowieckiego i jego słabości, żyjąc w ciągłym strachu przed reakcjami Moskwy. Ten strach paraliżował jakąkolwiek szerszą działalność, specjalnie na Wschodzie. Dawna opozycja zupełnie nie liczyła, że może nastąpić odzyskanie niepodległości i że ona dojdzie do władzy, wobec tego nie miała przygotowanych ani kadr, ani przepracowanych ważniejszych zagadnień. Przez lata walczyłem o to, żeby się tym zająć. Pieniądzy było wystarczająco dużo, było wielu bezrobotnych intelektualistów i specjalistów, którzy mogli poszczególne tematy opracować, jak np. współpracę z Ukrainą czy z Rosją, gdy Polska odzyska niepodległość.

Zwracałem uwagę, jaką rolę tego rodzaju przygotowawcze prace odegrały w czasie konferencji pokojowej w Wersalu po pierwszej wojnie światowej. Były

* W Centre du Dialogue w Paryżu, 6 XII 1991.

przygotowane opracowania ze wszystkich dziedzin; niestety tego obecnie całkowicie nie brano pod uwagę, uważając to za jedną z moich fobii.

K. P.: Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Pan dorobek Drugiej Rzeczypospolitej? Jakże pozostawił on wzorce do naśladowania? Jakże przykłady negatywne?

J. G.: W tej chwili panuje tendencja do bezkrytycznego brązowania tego okresu. Niewątpliwie było w dwudziestoleciu bardzo dużo rzeczy pozytywnych i godnych naśladowania.

Przed wszystkim z miejsca dokonano ogromnego wysiłku scalenia państwa wszystkich trzech zaborów, uruchomiono w niezwykle szybkim tempie zniszczony przemysł, wyszkolono wojsko, co było przecież improwizacją.

Jedną z cech bardzo ważnych i pozytywnych była ogromna uczciwość. Pensje urzędnicze były bardzo niskie, niemniej jednak nadużycia i łapownictwo zdarzały się bardzo rzadko. Nie wykorzystywano stosunków i protekcji. W całej historii dwudziestolecia była tylko głośna sprawa *trafic d'influence* Parylewiczowej. Gdy premier Świątalski pojechał do Nicei na wakacje samochodem służbowym, placąc z własnej kieszeni za benzynę czy reperację – wywołało to taką burzę, że spowodowało jego dymisję. Wystrzone poczucie państwowości, służby i ofiarności dla państwa było tak silne, że np. po klęsce wrześniowej i porachunkach z sanacją, które prowadził gen. Sikorski, wszyscy przywódcy, jak marszałek Śmigły-Rydz czy min. Beck, zgłosili chęć współpracy, poinformowania o ich działalności – przecież w wielu wypadkach poufnej – jak np. umowa polsko-francuska czy pertraktacje z Anglią. Niestety zaślepienie partyjne spowodowało odrzucenie tej gotowości, z jakże wielką stratą dla sprawy polskiej. Tak np. przekazane do Angers materiały dotyczące umowy polsko-francuskiej nie były nawet rozpakowane.

Nie brakowało także spraw negatywnych: katastrofalna polityka narodowościowa, pacyfikacja Małopolski Wschodniej, niszczenie cerkwi, tendencje antysemityczne i dyktatorskie, które ujawniały się w ostatnich latach przedwojennych, zaniedbanie kryzysu rolniczego, przeludnienie wsi, sztywna polityka finansowa (np. odmowa dewaluacji złotego), skłonność do działań nielegalnych, jak sprawa brzeska, i próby naginania sądownictwa dla celów politycznych, okłamywanie społeczeństwa przez ukazywanie mu w sposób przesadnie optymistyczny potęgi kraju i wojska.

K. P.: Jak określiłby Pan miejsce PRL-u w historii Polski: a) Czy można mówić o „czarnej dziurze”? Czy uważa Pan za trafne określenie „Trzecia Rzeczpospolita”? Czy między PRL-em a Polską dzisiejszą widzi Pan jakąś ciągłość? Jaką?; b) Jaki jest Pana pogląd na „dekomunizację” rozumianą jako prawny zakaz zajmowania stanowisk publicznych przez byłych członków lub działaczy PZPR-u?

J. G.: „Trzecia Rzeczpospolita” to jakby stwierdzenie, że bezpośrednio po prezydencie Mościckim był prezydentem Wałęsa. Jest to zwykła bzdura. PRL, mi-

mo zwasalizowania przez Związek Sowiecki, był jednak w pewnym sensie państwem polskim i na niektórych odcinkach dokonał rzeczy pożytecznych dla interesów Polski. Trzeba pamiętać, że nie tylko Stalin i KGB, ale także sami Polacy brali udział w zniewoleniu Polski, we wszystkich zbrodniach i nadużyciach.

Ciągłość między PRL-em a Polską dzisiejszą podkreśliła zresztą sama „Solidarność”, przeformowując różnymi sztuczkami gen. Jaruzelskiego na prezydenta Polski czy w pewnej mierze fałszując wybory do Sejmu, aby nie wyglądało to na pogrom PZPR-u.

Przy okazji uwaga: nową elitę rządzącą cechuje po prostu brak dobrych manier: np. robienie nieprzyzwoitych sztuczek, by prezydentura Wałęsy nie została przyjęta z rąk Jaruzelskiego, czy nawet niezaprośzenie go na intronizację Wałęsy.

„Dekomunizacja” czy różne grube kreski także są bzdurą. Wśród byłych członków PZPR-u było wiele osób przyzwoitych i cennych, nie mówiąc o tym, że przynależność do PZPR-u można się dopatrzyć w życiorysach wielu przywódców obecnego establishmentu. Natomiast jest zaskakujące, że nie pociągnięto do odpowiedzialności działaczy bezpieki, sędziów i prokuratorów odpowiedzialnych za haniebne represje i morderstwa. Sprawa ks. Popiełuszki i Przemysła – to grubo nie wszystko. Jest rzeczą niezrozumiałą, że nie zabezpieczono tajnych akt Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i bezpieki, nie mówiąc już o wywiadzie i kontrwywiadzie. Te wszystkie akta powinny być zebrane w jednym miejscu, uporządkowane przez osoby godne zaufania. Ma się rozumieć, powinny one być tajne, ale powinny też służyć jako cenny materiał dokumentacyjny, niezmiernie potrzebny do oczyszczenia atmosfery politycznej w kraju, która jest zatrutowana plotkami, publikowaniem różnych „niedyskrecji” ogłaszanych dla rozgrywek personalnych.

K. P.: Jak z perspektywy dnia dzisiejszego ocenia Pan „Solidarność”?

J. G.: Negatywnie. Był to wspaniały zryw świata robotniczego i postępowej inteligencji, który w dużym stopniu został zmarnowany przez euforię, przecenianie własnych możliwości. Stan wojenny zastał „Solidarność” zupełnie do tego nieprzygotowaną, bez zabezpieczenia ciągłości pracy i wypracowania linii postępowania. W czasie stanu wojennego pewne rzeczy zostały odbudowane nawet bardzo imponująco, jak prasa i wydawnictwa podziemne, ale jednocześnie powstały rozłamy i rozgrywki personalne. Dziś jest najwyższy czas, żeby odłożyć „Solidarność” do archiwum, a nie traktować ją jak dziurawy parasol, pod którym chce się chować różne rzeczy.

K. P.: Jaka, Pana zdaniem, powinna być w Polsce – dziś i w najbliższej przyszłości – rola państwa? W gospodarce? W kulturze?

J. G.: Przez dłuższy czas rola państwa będzie bardzo duża. Przekształcenie się gospodarki Polski bez ingerencji państwa jest właściwie niemożliwe. To, że

w tej chwili ta rola państwa jest głupia i szkodliwa, nie zmienia faktu, że bez działalności państwa jest niemożliwe przejście do nowego typu gospodarki. Tak samo rola państwa powinna być bardzo duża w dziedzinie kultury. Bez pomocy państwa nie mogą funkcjonować teatry, film, imprezy kulturalne krajowe czy międzynarodowe, życie naukowe, wydawnictwa wartościowe, które nie mogą liczyć na samodzielne utrzymanie się, etc.

K. P.: Jaka jest Pana wizja ustroju Polski?; a) Z jakich wzorów winni czerpać autorzy nowej konstytucji; b) Jak widzi Pan stosunki władzy ustawodawczej i wykonawczej, rolę urzędu prezydenckiego, organizację aparatu państwowego, stosunki między państwem a Kościołem katolickim?

J. G.: Przede wszystkim należy sprecyzować uprawnienia prezydenta, do których należą w pierwszym rzędzie: mianowanie premiera (ale nie odwoływanie go), rozwiązanie parlamentu, wprowadzenie stanu wyjątkowego, mianowanie naczelnego wodza.

Wybór prezydenta powinien nastąpić nie w wyborach powszechnych, ale przez zgromadzenie elektorów, z których jedna trzecia składałaby się z przedstawicieli samorządów terytorialnych, jedna trzecia z samorządów i związków zawodowych, jedna trzecia z instytucji naukowych i kulturalnych.

Należy zredukować co najmniej o jedną trzecią liczbę posłów i senatorów.

Dla uniknięcia rozdrobnienia partyjnego – czego świadkami jesteśmy obecnie – należy wprowadzić, na wzór Niemiec, barierę uzyskania w wyborach co najmniej 5% głosów.

Ustalenie trybunałów rozjemczych, rozwiązujących konflikty i ograniczających prawo strajku, jeśli idzie o pracowników służby zdrowia, transportu i bezpieczeństwa.

Jeśli idzie o okres przejściowy, to należy się opierać na obecnie obowiązującej konstytucji. Wszystkie próby wprowadzenia „małej konstytucji” są szkodliwe i wprowadzają tylko zamieszanie.

Jeśli idzie o stosunki państwa z Kościołem, to są one regulowane przez konordat z Watykanem.

Działalność Kościoła nie może być sprzeczna z ustawodawstwem państwowym. Jest niedopuszczalne, jak to miało miejsce przy ostatnich wyborach, aby Kościół, czyli znakomita większość proboszczów, ustalał listy partii i osób, na które należy głosować, przy czym propagandę prowadzono jeszcze w dniu wyborów.

Powinien być przeprowadzony rozdział Kościoła od państwa.

Należy ustalić taryfy za usługi kościelne.

Należy zakazać ściągania z obywateli zamieszkałych w danych parafiach prawdziwych haraczów na budowę kościołów, jak to ma miejsce np. przy budowie kościoła na Okęciu.

Należy anulować niezrozumiałe przywileje, jak na przykład nadziały ziemi dla parafii z państwowego zapasu ziemi, której nie ma dla reemigrantów ze Związku Sowieckiego.

K. P.: Jakie są, Pana zdaniem, niebezpieczeństwa wewnętrzne, które grożą dziś Polsce?

J. G.: Zniechęcenie i desperacja społeczeństwa obniżającym się stale poziomem życia, rosnące bezrobocie, kryzys rolniczy, brak zaufania do władzy. Tego rodzaju sytuacja może grozić niekontrolowanym wybuchem.

K. P.: Jakie są niebezpieczeństwa zewnętrzne?; a) Czy podziela Pan pogląd tych, którzy utrzymują, że Polska nie musi się interesować Rosją, gdyż ta nie jest naszym sąsiadem? Jak Pan widzi przyszłą rolę Rosji?; b) Czy uważa Pan za uzasadnione obawy związane z możliwością pojawienia się na wschodniej granicy Polski niepodległej Ukrainy wyposażonej w broń nuklearną?; c) Czy, Pana zdaniem, możliwe jest gospodarcze i cywilizacyjne skolonizowanie Polski przez Niemcy?

J. G.: Rosja jest ciągle dla nas bardzo ważnym partnerem zarówno politycznym, jak i gospodarczym. Jest więc rzeczą wielkiej wagi znormalizowanie stosunków polsko-rosyjskich.

Niepodległość Ukrainy ma dla Polski ogromne znaczenie. Bardzo dobrze się stało, że Polska pierwsza tę niepodległość uznała i nawiązała stosunki dyplomatyczne. Nie obawiam się zagrożenia nuklearnego ze strony Ukrainy, wręcz przeciwnie. Ukraina chce usunąć ze swego terytorium broń nuklearną. Obawiam się jedynie koncentracji broni nuklearnej w republice rosyjskiej. Niebezpieczeństwem jest natomiast narastanie nastrojów skrajnie nacjonalistycznych różnych grup politycznych, na szczęście – jak dotąd – nielicznych. Z analogicznymi tendencjami w społeczeństwie polskim należy walczyć jak najbardziej energicznie.

Nie wierzę w gospodarcze i cywilizacyjne skolonizowanie Polski przez Niemcy. Przy całym pesymizmie, jeśli idzie o sytuację Polski, nasza prężność kulturalna jest wystarczająco silna. Trzeba natomiast wiele rzeczy uporządkować, jak np. sprawę Śląska, ale to jest osobne zagadnienie.

P. K.: Czy, Pana zdaniem, Polska ma jakieś szczególne obowiązki wobec swych sąsiadów z północy i ze wschodu, zwłaszcza wobec Litwy? Na czym one polegają?

J. G.: Pomijając względy historyczne i sprawę mniejszości polskiej na Litwie, bez współpracy z Litwą nie jesteśmy w stanie rozwiązać np. problemu Okręgu Kaliningradzkiego. Okręg ten, jeżeli zostanie zaludniony przez Niemców rosyjskich, może być dla nas ogromnym zagrożeniem w przyszłości.

Równie ważna dla interesów polskich jest Białoruś. Jest to splot zagadnień bardzo dla Polski istotnych ze względów przede wszystkim narodowościowych i religijnych.

K. P.: Jak zapatruje się Pan na współpracę regionalną w Europie Środkowej, zwłaszcza w trójkącie Polska–Czechosłowacja–Węgry?

J. G.: Ta współpraca ma dla nas ogromne znaczenie, gdyż może być ośrodkiem stabilizacyjnym dla tej części Europy zarówno na odcinku gospodarczym, jak i wojskowym. Po załamaniu się paktu warszawskiego i niemożności wejścia do NATO – co zresztą miałyby swoje złe strony – możliwość stworzenia współpracy na odcinku wojskowym na wzór Francja–Niemcy byłaby doskonałym rozwiązaniem. Jest to bardzo trudne ze względu na niechętny stosunek tych krajów do nas, spowodowany naszymi błędami.

K. P.: Jaką rolę winna, Pana zdaniem, odgrywać w obecnych warunkach emigracja polska? Czy można mówić o emigracji politycznej?

J. G.: Emigracja polityczna – jeśli przez nią rozumieć ośrodek londyński – przestała istnieć z chwilą przedwczesnego przekazania insygniów Polski Waleśie i podporządkowania mu czynności likwidacyjnych. Polski Londyn ma ciągle bardzo duże znaczenie na odcinku historyczno-kulturalnym i dlatego znaczne zasoby finansowe nie powinny w żadnym wypadku być przekazane do Polski, ale zużyte na zabezpieczenie działalności Instytutu im. gen. Sikorskiego, Biblioteki Polskiej w Londynie i Biblioteki Polskiej w Paryżu. Należy kategorycznie się sprzeciwić istniejącym tendencjom przekazania do Polski zbiorów i archiwów. Losy Rapperswilu są wyraźnym ostrzeżeniem, a ponadto w obecnej sytuacji Polska nie jest w stanie tych zbiorów odpowiednio zabezpieczyć i utrzymać.

Złym objawem jest inflacja dekoracji i awansów, nieustanne jazdy do kraju dygnitarzy emigracyjnych dla przyjmowania różnych zaszczytów, branie udziału w ważniejszych wydarzeniach krajowych – typowej roli *swadiebnowo gienierala*.

Komisja Likwidacyjna wyznaczyła sobie pensje, rewizorzy p. Waleśy też kosztują. To wszystko uszczupla pieniądze z takim trudem i wysiłkiem zbierane przez szeregową emigrację.

Należy również rozwiązać sprawę obywatelstw emigrantów polskich na Zachodzie. Jestem przeciwny utrzymaniu podwójnego obywatelstwa. Trzeba uporządkować współpracę Polski z emigracjami na Zachodzie, a specjalnie w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i Niemczech. Jest to problem bardzo złożony i jak dotąd „Wspólnota Polska” nie daje sobie z tym rady. Dotyczy to w najwyższym stopniu Polaków na terenie byłego Związku Sowieckiego, gdzie nie mamy żadnej koncepcji działania. Ale to jest osobny, ogromny temat.

K. P.: Jaka jest Pana wizja Polski i jej roli odgrywanej przez nią w Europie i w świecie?

J. G.: Jak już wielokrotnie mówiłem, nasza rola w tej chwili może być ogromna. Jest obecnie koniunktura, jakiej nie mieliśmy od paruset lat. Mamy wszelkie da-

ne, by przyczynić się do stabilizacji tej części Europy i być łącznikiem między Wschodem a Zachodem. Możemy też mieć wielki wpływ na procesy demokratyzacyjne w Rosji i na Ukrainie. Pytanie, czy tę koniunkturę jesteśmy w stanie wykorzystać. Osobiście jestem pesymistą.

[1–2/1992]

Jak wyjść z impasu?

Obecna sytuacja w parlamencie uniemożliwia stworzenie rządu – a jeżeli to nastąpi na skutek różnych kompromisów, będzie to rząd rozdarty sprzecznościami i niezdolny do działania. Jedynym wyjściem z tej sytuacji byłoby powołanie przez prezydenta Rządu Ocalenia Narodowego, złożonego z osób kompetentnych i o dużym autorytecie moralnym. Wyobrażam sobie, że premierem mogłaby zostać pani Łętowska jako osoba o dużym i niekwestionowanym autorytecie moralnym i reprezentująca poczucie prawa. Skompletowanie rządu nie powinno nastroczać wielkich trudności. W Polsce jest wielu ludzi kompetentnych, odpowiadających tym warunkom.

Specjalne pełnomocnictwa dla rządu winny być uchwalone na okres jednego roku.

Najpilniejszymi zadaniami dla rządu byłyby:

- Energiczna walka z korupcją i nadużyciami. Anulowanie decyzji premiera Bieleckiego o uczestniczeniu członków rządu i urzędników w prywatnych przedsiębiorstwach. Tego nie ma na całym świecie. Już powstają plotki o aferach kompromitujących najwyższe autorytety państwowe. Nie należy cofnąć się przed utworzeniem sądów specjalnych dla takich spraw.

- Zawieszenie wszelkich rewindykacji. Wszelkie konfiskaty z okresu PRL-u – jeżeli były zgodne z ówczesnym ustawodawstwem – nie powinny podlegać rewindykacjom, z wyjątkiem wypadków oczywistego bezprawia.

Dzieła sztuki, które zostały zabrane właścicielom i znajdują się obecnie w muzeach, nie mogą być rewindykowane. Właścicielom pozostaje prawo zaznaczenia, że dane obiekty stanowiły ich własność. Jakakolwiek tolerancja w tych sprawach spowoduje, że będą one natychmiast sprzedawane za granicą.

- Powołanie komisji nadzwyczajnej do uporządkowania istniejącego ustawodawstwa, które jest w kompletnym chaosie i uniemożliwia jakąkolwiek działalność społeczną i gospodarczą.

- Scentralizowanie licznych ministerstw i biur gospodarczych w jedno Ministerstwo Gospodarki Narodowej. Ramą wytyczną dla tego ministerstwa będzie w pierwszym rządzie popieranie rzemiosła i średniego przemysłu.

Rola kapitałów zachodnich jest niewątpliwie ważna, ale gospodarka powinna być w pierwszym rządzie oparta na kapitale krajowym, który choć słabo, ale

istnieje. Jest on w tej chwili dyskryminowany. Trzeba w stosunku do niego zastosować przynajmniej te wszystkie ulgi i przywileje, które daje się kapitałom zagranicznym. Jeśli idzie o prywatyzację przedsiębiorstw, to należy wprowadzić więcej jasności w istniejących przepisach. Przede wszystkim prywatyzacja musi się odbywać na zasadzie jawnych i publicznych przetargów.

– Uporządkowanie spraw wojskowych. W tej dziedzinie panuje kompletny chaos. Do tej chwili nie ma żadnej polskiej doktryny wojskowej. Wysła się bez sensu stażystów do wszystkich krajów zachodnich, a nawet do Związku Sowieckiego (40 osób), co tylko pogłębia bałagan. Należy zdecydować się na stworzenie – na wzór lat dwudziestych – Akademii Wojskowej przy pomocy Francji, która w tamtych latach formowała kadrę oficerską. Jednocześnie winna być przeprowadzona szeroka akcja kulturalno-oświatowa w wojsku.

Wykorzystanie wojska dla służby bezpieczeństwa publicznego, gdyż policja jest zbyt słaba i źle wyposażona.

Wykorzystanie wojska w punktach granicznych dla uściślenia i przyspieszenia kontroli i usprawnienia działalności. Idzie tu również o walkę z przemytem i korupcją:

– Powołanie specjalnego ministerstwa, a właściwie przekształcenie już istniejącego, do spraw ekologii. W tej dziedzinie nic się nie robi i nawet nie są wykorzystywane bardzo znaczne kredyty przyznane chociażby przez kraje skandynawskie. Wymaga to również koordynacji z sąsiednimi krajami.

– Sprawa Śląska. Jest to sprawa niezmiernie ważna, m.in. w stosunkach polsko-niemieckich. Powołanie parosobowej komisji, która w ciągu pół roku winna przedstawić rządowi konkretne propozycje.

– Stworzenie przy Radzie Ministrów biura do spraw narodowościowych, którego pilnym zadaniem byłoby opublikowanie dokumentacji dotyczącej operacji „Wisła”. To też winno być załatwione w ciągu pół roku.

– Pomoc dla mniejszości litewskiej i zaspokojenie jej potrzeb kulturalnych i religijnych.

– W radiu i telewizji powinny być audycje w językach litewskim, białoruskim i ukraińskim.

Wszystkie te sprawy, nie mówiąc o zagadnieniach kulturalnych, wymagają pieniędzy, których nie ma.

Tymczasem w Polsce powstała liczna klasa miliarderów, i to nie tylko w złołótkach. Niezależnie od podatków należy nałożyć na nich jednorazową kontrybucję w wysokości 10% posiadanego majątku. Kontrybucja ta powinna stworzyć fundusz specjalny, którym będzie dysponował premier do realizacji wyżej wskazanych potrzeb kulturalnych, w tym również potrzeb mniejszości słowiańskich.

– Należy wprowadzić zakaz przyjmowania subwencji zagranicznych przez organizacje polityczne (*vide* ostatnio ujawnione ogromne subwencje ze Związku Sowieckiego dla komunistycznych organizacji w Polsce). Tego rodzaju dotacje

są również udzielane z Zachodu. Jak się dowiadujemy z polskiej prasy, liczy na nie nowo powstały Instytut Obywatelski.

– Drastyczne ograniczenie przerostów biurokratycznych w Urzędzie Rady Ministrów i w różnych ministerstwach i urzędach powoływanych w pierwszym rządzie przez prezydenta o nieokreślonych zadaniach i kompetencjach. Ograniczenie liczby ministrów stanu.

– Likwidacja kosztownych doradców zachodnich.

Rozmnożyła się ogromna ilość kursów, stypendiów, z których znakomita większość jest pretekstem do wyjazdu. Trzeba położyć nacisk na szkolenie fachowców, jak np. ostatnio wprowadzone staże dla Francuzów w przemyśle samochodowym niemieckim. Te wszystkie staże są monopolem inteligencji, a rzeczą równie ważną jest szkolenie fachowców wśród wykwalifikowanych robotników, np. w kolejnictwie.

– Należy stworzyć przy Urzędzie Rady Ministrów biuro studiów dla przeprowadzenia niezbędnych reform w służbie zagranicznej, działalności informacyjnej i kulturalnej za granicą. Tu jest bardzo niedobrze. Można te sprawy nie tylko usprawnić, ale również zapobiec marnowaniu pieniędzy, których jest tak mało.

– Polskim fenomenem jest ogromna popularność tygodnika „Nie”. Wynika to stąd, że społeczeństwo jest całkowicie nieinformowane o tym, co dzieje się w kraju. Rola tzw. rzeczników prasowych polega głównie na aroganckim odmawianiu informacji. Społeczeństwo należy wychowywać, ale przede wszystkim informować tak, żeby nie musiało szukać wiadomości w pismach podobnych jak „Nie”. Wymaga to reorganizacji telewizji i radia. Wzorem powinno tu być angielskie BBC.

– Społeczeństwo należy wychowywać i to powinien robić rząd. Po 45 latach komunizmu i sowytyzacji Polacy zagubili dawniej posiadane cechy, jak uczciwość i patriotyzm. Dzisiaj myśli się tylko o sobie. Dużo mówi się ostatnio o demokracji, ale tego wszystkiego należy ludzi uczyć.

Klasa rządząca z prezydentem na czele winna dawać społeczeństwu przykład surowego, jeśli nie ascetycznego trybu życia.

Należy zlikwidować w pierwszym rządzie domy wypoczynkowe. Dla celów reprezentacyjnych wystarczą jakieś trzy rezydencje, tak jak to było za czasów międzywojennych – resztę należy przekazać na cele społeczne (szpitale dla dzieci *etc.*)

Jest niedopuszczalne zakupywanie niesłychanie luksusowych samochodów i samolotów. Do krajów zamorskich można latać samolotami normalnych linii lotniczych. Helikoptery należy kupować nie za granicą, ale w kraju, gdyż mamy własną dobrą produkcję.

Należy zlikwidować ogromny park samochodowy przy Urzędzie Rady Ministrów. Wprowadzić zakaz używania samochodów służbowych do celów prywatnych.

Podróże służbowe nie muszą odbywać się samochodami. Kolej wystarczy, a często jest to szybszy sposób lokomocji.

Ograniczenie przyjęć i nie muszą być tak luksusowe. Podróże prezydenta powinny również być skromniejsze. Niekoniecznie z kilkudziesięcioosobowym „dworem” i z tak luksusowymi przyjęciami, jak to miało miejsce w czasie wizyty prezydenta w Londynie.

Ograniczenie przesadnych środków bezpieczeństwa i ochrony prezydenta. Sytuacja w kraju jest zła, ale nie ma podstaw do obawiania się zamachów terrorystycznych.

Ograniczenie, i to drastyczne, nieustannych rozjazdów po świecie senatorów i posłów, które przybierają już groteskowe rozmiary. Duże oszczędności można uzyskać przez ograniczenie rozjazdów radia, telewizji i dziennikarzy. Sieć korespondentów jest przecież bardzo rozbudowana, nie mówiąc o biurach prasowych placówek dyplomatycznych i instytucjach polskich.

Nie tracę nadziei, że konieczność stworzenia Rządu Ocalenia Narodowego zostanie przyjęta przez prezydenta i parlament. Można się z wieloma punktami powyższego zarysu programu nie zgadzać, można wysunąć inne priorytety, ale nie ma innego wyjścia. Należy szokiem przełamać znieczulicę społeczną, zmobilizować wszystkich wartościowych ludzi do pracy nad wyjściem z kryzysu, pracy ciężkiej i wymagającej poświęceń. Jeśli się to nie uda... wolę nie myśleć, co się stanie z Polską. Nieprzyjęcie koncepcji Rządu Ocalenia Narodowego obciąży ogromną odpowiedzialnością przed historią ludzi, którzy mają o tym decydować.

[1-2/1992]

KRZYSZTOF WOLICKI

Spadanie

1. Na początku maja upadek premiera Jana Olszewskiego wydawał się nieuchronny. Podobny raczej do rannego byka na corridzie niż do misia koalicyjnego z „Polskiego zoo”, premier brnął od nieudanych spotkań z prezydentem do nieudanych wystąpień w Sejmie. Z Wałęsą miał uzgodnić jakiś podział kompetencji, jakiś *modus vivendi*; nie dogadali się nawet na tyle, by się uprzedzać wzajemnie o swych zamierzonych wystąpieniach publicznych. (Kiedy 8 maja prezydent wygłaszał orędzie w Sejmie, premier nie przyszedł. Podobno go nie powiadomiono na czas o godzinie, ale sądzę, że nie znając tekstu, obawiał się publicznego ataku ze strony prezydenta. Ten tymczasem przyszedł raczej łagodnie: „nie wolno myśleć o nowych wyborach, a tylko o metodach skuteczniejszej pracy i systemowych rozwiązaniach służących skuteczności [...]”, podejmując jeszcze raz próbę wkomponowania się w obecny układ parlamentarny” itd. Oto jeden z wielu przykładów zerwanej komunikacji, nie mówiąc już o współpracy.) W Sejmie premier ironizuje na temat państwa prawa i bezprecedensowych ponoć uprawnień Trybunału Konstytucyjnego, co w ustach prawnika może być jedynie wyrazem głębokiego lekceważenia słuchaczy. Po drodze od prezydenta do Sejmu premier wpada na konferencje prasowe, na których z reguły nie ma nic do powiedzenia, ale za to mówi to z namaszczeniem, z przerwami, rąbiąc słowa, żeby lepiej doszło. Ponieważ jednak tekst jest informacyjnie pusty, zatem im bardziej akcentowany, tym bardziej wydaje się wyzywający. Do tego dołącza się ulubiona figura retoryczna rządzącej koalicji, którą środki przekazu nieustannie ponoć krzywdzą. Jan Olszewski widzi się nadal adwokatem spraw przegranych, choć moralnie słusznych. Tym skwapliwiej dziennikarska i sejmowa gawiedź wytrzeszcza oczy, wypatrując chwili, gdy ranny byk padnie na piasek...

Jedynym w istocie czynnikiem, który sprawiał, że gabinet Jana Olszewskiego ciągle jeszcze trwał, była niegotowość i przeciwników, i przyjaciół politycznych premiera, całej bez mała klasy politycznej, do podjęcia już teraz ryzyka kryzysu rządowego, który nadciągnął jak gdyby wbrew jej woli, zbyt prędko, zbyt gwałtownie i ze zbyt wielu stron naraz.

Przyjaciele polityczni premiera, którzy dopiero co wierzyli, że uda się spacyfikować i zneutralizować opozycję parlamentarną dzięki „rozszerzeniu koalicji

wokół programu” („program mamy wspólny, a fotele nasze”), przekonali się ze zdumieniem, iż, całkiem odwrotnie, nieudane rokowania skonsolidowały opozycję, natomiast koalicja rządowa kurczy się, a nie rośnie. Odpadł Artur Balazs z PSL „S”, wysiadł Andrzej Olechowski, drugi oficer, który liczy, być może, że mu armator Wałęsa zaoferuje dowództwo następnego statku. Paweł Łączkowski (pseudo-sejmowe: kogucik na dachu) wycofał z koalicji swoją partię Chrześcijańską Demokrację, aby ująć się za obrażonym przez premiera prezydentem. Porozumienie Centrum, które nazywają już Centralnym Nieporozumieniem i w którym nawet taki żongler jak Jarosław Kaczyński przestaje panować nad skłóceniem wewnętrznym (chadecy – niechadecy, parysowcy – antyparysowcy, populiści – liberałowie), rozgląda się za kandydatami na premiera: może Jerzy Eysymontt? a może Adam Strzembosz? lub w ostateczności Wiesław Chrzanowski? Tak czy inaczej, przyjaciele polityczni Jana Olszewskiego – i jest w tym niewątpliwa ironia polityki – chcieliby koniecznie, żeby kryzys rządowy, jeśli już nie uda się go uniknąć, wyglądał na kryzys personalny, niepowodzenie osobiste premiera, skutek zwłaszcza jego skłóceń z prezydentem, którego konfliktowa osobowość stanowiłaby drugi biegun kryzysu. Stąd także, wśród koalicjantów, niewspółmiernie wielka rola, jaką w spowodowaniu kryzysu przypisuje się demonicznym doradcom, Najderowi u Olszewskiego, Wachowskiemu u Wałęsy. Niezależnie jednak od rzeczywiście nadmiernej roli, jaka na źle zinstytucjonalizowanej scenie władzy przypada u nas osobowościom polityków, ta prosta i wygodna eksplikacja kryzysu już nie trafia do przekonania. Świadczy o tym chociażby zupełny zamęt w odpowiedziach na ankiety socjologów, którzy chcieliby wydobyć z respondentów, jak im się kojarzy kryzys rządowy z odpowiedzialnością polityków. Rozrzut odpowiedzi jest zupełnie chaotyczny.

Jeśli przyjaciele premiera nie umieją jeszcze wyjść poza personalny aspekt kryzysu rządowego, to w opozycji jest tylko w części lepiej. „Mała koalicja” Unii Demokratycznej, Kongresu Liberalno-Demokratycznego i Polskiego Programu Gospodarczego przedstawia się opinii jako „osłona reform prowadzonych demokratycznymi metodami”. Inicjatywy polityczne gabinetu Olszewskiego (zwłaszcza ministrów Stelmachowskiego, Kropiwnickiego, Parysa, Macierewicz i Włodarczyka) i w ogólności jego styl rządzenia przywróciły tej wytartej formule nieco wiarygodności i pewną atrakcyjność, ponieważ niezręczności i otwarta zła wola strony rządowej kierują uwagę opinii właśnie ku obronie „demokratycznych metod”, natomiast pozwalają jej raczej zapomnieć, że samych „programów reform” rządu i opozycji nie daje się odróżnić. Przynajmniej nie na poziomie owocnym wyborczo. Nad takim rozróżnieniem mała koalicja dopiero zaczyna pracować, stąd np. jej zwrot ku problematyce samorządu terytorialnego, po dwuletnim milczeniu. Tak więc trzy partie opozycyjne są wprawdzie w stanie wyjść poza personalia, ale bynajmniej nie docierają jeszcze do społeczno-ekonomicznych korzeni kryzysu. Nie docierają – nie znaczy, oczywiście, że o nich nie wiedzą. Nie umieją się jednak do tej wiedzy ustosunkować polity-

cznie, to znaczy powiedzieć wyborcy, o ile i dlaczego ich rząd miałby w tej dziedzinie bardziej atrakcyjną ofertę.

Najmniej przygotowany na ryzyko natychmiastowego kryzysu rządowego jest, paradoksalnie, sam prezydent Wałęsa, mimo że najgłośniejszy o tym kryzysie mówi. Partia prezydenta, która ma być definitywną bronią Belwederu, na wypadek gdyby partnerzy nie przyjęli postulowanych „usprawnień”, jest już dziś mało przekonująca. Nie tylko dlatego, że popularność prezydenta bardzo zmalała, ale zwłaszcza dlatego, że nie widać dość skutecznych polityków, którzy chcieliby odegrać rolę drużynowych u Wałęsy: na pewno nie będą nimi dawni generałowie z OKP, ani pierwszego, ani drugiego, ale też nie przyjmą takiej roli grający na własny rachunek Moczulski czy Pawlakowie. Manifestacja „Solidarności” w Warszawie, która dała poniekąd początek ostrej fazie kryzysu rządowego, ukazała dowodnie, że związek przestał już być bazą polityczną Wałęsy. Mimo wysiłków pierwszego organizatora pochodu, Mieczysława Gila, i mimo usilnych prezydenckich umizgów Wałęsie gwizdano mniej niż posłom i premierowi, ale gwizdano...

2. Kryzys rządowy wiszący nad Polską jest w swej istocie kryzysem młodego państwa, owej Trzeciej Rzeczypospolitej. Wraz ze swobodami indywidualnymi to znów w pełni suwerenne polskie państwo jest ogromną, ale też jedyną zdobyczą Polaków po upadku komunizmu. Na niej właśnie i tylko na niej zasadza się cała szansa narodu i zwłaszcza jego młodszych pokoleń; szansa i gotowość do ofiar. Otóż Trzecia Rzeczpospolita jest z jednej strony przedmiotem konfiskaty, z drugiej rozczarowania. Razem nazywało się to kiedyś alienacją państwa. Proces tej alienacji trwa niemal od początku, od 1989 roku; piszący te słowa jest zdania, że zagrożenie było nieodłączne od samej strategii Okrągłego Stołu (mówiłem o tym m.in. w dyskusji w „Tygodniku Powszechnym”, nr 19/1992). Nie dyskwalifikuje to jeszcze owej strategii, ale wymagało, niewątpliwie, specjalnych starań, których potem zabrakło. Nie będę jednak powracał do historii minionych trzech lat. Jesteśmy w maju 1992. Punktem wyjścia dla nowej ekipy u władzy było właśnie bardzo głośne potępienie owej alienacji – i bardzo szczególna kuracja. Lekiem na alienację państwa ma być mocne państwo. Dla obecnej ekipy mocne państwo to przede wszystkim państwo lepiej określone. A więc, na przykład, nie po prostu polskie, lecz polskie i katolickie. I nie takie sobie, rozmamlane, demokratyczne, oddzielające prywatność od sfery publicznej, sferę publiczną od administracji państwowej i wreszcie administrację od każdorazowego rządu. Mocne państwo to państwo dobrze widoczne, nieustannie celebrujące, państwo, które ukazuje swym obywatelom, gdzie tkwi samo jądro państwowości, kwintesencja Trzeciej Rzeczypospolitej. W rządzie rzecz jasna. Nade wszystko zaś mocne państwo powinno mieć wrogów, a jeśli z pewnych względów nie wypada o nich mówić w czasie teraźniejszym, to przynajmniej trzeba pamiętać o wrogach przeszłych i przyszłych. Zewnętrznych i wewnętrznych.

Otóż Polska rzeczywiście potrzebuje mocnego państwa. Ale to znaczy państwa o sprawnych służbach publicznych, w którym policja nie pozwala ludziom

tonać, jak owemu kierowcy fiata, pogrążającemu się w podwarszawskim stawie, bo akurat jest niedziela i nie ma dyżuru. Mocnego państwa, to znaczy również państwa ścigającego każde przestępstwo, gdzie prokuratura nie tłumaczy się brakiem etatów. Mocne państwo stoi na straży interesów społecznych i potrafi interweniować skutecznie w ich obronie, niezależnie od tego, czy się to akurat podobą wyznawcom niewidzialnej ręki rynku. I nade wszystko, mocne państwo stara się mieć jak najwięcej przyjaciół we własnym społeczeństwie i wśród sąsiadów – nie zaś jak najwięcej wrogów. I wreszcie mocne może być li tylko państwo sprawiedliwe. Otóż nie wystarczy świętować upadku komunizmu, aby poradzić sobie z zawsze obecnym podejrzeniem (wcale nie tylko marksowskim), że państwo jest narzędziem w rękach rządzących przeciw rządzonemu, bogatych przeciw biednym, silnych przeciw słabym. Państwo musi się co dnia starać o sprawiedliwość, zarabiać na dobre imię. W sprawiedliwym państwie polskim nie ma miejsca na różne kategorie obywateli, na Polaków bardziej i mniej prawdziwych.

Polsce jest dziś dalej do państwa rzeczywiście mocnego, niż było pięć miesięcy temu. Obóz u władzy obciążają w tym względzie dwa zwłaszcza zespoły faktów: cyniczne posługiwanie się hasłem dekomunizacji dla zastraszenia konkurentów politycznych i umacniania własnych stolków oraz zaognianie konfliktu religijnego, któremu nadaje się wyraźne formy ideologiczne.

Do pierwszego z tych rozdziałów należą kadrowe przedsięwzięcia URM-u i paru kluczowych ministerstw (MSW, MPOS, MON). Szczególnego rozgłosu nabiera tzw. sprawa Parysa (choć, po prawdzie, należałoby mówić o sprawie Parysa-Szeremietiewa). Kierownictwo MON wie, oczywiście, doskonale, że nie ma żadnej szybkiej metody oddzielenia „skomunizowanych” od „nieskomunizowanych” słuchaczy sowieckich akademii wojskowych i wcale mu zresztą nie o to chodzi. Szeremietiew (w telewizyjnych *100 pytań do...*) wyznał niechęć, w czym rzecz: w tym, jak powiedział, żeby „dać sygnał” korpusowi oficerskiemu, że w MON „coś się zmieniło” i żeby ów korpus zareagował. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje w wojsku, w którym kapitanowie otrzymują sygnał, że teraz można prędko zostać generałem. W połowie maja sprawa Parysa miała znaleźć finał. Wiele wskazywało jednak, że w przygotowaniu była już sprawa następna, Macierewicza i czarnych teczek. Zdaniem ministra listę współpracowników SB przygotowywano już przed wyborami parlamentarnymi, z myślą o sprawdzeniu kandydatów. Poprzedni szef MSW, Henryk Majewski, temu przeczy. Pierwsze egzemplarze list (sto kilkadziesiąt nazwisk) już krążą. To jest jednak raczej rubryka skandali, z których żyje szczególna odmiana prasy politycznej („Nie” Urbana nie gorzej niż „Nowy Świat” Wierzbickiego). Narastający konflikt religijny jest sprawą poważną i angażuje poważnych ludzi i bardzo ważne instytucje.

Cytat:

Nauczanie religii w szkołach, oparte na zasadzie dobrowolności (co jest ustępstwem wobec istnienia ludzi odrzucających chrześcijaństwo, chociaż można dyskutować, czy odwraca-

nie się od moralności i demonstrowanie lekceważenia dla systemu wartości, na którym oparta jest nasza cywilizacja i kultura, zasługują na takie samo traktowanie, jak wyznawanie tych wartości) służy społeczeństwu. Nie jest bowiem społecznie obojętne, jak dużo ludzi uznaje i aprobuje zasady moralności chrześcijańskiej. Nikt w zasadzie nie kwestionuje słuszności i społecznej przydatności tych zasad – pomijając całą stronę transcendentną. Dlatego atakowanie nauczania zasad etyki w szkołach jest po prostu atakiem na podstawy ładu moralnego, a pośrednio atakiem na społeczeństwo. Tak też powinno być oceniane i traktowane.

Manifestacje przeciwko Kościołowi są manifestacjami hańby, są przejawem tej samej agresji, którą znajduje się w niektórych listach pełnych inwektyw pod adresem Boga, Marki Najświętszej, Ojca Świętego, dzieci nienarodzonych i ich obrońców, pełnych nienawiści do ZChN-u, polskiego Kościoła, tych wszystkich wartości, w których się wychowałem i o których sądziłem, że w polskie serca i polskie umysły wpisane są na zawsze. A jednak, podobnie jak w latach poprzednich, tylko innymi sposobami, trzeba dziś walczyć o Polskę.

Cytat pochodzi z artykułu posła Stefana Niesiołowskiego, przewodniczącego klubu parlamentarnego ZChN, w tygodniku „Niedziela” z 3 maja 1992: *Spór o religię – spór o Polskę*. Wypada zwrócić uwagę na wysoką rangę ZChN wśród wartości, pomiędzy dziećmi nienarodzonymi a polskim Kościołem. Można by się też pobawić we wspominki, jak wytrwale (i słusznie) Kościół zwalczał mieszaninę się szkół w sferę wychowania zastrzeżoną li tylko dla rodziców i rodzin; no, ale chodziło o inną indoktrynację. Na szczególną uwagę zasługuje zawartość nawiasu w przytoczonym tekście.

Wywód zaprezentowany przez Stefana Niesiołowskiego nie jest wcale odosobniony, przeciwnie, jest reprezentatywny. Z okazji 3 maja biskup Głódź, naczelny duszpasterz WP, zażądał, by przyszła konstytucja zaczynała się od słów „W imię Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej Jedyne...” Jeszcze rok temu Senat pod przewodnictwem p. Alicji Grześkowiak zadowalał się Wszechmogącym, bez Trójcy... Pozostaje czekać na wniosek o umieszczenie we wstępie całego *Credo* i wtedy wznowić spór o „Filioque”...

Zestawiam te skądinąd tak różne wypowiedzi, aby ukazać, że w naszej zimnej wojnie religijnej wcale nie chodzi o to, o co chodzi na pozór: o naprawę obyczajów. Chodzi natomiast o wytworzenie czy też przywrócenie pewnego kształtu polskości i ufundowanie na nim właśnie nowej polskiej państwowości. W tej konstrukcji Polak jest katolikiem; inny może być ewentualnie tolerowany. Zaczyna się, oczywiście, od działań symbolicznych, stemplowania owiec i koźłów. Ale na symbolach rzadko się kończy.

Wcale nie chcę twierdzić, że prób zawłaszczania państwa dokonuje się tylko w obozie rządowym. W istocie metoda ta się upowszechnia, zwłaszcza w formie negatywnej: wypowiedziania posłuszeństwa. Jeśli prawo mi nie odpowiada, nie słucham prawa, jeśli państwo nie przyznaje mi racji, precz z takim państwem. Samoobrona Chłopska będzie bić komorników – i powołuje „Bataliony Chłopskie” (sic!). Socjolog dopatry się w tej retoryce miary rozgoryczenia i rozczarowania. Co powie o prezydencie, który domaga się uprawnień na miarę de Gaul-

le'a, jeśli zaś nie uzyska ich w parlamencie, to założy partię prezydencką...? Czy po to, żeby mu przyniosła uprawnienia z ulicy? W maju po raz pierwszy ankieta CBOS przyniosła większość zwolennikom przedterminowych wyborów. To ostatni z sygnałów, o których była mowa w tym tekście. Świadczy, że społeczeństwo w większości ciągle jeszcze wierzy w demokratyczne sposoby budowania Rzeczypospolitej – ale że możliwości aktualnego układu u władzy uważa w tym względzie za wyczerpane.

Warszawa, 10 maja 1992

[6/1992]

REDAKCJA

Dekomunizacja: pozory i rzeczywistość

Sejm skierował do rozpatrzenia przez komisję pięć projektów ustaw dekomunizacyjnych i jeden projekt ustawy lustracyjnej. Nie będziemy tu omawiać ich szczegółowo, gdyż żaden nie zostanie zapewne uchwalony w jego obecnym brzmieniu. Wyjaśnijmy tylko, że projekt ustawy lustracyjnej ma na celu uniemożliwienie dostępu do najważniejszych urzędów w państwie osobom, którym zostałyby udowodnione, że uprawiały w czasach PRL działalność agenturalną. Zaś wszystkie projekty ustaw dekomunizacyjnych łączy to, że proponują, by każdy, kto kiedykolwiek w czasach PRL pełnił określone – w każdym projekcie inaczej – funkcje w aparacie PZPR, w MSW, MON, cenzurze, urzędzie do spraw wyznań, był, z tego tylko tytułu, pozbawiony prawa do zajmowania stanowisk kierowniczych w instytucjach publicznych na okres 10 lat; wedle projektu Senatu obejmuje to również zakaz wykonywania pewnych zawodów (m.in. notariusza, adwokata, radcy prawnego).

Idea ustawy lustracyjnej nie budzi zastrzeżeń zasadniczych. W każdym państwie sprawdza się życiorysy kandydatów na urzędy wrażliwe, zwłaszcza związane z obronnością i bezpieczeństwem. Musi natomiast budzić je sam pomysł ustawy dekomunizacyjnej. Powodów po temu jest kilka, przy czym każdy z osobna wystarcza. Łącznie prowadzą one do wniosku, że ustawy takiej nie sposób uchwalić bez równoczesnego pogwałcenia podstaw porządku prawnego, wejścia w konflikt z poczuciem sprawiedliwości, narzucenia fałszywego obrazu najnowszych i spowodowania długotrwałych, negatywnych skutków politycznych i społecznych.

Nie każda ustawa jest prawem. Gdyby było inaczej, nie byłoby powodu, by nie uważać za prawo całej produkcji normatywnej z okresu stalinowskiego, w tym również dekretu z 22 września 1946 roku o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację państwa. Dekret ten uważamy jednak za usankcjonowanie bezprawia zarówno z uwagi na jego gumowe sformułowania, jak i przede wszystkim dlatego, że był pogwałceniem zasady będącej podwaliną wszelkiej praworządności: prawo nie działa wstecz. Otóż każda ustawa dekomunizacyjna, choćby najlepiej zredagowana, jest również pogwałceniem tej zasady i pod tym względem niczym nie różni się od osławionego dekretu. Odpowiedź, że dekret ten kwalifikował określone czyny jako przestępcze i odpowiednio do tego ka-

ralne, a ustawa dekomunizacyjna tego unika, jest zwyczajnym wykrętem. Albowiem, jak o tym świadczy choćby dyskusja w Senacie, mówi się tu o winie i karze z tym wszelako, że ma nią być nie więzienie, ale status *liszeńca*.

Co więcej, wszystkie projekty ustawy dekomunizacyjnej proponują karanie nie za określone czyny, ale za sam fakt zajmowania w czasach PRL pewnych stanowisk. Naruszają tym samym inną podstawę wszelkiej praworządności: zasadę odpowiedzialności jednostki za jej postępowanie. Zastępuje ją zasada zbiorowej odpowiedzialności pewnej grupy za komunizację kraju; samo uczestnictwo w niej jest zatem karalne. Stanowisko takie dałoby się obronić tylko w przypadku, gdyby uznało się tę grupę, tj. aparat PZPR i jego przedłużenia, za organizację przestępczą, jak to się stało z NSDAP. Ale tak daleko żaden projekt nie ma odwagi się posunąć, zapewne dlatego, że należałoby wtedy zapytać o odpowiedzialność wszystkich, którzy z tą organizacją współpracowali: szeregowych członków PZPR, członków PAX-u i partii satelickich, bezpartyjnych posłów, działaczy PRON, a nawet Episkopatu Polski. Skoro jednak nie chce się uznać – i słusznie – aparatu PZPR z przyległościami za organizację przestępczą, to pociąganie do odpowiedzialności za samą przynależność doń okazuje się bezpodstawne: należy rozliczać każdego z jego czynów. Ale tego ustawa dekomunizacyjna nie załatwi i nie to zresztą jest jej celem.

Znane projekty ustaw dekomunizacyjnych ustawiają bardzo nisko barierę odpowiedzialności zbiorowej: na poziomie sekretarza komitetu zakładowego lub gminnego PZPR. Ale zarazem zakreślają bardzo wąsko krąg osób, których ustawa dotyczy: tak mianowicie, by wyłączyć z jej zasięgu partie satelickie, PAX, posłów i innych działaczy bezpartyjnych, słowem, tych wszystkich, którzy cieszyli się zaufaniem władz PZPR różnych szczebli, którzy czynnie przykładali się do realizowania polityki kolejnych kierownictw PZPR, którzy wiernie spełniali polecenia i w zamian za to w pełni korzystali z dobrodziejstw PRL, z jej zaszczytów, tytułów, nagród, premii i odznaczeń, a którzy teraz występują w roli politycznych dziewic, jeśli zgoła nie westalek narodowego ogniska. Takie wytyczenie kręgu odpowiedzialnych za PRL jest równie sprzeczne z elementarnym poczuciem sprawiedliwości, jak sprzeczne z nim byłoby karanie przestępców, ale nie tych, którzy czerpią zyski z cudzego przestępstwa.

Każda ustawa dekomunizacyjna zakłada pewną wizję najnowszych dziejów Polski. Wizję manichejską: po jednej stronie samo zło, po drugiej – czyste dobro. Po jednej PZPR, której członkowie naznaczeni są niezmywalnym piętnem; po drugiej – kler w otoczeniu licznych rzesz katolików świeckich. Dla nikogo innego nie ma tu miejsca. O tym, że jest to wizja fałszywa, wie każdy, w kim ideologia i fanatyzm nie zabiły całkowicie pamięci, tzn. większość Polaków. Narzucenie w trybie ustawy obrazu dziejów radykalnie kolidującego z pamięcią zbiorową to postawienie się w sytuacji przypominającej tę, w jakiej komuniści postawili się po zdobyciu władzy, gdy przystąpili do fałszowania historii dwudziestolecia. I narażenie się na taką samą reakcję społeczną.

Na zgubne dla nauki i kultury skutki coraz bardziej radykalnych pomysłów dekomunizacyjnych zwracano już uwagę na łamach prasy. Zrobił to m.in. Karol Modzelewski w świetnym artykule *Dyktatura ciemniaków* („Gazeta Wyborcza”, 4.09.1992). Ale rzecz się na tym nie kończy. Po pierwsze dlatego, że urzeczywistnienie dekomunizacji w stylu proponowanym przez Senat oznaczałoby zniszczenie wojska i ostateczne sparaliżowanie policji, co obaj zainteresowani ministrowie starali się senatorom wytłumaczyć; niestety, bez skutku. Po drugie dlatego, że pociągnęłoby to za sobą dalsze utrudnienie działalności gospodarczej firm z udziałem Skarbu Państwa, które nie mogłyby zatrudniać na stanowiskach kierowniczych osób kompetentnych, lecz pozbawionych przez ustawę prawa do zajmowania ich, co, zważywszy na brak wykwalifikowanego personelu, nie jest względem mało ważnym. Krótko mówiąc, to, co proponuje Senat, jest zerwaniem ciągłości funkcjonowania i dalszym osłabieniem i tak już słabego państwa. Jak zareagują na to obywatele, którzy tę słabość państwa odczuwają na własnej skórze?

W bardziej długofalowej perspektywie niebezpieczeństwo wszelkiej ustawy dekomunizacyjnej pomyślanej tak, jak zgłoszone do Sejmu projekty, zwłaszcza zaś – projekt Senatu, polega na tym, że zastępuje ona prawo aktem ubranej w formę prawną politycznej zemsty, co czyniąc, dzieli społeczeństwo miast je jednoczyć i otwiera cykl odwetu, który każe myśleć z największym niepokojem o przyszłości. Ktokolwiek wie, jak działają demokracje, wie, że każda dzisiejsza większość jest jutrzejszą mniejszością i że choćby dlatego nie należy korzystać z chwilowej przewagi, by gnębić przeciwników politycznych, którzy mają szansę powrotu do władzy. Wnioskodawcy ustaw dekomunizacyjnych wyobrażają sobie, że będą rządzić jeśli nie wiecznie, to przynajmniej przez najbliższych 10 lat. Znajomość nastrojów społecznych każe o tym wątpić. Pewność siebie niektórych posłów i senatorów zrozumieć można tylko, jeśli się przyjmie, że intencją ustaw dekomunizacyjnych wcale nie jest dekomunizacja, lecz że chodzi o usunięcie ze sceny politycznej tych wszystkich – nie tylko SDRP – którzy sprzeciwiają się przekształceniu Polski w „państwo chrześcijańskie” w rozumieniu Niesiołowskiego, w którym to państwie demokracja zostanie odpowiednio ograniczona, by umożliwić jego zwolennikom trwałe zachowanie monopolu władzy.

Miast zajmować się ustawami dekomunizacyjnymi, Sejm i Senat powinny wreszcie zająć się rzeczywistym usuwaniem z życia polskiego pozostałości komunizmu. Wymaga to osądzenia tych wszystkich, którzy w czasach PRL popełnili przestępstwa w rozumieniu obowiązującego wtedy prawa. Jakoż torturowanie więźniów, wymuszanie zeznań, fałszowanie dowodów, nadużywanie władzy, w tym również dla osobistych korzyści – wszystko to było karalne w świetle prawa PRL; to przecież w oparciu o to prawo skazano zabójców księdza Popiełuszki. Doprowadzenie do sądu wszystkich spraw stłumionych w czasach PRL, m.in. wszystkich przypadków użycia broni po 13 grudnia 1981 roku, po-

winno być pierwszym krokiem rzeczywistej dekomunizacji. Powinno nim być również pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich osób, którym można udowodnić, że były agentami sowieckimi. A potem już niech niezależne sądy Rzeczypospolitej orzekają o winie i karze.

Dekomunizacja to nie tylko rozrachunek z przeszłością. To również przeobrażenie umysłów, by wyrugować z nich nawyki myślenia komunistycznego, które zaraziło, jak to się często zdarza, antykomunistów, czyniąc z nich zwierciadlane odbicia ich przeciwników. To tworzenie nowych instytucji gospodarczych. To wszystko, co przyczynia się do powstania takiej Polski, w której, inaczej niż dziś, każdy Polak będzie się czuł u siebie, niezależnie od tego, czy zgadza się z rządem, czy nie. Proponowane ustawy nie prowadzą do tego celu. Niepodobna bowiem zbudować prawa na bezprawiu, sprawiedliwości na odwecie, prawdy na kłamstwie i przyszłości na nienawiści.

[10/1992]

TERESA TORAŃSKA

Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem

Teresa Torańska: Ten PRL, dlaczego właściwie upadł? Według Pana.

Leszek Balcerowicz: Załamanie systemu nastąpiło, musiało nastąpić, z powodu ekonomicznej niewydolności. Ale dokładnego momentu, w którym się to stanie, nie sposób było przewidzieć. Nie ma bowiem teorii, która pozwalałaby określić, kiedy będzie rewolucja. O dokładnym momencie decydują, jak zwykle, historyczne niepowtarzalne okoliczności, a także to, że w danym miejscu pojawia się taki, a nie inny człowiek czy grupa ludzi. W 1985 roku w Związku Sowieckim pojawił się Gorbaczow i on uruchomił proces, którego skutków na pewno sobie na początku nie uświadamiał.

T. T.: Czyli nie przez „Solidarność”?

L. B.: Są dwie teorie dotyczące upadku komunizmu, obie oparte na spekulacjach. Według pierwszej to Polska i „Solidarność” były zasadniczymi czynnikami zmian w całym obozie. Druga zaś głosi, że bez radykalnych przeobrażeń w Związku Sowieckim żadne otwarcie polityczne w krajach socjalistycznych – przynajmniej w najbliższych latach – by nie nastąpiło. Osobiście przychyliam się do drugiej, choć otwarte jest pytanie, w jakiej mierze polska rewolucja 1980–1981 wpłynęła pośrednio na zmiany, które później dokonały się w Związku Sowieckim. Uważam, że Polska nie odzyskałaby niepodległości po I wojnie światowej, gdyby nie wojna między trzema zaborcami, i nie odzyskałaby jej teraz, gdyby nie pierestrojka Gorbaczowa. I nie pomógłby ani Piłsudski – wtedy, ani „Solidarność” – obecnie.

T. T.: Pan mówi herezje!

L. B.: Dlaczego? Przecież można sobie wyobrazić sytuację, że w miejsce Gorbaczowa przyszedłby ktoś, kto próbowałby utrzymać się poprzez zwiększenie terroru, i mimo pogarszających się stale głównych wskaźników ekonomicznych udałooby mu się.

T. T.: Na jak długo?

L. B.: Może na kilkanaście lat, a może tylko na kilka, nie wiem. We wszystkich bowiem krajach socjalistycznych występowały podobne tendencje spadającej efektywności mierzonej produktywności kapitału. Czyli inwestycje dawały coraz mniej dochodu narodowego.

T. T.: Od kiedy?

L. B.: Objawy niewydolności występowały od początku, ale gospodarka w latach czterdziestych czy początku lat pięćdziesiątych funkcjonowała lepiej, następował wzrost, dlatego że była to gospodarka na bardzo niskim poziomie rozwoju. Po drugie: system nakazowy stosunkowo nieźle funkcjonuje w gospodarce prostej. Po trzecie: była bardzo wysoka stopa inwestycji, co w warunkach prostej gospodarki przynosiło realny wzrost. Kiedy jednak gospodarka stawiała się coraz bardziej złożona pod wpływem własnego wzrostu, wtedy traciła swoją sprawność i w systemie nakazowym zaczęły występować coraz większe zaburzenia. Widać je było wyraźnie we wszystkich krajach socjalistycznych. Objawiały się w spadającej efektywności kapitału, która oznacza, że przyrost dochodu narodowego na jednostkę inwestycji jest coraz niższy. Próbowano ją rekompensować podwyższaniem stopy inwestycji, a więc poprzez wydatkowanie coraz większej części dochodu narodowego na inwestowanie i coraz mniej na konsumpcję, co jednak prowadziło do sytuacji, że wzrost był jałowy, bo trzeba było przeznaczyć go głównie na samopodtrzymanie gospodarki. Pierwsze symptomy kryzysu wystąpiły już w połowie lat pięćdziesiątych.

T. T.: Mówiło się, że przez wojnę w Korei i konieczność zbrojeń.

L. B.: Były to już jaskrawe objawy niewydolności. Przy czym problem wszystkich krajów socjalistycznych polegał jeszcze na tym, że ustawiono bardzo wysoko konsumpcję zbiorową, a więc społecznie finansowane wczasy, bezpłatne szkolnictwo, bezpłatną służbę zdrowia itd., co zawsze jest niewątpliwym awansem cywilizacyjnym, ale żadnego z tych krajów na to nie było na dłuższą metę stać. Lata sześćdziesiąte to lata dalej spadającego tempa wzrostu i efektywności gospodarki, lata siedemdziesiąte to życie na kredyt, bez nich kryzys konsumpcji byłby bardzo wyraźny. I wreszcie lata osiemdziesiąte, kiedy to za życie na kredyt zaczęliśmy płacić wielkim kryzysem całej gospodarki, w tym i konsumpcji. W innych krajach socjalistycznych występowały na ogół mniejsze wahania, ale tendencje były podobne.

T. T.: Jakie, proszę porównać?

L. B.: We wszystkich pogarszały się główne wskaźniki ekonomiczne. W każdym malała efektywność gospodarcza, każdy był dotknięty pelżającym kryzysem, objawiającym się w tym, że kiedy kryzys z trudem opanowywano w jednej gałęzi gospodarki, przerzucał się on na kolejną itd. Wszystkie próbowały ratować swoją gospodarkę poprzez zadłużanie się. Wszystkie, oprócz Czechosłowacji.

T. T.: I Rumunii.

L. B.: Rumunia najpierw się zadłużyła i potem w drastyczny sposób oddłużyła, za co zapłaciła ogromną cenę zdegradowania gospodarki. W Rumunii spauperyzowano społeczeństwo i spowodowano, że całe obszary gospodarcze przestały działać z braku importu. Zadłużyli się Węgrzy, Bułgarzy, oczywiście i my, i Związek Sowiecki, choć oni trochę później, bo dopiero w latach osiemdziesiątych. Kolejną cechą wspólną wszystkich tych krajów były niekorzystne wskaźniki demograficzne, które są pochodną sytuacji gospodarczej, a także pogarszająca się jakość życia (m.in. alkoholizm).

T. T.: W 1989 roku, w chwili wybuchu wolności, gdzie była Polska na tym tle?

L. B.: Sytuację wyjściową określają: wysokość zadłużenia zagranicznego, o czym już mówiliśmy, i stopień zreformowania systemu gospodarczego. Tu Węgrzy byli w najlepszej sytuacji, bo np. mieli jako jedyni z krajów socjalistycznych przeprowadzoną już w 1988 roku reformę systemu podatkowego, obowiązywał u nich podatek dochodowy i podatek od wartości dodanej. W gorszej od Węgrów sytuacji byliśmy my, ale w jeszcze gorszej od nas Rosja, Bułgaria, Rumunia i Czechosłowacja.

T. T.: Oraz NRD.

L. B.: NRD miała ortodoksyjny system, bardziej scentralizowany niż w Polsce czy na Węgrzech, ponadto na masową skalę, podobnie jak w Rumunii, fałszowali statystyki, nie korygując np. wzrostu ze względu na ceny, przez co wzrost był pozorny i sporo ekonomistów na Zachodzie uległo złudzeniu, że gospodarka centralnie planowana może jednak jako tako funkcjonować, choć tylko w określonym społeczeństwie, tak zdyscyplinowanym jak niemieckie, co w rok później okazało się iluzją. Ponadto – o kondycji kraju decyduje stopień zdyscyplinowania gospodarki, tzn. wielkie braki na rynku, czyli kolejki i ogromna inflacja. Wielką inflację mieliśmy my, co bardzo utrudniało start, i w ogromną, podobną do naszej, wpadła Rosja w dwa lata później, po rozpadzie Związku Sowieckiego, zanim zdecydowała się na przejście w gospodarkę rynkową. Nie miały inflacji NRD, Czechosłowacja i Węgry. Czechosłowacja i Węgry miały w miarę uporządkowany budżet, stabilną politykę makroekonomiczną.

T. T.: Bo naszą zdestabilizował rząd Rakowskiego, prawda?

L. B.: Nie, sprawa jest bardziej skomplikowana.

T. T.: Jak to! Przecież w sierpniu 1989 roku, zanim oddał władzę, rozpętał hiperinflację.

L. B.: Bezpośrednią przyczyną wysokiej inflacji była decyzja uwolnienia spod kontroli państwa cen żywności, wprowadzona przez rząd Rakowskiego 1 sierpnia

w już rozregulowanej gospodarce. Przez duży wzrost płac oraz ogromny wzrost dopłat do żywności. Decyzja słuszna ekonomicznie, którą jednak równocześnie powinno się obudować rygorami powstrzymującymi wzrost płac. Rząd Rakowskiego nie zrobił tego i chyba nawet zrobić nie mógł, ponieważ inflacyjny wzrost płac – w ramach niesłuchanie wysokiej indeksacji – został w lipcu 1989 roku ustawowo uchwalony przez Sejm. Reasumując: proces inflacyjny, uruchomiony w wyniku interakcji dwóch stron – rządowej i społecznej – przybrał postać niekontrolowanego żywiołu, galopującej inflacji. Opozycja domagała się daleko idącej indeksacji płac i indeksacji cen minimalnych w rolnictwie, nie licząc się z konsekwencjami, co w końcu przy Okrągłym Stole wywalczyła. Błędem zaś strony rządowej było to, że znając sytuację gospodarczą kraju oraz stan finansów lepiej od opozycji, ustąpiła.

T. T.: Nie celowo?

L. B.: Jeżeli przez działanie celowe rozumie Pani, iż ktoś z góry założył, że utrudni pracę następców, bo dopuści do ogromnej inflacji, to na to nigdy nie będziemy mieli definitywnego dowodu, ale w moim przekonaniu działań celowych nie było.

T. T.: I komuniści nie przygotowali sobie, według Pana, miękkiego lądowania?

L. B.: Jeżeli mieli takie plany, to tempo wydarzeń zdecydowanie je przekreśliło. Zwycięstwo „Solidarności” w czerwcowych wyborach było dla rządu wielkim zaskoczeniem. Zresztą dla opozycji również. Myślę, że strona rządowa w ogóle nie liczyła się z możliwością całkowitego oddania władzy, była gotowa jednak do podzielenia się nią. Tego dowodem był dla mnie Okrągły Stół.

T. T.: A spółki? Lawina spółek nomenklaturowych, które rozpełzły się po przedsiębiorstwach państwowych właśnie za Rakowskiego?

L. B.: Podobne zjawisko występowało na Węgrzech, nazwano je tam spontaniczną prywatyzacją. W postawie Wilczka, Rakowskiego, Sekuły i innych występowało dążenie do zreformowania systemu gospodarczego, w ramach ich możliwości, czyli ograniczeń politycznych. Był to rok 1988 – stąd wprowadzane przez nich zmiany w systemie prawnym. Sądzę, że chcieli przekształcić przedsiębiorstwa w ramach menedżersko-nomenklaturowej prywatyzacji. W ich przekonaniu była ona na swój sposób ewolucyjną formą zmiany systemu, w którym elita poprzedniego wchodzi w skład elity gospodarczej nowego systemu. Reformy rządu Rakowskiego zresztą, trzeba im to oddać, były na swój sposób radykalne: usunęły ograniczenia rozwoju sektora prywatnego, unowocześniły strukturę administracji publicznej, upodabniając ją do struktur funkcjonujących w państwach o gospodarce rynkowej, oraz wprowadziły liberalizację handlu zagranicznego, czyli usunęły część różnych ograniczeń, utrudniających nasze kontakty ze światem zewnętrznym.

T. T.: Ale przecież po to, żeby rozpętać aferę alkoholową i samemu zarobić na eksporcie wódki.

L. B.: Nie, nie. Rząd Rakowskiego chciał rzeczywiście zliberalizować handel zagraniczny i na listę produktów podlegających liberalizacji wpisano napoje alkoholowe. Czasami błąd na poziomie urzędnika pociąga za sobą dość poważne konsekwencje. Nie jestem skłonny upatrywać w tym jakiejś premedytacji. Wiem, z własnej praktyki, jak dużą rolę – przy wielkim zagęszczeniu zdarzeń, stresie, napiętym terminarzu – pełni zwyczajny przypadek.

T. T.: Proszę Pana, czy Pan naprawdę nie wyczuwa, że ja Panu daję szansę?

L. B.: Jaką szansę?

T. T.: No, żeby Pan napluł na tych wstrętnych komunistów.

L. B.: Przedstawiam swój pogląd, po prostu. Jaki miałem przedtem i obecnie.

T. T.: Ale plucie, na kogośkolwiek, najlepiej na komunistów, dobrze Pana ustawi politycznie. Naprawdę.

L. B.: To prymitywne chwyt, ja w nich nie gustuję. Staram się na rzeczywistość patrzeć obiektywnie. Zawsze. Nawet jeśli w niej aktywnie uczestniczę.

T. T.: Ale...

L. B.: Proszę Pani, mnie nigdy nie zależało na piastowaniu urzędów, nigdy nie dążyłem do posiadania stanowisk. Mnie interesowało zadanie, które podjąłem się wykonać: transformacja gospodarki, stabilizacja.

T. T.: Podobno Nagroda Nobla.

L. B.: [Uśmiech] Nagrodę Nobla daje się teoretykom ekonomii, a nie praktykom. Zgłoszenie więc mojej kandydatury było pomysłem może dobrze życzącym mi ludzi, ale raczej nierealnym. Istnieją, proszę Pani, zadania, które są nagradzane same przez się, jedni nazywają to satysfakcją osobistą, inni altruizmem, mniejsza o nazwę. Ja – obejmując urząd – generalnie nastawiałem się na najgorsze, choć forma ataków mnie zaskoczyła. Najbardziej się bałem, by nie wykonać ruchu, który wprowadzie będzie akceptowany społecznie czy nawet zjednujący mi sympatię, ale który spowoduje, że sytuacja gospodarcza na dłuższą metę się pogorszy i całe zadanie zostanie przekreślone, co także ze względów politycznych byłoby bardzo złe.

T. T.: Rozumiem, Pan chciał tylko zbudować w Polsce kapitalizm? Tak?

L. B.: Gospodarkę typu zachodniego. Takich określeń wtedy używał Tadeusz Mazowiecki i krąg jego współpracowników, także ja. Być może wynikało to

z historycznych konotacji, bo słowo „kapitalizm” wynalezione zostało przez socjalistów i od narodzin miało negatywne zabarwienie. A być może wpływało z zastosowanej przez nas autocenzury językowej, bo istniał jeszcze przecież Związek Sowiecki i występowała pewna ostrożność w używaniu słów. Choć już nie w formułowaniu programów, bo w programie wyraźnie zostało powiedziane, że zmierzamy w kierunku gospodarki rynkowej. Kiedy akceptowałem przyjęcie stanowiska, miałem pełną świadomość, że po latach otworzyła się przed nami możliwość, autentyczna możliwość wyboru drogi rozwoju i dlatego należy w Polsce budować to, co sprawdziło się w świecie. A więc nie gospodarkę socjalistyczną, centralnie planowaną, samorządową, ale gospodarkę prywatną.

T. T.: Wbrew „Solidarności”, która przez 9 lat walczyła o socjalizm z ludzką twarzą, prawda?

L. B.: Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: czy socjalistyczny program „Solidarności” wynikał z autentycznego przekonania, że odpowiednio zreformowany socjalizm jest *per saldo* lepszy od kapitalizmu, czy ze świadomości, że ze względów ustrojowych kapitalizm nie wchodzi w rachubę.

T. T.: I wbrew „Sieci” wielkich przedsiębiorstw państwowych, w której pracach sam pan uczestniczył, bo „Sieć” walczyła przecież o samorząd pracowniczy.

L. B.: Zgadza się. Ja i wielu ówczesnych ekonomistów szukaliśmy klucza do zmiany systemu gospodarczego, uznając, że obowiązujący jest najgorszym z możliwych. Samorząd pracowniczy był więc, po pierwsze: formą ucieczki od centralnego planowania, po drugie: z trudem, ale mieścił się w ramach ustroju, więc istniały – według nas – polityczne szanse na jego wprowadzenie i, po trzecie: był systemem gospodarczym sprawniejszym niż centralne planowanie.

T. T.: I wbrew porozumieniom Okrągłego Stołu.

L. B.: Od początku byłem krytycznie nastawiony do tej litanii socjalnej, jaką na obrady Okrągłego Stołu przygotowała „Solidarność”, do tego katalogu roszczeń poszczególnych grup zawodowych, choć rozumiałem, iż jej ówczesna pozycja – związku zawodowego – skłaniała do stawiania żądań. Zresztą nikt nie myślał, że w Polsce nastąpi zmiana ustroju i przekazanie władzy. Opozycja dążyła więc do zhumanizowania obowiązującego systemu.

T. T.: A czy jakkolwiek wytrzymałby wywalczone przez nią przywileje?

L. B.: Zgoda. Porozumienia Okrągłego Stołu – mówię o zapisach socjalnych – były nie do zrealizowania.

T. T.: Ale nikt otwarcie tego społeczeństwu nie powiedział, nikt!

L. B.: Byłem w lepszej niż inni sytuacji. Nie uczestniczyłem w obradach Okrągłego Stołu, więc nie czułem potrzeby tłumaczenia się. Niektóre jednak ustale-

nia stały się źródłem napięć. Pamiętam np. negocjacje z kolejarzami, chyba już w październiku '89. Uczestniczył w nich, obok Jacka Kuronia, jeden z dyrektorów Ministerstwa Finansów, który podpisał się pod ustaleniem, że płace kolejarzy mają być o ileś tam procent wyższe od średniej krajowej. Byłem wściekły i o mało go nie wyrzuciłem z pracy. Postulatu tego nie uwzględniliśmy.

T. T.: I tak zaczęły się strajki, jeden po drugim.

L. B.: Wtedy jeszcze nie.

T. T.: To trochę potem.

L. B.: Z góry wiedziałem, iż są dwa rodzaje ryzyka. W pamięci miałem cały czas przykład Argentyny, która zaczęła ześlizgiwać się po równi pochyłej i zaprzepaściła swoją szansę. Istniały dwa rodzaje ryzyka: jedno, że podjęcie się działania ekonomicznie słuszne, ale spotkają się one z oporem społecznym i zostaną odrzucone, lub drugie, iż w obawie oporu społecznego i odrzucenia podjęcie się działania łagodniejsze od niezbędnych, zostaną one przez społeczeństwo zaakceptowane, ale nie przyniosą pożądanego rezultatu. Zdecydowałem się podjąć pierwsze ryzyko.

T. T.: I Pan – oczywiście – z góry założył, że ludzie strajkują niesłusznie?

L. B.: Proszę Pani, są dwa sposoby widzenia rzeczywistości. Jeden intuicyjny, i drugi – nie wiem, jak go nazwać, niech będzie – ekonomiczny. W pierwszym: ludzie porównują to, co jest, z tym, co było. W drugim: to, co jest, z tym, co byłoby, gdyby nie wykonano pewnych posunięć. Otóż porównywanie „tego, co jest, z tym, co było” jest nieracjonalne, dlatego że nie istniała żadna, absolutnie żadna możliwość utrzymania poprzedniego stanu i gdyby próbowano, byłoby jeszcze gorzej.

T. T.: I było. Ale – według powszechnej opinii – przez Pana.

L. B.: To przykład takiej naturalnej intuicyjnej percepcji rzeczywistości, której ulega większość ludzi, bo rozumując w kategoriach swoich własnych interesów, oni porównują obecną sytuację z poprzednią i dochodzą do wniosku, że nastąpiło pogorszenie, że naruszone zostały ich interesy. Ich percepcja jest jednak w pewnym sensie nieracjonalna. Wyobraźmy sobie, że nie zaczęlibyśmy zmieniać struktur gospodarki, która była przecież niesprawna, a wystawiona na wstrząsy zewnętrzne stawała się jeszcze mniej efektywna. Polska naprawdę znajdowała się na równi pochyłej. I to jest ten właściwy, racjonalny punkt odniesienia do robienia wszelkiego typu porównań. Porównywać trzeba do sytuacji, która by zaistniała, gdyby nie podjęto decyzji o zduszeniu inflacji, gdyby nie próbowano prywatyzować gospodarki, gdyby nie zaczęto jej przedstawiać na gospodarkę otwartą. W Polsce właściwie powtórzył się scenariusz rozegrany wcześ-

niej w Ameryce Łacińskiej, że rządy, które próbowały opanować chaos w gospodarce, znalazły się pod ostrzałem oskarżeń, iż tłumią produkcję albo że wiążą na pasku międzynarodowych instytucji.

T. T.: Bo tłumią, recesja okazała się faktem. Tak jak spadek płac realnych i utrata wielu świadczeń socjalnych.

L. B.: Po kolei. Statystyczne płace realne były sztucznie podwyższane wskutek tego, że wynagrodzenia rosły znacznie szybciej niż ceny. Efektem tego nie był wzrost stopy życiowej, lecz gołe półki i hiperinflacja. Aby to usunąć, trzeba było zahamować wzrost płac i spowodować, aby płace rosły przez pewien czas wolniej niż ceny. Nie jest to jednak koszt reformy. Nie jest też kosztem spadek produkcji, bo to nastąpiłoby i bez mojego drastycznego programu, ponieważ gospodarka znalazła się na równi pochyłej i z każdym rokiem byłaby coraz mniej efektywna, choć jej ostateczny upadek rozłożyłby się w czasie, co uwzględniając psychologiczne uwarunkowania, byłoby prawdopodobnie inaczej odczuwane.

T. T.: Przede wszystkim nie byłoby Pana.

L. B.: Ja – wprowadzając mój program – liczyłem, że już w 1990 roku będziemy mieli większe rozeznanie, które z wielkich przedsiębiorstw państwowych są niewypłacalne, a które mają szansę rozwoju. Stało się inaczej, sektor publiczny rozpoczął walkę nie o poprawę swoich wyników ekonomicznych, ale o przetrwanie. Wielkie zakłady są bardzo niewdzięcznym obiektem przemian, część z nich w ogóle nie nadaje się zresztą do szybkich przekształceń, czego – jak wiadomo – nie można zrobić szybko, równie szybko jak ustabilizować czy zliberalizować gospodarkę. Te ostatnie bowiem nie wymagają współdziałania mas ludzi, ale mogą być decyzjami jednej czy kilku osób, która wprowadzi wymienialność złotych, usunie ograniczenia w imporcie, zmieni stopę procentową i przygotowuje do uchwalenia przez sejm kilkunastu ustaw.

T. T.: To może trzeba było poczekać.

L. B.: Jaruzelski kiedyś powiedział w jakiejś rozmowie...

T. T.: Wyłączyć magnetofon?

L. B.: Dlaczego?

T. T.: Bo gdy jeden z obecnych prominentów chciał o nim coś dobrego powiedzieć, prosił o wyłączenie.

L. B.: Nie, nie, byłem u Jaruzelskiego kilkakrotnie, żeby go jako prezydenta poinformować, co zamierzamy robić w gospodarce. Wałęsę także – z uwagi na jego pozycję społeczną jako przewodniczącego „Solidarności” – powiadomiłem o naszych planach, z czysto pragmatycznej kalkulacji, żeby mniej więcej wiedział, co się zdarzy, i nie czuł się zaskakiwany.

Co do świadczeń socjalnych zarówno Polska, jak i inne kraje postsocjalistyczne miała nadmiernie rozwinięty, nieefektywny – uwzględniając nakłady – ekstensywny system osłony socjalnej, który, po pierwsze: z każdym rokiem działał gorzej i po drugie: doszedł do punktu, w którym dalej działać nie mógł, bo dokładać do niego nie było już z czego. W Polsce powstała sytuacja, że można było tylko drukować pieniądze. Ale to nie to samo co tworzenie kapitału. Kapitał tworzą oszczędności, a oszczędności powstają wtedy, kiedy jest realny wzrost, a dodrukowywanie pieniędzy napędza inflację, koło się zamyka. Ten szeroki system świadczeń socjalnych, przywilejów branżowych, a zwłaszcza różnego rodzaju deputatów, w zlikwidowaniu których wystąpiły wewnętrzne opory w rządzie, bo obawiano się, że przekroczyć granicę tolerancji społecznej, bardzo utrudnił Polsce start. Musiałem iść na pewne kompromisy. Wielu mówiło: popatrzcie na Koreę Południową, na Tajwan, które osiągnęły fantastyczne rezultaty. Rzeczywiście osiągnęły. Ale, po pierwsze: tam od samego początku istniała struktura kapitalistyczna i przedsiębiorstw nie trzeba było poddawać rekonstrukcji, bo już działały na zasadach wolnorynkowych. Po drugie: państwo było silne, odporne na grupy nacisku, przez to zdolne do forsowania długofalowej strategii rozwoju. Po trzecie: istniał bardzo ograniczony system świadczeń socjalnych, nieobciążających w takim stopniu jak u nas budżetu, i słabe związki zawodowe, które z braku siły nie hamowały reform.

T. T.: Bo u nas – według pana – hamują, tak?

L. B.: Pytała Pani wcześniej, czym różniła się sytuacja Polski od pozostałych krajów socjalistycznych. Wyliczyłem trzy wskaźniki ekonomiczne, nie wspominając o czwartym – społecznym.

T. T.: Niesłuszny politycznie?

L. B.: [Uśmiech] Otóż tym czwartym elementem jest stopień mobilizacji pracowników. No i pod tym względem w Polsce było najgorzej.

T. T.: Inne nie miały „Solidarności”? Zorganizowanego społeczeństwa?

L. B.: Zorganizowanego, ale jednocześnie podzielonego, bo co jest charakterystyczne dla Polski, to bardzo silny i zarazem skonfliktowany ruch związkowy.

T. T.: Trzy związki zawodowe robotnicze, cztery chłopskie, mówię tylko o większych.

L. B.: Właśnie. Z tego powodu nie było i nie ma nadal jednego partnera do rozmów, bardzo trudno zawrzeć z nimi jakieś porozumienie czy pakt społeczny. Występowały także trudności techniczne, bo trzeba było wszystkie negocjacje dwukrotnie co najmniej powtarzać, a więc poświęcić im więcej czasu, ponieważ „Solidarność” np. nie chciała usiąść przy jednym stole z OPZZ-em. Tych problemów nie miały ani Węgry, ani Czechosłowacja. Nie mówiąc już o Bułgarii czy

Rumunii. Tam też nie ma tylu co u nas partii politycznych, prześcigających się w populizmie, a do populizmu łatwo się odwoływać w czasach nabrzmiałych oczekiwaniami.

T. T.: Ale koszty, proszę mówić o kosztach programu.

L. B.: Według mnie jest jeden – utrata pewności pracy. Naturalną, strukturalną właściwością gospodarki rynkowej jest pewien margines bezrobocia. Gospodarka socjalistyczna charakteryzowała się innym typem nierównowagi: nadmiernym zatrudnieniem, nazywanym ukrytym bezrobociem, zjawiskiem być może pozytywnym, ale korzystnym tylko pozornie, bo ktoś musi za tę bezużyteczną często czy zgoła mało efektywną pracę płacić i płacił – konsument. Zasady „czy się stoi, czy się leży” nie da się pogodzić z regułami gospodarki rynkowej. Każdy więc kto jest za gospodarką rynkową, musi się godzić z marginesem bezrobocia. Nie ma bowiem i nie będzie żadnej realnej gospodarki rynkowej, która zagwarantuje wszystkim pewność zatrudnienia, to trzeba sobie jasno powiedzieć. Więc albo-albo. I jeżeli ktoś uważa, że pewność zatrudnienia jest w Polsce najważniejsza, powinien być za gospodarką socjalistyczną, świadomie akceptując jej cenę. Ceną jest nie stały poziom życia, ale z każdym rokiem pogarszający się.

T. T.: Akurat mnie nie musi pan przekonywać.

L. B.: Wiem.

T. T.: Ale kogo? Bugaja?

L. B.: ...

T. T.: Olszewskiego? Winieckiego? Janowskiego? Kurowskiego?

L. B.: ...

T. T.: No tak, plotek o innych spodziewać się po Panu nie można, niestety.

L. B.: [*Uśmiech*] Jednej można. Bardzo się ubawiłem, gdy zobaczyłem Gabriela Janowskiego w roli ministra rolnictwa, jak tłumaczył chłopom, że nie wolno protestować przeciwko rządowi, blokując drogi, choć dwa lata wcześniej sam blokował, doskonała ironia historii. [*Śmiech*]

Sierpień 1992

[1-2/1993]

WIKTOR WOROSZYLSKI

Kto się boi Jacka Kuronia?

Tytuł powyższy jest nie tylko – co oczywiste – powszechnie uprawianym plagiatem-aluzją do dziecinnego „Kto się boi Czarnego Luda?” i teatralnego „Kto się boi Virginii Woolf?”; jest również dokładnym autoplagiatem – w maju 1989, przed wyborami do sejmu, które (o czym jeszcze nie wiedzieliśmy) przynieść miały tak błyskotliwy sukces wychodzącej z podziemia „Solidarności”, wydrukowałem w istniejącej od kilkunastu dni „Gazecie Wyborczej” krótki tekst, który przepiszę tutaj w całości.

Kto się boi Jacka Kuronia?

Mieszkamy po dwóch przeciwległych stronach placu Wilsona – Jacek Kuroń, solidarnościowy kandydat na posła, i ja, jeden z jego wyborców.

Jeszcze przed „Solidarnością” zdarzało się, że kiedy panowie z SB przychodzili do Jacka na kolejną rewizję, wzywał mnie na świadka mającego nastąpić przetrząsania półek i szuflad. Ile razy przebywałem tę bliską drogę...

Teraz jest równie bliska, lecz nie tak jednostajna jak niegdyś: rek wizyty akcji wyborczej upstrzyły tablice ogłoszeniowe, mury, wystawy. Ale dziwna rzecz: co rano, wychodząc na plac, dostrzegam, że część obwieszczeń i plakatów została zniszczona – pozdzierana w całości lub części, uzupełniona obelżywymi napisami, zasmarowana. Są to zawsze afisze jednego z żoliborskich kandydatów na posła: tego wysuniętego przez „Solidarność”. Nikt nie rusza niebieskich arkusików, na których kandydat do partyjnego mandatu rozgrywa swą codzienną partię tenisa. Nikomu nie wadzą również konkurenci Kuronia do mandatu bezpartyjnego – mecenas Siła-Nowicki, posługujący się symbolem Polski Walczącej, oraz prezentowany jako kandydat młodzieży pan Sławbor Cergowski. Tylko Jacek Kuroń jest przedmiotem agresji „nieznanych sprawców”, szarpania, wydłubywania oczu, domalowywania fałszywych informacji i „kompromitujących” symboli, nawet przerabiania nazwiska, aby włożyć w nie treść hańbiącą.

Kto tak nienawidzi kandydata „Solidarności” – Jacka Kuronia?

Kto postanowił: każdy, byle nie on?

Kto się boi Jacka Kuronia?



Na pytanie „kto się boi Jacka Kuronia?” my, jego przyjaciele, zwolennicy, uczestnicy działań, którym przewodził, współaktorzy (choćby w epizodycznych rolach) jego nietuzinkowej biografii, mieliśmy oczywiście odpowiedź: oni.

Oni, partia rządząca, właściciele Polski Ludowej, ich aparat przemocy, dezinformacji, fizycznego i moralnego niszczenia ludzi. Ci, którzy wielokrotnie – na godziny, miesiące, lata – pakowali go do kryminału. Którzy tropili, podsłuchiwali, nasyłali prowokatorów i bojówkarzy, zakazywali pracy i druku. Którzy uniemożliwili więźniowi pożegnanie umierającej żony, a nam, na wolności, skonfiskowali jej nekrolog w gazecie. Którzy mieli specjalną jednostkę do nękania upatrzonych osób wszelkiego rodzaju fałszywkami, plugawymi listami i telefonami. Którzy nie cofali się przed skrytobójstwem, tak je inscenizując, by skompromitować ofiarę i na manowce skierować śledztwo. To oni, w sierpniu 1980, w Gdańsku, zmuszeni do układania się „jak Polak z Polakiem” ze strajkującymi stoczniovcami, na jedno do ostatniej chwili nie chcieli przystąpić: na wypuszczenie aresztowanych – z Jackiem Kuroniem na czele. A w 1989, ustawiając już okrągły stół w Pałacu Namiestnikowskim, jedno tylko usiłowali na koniec wymóc: by przy polerowanych brzegach mającego przejść do historii mebla w żadnym miejscu nie zasiedli Kuroń z Michnikiem.

Mieliśmy więc z pewnością rację, uważając, że to oni boją się Jacka Kuronia, i podejrzewając, że to ich sprawne ekipy smarują wołowymi literami w poprzek plakatowych podobizn kandydata „Solidarności”, zawadzając też o sfotografowanego z nim Wałęsę: „żydowska małpa”, „ubowiec”, z rzadka delikatniej: „lewica laicka”.

Pomysł, że działacz opozycji jest „żydowską małpą”, aczkolwiek odwoływał się do formułek starszych niż Polska Ludowa, także pochodził ze znanego repertuaru partyjno-ubeckiego.

Na marginesie, całkiem niedawno, w recenzji literackiej pióra młodej autorki, po przytoczonym przez nią zdaniu z czyjegoś tekstu: „Żyd to jest słowo obelżywe”, przeczytałem, że przypomniało jej ono własne przeświadczenie z czasów dzieciństwa – otóż sądziła była wówczas, iż „jest to takie samo przykre określenie, jak dureń, bałwan, idiota...”

Ale pogardliwa formułka – stosowana instrumentalnie bądź ze szczerem przekonaniem i zgodnie z wyznawaną ideą – ma to do siebie, że posługiwać się nią mogą bardzo różni nadawcy. Użyty w kampanii wyborczej argument quasi-antysemicki (quasi, bo i wtedy, i kiedy indziej, nie chodziło o rzeczywistość, w której borykano by się z autentyczną „kwestią żydowską”, lecz o taką, w której funkcjonować miało „przykre określenie”, bliskie zapamiętanemu z dzieciństwa przez młodą autorkę), ten argument zatem – i nie tylko on zresztą – niebawem kazał się zastanowić, czy tylko oni boją się i nie znoszą Jacka Kuronia,

i z zakłopotaniem stwierdzić (z zakłopotaniem, bo komplikowało to obraz sytuacji), że nie tylko oni.

W zapiskach *Z dziennika czasu wyborów* (maj–czerwiec 1989, publikacja w „Więzi”: wrzesień tegoż roku) odnotowałem, że kilka tygodni przed 4 czerwca w Komitecie Obywatelskim przy Przewodniczącym „Solidarności” rozległy się głosy, w których – jak pisałem dosyć ostrożnie – „wyczuwało się jakby podejrzenie o nadmierne wpływy niemiłej im orientacji w wewnątrzopozycyjnych układach i chęć zmiany równowagi na rzecz innych sił politycznych”. Dorzucałem, że nie jest to zjawisko całkiem nowe, że istniało i przed „Solidarnością”, i za pierwszej „Solidarności” (powodując w niej niemałe skłócenie), i w pewnych publikacjach podziemnych po grudniu '81. „Przyklejając złe widzianej – kontynuowałem – kompromitującą etykietkę »lewicy«, siebie samą przeciwna jej formacja chętnie określała jako prawicową, narodową, chrześcijańską”.

Z perspektywy kilku minionych lat można ten szkic sytuacyjny uzupełnić o próbę bliższego nieco przyjrzenia się ówczesnej „frondzie” w obozie „solidarnościowo-opozycyjnym”. Nie bez racji przedstawia się nieraz Polskę Ludową jako wielką zamrażarkę ugruntowanych w innych czasach postaw, poglądów, tradycji politycznych. Nie przetrwały, ma się rozumieć, w stanie nietkniętym – wymuszały się, uległy metamorfozom, w pewnej mierze zmodyfikowały swój język – i nie wszystkie, choć obecne w społecznym podglebiu, odegrały znaczącą rolę w przybierającej fali opozycyjnej lat siedemdziesiątych. Falę tę, z dużym impetem i nie bez ostentacji atakującą zmurszałe twierdze PRL-owskiej Grenady, życzliwi i nieżyczliwi obserwatorzy utożsamiali głównie z formacją określaną później jako KOR-owska (od KOR-u, założonego w roku 1976 Komitetu Obrony Robotników). Ona także nie była jednolita, jeśli chodzi o genezę i światopogląd, ale pewnych nawiązań (na przykład do przedwojennej endecji) w zasadzie niepodobna się w niej było dopatrzeć, dostrzegało się zaś inne: do światłego katolicyzmu KiK-ów, „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi” oraz, może w większym stopniu, do studenckiego protestu 1968 roku, jego wolnościowego, antytotalitarnego porywu. KOR stworzyli inteligenci, ale w orbicie jego znalazły się wnet inne kręgi społeczne, w szczególności przyznawali się, że są jego „wychowankami” nowi przywódcy robotniczy, jak Bujak, Janas i sam Wałęsa, i nie kombatanckiej pysze jedynie należy przypisać pogląd, że bez małego KOR-u nie byłoby wielkiej „Solidarności” lat 1980–1981. Kiedy zaś w stanie wojennym rosła legenda charyzmatycznych postaci ruchu oporu, mało kto zastanawiał się nad różnicami „ideologicznymi”, dzielącymi, dajmy na to, takich ludzi, jak Kuroń, Jurczyk i Pinior. Internowane w Darłównu dzielne dziewczęta z KPN-u do furii doprowadzały klawiszy ułożoną przez siebie piosenką o godnym pożalowania szefie WRON-y i o wspaniałym Kuroni, który już niebawem, po rychłym zwycięstwie, zostanie „naszym premierem”.

Kiedy zaś zwycięstwo to stało się naprawdę bliskie i realne, poruszyły się i energiczniej upomniały o swoje także mniej widoczne do tej pory grupy, środowiska i załączki organizacji. Wyplęły na powierzchnię zapomniane (jakże niesłusznie) postawy mentalne, dawne partie, sztandary, hasła. Upomnieli się też o swoje ludzkie z drugiego planu, dla których nie starczyło dotąd miejsca na przedzie historycznej sceny, choćby i wokół owego mebla, przy którym znalazł się w końcu, mimo pierwotnego sprzeciwu i lęku strony rządowej, Jacek Kuroń w dzinsowej bluzie. Niektórzy z nich, dotąd niepodjęwani o „orientację narodową” czy „fundamentalizm katolicki”, naraz tak się właśnie określili – może dla wyraźniejszego zdystansowania od „laickiej lewicy”. Odnotowuję to wszystko już bez pierwotnego zaskoczenia, a tym bardziej bez krzyku zgorszenia – zjawiska psychologii indywidualnej i zbiorowej są, jakie są, i przez to pięćdziesiąt lat widywało się większe dziwy. Daleki też jestem od sugerowania, że obawiając się wyrosłego na symbol antykomunistycznego oporu Jacka Kuronia i przeciwstawiając mu swojego, zasłużonego skądinąd, kandydata do ław poselskich, prawica posunęła się w tej kampanii wyborczej do czegoś więcej niż przesadne eksponowanie własnego patriotyzmu, nieobecnego rzekomo w etosie „kosmopolitycznej” formacji, którą zamierzano odsunąć. Sądzę jedynie, że nie przejmowano się z nadto tym, co spotykało rywala ze strony wspólnego przeciwnika i cichcem akceptowano te elementy propagandy komunistycznej, które sięgały do niegdysiejszego arsenału „narodowo-radykalnego” i które w następnych wyborach, gdy wydawało się, że komuniści opuścili już polską scenę polityczną, miały swoją prostotę i skutecznością skusić do użycia od nowa, już w niesplamionym niedobrych koligacjach „niepodległościowym” imieniu.



A więc padły dwie odpowiedzi – boi się (czy też bała się) Kuronia komuna tracąca grunt pod nogami i boi się (przypomniała sobie, że powinna się go bać) endecja szukająca dla siebie gruntu.

Czas, acz z ciężkim sercem, wykrztusić trzecią odpowiedź: ja się boję Jacka Kuronia.

Powiedziałem mu to wprost w roku 1976, kiedy proponował mi wstąpienie do KOR-u.

To, co teraz spróbuję wyznać, nie bardzo mieści się w jubileuszowej konwencji, ale noszę się z tym nie od dzisiaj i wyrzucę to wreszcie z siebie, naturalnie jeśli potrafię. Oto główna trudność: serdecznie i szczerze pragnąc osłaniać Jacka przed tamtymi, których lęk jest nienawiścią i atakiem zza węgla, muszę sobie zarazem poradzić z tym, że sam się go boję inaczej.

Wtedy, przed laty, tłumacząc swą odmowę, użyłem drugiej osoby liczby mnogiej: nie, nie ich, was się boję, waszej „partyjności”, waszej presji na każdego kto, choć bliski wam, odchyła się jakoś od wspólnego kanonu, boję się waszej – i twojej osobiście – niezachwianej pewności własnej racji, czegokolwiek by dotyczyła.

Bardziej niż teoretyczna obawa przed swoistym „despotyzmem” sympatycznej mi przecież grupy oraz jej niekwestionowanego przywódcy powodowała mną wówczas obolałość po konflikcie, jaki poróżnił mnie był z nim i nimi niewiele wcześniej.

Z Kuroniem stykałem się przelotnie bodaj od roku 1956, ale do jego i Gai domu wprowadziła mnie dopiero piętnaście lat później, już po wyjściu „pokolenia 1968” z pomarcowych więzień, Teresa Bogucka, świetna dziewczyna, przez przyjaciół nazywana Niemczkiem (takie nazwisko nosił w *Chłopcach z placu Broni* jedyny żołnierz w wojsku złożonym z samych oficerów). Z wdzięcznością przyglądałem do całego tego grona, przeważnie młodszego ode mnie o kilkanaście lat, imponującego mi odwagą, radością życia, determinacją w borykaniu się ze złem „realnego socjalizmu”. Polubiłem ich z miejsca, ale największe trudności (a z ich powodu – wyrzuty sumienia) miałem z polubieniem tego, który był ośrodkiem wszystkich poczynań, pomysłów, planów strategicznych i sądów moralnych. Na mnie także oddziaływała osobiwa siła, która z niego promieniowała – jak by ją określić? – siła skoncentrowanej woli, bezbłędnego instynktu społecznego i „pedagogicznego”, a nade wszystko niesłabnącej hojności serca, która nie pozwalała skąpić ludziom i sprawom czegokolwiek, co było jego – czasu, zdrowia, spokoju, pieniędzy (jeżeli je akurat miał), wolności i życia. Przebywałem więc, jak inni, w obrębie Jackowego magnetyzmu, ale raz po raz zdarzało mi się zrywać na prymitywizm jego wypowiedzi o czymś, na czym się nie znalazł, na przykład o książkach i filmach, połączony z lekceważeniem okazywanym upodobaniom odmiennym od własnych i z demagogicznym ustawianiem sobie mniemających inaczej do łatwego wyśmiania. Dochodziło między nami do scysji, czasem gwałtownych. Gaja starała się łać oliwę na wzburzone fale.

Jesienią 1975 wezbrał ruch protestów przeciwko projektowanym zmianom w Konstytucji PRL, mającym zalegalizować faktyczny stan rzeczy: absolutne rządy PZPR i podporządkowanie Polski Związkowi Sowieckiemu. Pierwszy był tzw. List 59, którego sygnatariuszem – i zapewne, wspólnie z Adamem Michnikiem, inicjatorem – był również Jacek Kuroń. Trochę później powstał List 100, podpisany głównie przez ludzi nauki i sztuki; deklarując solidarność z tym poprzednim, skupialiśmy uwagę na innym fragmencie ogłoszonego w prasie projektu „poprawek”, prowadzącym według nas do większego niż dotychczas bezprawia i zniewolenia. W pewnym momencie Jacek przysłał wiadomość, a właściwie polecenie, że nasz list ma podpisać pewien sympatyczny człowiek z jego otoczenia. Nie wzbudziło to entuzjazmu: po pierwsze, baliśmy się spłoszenia niektórych potencjalnych sygnatariuszy ze środowiska artystycznego lub

uniwersyteckiego; z przyciągnięciem ich wcale nie szło nam łatwo i niejedną znakomitość musieliśmy długo przekonywać, że nazwiskiem swym wesprze gest obywatelski ludzi kultury, nie zaś polityczną intrygę. Po drugie, nie wydawało się nam stosowne, żeby wszystkie protesty w słusznej sprawie nosiły pieczęć jednego ośrodka dyspozycyjnego. Tymczasem Kuroniowi jak gdyby na tym właśnie zależało: protegowanych swoich traktował wymiennie, proponując niebawem zastąpienie pierwszego wskazanego przez siebie kandydata innym z tego samego grona. Obie strony, niestety, rozmawiały „taktycznie”... Po jakimś czasie zrobiło mi się głupio, że nie machnęliśmy na to rozumowanie ręką – dotarło do mnie, że ktoś wartościowy, kogo lubiłem i ceniłem, odczuł nasz opór jako „niewpuszczenie na salony” i miał poczucie krzywdy. Jeszcze później granice pomiędzy angażującymi się w opozycję – nazwijmy to umownie – „literatami” i „studentami” uległy zatarciu i nie było już podobnych drażliwych sytuacji. Tymczasem wszakże za swoją negatywną decyzję w sprawie dodatkowego podpisu zostaliśmy „ukarani” manifestacyjnym odwróceniem się otoczenia Kuronia (a przynajmniej jego części) od „literatów, którzy zawiedli”. Ostracyzm ustal bodaj w czerwcu 1976, po Radomiu i Ursusie.

Moja odmowa przystąpienia do KOR-u nie miała tak nieprzyjemnych skutków. Niewykluczone, że właśnie okoliczności zakładania KOR-u nauczyły Jacka większej tolerancji dla niezdyscyplinowanych współudziałowców w demontażu systemu. „Zapis”, który uruchomiliśmy z kolegami literatami tejże jesieni, był od KOR-u niezależny, mimo że bliski mu duchem i że w redakcji znaleźli się też pisarze, którzy byli członkami KOR-u, a w pracy organizacyjnej pomagał nam ktoś z młodych przyjaciół Jacka. Myślę, że taki układ był nie najgorszy.

Po latach, kiedy jestem stary, a i Jacek nie taki młody, uważam też za ważniejsze w moim życiu od kłótni z Jackiem to, że „tak w ogóle” byłem z nim, ufałem mu i pokrzepiała mnie jego intensywna obecność. Kilka razy rozlegał się jednak dzwonek alarmowy i zanim wróć do problemu „bania się Jacka Kuronia”, przytoczę jeszcze dwa takie wydarzenia, których byłem bardziej świadkiem niż uczestnikiem.

W wielkim dziesięcioleciu opozycji (bezpośrednio poprzedzającym dziesięciolecie Jaruzelskiego) istniał w Warszawie taki „salon Walendowskich” – na Puławskiej, w niegdyśszym mieszkaniu Melchiora Wańkowicza, zajmowanym wtedy przez jego urodzoną w Ameryce wnuczkę, młodą lekarkę Annę Erdman z mężem i dziećmi. Co parę tygodni odbywały się tam wieczory autorskie – kilkadziesiąt osób rozsiadało się na podłodze wokół kolejnego bohatera imprezy i po odczytaniu przez niego niecenzurowanych i na ogół niecenzuralnych w tych czasach tekstów zaczynało się nieskrępowane gadanie, któremu sekundował z przedpokoju tupot nóg Dawida i Eliasza. Nie pamiętam dokładnej daty wieczoru Tadeusza Konwickiego, ale musiało to być w roku 1977, wkrótce po wydaniu *Kompleksu polskiego* jako 3. numeru „Zapisu”, bo już w 4. numerze, w kronice wydarzeń kulturalnych, nazwisko jego wymienione zostało

w zbiorczej notatce o „wieczorach autorskich w prywatnym domu”. Pamiętam natomiast, że tym, który pierwszy zaatakował pisarza, był Jan Kelus, co zaskoczyło nas trochę, bo wtedy jeszcze autorzy mojego pokolenia nie zdawali sobie sprawy, że we wszystkich konfrontacjach z publicznością będą się odtąd zawsze spotykali z większym zainteresowaniem dla swojego przedwczorajszego „upadku” (uwierzenia w komunizm), niż dla wysiłku przeczwyciężenia złudzeń młodości i dla tego, czym się zajmują obecnie. Jako następny po Kelusie zabrał głos Jacek Kuroń i wygłosił napastliwe przemówienie, w którym „udowodnił” Konwickiemu tchórzostwo, oportunizm i ogólną niesłuszność jego twórczości, tej najnowszej nie wyłączając. Tadeusz był zdruzgotany, a ja – czułem się zawstydzony i jakoś winny wobec kolegi, który nie próbował się bronić i dopiero po kilku dniach oświadczył z gorzkim grymasem: Więc to ma być sławny wódz opozycji? Przecież to bolszewicki aparatczyk, instruktor z KC...

Jesienią 1980 roku inny zaprzyjaźniony pisarz, Lech Bądkowski z Gdańska, członek Prezydium MKS (Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego), opowiadał mi z oburzeniem, jak to podczas posiedzenia tej wybranej w Stocznii instancji Wałęsa otworzył raptem drzwi do sąsiedniego pokoju i wprowadził czekającego tam Jacka Kuronia, a ten przez nikogo do władz MKS niewybrany – z mety zaczął „rządzić” i ochryplym basem rozstrzygać stojące na porządku dnia kwestie. – To metody mafijne – piekł się Lech – jak można tak brać ludzi przez zaskoczenie?

Rozumiem traumatyczną reakcję proslonijnego Bądkowskiego na traktowanie w podobnie niefrasobliwy sposób reguły demokracji, ale nie do końca podzielam jego emocje, bo rozumiałem również, że przywódcy ulegają pokusie drogi na skróty ku celom, jakie nie tylko oni sami uważają za słuszne. Wiedziałem jednakże, iż zlekceważenie wrażliwości osób patrzących bardziej rygorystycznie na metody uprawiania polityki jest nie tylko czymś nagannym moralnie – jest po prostu błędem.

Bądkowski nie żyje, Wałęsa i Kuroń dawno prawdopodobnie zapomnieli o tamtym incydencie, a mnie po latach wydaje się on bardzo wyraźnie wchodzić w obręb rozważań, co to znaczy – bać się Jacka Kuronia.

Nie chodzi przecież o tęgiego sąsiada z placu Wilsona, który muchy nie skrzywdzi, a najchętniej i mnie, i każdemu nieba przychyli.

Chodzi o „Jacka Kuronia” – o to coś w człowieku, co od jakiegoś czasu przyzwyczailiśmy się nazywać charyzmą, a o czym trochę wcześniej była już mowa jako o sile promieniującej z jej posiadacza, o magnetyzmie wciągającym innych ludzi w obręb wartości, idei, poczyniła naznaczonych imieniem tego właśnie człowieka.

O charyzmę – i upajającą świadomość jej posiadania, a więc poczucie przewagi nad otoczeniem, nieukrywane, okazywane w najrozmaitszy sposób, na przykład przez pewien rodzaj pobłażliwości w stosunku do spierających się z jego poglądem na tę czy inną rzecz, przez ton ironiczno-protekcjonalny i zbywanie czyichś nie do końca precyzyjnych argumentów przy pomocy pseudologicznych, złotoustych konstrukcji.

O żarliwą pewność własnej racji – co jest wspaniałe i stanowi zapewne jedno z głównych źródeł owej siły tajemnej, a także podstawowy warunek skutecznego działania – niosąc zarazem niebezpieczeństwo niezachwianej pewności każdej z własnych racji i łatwość ignorowania tego, co ją niezupełnie potwierdza. Także łatwość, z którą w momentach, kiedy dokonuje się radykalny zwrot w jego myśleniu, przestaje on przywiązywać wagę do wczorajszych swoich kryteriów i odwołuje się do zupełnie innych, mając w dodatku za złe tym, którzy nie kwapią się do zwrotu z nim razem.

Wreszcie chodzi o silny instynkt wodzowski – niezbędny, czasem wręcz zbawienny u kogoś, kto przewodzi, lub chcemy, by nam przewodził – z którym jednak połączone bywa niekiedy niedbałe, instrumentalne traktowanie tych, którym przewodzi, i bynajmniej nie przesadne przywiązanie do demokratycznych obyczajów i kultury międzyludzkich stosunków. Instynkt wodzowski tworzy też wokół jego posiadacza grupę ludzi w większości dzielnych i przejmujących od niego to co najlepsze, ale zarazem jakby zbyt mu podporządkowanych i do potęgi podnoszących jego arbitralność, z błyskiem fanatyzmu powielających jego apodyktyczne wyroki.

Takiego zatem „Jacka Kuronia” boję się w Jacku Kuroniu i w innych ludziach, którzy, jak i on, są mi bliscy, których nieraz podziwiam, z których opiniami się liczę, którym życzę powodzenia i radości z coraz znakomitszych dokonań.

Czasem boję się Jacka Kuronia także w samym sobie.

Czerwiec-lipiec 1994

[Tekst przeznaczony do książki pamiątkowej na 60-lecie Jacka Kuronia, która ukaże się w Warszawie nakładem Wydawnictwa NOWA 1–2/1995]

ANDRZEJ MENCWEL

Czego Polacy potrzebują?

Z cyklu Myśli o Polsce

Ostatni próg, spowalniający szybkość samochodów na osiedlowej uliczce, jest położony przed zjazdem na wielkomiejską arterię. Pisząc to zdanie, muszę bardziej niż zazwyczaj ważyć słowa. Nie odpowiadają one bowiem tutaj rzeczom samym. Wielkomiejska arteria, choć dwupasmowa i zatłoczona obecnie pojazdami jak każda wylotowa szosa w Europie (jako szlak na Wilno, Rygę, Tallin i Petersburg bywa nazywana dumnie *Via Baltica*), obudowana jest szpetnymi i odrapanymi czynszówkami (w których nie płaci się czynszu), a jej nawierzchnia jest zjawiskiem lokalnym. W osiedlu mieszka kilka tysięcy ludzi, wszystkie jednak jego, założone niegdyś, funkcje społeczne, kulturalne i komunikacyjne uległy rozkładowi i pozostaje ono siedliskiem, a nie osiedlem. Bloki nie są domami i nikt ich tak nie nazywa, są konglomeratami szuflad mieszkalnych i w szufladach tych nie chronią się mieszkańcy, lecz lokatorzy. Uliczka nie jest naprawdę uliczką, lecz „ciągiem pieszo-jezdnym” – osobliwy ten wynalazek, choć rozpowszechniony zaledwie przed ćwierćwieczem, pochodzi zapewne z epoki poprzedzającej trakcję konną. Odrzuca on bowiem, obowiązujący w miastach od stuleci, rozdział ruchu pieszego i kołowego. Na wąskim, pozbawionym chodników i pokaleczonym pasku asfaltu kotłuje się wszystko ze wszystkim: psy i koty, dzieci i starcy, rolkarze i cykliści, samochody osobowe i dostawcze, taksówki i karetki, ciężarówki asenizacyjne i strażackie. To, że nie doszło nigdy do poważnego wypadku, zawdzięczamy zapewne opiece Boskiej. To, że ostatnio położono owe progi spowalniające, zawdzięczamy postępowi cywilizacyjnemu. Progi te są jedyną rzeczą odpowiadającą słowu.

Ale najwyraźniej nie odpowiadają one mieszkańcom. Ostatni zwłaszcza próg, ten przed zjazdem na wielkomiejską arterię, przeszkadza wszystkim lub prawie wszystkim siadającym tutaj za kierownicę. Zaraz bowiem, korzystając z możliwości (z lewej strony był obrzeżony trawnikiem), zaczęto go omijać, ryjąc coraz głębsze koleiny. Póki trzymał mróz, trzymał i grunt, ale kiedy mróz puścił, puścił i grunt, a trawnik zamienił się w błotne grzęzawisko. Można powiedzieć, że to nie jest nic nadzwyczajnego, bo grunt mamy z natury podmokły, o czym nawet świadczą nazwy ulic (Mokra, Błotna), pochodzące z czasów zamierzchłych. Błoto stanowi tutaj główny składnik pejzażu i rzuca się w oczy, gdziekolwiek sięg-

nać wzrokiem. Chlupie w dziurach asfaltu, tryska spod płyt parkingu, rozlewa się po trawnikach i miesi na placach zabaw. Kiedy w szary, przedwiosenny poranek staję w oknie i widzę, jak wciąż zdobywa teren, zaczynam podejrzewać, że to nie jest zwykłe błoto naturalne, lecz niezwykła substancja metafizyczna. Ja wiem, że Polska na ogół pięknie się kojarzy – jak nie Wawel i Jasna Góra, to chociaż wierzyby i bociany. Mnie natomiast kojarzy się z błotem, a jego nieodparta moc stała się moją obsesją. Nie mogę pocieszać się tym, że na obsesję taką cierpieł również Stefan Żeromski i Maria Dąbrowska*. Bo mam tego dość.

Porzućmy domniemania o opiece Boskiej i siłach natury, bo są one upodobaniem innych, i zapytajmy o czynnik ludzki, „współczynnik humanistyczny” tej błotnej rzeczywistości – dlaczego oni omijają ten próg i ryją koleiny, dlaczego przy każdej sposobności rozjeżdżają trawniki, a place zabaw zamieniają w błotniste trzęsawisko? Przecież te koleiny ryją pod swoimi oknami, trawniki niszczą wokół siebie, a place zabaw rozwalają swoim dzieciom? Cóż za szczególne, chciałoby się zapytać, bytuje tutaj plemię, którego obyczaj prowadzi do samozniszczenia, bo prowadzi do niego nieuchronnie, prędzej czy później, niszczenie otoczenia? Jest ulubionym zwyczajem tubylców również wyrzucanie szkieł i puszek przez okna oraz wystawianie zużytych sprzętów przed drzwi wejściowe. Ponieważ czynią to przeważnie z soboty na niedzielę, więc idą rano dzień święty święcić nie przez pobożowisko, lecz przez śmietnisko. Nie słyszałem, aby tak rozpowszechnionym, a jednocześnie przyziemnym obyczajem zajmowali się ich przewodnicy duchowi albo przywódcy polityczni. Ci pierwsi są pełni wiary w opiekę Boską nad plemieniem wybranym, ci drudzy pewni siły postępu, tak mocnej jak prawa natury. Nic nie mówię przy tym, proszę zauważyć, ani o religii, ani o gospodarce. Mówię o formach mentalnych, które wnikają i w religię, i w gospodarkę, tworząc rdzeń postaw społecznych. Mówię o tym, co nazwane „współczynnikiem humanistycznym” jest dostępne naszemu poznaniu lepiej niż Opatrzność i Natura; mówię o tym, co będąc czynnikiem ludzkim, tkwi we mnie samym. Żyję śladem tego czynnika i tego współczynnika są zryte koleiny, błotne trzęsawisko i niedzielne śmietnisko. Nie odpowiadają za nie ani Opatrzność, ani Natura, nawet jeśli chcieliby tak wierzyć przewodnicy duchowi i przywódcy polityczni. Odpowiadamy za nie my i trzeba się tego trzymać.

Dawniej nie było to tak oczywiste i nieodpowiedzialność była nagminna. Tak zwany system – sowietyzm, stalinizm czy realsocjalizm – który ostatecznie, mam nadzieję, odszedł w przeszłość, pośród licznych swoich wad miał i tę, że nieodpowiedzialność sankcjonował. Ponieważ szczytowe szczyble długiej drabiny

* O obsesjach Żeromskiego i Dąbrowskiej bliżej w odpowiednich częściach tej książki [tj. *Przedwiosnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku*]. Ale nawet Singer miał podobne natręctwa i „błotniste sztety” jest jego idiomem. Zob. I. B. Singer, *Felietony, eseje, wywiady*, przeł. z jidisz T. Kuberczyk, wstępem opatrzył Ch. Shmeruk, Saggiarius, Warszawa 1993, miejsca różne.

władzy przesłaniała mgła, w tej mgle ginęła też odpowiedzialność. Przyziemnie wyrażało się to w tym, że choć teoretycznie ktoś odpowiadał za projekt, wykonanie i funkcjonowanie nowego osiedla (gdzieś w archiwach do dzisiaj przechowywane są imiennie podpisane dokumenty), praktycznie nie odpowiadał za to nikt i nikt też odpowiedzialności tej nie egzekwował. Każda próba takiej egzekucji, a w swoim czasie podejmowałem je wielokrotnie, czyniąc sobie z tego obywatelskie upodobanie, naruszała coś więcej niż narzucony system władzy, naruszała również przyjęty własnowolnie konsens społeczny. Ludzie to właściwie polubili, bo było im z tym łatwiej, jak zawsze z nieodpowiedzialnością, i raczej byli skłonni do zbiorowego buntu w podniosłej chwili niż do osobistej, powszedniej egzekucji praw. Juliusz Mieroszewski napisał kiedyś zwięźle: „Sowietyzm sprowadza się do prostej propozycji: folklor za wyrzeczenie się myśli państwowej”. Miał na myśli wczesną, stalinowską fazę systemu, wtedy tępił obyczaj, a kultywowano folklor. Dla czasów późnego realsocjalizmu, w których powstało nasze osiedle, i na nasz lokalny użytek, sentencję tę trzeba przetworzyć: prywatność za brak odpowiedzialności społecznej. Wiele już wtedy wolno, a w sferze prywatnej prawie wszystko – śluby i chrzty są coraz bardziej jawne i coraz bardziej wystawne, a partyjni funkcjonariusze rejestrują swoje dobra notarialnie. Egzekwowanie praw obywatelskich jest jednak nadal źle widziane, zarówno jeśli idzie o wolność druku, jak i kontrolę administracji. Cichy konsens wydaje się zadowalać większość: wolność Tomku w swoim domku, a poza tym można rozjeżdżać trawniki, bo nikt za to nie odpowiada. Taktowny bardzo intelektualista wyznawał mi wtedy za dumą, że jeździ na gapę, bo w ten sposób omija system. Wszystko było państwowe, więc niczyje, i nikt za to nie płacił.

Ale teraz przecież jest inaczej – nie tylko my za to płacimy, również to widać. Płaciliśmy zresztą zawsze, tylko abstrakcja centralistycznego państwa to zasłaniała. Dziś ta kurtyna znikła i kiedy zarząd spółdzielni mieszkaniowej zawiadamia mnie o kolejnej podwyżce świadczeń, dobrze wiem, kto płaci i za co. Wszyscy też wiedzą, albo wiedzieć mogą, że teren, uliczki, trawniki, place zabaw, a nawet drzewa i krzewy ze świadczeń tych są utrzymywane i nie dotuje ich żadne ginące w chmurach państwo. Mimo całego spadku po byłym systemie, zapisanego w sposobie zaprojektowania, zagospodarowania i zarządzania naszym osiedlem, więź pomiędzy jego stanem a stanem kiesy mieszkańców jest dziś całkiem wyraźna. Ten, kto ryje dziury w trawniku, powinien wiedzieć, że ryje je we własnej kieszeni, kto rozjeżdża parkingi, że rozjeżdża własne konto, a kto rujnuje plac zabaw, że rujnuje własny budżet. I, jak wolno sądzić, teoretycznie to wszystko teraz wiadomo, tylko praktycznie się tego nie przyjmuje. Pomiędzy wiedzą teoretyczną, która pozostaje abstrakcją jak dawniej państwo, a zachowaniem praktycznym, konkretnym i niezmiennym – nie ma przejścia. Brakuje łącznika, przekładni, rotoru – czego świadectwem tłuste, błotne grzęzawisko.

Nie mówię bynajmniej o peryferiach miasta ani o ludziach marginesu. Mówię o średniej krajowej, a więc poniekąd o całym kraju, co potwierdza zarówno

standard naszego osiedla, przekrój społeczny jego mieszkańców, jak ich preferencje polityczne, w kolejnych wyborach zbliżone właśnie do średniej krajowej. Jak Polska długa i szeroka, wszędzie stoją takie osiedla, a mieszkają w nich ludzie, którzy dawny system przyjmowali jak zrządzenie losu i starali się do niego dostosować. Podobnie przyjęli demokrację polityczną i wolność ekonomiczną – ani o nie nie walczyli, ani się im nie opierali. Nie popadli jednak w apatię i nie ulegli degradacji – przeciwnie, wyraźnie się ożywili i stopniowo ciągną w górę, co widać zwłaszcza po klasie samochodów. Są zresztą wyczuleni na symboliczne przybory cywilizacji, bo na swobodny dostęp do nich się naprawdę doczekali i za spełnienie swoich pragnień są gotowi do ofiar. Żywiołowy pęd do wideo, telewizji satelitarnej, komputerów i zachodnich samochodów był najbardziej powszechnym głosowaniem tych obywateli. I to oni właśnie nie dostrzegają więzi pomiędzy stanem otoczenia i stanem własnych interesów? I to oni nie umieją wyliczyć spadku wartości mieszkania z powodu degradacji otoczenia? I to oni nie czują, jak rozjeżdżają codziennie własny portfel?

Czegoś im zatem brakuje, co nie jest kategorią polityczną ani ekonomiczną. Brakuje im łącznika, przykładni, rotoru wolność polityczną sprzęgającego z pomyślnością ekonomiczną i wprawiającego je obie w ruch przyspieszony, właściwy nowoczesnej cywilizacji. Jest to, co prawda, ruch jednostajny, pozbawiony gorączki „tygrysy” skoków, jakimi się nas czaruje, wolny jednak od azjatyckich zapaści, jakich nie chce się pamiętać. To temu ruchowi cywilizacja zachodnia zawdzięcza swój stały rozwój, i to jego rotor należy teraz wskazać. Rotorem tym są postawy kulturowe, one to poprzez właściwe sobie formy mentalne wnikają w politykę i ekonomikę, sprzęgają je wzajemnie ze sobą i dynamizują ich ruch. Max Weber w swoim wielkim dziele *Etyka protestancka i duch kapitalizmu* dowiódł historycznego znaczenia takich postaw. Kapitalizm bowiem, jego zdaniem, nie byłby możliwy bez gruntownej przemiany dokonanej w ludzkich orientacjach przez protestancką reformę religijną. Reforma ta powołała do życia nowy typ osobowości – osiagającej niebo przez ziemskie zdobycze, ekspansję utożsamiającej z ewangelią, ascetycznej przy tym i racjonalnej, utylitarnej i metodycznej w swym zawodowym i wyznaniowym pietyzmie. To samo mam na myśli, kiedy mówię o postawach kulturowych – ucieleśnione w ludziach idee, utrwalone formy mentalne, historyczne typy osobowości*. Nie tylko wielkie kreacje historyczne, jak kapitalizm, ale i osobiste zapisy, jak dziennik intymny, są ekspresją takich historycznych typów, utrwalonych form mentalnych, ucieleśnionych idei. I to taki typ, mentalność, ideę widzę w tych, co ryją tutaj koleiny, rozjeżdżają trawniki, rozrzucają śmietniki.

* Po raz pierwszy kategorii postawy do historycznych interpretacji kulturalnych użyłem w swojej książce *Etos lewicy* (PIW, Warszawa 1990) i tutaj kontynuuję to postępowanie. Juliusz Mieroszewski używał terminu „postawa kulturalna” w podobnym znaczeniu, co wskazuję w poświęconym mu rozdziale.

Sprzeczność pomiędzy początkiem poprzedniego akapitu a jego końcem jest pozorna i zaraz ją usunę. Nie jest bowiem tak, że krajanie nie noszą w sobie żadnych idei, nie mają swoich form mentalności, nie reprezentują żadnej osobowości historycznej. Byłoby to sprzeczne z istotą człowieczeństwa, więc niemożliwe ani teoretycznie, ani praktycznie. Oni to wszystko mają w sobie, tylko ich wyposażenie duchowe jest przestarzałe i anachroniczne. Czasowo i przestrzennie pochodzi ono skądinąd, pozostając w jawnej sprzeczności z wymogami czasu i miejsca. Dlatego nie może stanowić rotoru demokracji politycznej i wolności ekonomicznej, przeciwnie – jest jej hamulcem. Hamuje demokrację i wolność bowiem zerwanie więzi pomiędzy pomyślnością osobistą a odpowiedzialnością społeczną, brak przełożenia interesu własnego na dobro zbiorowe. Nie, nie oczekuję od moich sąsiadów sponsorowania koncertów symfonicznych ani zaangażowania w przebudowę państwa. Koncerty niech sponsorują finansisci, a państwo niech przebudowują politycy. Mój problem polega na tym, żeby koncerty nie były głuche, a państwo puste. Koncerty będą głuche, jeśli nie będą tutaj wysłuchane, państwo będzie puste, jeśli nie zostanie przez nas wypełnione. Pozbawione jedynej ludzkiej substancji, jaka naprawdę je ożywia, a mianowicie tworzonej przez takie łączniki, przykładnie i rotory tkanki społecznej, państwo pozostanie skorupą obcą i narzuconą. Jego sztuką nie będzie muzyka symfoniczna, lecz muzyka wojskowa. Jeżeli czegoś miałem w życiu nadto, to właśnie muzyki wojskowej, bo szmat tego życia przypadł mi na ukryty lub ujawniony stan wojenny. Dlatego widząc, jak ryją trawniki, czuję, że rwą tkankę społeczną i jestem pełen obaw.

Rzeczowy socjolog powie, że przypadek ten jest banalny, w historii nowoczesnej powtarzał się wielokrotnie, kategorie jego opisu są znane i nie ma powodów do dramatu. Oto klasyczny przykład przejścia z kultury wiejskiej, tradycyjnej, patriarchalnej i lokalnej, do kultury miejskiej, progresywnej, liberalnej i globalnej. Raptowność tego przejścia powoduje zderzenie wzorów zachowań – wzory wyniesione z miejsca pochodzenia nie pasują do wymogów miejsca zamieszkania, a przyswojenie wzorów nowych nie przekracza, w najlepszym razie, ich prostej użyteczności. Jak w handlu naręcznym lub stolikowym, który jest tutaj modelowym zachowaniem ekonomicznym: z ręki do ręki, jak najszybciej, ile się da. Z tego zderzenia wzorów ich załamanie i bezład wewnętrzny, powodujący zachowania chaotyczne i nierządne, anarchiczne i niszczyielskie. Obserwacje zewnętrzne potwierdzą słuszność tego schematu wyjaśniającego – większość mieszkańców tego osiedla to są wychodźcy ze wsi mazowieckich i jeżdżą oni tam przy każdej sprzyjającej okazji. Kiedy w niedzielny wieczór rozładowują swoje samochody, nie muszą mówić, skąd wrócili – mówią za nich worki, kosze i kobiałki. Wędrując latem po Kurpiach i Podlasiu, widzę w każdej prawie zagrodzie samochód ze stołeczną rejestracją, ale to nie jest najazd turystów, tylko krewniaków. Jeśli nie tych samych, co na mojej uliczce, to takich samych.

Nie sądzę zresztą, żeby była to sytuacja lokalna, bo podobne sceny widziałem na wielu nowych osiedlach w Polsce, a nie braknie ich też w innych krajach tej

części Europy. Podstawą nowoczesnego procesu cywilizacyjnego jest przejście od kultury wiejskiej i rolnej do miejskiej i przemysłowej. W przodujących krajach Zachodu (Anglia, Holandia, Francja) było ono zarazem wczesne i długotrwałe, co oznacza, że zasadniczo zostało ukończone w XIX wieku, a rozłożenie w czasie tego przejścia zmniejszyło koszty adaptacji. Nawet Niemcy uważa się za opóźnione, ponieważ owa mutacja cywilizacyjna rozpoczyna się tam dopiero w połowie XIX wieku, a jej szczytowy etap przypada na przełom wieków, koszty adaptacyjne płaci się dłużej, przede wszystkim masową „ucieczką od wolności” w okresie faszyzmu*. W Polsce, a zwłaszcza w zaborze rosyjskim, proces ten jest jeszcze bardziej opóźniony – rozpoczyna się pod koniec XIX wieku, trwa przez cały wiek XX, jego faza wzrostowa przypada na ostatnie półwiecze, a decydująca jest dopiero przed nami**. Zupełnie zresztą podobnie w całym obszarze powojennej dominacji rosyjskiej, choć rzecz jasna, Czechy różnią się pod tym względem od Słowacji, Węgry od Ukrainy, a Polska od Białorusi. Różnice te trzeba widzieć, bo tłumaczą one nierównomierny przebieg przekształceń ustrojowych we wszystkich tych krajach, ale trzeba też mieć w pamięci ich wspólne zapóźnienie. Wystarczy zresztą uprzytomnić sobie identyczną prawie, od Łaby po Ural (jeśli nie Władywostok), urbanistykę i architekturę blokowych osiedli, aby ożywić pamięć tej wspólnoty. Przywołuję ją nie po to, by ją kulturować, lecz by zrozumieć proces.

Feudalizm tutaj nałożył się na feudalizm – i to jest moja teza historyczna. Kwestia nie tylko w tym, że ów proces cywilizacyjny został opóźniony, kwestia w tym, że ma on przebieg szczególny. Szczegółowość tego przebiegu polega na tym, że feudalizm w swoich skrajnych formach (pańszczyzna, propinacja, dominacja zależności osobistej nad obligacją prawną) trwa tu najdłużej w Europie i wytłacza mocny wzór mentalny***. Ponieważ w okowach feudalnej zależności

* Doskonale analizy tych procesów zostały opracowane przez Norberta Eliasa (*Przemiany obyczajów w cywilizacji Zachodu*, przeł. T. Zabłudowski, PIW, Warszawa 1980, zwłaszcza rozdz. I: *Socjogeneza pojęć „cywilizacja” i „kultura”*, s. 5–60). W ostatnim, monumentalnym dziele tego autora analizy te stają się plastycznym opisem specyfiki cywilizacyjnej Niemiec w zestawieniu z innymi krajami Zachodu. Zob. tegoż autora: *Rozważania o Niemcach. Zmaganie o władzę a habitus narodowy i jego przemiany w XIX i XX wieku* (przeł. R. Dziągwa, J. Kałężny, I. Sellmer, Wyd. Poznańskie, Poznań 1996). Zbieżne z analizami Eliasa są celne uwagi Krzysztofa Pomiana o przebiegu procesów modernizacyjnych w różnych krajach Europy w książce *Europa i jej narody* (przeł. M. Szpakowska, Warszawa 1992; miejsca różne, począwszy od rozdz. XIV: *Wojna. Absolutyzm, modernizacja, rewolucja*).

** Nie musi to już teraz oznaczać masowych wędrówek ze wsi do miasta, lecz urbanizację wsi i uprzemysłowienie rolnictwa. Przy najmniej skromnie, że i miasta nasze muszą się wreszcie zurbanizować.

*** „Otóż zachodziła ewidentna niezgodność między liberalizmem jako teorią i praktyką społeczeństwa obywatelskiego, kształtującego się na Zachodzie w warunkach kapitalizmu, i rzeczywistością zacofanych społeczeństw wschodnioeuropejskich, z ich na wpół feudalną

społeczno-ekonomicznej znajdowała się przytłaczająca większość społeczeństwa, ten wzór mentalny był też najbardziej rozpowszechniony. Stanowił on duchowe czy też ideowe przetworzenie tej zależności i jest ona ciągle w nim czytelna. Pańszczyźnie gospodarczej odpowiada bowiem nie tylko poczucie wszechstronnej podległości wobec pana, ale także redukcja wszelkich interesów do najcisłej osobistych, dokładnie takich, jakie dają się ocalić w cęgach propinacyjnego niewolnictwa. Wszystko, co ponad tak rozumiany interes wykracza, jest nawykowo uznawane za „pańskie”, więc cudze i narzucone, co należy przynajmniej omijać, jeśli nie oszukać. Wielowiekowa dominacja zależności osobistej nad obligacją prawną oznacza z kolei odruchowe uznawanie tej zależności za jedynie realną, a obligacji prawnej za abstrakcyjną, więc właściwie fikcyjną. Nie ma tu prawie nikogo, kto wycięcie drzewa z lasu uważałby za niedopuszczalne, chyba że jest zaprzyjaźniony z leśniczym. Zdarzyło mi się słyszeć księdza gromiącego parafian za wyrzucanie śmieci. W jego własnym lasu, a nie państwowym. No to dlaczego zwykły parafianin ma nie zaśmiecać lasów „pańskich”, więc cudzych? I wyglądają one teraz jak wysypiska, ale to nie boli ani przewodników duchowych, ani przywódców politycznych. Oni są stąd.

Na ten odwieczny, starodawny feudalizm „pański” nałożył się świeży, współczesny feudalizm państwowy i przyłgnął do niego jak stal do magnesu. Tym nowoczesnym feudalizmem państwowym był sowietyzm czy też stalinizm. W perspektywie historyczno-kulturowej był on wewnętrznie sprzeczny i sprzeczność ta go w końcu zadławiła. Z jednej bowiem strony wszczynął gigantyczną industrializację i urbanizację, przenosząc masy ludzi ze wsi do miast, włączał je więc w cywilizacyjny proces. Z drugiej jednak strony, proces ten miał formy archaiczne, a praca prosta była jego właściwym wyrazem (jak w portretach obnażonych, zbrojnych w młoty „proletariuszy”). Towarzysząca mu struktura polityczna była równie gigantycznym przetworzeniem struktury feudalnej. Z monstrualną plenipotentą partyjnego państwa, na którego łaskę w złym i dobrym zdani byli wszyscy. Z nieskończoną drabiną zależności, które ogólnie będąc anonimowe, konkretnie pozostawały zawsze osobiste. Z redukcją wszelkiej prywatności do „społeczeństwa”, a więc do realnego i mentalnego wyobcowania tego „społeczeństwa”. Tak oto fizycznie wyrwany ze swych lokalnych korzeni wyrobnik

strukturą społeczno-gospodarczą, nieliczną i stosunkowo słabą klasą średnią oraz przewagą niepiśmiennej ludności chłopskiej, która w czasach B. Constanta czy J. St. Milla odrabiała jeszcze w wielu krajach pańszczyznę i pozostawała w znacznym stopniu w granicach gospodarki naturalnej” – J. Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Znak, Kraków 1994, s. 63. Piszac to, autor w dalszym ciągu swojego wywodu zastrzega się przed uproszczeniami. Jest to jednak trafne określenie naszej specyfiki cywilizacyjnej, niewymagające żadnych zastrzeżeń. Ostatnie formy pańszczyzny na ziemiach polskich (dokładnie – na Spiszu) zniesiono specjalną ustawą sejmową w roku 1931 (sic!). Zob. K. G., *Żelazce*, „Regiony” 1982, nr 1–3, s. 5–62. Roch Sulima wskazał mi ten przejmujący dokument.

był na skalę nieomal globalną konserwowany. W różnych krajach regionu konserwa ta była dodatkowo uszczelniana – w Rosji przez sakralizację państwa, którą bolszewicy, rozbijając Cerkiew, wzmocnili; na Białorusi przez brak prawie innych niż chłopstwo grup społecznych; w Albanii przez splecenie zależności plemiennych ze strukturami władzy. W Polsce niebagatelnym czynnikiem był spadek zaborów, a więc tradycja uznawania państwa i prawa za obce i narzucone. Okupacyjna mentalność „gospodarki wyłączonej” też miała swoje znaczenie. Tylko w Czechach, jak się zdaje, system ten nie miał, poza przemocą, żadnych wzmocnień własnych i kiedy przemocy nie stało, spłynął aksamitną faldą. Ale Czesi byli już przedtem cywilizowanym społeczeństwem obywatelskim.

Czuć się we wszystkim zdanym na państwo, a zarazem państwa tego właściwie nie uznawać; prawo uważać za abstrakcję i respektować je o tyle tylko, o ile splata się to z interesem własnym; za realne mieć jedynie to, co jest związkiem osobistym, a wszystko, co społeczne mieć za fikcję. Oto typ historyczny, który stanowi podwójny albo i poczwórny spadek naszych dziejów, kulturowe podłoże naszej współczesności. Podwójny, bo nagromadziły go Rzeczpospolita szlachecka i zabory, poczwórny, bo okupacje i stalinizm wniosły swój wkład. Szacowanie tych skarbów i wyliczenie tych wkładów pozostawmy historykom – dla nas ważny jest zasadniczy obrys tego typu. Stanowi on bowiem negatyw tej postawy, jaka przyczyniła się do rozwoju cywilizacji zachodniej. Czuć się obywatelem państwa, więc zarazem jego współtwórcą i prawodawcą, prawa samorzutnie respektować i nadzorować ich przestrzegania, społeczeństwo uważać za realność i być wpisanym w nie całą siecią więzi formalnych i nieformalnych – oto kontur tego pozytywu. Utożsamienie dążeń osobistych z potrzebami publicznymi jest w nim założone, celem tych dążeń jest harmonia społeczna i dobro powszechne, a bezinteresowne spełnianie obowiązku stanowi wartość oczywistą*. Angielski *gentleman*, francuski *citoyen*, niemiecki *Bürger* były zarazem idealizacjami i realizacjami tego typu. Na ideały składało się całe nieomal literackie, historyczne, filozoficzne i społeczne piśmiennictwo; realizacji służyły całościowe, wielocłonowe – rodzinne, oświatowe, zawodowe, kulturalne, naukowe i wojskowe – systemy socjalizacyjne. To właśnie naprawdę stworzyło Buddenbrooków, uwiodło Conrada i było opisywane przez Saint-Exupéry'ego.

W Polsce nigdy niczego takiego nie było, bo w pewnym sensie być nie mogło. Szlachecka Rzeczpospolita upadła wtedy, kiedy w Europie kształtowały się te ideały i systemy. Jej schyłkowe dziedzictwo było krzyczącym anachronizmem i nadawało się do panoptikum. Dzieło Komisji Edukacji Narodowej nie zostało naprawdę zrealizowane, a zaczęły Szkoły Rycerskiej czy legionów Dąbrowskie-

* Zob. np. uwagi Modrisa Eksteinsa [w:] *Święto wiosny. Wielka wojna i narodziny nowego wieku* (przel. K. Rabińska, PIW, Warszawa 1996). Rozrzucone w różnych rozdziałach części pierwszej, np. *Kultura* (s. 90–92), *Wiktoriańska synteza* (s. 149–152), *Obowiązek* (s. 201–217).

go ledwie zaczęły fermentować. Fascynowały one jeszcze takich dwudziesto-wiecznych pisarzy, jak Stefan Żeromski czy Wacław Berent, kreujących w swoich utworach wizję nurtu ideowego, nie tylko niepodległościowego, ale także demokratycznego, społecznego, cywilizującego. Nurt ten jednak pozostał tylko zastępczym i spóźnionym dziełem literackim, nie wrósł w życie i nie stworzył ówczesnej rzeczywistości kulturowej. Kontury tej rzeczywistości wykreślała alternacja dwóch przeciwstawnych, naznaczonych przez niewolę postaw. Jak dobrze wiadomo, romantyzm i realizm nie były u nas tylko prądami literackimi czy ideami filozoficznymi, były także postawami kulturowymi, we wskazanym powyżej, choć społecznie ograniczonym sensie. Eksplodowały lub owocowały arcydziełami literatury ojczystej, której przykłady, jak *Dziady*, *Kordian*, *Lalka* i *Nad Niemnem* są niepowtarzalne. Choć w perspektywie literatury powszechnej lokalne, dla świadomości narodowej były one niezastępowalne. Sprzeczność tych dwóch skal wartościujących była tak uciążliwa, że przez cały wiek XX borykali się z nią najwybitniejsi pisarze. Dramatycznym jej unaocznieniem było spotkanie Żeromskiego z Conradem.

Przez ponad stulecie nie było polskiego państwa ani polskiego wojska, także polskie życie religijne, oświatowe i zawodowe było ograniczane, jedynym działającym systemem socjalizacyjnym była rodzina i to ona duchowe realizacje sprowadzała do poziomu życia codziennego. „Narodowość schroniła się do rodziny, gdy rodzina stała się narodowością” – jak to celnie ujął, już w początkach zaborczej dominacji, Maurycy Mochnacki. Ale to schronienie było ciasne, poddane zewsząd obcej przemocy, co sprzyjało uznaniu wszelkiej inności za wrogość. Wielcy romantycy w swoim emigracyjnym wygnaniu wznosili się na szczyty uniesień duchowych, czuli się emanacją narodu, a w uniesieniach swoich naród ten ocalali. Ale na szczytach tych byli bardzo bliscy przyziemnej ciasnocie narodowych, rodzinnych schronień. Otaczająca ich Europa, tętniąca w tamtym wieku rozpędzonymi motorami cywilizacyjnego postępu, była im obca*. Motory te w najlepszym razie nie przybliżały narodowej restauracji, musiały więc być uznane za wrogie. W izolującym się od obcych zaborców schronieniu rodzinnym socjalizacja dokonywała się przez izolującą się od obcej cywilizacji mesjani-styczną poezję romantyczną. Przestarzała i bezwładna struktura społeczna, z od-wieczną dominacją szlachty, represyjne, absolutystyczne reżimy polityczne, nie-rzadkie sploty prześladowań narodowych z religijnymi, opóźniona, jeśli nie nę-dzna (jak w zaborze rosyjskim), oświata powszechna – wszystko to razem złoży-ło się na wytworzenie szczególnego typu historycznego. Świadomość narodowa została tu właściwie cofnięta do plemiennej, kulturowa utożsamiona z wyzna-

* Nieprzedawnione interpretacje ograniczeń romantyzmu polskiego w *Legendzie Młodej Polski* Stanisława Brzozowskiego (zwłaszcza rozdz. VII: *Polskie Oberammergau*, wydania róż-ne, krytycznego nadal brak). Nieprzedawnione także dlatego, że zanikł całkiem krytycyzm wobec romantycznego dziedzictwa.

niową, szlachecki, kresowy dworek stał się redutą niezłomnych, wystawionych przez Opatrzność na męczeńskie ofiary, które niezadługo zostaną nagrodzone rezurekcją. Historycy idei, mentalności czy postaw nazwali ten typ „Polakiem-katolikiem”, jego literackiej idealizacji dokonał Henryk Sienkiewicz, a beatyfikowała go Maria Rodziewiczówna*. Był to typ twardy i odporny – być może jego zasługą jest zachowanie świadomości narodowej w okresie niewoli. Ale był to typ amputowany.

Amputowano mu dokładnie to, co było rdzeniem typu przeciwnego – mianowicie problematykę cywilizacyjną**. Polscy realiści, dla których była to problematyka macierzysta, pojawili się znacznie wcześniej, niż się zwykle uważa, i już klasyków z Królestwa Polskiego (czyli „kongresowego”) można uznać za ich dojrzałe wcielenie. W każdym razie arcytypem tego realizmu był książę Ksawery Drucki-Lubecki, industrialista tego Królestwa. Wierzył, jak inni progresiści, w uniwersalność postępu cywilizacyjnego, chciał w jego linię ciągnąć wpisać swój kraj i był gotów płacić koszty. W Polsce jednak cena tego wpisu była podwójna i dlatego zazwyczaj nieopłacalna. Już od czasów sławnego wystąpienia Jana Jakuba Rousseau wiadomo było, że postęp nie jest procesem idyllicznym, lecz dramatycznym, a jego koszty trzeba starannie szacować. Zachodni progresiści, oświeceniowi, pozytywistyczni czy marksistyczni, mogli się z kosztami tymi liczyć lub nie, ale musieli ich być świadomi. Kwestia zła moralnego w dziejach nie schodzi już bowiem z porządku myśli nowoczesnej. Ale w Polsce do ambiwalencji globalnej dołączyła się również ambiwalencja lokalna. Jak książę Drucki-Lubecki musiał być lojalny wobec caratu, tak lojalni wobec zaborców musieli być wszyscy kolejni realisci. Oznaczało to nie tylko rezygnację z dysponowania takim podstawowym narzędziem nowoczesnej cywilizacji, jakim jest państwo, oznaczało też przeważnie amputowanie kwestii narodowej. Nawet *Lalka* czy *Nad Niemnem* napisane są tak, jakby w miejscu akcji nie było Rosjan. Stąd też realistów uznawano czasem za zaprzańców, ale nie na tym polegał ich największy dramat. Jak można było uruchomić albo chociaż wykorzystać instrumenty postępu, podporządkowując się reżimom, które były rezerwatami zacofania? Dylemat ten nie miał dobrego rozwiązania, ponieważ najczęściej olbrzymim społecznym kosztem produkowano mutanty. Ich kolejną wersją są „wielkie budowle socjalizmu”. I towarzyszące im osiedla.

* Najlepszy portret „Polaka-katolika” jako typu kulturowego w *Rodowodach niepokornych* Bohdana Cywińskiego (Znak, Kraków 1971, s. 265–305).

** Trwała obecność tej problematyki w kulturze polskiej wieku XIX odsłonił Jerzy Jedlicki [w:] *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku* (PWN, Warszawa 1988). Pisałem szerzej o tym w szkicu *Czego Polacy potrzebują*, „Regiony” 1990, nr 3, s. 85–101. Zamierzałem najpierw szkic ten zamieścić tutaj jako wstęp. Powtarzając tytuł (z dodatkiem pytanki), rozmyślnie podkreślam ciągłość refleksji.

Obie te postawy były paralelne nie tylko w swoim przeciwieństwie, także w swoim podobieństwie. Ich przeciwieństwo było przeciwieństwem symetrycznej amputacji – co w jednej z postaw było ucięte, w drugiej przerośnięte. Była to pierwsza z przesłanek ich wzajemnej, narastającej z biegiem czasu i z bagażem klęsk, wrogości. Ani polscy idealisci, ani polscy realiści nie przyczyniali się do upowszechnienia wzorców rokowania i przekonywania właściwych społeczeństwu cywilizowanemu, a sztuka kompromisu nie była tutaj sztuką cenioną. Idee ich ponadto nie wyrastały z wnętrza zbiorowego życia, nie miały swoich masowych, społecznych podmiotów, których interesy wyrażały i które dawałyby im sprawczą moc.

W krajach zachodnich takimi podmiotami były najpierw „stan trzeci”, a potem czwarty. Historia idei liberalnej czy socjalistycznej jest w tych krajach nieodłącznie związana z historią emancypacji tych klas. W Polsce historia idei XIX-wiecznych rozgrywa się przede wszystkim w sferze ducha, a ich nosicielami są izolowane elity. Romantycy nie osiągnęli żadnego skoku w rzeczywistość, realistów najczęściej reprezentują publicyści i literaci. Historia owej osobliwej grupy społecznej, jaką jest „inteligencja w pojęciu polskim”, starcza właściwie za historię zeszłowiecznej kultury polskiej. I choć reprezentowane przez nią postawy wrastały jakoś w tkankę społeczną, to pozostawały skażone odgórnym, kościelnym lub postępowym paternalizmem. Tutaj zazwyczaj elity pragnęły urządzić masę, wedle miar sobie właściwych. Wstrząsnęła mną wiadomość, że w Danii, zanim wyznaczy się alejki w nowym osiedlu, najpierw patrzy się jakiś czas, którą ręką ludzie chodzą. Dlatego między innymi wszystko tam wygląda tak, jak wygląda. Nasze uliczki rysowali dla własnej satysfakcji artystyczni projektanci. Dlatego także są rozjechane i rozdeptane.

Wszystko to zaczęło się zmieniać pod koniec zeszłego wieku i dlatego tam rodzi się polska nowoczesność. Nawarstwiają się przemiany gospodarcze, społeczne, polityczne i kulturalne – wylania się z nich stopniowo kraj poddany wreszcie przyspieszeniu cywilizacyjnemu. Przemysł i handel odgrywają w nim coraz większą rolę; gwałtownie rosnące miasta stają się jego „ziemią obiecaną”; emancypuje się nie tylko mieszczaństwo, ale także klasy pracujące, chłopcy i robotnicy, co znajduje swój wyraz w pełnym repertuarze partii politycznych; demokratyzują się, mimo zaborczych utrudnień, oświata i kultura. Przemianom tym towarzyszą narodziny nowego typu świadomości, a wyostrzone dotąd przeciwieństwo dwóch panujących, zeszłowiecznych postaw zaczyna ulegać zniesieniu. Nie oznacza to odrzucenia dzieła romantyzmu ani pozytywizmu, przeciwnie – ich historyczne zasługi rozumie się właściwie i wtedy też powstają ich klasyczne interpretacje. Oznacza natomiast niezgodę zarówno na zastany kształt idei narodowej, jak i cywilizacyjnej, oraz ich utrwaloną alternację. Wraz ze zmianami w strukturze społecznej idea narodowa nie może być już identyfikowana z postawą duchową wybranych elit. Inteligencja przełomu wieków przekształca ją w postawę praktyczną, realizowaną w coraz szerszej i coraz gęstszej sieci spo-

cznych zadań. Idea cywilizacyjna natomiast zostaje pojęta humanistycznie, a nie technologicznie – nie jest ona już tylko urbanizacyjna czy industrialna, jest również socjalna i kulturowa. Proces cywilizacyjny jest bowiem procesem całościowym – wraz ze zmianą typów osiedlenia i wytwarzania zmienia się też typ więzi społecznych i osobowości ludzkich. Dobrze wtedy rozumiano, że praca humanisty w społeczeństwie poddanym przekształceniom jest pracą nad ideami, formami mentalnymi, wzorcami kulturowymi. Najwybitniejsi myśliciele tamtego czasu byli wychowawcami, a do legendy przeszli jako konstelacja „mędrców”. Nigdy nie byliśmy tak blisko jak wtedy stworzenia i wcielenia nowoczesnego polskiego *Bildung*.

Pytanie, dlaczego się ono nie dokonało, jest pytaniem trudnym. Jest pytaniem tak trudnym, jak polska historia wieku XX. Wraz z odzyskaniem niepodległości impuls modernizacyjny zdawał się podlegać wzmocnieniu i dawało to o sobie znać na wielu polach – dlatego miało to być „przedwiośnie”. Jednym z największych sukcesów Drugiej Rzeczypospolitej na przykład było stworzenie jednolitego, nowoczesnego i demokratycznego systemu oświatowego. System ten powstał z inspiracji „mędrców”, a był tworzony przez ich uczniów. Ale stałe zagrożenie niepodległego państwa przez sąsiednie, rosnące w siłę mocarstwa, sprzyjało renowacji narodowych stereotypów i to one w końcu okazały się dominujące: świadectwem nie tylko *Ferdydurke*. Wszystko prawie uzasadniało ich rozpowszechnienie w latach okupacji i już dawno zwracano uwagę na romantyczny repertuar okupacyjnych pseudonimów. Ale były też przedsięwzięcia oryginalne, nawiązujące do dzieła „mędrców”, jak „Płomienie”. Polska Ludowa chciała być identyfikowana z triumfem cywilizacyjnego postępu i postęp ten miała wypisany na wszystkich sztandarach. Nawet tak światli jej przeciwnicy jak twórcy „Kultury” przyznawali, że przeorano wtedy gruntownie strukturę społeczną i rozbudzono aspiracje kulturalne. Ale osiągnięcia te były płacone od początku zeszłowiecznym, więc anachronicznym rachunkiem. Oznaczały bowiem częściowo analogiczną amputację kwestii narodowej – zaborca musiał być nieustannie uznawany za dobroczyńcę*. Oznaczały też częściową amputację kwestii cywilizacyjnej – za nowoczesne bowiem uznawano ciągle to, co właściwie przestarzałe. Obie te amputacje w mentalności potocznej powodowały skutki odwrotne do zamierzonych. Konserwowały bowiem Polaka-katolika w jego twardym oporze, a nowoczesność rzeczywistości poddawały rosnącej mityzacji. Stąd dominacja w ostatnich dziesięcioleciach dwóch anachronicznych form mentalnych – sentymentalnego mesjanizmu i naiwnego technokratyzmu. Ich splot okazał swą siłą odporną na skalę globalną, bo wpłynął na bieg historii powszechnej. Ale doprowadził też do zamknięcia umysłu polskiego.

* W 1976 roku okrągłą rocznicę powstania Uniwersytetu Warszawskiego uczczono hasłem bezmyślnie jadowitym: „160 lat naukowej współpracy polsko-rosyjskiej”. Taki to transparent wisiał na Pałacu Kazimierzowskim, siedzibie Rektoratu uczelni.

Historia ta jednak należy zasadniczo do innego porządku badawczego niż ten, którym się zajmuję. Najkrócej mówiąc, nie pociąga mnie upamiętnianie porażek – poszukuję składników sukcesu. Przekrój duchowych dokonań polskiego wieku XX, jaki przedstawiam w tej książce, jest selektywny, ale został sporządzony ze względu na przyszłość. Interesują mnie przemiany w postawach ludzkich, wyrażające się zarówno w wysublimowanych dziełach literackich, jak i zbiorowych kreacjach kulturalnych, w wyrafinowanych utworach filozoficznych, jak i uspołecznionych postawach potocznych. Zajmuję się oświatowym dziełem „warszawiaków” i wielkopolsko-pomorską siecią stowarzyszeń społecznych, czytam znów opowieść o „szklanych domach” i dwukrotnie *Dzienniki* Marii Dąbrowskiej, studiuję ten wielostronny sukces, jakim z perspektywy półwiecza okazało się dzieło „Kultury”, badam wizję kultury „na dzień historii” stworzoną w „Płomieniach”, interpretuję filozoficzne dzieła Jana Strzeleckiego i Leszka Kołakowskiego. Zakładam zawsze stosunek do nich krytyczny, a nie wyznawczy, ale już samo to wyliczenie pokazuje, że nie interesują mnie przemiany jakiejkolwiek i gdziekolwiek. Nie piszę ogólnego traktatu o ciągłości i zmianach w historii, ponieważ historia jest ciągłością zmian, inaczej nie byłaby historią. W Polsce ciągłość tych zmian jest wątpliwa, zbyt często też podlegała regresom – w rzeczywistości i w świadomości. Jeśli jednym ze składników sukcesu byłoby wzmocnienie tej ciągłości, to chciałbym się do niej przyczynić.

Jako historyk kultury mogę działać tylko pośrednio i wcale nie uważam tego za słabość. Praca nad wizją kultury musi odbywać się z dala od politycznej krzątaniny, jeśli chce sięgnąć podstaw. Cywilizacja polega, między innymi, na nieustannym rozroście oddziaływań pośrednich – poprzez idee, naukę, sztukę – i na tym, że są coraz wyżej cenione. Społeczeństwa, które ich nie rozwijają i nie cenią, padają prędzej czy później ofiarami akcji bezpośredniej. Wolę powszechny, rozwinięty i wieloczołowy system twórczego kształcenia od tłumnych manifestacji na ulicach, a defilady omijam. Nie widzę przy tym niczego nagannego w pragnieniu oddziaływania na swoich współczesnych. Każdy, kto bierze pióro do ręki, oddziaływania takiego pragnie, nawet jeśli tego nie przyznaje. Nie widzę też niczego wstydliwego we wspisywaniu się w tradycję intelektualną. Mam poczucie długu wobec swoich poprzedników i staram się ten dług spłacać. Pracuję nad wizją kultury, wydobywając, odczytując i dopowiadając te idee, które ciągłość zmian zarazem wysławiały i pobudzały. Jeśli użyć dawnych określeń, można powiedzieć, że w najnowszej historii nie interesują mnie postawy konserwatywne i rewolucyjne. Chociaż jedne i drugie są u nas ściśle zaświadczone i zazwyczaj warunkowały się wzajemnie. Interesują mnie postawy reformatorskie – i jak dawniej Żeromski i Berent – chcę nakreślić ich nurt. Ale nurt ten nie jest ani polityczny, ani ekonomiczny i nie należy go tak redukować. Jest kulturowy albo cywilizacyjny – bo kulturą w całościowym, antropologicznym rozumieniu jest dziś humanistycznie pojęta cywilizacja.

Od nas zależy, czy będzie to cywilizacja humanistyczna, ściślej – zależy to od uruchomienia tego łącznika, przekładni, rotoru, jakiego dziś nam najbardziej brakuje. Rotorem takim są, jak już powiedziałem, należyte czy prawowite postawy kulturowe. To one wpisują się w religię i w gospodarkę, w to, co socjalne, i to, co kulturalne, sprzęgają ze sobą podstawowe sfery życia zbiorowego i nadają im ruch nie tylko zgodny, ale i przyspieszony. Nie da się współcześnie postaw takich oprzeć ani na sentymentalnym mesjanizmie, ani też naiwnym technokratyzmie. To już nawet nie są anachronizmy, to są przeżytki, i to przeżytki niewoli – są to zewnętrznie przeciwstawne, lecz istotnie analogiczne formy mentalne. Tak czy owak są bowiem bezwładne, historię pojmując jak los i zdając się na siły zewnętrzne, już to Opatrzności, już to Postępu. Zależki, a nawet składniki nowoczesnej postawy kulturowej, wykraczającej poza residua tamtego dziedzictwa i zdolnej sprostać historycznym wyzwaniom, zostały u nas wypracowane. Mieliśmy w Polsce duchowy wiek XX i nie był on tylko kalką zeszłowiecznych dokonań. Orzeczenie to nie ma nic wspólnego z „pomniejszaniem olbrzymów”. Najbardziej bowiem skutecznym ich pomniejszaniem jest nachalne wieszanie się na ich barkach, a tego mieliśmy dość. Trzeba oprzeć się na samych sobie, a to znaczy wyjść z cienia olbrzymów i zmierzyć się z zadaniami, jakich nie znali, bo znać nie mogli. Żeromski na progu niepodległości, Dąbrowska wobec przekształceń społecznych, „płomieniowcy” podczas okupacji, Giedroyc, Mieroszewski, Gombrowicz i Miłosz w stosunku do kultury polskiej i powszechnej, Strzelecki wobec humanizmu, a Kołakowski wobec marksizmu mieli do czynienia z zadaniami, jakich nie znał wiek ubiegły. Badam te zadania oraz to, jak się z nimi mierzyli – ale szacuję też ich wkład w konstrukcję nowej polskiej postawy kulturowej. Różnorodne ideowe składniki takiej postawy mogą być tworzone w poezji i prozie, publicystyce i eseistyce, w pamiętnikach i traktatach, i to ich szkicowaniem się tutaj zajmuję. Ale ona sama nie może być tylko literacką kreacją lub filozoficzną abstrakcją – musi wejść w życie, w powszechne obyczaje ludzi, w ich przeświadczenia i zachowania. Dlatego stoję na mojej uliczce i piszę z jej poziomu.

[1–2/1998]

„Solidarność” i polska opozycja demokratyczna

Obleżeni

Koniec roku 1971, pierwszego roku rządów Edwarda Gierka, zastał mnie w Warszawie. Decyzję dla każdego Polaka niebłahą – gdzie, z kim i jak spotkać Nowy Rok miałem „z głowy”: zaproszono mnie na sylwestrowy bal „opozycji”. Odbywało się to na Żoliborzu, w sporym jak na polskie warunki mieszkaniu tuż przy placu Wilsona – oficjalnie przy placu Komuny Paryskiej. Minimalnym wkładem do wspólnej zabawy była butelka mocnego alkoholu na każdą wchodzącą parę, a kartą wstępu – przynależność do środowiska, w którym krytyczny stosunek do „władzy ludowej” pozbawiony był zwykłej w innych środowiskach dwuznaczności. Zresztą w tym okresie i przy takich rytualnie towarzyskich okazjach stosunek do władzy stawał się kategorią czysto towarzyską, dominującym składnikiem klimatu, który się lubiło, bo odświeżał, bo był nieskażony.

W roku 1971 znaczne posiłki wzmocniły „opozycję”. Wyszli właśnie z więzienia Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, a nieco wcześniej Jakub Karpiński i Bogusława Seweryn-Blajfer. Dla nich bal sylwestrowy był celebracją wolności. Naturalnie obecni też byli młodzi weterani procesów marcowych, Jan Lityński i Seweryn Blumsztajn, a około północy, na uderzenie zegara, pojawił się Adam Michnik z Barbarą Toruńczyk. „Opozycyjnych” pisarzy reprezentował Wiktor Woroszyński z żoną. W dwóch średniej wielkości pokojach i na korytarzu zebrało się około 70 osób, o rozpiętości pokoleniowej od lat dwudziestu do czterdziestu kilku. W pierwszym pokoju, jasno oświetlonym, na stole pod oknem było jedzenie i szkło. Za ścianą, drżącą rytmem *rock music* – w Polsce nazywanej „z angielską” muzyką big-beatową – panował półmrok i w tańcu odbijały się od siebie rozpędzone pary. Miejsca było w sam raz. Zderzenia stawały się formą podnieconej zabawy. Tylko pot kapał i powietrze robiło się gęste. Ktoś uchylił podwójne zimowe okna, wyglądając na białą ulicę, czy policja nie stoi. Nie było nikogo.

Bal był jak dobry bal, z ostrym piciem i przeogromną, wszystkich ogarniającą uciechą. O północy padliśmy sobie w ramiona – przyjaciele, bliźsi i dalsi znajomi – wymieniając życzenia tak tęsknie i wzajemnie życzliwie, że obowiązkowy sylwestrowy optymizm przez chwilę stawał się szczerzy. Po trzeciej nad ranem w kuchni rozdano gorący barszcz. Siedliśmy na podłodze podwójnym kołem.

Ktoś wyciągnął gitarę. Okna zamknięto – choć na śniegu wciąż nie było widać nikogo. Nadeszła pora muzycznej, czyli politycznej części balu. Szły piosenki „marcowe”, marsz „taterników”, pieśni rosyjskiego „podziemia” – Wysockiego, Galicza, Okudźawy. Na zakończenie przed rozejściem się na noworoczne śniadania odśpiewano chórem, po angielsku, *We Shall Overcome*: pełny tekst, zwrotka po zwrotce (choć chyba mało kto w tym towarzystwie znał angielski), jak rozmodleni Murzyni złączeni solidarną tęsknotą do luksusu wolności.

Środowisko warszawskiej „opozycji” jest jawne, stosunkowo otwarte, kontakt z nim nie jest trudny, a jednocześnie panuje w nim atmosfera podziemnej ekskluzywności. Dominującymi postaciami i animatorami towarzyskimi tego środowiska są ludzie ze stażem więziennym, weterani gomulkowski procesów politycznych. Wyrok skazujący lub co najmniej areszt, wspomnienia z piwnic Pałacu Mostowskich i cel więzienia na Rakowieckiej, są, jak wdzięk, zaletą towarzyską. Grupą wciąż największą są „marcowcy”. Z setek aresztowanych po rozruchach studenckich w marcu 1968 roku część odpadła od środowiska, straciwszy ochotę nie tylko na wszelką działalność polityczną, ale nawet na towarzyskie gesty solidarności ludzi skrzywdzonych. Część wyemigrowała z Polski. Ale wśród skazanych w procesie „komandosów”, jak Michnik, Lityński, Toruńczyk i Blumsztajn, pozostaje duża liczba osób utrzymujących ze sobą choćby luźne stosunki, spotykających się na tłumnych przyjęciach imieninowych i innych towarzyskich okazjach. Przeszłość „marcową” mieli także „taternicy”, skazani w lutym 1970 roku za przemyt książek do Polski i za kontakty z paryską „Kulturą”. Najbardziej znaną wśród nich postacią jest Jakub Karpiński, który pojawia się czasem na spotkaniach towarzyskich „opozycji”, ale na ogół chadza własnymi drogami i kultywuje odrębny sposób bycia. Osobną drogą dołączył też do środowiska Janusz Szpotański, „tekściarz” opozycyjnego „podziemia”, autor *Cichych i gęgaczy*, za co Polska Ludowa zapłaciła mu więzieniem. Później, już za Gierka, dołączyło do „opozycji” trochę młodych ludzi z kręgów „Ruchu”, chociaż głównych podsądnych tego procesu z 1971 roku, Stefana Niesiołowskiego i braci Czumów, po wypuszczeniu ich z więzienia jesienią 1974 roku nie spotkałem na żadnym z towarzyskich zebrań. Pojawili się natomiast ludzie całkiem młodzi, bez więziennej przeszłości, często z kręgów warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Są i starsi, to znaczy trzydziesto- czy trzydziestoparoletni katolicy różnej maści, od lewicowych „personalistów”, po ludzi o światopoglądzie bardziej zachowawczym. Zdarzają się wreszcie ludzie pojedynczy bez politycznej przeszłości, których do środowiska doprowadziły dramaty osobiste. Na przykład: chłopiec zakochany w zachodniej kulturze młodzieżowej nie może otrzymać paszportu i wpada w obsesyjną klaustrofobię. Schwytyany przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy czesko-austriackiej, idzie do więzienia i traci szansę ukończenia studiów. Po wyjściu na wolność trafia do „opozycji”, której sposób bycia pasuje do jego subiektywnie podziemnej egzystencji.

Nie jest to więc wcale środowisko homogeniczne, ani pod względem dróg życiowych, ani postaw światopoglądowych. Jego aktywność polityczna rośnie lub opada zależnie od sytuacji w Kraju, ale normalnie jest raczej niska. Tylko nieliczni interesują się polityką na bieżąco, zachowując ciągłość pracy nad kształtowaniem swojej orientacji. Natomiast poczytność książek „zakazanych”, wydanych po polsku na emigracji, jest zawsze wysoka.

Nie zamierzam tutaj dyskutować postaw politycznych „opozycjonistów” ani form działalności, w jakich te postawy są manifestowane. Najogólniej biorąc, wspólnym mianownikiem jest imponderabilium Polski suwerennej i demokratycznej, odmowa ułożenia się z systemem totalitarnym importowanym ze Związku Sowieckiego. Oznacza to, że środowisko żyć musi w sytuacji ciągłego oblężenia policyjnego, chociaż środki nacisku są zwykle pośrednie i stosunkowo łagodne. Za rządów Gierka nie używa się nagiego terroru przeciwko niezadowolonym z systemu inteligentom. Policja prowadzi wojnę psychologiczną, w formach bynajmniej nie rycerskich, obliczoną na dezintegrację środowiska i odizolowanie osób najbardziej aktywnych. Towarzyska zażyłość „opozycji” ma więc swój bezpośrednio polityczny wymiar, bo stanowi o jego spoistości i zdolności oporu na policyjne naciski.

W systemie, który ma ambicję kształtować i kontrolować wszelkie formy życia społecznego, każde środowisko schodzące się i wiążące dobrowolnie lub z konieczności innych niż oficjalne spychane jest do egzystencji podziemnej. Cóż dopiero, kiedy jest to środowisko, którego spoistość ma genezę czysto polityczną, wspólnota oparta na solidarnie krytycznym stosunku do systemu. Dla innych grup, schodzących się prywatnie dla nielegalnego handlu, hazardu, narkotyzowania się lub zabaw erotycznych, egzystencja podziemna może być stanem naturalnym. W wypadku towarzystwa „opozycyjnego” cała jego dynamika dąży do jawności, szuka form publicznych, a policyjne ramię systemu uparcie spycha je w podziemia. Środowisko, o którym tutaj mówię, wcale nie jest „spiskiem”, nie wierzy w sens działania konspiracyjnego, i tylko z łaski policji panuje w nim klimat poufnej wspólnoty. Jest więc jawne, i jednak podziemne. Samo jego istnienie jest demonstracją, a więc pisać o nim należy ostrożnie. Kiedy ktoś z tych ludzi podejmuje ryzyko publicznej wypowiedzi, należy ją tu rozgłaszać, lecz nie wolno mówić w ich imieniu, by nie wróciło to echem jako nieumyślny „donos”.

Natomiast nie wierzę w obowiązek przemilczania faktu, że ich znam, że bywając w Kraju, spotykałem ich, bawiłem się razem i piłem wódkę, że czuję do nich sympatię najgłębszą i szacunek, że ich postacie wracają do mnie we wspomnieniach, w trosce o to, jak teraz żyją, przychodzą nawet we śnie.

Na przykład Jacek Kuroń, Jacek – Święty Apostoł. Poznałem go, kiedy był jeszcze połową zespołu Kuroń–Modzelewski. Razem z Karolem Modzelewskim napisali w 1965 roku *List otwarty do Partii* – marksistowską krytykę systemu. Za poważny stosunek do marksizmu posiedzieli w więzieniu i wyszli na wolność,

kiedy rosła fala przedmarcowego studenckiego nonkonformizmu. Po Marcu 1968 wrócili do więzienia, w gruncie rzeczy za to, że dla studentów stali się autorytetem i wzorem. Zamknięci byli do września 1971 roku. Wolność zobaczyli znowu w Polsce Gierka. Karol Modzelewski miał tego dosyć. Ten skupiony i racjonalny, precyzyjnie myślący człowiek nie znalazł już w sobie dozy optymizmu usprawiedliwiającego dalszą działalność. Wycofał się spomiędzy ludzi, zajął się pracą ściśle zawodową, pisanem doktoratu, życiem domowym. Ze społecznego odosobnienia wychynął dopiero niedawno, swoim listem otwartym do Gierka. Jacek Kuroń wycofać się nie potrafił, wcale nie z nadmiaru optymizmu, ale dlatego, że sam jest czystym ruchem, energią, niepokojem moralnym, że trawi go gorączka działania. We wspomnieniu jawi mi się jako postać fizycznie ogromna, a przecież wiem, że to nieprawda. W gruncie rzeczy jest średni, niższy ode mnie, choć zwalistej postawy. Po prostu jest nabrzmiały treścią. Rozsądza go energia moralna, energia uczuć i energia intelektu, zbełtana razem w przedziwnie nerwową, wybuchową mieszankę. Jacek nie ma w niczym umiaru, pochłania wszystko. Nie jest żarłokiem, ale cokolwiek znajdzie na półmisku, zmiata do ostatniej okruszyny. Nie jest pijakiem, ale każdą nalaną mu szklankę wypije do dna. Z taką samą zachłannością atakuje napotkane problemy, przeżywa sprawy publiczne i rozlicza się z samym sobą. Kontakt z ludźmi jest mu potrzebny chociażby po to, by wylewać wszystko, co w nim wzbiera. Dyskutuje ze znajomymi, spiera się, opowiada o swej niewczesnej karierze partyjnej, o służbie wojskowej – prześmiesznie – i o wygranych manewrach, o kolegach z kryminału, śpiewa – z dramatyczną ekspresją chociaż nieco fałszywie – piosenki ZMP, rzadziej własne piosenki – bo jest także tekściarzem, dużo i głośno się śmieje, czasem się zaperzy, czasem wybuchnie, gwałtownie, ale na bardzo krótko, by za chwilę przeprosić ze szczerą skruchą. Jacek każdym swoim nerwem zaangażowany jest w swój los i w los Polski. Może dlatego w sprawach publicznych wykazuje nieraz tak wspaniałą intuicję i odbiera wrażliwie rodzące się w społeczeństwie ukryte napięcia. Ale chociaż Jacek nie jest samotny – ma dobre życie rodzinne, przyjaciół, własną wrażliwość społeczną – choć obdarzony jest tak dynamiczną uczuciowością i tak agresywną inteligencją, nosi w sobie stale pewien cień. Kilkanaście lat na nitce, jak yoyo, pomiędzy wolnością a murami celi, wolność, której najbardziej upajającym momentom towarzyszy obecność policji, świadomość podsłuchu, przesłuchania, możliwość prowokacji, zostawiły swój ślad. Jacek żyje i działa z nutą desperacji, samopoświęcenia. Jest jakby oblał się benzyną i przyłożył zapalną, a teraz chodzi ulicami i świeci ludziom w oczy płomieniem, który go trawi.

Jacek Kuroń ma lat czterdzieści cztery, Adam Michnik skończył właśnie trzydzieści. Różnica wieku podkreśla pewne różnice pomiędzy nimi, bo Adam Michnik jest wulkanem jaśniejszym, bardziej optymistycznym. Jako para przyjaciół są połączeniem osobliwym, bo o podobnie żywiołowym usposobieniu, niezgodnym ze sobą. Ale Jackowi rozpacz zaglądała już w oczy, a Adama cechuje nie-

pohamowany, nienasycony apetyt na życie, działanie, na coraz to nowe doznania. Adam także przesiedział się w więzieniu za kluczową i poniekąd symboliczną rolę w studenckich rozruchach marcowych 1968 roku. Podobnie jak i Kuroń jest przedmiotem ciągłych policyjnych manewrów. Uczucie strachu na pewno nie jest mu obce, ale mija, nie pozostawiając widocznych śladów. Bo Adam to ekstrawertyk do kwadratu. Wszystko, co konsumuje łączywie – książki, „sprawy”, spotkania z ludźmi – wydała potem jako promienie energii. Ważne jest dla niego samo dzianie się życia, zawartość chwili, i prawie ze wszystkiego czerpie jakieś impulsy, jakieś osobiste satysfakcje. Jedną z zalet Adama jest rys próżności – mówię to całkiem serio, bo w trybie życia, jaki mu narzucono, próżność jest cechą użyteczną, elementem siły. Do tego Adam Michnik okrasza swoją próżność autoironią, nieopuszczającym go nigdy poczuciem humoru na własny temat. Bawi się swoimi sukcesami i bawi się tym, że go to bawi. W jakimś stopniu zabawą jest dla niego nawet gra z policją, ponawiane zgłoszenia o paszport na czasowy wyjazd za granicę, odwołania po odmowie, zażalenia, kwitowanie w czytelny sposób faktów policyjnego nadzoru, obelżywych policyjnych anonimów itp. Jego rozbiegane, gorączkowe, superaktywne towarzysko i społecznie życie nie jest przy tym na pewno życiem lekkoducha. Jest w nim i upór straszliwy, chłonność intelektu, i napięcia woli, które pozwoliły mu w rok i trochę zrobić zaocznie na piątkę cztery lata studiów historycznych, bezkompromisowa śmiałość poglądów, murowana lojalność koleżeńska. Jest bezpośredni, swobodny i szczery. Nic dziwnego, że przy takim naporze zalet i takiej gotowości, by wszystkim razem dać ujście, Adam Michnik się jąka, choć, ma się rozumieć, nie robi sobie z tego wiele.

„Taternik” Jakub Karpiński jest człowiekiem całkiem innej formacji. Nawet w więzieniu Kuba zdobył opinię osoby o nienagannych manierach. Jest z ducha arystokratą i bez widocznego trudu znajduje właściwy dystans do otoczenia, nawet za kratami celi. Wyszedł z więzienia jakby nietknięty tym przeżyciem. Poznałem go wkrótce potem. Zdarzyło się, żeśmy szli w dół Rakowiecką pod murem więzienia, gdzie przesłuchuje się „politycznych”. Kuba Karpiński, chudy, długonogi, sadił wielkimi krokami z chrapliwym chichotem. Zdawało mu się niewymownie śmieszne, że spaceruje po zewnętrznej stronie tego muru. Wielkopańska swoboda opuszcza go tylko czasami, kiedy chodzi o innych, bo Kuba jest człowiekiem pryncypialnym. W jego starannie, z dobrym gustem urządzonym wnętrzu, poczesne miejsce zajmuje ołtarzyk spraw świętych. Na przykład Kuba brzydzi się antysemityzmu i kiedy Adaś Michnik, Polak żydowskiego pochodzenia, żartuje sobie z Żydów i ze swojej krwi, w Kubie sztywnieje szlachetna słowiańska dusza. Jest to człowiek niezłomny, w dosłownym tego słowa znaczeniu, dla którego konsekwentna postawa jest sama w sobie ostoją.

Bogusława Blajfer, młoda, bardzo ładna, odrobinę staromodna, matronowata w swojej urodzie, także jest osobą pryncypialną. Ją też poznałem wkrótce po jej wyjściu z więzienia. Była wtedy spięta, nieufna, nie radowała się wolnością,

zdawało się, że z trudem i stopniowo wracała do życia między ludźmi. Nie slyszalem, by mówiła coś o przeżyciach więziennych, ale jej sposób bycia sugerował, jak były dotkliwe. Spotkałem ją później, kiedy odzyskała już naturalność kontaktu z otoczeniem. Jej kobiecy wdzięk i uroda nadają jej pryncypialnym osądom piorunującą siłę. Bo Bogusia wie, czego od ludzi oczekiwać, a probuje ich postępowanie lub nie, potrafi się gorszyć, potrafi potępiać i nie waha się swoich sądów uzewnętrzniać. Bogusia wymaga od ludzi co najmniej przyzwoitości.

Jan Lityński, „marcowy komandos” i przyjaciel Michnika, jest dla kontrastu z nim oddany introspekcji. Wszystko, co się mu zdarzy, wsiąka w niego, w pokłady jego wrażliwości, staje się osobistym podziemiem. Janek ma też dar współczucia, identyfikacji z sytuacją innych. Nowe ludzkie spotkania łatwo mu obrastają uczuciową tkanką. Janek zbiera wciąż bagaż życiowy i zapewne wolności nie definiuje w kategoriach czysto politycznych. Ten drobny i szczupły, wąty, cichy i wrażliwy młody człowiek sam znalazł sobie „terapię” w formie wspinaczki wysokogórskiej. Czas wolny spędza w Tatrach i wspina się po prostopadłych turniach trasami o coraz wyższym stopniu trudności. Zwinnością i odwagą nadrabia brak stalowych mięśni. Uprawia sport ludzi wolnych, sport ludzi wiernych i ufnych, gdzie koledze na drugim końcu liny powierza się własne życie i przyjmuje się odpowiedzialność za życie jego.

Jacek Bierezin, poeta z Łodzi, jest też prawdziwym taternikiem, takim, co wspina się na górskie szczyty. Ale Jacek jest wysoki, zgrabny, silny jak niedźwiedź i zwinny jak wąż. Jacek wszystko robi najlepiej i nie wstydzi się swoich umiejętności demonstrować. Jako junior boksował w łódzkim Widzewie, obiecująco biegał średnie dystanse. Rozpala ognisko z mokrych patyków, w menażce zaparza wyborną herbatę. W warszawskim środowisku jest uczestnikiem czasowym, dochodzącym. Mieszka z żoną w Łodzi, gdzie na przełomie 1970/1971 roku był aresztowany w związku ze sprawą „Ruchu”. Łódź, choć to wielkie miasto przemysłowe w samym sercu Polski, jest rozlazłą prowincją, gdzie garstka inteligentnych „dysydentów” jest mała i społecznie odizolowana. Z łódzkiej perspektywy Warszawa, ze swą stosunkowo dużą i luźną, rozgałęzioną „opozycją”, jest oazą życia. Jacek jeździ tam prawie jak w Tatry, by w płuca nabrać powietrza.

Janusz Szpotański, czyli „Szpot”, jest poetą z Warszawy. Ten niepozorny, zniszczony inteligent robi wrażenie niedobitka cywilizacji, którą jakiś kataklizm zmiotł z powierzchni ziemi. Sam przeszedł przez walce młyńskie i zostało go tyle, że ledwie zipie. Na towarzyskich spotkaniach siedzi potulnie, tylko wpółobecny. Nagabnięty, odpowiada nieśmiało i cicho. Jest tak do momentu, kiedy „Szpot” wyzwoli diabła, który gdzieś w nim mieszka. Bo „Szpot” – nie ma co ukrywać – jest pijakiem. Kiedy dorwie się do wódki, atakuje. Najpierw natargiwie domaga się odpowiedzi na pytania, na które zwykle odpowiedzi nie ma, potem lży nieobecnych, jeszcze później – obecnych. I na ogół uchodzi mu to na sucho albo małym kosztem, bo „Szpot” jest maskotką warszawskiej „opozycji”.

Naprawdę tylko wśród nich, serdecznych i wiernych przyjaciół, wypuścić może bezpiecznie swego odrażającego diabełka i dać mu pohasać.

Janusz Szpotański, literat w nielasce obrażonego za złośliwości dworu Polski Ludowej, zniszczony więzieniem, samotnością i alkoholizmem, jest przypadkiem krańcowym. Ogólnie biorąc, środowisko „opozycyjne” jest, przy całej swej różnorodności temperamentów i typów ludzkich, supernormalne. Na pewno pojedynczy ludzie, którzy to środowisko tworzą i którzy do niego przylgnęli, pod względem wrodzonych zdolności, inteligencji, wydolności w pracy, energii, „siły przebicia” są znacznie powyżej krajowej przeciętnej. Jest zwykłym policyjnym kłamstwem, że większość wśród nich stanowią niedobitki życiowe, ludzie niezdolni do organizowania sobie bytu, do kariery. A jednak w kraju, gdzie, zdawałoby się, wszyscy przepychają się łokciami, gdzie gorączka urządzania się jest plagą nieoszczędzającą prawie nikogo, ci zdolni, a nawet wybitni ludzie rezygnują z kariery, z możliwości awansu zawodowego, godzą się na minimum zarobków konieczne do egzystowania z dnia na dzień. Wyjaśnienie tego przedziwnego fenomenu nie jest, jak sądzę, możliwe bez rzetelnego poznania wielu przypadków indywidualnych, historii osobistych, aż po moment decydującego wyboru, jego okoliczności i przesłanki. Taki moment świadomego wyboru, decyzji obrony przed zagrożeniem własnej autonomii wewnętrznej, dałoby się chyba znaleźć w przeszłości każdego z tych ludzi. Reszta jest ciągiem konsekwencji. Z drugiej strony, istnienie i klimat środowiska „opozycyjnego” mówi sporo o centralnych mechanizmach systemu. Z chwilą przystania do tej Polski nieoficjalnej i niedozwolonej włącza się bieg odwrotny w stosunku do panujących w społeczeństwie konformizmów. Wygasają normalne impulsy oportunistu, nawet łącznie z ich społecznie konstruktywną, motoryczną rolą. Rodzą się impulsy nowe, których uogólniać tu nie sposób. Pozostaje też u wielu niezużyty potencjał energii. Spychanie „opozycjonistów” do egzystencji półpodziemnej jest marnotrawieniem sił społecznych na ogromną skalę.

„Opozycjoniści” to ludzie normalni w całkiem anormalnej sytuacji. Określenie „życie podziemne” stwarza obraz właściwie fałszywy, bo jest to raczej życie na policyjnej patelni, na podsłuchu i na widoku policji. Bezpośredni nadzór dotyczy głównie pojedynczych ludzi, jego intensywność i formy są zmienne, zależne od sytuacji, ale w jakimś stopniu dotyka to wszystkich, nawet ludzi, którzy przypadkowo wchodzi w kontakt ze śledzonymi. Zdarza się, że ktoś, kto rano przejdzie się ruchliwą ulicą z Jackiem Kuroniem, wieczorem w innym punkcie miasta zostaje zatrzymany i wylegitymowany przez umundurowanego milicjanta. Uzasadnienie zależy od humoru i weny przedstawiciela władzy. Na przykład (tak mnie się kiedyś trafiło): „Jest pan chyba uczciwym człowiekiem, więc panu poradzę. Niech pan obetnie te pióra (włosy), bo zupełnie jest pan podobny do jednego marynarza, mordercy, którego szuka milicja w całej Polsce”. Naprawdę chodziło o to, że pan, z którym Kuronia widziano, nie został od razu zidentyfi-

kowany. Na wszelki wypadek chodzono za nim dyskretnie dzień cały, a wieczorem wylegitymowano, bo wiadomo było kto zacz.

Jest to oczywiście najbardziej niewinna i cywilizowana forma nadzoru. Nie raz policja chce, by śledzony wiedział, że za nim chodzą. Jej obecność staje się wtedy nachalna. Młodzieńcy z teczkami-aktówkami pod pachą, dziewczyny z torebkami, we wdziankach lub kożuszkach z przydziału, wyglądają zza budek „Ruchu”, wskakują i wyskakują za śledzonym z tramwaju, wchodzą za nim do kamienicy. Zimą 1975/1976 roku za Adamem Michnikiem, krok w krok, gdziekolwiek się ruszył, jeździły dwa czarne mercedesy. Podobne mercedesy – czy może wołgi – stały pod parterowymi oknami mieszkania Kuroniów na Żoliborzu. Każdy, kto tam wchodził, odprowadzany był demonstracyjnie przez marsowego pana przez drzwi klatki schodowej aż pod samo mieszkanie. W nocy mercedesy – czy też wołgi – co pół godziny trąbiły klaksonami, by Kuroniowie i ich sąsiedzi nie zapadli w sen zbyt ciężki.

W zabawie z „opozycją” policja wykazuje wprost niezmordowane, choć nieco jednostajne poczucie humoru. Ich specjalnością są anonimowe listy, czasem telefony. W zasadzie tylko dwa tematy zaprzatają autorów. Schematem pierwszym jest „Twoja żona śpi z twoim najlepszym przyjacielem”, podpisane – „życzliwy”. Schemat jest dość chłonny. Można rozszerzyć liczbę partnerów, tworzyć różne permutacje, włączyć jakieś dewiacje seksualne. Schematem drugim jest „was władze dyskryminują, cierpicie za swoje poglądy, a wasz kolega X żyje sobie nieźle z donosów na was”. Rozwinięciem tematów są „poszlaki”. Jeżeli kolega X właśnie studiuje zaocznie i zdaje egzaminy (na macierzysty uniwersytet wracać po odsiedzeniu wyroku nie wolno), można to przytoczyć jako dowód, że władze są dla niego łaskawe. Jeżeli ktoś z rodziny – żona, brat lub ciotka – dostał paszport na czasowy wyjazd za granicę, wkładkę do Jugosławii lub choćby pieczętkę w dowodzie uprawniającą do odwiedzania NRD, dowcipna policja cytuje to w anonimie jako dowód łaski policji. I odwrotnie, jeżeli kolega X znajduje się właśnie pod ostrym nadzorem, autor anonimu wskazuje na demonstracyjną oczywistość tego nadzoru jako okoliczność wysoce podejrzaną. Nierzadkie są mariaże schematu „sypialnianego” z „kolaboracyjnym”.

W polskim państwie robotniczym minęły, jak się zdaje, czasy łamania kości niesfornym inteligentom. Te proste, stare metody aplikuje się już tylko robotnikom. „Wyrafinowana” gra policji ma teraz głównie na celu – poza gromadzeniem informacji – rozbijanie i dezorientowanie środowiska. Oczywiście, możliwość terroru, a w każdym razie prowokacji, procesu i więzienia w dalszym ciągu istnieje, a więc jest psychologicznym punktem odniesienia, metodą postrachu. Policja przypomina o tym od czasu do czasu wezwaniami na przesłuchania czy nawet krótkotrwałym aresztem. Na ogół środowisko opiera się tym naciskom znakomicie. Głupim a jadowitym anonimom prawie nikt nie daje posłuchu. Ale świadomość życia w obłączeniu ma swoje efekty. Spazmy panicznego strachu są rzadkie, szyderstwo jest powszechną, znakomitą bronią, lecz rozpylo-

ny strach nigdy całkiem z atmosfery nie znika, wchodzi gorączką w żyły, jest elementem wszelkich poczynąń. Żyjąc gorączkowo i – za sprawą władzy – w hermetycznym zamknięciu, „opozycjoniści” bardziej niż inni ludzie mają prawo do życiowych kompensacji, do chwilowych nieodpowiedzialności, wybryków spalającego się temperamentu. Nie zasługują, by im to wypominać lub by nieuchronne towarzyskie kwasy, ploty, osobiste pretensje wynosić i przedstawiać jako polityczne fakty. Piszę to, by uchylić zarzut, że ich idealizuję. Z różnych oczywistych politycznych racji opisuję ich w wąskiej, wycinkowej perspektywie, czerpiąc z subiektywnych obserwacji i wrażeń. Opisuję szczerze, jak mi wolno i jak potrafię. Mają nie takie portrety i nie takiego portrecistę, na jakiego zasługują, ale takiego, jaki im się zdarzył.

[1–2/1977]

Polityczne działania i programy

Spontaniczna, nieprovokowana lub inspirowana przez sfery rządzące aktywność polityczna społeczeństwa polskiego uległa w ciągu ostatnich dwu lat wyraźnemu wzmocnieniu i przyspieszeniu. Jest to widoczne zwłaszcza, gdy się spojrzy z perspektywy całej naszej odwojennej historii. Był krótki, tragiczny okres takiego ożywienia w połowie lat czterdziestych, potem w okresie popaździernikowym i teraz znowu, po dwudziestoletniej przerwie. Po raz pierwszy od 1945 roku mówi się i pisze o programach działania, o wizji przyszłej Rzeczypospolitej. Opozycyjna myśl polityczna nie ogranicza się już do reagowania na decyzje władz i bieżące wypadki; zdaje się nabierać własnej, samodzielnej żywotności.

Jakkolwiek się dalej potoczą nasze losy – jedno zdaje się pewne: rozbudzenie, którego jesteśmy świadkami, a zwłaszcza wyłonienie się programów na przyszłość, odnawiają i umacniają polskie tradycje niepodległościowe i demokratyczne tępione przez reżim od lat przeszło trzydziestu. Podobne odnowy w wieku XIX kosztowały nas bardzo drogo. Ponieważ tym razem mamy do czynienia z aktywnością na ogół rozważną, i odwagą ściśle miarkowaną rozsądkiem, śmiałymi wizjami wyrażanymi w sposób spokojny, bez podniecającej zapalczywości – niezbędna odnowa tradycji dokonuje się z minimum ryzyka i stosunkowo niewielkimi kosztami.

Oczywiście partyjna propaganda, traktująca (słusznie!) każdy przejaw niezależności myśli jako śmiertelne zagrożenie dla monopolu władzy nad uczuciami i umysłami, o którym marzą autokraci – twierdzi inaczej. Myśli niepodległej zarzuca rozbijanie jedności narodu, uleganie obcym podszeptom, niebezpieczne wichrzycielstwo. Propaganda nie pozostaje niestety bez echa. Potępienie opozycyjnej aktywności ma tę ogromną zaletę, że zwalnia od poczucia obowiązku robienia czegokolwiek. Oprócz zwyczajnych serwilistów, dwie kategorie ludzi – z reżimem niezwiązanych, a często nawet uważających się za jego przeciwników – są dziś szczególnie skłonne odcinać się ostro od działalności opozycyjnej: ci porośnięci w pierze, którzy ogromnie boją się jakichkolwiek zasadniczych zmian, bo mogłoby to zagrozić spokojnemu używaniu prywatno-socjalistycznych dóbr; i ci, którzy tak odwykli od widoku niezależnych poczynąń politycz-

no-ideowych, że skoro inicjatywa nie od nich wychodzi – natychmiast wietrzą podstęp, zasadzkę, obcą intrygę.

Tego rodzaju postawy, chociaż godne potępienia, są przynajmniej zrozumiałe. Zupełnie natomiast absurdalnie brzmią dochodzące nas niekiedy w kraju echa asekuranctwa i serwilizmu wśród emigracji, która uważa się w dodatku za „polityczną”. Ludzie, którzy mienia się „narodowcami” czy „narodowymi demokratami” (jakże się muszą przewracać w grobach twórcy Ligi Polskiej, Ligi Narodowej, „Zetu” albo Józef Haller i wielu innych endeckich niepodległościowców), ostrzegają przed „podburzaniem do powstania”, uleganiem podszeptom międzynarodowego syjonizmu, dawaniem się wciągnąć w rozgrywki między komunistami itd. Czepiają się przeszłości – lub, co obrzydliwsze, pochodzenia – tego czy owego działacza KOR-u lub nowej emigracji i stosują dobrze nam znaną metodę „opluskwania”. Rzecz znamienita, że omijają takie osoby i ugrupowania, których nie potrafią „wyinterpretować”: ignorują więc ich opozycyjną działalność. O ile wiem, nie atakowano ani Józefa Rybickiego, ani ks. Juliana Wiśniewskiego, ani gen. Boruty-Spiechowicza, ani w ogóle grupy Ruchu Obrony Praw Człowieka.

Te zewnętrzne naszczekiwanie mogą być hałaśliwe, czasem przykre i mące niektóre w głowach – ale ostatecznie mało ważne. Dla przyszłości bardziej istotne są debaty i spory w ramach samych ruchów „dysydenckich” w Polsce. Spory są dwa, zazębiające się o siebie: między zwolennikami tylko jawnej działalności opozycyjnej (nazwijmy ich „jawniakami”) a takimi, którzy w sens jej wyłączności nie wierzą („konspiratorzy”); oraz między tymi, co twierdzą, że sytuację w kraju można gruntownie zmienić w ramach istniejącego systemu (rewizjoniści czy reformiści) – a tymi, którzy sądzą, że system naprawić się nie daje i trzeba zaczynać od nowa (nazwijmy ich „odnowcami”).

Spór pierwszy był dotychczas jednostronny: „jawniaci” atakowali „konspiratorów”, „konspiratorzy” milczeli*. Spróbujmy tutaj, nie roszcząc sobie pretensji do posiadania sekretnych wiadomości ani do reprezentowania stanowiska jakiegokolwiek grupy, odtworzyć ich argumenty.

Przede wszystkim stwierdzić trzeba, że przeciwstawianie jawności – konspiracji jest w naszych warunkach jaskrawym uproszczeniem, naiwnym albo obłudnym. „Jawniaci” działają, jak twierdzą, w ramach obowiązujących w PRL praw; władze zaprzeczają temu kategorycznie, na zmianę już to stosując represje, już to szcząc się nieco bołściwie swoją tolerancją wobec „prowokatorów” i „wi-

* Najdziwniejszym i najbardziej niepokojącym jego przejawem był wywiad Adama Michnika udzielony 5 marca 1977 w Sztokholmie. Niepokojącym, bo oto zwolennik działania jawnego podał informacje na temat ludzi działających niejawnie – określając Polskie Podziemie Niepodległościowe jako „organizację” i sugerując niedwuznacznie, że jego działalność jest niezgodna z kodeksem karnym; dziwnym, bo dementował twierdzenie nigdy przez niego niewypowiedziane (że PPN jest porozumieniem międzyorganizacyjnym).

chrzycieli”. W tej sytuacji pełna jawność wszystkich poczynąń musi być fikcją. Komunikaty KOR-u na przykład są podpisywane nazwiskami i adresami – ale sporządzane możliwie dyskretnie i kolportowane po kryjomu; jeden z członków KOR-u zasłynął zręcznością w unikaniu milicyjnych zasadzek; zbiórki pieniędzy i rozdawanie zapomóg przeprowadzano ukradkiem; książki wydawane za granicą pod własnym nazwiskiem autorów, i za ich zgodą, muszą być przemycane itd. Jawność działania „jawniaków” jest więc sprawą stopnia – i słusznie. Nie dlatego, by chcieli coś wstydliwego czy kryminalnego ukryć, ale dlatego, że mają do czynienia z przeciwnikiem nieuczciwym i bezwzględny, zawsze gotowym skonfiskować rękopis lub gotówkę czy nagłym „nalotem” przerwać zebranie.

„Konspiratorzy” – mam tu na myśli zarówno anonimowych twórców oświadczeń i programów, jak różnych pseudonimowych autorów – również nie robią, o ile wiadomo, niczego sprzecznego z obowiązującą w PRL konstytucją i ratyfikowanymi Paktami Praw Człowieka, które gwarantują przecież swobodę wyrażania poglądów, zebrania, wymiany myśli. Nie nawołują do obalenia rządu czy rewizji granic, nie organizują zamachów, nie tworzą bojówek ani podziemnych organów władzy. Nazywanie ich „konspiratorami” jest barwną przesadą; sugerowanie, że dążą do jakiejś ruchawki – oczywistym nonsensem. Trzeba jasno stwierdzić, że jawność lub niejawnosc działania nie jest w naszych warunkach wykładnikiem umiarkowanych lub skrajnych intencji – jest tylko funkcją, rezultatem polityki władz. W kraju demokratycznym i praworządnym wszystkie opozycyjne osoby i ośrodki, działające dziś w Polsce, mogłyby występować otwarcie.

Nie sądzę, by ktokolwiek rozsądny mógł podważać potrzebę i celowość działania „jawniaków”. Przesuwają granice tego, co władza niechętnie, ale toleruje. Zmuszają do otwierania oczu, pobudzają aktywność zwłaszcza młodzieży. Tworzą widoczne wzorce osobowe odwagi cywilnej, poświęcenia, umiejętności organizacyjnych. Jednakże twierdzenie, że tylko taka działalność jest słuszna wydaje się niepotrzebnym zubożaniem repertuaru środków, do jakich powinno sięgać zniewalane i oglupiane społeczeństwo. „Jawniakom” i „konspiratorom” przyświeca przecież zasadniczo podobna idea: poszerzanie swobód i uprawnień obywateli oraz niezależności całego państwa.

Jedynym usprawiedliwieniem takiej wyłączności byłoby świadome i radykalne ograniczenie celów: mianowicie dążenie wyłącznie do wymożenia na władzach, by przestrzegały obowiązujących w PRL praw. Pomijając już wątpliwą słuszność takiej nobilitacji systemu praw, który został społeczeństwu narzucony – w świetle dotychczasowych doświadczeń podobny minimalizm zdaje się donikąd nie prowadzić. Nie tylko dlatego, że władze dowiodły wielokrotnie, iż potrafią naginać interpretację paragrafów do swoich każdorazowych potrzeb (co przy braku niezależności sądów zostawia obywateli na łasce każdorazowej „linii partyjnej”), ale przede wszystkim dlatego, że bez przełamania monopolu władzy sprawowanej przez aktualną „góre” partyjną wszelkie zmiany, reformy i ulepszenia mogą mieć charakter tylko kosmetyczny i tymczasowy.

Zdają sobie oczywiście z tego sprawę „jawniacy”; świadczą o tym i *Myśli o programie działania* Jacka Kuronia, i liczne wypowiedzi Adama Michnika. Spór między reformistami a „odnowcami” należy praktycznie do przeszłości. Ostatnim jego przejawem był list Karola Modzelewskiego do Gierka z listopada 1976 – ale nawet rola demaskatorska, jaką poczciwie przypisuje temu listowi Leopolda (*Ruch oporu*, Instytut Literacki, Paryż 1977, s. 241), jest spóźniona o wiele lat.

Ograniczanie opozycji do jawnej byłoby dziś w Polsce niesłuszne i z tego powodu, iż działalność „jawniaków” wystawiona jest nieuchronnie na dwie niebezpieczne trudności: izolacji od zewnątrz i profesjonalizacji od wewnątrz. Ludzi w zasadzie działających jawnie łatwiej jest śledzić, szykanować i ograniczać swobodę ich ruchów. Ponieważ śledzi się i szykanuje także tych, którzy się z nimi porozumiewają – społeczny zakres ich kontaktów jest kontrolowany i ograniczany. Wielu ludzi nie ze strachu o własne bezpieczeństwo, ale z obawy o utratę możliwości normalnej pracy zawodowej (zwłaszcza administracyjnej i pedagogicznej) musi te kontakty ograniczać. Możliwość przenikania do innych środowisk jest ostro hamowana przez władze bezpieczeństwa. Jednocześnie prowadzi się bezwzględna kampanię dezinformującą i oczerniającą, która ma na celu to samo: odosobnienie grup opozycyjnych. Nie wolno nie doceniać łącznego efektu tych czynników izolujących. Zaś opozycja niejawną winna, moim zdaniem, stwarzać głębsze i szersze zaplecze zrozumienia i sympatii dla tych, którzy na co dzień i otwarcie upominają się o poszanowanie naszej godności.

To, co nazwałem „profesjonalizacją”, również wpływa odosabiająco. Jest rzeczą zrozumiałą, że „jawniacy”, żyjący przedziwnym, wymagającym mnóstwa wyrzeczeń, odwagi i silnych nerwów życiem na pograniczu tego, co w PRL tolerowane, zwykle pozbawieni pracy i możliwości normalnego zarobkowania, śledzeni, szykanowani, ciągle zagrożeni – muszą dla psychicznej samoobrony i adaptacji wytwarzać specyficzny sposób myślenia. Klasycznymi jego przejawami są optymizm i przecenianie własnej roli społeczno-politycznej. Przykładem (który niechże nie będzie poczytany za atak na zasłużonego człowieka) są takie zdania z *Myśli* Kuronia:

Najogólniej więc można powiedzieć, że władze państwowe są sparalizowane oporem społeczeństwa. [...] Opozycja polityczna [...] musi z całą odpowiedzialnością wziąć na siebie obowiązek wpłynięcia na losy kraju. [...] wypracować i realizować taki program działania, który będzie jednocześnie programem przezwyciężania kryzysu gospodarczego, społecznego, politycznego (*Ruch oporu*, s. 194).

Naprawdę jednak władze sparalizowane są przede wszystkim własną strukturalną niewydolnością. Opozycja zaś nie jest w stanie przejąć na siebie odpowiedzialności za losy kraju, ponieważ jako zorganizowana siła polityczna nie istnieje (zwrócił już na to uwagę Leopold, *Ruch oporu*, s. 247) i nie posiada środków administracyjnych umożliwiających realizowanie szerokiego programu

działania. Deklarowanie „przejmowania odpowiedzialności” jest ostatecznie sprzeczne właśnie z interesami opozycji – ponieważ budzi niemożliwe do spełnienia aspiracje.

Pośród tekstów o nieujawnionym autorstwie najwięcej uwagi przyciągnął Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, ogłoszony w maju 1976, i jego późniejsze kontynuacje w postaci tekstów sygnowanych przez PPN. Różne myśli, wypowiedziane w dyskusji nad tym programem, zasługują na komentarz, dotyczą bowiem spraw szerszych, w ogóle sposobu pojmowania roli oporu politycznego w Polsce.

Najbardziej zastanawiającą cechą tej dyskusji jest, że w małym stopniu dotyczy treści postulatów sformułowanych w Programie. Sądzę, że byłoby pochope wyprowadzenie z tego wniosku, że pod postulatami tymi wszyscy gotowi są zgodnie się podpisać. Mimo ich częstej ogólnikowości i wyraźnie kompromisowego charakteru (w sensie nie kompromisu z reżimem, ale między poglądami np. liberalnymi a socjaldemokratycznymi czy chrześcijańsko-demokratycznymi) stanowią one na pewno przedmiot kontrowersji. Sądzę, że ich milcząca aprobata rodzi się zarówno z dość powszechnej zgody na postulaty fundamentalne: niepodległość, demokracja parlamentarna, jawność życia polityczno-gospodarczego, niezawisłość sądów – jak i z przeświadczenia, że te zasadnicze postulaty nieprędka staną się możliwe do realizacji. I ma rację Zbigniew Węgrzyński („Kultura”, kwiecień 1977, s. 87), że dalsza debata mogłaby doprowadzić do wypracowania różnych „platform wyborczych” – ale widać nie to dyskutanci uważają za najpilniejsze.

Wiele porządkujące *Uwagi na marginesie programu* Leopolda (*Ruch oporu*, s. 235–249) zamąciły zasadnicze nieporozumienie co do adresata programu PPN. Wbrew temu, co twierdzi autor, PPN zwraca się wyraźnie nie do władz czy partii, ale jak gdyby ponad ich głowami wprost do społeczeństwa. Podkreśla to ideologiczny (w terminologii Leopolda), przyszłościowy charakter Programu. Nie jest też prawdą, by postulowane przez program PPN zmiany miały się dokonywać „w ramach nienaruszonych postaw ustrojowych i niezmiennionej sytuacji międzynarodowej”. Leopold zbyt pobieżnie się widać z tekstem zapoznał – bo warunek zasadniczych zmian jest w nim postawiony wręcz jaskrawo. Z tych dwu nieporozumień zdają się wywodzić niektóre późniejsze zarzuty, np. zarzut „złej utopijności” programu PPN, który rzekomo mówi o czymś, co ma dziś zrobić „partia” albo my „z partią do spółki”*. Być może autor nie odróżnił

* Taka zapewne jest również geneza zarzutu o lekkomyślne unieważnienie Układu Warszawskiego. Zastanawia mnie, czy autor, używając tego terminu, zdaje sobie sprawę, że „pakt” ten jest po prostu fikcyjnym szyldem, za którym kryje się podporządkowanie wojsk satelitarnych Moskwie. *Stricto sensu* nie jest to więc bynajmniej „pakt”, i przywrócenie Polsce suwerenności musi go „unieważnić” w tym przynajmniej sensie, by stał się paktem analogicznym do atlantyckiego, tj. opartym na zgodzie niezależnych państw.

zwracania się do partii jako instytucji sprawującej władzę – i do partyjnych, z których wielu nie zgadza się z polityką partii. Grudniowe oświadczenie PPN istotnie wspomina o członkach partii, ale żadnej współpracy z partią nie postuluje. Zważywszy na treść Programu, byłoby to istotnie absurdalne.

Leopolda żałuje, iż autorzy Programu PPN nie mówią, które jego elementy nadają się do realizacji już dzisiaj. Z. Węgrzyński postuluje, by PPN stał się odpowiednikiem Komitetu Walki Cywilnej, opracował kodeks postępowania Polaka-patrioty i wytyczne dla poszczególnych grup społecznych oraz reagował na bieżące wydarzenia w Polsce, zwracając na nie uwagę opinii w kraju i za granicą. Sądzi też, że powinien w razie potrzeby występować z doraźnymi apelami. Zrozumiała jest ta potrzeba konkretnego i pragnienie posiadania moralno-politycznej busoli ułatwiającej orientację wśród rozpaczliwych zagmatwań współczesności. Sądzę, że istotnie należy wymagać od PPN porad dotyczących codziennego, przyzwoitego, godnego postępowania, a także sugestii wychowawczych. Znakomitym pomysłem Węgrzyńskiego jest postulat opracowania dezyderatów wobec emigracji. Natomiast za niesłuszny i niebezpieczny uważam postulat reagowania na wszystkie ważne wydarzenia krajowe w formie wezwań, wyrazów poparcia i potępienia. Po pierwsze, jako ugrupowanie anonimowe PPN powinno zachować ostrożność w wydawaniu konkretnych werdyktów, aby nie stało się sądem kapturowym. Po drugie, popieranie jawnych inicjatyw przez niejawną PPN może się okazać niedźwiedzią przysługą, niepożądaną przez tych, którym się otwartego poparcia udziela.

Sądzę, że zasadnicza rola PPN powinna polegać na czymś innym: nie na wydawaniu zleceń, ale na porządkowaniu i inspirowaniu niezależnego myślenia polityczno-społecznego. Głównym zadaniem byłaby z jednej strony analiza sytuacji bieżącej – z drugiej zaś ustalanie i analizowanie celów dalekosiężnych. Domaganie się konkretnych instrukcji działania na bieżąco, tak często wyrażane w prywatnych rozmowach, zdaje się zresztą produktem powojennego wychowania. Od 32 lat system stara się zabić w nas samodzielność i inicjatywę – i teraz wielu opozycyjnie nastawionych ludzi zamiast pomyśleć i wyciągnąć praktyczne wnioski z założeń ideowych i celów ostatecznych, domaga się prowadzenia za rękę.

„Wierzmy – piszą autorzy oświadczenia PPN z grudnia 1976 – że wspólnota celów może zrodzić spontaniczną wspólnotę działania, kiedy i gdzie zajdzie potrzeba”. Leopolda kwestionuje to przeświadczenie i sugeruje odwrotną drogę: od działań jednostkowych i spontanicznych, poprzez cząstkowe ich wspólnoty, do jedności celów. Przyznaję, że nie rozumiem mechanizmu takiego procesu i nie wierzę w jego możliwość. Jedność celów, gdyby się nawet z takiej zbieżności zachowań wyłoniła, byłaby sprawą przypadku. Historia uczy nas, że jeżeli żywiołowe jednostkowe akcje są z góry porządkowane przez tożsamość aspiracji – przeradzają się w chaos, łatwy do wykorzystania przez bezzwzględnych prowodyrów i prowokatorów.

W Polsce mamy do czynienia z głęboką – choć słabo zracjonalizowaną, często mglistą i sporadycznie tylko uświadamianą – wspólnotą uczuć i pragnień. Zadaniem politycznego ruchu oporu jest przerobić tę wspólnotę instynktowną w wyższą formę powiązania, w świadomą wspólnotę celów. Jedność nastrojów nie gwarantuje spójności działania – zwłaszcza że są to nastroje głównie negatywne, wyładowujące się typowo w gestach niszczyielskich. Znamiennych, ostrzegawczych, ale mało pożytecznych. Natomiast poczucie i zrozumienie wspólnoty celów może (jak to nieraz potwierdziła historia: wspomnijmy np. okres ostatniej wojny, ze spontanicznie rodzącym się ruchem oporu) prowadzić do zbieżności w działaniach.

Nieprzemyślany wydaje mi się również zarzut Leopolda, że żaden z omawianych przez niego programów nie zawiera „jakichkolwiek doraźnych sugestii gospodarczych”. Czyżby autor nie czytywał „Polityki”, „Więzi”, „Życia Gospodarczego”? W tych pismach można było znaleźć, przed Czerwcem 1976 i po nim, konkretne opisy przykładów złego administrowania tak poszczególnymi wielkimi przedsiębiorstwami, jak i całymi gałęziami gospodarki narodowej; rozważania o niebezpieczeństwie przerostu inwestycji, zwłaszcza inwestycji na środki wytwarzania (w przeciwieństwie do coraz bardziej zaniedbywanych środków spożycia), o ekonomice „odgórnego napędzania” (Pajestka) itd. Diagnozy tego, co się źle dzieje w gospodarce polskiej, i stwierdzenia, co da się naprawić na płaszczyźnie czysto ekonomicznej, można z łatwością znaleźć w prasie krajowej. Czego w niej nie ma i być nie może, to wskazywania na istotne, polityczne źródła ciągłych kryzysów: od sposobu rekrutacji kadr kierowniczych i podejmowania decyzji gospodarczych na przesłankach politycznych lub wręcz klikowych – do niskiej wydajności pracy powodowanej nieufnością robotników. Jeśli nie wprowadzi się istotnych zmian polityczno-strukturalnych, wszelkie doraźne zabiegi gospodarcze będą tylko półśrodkami maskującymi głębokie schorzenia; dlatego też obecny kryzys jest głębszy i groźniejszy niż kryzys roku 1970.

Natomiast stokrotną rację ma Leopolda, kiedy pisze o niebezpieczeństwie milczącego przyjmowania, że „gdy tylko Rosjanie wyniosą się z kraju, Polska automatycznie stanie się rajem na ziemi”. Poszedłbym dalej i wyraził wątpliwość, czy w chwili obecnej jesteśmy przygotowani do wykorzystania okazji wolności i samorządności, gdyby się nadarzyła. Trzeba jednak zachować ostrożność w tym sceptycyzmie. Powtarzana wielokrotnie (choć półgębkiem) przez partyjnych macherów sugestia, że społeczeństwo polskie „nie dojrzało” do rzeczywistych swobód demokratycznych jest zwykłym oszustwem, bo choćby rzeczywiście było całkiem niedojrzałe – to, po pierwsze, w ramach systemu totalitarnego też czuje się bardzo niewygodnie (jest do niego duchowo nieprzystosowane), a po drugie, system ten bynajmniej nie przygotowuje do takiej dojrzałości, wręcz przeciwnie.

Stoi przed nami, niezależnie od przekonań, zadanie, które PPN nazywa „polityczną reedukacją”. Nie będzie to robota łatwa, widowiskowa ani krótka –

wbrew kuszącemu optymizmowi niektórych. Szukając analogii historycznych, można by powiedzieć, jak sądzę, że jesteśmy teraz około roku 1900. Nie mam przez to na myśli zbliżania się kolejnej wojny światowej – ale, z jednej strony, stan umysłów w Polsce, z drugiej – sytuację międzynarodową. Miejmy nadzieję, że narastający (znowu!) kryzys wewnętrzny imperium rosyjskiego i rozkład jego polityki zagranicznej rozładują się w sposób mniej krwawy i tragiczny. Wydaje się pewne, że procesy te będą się nasilały. A naszym zadaniem jest tymczasem szybko uczyć się chcieć, myśleć i działać.

[9/1977]

Ile jest dróg?

„Przypadek sprzyja tylko ludziom przygotowanym”.
Pasteur

Niełatwo jest odpowiedzieć na pytanie, jaka jest naprawdę rozpiętość wachlarza niezależnej polskiej myśli politycznej w kraju i na emigracji. Większość wydawnictw emigracyjnych jest w Polsce bardzo trudno dostępna lub nieosiągalna; to, co do nas dociera, zdumiewa często zaciekłością prywaty i przestarzałymi kategoriami myślenia. Jak się zdaje, za granicą wiedza o tym, co się w kraju myśli i robi, bywa mętna i układana według muzealnych formułek; ale i my sami, tyle lat pozbawieni swobody wypowiedzi, podejrzliwie obwąchujemy się wzajemnie w tej szarej mgle niewiedzy, która zalega kraj. Zaryzykuję twierdzenie, że wachlarz ów jest zarazem i węższy, i szerszy, niż się zdaje. Naprawdę jest węższy w dziedzinie świadomie wyznawanych i głoszonych idei; mylne wrażenie rozpiętości powoduje fakt, że personalne spory i tradycyjne zawiści skłaniają do wyolbrzymiania różnic w poglądach. Szerszy jest natomiast w dziedzinie spontanicznych, nieartykułowanych postaw; skrajne poglądy pozostają nieujawnione, czy to z obawy przed zgorszeniem, czy z nieumiejętności uświadomienia sobie konsekwencji własnego stanowiska emocjonalnego.

Pod jednym względem panuje zgoda: wszyscy deklarują się jako wielbicieli Kościoła katolickiego i jego roli polityczno-kulturowej w Polsce. Ogromny to komplement dla Episkopatu, ale i niepokojący: oto sygnał, że różne ugrupowania będą się starały wykorzystywać autorytet Kościoła dla swoich rzadko religijnych celów. Już słyhać licytacje, kto lepiej rozumie intencje prymasa; niesmaczne to i niechrześcijańskie uzurpowanie sobie firmy katolicyzmu dla partykularnych, choćby i „narodowych”, celów. Przykład Włoch, gdzie ani chrześcijańskiej demokracji, ani Kościołowi nie wyszła na zdrowie wzajemna bliskość polityczna, powinien działać ostrzegawczo. Wszyscy są też przeciwko cenzurze i brakowi swobód obywatelskich, ale agresywność i metody stosowane nieraz w emigracyjnych dyskusjach każą oddychać z ulgą, że ci panowie są od nas tak daleko: dopiero by nam przysolili, rezydując w KC lub na Mysiej.

Potrzeba szukania i utwierdzania tego, co łączy nas wszystkich, Polaków-patriotów, niepokodzonych z dzisiejszym brakiem niepodległości i dyktaturą partyjnych kacyków, zdaje się zupełnie oczywista. Przeciwnicy nasi są tak silni, tyle mają do rozporządzenia środków przemocy i dezinformacji, że tylko scalanie

wysiłków i maksymalna solidarność zbiorowa dają szansę częściowego choćby powodzenia w oporze i dążeniu do realizacji naszych celów. Wobec braku niepodległości i swobód obywatelskich, wobec potrzeby ciągłej pracy nad zmianą tego stanu rzeczy – różnice w szczegółach powinny zejść na drugi plan. Tak też jest przeważnie w codziennej krajowej rzeczywistości, w codziennym działaniu środowisk i ugrupowań prowadzących robotę samokształceniową, broniących praw ludzkich, przeciwstawiających się cenzurze, oglupianiu i sowietyzacji. Do ludzi zaprzątniętych konkretną robotą słabo przemawiają mniej lub bardziej wydumane spory teoretyków: wspólnota losu i dążeń zapobiega sekciarstwu. Sądzę, że praktyczna beczynność emigracji, brak narzucanego przez starcie z rzeczywistością poczucia odpowiedzialności wpływają na ową przedziwną manię węszenia herezji, na owo starczo-doktrynerskie zacietrzewienie, którego piskliwe echa dochodzą czasem do kraju. Pożyteczne nawet, że dochodzą, bo działają ostrzegawczo.

Czy więc nie należy precyzować własnych stanowisk, stwierdzać różnic i prowadzić dyskusji na temat treści wyznawanych poglądów i wysuwanych programów? Owszem – ale nie po to, aby podkreślać kontrasty, ale aby szukać podobieństw; nie aby dzielić i odsuwać, ale aby łączyć i zbliżać. Nie widać np. powodu, aby hasła samorządności społecznej i pluralizmu politycznego traktować jako przeciwstawne albo choćby konkurencyjne – jak to podobno czynią niektórzy przywódcy KSS KOR-u i ROPCiO (wedle sprawozdania francuskiego publicysty M. Thierry'ego, który być może konflikt przesadnie zaostriżył). Nie jest też przykładem do naśladowania dyskusja z Leszkiem Moczulskim, podjęta przez Jacka Kuronia w tekście *Zasady ideowe**.

Rozróżnienie przez Moczulskiego (w artykule w „Opinii”) trzech tendencji ideowych – liberalnej, niepodległościowej i nacjonalistycznej – wśród opozycjonistów polskich da się od biedy potraktować jako powodowane chęcią uwypuklenia różnic, ale nie jest to wcale interpretacja przez tekst narzucana. Przeciwnie, autor jak gdyby celowo różnice łagodził; bo też można te nurty widzieć jako uzupełniające się wzajemnie. Sam Moczulski jest zwolennikiem tendencji

* Tekst ten zawiera m.in. dwie bardzo cenne i godne przemyślenia wypowiedzi: o niebezpieczeństwie nadmiernej radykalizacji ruchu opozycyjnego pod wpływem „zawodowców”, ludzi marginesu, którzy nie mają nic do stracenia; oraz o odpowiedzialności moralnej polskiej lewicy za PRL. Przy tej drugiej myśli trzeba jednak zaprotestować: bynajmniej nie cała polska lewica jest za tę rzeczywistość odpowiedzialna. Nie wolno grzechami komunistów i ich sprzymierzeńców obciążać Pużaka czy Żuławskiego i tysiący członków PPS, prześladowanych i często pomordowanych już w latach czterdziestych. To bardzo pięknie, że Kuroń w imieniu innych byłych członków partii poczuwa się do odpowiedzialności za system, przeciwko któremu od tylu lat bohatersko walczy – ale nie powinien zapominać, że większość przedwojennych socjalistów i ludowców polskich nie przeżywała okresu złudzeń co do tego systemu.

niepodległościowej, która „wybija na plan pierwszy funkcje państwa narodowego jako formy zorganizowania świadomego swych celów społeczeństwa”. Można się tutaj doszukiwać wyrazu skłonności dyscyplinarnych; można się obawiać, że dobro państwa będzie zbyt silnie przeciwstawiane dobru jego obywateli. Można, ale nie wiem, czy należy – bo owa skłonność nie rysuje się wyraźnie, a w chwili obecnej ryzyko jest dosyć księżycowe. Jeśli przyjmiemy za dobrą monetę stwierdzenie Moczulskiego, że jest pluralistycznym demokratą, tj. że kształt państwa pozostawia swobodnie wyrażonej woli obywateli – to jego bardzo przecież ogólnikowa formuła nie znaczy nic ponadto, że uważa on niezależność państwową za niezbędny warunek naturalnego życia społeczeństwa.

Niektórzy twierdzą, że w praktycznym postępowaniu Moczulskiego ujawniają się istotnie owe niebezpieczne skłonności autorytarne. Możliwe. Jednakże Kuroń podjął dyskusję na temat pryncypiów, nie postępowania, i zasadzie Moczulskiego przeciwstawił własną: „nadrzędną wartością jest dla mnie dobro, suwerenność i twórczość każdego człowieka”. Bardzo to wieloznaczna deklaracja, na którą łatwo by zareplikować, że tylko w ramach niezależnego państwa narodowego ta nadrzędna wartość daje się realizować. I chociaż Kuroń myśli swoją rozwija dość obszernie, nasze wątpliwości, jak rozumieć te górnotłone ogólniki, nie mijają. „Jednak w przeciwieństwie do tradycji liberalnej... chcę ujmować człowieka w całokształcie jego dążeń, a przede wszystkim we wspólnotach, w których i dzięki którym żyje: w narodzie, w środowisku, rodzinie”. Z jednej więc strony wypowiada się przeciwko podporządkowaniu jednostki wspólnocie, z drugiej ujmując człowieka jako składnik wspólnoty – i, rzecz dziwna, nie zdaje się dostrzegać w tym trudności.

W świetle innych wypowiedzi teoretycznych Kuronia jego stanowisko ideologiczne można tu interpretować na trzy sposoby: 1) jako wyraz wiary w bezkonfliktową dobroć człowieka; 2) jako echo poglądów współczesnej radykalnej lewicy niekomunistycznej; 3) jako przejaw taktyki politycznej na dziś.

1. Jan Strzelecki rozprawiał kiedyś o naiwnych wizjach „ustroju bez pokus”: takiego układu stosunków międzyludzkich, z którego znikają wszystkie konflikty. Doświadczenie historyczne wskazuje, że jest to wizja całkowicie utopijna. Jeżeli Kuroń jest istotnie przekonany, że możliwe jest zbudowanie społeczeństwa, którego wszyscy członkowie będą „realizować całokształt swoich dążeń”, i to zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych – to można się wzruszyć dobroduszością jego poglądów na człowieka, ale trzeba powiedzieć, że są to opinie politycznie ryzykowne. Nie dlatego, że słyhać w nich pogłos dawnych utopii komunistycznych, ale dlatego, że ich naiwność musi doprowadzić do gniewnego wstrząsu rozczarowania. Dążenia ludzkie tak często bywają sprzeczne, „dobro, suwerenność i twórczość” człowieka zaś tak rozmaicie pojmowane, że niezbędne jest założenie mechanizmów kontrolujących i ograniczających spontaniczność. Lepiej z góry o tych koniecznościach pamiętać, niż potem stwierdzać z przykrością (jak bohaterowie Żeromskiego w *Przedwiośnie*), że i w niepodle-

głym państwie potrzebna jest policja i że „dobre” współzycie ludzi ze sobą polega raczej na wzajemnych ustępstwach, dopasowaniu i rezygnacji niż na „suwerenności i twórczości”. I jako przestrożę trzeba autorowi *Zasad ideowych* przypomnieć, że skrajny optymizm w widzeniu natury człowieka i możliwości jego twórczego rozwoju dawał dotychczas w rezultacie krwawe dyktatury w imieniu... „prawdziwej” ludzkiej dobroci.

2. Wymowne poparcie udzielane Kuroniowi przez paryski dziennik niekomunistycznej radykalnej lewicy „Libération” i przytoczone tam przez Michela Thierry’ego jego wypowiedzi sugerują, że hasła „samorządności” i „autonomii społecznej” wywodzą się u przywódcy Ruchu Demokratycznego z jego dawnych lewicowych tradycji i łączą się z analogicznymi hasłami wysuwanymi przez europejską „młodą” lewicę. Występuje ona przeciwko wadom tradycyjnych systemów reprezentacji politycznej (łącznie z demokracją parlamentarną) i głosi potrzebę autentycznego współdecydowania mas pracujących o losach państwa. Praktyka pokazuje wszakże, iż samorządy pracownicze zdają egzamin ekonomiczny i polityczny tylko w warunkach wielkiego poszanowania prawa, ogólnonarodowego poczucia solidarności i współodpowiedzialności społecznej. Tam, gdzie następuje przejście od autokracji do swobód demokratycznych (Portugalia, Hiszpania), po krótkim okresie euforii problemem numer jeden staje się ostry spadek wydajności pracy połączony ze wzrostem żądań gospodarczych ze strony robotników i chłopów. Nie ludźmy się: chociaż to ustrój jest u nas przyczyną znacznej części zła, skutki ustroju nie znikną wraz z jego zmianą. Stworzy się jedynie możliwość ich likwidacji. Niepodległość to dopiero warunek, nie gwarancja rozwiązania trudności. Będzie to jednak proces długotrwały i bolesny, bo ani moralność zawodowa, ani poczucie współodpowiedzialności za całość społeczeństwa nie dadzą się odbudować bez zabiegów wychowawczych, a ludzie, którzy przyzwyczaili się do pobierania pensji, „czy się stoi, czy się leży”, nie będą skłonni pracować dla idei. Przykład Jugosławii wykazuje również, że samorządy niemające zaplecza w demokratyczno-parlamentarnej strukturze ogólnopaństwowej stają się szybko narzędziem w ręku klik i władzy centralnej.

3. Być może jednak hasło samorządności, patetyczne deklaracje na temat praw człowieka i przeciwstawianie ich interesom wspólnot i organizacji mają dla Kuronia sens przede wszystkim aktualny: są programem na dziś, nie ogólnymi zasadami teoretycznymi. W takim razie należałoby im zdecydowanie przyklasnąć: samorządność i jednostkowe swobody, pojęte jako przeciwstawienie się narzuconej władzy totalitarnej, są hasłami i słusznymi politycznie, i głęboko wychowawczymi. Jeżeli wszakże tak właśnie Kuronia rozumieć (a sądzę, że jest to rozumienie najwłaściwsze), polemika z Moczulskim jest mało potrzebna, przy najmniej w zaprezentowanej formie.

Współczesne polskie spory polityczne zwykle niestety przejawiają jedną (lub więcej) z trzech wad: beztreściwość, zaściankowość lub anachronizm. Ta ostatnia jest najbardziej groteskowa. Polega typowo na używaniu określeń, formuł

i nazw ugrupowań politycznych, które przestały normalnie funkcjonować przed blisko czterdziestu laty. Działacze emigracyjni usiłują kontynuować dawne stronnictwa i partie; publicyści określają swoje i cudze stanowiska w kategoriach programów sprzed wojny czasem nie tylko drugiej, ale i pierwszej – i wymyślają sobie wzajemnie od pilsudczyków, endeków, sanatorów i socjałów. To wynik nienormalności naszego życia politycznego. W innych krajach Europy, nawet tam, gdzie wewnętrzne zmiany ustrojowe i gospodarcze są nieporównanie mniejsze niż w Polsce, stronnictwa, które działały przed rokiem 1939, albo zanikły, albo gruntownie zmieniły swoje programy i używają dawnych nazw po prostu dzięki ciągłości funkcjonowania, a nie ze względu na trzymanie się tych samych wytycznych. (W najmniejszym stopniu odnosi się to do tzw. lewicy; ale właśnie samo pojęcie lewicy musiało w Polsce i w krajach całego „oboza socjalistycznego” ulec radykalnej rewizji.)

Odwrotną stroną anachronicznego tradycjonalizmu jest brak wyczucia dla przemian społeczno-moralnych, zachodzących w naszym społeczeństwie – a zwłaszcza przemian szkodliwych. Z wyjątkiem nielicznych tekstów, takich jak *Rachunek naszych słabości* ogłoszony przez PPN, panuje milcząca zмова pisania niemiłych rzeczy o sprawujących władzę i o przeciwnikach, natomiast wyłącznie miłych o całym narodzie. Milczy się więc np. o katastrofalnym zaniku poszanowania dla prawa, ba – ztracenie zrozumienia, co to jest prawo (w odróżnieniu od konkretnych przepisów i zarządzeń). Zjawisko to trzeba niezbędnie brać pod uwagę we wszelkich rozważaniach o przyszłości naszego kraju. Zaściankowość przejawia się nie tylko w tym, że – znowu z nielicznymi wyjątkami, jak Kisielewski lub Rowmund Pilsudski – brak nam „świadomości globalnej” powiązania naszych losów z całą resztą świata, a nie tylko z sąsiadem od wschodu, ale i w tym, że sytuację polską rozpatruje się tak, jak gdyby była pod każdym względem osobliwa. Nikt więc nie zajął się np. zbadaniem, jak walka o pieniądze państwowe między różnymi grupami nacisku wygląda w Polsce, przekształcona w walkę między resortami i klikami (na Zachodzie, gdzie wolnorynkowa gospodarka pieniężna należy też do przeszłości, zajmuje się tym tzw. socjologia fiskalna).

Z czego wynikają te przykładowo wymienione słabości myśli opozycyjnej? Głównie z braku bezpośredniego wpływu na sposoby administrowania krajem. Jest to przykład ogólnej prawidłowości: wszelka myśl opozycyjna tym mniej jest praktyczna i odpowiedzialna, im bardziej oddzielona od mechanizmów rządzenia. Ale oderwanie posiada tę dobrą stronę, że opozycja ma szansę patrzenia z większym dystansem, bez uwikłania w codzienne rozgrywki i drobiazgowy decyzje. Powinniśmy więc starać się zarówno wykorzystywać możliwości szerszych wizji, intelektualnej i moralnej perspektywy na sprawy bieżące, jaką daje odsunięcie od bezpośredniej odpowiedzialności administracyjnej – jak i, za przykład ostrzegawczy mając emigrację, unikać oderwania od twardych i nieprzyjemnych realiów, które tenże brak odpowiedzialności powoduje.

Używam tu popularnego i wygodnego terminu „opozycja”, ale czy zasadnie? Czy istotnie mamy w Polsce opozycję? Działacz ROPCiO, piszący pod pseudonimem Jan Kowal, kwestionuje to i teoretycznie ma rację. Przez opozycję rozumie się na ogół jawne i zawarowane konstytucyjnie domaganie się zmian w sposobach rządzenia krajem. Opór polityczny w Polsce ani nie uczestniczy w oficjalnym procesie wyłaniania reprezentacji ludności, ani nawet nie ma możliwości unormowanego dialogu z władzą. Panujący u nas system wyklucza istnienie takiej opozycji przez samą swoją totalitarną zasadę „demokratycznego centralizmu”; wszelkie proponowanie alternatyw odbywać się więc musi poza systemem. Kowal domaga się od opozycji *sensu stricto* także posiadania „koherentnego programu reform, na podstawie którego byłaby gotowa „od dziś” przejąć władzę”. Sądzi również, że opozycje parlamentarne na Zachodzie mogą sobie pozwolić na niższy stopień szczegółowości programów działania, u nas natomiast opozycja musiałaby się określić bardzo szczegółowo. Widzę tu dwa nieporozumienia. Jedno czysto faktyczne: właśnie opozycja działająca w unormowanych warunkach parlamentarnego pluralizmu musi wypracowywać programy bardzo szczegółowe, do sprawy np. oczyszczania ścieków w jakimś Dorchesterze czy Ayalon, bo tylko taka szczegółowość dostatecznie mobilizuje wyborców. Po drugie, w naszych warunkach opracowanie programów drobiazgowych jest o tyle bez sensu, że ruch oporu nie rozporządza środkami do przejęcia władzy i może prowadzić wyłącznie działalność wychowawczą, naciskową i przygotowującą dalsze zmiany, stwarzającą możliwości na przyszłość. Ważny jest kierunek tych zmian, a nie poszczególne elementy; i wpływ polityczny należy zyskiwać tak poruszaniem konkretnych bolączek i protestowaniem przeciw gwałtom, jak i stawianiem przed oczyma celów, które ostatecznie chcemy osiągnąć. Natomiast dezyderaty tak szczegółowe, jak zawarte w wielu punktach programu „44”, muszą brzmieć groteskowo, skoro projektodawcy nie mogą opisać sytuacji, w której zaplanowane reformy miałyby szansę urzeczywistnienia.

Ludzi, którzy chcieli uwolnić Polskę od obcej dominacji i przeprowadzić w niej gruntowne reformy polityczne, nazywano w końcu XVIII i w ciągu XIX wieku po prostu patriotami. I dzisiaj ta nazwa jest bodaj najbardziej adekwatna – ale się zużyła: zastosowana do przeciwników panującego w PRL systemu, brzmiałaby pompacyjnie i ogólnikowo. Sytuacja, w której działamy, jest tak szczególna, że wszystkie tradycyjne określenia w jakimś stopniu odstają od rzeczywistości. Dlatego lepiej może przyjąć, całkiem umownie, termin „opozycja” – zdając sobie sprawę, że pokrywa on tylko część pełnego zakresu tego pojęcia. I nie troszcząc się już o nazwy, spełniać zadania, jakie stoją przed wszystkimi, którzy poczucie niezadowolenia ze stanu obecnego pragną przekształcić w pracę nad jego zmianą.

Naczelnym z tych zadań jest stałe krytyczne badanie naszej sytuacji i jej rozwoju, podejmowane pod kątem jasno określonych celów, do których się chce dążyć.

Od początku trafiamy na paradoks: o ile stan strony oficjalno-rządzącej, władz partyjno-państwowych, administracji, gospodarki narodowej itd. nie jest, mimo braku ścisłych informacji, tajemnicą i daje się dość jednoznacznie opisać i ocenić – o tyle stan rządzonego społeczeństwa jest dla nas nieprzejrzysty, istnieją zasadnicze różnice poglądów co do nastrojów i postaw, a zwłaszcza gotowości do solidarnych poczynań. Znamy więc siły i możliwości przeciwnika – nie znamy własnych. Stąd jedni publicyści opozycyjni skłonni są uważać społeczeństwo za zjednoczone w oporze, przynajmniej biernym; inni, jak np. Marek Turbacz, twierdzą, że jest ono pogrążone w marazmie i zniechęceniu.

Obie te diagnozy są uproszczeniami. Czym innym bowiem jest marazm polityczny znacznej części inteligencji technicznej i np. lekarzy, wynikający z niechęci do ryzykowania własnej stosunkowo uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej, czym innym zaś nieufna, wroga ustrojowi bierność chłopów czy większości robotników. Inteligencja, od przeszło stu lat najbardziej aktywna politycznie warstwa naszego społeczeństwa, została nieco przedwcześnie spisana na straty (np. przez Aleksandra Gellę i Jana Drewnowskiego). Ofiarne ugrupowania opozycyjne ostatnich lat wywodzą się ze środowisk inteligenckich i do ich tradycji nawiązują. Jednak to właśnie inteligencja jest, w skali ogólnokrajowej, warstwą nie tylko najbardziej bierną, ale najmniej chętną do udziału w aktywnym (choćby myślowo) oporze i najczęściej kolaborującą z reżimem. Nastąpiło więc, z różnych powodów, rozbieżności ideowe tej warstwy.

Nie jest natomiast prawdą, jakoby owi inteligenci „wichrzyciele” – jak ich nazywa oficjalna propaganda – sami wywoływali fermenty i uczucie niezadowolenia społecznego. Wyrażają oni nastroje i aspiracje ogromnie rozpowszechnione – tyle że wyrażają w sposób czynny i widoczny. Aktywni opozycjoniści usiłują znaleźć wyjście z obezwładniającego Polaków paradoksu: społeczeństwo nie wierzy w możliwość „naprawienia” systemu i jest skłonne poprzeć tylko zmianę całkowitą – ale nie wierzy również w bezpośrednią możliwość takiej fundamentalnej zmiany, więc skłania się do cynicznej lub desperackiej bierności.

Dodatkowym czynnikiem wpływającym na pasywność jest podejrzenie, iż władze dobrowolnie i dla własnych celów tolerują istnienie opozycji. Jak to ostro sformułował Jan Kowal, „fakt istnienia w PRL kilku nieuznawanych przez władze ugrupowań oporu społecznego jest efektem świadomej taktyki przyzwalającej... Przekonanie, iż władze ustępują, bo muszą, byłoby wnioskiem fałszywym”. Jednakże przeciwstawienie „ustępowania” – „przyzwalaniu” jest tu naciągane: jeżeli władza przyzwala na coś, czego w zasadzie wołałaby nie tolerować, to takie przyzwolenie nie jest w istocie dobrowolne. W jakim stopniu przymus ustępstw wywołany jest stosunkami z zagranicą (potrzeba kredytów), a w jakim napięciem w kraju (obawa przed jądrem opinii publicznej i stwarzaniem męczenników), to rzecz dyskusyjna i bardzo trudna do rozgraniczenia, bo zagraniczne kredyty są konieczne również po to, aby zachować jaki taki spokój w kraju. Zgadzając się więc z ostrzeżeniami Kowala, że o ile „wymuszenie”

daje możliwość eskalacji żądań, o tyle „przyzwolenie” może ustać z godziny na godzinę, a do wywołania fali represji wystarczy jakakolwiek prowokacja – nie trzeba przypisywać władzom pełnej swobody wyboru metod postępowania ani też rezygnować z wpływu na rozwój wydarzeń przez wykorzystywanie trudności reżimu dla rozszerzania marginesu tego, co musi tolerować, jeżeli chce uniknąć wewnętrznej i zewnętrznej konfrontacji. Czy ustępstwa nazwiemy wymuszonymi, czy też uzyskanymi dzięki sprzyjającym okolicznościom – najistotniejsze jest, że nie osiągnie się ich bez wywierania nacisku.

Problem: czy i jak działać, jeżeli ustrój jest nienaprawialny; czy i jak wpływać na zmiany systemu, skoro nie da się on zreformować (bo każda reforma istotna musi przynieść likwidację systemu), jest nierozwiązalny, jeżeli się go postawi ostro i sztywno. Należałoby sformułować go inaczej. Czym innym jest rewizjonistyczne marzenie, że system naprawi się od wewnątrz, oczyści, przybierze „ludzką twarz” – czym innym zaś popychanie go do zmian i ustępstw, do których musi się jakoś przystosować. Dzisiaj do pierwszej możliwości nikt już zaufania nie ma, nikt nie liczy na to, że system „się” uzdrowi. Natomiast jak definiować procesy drugiego typu, tym niech się troszczą partyjni teoretycy. Nie należy do typowych cech ustroju ani prywatne rolnictwo, ani tolerowanie roli Kościoła, ani wprowadzanie wewnętrznego rynku wolnodewizowego, ani rozwijanie na wielką skalę inwestycji, finansowanych przez zachodni kapitał, ani łatwość wyjazdów za granicę, ani popieranie prywatnego rzemiosła czy agencyjnego handlu. Chociaż nie zmieniają one podstaw systemu, czynią go bardziej podatnym na dalszą ewolucję – niezależnie już od tego, że walcie wpływają na sposób życia obywateli. Nie można z góry założyć, jakie są granice przystosowalności systemu do nacisków (wewnętrznych i zewnętrznych) i nie trzeba z nich z góry rezygnować dla teoretycznych powodów. To prawda, że „wolność jest niepodzielna”, a suwerenność ograniczona nie jest wcale suwerennością, ale to są stwierdzenia dotyczące ideałów, wartości i celów ostatecznych. Postawa „wszystko albo nic”, zajmowana nie wobec pryncypiów, ale wobec konkretnego działania, daje w rezultacie bezczynność i bezużyteczność, czekanie z założonymi rękami na chwilę, kiedy ktoś nas uwolni równocześnie i od ZSRR, i od rodzimej partii (i kiedy okaże się, że nie umiemy sobie z tą nową sytuacją poradzić).



Przez z górą wiek państwowego niebytu zasadnicze pytanie, postawione natchmianem po ostatnim rozbiórce, brzmiało: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?”. Jak wykazały lata 1918–1920, było to pytanie prawidłowe, bo istnienie kadry wojskowej odegrało wówczas decydującą rolę w odzyskaniu i utrzymaniu niepodległości.

W latach 1944–1945 narzucono nam przemocą niechciany ustrój i krępującą obcą dominację. Okazało się wówczas, że dawne pytanie w obecnej rzeczywistości sensu nie ma i że w każdym razie Polacy sami, własnymi tylko siłami, stanowienia o sobie odzyskać nie mogą. Zapanował od tej pory w myśleniu o przyszłości naszego narodu mroczny i jałowy zamęt.

„Realści” polityczni doby rozbiorowej, zalecający różne formy „pracy u podstaw” i kompromisów z zaborcami, przeciwstawiali się „romantynom”, dla których wolność była sprawą kolejnego zrywu narodowego. Możliwość odzyskania niepodległości była dla obu stron przedmiotem konkretnych dyskusji, ważenia na szalach sił i koniunktur; jej wizja wchodziła w skład narodowej świadomości. Nawet kiedy się ją określało jako „mrzonkę”, była to mrzonka, do której drogi dawały się realnie wytyczać.

Przez kilka lat po drugiej wojnie snuły się jeszcze po świecie upiornobalawutne myśli o trzeciej „światówce”. Wybuch globalnego konfliktu, który zagroziłby ziemskiej cywilizacji, jako sposób na wyjście Polski spod komunistycznej dominacji, okazał się jednak możliwością zbyt przerażającą, aby ją rozważać w ramach jakichkolwiek rzeczowych planów. Od tej pory szamoczymy się między tymczasowością a ogólnikami. Słowa o niepodległości są zwykle deklaracjami, niewiązującymi się z żadną określoną wizją, żadną prognozą historyczną. Wśród ugrupowań krajowych, z których jawnie działające muszą na ten temat stosować dyskretnie uniki, jedynie PPN wskazał ogólnikowo na narastające w ZSRR i jego satelitach (czy dominacjach) procesy mogące w przyszłości doprowadzić do rozpadu imperium. Stefan Kisielewski, przeciwnie, zapowiada, że wobec postępującej degrengolady Zachodu trzeba się liczyć z międzynarodowym triumfem Moskwy i komunizmu. Przedstawiciele emigracyjnych ugrupowań wypowiadają mnóstwo niekonkretnych pobożnych życzeń, wśród których jest i niepodległość, i demokracja. Niektórzy „narodowcy” straszą jednak, że próby nacisku na Rosję muszą się skończyć katastrofą, że opozycja w Polsce to działanie na rzecz interesów amerykańskich lub syjonistycznych i tym podobne banialuki. Chociaż panowie ci opowiadają się również za suwerennością itd., starannie zamykają wszystkie do niej drogi z wyjątkiem chyba aktu Bożej sprawiedliwości. Podobny efekt ma fanatyczny antykomunizm Józefa Mackiewicza, potępiającego wszelkie inne metody działania poza frontalną konfrontacją, którą nie wiadomo kto ma przeprowadzić (i przeżyć).

Celem poniższych rozważań nie jest snucie przepowiedni, ale sugerowanie, że o rzeczowe hipotezy prognostyczne na przyszłość bliższą i dalszą warto się kusić; i że zdając sobie sprawę z ograniczoności naszego wpływu na bieg wydarzeń o większej skali, nie musimy go traktować fatalistycznie.

Jakie powinny być wytyczne zastanawiania się nad perspektywami i możliwościami polityczno-gospodarczymi naszego kraju? Niektóre wbito nam w mózg i skórę: dominacja ZSRR, brak granicy z Zachodem, „groźba” niemiecka, interesy aparatu partyjno-administracyjnego, który nie zechce dobrowolnie

odstąpić ani cząsteczki władzy, naiwny cynizm demokracji zachodnich i ich niechęć do „awantur”. Ale nie musimy tych danych traktować jako niezmiennych. Należy je stale poddawać nowym analizom i badać w świetle innych, nie mniej ważnych, choć nie tak rzucających się w oczy czynników.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że chociaż szczególnie położenie geopolityczne narzuca nam patrzeć na świat w kategoriach sztywnych i trwałych, współczesna rzeczywistość polityczna i ekonomiczna jest niebywale płynna. Zmiany w międzynarodowym rozkładzie sił, dokonane w ciągu ostatnich lat trzydziestu, są olbrzymie, a ich proces bynajmniej się nie zakończył. Zwielokrotnienie ośrodków decyzji politycznych, dotyczących bezpośrednio jednego kraju, ale mających wpływ na kontynenty, jest zjawiskiem w historii niebywałym. Wydarzenia w Wietnamie, Portugalii, Angoli czy Somalii, na zupełnych peryferiach stref oddziaływania wielkich potęg, mają ogromny wpływ na całą sytuację światową i chociaż najistotniejsze jest, co w każdym wypadku uczynią supermocarstwa, coraz częściej przekonują się one, że nie mogą rozstrzygająco wpływać na lokalny bieg wydarzeń (Rosjanie wyrzuceni z Egiptu, Amerykanie tracący grunt w Turcji itd.).

Skomplikowanie świata idzie w parze ze stałym wzrostem liczby napięć regionalnych, wynikających tak z pobudek politycznych, jak i gospodarczych (narastająca konfrontacja krajów ubogich i bogatych). Wiadomo powszechnie, że ZSRR, chociaż jest państwem bogatym i wysoko uprzemysłowionym, nie chce pomagać krajom rozwijającym się, wykorzystuje natomiast każdą okazję do jątrzenia przeciwko Zachodowi. Działa więc świadomie jako czynnik destabilizujący. Dotychczas dawało to na ogół rezultaty dla ZSRR dość pomyślne, ale taka taktyka stawia Sowiety z konieczności w opozycji do wszystkich krajów rozwiniętych i zamożniejszych, które na rozmuchiwanie konfliktów mogą *per saldo* tylko stracić. Jest rzeczą zmienną, że z wyjątkiem zwariowanej Libii bogate kraje arabskie, mimo konfliktu z Izraelem, trzymają się bliżej państw Zachodu niż ZSRR; to samo dotyczy wszystkich innych krajów o szybkim wzroście poziomu gospodarczego. Niezależnie od tego, czy chcą one po prostu korzystać ze swojej zamożności, czy też dzielić się nią z innymi, obawiają się destabilizacji. W wyniku tej ogólnej prawidłowości, której mechanizmu nie możemy tu głębiej analizować, izolacja polityczna ZSRR będzie się w przyszłości zapewne powiększała (starają się o to również Chiny). Aby ten proces odwrócić, Sowiety musiałyby albo zaprzestać politycznego współzawodnictwa z krajami demokracji zachodniej, albo też zmienić metodę swojej polityki zagranicznej i wysłać nie broń i Kubańczyków, ale pszenicę, traktory i pieniądze – a na to ich nie stać. Nie stać nie tylko ekonomicznie.

Socjolog amerykański Daniel Bell pisze o współczesnej „rewolucji rosnących uprawnień”, która ogarnia cały świat. Coraz szersze kręgi ludności uzyskują możliwość kształcenia i dorabiania się; grupy ludności dawniej upośledzone stają się przedmiotem specjalnych zabiegów wyrównujących; związki zawodowe od-

grywają coraz większą rolę gospodarczo-społeczną; wzrosły dramatycznie swobody indywidualne, prawa kobiet i tolerancja wobec różnych stylów i sposobów życia; podobnie jak wzrosły wydatki na usługi społeczne i cele publiczne. Analogiczną rewolucją w dziedzinie stosunków międzynarodowych jest usamodzielnienie się dużej liczby krajów dawniej zależnych oraz skuteczne domaganie się przez nie coraz znaczniejszych uprawnień gospodarczych i politycznych. Chociaż prawa jednostek są w wielu państwach pokolonialnych surowo ograniczane przez autokratyczne reżimy, mamy w tych krajach do czynienia z przejęciem uprawnień decyzyjnych przez ludzi do niedawna pozbawionych głosu w rządzeniu. Ogólna tendencja światowa do upowszechniania uprawnień jest więc w tych krajach hamowana, ale nie odwracana.

Ta sama tendencja występuje oczywiście i w ZSRR, i w krajach obozu moskiewskiego, ale gdy na Zachodzie jest popierana lub przynajmniej tolerowana – tu jest tępiona i tłumiona przemocą. Dlatego też w swoich stosunkach z zagranicą ZSRR będzie zapewne napotykał coraz większe trudności socjopsychologiczne. Można trzymać żołnierzy radzieckich zamkniętych w koszarach w Polsce, aby nie ulegli zmiękczającym i demoralizującym (czyli oświecającym) wpływom. Próba skutecznego penetrowania państw Trzeciego Świata pociągnęłaby za sobą konieczność wystawiania tysięcy obywateli radzieckich na życie w krajach politycznie znacznie swobodniejszych niż ich własny. Tylko w warunkach odcięcia od informacji o innych systemach społeczno-politycznych ludzie nie zadają sobie pytania, czy dokuczliwe cechy ich systemu są rzeczywiście niezbędne. Możliwość zestawienia nie musi powodować potępienia czy odrzucenia własnego ustroju, nawet jeśli się go uważa za wadliwy, dopóki ustrój ten potrafi jakoś uzasadnić swoją użyteczność. Ale wobec tego, że ustrój, stosunki społeczne i obieg dostępnych informacji w ZSRR stają się w zestawieniu z resztą świata coraz bardziej anachroniczne, uzasadnienie takie będzie się stawało coraz trudniejsze. Faktu, że polityka zagraniczna ZSRR jest dla tego państwa ogromnie kosztowna, a nie przynosi namacalnych korzyści obywatelom (nawet w formie możliwości podróży po świecie), nie da się wiecznie ukrywać przed ludnością, dla której problemem jest nadal zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Trzeba będzie częściej sięgać po hasła nacjonalistyczno-imperialne, które przemawiają do wielu Rosjan, ale muszą pogłębić ich izolację we własnym kraju i za granicą.

Sfery rządzące ZSRR stale zaciemniają długoterminowe perspektywy swego państwa – w tym sensie, że stopniowo ograniczają i tak niewielkie szanse przezwyciężenia zasadniczych trudności strukturalnych, wynikających z faktu, że ZSRR jest ostatnim mocarstwem kolonialnym naszego wieku, że ma absurdalny system zarządzania ekonomią, zacofane i niewydajne rolnictwo, skrzepowaną naukę, nierównomiernie i z opóźnieniami rozwijającą się technologię, że od początku istnienia musi eksportem surowców opłacać import nowoczesnego sprzętu itd. Aby wybrnąć z trudności gospodarczych, należałoby przeprowadzić

gruntowne reformy administracyjne i polityczne; reformy te spowodowałyby pełniejsze ujawnienie się tendencji odśrodkowych; ich rozwój doprowadziłby zapewne do krwawej wojny domowej albo do rozpadu imperium. Ale im dłużej się reform nie przeprowadza, tym groźniejsze powstają wewnętrzne napięcia społeczne i narodowe i tym jaskrawiej wychodzą na jaw różnice między ZSRR a innymi krajami o podobnym poziomie cywilizacyjnym. Trzeba dodać i tę obserwację, że im wyższy stopień rozwoju gospodarczego i technologicznego jakiegokolwiek kraju, nawet pozornie najbardziej samowystarczalnego ekonomicznie, tym ściślej i wszechstronniej jego powiązania z gospodarką ogólnosiwiatową. Gospodarka ta w coraz większym stopniu poddawana jest dyrektywom zapotrzebowania i oczekiwań (a nie, jak dawniej, podaży). Jeszcze trzydzieści lat temu planiści sowieccy mogli projektować produkcję wedle tego, co mieli do rozporządzenia, i tego, co chcieli, zgodnie ze swoimi założeniami, uzyskać; dzisiaj w coraz większym stopniu muszą planować wedle tego, czego się od nich spodziewa ludność, na oczekiwania obywateli radzieckich zaś coraz bardziej, choćby z opóźnieniem, wpływać będzie to, czego chcieli i co otrzymali Amerykanie, Finowie, Brazylijczycy czy Jugosłowianie. Prawdopodobnie ryzyko wybuchu konfliktu zbrojnego, ograniczonego lub nawet światowego, wywołanego przez agresywną ekspansję sowiecką, będzie malało, natomiast wzrastać będzie niebezpieczeństwo wojny wywołanej właśnie przez rosnący anachronizm ZSRR, przez nieprzystosowanie tego państwa do reszty współczesnego świata, co może spowodować odruchy paniczne u kierownictwa partyjnego.

Naszkicowane tu procesy dotyczą rzecz jasna także całej Europy Wschodniej. Jest ona znacznie bardziej niż ZSRR podatna na wpływy i naciski międzynarodowych trendów obyczajowych, gospodarczych i politycznych. Można więc przypuścić, że tendencja do upodmiotowania politycznego państw satelickich, do rozszerzania przez nie zakresu decyzji niepodlegających pełnej kontroli sowieckiej będzie się w przyszłości częściej ujawniać. Potrzebne są do tego dwa warunki dodatkowe: względna stabilizacja wewnętrzna w danym kraju (rozgrywki międzyfrakcyjne osłabiają siłę przetargową każdego politbiura) oraz względna jasność w personalnym układzie sił na Kremlu (obecny stan oczekiwania na odejście Breżniewa i walkę o jego następstwo powstrzymuje inne partie od jakichkolwiek bardziej przedsiębiorczych poczynań czy roszczeń).

Zwróćmy wzrok w drugą stronę. Nie dotarło jeszcze do świadomości Polaków, że nasza międzynarodowa pozycja gospodarcza, a także i polityczna, uległa w ostatnim ćwierćwieczu ważnej poprawie. Jest to poprawa w tej chwili tylko potencjalna, ale zasadnicza. Dzięki węglowi jesteśmy, obok Norwegii, jedynym krajem Europy, który jest i będzie mógł długo pozostać eksporterem energii. Ponieważ zasoby energetyczne są kluczowe dla gospodarki każdego kraju i jego roli w ekonomice międzynarodowej, rozporządzamy (potencjalnie!) kartą bardzo silną. Najlepiej pasuje ona do gry ze Wspólnotą Europejską, dla której stanowić możemy coraz cenniejszego partnera. Powstanie Wspólnoty jest drugim

czynnikiem wyraźnie polepszającym naszą sytuację. Niemcy jako część zjednoczonej Europy muszą zatracać możliwość agresywnej polityki zagranicznej (nawet gdyby ją chciały wznowić); zanik ostrej rywalizacji między państwami Zachodu może nam ułatwiać znalezienie w nich sprzymierzeńców. Co jeszcze istotniejsze, kiedy Wspólnota Europejska rozszerzy się o Hiszpanię, Portugalię i Grecję, Polska stanowić będzie dla niej potencjalnie wartościowe uzupełnienie zarówno ekonomiczne (zmniejszyłaby deficyt energetyczny), jak polityczne (wzmocniłaby państwa średnie w ich dialogu z Niemcami, Francją i Anglią)*. Ściślej związki Polski ze Wspólnotą otworzyłyby oczywiście nowe perspektywy dla zjednoczenia Niemiec (w ramach Wspólnoty); byłyby też po myśli Stanów Zjednoczonych, z którymi nie mamy żadnych sprzecznych interesów ekonomicznych ani politycznych, lecz przeciwnie – więzy tradycyjnej przyjaźni.

Brzmi to wszystko jak fantastyczna bajka. Nie prorokuję jednak, tylko twierdzę, że taki rozwój wydarzeń jest możliwy i że tę możliwość należy brać pod uwagę. Nie sugeruję również, że kraje Europy Zachodniej będą skore do poniesienia jakichkolwiek ofiar czy ryzyka na naszą korzyść; stwierdzam tylko, że nasze bliskie związki ze Wspólnotą Europejską, nawet wejście w jej skład, leżą w interesie wszystkich zainteresowanych – wyjąwszy ZSRR. I twierdzę także, iż przeciwstawianie się tym zgodnym interesom może się na bardzo długą metę okazać dla ZSRR nieopłacalne lub wręcz niewykonalne. (*Nota bene* przypomnijmy, jak nasza cenzura tępi pozytywne informacje na temat Wspólnoty, którą wolno określać tylko jako „Wspólny Rynek”).

Trzeba brać pod uwagę także i ten czynnik, że USA muszą w swojej światowej rozgrywce z Sowietami kierować się rachunkiem: gdzie można znaleźć sprzymierzeńców lub gdzie można osłabić front przeciwnika kosztem najmniejszych nakładów i najniższego ryzyka? (Czasz nie liczenia się z kosztami minęły bezpowrotnie.) Terenem takim jest oczywiście Europa, włączając Europę Środkowo-Wschodnią. Niektórzy publicyści emigracyjni, jak Jędrzej Giertych, też to zauważają – i nawołują do zaniechania w kraju wszelkiej aktywności opozycyjnej, bo jest ona rzekomo sztucznie podsycana przez Amerykanów (i oczywiście Żydów!) dla ich własnych celów. Pomijając już drobny, a widać niezauważony przez sędziwego endeka fakt, że Polacy doprawdy mają własne powody do konfliktu z sowiecką i rodzimą partyjną dominacją; a również i to, że oficjalne władze amerykańskie wykazywały dotychczas minimalne zrozumienie dla polskiej działalności opozycyjnej i starały się do niej raczej zniechęcać niż zachęcać – powiedzieć trzeba, że interesy polskie są w tej chwili w znacznym stopniu zbieżne z amerykańskimi i że z tej zbieżności powinniśmy starać się skorzystać. Nie da-

* Nie zapominam o głębokim kryzysie, jaki w tej chwili Wspólnota przeżywa. Ale sądzić wolno, że uświadomienie sobie katastrofy gospodarczej, jaką spowodowałby jej rozpad, pozwoli ten kryzys przezwyciężyć; proces integracji politycznej zaś, choćby bardzo powolny, powstrzymać się nie da.

jąc się sprowokować do aktów nierozumnej rewolty (do której nikt nas zresztą, z wyjątkiem niekiedy organów bezpieczeństwa, nie podburza), powinniśmy po prostu dążyć do podnoszenia kosztów utrzymania Polski w pozycji moskiewskiego satelity. Skoro interesują się nami dwa supermocarstwa, należy dążyć do tego, by się licytowały. Jedno trzyma nas pod butem; w interesie drugiego jest nasze wyślizgnięcie się spod tego buta; nie doprowadzając do wybuchów, powinniśmy się pod butem wiercić.

Ale co z Niemcami? Czy nie stanowią oni groźby większej niż Rosja? Ci wszyscy, którzy w dobrej lub złej wierze straszą nas ciągle teutońskim odwetem, powołują się nie tyle na teraźniejszość ani na przewidywania przyszłości, ile na doświadczenie historyczne. Niezbyt słuszne. Istniejących nadal w RFN tendencji rewizjonistycznych nie wolno nam nie zauważać i lekceważyć – ale przyjrzenie się historii musi prowadzić do wniosku, że chociaż okresami Niemcy groziły nam śmiertelnie – na długą metę, od wieku XVII począwszy, głównym niebezpieczeństwem była Rosja. Z tego prostego powodu, że w konflikcie z nią trudniej albo zgoła niemożliwe było znaleźć sprzymierzeńców. Przekonał się o tym dotkliwie w roku 1920 i 1945. Dotychczasowe doświadczenia wskazują również, że większe są możliwości ewolucji i pozytywnych zmian w stosunkach polsko-niemieckich niż polsko-rosyjskich.

Myśląc o przyszłości, nie należy też zapominać prostej prawdy, o której pisał kiedyś Juliusz Mieroszewski, iż naszym wschodnim sąsiadem nie jest naród rosyjski, ale narody ukraiński, białoruski i litewski. Przypominanie o tym i wyrazy sympatii dla aspiracji kulturowych i politycznych tych narodów, obecnie rusyfikowanych i pozbawionych autonomii, wywołują u niektórych „narodowców” emigracyjnych historyczny lęk i protesty, że oto znowu wskrzesza się idee federalistyczne albo chce wyzwalać krwią Polaków narody ZSRR. Jest to potrójny absurd. Po pierwsze – wszelkie dążności usamodzielniające wśród ludów, podległych dziś moskiewskiej dominacji, mogą tylko ułatwić Polakom rozszerzanie marginesu państwowych i narodowych swobód; po drugie – udawanie, że się tych dążności nie zauważa lub wręcz przeciwstawianie się im jest pozbawianiem się nie tylko potencjalnych sprzymierzeńców, ale i moralnego prawa do wysuwania własnych roszczeń; po trzecie wreszcie – w dzisiejszej sytuacji korzystamy tylko z wewnętrznych kłopotów, jakich przysparza Kremlowi opór naszych sąsiadów przeciwko rusyfikacji – nic im bowiem sami pomóc nie możemy.

Jan Drewnowski ogłosił kilka lat temu w „Kulturze” cenny artykuł o możliwości zmian ustrojowych w Polsce pt. *Jedyna droga*. Chociaż charakteryzował tę „jedyną drogę” (poprzez nacisk społeczeństwa wywołany wewnętrznymi sprzecznościami systemu) bardzo ogólnikowo, co dopuszcza możliwość odmian postępowania – szkodliwe wydaje mi się samo hasło „jedyności”. Różne mogą się nasuwać okazje zasadniczych zmian i wyzwolenia, różne możliwości, do których się trzeba rozmaicie przygotowywać. Słuszne odrzucenie koncepcji zbrojnego powstania albo masowego spisku przygotowującego przewrót nie powin-

no prowadzić do rezygnacji z wielu innych sposobów działania, jawnego i tajnego. Ich wielorakość zwiększa nasze szanse – pod warunkiem, że zwolennicy rozmaitych metod nie będą się wzajemnie zwalczać.

To samo dotyczy zwolenników różnych wizji przyszłości, perspektyw i taktyk, którzy powinni zwracać uwagę przede wszystkim na wspólnotę celów ostatecznych, a nie na szczegółowe różnice. Niechże wszyscy zwolennicy wolności Polski myślą o wspólnym przeciwniku, który nas wolności pozbawia – a nie tracą sił i czasu na podgryzanie się wzajemnie. Niechże wszyscy zwolennicy demokracji uważają za obowiązek pierwszy wspólną walkę o jej zdobycie – a nie krytykowanie tych, którzy się od nich różnią w poglądach na idealny model ustroju.

Dróg jest wiele. Różne są sposoby przygotowania gruntu pod lepszą przyszłość: samokształcenie polityczne i nauka samorządności; budowanie porozumienia między grupami społecznymi i środowiskami; uświadamianie opinii zagranicznej i torowanie dróg międzynarodowemu (a nie tylko międzyrządowemu) porozumieniu i zbliżeniu – w różnych kierunkach; wychowywanie ludzi, którzy potrafią przejąć stanowiska kierownicze i przywódcze; wykorzystywanie istniejących możliwości dla rozwoju autentycznej kultury i nauki; przypominanie i odnawianie skołtuniałego poczucia godności narodowej. Można domagać się respektowania obowiązujących praw i przywilejów obywatelskich – albo starać się o prawa lepsze; można na różnych stanowiskach chronić to, cośmy osiągnęli lub ocalili – albo dążyć do rozszerzenia zakresu swobód i uprawnień; zachowywać bezkompromisowość absolutną – albo dyskretnie, bez oficjalnego żyrowania, popierać liberalno-patriotyczne tendencje w aparacie rządzącym; kłaść nacisk na osiągnięcia bezpośrednie i szybkie – albo wpajać wizje ideałów docelowych.

Najistotniejsze jest, abyśmy mieli świadomość, że wiara w Polskę niepodległą i demokratyczną nie musi być wiarą w cuda – i abyśmy sobie w dążeniu do niej różnymi drogami nie przeszkadzali.

[6/1978]

Optymizm pesymisty

Pewien mój warszawski przyjaciel mawia od niedawna, że może już umrzeć, bo wie, jak dalej potoczą się wypadki, w jaki sposób będzie następowała „degradacja” polityczna imperium sowieckiego.

Prawdę mówiąc, wiem to już od dawna, ale mimo to nie zaliczam się do optymistów. Na „degradację” Rosji sowieckiej z roli jednego z dwóch głównych mocarstw światowych do pozycji mocarstwa drugiej kategorii składają się dwa główne czynniki. Pierwszym jest naturalnie międzynarodowa rola Chin. Jej wzrost stał się oczywisty co najmniej od wizyty prezydenta Nixona w Pekinie w 1972 roku. Upadek Nixona zaciemnił później tę sprawę w oczach szerokiej opinii międzynarodowej. Ale w ostatnich miesiącach odżyła ona w sposób wielce spektakularny. W Pekinie pojawił się Brzeziński i inne osobistości amerykańskie, a potem doszło do układu chińsko-japońskiego, który rozjaśnił niby światłem błyskawicy międzynarodowy trend rozwojowy, nieuchronny właściwie od roku 1972. Rosjanom wypadło zapłacić wysoką cenę za imperialny dogmatyzm w sprawie japońskich Wysp Kurylskich. Ale to nie wszystko. Wydaje się, że między USA, Japonią, Francją i RFN trwa swego rodzaju wyścig do Pekinu, rywalizacja o wpływy gospodarcze w Chinach. Trudno przewidzieć, który z powyżej uprzemysłowionych krajów świata stanie się głównym gospodarczym kooperantem Chin, ale pewne jest, że Chiny będą uprzemysławiały się „wielkimi skokami”, jeśli wolno sięgnąć do ich repertuaru terminologicznego. Wszystko to musi spędzać sen z oczu gerontokracji sowieckiej. Wystarczy czytać gazety rosyjskie, by nie mieć w tej sprawie najmniejszych wątpliwości.

Gdyby sowiecką polityką zagraniczną kierował Gromyko, a nie sam Breżniew, to minister spraw zagranicznych ZSRR poszedłby na zieloną trawkę. Genialna w swej prostocie, bo zawsze twarda, imperialna i agresywna polityka zagraniczna Sowietów ponosi od kilku lat jedną porażkę po drugiej. Układ chińsko-japoński był z pewnością nie tylko porażką największą, ale przede wszystkim stwarza on najgroźniejsze perspektywy długofalowe dla Rosji. Dodajmy do tego „przebudzenie” się Zachodu. Nadal dość niepopularny Carter powoli robi jednak swoje. Nie pomógł wielki krzyk propagandowy Sowietów i Carter nakazał produkcję elementów broni neutronowej, mając już w tej chwili wyraż-

ne poparcie głównych sojuszników Ameryki. Carter przeprowadził też część swego programu energetycznego. Ameryka umacnia swoje pozycje na Bliskim Wschodzie przez porozumienie Izraela i Egiptu. Zachód wyraźnie okrzepł w ostatnich dwóch latach, a Sowiety znalazły się w defensywie.

Obok międzynarodowych przyczyn zapowiadających „degradację” imperium sowieckiego występują także przyczyny wewnętrzne, wcale nie mniej ważne. Przypomina mi się tu stary dowcip: Na czym polega różnica między kryzysem kapitalizmu a socjalizmu? Kryzysy kapitalizmu są okresowe, a kryzys socjalizmu jest permanentny. Po pewnych wahaniach w epoce Chruszczowa Rosjanie zdecydowali się, ze względów przede wszystkim politycznych, nie przeprowadzać głębszych reform swego mało efektywnego systemu gospodarczego. Uważają, że reformy musiałyby doprowadzić do usamodzielnienia się nierosyjskich republik sowieckich, czego boją się jak ognia. Poza tym klasa rządząca w Sowietach jest przekonana, że poważniejsze reformy mogłyby zagrozić jej władzy, przenosząc decyzje w ręce fachowców i specjalistów i osłabiając tzw. aparat gospodarczy i polityczny, a więc przede wszystkim partię. Rozumowaniu temu nie sposób odmówić pewnej słuszności. Nie można wyobrazić sobie takich reform systemu komunistycznego, które nie pociągnęłyby za sobą poważnych konsekwencji politycznych, a przede wszystkim przesunięć w elicie władzy. Wobec tego kierownictwo sowieckie opowiedziało się przeciw reformom zarówno w Związku Radzieckim, jak i w krajach Bloku Wschodniego. W sprawie tej panuje żelazna konsekwencja od niemal 15 lat. Naturalnie musiało okazać się, że za taką decyzję przyjdzie płacić wysoką cenę. Gospodarka całego Bloku Wschodniego, mimo pewnych różnic między jego poszczególnymi krajami, jest z każdym rokiem bardziej zdeorganizowana i mniej efektywna. Kryzys w Polsce, o którym pisze się bez przerwy już od czterech lat, okazał się tylko symptomem choroby trawiącej cały Blok Wschodni. Powszechnie mówi się o kryzysie w samej Rosji, która ma do tego niższą stopę życiową ludności niż jej satelici. Jest to jeden z zadziwiających paradoksów ustroju komunistycznego. Z dominacji państwa imperialnego jego ludność nie czerpie żadnych korzyści. Trwający bezustannie wyzysk krajów satelickich służy przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, ekspansji całego bloku. Bywa tak, że w niektórych sprawach społeczeństwo państwa-hegemonu zazdrości społeczeństwom krajów uzależnionych i rabowanych.

Za najbardziej uprzywilejowany kraj Bloku Wschodniego uchodziła do niedawna NRD, ale i tam właśnie daje o sobie znać głębokie załamanie gospodarcze. Nie należy mieć złudzeń, że komunizm upadnie, bo jest gospodarczo mało efektywny i nieracjonalny. Partie komunistyczne w krajach przez siebie rządzonych są nadal jeszcze w stanie zdławić ewentualny bunt i zmuszać narody do ponoszenia konsekwencji nieracjonalnej gospodarki. Tak jest z pewnością jeszcze dziś i tak będzie, być może, jeszcze dość długo. Ale stały kryzys gospodarczy i rosnące dysproporcje w krajach Bloku Wschodniego powodują, że dystans

między ich rozwojem a wzrostem najbardziej rozwiniętych gospodarczo państw zachodnich ciągle się powiększa. Rosjanie dbają, żeby w jednej dziedzinie dystans ten nie był drastyczny. Naturalnie w przemyśle zbrojeniowym. Poza tym starają się w tej dziedzinie równoważyć swoją mniej zaawansowaną technologię przewagą ilościową. Trzeba przyznać, że kierownictwo sowieckie osiągnęło sytuację, w której nikomu nie opłaci się wojna z ZSRR. Jak piszą, tym razem prawdziwie, propagandyści komunistyczni – na wypadek wojny atomowej – niezależnie od jej wyniku politycznego, o ile o takim właściwie mogłaby być mowa, każdy człowiek na kuli ziemskiej mógłby zostać zabity piętnaście razy. Wpływ kompleksu wojskowego w Rosji jest olbrzymi i nie należy zapominać, że kierują nim ludzie być może mniej doktrynalni, ale nastawieni nie mniej imperialnie niż obecne kierownictwo partii. Wystarczy przypomnieć wielką manifestację na zebraniu elity wojskowej ZSRR w chwili, gdy w czasie referatu padło nazwisko Stalina. Nie podzielam przekonania wielu politologów zachodnich, którzy sądzą, że wzrost wpływów kompleksu wojskowego po odejściu Breżniewa przyniósłby pozytywne zmiany w postaci pragmatyzacji systemu. Obserwujemy to właśnie w Chinach. Tam panujący system przechodzi także ewolucję pragmatyczną, ale nie przestaje być imperialny. To samo byłoby z Sowietami. Jeśli zdołają utrzymać względną równowagę zbrojeniową z Zachodem, pozwalającą im szantażować świat ewentualnością jego zniszczenia, to nigdy nie zrezygnują ze swych aspiracji imperialnych. Tylko bowiem ciągłe próby ekspansji zewnętrznej i przede wszystkim utrzymywanie całego obecnego stanu posiadania pozwala każdemu kierownictwu sowieckiemu uzasadniać złą sytuację wewnętrzną, absolutną dyktaturę i utrzymywanie społeczeństw w niewoli i ubóstwie.

Jak wspominałem, ekspansjonizm Sowietów wywołał częściowe „przebudzenie” się Zachodu, przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Najbardziej zwasalizowany przez Rosję kraj z grona „wielkich” Zachodu – Francja – nie tyle się przebudził lub zbuntował, ile ze względu na szanse gospodarcze zwrócił swą uwagę w stronę Chin. Ogólnie biorąc, ma to jednak negatywny wpływ dla ZSRR. Natomiast zdumiewająca jest uległość, jeśli nie służalczość, wobec Rosji rządu RFN. Abstrahując od niejasnej afery z neutralizacyjnymi planami Egona Bahra, socjaldemokraci niemieccy zdają się żywić zbytne złudzenia co do ustępliwości Rosjan w Europie w wyniku ich zagrożenia przez Chiny. W Moskwie rozumuje się zupełnie inaczej, a klasycznym tego przykładem była sprawa wspomnianych już Wysp Kurylskich. Rosjanie uważają, że jeśli oddadzą cokolwiek z tego, co zgrabili, to powstanie uzasadnienie dla kolejnych żądań pod ich adresem i będą musieli oddać wszystko. Jeśli nie oddali Wysp Kurylskich, to jest oczywiste, że nie oddadzą dobrowolnie NRD. Oznaczałoby to bowiem niepodległość Polski, krajów bałtyckich i być może całej Europy Środkowo-Wschodniej. Żeby zaś mogły nastąpić tak daleko idące zmiany polityczne, musiałby najpierw gruntownie zmienić się układ sił na świecie na niekorzyść Rosji. Osobiście jestem przekonany, że zmienia się on na jej niekorzyść, ale przez wzrost sił prze-

ciwników Rosji, a nie przez politykę uśmiechów do niej ze strony krajów zachodnich. Im Zachód będzie twardszy, tym szybciej Rosja będzie zmuszona do koncesji. Im Zachód bardziej będzie przymilny i pojednawczy, tym mniejsze będą szanse na ustępstwa Sowietów.

Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że mimo naiwnych złudzeń na Zachodzie i jego polityki uśmiechów wobec zimnych i brutalnych graczy z Kremla, czas gra na niekorzyść Sowietów. Ich sfera wpływów będzie z każdym rokiem stawała się coraz bardziej terenem niżu cywilizacyjnego. Rosjanie dostali się bowiem w potrzask stworzonego przez siebie systemu. Gdyby przeprowadzili reformy racjonalizujące gospodarkę, klasa rządząca w Sowietach musiałaby się co najmniej podzielić władzą z ludźmi kompetentnymi, a być może z czasem władzę w ogóle by utraciła. Jeśli zaś nie zostaną przeprowadzone daleko idące reformy gospodarcze, to imperium sowieckie będzie przez rozwijający się Zachód i Wschód „degradowane”. Tak czy inaczej koniec będzie smutny. W wypadku przeprowadzenia reform następowałaby jednak jakaś naturalna ewolucja systemu i być może obeszłoby się bez dramatycznych wstrząsów. W drugim wypadku „degradowana” nawet stopniowo i bardzo ostrożnie Rosja sowiecka może stać się terenem ostrych konfrontacji wewnętrznych, a także szarpana rozpaczliwymi próbami zachowania twarzy może – mniej lub bardziej nieświadomie – wywołać konflikt światowy. „Degradacja” Sowietów bez wielkich wstrząsów wewnętrznych i międzynarodowych byłaby wielkim szczęśliwym losem wygranym przez ludzkość na loterii historii. Dlatego właśnie, choć patrząc z umiarkowanym optymizmem i wierząc w nieuchronność upadku imperium sowieckiego, podobnie jak upadły wszystkie inne imperia w dziejach świata, to jednak dramatyczny kontekst historyczny owego nieuchronnego upadku zdaje się przemawiać za filozofią pesymizmu. Zabawne jest, że Chiny są jedynym krajem świata obwieszającym filozofię pesymizmu i „radosną” dla nich tezę, że wojna jest nieunikniona. Najbardziej nawet pacyfistycznie i humanistycznie nastawieni Europejczycy muszą przyznać, że niestety jest ona wielce prawdopodobna. Żadne imperium w dziejach świata nie upadło bez wstrząsów. Upadek imperium sowieckiego bez wojny jest możliwy, ale wymagałby nadzwyczaj długofalowej, racjonalnej i skoordynowanej polityki ze strony zróżnicowanych sił w świecie, które są zainteresowane „degradacją” Rosji sowieckiej. O taką politykę jest bardzo trudno. A poza tym cała rzecz musiałaby być rozciągnięta na bardzo długi okres. Dlatego nawet wiedząc, czym się to wszystko skończy, i widząc dziś z całą wyrazistością wewnętrzne i międzynarodowe przesłanki upadku imperium sowieckiego, mamy małe nadzieje, że cała rzecz dokona się na naszych oczach. Taka jest moja optymistyczno-pesymistyczna wizja tego, co jest nieuchronne, ale co oscyluje między katastrofą a ingerencją przysłowiowego palca Opatrzności, lub, jak kto woli, szczęśliwego przypadku.

Jest naturalnie jeszcze jedna przesłanka omawianej sytuacji w postaci fluktuacji społecznych w krajach Bloku Wschodniego. Na Zachodzie jednym z mod-

niejszych pojęć stało się słowo „dysydenci”. Należy sobie jednak uświadomić, że dysydenci w dynamizowaniu wewnętrznej sytuacji w ZSRR nie odgrywają kluczowej roli. Jest o nich co prawda najgłośniejsze, bo ich prześladowanie w Rosji wiąże się z represjami wobec mniejszości żydowskiej, stanowiącej w Sowietach problem i mającej silne oparcie na Zachodzie, a szczególnie w USA. Procesy wewnętrznej dezintegracji w Rosji nasilają się jednak głównie nie w wyniku działań dysydentów, ale aspiracji narodowych ludów nierosyjskich w imperium. Na drugim miejscu postawiłbym antykomunistyczną rolę budzącego się silnego neonacjonalizmu w samej Rosji, związanego z renesansem prawosławia i licznych sekt i ruchów religijnych. Potem dopiero można mówić o roli dysydentów, która jednak propagandowo ma na Zachodzie znaczenie najważniejsze. Ruchy odśrodkowe o rodowodzie narodowym w ZSRR staną się w najbliższym dziesięcioleciu głównym problemem wewnętrzno-politycznym. Sowiety nie mogą bowiem wobec nich zastosować metod stalinowskich, najsukcesowniejszego zazwyczaj terroru, bo konieczność gospodarczej kooperacji z Zachodem każe im mimo wszystko nakładać maskę umiarkowania i stwarzać pozory kraju jako tak cywilizowanego. Zachód zresztą jest bardzo gorliwy w wierze w tego rodzaju pozory. Sprawy narodowościowe w Rosji tak jednak nabrzmiewają, że pozorami załatwić ich nie będzie można. Jest to z całą pewnością jedna z ważniejszych przesłanek przewidywania nieuchronnego załamania się imperium. Ale kwestie narodowościowe zawierają zazwyczaj olbrzymi ładunek emocjonalny i rzadko dają się rozwiązywać bez poważnych wstrząsów. Z której strony więc nie podeszlibyśmy do problemów imperium sowieckiego za każdym razem optymistyczne możliwości i prognozy napotykały na niebezpieczeństwa niemal apokaliptyczne. Doświadczenie uczy, że gdy w Rosji załamuje się układ wewnętrzny, dochodzi do napięć w gruncie rzeczy o nieobliczalnych konsekwencjach. O wszystkim tym wiedzą rządy i wywiady zachodnie i z tego powodu uprawiają swoją strusią *Realpolitik*, umizgując się do rosyjskiego niedźwiedzia. Zapominają tylko, że biegu rzeki odwrócić się nie da, a kolonializm, likwidowany skutecznie w Trzecim Świecie, nie może w nieskończoność triumfować w części Europy i w ZSRR.

Wewnętrzna opozycja w Polsce jest zupełnie inna niż w ZSRR. Jej główna siła – Kościół katolicki – reprezentuje nacjonalizm bardzo wysublimowany, w znacznej mierze oświecony i w chwili obecnej bardzo humanistyczny. W końcu w praktyce Kościół broni obecnie praw całej pozostałej opozycji. Sytuacji tej nie można w ogóle porównać z nacjonalizmem rosyjskim, mowa naturalnie o tym, który reprezentuje prawosławna-staroruska opozycja, a który jest, jak się zdaje, dość agresywny i nieżyczliwy zarówno w stosunku do mniejszości w samym ZSRR, jak i do narodów od niego uzależnionych. Żeby uniknąć nieporozumień, należy podkreślić, że mówimy tu przede wszystkim o tendencjach nacjonalistycznych w Rosji jeszcze nieskrystalizowanych i nieorganizowanych, ale zdających się być tam bardzo silnym nurtem wewnętrznym i głównym przeciwnikiem wewnętrznym komunizmu.

Wracając do sytuacji polskiej, należy obecnie zwrócić uwagę na dalekosieźne skutki wyboru na papieża kardynała Wojtyły. Komuniści dobrze je pojęli, a ich konfuzja i pełna sprzeczności linia wobec tego wydarzenia stanowi jeden z najbardziej tragikomicznych spektakli w dziejach PRL. Osobiście zgadzam się z najgłępszą interpretacją wyboru kardynała Wojtyły, zaprezentowaną przez Horodyńskiego, Winiewicza, Rakowskiego i im podobnych. Oczywiście zgadzam się z nią *à rebours*. Interpretacja ta głosiła, że Wojtyłę wybrano, bo Polska Ludowa ma silną pozycję w świecie. Rzeczywiście zaś wybrano go dlatego, że Kościół polski oparł się uciskowi komunistycznemu, dowiódł wobec całego świata, że mimo prześladowań można zachować związek z Kościołem powszechnym i kulturą zachodnią i do tego wydać tak wielkie indywidualności, jak kardynał Wyszyński i przecież bardzo różny od niego kardynał Wojtyła – obecny Jan Paweł II. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że ostatnim wyborem papieża komuniści zostali rzuceni na kolana i prawdy tej nie ukryją żadne ich błazeńskie grymasy. Ważne jest jednak nie tylko aktualne znaczenie tego wydarzenia, ale jego dynamizująca rola na przyszłość, której nie można wprost przecenić. Polski papież ożywi nie tylko katolicyzm w całym Bloku Wschodnim, ale także inne wyznania i problem religijny w samej Rosji. A Jan Paweł II dał wyraźnie do zrozumienia, że ta sprawa także żywo go obchodzi, i to w całkiem innym sensie, niż obchodziła Casarolego i całą dotychczasową politykę wschodnią Watykanu. Polityka Jana Pawła II nie będzie awanturnicza i nie będzie robić niczego, co utrudniałoby sytuację Kościołów w krajach Bloku Wschodniego. Ale nie będzie to polityka trwożliwego kłaniania się despotom, od których nie można niczego uzyskać. Papież ich zna. Kilka ostatnich lat komuniści poświęcili, żeby go sobie zrazić. Ich bezmyślny prowincjonalizm i zupełny brak znajomości prawdziwych procesów w Kościele kazał im kokietować Watykan i próbować skłócić kardynałów Wyszyńskiego i Wojtyłę. Skończyło się to dla partii i bloku żenującą przegraną. Poza tym nie wiadomo teraz, kogo z kim skłócić w Kościele, a to są wymiary, w jakich obraca się polityka wyznaniowa w krajach bloku sowieckiego. Jej dalsze uprawianie w czasie pontyfikatu papieża o takiej osobowości i tak zainteresowanego sprawami Wschodu bardzo silnie przyczyni się do wzrostu znaczenia Kościołów i religii wewnątrz obozu komunistycznego. Wydaje się to jednym z najbardziej optymistycznych zjawisk w ciągu naszej smutnej historii powojennej. Przeżyliśmy zupełny nokaut wysiłków sowietyzacji.

Druga część opozycji w Polsce, nazywająca się czasem niezbyt szczęśliwie opozycją czy lewicą laicką, wyszła także ze wspomnianego wydarzenia wzmocniona. Myślę tu przede wszystkim o KSS KOR i Studenckich Komitetach Samoobrony, choć te ostatnie mniej zasługują na miano opozycji laickiej. W istocie chodzi po prostu o pozakościelną opozycję demokratyczną. Kościół ma zadania religijne, a nie polityczne, i pewien stan posiadania. Mógłby więc dużo stracić na konfrontacji z władzami komunistycznymi i wejść na teren polityki, czego zarówno kardynał Wyszyński, jak i Wojtyła zawsze się strzegli. Dlatego linia

Kościola jest i będzie dość umiarkowana, choć w czasie pontyfikatu papieża, który prawa człowieka pojmuje bardzo serio, nie będzie to linia bezproblemowa. Pozakościelny ruch demokratyczny jest o wiele słabszy i ma mniej do stracenia, poza tym ma zadania i charakter zdecydowanie polityczny. Partia robi więc wszystko, by ruch ten izolować i prowadzić konfrontację z nim, stwarzając jednocześnie pozory osiągnięcia porozumienia z Kościołem. Taktykę tę stosuje się już od kilku lat i wszystko wskazuje, że będzie ona stosowana nadal. Zresztą nie jest to taktyka nowa. W pierwszych latach PRL, kiedy Rosjanie mieli także dominujący wpływ na nasze życie wewnętrzne, wyraźne były wysiłki, by zwalczaniu Polskiego Stronnictwa Ludowego i opozycji politycznej towarzyszyły pozory harmonii z Kościołem. Nie kto inny, jak pan Jaroszewicz kroczył u boku kardynała Hlonda na procesjach Bożego Ciała. Obecnie powtarza się tę politykę, ale wywołuje to w niektórych kręgach partii protesty dogmatyków. Nie na wiele się one jednak zdadzą. Dążąc do rozprawy z opozycją demokratyczną, partia musi neutralizować Kościół. Należy zrobić wszystko, by jej to umożliwić. Kościół musi stawać w obronie niesprawiedliwie krzywdzonych działaczy opozycji. Ci zaś powinni być powściągliwi w powoływaniu się na Kościół i na papieża.

W sumie jednak wzrost roli Kościoła i umocnienie się nastrojów opozycyjnych w społeczeństwie stwarza absolutnie negatywne prognozy dla możliwości dalszej sowietyzacji Polski i chyba i innych krajów Bloku Wschodniego. Ta sprawa jest przegrana i im szybciej Rosjanie to rozumieją, tym dla nich będzie lepiej. *Advocatus diaboli*, czyli pesymizm, podszeptuje jednak, że Rosjanie już to doskonale rozumieją i dlatego właśnie nie zmniejszą swoich wysiłków w kierunku sowietyzacji. Nie wierzą w ich skuteczność, ale uważają, że jeżeli cokolwiek popuszczą w kierunku liberalizacji, to wszystko im się rozleci i stracą jakąkolwiek kontrolę nad krajami swego imperium.

Rosja sowiecka nie upadnie tylko w wyniku wewnętrznej opozycji w krajach satelickich i w ZSRR. Opozycja stanowi jednak – obok nowych konstelacji międzynarodowych i relatywnego wzrostu zapóźnienia wobec czołówki cywilizacyjnej świata – trzeci czynnik zapowiadający koniec jeszcze jednego systemu gwałtu i ucisku w historii świata.

Do chwili nieznanego jeszcze, ale nieuchronnego terminu „degradacji” lub nawet rozbioru imperium sowieckiego czekają nas jednak nadzwyczaj ciężkie czasy. Jest pewne, że Polska będzie pozostawała przez najbliższe lata w dezorganizacji i impasie gospodarczym, jeśli w ogóle nie dojdzie do jakiegoś drastycznego załamania o nieprzewidzianych konsekwencjach. Jest także pewne, że rządząca ekipa Gierka nie jest w stanie sprostać sytuacji i pozostaje przy władzy siłą inercji. Ani w Warszawie, ani w Moskwie nikt bowiem nie widzi rozwiązań generalnych ani też ekipy politycznej zdolnej do wprowadzenia ich w życie. Cały zaś wysiłek obecnego kierownictwa partyjnego polega na tym, aby jakoś ratować pozory stabilizacji i lawirować między presją dogmatycznej opozycji wew-

natrz partii a dążeniami społeczeństwa oraz wyrażającym je Kościołem i opozycją demokratyczną.

Są dwa sposoby przegrywania. Albo zawiera się rozsądny kompromis, albo gra się do końca fałszywymi, szulerskimi kartami. Niejaki Adolf Hitler udowodnił, że systemy totalne wybierają zazwyczaj tę drugą drogę.

[12/1978]

L. B.

Po wizycie papieża

Pytanie, czy papież pojedzie do Polski, pojawiło się w prasie zachodniej najpierw po wyborze kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową. Rząd PRL, zaskoczony i skonfundowany tym wyborem, zdobywał się tylko na kolejne sprzeczne oświadczenia. Pierwsze brzmiało: tak. Następne już: tak, ale...

Sam fakt, że władze warszawskie nie liczyły się z wyborem kardynała Wojtyły i nie szczędziły mu do końca pobytu w kraju szykan policyjnych, świadczy o niebywałym prowincjonalizmie politycznym PZPR, o braku orientacji w Kościele katolickim i o – jak zaśmiewają się ludzie w kraju – fatalnym wywiadzie. Podśłuchuje on nieważne rozmowy w Krakowie lub Wadowicach, a nie sięga w ogóle pułapu spraw politycznych o poważniejszym znaczeniu. Tak jednak być musi, gdy wywiad służy nie racji stanu kraju, a ujarzmianiu jego obywateli.

Interpretacja polityczna wybrania na papieża kardynała polskiego też nie przyniosła władzom PRL chwały. Trudno było ośmieszyć się bardziej, niż to uczyniła prasa partyjna i państwowa, wywodząc, że Polak został papieżem ze względu na prestiż PRL i znaczenie socjalizmu w świecie...

Powszechne pragnienie społeczeństwa spotkania ze „swoim” papieżem i nacisk światowej opinii publicznej, niewyobrażającej sobie, by do Polski nie wpuszczono Polaka tylko dlatego, że został papieżem, spowodowały zgodę rządu na jego przyjazd. Ale natychmiast zaczął się nowy akt „amatorskiej”, własnowolnej kompromitacji rządu PRL. Wybuchł mianowicie spór o termin przyjazdu papieża. Władze nie zgodziły się na dzień 8 maja, rocznicę św. Stanisława męczennika, wywołując tym w całym świecie wielkie zainteresowanie nie za bardzo znaną osobą polskiego świętego, jego sporem z królem sprzed 900 lat. Przypomniano sobie także zaraz, że to po słynnym liście Episkopatu do rządu 8 maja 1953 roku, protestującym w Krakowie, od grobu św. Stanisława męczennika przeciw gwałtom wobec Kościoła i narodu, aresztowany został prymas Polski kardynał Wyszyński. Rząd stawiał się w nader dwuznacznej sytuacji, bał się świętego zgładzonego przez króla przed 900 laty i nie chciał odciąć się od okresu stalinowskiego, kontynuując w istocie ówczesny zatarg z Kościołem na tle osoby św. Stanisława. Rząd zaszkodził, jak zwykle, sam sobie. Kardynał Wyszyński wynegocjował inny korzystny termin przyjazdu papieża, a ten po ucało-

waniu ziemi polskiej powiedział, że przybywa na przeniesione uroczystości mężczyźni św. Stanisława. Zapyta ktoś, dlaczego rząd PRL prowadzi tak samobójczą politykę. Odpowiedź jest bardzo prosta. Polityka prowadzona przeciw pragnieniom i dążeniom społeczeństwa musi być samobójcza.

Kolejna „wpadka” propagandowa nastąpiła już w dniu przyjazdu Jana Pawła II do Warszawy. Ogólnopolskie transmisje telewizyjne z pobytu papieża przewidziano tylko w pierwszym dniu, kiedy władze witały go na lotnisku, a potem w Belwederze i kiedy papież składał wiązanek kwiatów przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Potem przewidziano jeszcze transmisję z Oświęcimia i z pożegnania papieża, znów z udziałem władz państwowych. Wielu ludzi było tymi machinacjami zdenerwowanych. Nie speszły one tylko papieża Wojtyłę. Podziękował komu trzeba, i to szczerze, bo władze różnych szczebli zadały sobie wiele trudu, by zorganizować tak trudną podróż wśród rozentuzjazmowanych tłumów. Oddawszy wszystkim, co im się należy, Jan Paweł II wysłuchał spokojnie obowiązujących partię wywodów Edwarda Gierka o sojuszu ze Związkiem Radzieckim itp. Następnie z wielkim taktem i kulturą powiedział rządzącym Polską, że są przed historią i własnymi sumieniami odpowiedzialni za suwerenność Polski, sprawiedliwość jej wzajemnych stosunków z innymi krajami we wszystkich odniesieniach, za prawa człowieka i za porozumienie z Kościołem, które jakoś chyba można osiągnąć. Wszystko to zostało wyłożone w sposób jednoznaczny moralnie i politycznie, a jednocześnie tak, że nikomu nie uchybiło, nikogo nie mogło obrazić w najmniejszym stopniu. Świat i Polska mogły się przekonać, jak wielkim mężem stanu jest Jan Paweł II, jego polityka wschodnia ma dyplomatyczną kulturę płynącą z doświadczeń Sekretariatu Stanu, ale zarazem czuć w niej wielkie siły polskich tradycji historycznych i rozmach ducha misyjnego, który w Watykanie do niedawna zamarł omotany arkanami formulek grzesznościowych. Jan Paweł II zachował kulturę dyplomatyczną, ale wniósł ducha chrześcijańskiego apostołstwa do polityki wschodniej Stolicy Apostolskiej. Oznacza to nową epokę w jej historii. Rządy komunistyczne muszą się z tym faktem pogodzić, w przeciwnym bowiem wypadku, zabiegając o współlistnienie z Zachodem, będą same sobie podcinały pokojową gałąź, na którą próbują się wdrapać ze strachu przed Chinami.

Serca tysięcy Polaków zgromadzonych na placu Zwycięstwa w Warszawie zamarły ze zgrozy, gdy przed Grobem Nieznanego Żołnierza narzucono Ojcu Świętemu spotkanie z notablami komunistycznego ruchu kombatanckiego, z ludźmi o fatalnej reputacji, z wyłączeniem prawdziwych przedstawicieli polskiego czynu zbrojnego na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Papież zniósł to ze spokojem. Klęknął przed Grobem i ucałował jego płytę. Ale miał w swym kazaniu na placu Zwycięstwa przygotowaną także ripostę na kombatanckie manipulacje władz. Nawiązał do tego, że uroczystość odbywa się opodal Grobu Nieznanego Żołnierza. Przypomnił wojnę i Powstanie Warszawskie, stwierdzając krótko, że sojusznicy nie pośpieszyli wtedy na pomoc niszczonej

Warszawie. Kilkaset tysięcy ludzi usłyszało na placu Zwycięstwa, a miliony Polaków w telewizorach, że sojusznicy, w danym wypadku Rosjanie, nie pośpieszyli nam z pomocą. Ta straszliwa dla komunistów i ich machinacji propagandowo-telewizyjnych prawda została powiedziana z prostotą i smutkiem, z jakimi się mówi o prawdach oczywistych. Był to styl papieża, który miłuje wszystkich ludzi, ale który nie cofnie się przed mówieniem prawdy i całej prawdy. Wielkie emocje targały narodem polskim w tym historycznym dniu 2 czerwca 1979, przerosły one nasze najlepsze oczekiwania.

Kazanie Jana Pawła II przerwano na długo – na ponad 15 minut – oklaskami, pieśniami religijnymi, entuzjastycznymi pozdrowieniami, gdy rzekł, że nie może być miejsca bez Chrystusa, Polski bez Chrystusa i naszych dziejów narodowych bez Chrystusa. Jakże ludzie dobrze rozumieli słowa i intencje papieża, jak trafnie, niezawodnie na nie reagowali. Wszystko to świadczy o sile i znaczeniu katolicyzmu polskiego, który okazał się główną zaporą moralno-ideową przeciw sowietyzacji społeczeństwa.

W życiu nie słyszałem kazania powiedzianego tak prostymi słowami, tak ściśle religijnego, a jednocześnie tak brzemiennego w treści społeczne, w wartości narodowe i tak absolutnie trafiającego do wyobraźni słuchaczy. Takich rzeczy dokonuje się tylko w oparciu o wielkie moce duchowe. Jan Paweł II jest ich nosicielem. Jest osobistością, która się dopiero wyłania, której jeszcze w pełni nie znamy, ale która zapewne odegra olbrzymią rolę w duchowym i kulturalnym zjednoczeniu Europy rozdarłej sztucznie, a przecież wyrastającej z jednego pnia wartości chrześcijańskich.

Kazanie Jana Pawła II w Warszawie było bardzo polskie, pełne akcentów narodowych, historycznych, nawiązywało do Millenium, do kościelnego i narodowego programu prymasa Polski. Papież kilkakrotnie w tym kontekście zwracał się bezpośrednio do prymasa. W tych silnych akcentach narodowych było jednak tyle prawdy historycznej o Polsce, włącznie z przypomnieniem ofiar getta warszawskiego, że absolutnie nie dziwiły nawet cudzoziemców. Papież mówił o narodzie w kategoriach systemu wartości humanizmu chrześcijańskiego. Jednocześnie demonstrował wręcz swoją duchową jedność z prymasem Polski na przekór dwudziestoletnim nadziejom komunistów na ich poróżnienie. Papież i prymas dali właściwie swoisty koncert akcentów i niuansów, które nie zawsze były zrozumiane przez nieorientowanych dziennikarzy zagranicznych i przez niedokształconych rządców PRL. Zaczął kardynał Wyszyński, który witając papieża na placu Zwycięstwa, przypomniał gorące słowa Piusa XII do Polaków w okresie Powstania Warszawskiego. To pozwoliło papieżowi Wojtyśle dać do zrozumienia, kto przyglądał się biernie dogorywającej Warszawie. Starsze pokolenia polskie dobrze pamiętają, że zaraz po wojnie komuniści próbowali zniesławiać Piusa XII, jako papieża antypolskiego i proniemieckiego, aby w ten sposób uderzyć w więzy łączące Kościół polski z Watykanem. Wtedy to ks. Wyszyński napisał całą rozprawę o sto-

sunku Piusa XII do Polski w okresie wojny. I nie przypadkiem teraz kardynał Wyszyński zaczął od tej sprawy, która była bodaj pierwszym cieniem na ciernistej drodze powojennej Kościoła w Polsce.

Autorem następnego ważkiego akcentu moralno-politycznego, stawiającego rządzących pod pretekstem, był papież, zaczynając swoje przemówienie od opowieści o tym, jak bardzo Paweł VI chciał przyjechać do Polski na Millenium. Jak pamiętamy, Gomułka nie wpuścił go wtedy do Polski. Sprawa nie jest więc dla obecnej ekipy rządzącej tak drastyczna. Ale w oczach opinii dzieje PRL mają swoją złowieszczą ciągłość i chyba właśnie rozpoczęcie przez Jana Pawła II przemówienia od sprawy zakazu przyjazdu Pawła VI stworzyło niezwykłą atmosferę, która kazała zgromadzonym przerywać papieżowi i oklaskiwać go niemal po każdym wypowiedzianym przez niego zdaniu. Społeczeństwu szczególnie podobała się konkluzja papieża, że Paweł VI tak bardzo chciał przyjechać do Polski, że ta wola sprawiła możliwość przyjazdu jego – Jana Pawła II do Ojczyzny. Ludzie podpowiadali sobie w tym momencie nieco po świecku: wola Pawła VI i głodowa sytuacja kraju.

Następnego dnia na rannym spotkaniu papieża z młodzieżą stolicy, przed kościołem św. Anny, Jan Paweł II zadawał sobie pytanie, dlaczego wszyscy w Polsce tak go oklaskują i dlaczego największe oklaski otrzymał poprzedniego dnia, gdy mówił o Chrystusie, a teraz, gdy mówił o Duchu Świętym – Papież powiedział, że Polacy chyba stają się narodem teologicznym. W słowach tych niektórzy dopatrywali się tylko żartu. Myślę, że były one czymś więcej i z całą pewnością nie miały wymowy antypluralistycznej. Papież mówił w Gnieźnie o tym, że przetrwaliśmy rozbiory jako naród, bo mieliśmy własną kulturę, sięgającą źródeł chrześcijańskich i pierwszego polskiego hymnu – pieśni: *Bogurodzica Dziewica...* W czasie rozbiorów Polska ostała się dzięki swej kulturze, a teraz, broniąc swej tożsamości duchowej i kulturalnej, opiera się sowietyzacji. Nurt chrześcijański naszej kultury narodowej okazał się jedną z głównych tarczy broniących nas przed totalizmem. W tym ostatnim sensie myślenie teologiczne i tradycje chrześcijańskie w Polsce nie są obce nawet ludziom od religii dalekim.

Podawane przez dziennikarzy zachodnich liczby pielgrzymów przybywających do poszczególnych miast na spotkania z papieżem były szacunkowe. Partia te liczby programowo zaniżała, gorliwi katolicy chcieli widzieć je bardzo wysokimi, ale tak czy inaczej co czwarty, a już najmniej co piąty Polak uczestniczył w ciągu tych dziewięciu dni w spotkaniach z Janem Pawłem II. Odliczając dzieci, starców i zastraszone partyjniaków, była to bardzo pokaźna część społeczeństwa. Z niektórych rodzin szli wszyscy, z innych jedna lub dwie osoby, które dzieliły się potem z pozostałymi członkami rodziny swoimi przeżyciami. W ten sposób przez cały naród polski przeszedł potężny impuls, wzmacniający ludzi duchowo, prostujący ich moralnie i przywracający im poczucie godności. To wszystko nie pozostanie bez konsekwencji, choć politycznie chwilowo niewiele się zmieni. Ale tak zwana władza ludowa, czyli rząd PRL, popracował so-

lidnie, aby zwiększył się polityczny ładunek emocjonalny wizyty papieskiej. Rząd jak zwykle działał przeciw sobie.

Jan Paweł II został wybrany na papieża 16 października 1978 w dniu św. Jadwigi. Z tego powodu chciał pojechać do jej grobu w Trzebnicy. Partia, nie rozumiejąc jego motywów czy też kierując się jakimiś innymi motywami, nie zgodziła się na to. Było to zupełnym absurdem z punktu widzenia polskiej racji stanu, bo jak wiadomo Trzebnica leży na ziemiach zachodnich. Ale władze były w tej sprawie tak zaciekle, że podjęły nawet różne podstępne kroki utrudniające ludziom z Dolnego Śląska, Opolszczyzny i ziemi lubuskiej dojazd do Częstochowy. To samo następnego dnia dotyczyło pielgrzymów z Piekary i w ogóle z Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Mimo to zjawily się pielgrzymki bardzo liczne, a z Górnego Śląska przyjechały wręcz niezliczone tłumy ludu robotniczego. Papież zaś spokojnie i godnie wytłumaczył, dlaczego chciał uczcić w Trzebnicy patronkę dnia swego wyboru, św. Jadwigę, dlaczego chciał odwiedzić Piekary i Górny Śląsk, miejsca szczególnej religijności i najcięższej pracy Polaków. Pielgrzymi przyjmowali to wszystko z entuzjazmem, zrozumieniem i owacjami na cześć Jana Pawła II. Władze PRL znalazły się znów, z własnej winy, na cen-zurowanym.

Mniej więcej w połowie wizyty papieża w Polsce przedstawiciel władz państwowych oświadczył, że rząd jest zaskoczony dużą ilością akcentów politycznych w wypowiedziach papieża, ale zasadniczo podróż jego ocenia pozytywnie. Rząd był w tym momencie wyraźnie zdenerwowany napięciami emocjonalnymi, które sam wywołał swoimi zakazami i ograniczeniami. Drugim powodem zdenerwowania był entuzjazm tłumów i masowe przybycie pielgrzymów do Częstochowy, mimo przemysłnych przeszkód, jakie im stwarzano.

Raptem jednak stał się cud i władze doszły do wniosku, że wizyta jest wspólna, papież przemawia mądrze, a jego akcenty polityczne są jak najbardziej na miejscu. Stało się to w Oświęcimiu. Papież i teraz nie myślał o polityce, lecz o tym, jak najlepiej oddać cześć milionom ludzi tam zamordowanych, a zarazem nie zranić żadnego narodu i żadnego człowieka. Z licznych tablic oświęcimskich upamiętniających męczeńską śmierć poszczególnych narodów wybrał więc trzy: żydowską, rosyjską i polską. Każdej z tych tablic i każdemu z narodów, o którego cierpieniach one świadczą, poświęcił kilka pełnych miłości refleksji. Powiedział też – i słusznie – o cierpieniach i udziale w wojnie przedstawicieli narodu rosyjskiego. Te słowa zmieniły całą polityczną percepcję wizyty. Gierek odechnął, przedstawiciel agencji TASS oświadczył publicznie, że nareszcie ma o czym napisać, w oczach wielu przestraszonych funkcjonariuszy znikło widmo katastrofy politycznej. Gdy zaś papież wyrzekł jeszcze słowa: nigdy więcej wojny – miał już za sobą, przynajmniej na pewien czas, nie tylko cały naród, ale i rząd, dokonał prawdziwie chrześcijańskiego zjednoczenia. Świadczy to wszystko o bezgranicznym strachu władz PRL przed Moskwą, skoro jedno dobre słowo o Rosjanach wyzwoliło rządzących z paraliżu i przestachu, w jaki zostali we-

pchnięci przez misterium łączności papieża i narodu. Tymczasem papież był zawsze taki sam, orwarty, serdeczny, rozumny, ale i zasadniczy. Do pielgrzymów z Trzebnicy nie zapomniał powiedzieć o pojednaniu z Niemcami. W Oświęcimiu nie zapomniał o zamordowanych i walczących w czasie wojny Rosjanach. Zresztą mówił o nich i przy innych okazjach, ale nie chciano tego zauważyć. Bo jakże można było cieszyć się ze słów wypowiedzianych w Częstochowie do Episkopatu Polski czy wcześniej w Gnieźnie, że Słowiańszczyzna, a więc i Rosja należy do Europy, że „chrześcijaństwo musi podjąć na nowo swój udział w kształtowaniu duchowej jedności Europy”. Papież nie zapominał zresztą o Kościołach wschodnich, a wśród nich i o rosyjskim prawosławiu, mówiąc z mocą i powagą o chrześcijaństwie:

Bez względu na różnice tradycji, jakie zachodzą na terenie europejskim pomiędzy jego wschodnim i zachodnim odłamek, jest to przecież to samo chrześcijaństwo, wywodzące się od tego samego, jednego Chrystusa, przyjmujące to samo słowo Boże, nawiązujące do tych samych Dwunastu Apostołów. Ono właśnie znajduje się u korzenia dziejów Europy. Ono kształtuje jego duchową genealogię.

Słowa te wystarczą za cały program polityki wschodniej Jana Pawła II. Jest on nie tylko dyplomatyczny i skierowany do rządów, ale przede wszystkim misyjny i skierowany do ludów. Celem jego jest odrodzenie jedności Europy i jedności jej spuścizny kulturalnej, obrona jej przed systemem nienawiści człowieka i jego praw. Jakżeż mało zrozumieli z intencji Jana Pawła II ci, raczej zresztą nieliczni, komentatorzy zachodni, dopatrując się w jego subtelnych myślowo hasłach i formułach anachronicznego mesjanizmu czy polskiego lub ogólnosłowiańskiego partykularyzmu. Intencje były akurat przeciwne. Papieżowi chodziło o jeden wspólny dla Wschodu i Zachodu korzeń kultury chrześcijańskiej i o jeden system wartości gwarantujący wolność i prawa człowieka. Czyżby ci, którzy mają tę wolność i te prawa zapewnione, nie chcieli zrozumieć tych, którzy o nie walczą, a których rzecznikiem stał się papież. Ludzie Zachodu nie powinni zapominać, że prawa ludzkie i wolności polityczne są wartościami niepodzielnymi. Jeśli na Wschodzie trwale ich nie będzie, zostaną także zagrożone na Zachodzie. Nie ma na świecie takiej równowagi politycznej, która by w końcu nie przechyliła się na którąś stronę. Papież z Polski, który jest już dzisiaj Ojcem Kościoła powszechnego, a nie tylko polskiego czy słowiańskiego, dobrze rozumie tę ostatnią prawidłowość i z wszelką pewnością podejmuje swe dzieło misyjne z myślą o całości, a nie o części swej owczarni.

W związku z tą sprawą usłyszałem refleksję, czy aby papież nie za szybko przyjechał do Polski, czy ta szybka wizyta w Ojczyźnie nie zniekształci percepcji jego uniwersalnego, a nie tylko narodowego nastawienia misyjnego. Nie sądzę, aby tak było. Papież Wojtyła działa dość szybko, ale jak dotąd bez wyraźnych pomyłek. Najpierw był w Trzecim Świecie, teraz w Drugim Świecie, następną podróż odbędzie z wszelką pewnością do któregoś z krajów Zachodu. Wtedy

znów zobaczymy uniwersalny wymiar jego wysiłków i ich jedną myśl przewodnią. A w Drugim (czyli komunistycznym) Świecie nie ma znowu za dużo czasu na oczekiwanie i zwleknięcie. Wysiłki sowietyzacyjne idą pełną parą. Któż wiedział to lepiej niż papież Wojtyła. Z pewnością nie przyjechał do Polski, kierując się tylko sentymentami. Dokładnie wiedział, dlaczego jedzie, co powie i zrobi, i jakie następnie podejmie decyzje organizacyjne i personalne w Watykanie. Nie neguje, że papież ma także uczucia polskie, i to uczucia mocne. Ale jego wizyta w Polsce świadczyła, że ma na oku cały świat komunistyczny i cele dalekosiężne. Czerpiąc z tej wizyty swoje polskie satysfakcje, musimy też zrozumieć pewne, nieznaczne raczej, przejawy zazdrości i niezadowolenia niektórych ludzi z najbardziej uprzywilejowanej części świata – z Zachodu.

W ostatnim dniu pobytu papieża w Krakowie chyba ze stu dziennikarzy zapytało mnie, jakie konsekwencje dla stosunków między Kościołem a państwem w Polsce będzie miała jego wizyta. Byli na ogół dość rozczarowani odpowiedzią, że na krótką metę nie będzie zbyt wielkich, spektakularnych skutków. No cóż, uprzywilejowani ludzie Zachodu chcieliby widzieć logikę i w „naszym” systemie. Skoro za Kościołem stoi cały naród, wywodzili, to władze muszą pójść na konkretne koncesje. Nieśmiało tłumaczyłem, że nie jest to takie proste, bo za rządem stoi partia, za partią Moskwa, a za nimi wszystkimi doktryna, która jest co prawda już dawno martwa, ale stanowi jedyny tytuł do sprawowania władzy, więc trudno jest od niej odstąpić.

Papież Jan Paweł II nie pozostawił żadnych wątpliwości, że dialog czy porozumienie z rządem musi oznaczać: „pełne poszanowanie przekonań ludzi wierzących, pełne zabezpieczenie ich praw obywatelskich oraz normalne warunki działalności Kościoła jako wspólnoty religijnej, do której przynależy ogromna większość Polaków”. Nie znaczy to, że Kościół w Polsce nie ma planów, a papież nie poprze dialogu i porozumienia w sprawach konkretnych, ograniczonych, możliwych do spełnienia już dzisiaj. Ale nie ma co robić komunistom iluzji, że sprawę da się załatwić drobnymi koncesyjkami i nic nieznaczącymi ustępstwami. Nie tylko w Polsce, ale w samej Rosji, a częściowo także w innych krajach Bloku Wschodniego zarysowała się bardzo wyraźna alternatywa. Przyszedł nowy papież, Polak, Słowianin i człowiek znający system wschodni od podszewki, niemający żadnych złudzeń. Jednocześnie następuje powszechne ożywienie religijności, w Polsce w skali ogólnonarodowej, znaczne w samej Rosji, bardzo silne na Litwie i Ukrainie. Widać już refleksy tej nowej sytuacji niemal w całej Europie Wschodniej. Jednocześnie we wszystkich krajach Bloku Wschodniego panuje jawne załamanie gospodarcze i występują przejawy kryzysu politycznego. Wszędzie też powstała opozycja świecka, nader dynamiczne ruchy dysydenckie. W sytuacji międzynarodowej pojawiły się też niepokojące dla Bloku Wschodniego symptomy przesunięć w układzie sił. Nie chodzi tylko o przysłowiową już kartę chińską. Ale co na przykład oznaczać będzie dla Rosji republika islamska w Iranie itd., itd. W tej złożonej sytuacji przed rządzącymi

nie tylko w Warszawie, ale także w Moskwie wylaniają się coraz bardziej natarczywe pytania. Czy wystarczą stosowane w akcji przeciw religii środki administracyjne i policyjne? Czy dalsze stosowanie tych środków nie będzie nadmierne zaostrzało sytuacji? Czy próby oszukiwania Kościoła koncesjami pozornymi lub nieznacznymi nie będą stanowiły wyzwania dla człowieka tak zasadniczego, jakim jest papież Wojtyła? Czy więc, aby nie dopuścić do nowej konfrontacji, a w każdym razie do poważniejszych napięć, nie należałoby poważniej pomyśleć o rozwiązaniach politycznych, a nie administracyjno-policyjnych. Stan personalny kierownictwa: podeszły wiek przywódców sowieckich z jednej strony, a integralnie idąca zależność komunistycznego przywództwa polskiego od Moskwy z drugiej strony nie zapowiadają szybkich decyzji w sprawach polityki kościelnej w krajach Bloku Wschodniego. Mimo to jest zupełnie oczywiste, że powstała tam wyraźna konieczność wyboru między ryzykowną konfrontacją z religią, Kościołami i uczuciami szerokich mas społecznych a szukaniem kompromisu i *modus vivendi*. Konieczność ta poza Polską najwyraźniej rysuje się na Litwie, ale w innej skali daje o sobie znać także w innych krajach Bloku Wschodniego.

Co będzie, jeśli kierownictwa polityczne przez dłuższy czas nie będą zdolne do dokonania wyboru, do podejmowania koniecznych decyzji? Wydaje się, że w takim wypadku należy się liczyć co najmniej z dwoma ewentualnościami. Przede wszystkim mogą wystąpić niepokoje, a nawet zaburzenia na tle religijnym. Od dłuższego już czasu nadchodzą z Litwy niepokojące sygnały na ten temat. Najbardziej prawdopodobny wydaje mi się jednak inny scenariusz wypadków, taki mianowicie, jakiego byliśmy świadkami z okazji wizyty Jana Pawła II w Polsce. Ekipy komunistyczne, niezdolne do stworzenia wyraźnej linii polityki kościelnej, będą po prostu stale zaskakiwane rozwojem wydarzeń i co pewien czas będą musiały przed nimi nieco za późno ustępować, nie zyskując sobie tym „kompromisem z przymusu”, a nie z przekonania, zbyt dobrego imienia. Weźmy dwa konkretne przykłady z Polski. Wiemy już, że papież chce ponownie odwiedzić kraj w 1982 roku w związku z 600-leciem przechowywania na Jasnej Górze cudownego obrazu Czarnej Madonny. Kierownictwo PZPR jest wobec tego życzenia nieme. A przecież trudno przypuścić, by odmówiło papieżowi prawa ponownego odwiedzenia Ojczyzny. Ustąpi więc najprawdopodobniej pod przymusem w ostatniej chwili, tak jak było tym razem. A szybka i pozytywna decyzja byłaby przecież w interesie samych komunistów. Ale oni nie znają nawet swego interesu, nie mówiąc o interesie Polski. Druga sprawa to propozycja urządzenia w Polsce następnego Kongresu Eucharystycznego. Gdyby w Moskwie i Warszawie istniało zdolne do sprawnych i mądrych decyzji kierownictwo polityczne, już teraz usłyszeliśmy zgodę na tę wielką uroczystość w skali całego Kościoła katolickiego. Ale gdzie tam, komu to dziś w głowie. Tymczasem dziesiątki krajów zachodnich lub Trzeciego Świata czułyby się gośzczeniem Kongresu Eucharystycznego w najwyższym stopniu zaszczycone. Kraje Bloku Wschodniego, spętane doktryną, uwikłane w niewolniczy system i bojące

się religii jako ruchu masowego, nie są zdolne do żadnej reakcji, są załęknięte i skonfundowane każdą nową propozycją, każdym przejawem autentycznego życia. A przecież gdyby się na nie otwierały, zyskałyby bardzo wiele, ich reputacja w świecie mogłaby się radykalnie zmienić.

Tymczasem jednak rządy komunistyczne są zdolne jedynie do ustępowania w ostatniej chwili, przyparte do muru przez nacisk własnych społeczeństw i światowej opinii publicznej. Wizyta Jana Pawła II w Polsce powinna im dać wiele do myślenia. Powinny się serio zastanowić, czy problemów o takiej sile, dynamizujących uczucia społeczne, do jakich należy religia, nie należałoby podejmować wcześniej i świadomie. Czas zerwać ze schematem myślenia policyjnego o sprawach wyznaniowych. Pora już, a może nagleca chwila, żeby zacząć je widzieć w kategoriach rozwiązań politycznych. W końcu ani Kościołom, ani narodom Europy Wschodniej, ani też rządów nie może zależeć na wzroście napięć, na zawiedzeniu obudzonych nadziei i na konfliktach. Powstała jakościowo nowa sytuacja.

[7-8/1979]

Polski Sierpień

Jakkolwiek to nazwiemy – „niezwykłym zwrotem”, „ostrym zakrętem”, „trzęsieniem ziemi”, „wiatrem od Bałtyku” – jedno jest pewne: polski Sierpień będzie datą graniczną, taką, która pozwala mówić: „do sierpnia 1980”, „od sierpnia 1980”. Dziesięć lat temu, gdy po wielogodzinnym spotkaniu z robotnikami stoczni szczecińskiej Gierek wydusił od nich wreszcie odpowiedź twierdzącą na pytanie „Pomożecie?”, jeden ze stoczniovców wstał i zwrócił się do towarzyszy: „No dobrze, ale powiedzmy sobie przynajmniej szczerze: nie umiemy jeszcze strajkować”. W ciągu tych dziesięciu lat lekcja nie poszła na marne. Proces emancypacji polskiej klasy robotniczej zrobił postępy zdumiewające; chwilami trudno prawie uwierzyć, że coś równie głębokiego mogło się dokonać w tak krótkim stosunkowo czasie. Sierpień 1980 był wspianiałym pokazem dojrzałości, rozwagi, mądrości, a zarazem determinacji i twardości robotników polskich. W roku 1970 zdobyli poczucie siły, ale było to w znacznej mierze poczucie siły ślepej. Wystarczyło jednego dziesięciolecia, aby ślepa siła przejrzała, stała się w pełni świadoma swych praw, celów i zadań. Miejsce stereotypu „robotnika walczącego głównie o kielbasę” zajął obraz robotnika, człowieka, obywatela, Polaka, który stawia żądania wykraczające poza własny warsztat pracy i własne doraźne sprawy bytowe – żądania syndykalne, obywatelskie, polityczne, moralne, narodowe, kulturalne; który już wie, że wszystkie są ze sobą nierozzerwalnie związane, że nie można wydrzeć jednych, lekceważąc lub odkładając na później inne, że w ustroju totalitarnym robotnik nie tylko musi się bronić przeciw wyzyskowi gospodarczemu, lecz całe społeczeństwo musi się nieustannie opierać zniewoleniu przez państwo-partię.

Spośród kolejnych „porcji wolności”, o jakie walczone w Polsce, poczynawszy od roku 1956, ta więc powinna się okazać największa i najtrwalsza. Bo wywalczyła ją silna i dojrzała – o ileż teraz silniejsza dzięki swej dojrzałości! – klasa robotnicza. Bo dotychczasowe „porcje wolności” opierały się jedynie na liberalizacji, koncedowanej odgórnie i potem cofanej albo wciąż ograniczanej; ta zaś (co jest zwykłą pochodną siły strajkujących i dojrzałości ich żądań) wydzierana jest pod hasłem demokratyzacji, czyli instytucjonalnej i organizacyjnej podstawy swego istnienia i swojej nieodwracalności. Dawniej zadowalano się odgórnymi

ustępstwami; dziś, po doświadczeniach przeszłości, przyszedł czas na dwustronne umowy. Dobrym podsumowaniem nowej sytuacji, granicznej daty sierpnia 1980, jest wypowiedź Lecha Wałęsy z 12 września w ramach *Club de la presse* radia Europe 1:

Zaczął się obecnie drugi etap (po zwycięskim pierwszym): organizujemy niezależne związki zawodowe. Czy nadejdzie trzeci etap? Zobaczmy. Są już zmiany i będą jeszcze następne, ale nie należy wyprzedzać rzeczywistości. Obecny etap jest dostatecznie trudny. Najmniej co wolno powiedzieć, to że władze nic nie robią, żeby nam pomóc; byłoby to i tak trudne, a w tych warunkach jest bardzo trudne. Mamy nadzieję, że nasze związki zawodowe będą w jakiś sposób gwarantami demokracji. Stanie się tak? Czy to, co wydawało nam się tak wielkie, nie zostanie sprowadzone do drobiazgu? A zatem trzeci etap, ale o nim będziemy mówić później.

Podziwiając dojrzałość Polskiego Sierpnia Robotniczego, trzeba pamiętać o współtworzących ją czynnikach. O roli Kościoła, zwłaszcza podróży Jana Pawła II do kraju. O roli opozycji, zwłaszcza KOR-u, KOR-owskiego „Robotnika” i KOR-owskich działaczy na Wybrzeżu; o pracy Ruchu Młodej Polski; o ważnym wkładzie Klubów Inteligencji Katolickiej (KIK) i grupy DiP; o zasługach TKN i całej wielkiej sieci pozacenzuralnych wydawnictw i czasopism. Ta wspólnota idealna w imię oporu przeciw totalitaryzmowi, mimo różnic dzielących jej poszczególne człony, jest doniosłą zdobyczą ujawnioną w sierpniu 1980. Co jednak nie zwalnia nas od wskazania w niej pewnego zgrzytu.



Nasze stanowisko wobec roli Kościoła w Polsce, a zwłaszcza strategii kardynała Wyszyńskiego, było zawsze wyważone i obiektywne. Uznawaliśmy i uznajemy nadal wielkie zasługi prymasa Polski w zakresie obrony tożsamości i suwerenności narodu oraz nieustępliwej walki o prawa ludzkie i obywatelskie. Rozumiemy, że ta rola w Sierpniu, podobnie jak w czasie poprzednich wstrząsów społecznych, polegała na moderowaniu opozycji antytotitarnej przy równoczesnym roztoczeniu nad nią opieki. Byliśmy i jesteśmy jednak przeświadczeni, że ukrywanie niedomagań czy błędów popełnianych przez przedstawicieli Kościoła w Polsce nie służy ani prawdzie, ani sprawie wolności. Zasada ta rozciąga się również na osobę księdza prymasa.

Jego wystąpienie w Częstochowie 26 sierpnia wywołało, jak wiadomo, niemal powszechne zaskoczenie, a nawet oburzenie. Mało tego, wzbudziło zdziwienie i poważne zastrzeżenia wielu biskupów i kapłanów. Kazanie to było zrozumiane jako nawoływanie robotników do powrotu do pracy i do położenia kresu strajkom. W tym kulminacyjnym momencie, kiedy rozstrzygały się losy

powodzenia negocjacji z komisją rządową, kazanie to mogło zadać śmiertelny cios niezależnemu ruchowi robotniczemu, który po raz pierwszy w powojennych dziejach Polski i całego „obozu socjalistycznego” był wówczas bliski realizacji swego zasadniczego postulatu: wydarcia prawa do utworzenia i działania wolnych, niezależnych od władzy związków zawodowych. Na szczęście strajkujący robotnicy nie posłuchali apelu prymasa, do czego przyczynił się również bezprecedensowy fakt transmitowania kazania i ogłoszenia tekstu w prasie partyjnej. Robotnicy nie uwierzyli *nota bene* słowom księdza prymasa, bo uznali transmisję za propagandową manipulację. Według wiarygodnych informacji, jakie dotarły do nas z kraju, telewizja warszawska otrzymała „zielone światło” z sekretariatu prymasa na transmitowanie kazania, mimo późniejszego zaprzeczenia przez biuro prasowe Episkopatu. Biuro wpadło w zastawioną pułapkę. Nie wzięto pod uwagę, że kazanie może być oceniane. Gdyby transmisja była integralna, nie byłoby protestu. „Informacja”, jak zatytułowano oświadczenie biura prasowego Episkopatu, była zresztą błędna, nie zawierała nawet słowa „protest”. Najbliżsi współpracownicy prymasa Polski nie stanęli na wysokości zadania. Jak można było dopuścić do tego, by sędziwy prymas, zamiast przemawiać w oparciu o tekst należycie opracowany, posługiwał się materiałem niedostatecznie przygotowanym i zaufał pamięci tam, gdzie improwizował? Sprawy ważne pomieszał z drugorzędnymi, gubił wątek, powtarzał się, poirytowany wymierzonymi weń kamerami telewizji. Jak można go było narazić, i to w takiej chwili, na niepowodzenie?

Od dłuższego już czasu docierają do nas narzekania i ostra krytyka postępowania tych najbliższych współpracowników i doradców, kierowana głównie pod adresem bpa Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu, i ks. Orszulika, dyrektora biura prasowego. Wykorzystując podeszły wiek księdza prymasa i związaną z tym niemożność sprężystego, jak dawniej, sprawowania urzędu, podrzucają mu informacje niepełne i oceny stronnicze, podpowiadane przez czynniki rządowe, przez różnych „doradców” zainteresowanych w przerobieniu prymasa Polski na sojusznika władzy. Przed wyjazdem do Częstochowy – według wiarygodnych informacji – ksiądz prymas był nastraszone groźbą rzekomej nieuchronnej inwazji sowieckiej. Ksiądz Orszulik *nota bene* wyraźnie powiedział kilku dziennikarzom zachodnim, że „istniejące niebezpieczeństwo” zmusiło księdza prymasa do apelu o zakończenie strajków. Wiemy, że był to straszak, rodzaj szantażu psychologicznego. Zastosowano go zresztą nie po raz pierwszy. W okresie przełomu październikowego w 1956 partia używała tego szantażu dla okiełznania opozycji. Ten manewr był powtarzany i później.

Niezależnie od tego ksiądz prymas, wydaje nam się, tym razem błędnie ocenił sytuację polityczną, sądząc, że – analogicznie jak w 1956 i 1970 roku – rozstrzygającym elementem jest walka frakcyjna w łonie partii. Po to, by ratować podkopany autorytet (również międzynarodowy) Gierka jako poręczyciela bezpieczeństwa kraju wobec zagrożenia ze strony ZSRR, prymas Polski uznał za

konieczne rzucić na szalę własny autorytet, apelując o cierpliwość i niezadanie „za wiele”. Czyż jednak robotnicy – żarliwi katolicy z Wałęsą na czele – żądali rzeczywiście tak wiele? Prawdopodobnie, a raczej na pewno, prymas nie wierzył w realną możliwość zwycięstwa robotników. W tym samym czasie (przed 26 sierpnia) nie wierzyli w to również członkowie kierownictwa PZPR. W każdym razie prymasa Polski tłumaczy na pewno wiek i zmęczenie. Doradcy i najbliżsi współpracownicy na pobłażliwość liczyć jednak nie mogą. Zachowanie ich, zwłaszcza dyrektora biura prasowego Episkopatu ks. Orszulika, budzi od kilku już lat poważne zastrzeżenia zarówno licznych wybitnych duszpasterzy, jak i niezależnych środowisk katolickich. Zarzuca mu się brak charakteru i strachem podszyty lojalizm wobec władz państwowych. Przedstawiciele ruchu „Znak”, jeszcze w czasie podróży Ojca Świętego po Polsce w ubiegłym roku, zamiast na życzliwość napotykali z jego strony na trudności i rezerwę, której nie okazywał wobec dziennikarzy partyjnych.

Komunikat Rady Głównej Episkopatu, wydany następnego dnia po nieudanym kazaniu, naprawił złe wrażenie wśród wiernych i wyprostował zwichniętą równowagę. Zgrzyt pomiędzy prymasem Polski a światem robotniczym został ostatecznie wyjaśniony poprzez symboliczny uścisk Lecha Wałęsy w niedzielę 7 września. Biskup Kaczmarek, ordynariusz gdański, wiedział dobrze, co czyni, wysyłając swego sufragana, biskupa Kluza, który towarzyszył Wałęsie i jego kolegom w drodze do Warszawy. Niewątpliwie następstwa wystąpienia prymasa Polski w Częstochowie szybko znikną i zostaną zapomniane. Uważamy jednak, że Episkopat powinien dla dobra sprawy zastanowić się poważnie (głosy takie do nas docierają z kół katolickich, duchownych i świeckich), czy z uwagi na to, co się stało, nie należy przeorganizować centralnego ośrodka Episkopatu (Rada Główna zbiera się jedynie okresowo przed konferencjami plenarnymi Episkopatu). Przy takim stanie personalnym jak obecny istnieje ryzyko dalszych kompromitacji. Prestiż Kościoła jest w społeczeństwie tak duży i zadania hierarchii zbyt odpowiedzialne, aby można było dopuszczać do narażania ich na szwank.



Polski Sierpień jest datą graniczną, ale też i w tym samym istnieje granica, której przekroczyć nie wolno.

Sowiecka „bratnia pomoc” udzielona została Węgrom w roku 1956, gdy Nagy pod naciskiem rosnącej jak lawina rewolty ogłosił wystąpienie Węgier z paktu warszawskiego. Sowieckie (i kadeelowskie) czołgi wtargnęły do Czechosłowacji w roku 1968, gdy Dubczek pod naciskiem niepowstrzymanej licytacji żądań zgodził się na całkowite zniesienie cenzury (i – dodajmy – gdy lekkomyślnie

zapewnił Breżniewa, że „w każdym razie my, drogi towarzyszu, nie będziemy strzelać do żołnierzy Czerwonej Armii”). Sprężyna interwencji zbrojnej Moskwy jest jednoznaczna: zagrożenie władzy i „kierowniczej roli” partii; rozkład aparatu partyjnego i postawienie pod znakiem zapytania pełnej „dyspozycyjności” pierwszego sekretarza. *Casus* Czechosłowacji dorzucił do tego automatyzmu jedną pożądaną w Moskwie asekurację: jak wiadomo ze świadectw historycznych, m.in. z pamiętnika Smrkovskiego i z poufnych opowiadań Tity, o wydaniu ostatecznego rozkazu do inwazji przesądza na Kremlu pewność, że kadeel, poddany operacji „bratniej pomocy”, nie będzie stawiał zbrojnego oporu.

Polski Sierpień nie może się posunąć ani o pół kroku poza tę swoją wewnętrzną granicę, nie powinien zrobić nic, co mogłoby nacisnąć fatalną sprężynę. „Uszanowanie i wkomponowanie w struktury PRL wolnych i samorządnych związków zawodowych jest dziś głównym problemem Polski” – pisze słusznie autor krajowy Witold Bardzki w bieżącym numerze „Kultury”. Więcej nawet – na drugim etapie problemem jedynym. Nie ma np. sensu nalegać na absolutną likwidację cenzury, wystarczy domagać się zasady zaskarżalności sądowej jej decyzji. Szaleństwem, wynikającym albo z czyjejś osobistej niepoczytalności, albo z prowokacyjnych podszeptów pewnych określonych kół partyjno-policyjnych, byłoby ogłoszenie sloganów o wystąpieniu z paktu warszawskiego i o zakwestionowaniu władzy partii; szaleństwem i grą w ręce przeciwnika. Podstawowa, wyłączna walka o niezależne i samorządne związki zawodowe musi się odbywać w ramach obecnego ustroju i w ramach aktualnego miejsca Polski w konfiguracji międzynarodowej. Nie da się zdobyć wszystkiego za jednym zamachem.

Nie znaczy to, że nie należy podejmować innych inicjatyw, takich mianowicie, które (wbrew pozorom często) posiadają dużą wagę, nie wykraczając równocześnie poza wspomnianą granicę. Rolnictwo indywidualne stanowi niezbędny warunek zwiększenia produkcji i zaspokojenia potrzeb żywnościowych ludności. Pilne jest opracowanie specjalnego planu pomocy rolnictwu, wolnych wyborów do kółek rolniczych, autonomii dla spółdzielczości. W odezwie do rolników, tłoczonych w drukarni Stoczni Gdańskiej, czytamy m.in.:

Jedynym wyjściem z sytuacji jest proklamowanie jednoznacznej i trwałej polityki rolnej, rezygnującej z polityki forsowania rolnictwa uspołecznionego, za którą społeczeństwo płaci bardzo drogo i która niweczy zaufanie rolników do państwa. Konieczne jest równorzędne traktowanie rolnictwa indywidualnego i uspołecznionego przez stworzenie takich samych warunków kredytów, przez takie samo zaopatrzenie w węgiel, paszę, materiały budowlane, przez zrównanie warunków zakupów ciągników, samochodów dostawczych i maszyn rolniczych, przez stworzenie takich samych możliwości nabycia ziemi.

Potrzebne i istotne (także jako szkoła wychowania obywatelskiego i działania społecznego w ustroju, który w ciągu trzydziestu pięciu lat doprowadził oba te pojęcia do karykatury) byłoby powołanie do życia ruchu obrony konsumenta i ruchu obrony środowiska naturalnego.

Jeśli partia chce się jednak utrzymać przy władzy – co w obecnych warunkach jest głównym zabezpieczeniem przed interwencją sowiecką – musi zdobyć minimum choćby zaufania ze strony społeczeństwa. Musi, na przykład, zamienić sejm niemy, groteskową maszynkę do głosowania na rozkaz, w instytucję, która dopuszcza w jakimś przynajmniej stopniu myślenie, mówienie i dyskutowanie. Musi, powiedzmy, podporządkować sejmowi NIK, rozszerzając jego kompetencje, odbierając mu dotychczasowy charakter honorowego zesłania dla dygnitarzy partyjnych w niełasce (czyli przepędzając natychmiast Moczara), a nadając uprawnienia do sądowego ścigania nadużyć czy nieudolności. Sprawozdania NIK-u powinny być publikowane na wzór francuskiego *Cour des comptes*. Partia łudzi się, jeśli sądzi, że Polakom po sierpniu 1980 wystarczy jeden jedyny rzucony pokazowo na pożarcie bandzior partyjny, „krwawy Maciek” Szczepański. Zapowiadana „czystka” w partii nie może być frazesem bez pokrycia. Powinna być utworzona specjalna komisja do zbadania nie tylko nadużyć, ale nielegalnego wzbogacenia się, a jej prace powinny być podawane do wiadomości publicznej.



Rzecz jasna, partia dokładać będzie wszelkich starań, by nową umowę społeczną zredukować do minimum, by ograniczyć (ile się da) jej zasięg i pozbawić ją (ile się da) prawdziwej treści. I rzecz jasna, poręką trwałości wywalczonej w Sierpniu „porcji wolności” jest odwrotny wysiłek strony przeciwnej: rozszerzać zasięg nowej umowy społecznej na cały kraj i napełniać ją ciągle treścią autentyczną, nie poprzestając nigdy na czysto formalnych, papierowych oznakach wygranej w pierwszej rundzie. Innymi słowy, niezależne i samorządne związki zawodowe muszą rzeczywiście działać, a nie tylko egzystować w podpisanych dokumentach założycielskich.

Operację redukcji do minimum zasięgu i treści Polskiego Sierpnia przejął z rąk Gierka (przewidywanego na honorowego przewodniczącego partii) nowy pierwszy sekretarz PZPR Stanisław Kania, „nieustępliwy bojownik o prawdziwe interesy i dobro narodu, o ideały komunizmu, o umocnienie kierowniczej roli PZPR i utrwalenie socjalizmu w PRL” (według słów Breżniewa z depeszy gratulacyjnej). W sekretariacie KC Kania, aparatczyk z krwi i kości, nadzorował dotąd stosunki Kościół–państwo, sprawy bezpieczeństwa i sprawy wojska. Ponieważ stosunki Kościół–państwo uległy podczas jego gestii pewnemu rozładowaniu i nabrały cech względnej normalizacji, pojawia się obecnie tendencja do zapomnienia o pozostałych dwóch skrzydłach „tryptyku”. Zapomina się również, że to Kania był szczególnie gorliwym orędownikiem konstytucyjnego zalegalizowania „niezniszczalnej przyjaźni PRL z ZSRR”.

Nazajutrz po wyborze Kani na stanowisko pierwszego sekretarza dwie włoskie gazety – centrowe „Tempo” i lewicowa „Repubblica” – ogłosiły wywiady swoich warszawskich korespondentów z biskupem Dąbrowskim, nazywanym to rzecznikiem Episkopatu, to rzecznikiem Kurii Arcybiskupiej. Rzecznik określił następcę Gierka jako „właściwego człowieka we właściwej chwili”, jako „człowieka dialogu i porozumienia”, jako „przeciwnika twardego, lecz szczerego i lojalnego”. Obaj korespondenci wyciągnęli z tego wniosek o aprobachie Kościoła dla nowego pierwszego sekretarza. Wiadomo skądinąd, że specjalną estymą otacza Kanię (po kilku spotkaniach w Warszawie i w Rzymie) kardynał Casaroli.

Dwa razy już Polacy oparzyli się dotkliwie na przedwczesnym, z góry udzielonym kredycie: gdy śpiewali „sto lat” Gomułce i gdy uwierzyli na słowo hasła Gierka „budujemy drugą Polskę”. Doświadczenie, które zdawałoby się winno nakazywać powściągliwość u progu trzeciego razu, cokolwiek mieliby o tym do powiedzenia biskup Dąbrowski i kardynał Casaroli. Nasza formuła na dziś i jutro jest prosta i krótka: żadnego kredytu z góry, po owocach ich poznać je.



Nasi czytelnicy znajdą w bieżącym numerze, w stałej rubryce Adama Kručka, analizę prasy sowieckiej pod kątem wydarzeń w Polsce. W jej konkluzjach słychać nutę alarmu: należy zacząć liczyć czas, interwencja zbrojna w Czechosłowacji nastąpiła w sześć miesięcy po zainicjowaniu „nowego kursu” Dubczeka.

Jakkolwiek nie można wykluczać „kontrataku imperium”, jakkolwiek myślimy o jego groźbie z takim samym niepokojem jak wszyscy na świecie Polacy, wydaje nam się on mało prawdopodobny. Po pierwsze, granica, o której była mowa wyżej, nie została przekroczona. Po drugie, Moskwa nie czuje się zapewne skłonna do natychmiastowej powtórki Afganistanu. Po trzecie, działa w jakiejś mierze hamulec bliskiego Madrytu i konferencji rozbrojeniowej. Po czwarte, korzyści płynące dla imperium z rezerwuaru Zachodu są zbyt duże, by zdecydowano się je na Kremlu beztrudno narazić na zatamowanie, albo co najmniej wieloletnie rozrzedzenie, świeżym najazdem w duchu „bratniej pomocy”.

Po piąte wreszcie, *last but not least*, interwencja zbrojna w Polsce nie byłaby z pewnością repetycją przejażdżki czołgami po Czechosłowacji, kraju, w którym z zasady „nie strzela się do żołnierzy Czerwonej Armii”. Otrzymałszy z Warszawy tekst dramatycznego *Oświadczenia dla korespondentów zagranicznych przebywających w Polsce* Józefa Kuśmierka z 30 sierpnia. Nie podzielamy założeń, biegu rozumowania i katastroficznych konkluzji dawnego komunisty polskiego, ale uderzyło nas w jego deklaracji jedno zdanie: „Wojsko, nie wdając się w tym momencie w oceny przyczyn, które to spowodowały, stało się w pełni narodowe i nie będzie strzelało do robotników, tak jak w Poznaniu 1956 czy

w grudniu 1970". Wojsko „w pełni narodowe”, które nie będzie już strzelało do robotników, będzie teraz w ich obronie strzelało do kontynuatorów tradycji *usmierzania polskiego miateża*. Przywódcy sowieccy zdają sobie chyba sprawę z tego, że ich „bratnia pomoc” przeistoczyłaby się w krótkotrwałą co prawda, ale jednak wojnę rosyjsko-polską. A w każdym razie muszą przecież brać w rachubę taką ewentualność, ze wszystkimi jej ryzykownymi konsekwencjami w kadeelach i w republikach związkowych.



A Zachód? Nie oczekujemy od niego podziwu i poklasku, do niczego nam to niepotrzebne, przeciwnie – wywołuje mdłości i upiory „natchnienia świata”. Oczekujemy od niego natomiast konkretnej, wytrwałej, rozumnej pomocy i solidarności. Pomoc kredytowa czy pożyczkowa Zachodu winna być przeznaczona na określone jasno cele, winna być np. pomocą dla indywidualnego rolnictwa w ramach swobodnego, małego planu Marshalla. I musi to być pomoc kontrolowana przez dających, aby mogła służyć wydobyciu się społeczeństwa polskiego z obecnego trzęsawiska gospodarczego, a nie dalszemu tuczeniu „właścicieli Polski Ludowej”. Konkretną pomocą byłoby ofiarowanie Polsce nadwyżek żywnościowych Wspólnego Rynku. Konkretną, zapoczątkowaną już zresztą, pomocą dla niezależnych i samorządnych związków zawodowych i dla opozycji intelektualnej będą dotacje i zbiórki społeczne z inicjatywy zachodnich syndykatów.

I niech nam Zachód zaoszczędzi uczucia zgrozy w obliczu tego, co się w Polsce stało i wciąż dzieje, zgrozy, która pod maską mniej lub więcej fałszywej troski o los Polaków jest w rzeczywistości lękiem przed wytrąceniem z własnego błędnego snu o *détente*, tej uniwersalnej i niezawodnej maści na wszystkie niedomagania, bóle i rany ziemskiego globu. Co mamy na myśli, czytelnicy chwycą w lot, zapoznawszy się z listem redaktorki „Die Zeit” do redaktora „Kultury” w bieżącym numerze naszego miesięcznika. Ta zachodnia zgroza, podszyta aż nadto wyraźnie popłochem, jest wyjątkowo niebezpieczna; kto wie nawet, czy nie bardziej popycha Moskwę do „imperialnego kontrataku” niż sam Polski Sierpień.

16 września 1980

[10/1980]

A. B. C.

1956 – 1970 – 1980

Zdumiewające jest to poszukiwanie analogii pomiędzy wydarzeniami czerwca i października 1956, grudnia 1970 oraz gorącego polskiego lata roku 1980. Na pozór podobieństwa są uderzające. Bunt czy protest społeczny przeciwko władzy, a następnie próby reform. Ale w takim sensie wszystkie ruchy masowe są do siebie podobne i mają podobne cele.

Na dobrą sprawę literalnie nie takich uproszczonych analogii nie uzasadnia. Te trzy przełomy polityczne w PRL miały bowiem całkiem inne przyczyny, całkiem inny przebieg, całkiem inne skutki, rozgrywały się w całkiem odmiennych warunkach społecznych, w odmiennej atmosferze politycznej, moralnej i psychologicznej, na koniec wreszcie prowadziły do zupełnie odmiennych konsekwencji.

I nie jest wcale słuszny pogląd, tu i ówdzie rozpowszechniany, że wszystkie te trzy bunty masowe wymierzone były w istniejący ustroj oraz że przyświecały im te same ideały narodowe, które w perspektywie historycznej sumują się jako walka o suwerenność Polski. Być może tak się odczytywać będzie dzieje PRL za pięćdziesiąt albo sto lat. Dzisiaj wszystko jednak wygląda inaczej.

Najbliższy sprawie suwerenności państwowej był rok 1956. Później kwestia zależności państwa polskiego od struktur Bloku Wschodniego stała się taką oczywistością, że ruchy masowe nie wysuwały tej sprawy, a w każdym razie nie artykułowały jej jednoznacznie. W roku 1980 naczelnym problemem stała się suwerenność społeczeństwa, w ramach ograniczonej suwerenności państwowej.

Lecz to zagadnienie stanowi margines niniejszych rozważań. Właśnie dlatego, że Polacy rozumieją sytuację, w której rozważania na temat pełnej suwerenności państwa są wprawdzie cenne i potrzebne, ale w obecnej chwili dziejowej po prostu nierealne.

Warto chyba – dla osiągnięcia pewnego ładu myślowego – dokonać analizy wydarzeń roku 1956, roku 1970 i roku 1980 pod kątem ich odmienności oraz historycznych konsekwencji dla życia narodowego. Rzecz jasna, konsekwencje ostatnich wydarzeń nie są jeszcze jasne, Polska znajduje się w sytuacji labilnej, a kryzys wcale się nie skończył. Są nawet tacy, którzy powiadają, że kraj jest do-

piero u początku kryzysu, co można jednak uznać za przesadę i świadectwo paniki. Już jednak dzisiaj można się pokusić o sformułowanie pewnych ogólnych wniosków, także w odniesieniu do roku 1980.

Zacznijmy od historii. Jak to było naprawdę w czerwcu i październiku '56?

Był to jedenasty rok po wojnie, był to również zaledwie siódmy rok sowieckiego modelu władzy w Polsce. W początkowym bowiem okresie Polski Ludowej funkcjonował – co prawda w atmosferze terroru – system wielopartyjny i polityczny pluralizm, a gospodarka narodowa rozwijała się dość swobodnie, nieujęta jeszcze w ciasny gorset planowania typu sowieckiego. Tak więc „realny socjalizm”, jak się to dziś elegancko nazywa, liczył sobie w Polsce w roku 1956 zaledwie siedem lat życia. Ówczesne dojrzałe społeczeństwo, a głównie ówczesna klasa robotnicza, wychowały się politycznie w okresie międzywojennym. Walki klasowe tamtego czasu, w których wiodącą rolę odgrywała PPS, ale także – po części – KPP, należały do tradycji robotników polskich. Zaledwie jedenaście lat minęło od chwili zakończenia straszliwej wojny, która była wciąż żywa w pamięci społeczeństwa. Trwałość ówczesnej Polski wydawała się zagrożona nie tylko z powodu dominacji ZSRR, lecz także z racji świeżych rachunków z Niemcami. Ziemię Odzyskane, ich przyszłość, ich los i autentycznie polski rozwój – budziły żywy niepokój wielu ludzi. Rosja była wtedy w świadomości mas polskich jedynym gwarantem granicy na Odrze i Nysie. Jednocześnie stalinizm doprowadził do strasznej niewoli i upokorzeń.

W marcu 1956 roku Chruszczow obalił mit Stalina. Tyran został uznany za zbrodniarza.

W planie psychologicznym dla olbrzymiej większości ówczesnych ludzi sytuacja rysowała się dość ponuro. Oto okazało się nagle, że socjalizm, którego wartość nie była kwestionowana, uległ ciężkim błędom i wypaczeniom, spowodowanym przez despotyczne rządy Stalina. Socjalizm sam w sobie jest dobry i leży w interesie narodowym Polaków, ale to, co się działo w ciągu ostatnich kilku lat – po prostu nie było socjalizmem.

Jest rzeczą oczywistą, że taki kierunek myślenia i takie oceny inspirowała duża część kierownictwa PZPR. Jest również rzeczą oczywistą, że ludzie z tego kierownictwa byli rozmaici. Jedni szczerze pragnęli ocalenia „prawdziwego socjalizmu”, innym chodziło o zachowanie stanowisk. Bez względu na intencje, jakimi się kierowali – stanęli na czele ruchu masowego w październiku '56. Lecz nie należy traktować tej sprawy w kategoriach policyjnych. Październik nie był ukartowany, październik był dziełem szerokich mas narodu, który wówczas przychylił się do takiej interpretacji wydarzeń i do takich działań, jakie proponowała część aparatu władzy.

Stało się tak dlatego, że robotnik polski tamtych czasów wiązał z istniejącym ustrojem duże nadzieje na swoją emancypację. Stało się tak dlatego, że naród jako całość nie chciał naruszyć istniejących układów w obawie przed osłabieniem młodego i zagrożonego organizmu państwa. Stało się tak dlatego, że bardzo

wielu ludzi akceptowało ówczesny system, winiąc Stalina za doprowadzenie do zwyrodnienia i zbrodni. Dla Polaków ówczesny system nie był zły jako taki, zła była tylko stalinowska praktyka, która obrażała godność jednostki i niweczyła suwerenność Polski. Sądono, że jest całkiem możliwe, w ramach istniejącego systemu, odzyskanie tej suwerenności przy zachowaniu sojuszu i przyjaźni ze ZSRR. Ludzie byli wówczas gotowi wybaczyć potężnemu sojusznikowi tragiczne doświadczenia z przeszłości i liczyli, że sprawy polsko-sowieckie ułożą się pomyślnie, zgodnie z prawdziwym internacjonalizmem i zasadami socjalizmu.

Niebywały entuzjazm, z jakim witano powrót do władzy Gomułka, potwierdza taką opinię. Należy bowiem pamiętać, że do władzy wracał komunista, który zaledwie przed kilku laty dawał się dobrze we znaki społeczeństwu, niechętnemu nowym formom ustrojowym. Był to więc fenomen bez precedensu w historii. Polityk, który personifikował system ucisku i terroru z lat 1944–1948, w październiku '56 wprawiał naród w euforię. Stało się to za sprawą prostego faktu, że mianowicie Gomułka był więźniem stalinizmu, a więc ofiarą wypaczeń i błędów, sam zaś reprezentował system już przez społeczeństwo akceptowany. Oczekiwano, że teraz, dopiero teraz, rozpocznie się budowa socjalizmu.

Z perspektywy niemal ćwierćwiecza można się odnieść do tych iluzji ze współczuciem, ale nie należy ówczesnym Polakom zarzucać braku dojrzałości i przenikliwości. Nie ulega kwestii, że najbardziej oświecone kręgi społeczeństwa już wtedy zdawały sobie sprawę z politycznych złudzeń mas. Powstaje tylko pytanie – czy uczyniły cokolwiek, aby masę oświecić? Powstaje też pytanie – czy należało to czynić właśnie wówczas? I jeszcze jedno pytanie – czy masę dałoby wówczas wiarę środowiskom najbardziej oświeconym, a więc intelektualistom i uczynom? Bo prawda, choć gorzka, jest taka właśnie, że owi intelektualści w dużej mierze byli akolitami stalinowskiej władzy, po trosze z pychy, po trosze z wygody, po trosze z powodu zwątpienia w cywilizację indywidualistyczną, która się tak potwornie skompromitowała swoją słabością wobec hitleryzmu.

Duża część intelektualistów zaś, którzy w poprzednim czasie ucztowali przy stołach władzy – z całą szczerością i zapalem stanęła na czele październikowej odnowy, ulegając powszechnym złudzeniom i umacniając te złudzenia w świadomości mas. Ponieważ jest rzeczą niemądrą i niegodziwą wypominanie tym ludziom ich przeszłości stalinowskiej, tym bardziej niemądre i niegodziwe byłoby obarczanie ich zarzutem politycznej niedojrzałości za październik '56. To zresztą dopiero po latach rozmaici mędracy i chłodni gracze poczęli głosić, że już dawno przewidzieli dalszy bieg wypadków. Wtedy takich było niewielu! Bądź co bądź XX Zjazd w Moskwie wstrząsnął posadami systemu i można było oczekiwać, że nastąpi wielka przemiana. Co więcej – przemiana nastąpiła. Może nie tak wielka, jakiej oczekiwano, ale na pewno znacząca. Bez XX Zjazdu nie byłoby ani dzieł Solżenicyna, ani jego samego wśród żywych. To można odnieść do setek tysięcy ludzi, żyjących dzisiaj w ramach sowieckiego imperium, od Pacyfiku po Łabę.

W Polsce zaś październik '56 przyniósł zmiany kolosalne. Na dwóch płaszczyznach. W sferze gospodarki rolnej i polityki wyznaniowej Gomułki – jeśli idzie o praktykę. W sferze przewartościowań ideowych – jeśli idzie o życie duchowe Polski.

Czternaście lat dyktatury Władysława Gomułki to było czternaście lat gorzkiego dojrzewania narodu w warunkach „realnego socjalizmu”. Iluzje w sprawie pełnej suwerenności państwowej zostały pogrzebane, przynajmniej w planie bieżącej polityki polskiej. Społeczeństwo doszło natomiast do przekonania, że system, który zainstalował się w kraju po wojnie – nie odpowiada naturze, tradycjom i aspiracjom Polaków. Jednocześnie wyrastały nowe pokolenia, które pewne pryncypia socjalizmu traktowały jako oczywistość niejako organiczną, wynikającą z praw natury. Społeczna własność środków produkcji, powszechne zatrudnienie, opieka socjalna, bezpłatna służba zdrowia, wczasy pracownicze, prawo do taniego mieszkania, mecenat państwa w dziedzinie kultury – to były elementy socjalizmu głęboko zakodowane w świadomości. Państwo socjalistyczne jawiło się w umysłach jako czynnik trwały i niezmienny, obarczony wielorakimi obowiązkami wobec obywatela. Natomiast władza tego państwa, właśnie dlatego, że było ono obecne w każdym zakątku życia – stawiała się coraz bardziej uciążliwa.

Doszła do głosu odwieczna antynomia pomiędzy równością i wolnością. Zasady równości, których reżim Gomułki starał się przestrzegać, pogłębiały poczucie zniewolenia. Już wtedy ludzie dostrzegali z całą ostrością immanentne wady systemu, który był pozbawiony samoregulujących mechanizmów, nie tylko na skali wartości między równością i wolnością, ale także w związkach pomiędzy obywatelem a państwem.

Ekonomiczne doktrynerstwo Gomułki, jego kramikarski stosunek do wszystkich problemów społecznych, wielkich i mniejszych, coraz bardziej anachroniczny model ekonomiczny, który niszczył wszelką inicjatywę i sprawiał, że gospodarka narodowa pracowała na jałowym biegu – wszystko to razem doprowadziło do grudniowego wybuchu buntu w roku 1970.

Był to bunt ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia. Może nie byli głodni w sensie dosłownym, ale niedostatek i ograniczenia okazały się na tyle nieznosne, że ludzie wyszli na ulice. Był to wybuch nienawiści i rozpacz. Niekontrolowany, pozbawiony programu. Najtragiczniejsza karta polskich dziejów powojennych! Straszliwe znużenie okresu gomułkowskiego spowodowało, że naród zadowolili się wówczas po prostu zmianą ekipy. Gierek zawdzięczał to Gomułce, jego głupocie, jego ciasnocie, tej aurze beznadziejności i duchowego krachu, jaka panowała w Polsce roku 1970. Mord na robotnikach Wybrzeża był szokiem bez precedensu w całych dziejach narodowych. Nigdy jeszcze Polacy nie zabili tak wielu Polaków. Polacy uzbrojeni – Polaków bezbronnych.

Ten zbrodniczy przelew krwi, ten straszny wstrząs moralny pozwolił Gierkowi sięgnąć po władzę i zdobyć ją bez udzielenia gwarancji instytucjonalnych.

Naród przystał na to, bo za wszelką cenę chciał się uwolnić od Gomułki, od kosmaru grudniowych salw na Wybrzeżu.

Gierek nigdy nie był popularny i obdarzony zaufaniem mas, nawet w okresie sukcesów ekonomicznych pierwszych lat swoich rządów. Jego siła polegała tylko na tym, że nie był Gomułką. I mimo że Gierek należy do umysłów tuzinkowych, a los nie skroził go na męża stanu – o tej prostej prawdzie, że trzeba być innym niż Gomułka, pamiętał do końca. I był inny we wszystkim. Był inny w tym co złe, a także inny w tym co dobre. Osobista skromność Gomułki i pełna pychy próżność Gierka. Prowincjonalizm Gomułki i światowe maniery Gierka. Gomułkowski model antyinflacyjny, stagnacyjny, kramikarski – i gierkowski model galopującej inflacji, inwestycyjnego szaleństwa, wielkopańskiej rozrzutności. Autokratyzm Gomułki i „dialog z narodem” Gierka. Autentyczna ideaowość Gomułki i cyniczny technokratyzm Gierka. Gomułkowski szacunek dla polskich imponderabiliów w stosunkach z ZSRR – i niewiarygodne lokajstwo Gierka wobec Rosji. Gomułkowskie ciulanie do pończochy każdego dolara i gierkowskie zadłużenie przekraczające 20 miliardów dolarów. Ascetyczne wymagania Gomułki wobec aparatu i rozbestwienie aparatu gierkowskiego, tych balzakowskich arywistów, ale bez balzakowskiego wdzięku i polotu. Ostra krytyka wszystkich i wszystkiego ze strony Gomułki – i lizusostwo Gierka wobec wszystkiego i wszystkich. Gomułkowskie poczucie siły i subiektywnej racji – i gierkowskie poczucie słabości i zagubienia, które usiłował rekompensować oszalałą propagandą sukcesu oraz wynoszeniem swej własnej osoby na narodowe ołtarze. Upór Gomułki i niekonsekwencje Gierka. A na koniec wreszcie przeświadczenie Gomułki, że polityka jest walką, w której ludzie mogą stracić godność, a nawet życie – oraz przekonanie Gierka, że politykę robi się na tajnych konwektyklach między cwaniakami, którzy nie mają żadnej godności i którym nade wszystko idzie o profity oraz przywileje.

Gomułka był politykiem i mężem stanu, a jako człowiek był mściwy, uparty, ciasny, głupi i pozbawiony polotu. Gierek był technikiem władzy, biurokratą partyjnym o ograniczonych horyzontach, a jako człowiek był słaby, pełen wahań, próżny, leniwy, wygodny. W Gomułce było coś z inkwizytora starej bolszewickiej szkoły – i dlatego posunął się do zbrodni. Gierek był próżnym sybarytą, zwolennikiem zasady *leben und leben lassen* – dlatego mógł istnieć KOR, mogły się rozwijać niezależne wydawnictwa, i nawet po Ursusie i Radomiu w roku 1976, kiedy – popychany zapewne przez swych doradców w kierunku represyjnym – podjął pewne kroki, rychło z nich zrezygnował, ufny, że *dolce far niente* jest polityką najlepszą.

Ale przecież nie cechy tych dwóch ludzi zdecydowały o losach Polski, lecz przeobrażenia społeczne, nade wszystko zaś rozwój świadomości politycznej mas.

Dekada rządów Gierka zrujnowała w społeczeństwie dawne wyobrażenia o zasadach socjalizmu. A nawet więcej. Rządy Gierka przeczyły temu wszystkiemu, co młodsze pokolenia polskie traktowały jako organiczny czynnik życia

zbiorowego, jako naturalne środowisko człowieka. Rządy Gierka przeczyły zasadom równości, a to, co nosiło miano władzy ludowej, okazywało się po prostu władzą dworskich fagasów. Społeczna własność środków produkcji stała się fikcją, ponieważ rady robotnicze już nie istniały od dawna, a KSR-y były przedłużeniem administracji gospodarczej. Powszechne zatrudnienie realizowało się w sposób formalistyczny, bez żadnego związku z aspiracjami i kwalifikacjami obywateli. Opieka socjalna i bezpłatna służba zdrowia przestały funkcjonować. Wczasy pracownicze uległy zupełnej likwidacji. Prawo do taniego mieszkania okazało się szyderstwem ze zdrowego rozsądku, ponieważ okres oczekiwania na mieszkanie wydłużył się do bez mała dwunastu lat, a wysokość czynszów wzrosła ogromnie. Meczenat państwa w dziedzinie kultury legł w gruzach z powodu drakońskich oszczędności finansowych, szaleństw cenzury i ograniczeń całej bazy materialnej.

Nie zostało więc nic z tych wyobrażeń, które system gomulkowski zaszczerpił w świadomości masowej dzięki swej kulejącej wprawdzie i wciąż ograniczanej praktyce czternastu lat. Natomiast na tym wizerunku socjalizmu pojawiły się zupełnie nowe elementy, poprzednio nieznane. Rozrost klik, szalejąca korupcja, nuworzowskie obyczaje aparatu władzy, marnotrawstwo, złodziejstwo, chamstwo, deptanie godności obywatela w każdym urzędzie. Nade wszystko zaś hierarchiczne rozwarstwienie społeczeństwa na wąską grupę właścicieli Polski Ludowej, którzy wszystko posiadali i wszystko mogli, na nieco szerszą grupę dobrze sytuowanych karierowiczów, związanych z aparatem władzy – oraz na masy społeczeństwa borykające się z coraz większymi troskami materialnymi. System przywilejów, niesłuchanie rozbudowany, przekształcił kraj w olbrzymi dwór feudalny, z tym jednak poważnym mankamentem, że w gierkowskim feudalizmie pan nie miał żadnych obowiązków względem swojego wasala, wasal natomiast obarczony był wszelkimi obowiązkami wobec pana.

Polska Gierka to kraj bezprawia, w którym humor albo wielkopański kaprys wynosiły ludzi w mgnieniu oka na wyżyny dostatku i przywilejów lub strącały na sam koniec długiej kolejki po mięso czy kielbasę. Dowolność decyzji nie tylko w kwestiach personalnych, ale w zasadniczych sprawach ekonomicznych przekroczyła wszelką miarę. Kraj staczał się po równi pochyłej kryzysu, a cały aparat państwa powoli zamierał.

Ubezważnowolnienie jednostek i całego społeczeństwa, już bardzo dotkliwe w czasach Gomulki – u schyłku rządów Gierka osiągnęło swoje apogeum. Obywatel był niewolnikiem państwa, a ściślej – niewolnikiem wąskich klik w aparacie władzy. Ludzie o umysłowości i moralności Łukaszewicza, Szczepańskiego, Wrzaszczyka, Grudnia, postaci wręcz niewiarygodne, psychologiczny melanz chuligaństwa, ciemnoty, pazerności i bezwzględności – odgrywali decydującą rolę w życiu kraju. W istocie rzeczy, w ostatnich latach panowania Gierka na wszystkich szczeblach władzy działały brudne gangi, na poły kryminalne, które co prawda istnieją wszędzie, w każdym społeczeństwie, ale przecież na jego marginesie i bez aspiracji do odgrywania roli kierowniczej.

Krach ekonomiczny, który po części był następstwem obiektywnych praw recesji światowej, lecz głównie rezultatem nieucstwa, samodurstwa i gigantomanii ekipy Gierka – uniemożliwił dalsze realizowanie modelu władzy lat siedemdziesiątych. Bo model ten miał – wbrew pozorom – szanse sukcesu, także na dalszą metę. Znowu nie ma tu żadnych analogii z okresem władzy Gomulki. Stagnacja i dreptanie w miejscu, międlenie sieczki słów i ascetyzm, Polska siermiężna, biedniejąca z dnia na dzień, zabita deskami od świata, zanudzana tasiecowymi referatami na temat skupu żywca i wydajności z hektara – taka Polska istnieć długo nie mogła, szczególnie po wydarzeniach roku 1968, kiedy to do władzy doszli arywiści powojennego, partyjnego chowu, wyposzczeni na mniej znaczących posadkach, spragnieni osobistego sukcesu cywilizacyjnego, bezwzględni i całkiem wyzwoleni z ideowych urojeń starego szefa. Model gomulkowski pękał w szwach już w połowie lat sześćdziesiątych, po marcu 1968 roku prul się na oczach całego społeczeństwa, by rozsypać się w strzępy pod grudniowymi salwami na Wybrzeżu.

Natomiast model gierkowski, polegający na korumpowaniu społeczeństwa, na usypianiu jego publicznych zainteresowań i wrażliwości politycznej przy pomocy technicznych maskotek, gadżetów, wzrostu stopy życiowej, tego całego sztafażu „dynamicznego rozwoju” oraz „drugiej Polski” – ten model, gdyby wytrzymał inflacyjne przeciążenia, miał, niestety, szansę trwania. Niestety, bo spustoszenie moralne, degrengolada jednostek i grup, a nawet całych środowisk zawodowych, zniszczenie wszelkiej więzi międzyludzkiej, atomizacja – czyniły olbrzymie postępy. Społeczeństwo, spragnione materialnego dostatku, chore w czasach Gomulki z powodu tego całego technicznego zacofania i prymitywnych warunków egzystencji, trawione było pożądaniem konfekcji, motoryzacji, udogodnień codzienności, rozbudowanych i sprawnych usług itp. itd. I ludzie w pierwszych latach władzy Gierka dali nura w odmęty cywilizacji technicznej. Instynkt społeczny zanikał, imponderabilia polskie schodziły na dalszy plan. Było to niesłuchanie groźne dla duchowej substancji, dla polskości po prostu. Ta gierkowska praktyka szła w parze z ograniczaniem dóbr kultury, ze spływaniem jej wartości w ramach środków przekazu masowego. Miał rację Maciej Szczepański, gdy się chelpił, że jego telewizja zaspokaja 80% potrzeb duchowych narodu. Proceder usypiania wrażliwości, wypaczania umysłów, zatrutowania ich najtańszym, niemal brukowym produktem, przy równoczesnym realizowaniu – w pierwszym pięcioleciu – aspiracji materialnych i cywilizacyjnych mas, przynosił nader niepokojące rezultaty.

Cezurą był rok 1976. Gdyby wówczas Gierek ocknął się, gdyby wyhamował swoją gigantomanię inwestycyjną i więcej troski poświęcił kwestiom rynkowym – model jego władzy miałby szanse przetrwania o wiele dłużej, z olbrzymią szkodą dla Polski i Polaków. Szczęściem próżność szefa partii i ciasnota umysłowa jego doradców zagłuszyły ich instynkt samozachowawczy.

Po czerwcu '76 ekipa Gierka była już skazana – i wiedziała o tym cała Polska, z wyjątkiem establishmentu. Bez czerwca '76 niepodobna zrozumieć sierp-

nia '80. Wtedy właśnie, na tych „ścieżkach zdrowia” Radomia i Ursusa, w rytmie milicyjnych palek spadających na karki robotników, pośród wrzawy pokazowych masówek partyjnych organizowanych przez Grudnia i Łukaszewicza – narodziły się nowe nadzieje. Społeczeństwo rozumiało, że jest w rękach gangów, a system władzy w Polsce musi być instytucjonalnie przebudowany. Po raz pierwszy w historii inteligencja polska z całą mocą i determinacją wystąpiła w obronie robotników. Zaczął się formować jednolity front społeczny przeciwko zdeprawowanej władzy partyjnych bonzów. Zasługi KOR-u są ogromne i mają wymiar historyczny. Później doszłusowały do pracy nad wielkim dziełem odnowy moralnej inne grupy, m.in. DiP, który wiele uczynił w sensie inspiracji intelektualnej.

Idea wolnych związków zawodowych torowała sobie drogę coraz szerzej, coraz wyraźniej w szeregach klasy robotniczej. Tęsknota do samorządności ogarnęła całe społeczeństwo.

Polityczny temperament Gierka i wspólne dla całej jego ekipy poczucie słabości, charakterystyczne dla ludzi, którzy przeczuwają instynktownie, że ich własna małość i nicość są tajemnicą poliszynela, a także horrendalne zadłużenie na Zachodzie – wszystko to paraliżowało kontrakcję władzy w obliczu narastającej opozycji.

Decyzja o podwyżkach mięsa wywołała na początku lipca płomień strajków w całym kraju. Ale jeszcze w połowie lipca, jeszcze w początkach sierpnia – była dla Gierka nikła szansa ocalenia. Przysłowie jednak powiada – kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera!

Establishment uwikłał się we własną sieć. Propaganda sukcesu spowodowała niedrożność wszelkich kanałów porozumienia w samym aparacie władzy. Dworskie nawyki sparaliżowały aparat.

I tak spełnił się upadek „przywódcy narodu”. Lecz tym razem nikogo nie zadowolili zmiany personalne na szczytach władzy partyjnej i państwowej. Nie było strzałów – jak w grudniu '70, nie było też atmosfery znużenia i stagnacji lat gomulkowski. Ostatnie lata władzy Gierka charakteryzowały się wielkim fermentem umysłowym we wszystkich niemal kręgach społeczeństwa oraz coraz wyraźniejszym paraliżem gospodarki i administracji. Jeśli ktoś był zużyty latem 1980 roku, to władza, a nie społeczeństwo! W grudniu '70 stoczniovcy i portowcy byli osamotnieni, a cały naród oniemiał ze zgrozy, gdy padły salwy na ulicach Wybrzeża. Latem roku 1980 ci sami stoczniovcy i portowcy, przystępując do wielkiej batalii o zmiany strukturalne w państwie, byli świadomi, że strajki ogarnęły już cały kraj. Łączność wśród klasy robotniczej była doskonała, jasność celów wyraźna, solidarność scementowana latami poprzednich, smutnych doświadczeń. Nie było żadnych złudzeń, była chłodna rozważa ludzi, którzy znali swoją ogromną siłę i świadomi byli swej racji politycznej, moralnej, ludzkiej, obywatelskiej, narodowej.

Jak płomień wzdłuż lontu biegly strajki od Lubelszczyzny, przez Warszawę, Wielkopolskę i Dolny Śląsk – na Wybrzeże. A kiedy tam zapalił się już trwały

ogień, kopalnie i huty Zagłębia i Górnego Śląska podały ręce ludziom z Gdańska i Szczecina. Nigdy chyba w historii Polska nie była tak bardzo zespólona, nigdy nie była taką jedną, wspólną Polską wszystkich Polaków.

Ta solidarność i wytrwałość brała się z rozpaczliwego przeświadczenia, że władza znów oszuka i wydrwi społeczeństwo. Ta zimna krew, spokój, opanowanie, rozważa brały się z rozpaczliwego przeświadczenia, że Polska nie leży na Księżycu i wystarczy jeden niewłaściwy krok, aby zaprzepaścić nie tylko reformy, lecz cały naród.

Jest oczywiste, że kryzys trwa nadal i niczego nie można wykluczyć. Lecz to, czego dokonali ludzie w Polsce w ciągu lata i wczesnej jesieni roku 1980, nie da się porównać ani z październikiem '56, ani tym bardziej z grudniem '70.

Wpisana została w struktury państwowe komunizmu nowa jakość – niezależne, samorządne związki zawodowe świata pracy. Państwo komunistyczne zgodziło się – *nolens volens* – na uznanie rzeczywistości historycznej, a mianowicie na uznanie faktu, że ono jest pracodawcą, a zatem interesy robotników i wszystkich pracujących nie są zbieżne z jego interesami. To państwo komunistyczne zgodziło się na niezależne związki zawodowe, które mają reprezentować interesy mas pracujących. Partia, która była stroną w sporze z masami robotniczymi, musiała odstąpić od swej poprzedniej roli wyrażiciela interesów i ambicji klasy robotniczej. Aby zachować kierowniczą rolę w państwie, będzie musiała ograniczać się w przyszłości do arbitrażu pomiędzy światem pracy a państwem, które jest jedynym pracodawcą.

Ten układ zmienia rzeczywistość ekonomiczną, społeczną, polityczną i moralną. Ten układ, który w Polsce nazwano nową umową społeczną, stwarza zupełnie nowy, nieznany nigdzie w świecie model ustrojowy. Bez wątplenia jest w tym także część zasługi tych ludzi z kierownictwa PZPR, którzy podjęli wyzwanie historii najnowszej i związane z tym ryzyko wielkiego eksperymentu. Ich zadanie jest delikatne i trudne. Nie można się dziwić, że realizacja umowy społecznej idzie z oporami, niekiedy wręcz jak po grudzie. Przeciżenia są ogromne, zarówno społeczne, jak gospodarcze, oraz – *last but not least* – psychologiczne. Wszystko, poza wolą ludzką, sprysięgło się przeciw tej umowie. I fatalna sytuacja gospodarcza, i demoralizacja aparatu władzy, i nieufność władzy, i nieufność mas, i geopolityka, i brak doświadczenia, i niecierpliwość społeczeństwa.

A jednak nie zmieniło się wiele. Odczuwa się to na każdym kroku. Ludzie w Polsce są bardziej życzliwi, prasa i radio oraz telewizja informują szerzej, rzetelniej i wszechstronniej o sytuacji, krytyka istniejącego stanu rzeczy wyrażana jest jawnie, władza zachowuje się bardzo powściągliwie, skromnie, a nawet z pokorą. Samorządne organizmy odżyły, jak grzyby po deszczu mnożą się nowe.

A co najważniejsze i zapewne najbardziej trwałe – naród polski wyprostował plecy. Ten naród odzyskał godność i poczucie tożsamości. Jesli

nawet wszystko runie i w planie instytucjonalnym nic nie zostanie ze zdobyczy lata roku 1980, co zresztą wydaje się mało prawdopodobne, to przecież trwa kolosalna wartość narodowa i ludzka.

Te wydarzenia przeszły już do legendy. I dostarczać będą duchowego pokarmu pokoleniom, które przyjdą po nas. W tym sensie Polska już nigdy już nie będzie podobna do Polski sprzed wydarzeń sierpniowych.

[11/1980]

REDAKCJA

Obserwatorium

Nasi czytelnicy zwrócą z pewnością szczególną uwagę na kilka zdań w dwóch tekstach drukowanych w bieżącym numerze „Kultury”. Pisarz katolicki z kraju, używający pseudonimu Tymoteusz Klempski, ostrzega: „Nie wolno działać przeciw inicjatywom społecznym” w imię zasady, że „my (Kościół) znamy się na tym, jak się załatwia sprawy z rządem”. I dodaje jeszcze dobitniej: „Kościół nie może i nie powinien załatwiać czegokolwiek za społeczeństwo”. W swoim stałym felietonie Kisiel pisze, że:

[...] nieodpowiedzialne, prymitywne i jęczące wypowiedzi księdza Orszulika, zwłaszcza gdy czyta się je w oświeceniu prasy zachodniej, to po prostu nieszczęście; nieodpowiedni człowiek na nieodpowiednim stanowisku w takim momencie – istny to pech narodowy.

Nie ma potrzeby zaostreżać epitetów na określenie wypowiedzi księdza Orszulika. Zareagował na nie KSS „KOR” w *Oświadczeniu* z 19 grudnia 1980, z którym się w pełni solidaryzujemy:

Dnia 13 grudnia 1980 roku prasa zagraniczna, a później również prasa krajowa, przytoczyła obszernie fragmenty wypowiedzi dyrektora Biura Prasowego Episkopatu Polski, księdza Alojzego Orszulika, charakteryzujące m.in. działalność KSS „KOR” i osobiście Jacka Kuronia. Ponieważ przez tydzień nie ukazało się żadne sprostowanie, czujemy się zmuszeni zabrać publicznie głos w tej sprawie.

Przez ponad cztery lata wedle naszych możliwości występowaliśmy w obronie krzywdzonych i prześladowanych, demaskowaliśmy bezprawie, walczyliśmy o praworządność, staraliśmy się przełamywać barierę kłamstwa i strachu, których tyle było w polskim życiu publicznym. Nigdy nie wzywaliśmy do działań pochopnych, nieprzemyślanych, działań, które nie uwzględniałyby międzynarodowego położenia naszego kraju.

Z ogromnym ubolewaniem stwierdzamy, że wypowiedź dyrektora Biura Prasowego Episkopatu Polski dezinformuje polską oraz zagraniczną opinię publiczną na temat działań KSS „KOR” i fałszuje wypowiedź Jacka Kuronia, sprzyja plotkom i wzmacnia napięcie społeczne, przeciwko czemu zawsze wypowiadał się Episkopat i cała polska opinia publiczna. W sytuacji, gdy trwa kampania oszczerstw przeciwko członkom KSS „KOR”, gdy ewentualności represji politycznych nikt wykluczyć nie potrafi, wypowiedź księdza Orszulika pozostaje w głębokiej sprzeczności z całą historią Kościoła katolickiego w Polsce w ostatnich trzydziestu pięciu latach, z historią nacechowaną troską o obronę prawdy, godności i wolności osoby ludzkiej.

Zatrzymamy się na jednym tylko twierdzeniu dyrektora Biura Prasowego Episkopatu: jakkolwiek Kościół przeciwny jest więzieniu w Polsce ludzi za przekonania polityczne, może ono być uzasadnione, „jeśli rozlegają się wezwania publiczne do obalenia systemu konstytucyjnego, wywołując nerwową reakcję u naszych sąsiadów”. Niewiarygodne wprost jest to podżyrowanie ewentualnych represji, odzywa się upiornym echem zeszłowiecznej „branki” przedpowstaniowej. Ksiądz Orszulik przemawia przecież nie w swoim jedynie imieniu. A zatem? Czy zostanie zdezwuowany przez swoich przełożonych? Czy została przez kogokolwiek zdezwuowana wersja Jerzego Ozdowskiego, że z aprobatą Prymasa objął urząd, na który przed ćwierćwieczem tak sobie ostrzył zęby rzecznik „instynktu państwowego”, „socjalistyczny katolik” Bolesław Piasecki? Czy zdementowano wiadomość, że prymas laskawym okiem patrzy na tworzenie Polskiego Związku Katolicko-Społecznego? Albo podaną przez „Le Monde” wiadomość, że wyznaczył (sic!) Andrzeja Micewskiego na redaktora tygodnika „Solidarność”? Kościół – powtarzamy to przy każdej sposobności – odegrał ogromną rolę w okresie powojennym, stał się najwyższym autorytetem moralnym, uznawanym przez znakomitą większość wolnych Polaków, zarówno wierzących, jak niewierzących. Teraz jednak po raz pierwszy, po trzydziestu pięciu latach moralnego i duchowego ochraniań i podtrzymywania społeczeństwa, nabrał zdaje się ochoty do „zastępowania” go we wszystkim, w myśl zasady, że najlepiej wie, jak „postępować z rządem”. I to w chwili, gdy samo społeczeństwo obudziło się najgwałtowniej i najpowszechniej od końca wojny do własnego życia społecznego. Kościół usiłuje to robić w sposób paternalistyczny, trochę w duchu Pétaina, sędziwego bohatera narodowego, pewnego, że jedyny posiadał sekret „załatwiania spraw” z wrogiem w dobrze (przez siebie wyłącznie) rozumianym interesie narodu francuskiego. Tendencja do „zastąpienia społeczeństwa” dochodzi do głosu w chwili, gdy w Polsce realizmowi politycznemu musi towarzyszyć uparta wola walki, a krok w krok z trzeźwością musi iść odwaga.

Jedno jeszcze wskazanie z artykułu Tymoteusza Klempskiego warte jest podkreślenia grubą kreską: „Nie można i nie trzeba stawiać równania polskość-katolicyzm. Ten ostatni powinien sam sobie postawić program limitowany, nie czekając – jak PZPR – aż ograniczenie wyjdzie od społeczeństwa”. W świetle najświeższych wypadków wskazanie to oznacza, że polityka Prymasa i jego otoczenia naraża na szwank autorytet Kościoła, grozi wywołaniem głębokich rozdźwięków i w społeczeństwie, i w samym Kościele. Jeśli pojawiają się rysy na wspaniałej jedności społeczeństwa, o której pisaliśmy w poprzednim *Obserwatorium*, czyli na prawdziwym fundamencie Polskiego Sierpnia, ujrzymy znowu w naszym kraju straszliwy narodowy cień Zmarnowanej Okazji.

[1–2/1981]

ZYGMUNT MYCIELSKI

List z Polski

Gdy jedziesz przez Polskę – pociągiem, nie samolotem, z którego nic nie widać – nie zobaczysz ogrodzonych pastwisk, na których pasą się stada krów, wołów, baranów. Ani zagród, w których świny chrząkają w chlewach, ani warzyw na grzędach i rzędów drzew owocowych. Przy większych miastach zobaczysz trochę szklarni, ale to – mówią tu – badylarze. Jakaś okropna niby-sekta pasożytów, którzy się dorabiają, podobno są wśród nich milionerzy, trudno zrozumieć, dlaczego ich jeszcze nie zniszczono – tak jak uporano się wreszcie z rzemieślnikami. Znałem jeszcze kilku krawców, szewców. Kryje się jeszcze w suterenie dobry intrologator, lepiej o nim nie pisać, żeby i jego nie zniszczyli, tak jak zniszczyli domiarami fabryczki, przedsiębiorstwa, warsztaty, młyny, cegielnie. Jeżeli taki podejrzany o pracę i produkcję z inicjatywy prywatnej spłaci domiar podatkowy, to mu go podwyższą. Jak nie spłaci, to mu dopiszą karę. Zysk, ta sprężyna ludzkiego działania, został ochrzczony mianem owej inicjatywy prywatnej. Te dwa słowa brzmią złowrogo w systemie, w którym owa sprężyna jest grzechem. Bo nie można dopuścić do powstania warstwy kułaków, kapitalistów i wyzyskiwaczy. Badylarzy tolerujemy, żeby jednak gdzieś dostać kapustę, pomidory i kwiaty. Kwiaty nie tylko na wieńce – tu kwiaty są na każdą okazję, jak kawa.

Chłopi się pobudowali. To prawda. Trudno zrozumieć jakim sposobem. Wiedocznie za dewizy. Wystarczy popracować za granicą przez kilka miesięcy czy kilka lat, a zbudujesz dom. Pełno ich, nie tylko na Podhalu. Z państwowych budowli wykombinujesz cegłę, cement, wapno. Na drzewo do okien, drzwi i na wiązanie dachowe też jest sposób. A na wysokich stanowiskach wszystko idzie łatwiej: znajdzie się i materiał, i robocizna, przecie buduje się dużo obiektów państwowych, urzędów, fabryk, nawet okazały, pokazowy szpital, kilka zamków, jest wreszcie nie tylko ochrona, ale i odbudowa zabytków, na to nie zdobyłby się żaden chciwy na zysk kapitalista.

Gdy wróciłem w 1945 roku do kupy gruzów, którą była Warszawa, zobaczyłem pierwszą stawianą budowę. „Cacko wśród ruin”, powiedział mi wtedy pewien pisarz, literat. Ludzie gnieździłi się w tych gruzach, wywożonych jednokonnymi wozami. Co to będzie? Teatr Polski. Wszyscy się tym cieszyli, jak

25 lat potem, gdy Gierek – żeby sobie zjednać społeczeństwo – zarządził wykonanie starej ustawy sejmowej i zezwolił na budowę Zamku Królewskiego ze składek publicznych i darów z zagranicy.

Podobno gdy w Ameryce zaczyna się budować miasto, to najpierw buduje się bank. Nie wiem, czy to prawda, bo tam, gdzie byłem, postawiono najpierw u stóp gór uniwersytet. Z pewnością jednak było tam wiadomo, z jakich on powstał dotacji. Tu nie można się dowiedzieć, jakie są i ile wynoszą te dotacje państwowe. Ile kosztowała opera, odbudowa Starego Miasta, spalonych Łazienek czy wielkie inwestycje – porty, huty, kombinaty. Próbowałem – ale to było całkiem niemożliwe, nawet wtedy, gdy zasiadłem w Radzie Kultury. Powiedziano mi kiedyś: „Pan zawsze zadaje takie dziwne pytania”. A ja naprawdę chciałem się dowiedzieć, ile będzie kosztowała budowa opery.

Wszystko było cudem gospodarczym, dowodem żywotności, krzepy – o zagranicznych pożyczkach nie wolno było pisać, a mówiono mało, bo takie sprawy niezbyt nas interesują. Podobnie było z planem Marshalla, gdy zakazano nam (ponoć sam Stalin) przyjąć coś takiego. Tajemnica państwowa. Rozciągała się ona na wszystko, co się dzieje, co się robi, co wolno i czego nie wolno. Trzeba się było tego domyślać. W błędzie są ci, co myślą, że na wszystko były dokładne instrukcje, w rodzaju „czarnej księgi cenzury”. O takich dokumentach przecie też nie wolno pisać, one są zastrzeżone dla garstki wybrańców, z dopiskiem w rodzaju: „do umiejętnego wykorzystania w pracy politycznej i zawodowej”. Skoro więc o takich dokumentach nie wolno pisać, to po co o nich mówić?

Dziwny kraj.

Nie taki jednak dziwny, gdy popatrzymy z możliwie bliskiego punktu obserwacyjnego na przestrzenie ciągnące się od Pacyfiku po granice Polski, a teraz po Elbę i druty kolczaste, które dzielą Czechosłowację od Austrii i Niemieckiej Republiki Federalnej. Narody zamieszkujące rosyjskie imperium przywykły do państwowego porządku, w którym władza ma zawsze rację, gdzie jednolitość i potęga państwa strzeżona jest wszystkimi środkami, gdzie siła robocza jest tania, a potęga militarna wielka i kontrola obwarowana murem, tamą, uniemożliwiająca przecieki i kontakty. Gdzie wreszcie mnóstwo jest miejsca na obozy pracy, pracy darmowej – można budować kanały, zapory wodne, cokolwiek. Unika się tam nazwy obozów koncentracyjnych. Terminologia językowa to nie tylko specjalność dyktatur i rządów absolutnych. Każdy dyplomata, nawet każdy człowiek wie, lub powinien wiedzieć, jakich słów z kim używać – język zależy przecie od osoby, czasu i okoliczności. Ale – to tylko dygresja.

Gdy się jakieś narody podbija, to się je uwalnia od ich władzy i ucisku. Wewnątrz państwa może sobie pisać Dostojewski czy Tolstoj, ale Czaadajewa, który opluwa ten porządek, zmusi się do milczenia – to przecie wariat, żeby takie rzeczy pisać. A Solżenicyna się wywiezie, niech sobie pisze, co chce na zastraszonym Zachodzie, tam każdy pisze, co chce, i to nie ma znaczenia. A u nas Solżenicyn zostanie zbiegiem, zdrajcą i oszczercą.

Tu oplakuje się ludzi, którzy to państwo utrzymali i rozszerzyli: Iwan, którego nazywa się tylko „Groźny”, Piotr, Mikołaj – pierwszy, nie drugi – Lenin, który konia puścił, ale zaraz wziął wspinającego się w cugle. Wreszcie Stalin. Stalin zwyciężył, rozszerzył granice, uwolnił pół Europy, stworzył jeszcze więcej wolnych republik – jak nie wierzyć, przeczytajcie konstytucję. One mogą się nawet oderwać, wystąpić z granic Kraju Rad. Wystarczy to przegłosować. Stalin stworzył Demokracje Ludowe. One są już całkiem wolne, mają własne rządy, kierownicze partie, wszystko.

W zimową noc, idąc wzdłuż zamarzniętej Newy z wysoko postawionym w hierarchii (społecznej? państwowej? to tu wychodzi na jedno) inteligentem-artystą, obwieszonym orderami członkiem partii, rozmawiałem szczerze. Tak jak to tu, gdy się jest w cztery oczy. Nad zamarzniętą Newą można. Pokazywał mi rząd pałaców i ten marmurowy, który Katarzyna II przeznaczyła na ostatnie miejsce pobytu Stanisława Augusta. Rozmawialiśmy o historii – o czym rozmawiać szczerze? Szczerłość jest ich cechą wrodzoną, tyle tylko że jest mnóstwo tematów, o których się nie mówi. To całkiem proste. Takimi tematami są przede wszystkim władza i wszystko, co władza robi, nakaże, zarządzi, zakaże. Poza tym, dusza na dłoni. Piszę to bez żadnej ironii. To dobrzy ludzie.

Nie potrafię sobie przypomnieć, jak doszło do słów, które usłyszałem spod futrzanej czapy: „nas – to najwięcej pomordowali Polak i Gruzin”. Nie zdziwiłem się, ale przystanęłem. Nie potrzebowałem się rozglądać, czy ktoś idzie za nami, mój interlokutor musiał dobrze wiedzieć, że nie ma nikogo. Nie podejrzewałem go o prowokację, do głowy mi to nawet nie przyszło. To był dusza człowiek, miał mi zorganizować odczyt o polskiej muzyce, ale przyszedł zakaz z Moskwy, nie mieli tam tekstu, a ja twierdziłem, że to zaimprovizuję bez kartki. – Polak i Gruzin?! Westchnąłem, i popatrzyłem mu w oczy. Nie wiem, kto z nas dwóch był w tej chwili większym jagnięciem. „A Hitler?”, zapytałem. Machnął ręką niedbale: „Hitler – (wymawiał „Gitler”) – dużo mniej”.

Więc tak obywatele radzieccy oceniają Dzierżyńskiego i Stalina? Nie uogólniajmy, jeden to nie wszyscy – ale w tym przecie coś jest. I – czemu płaczą, gdy umrze Groźny, Piotr – czemu wystają godzinami na mrozie przed mauzoleum Lenina, z którego nielubiany Chruszczow wyrzucił swojego poprzednika, cara Stalina?

Nie godzę się z tezą Alaina Besançona, że dzisiejszy Związek Republik Rad to co innego niż Rosja carów. Ten znakomity pisarz, jeden z bardzo nielicznych Francuzów, którzy wiedzą, czym jest Rosja, upraszcza, twierdząc, że pokolenia żyjące dzisiaj w tym państwie są czymś innym od dawnych. Oni nadal patrzą z góry na resztę świata, w którym panuje tak wielki nieporządek demokratyczny. Nie imponuje im Paryż, Rzym, Londyn czy dzisiaj Nowy Jork, jak nic nie imponowało posłom Iwana i Piotra. Gdy sam Piotr Wielki przyjechał *incognito* do Paryża i został przyjęty przez Regenta w Wersalu, pokazano mu z całą pompą i protokołem małego Ludwika XV. Olbrzym Piotr wziął małego króla na rękę

ce i podniósł go wesoło ze słowami: *Voilà le petit roi de France*. Można sobie wyobrazić, jak zadrżał i zamarł cały dwór, ale co było robić z carem?

A jak reagowała Głafira Siemionowna na Paryż, gdy pojechała tam z mężem w 1900 roku zobaczyć wystawę powszechną? Opisuje nam to Lejkin w powieści *Nasi za granicą*, którą w zamierzchłych czasach czytałem. Podła dziura, wszysko tam sztuczne i wyliczone. Gdy wracali, padli oboje w objęcia rosyjskiego policjanta na granicy ówczesnego Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Królestwa. Nareszcie swój człowiek!

Gdy pracowałem u *Grossbauera*, u kułaka, we wspaniałej zagrodzie na pograniczu Danii, z małym, zabiedzionym i schorowanym rosyjskim chłopczykiem, zawleczonym tu gdzieś znad Wołgi – pokazałem mu, stojąc na polu, tę zagrodę, wysokie stodoły, stajnie pełne mlecznych krów i pola, na których pszenica miała kłosa, jakich nigdy nie widziałem. Wojska niemieckie były już nad Wołgą, świat od północnej Norwegii po Zatokę Biskajską należał do Trzeciej Rzeszy, o czym Hitler wykrzykiwał w każdym przemówieniu. Mały Iwan spał w chlewie ze świniami i suchotniczo pokaszliwał.

„Widziałeś kiedy takie gospodarstwo?”, zapytałem go.

Iwanek – a zdawało mi się, że on nie przeżyje następnej zimy – odpowiedział mi obojętnym głosem: „Jak to się będzie wszystko paliło, gdy my tu przyjdziemy!”.

Chciałem pisać o Polsce, a piszę o Rosji. Dlaczego? Przecie znamy *Dziady*, *Drogę do Rosji*, *Petersburg* i rozmowę przyjaciół pod pomnikiem Piotra Wielkiego. Moim rozmówcą w Leningradzie nie był Puszkina czy Rylejew. To był zwykły członek partii, to był zawleczony do roboty garbusek, to była wreszcie prosta dziewczyna Wiera, która też u tego *Bauera* pracowała. Zawleczona tu spod Kurska, odezwała się kiedyś do mnie: „Ty, Zygmunt, jesteś szczęśliwy, ty wrócisz do domu”. – „A ty nie?” – „My nie. Stalin zakazał iść do niewoli czy tu pracować. Nas zawiozą na Sybir. Nie wolno iść w niewolę”.

Nie wątpię, że Wiera wróciła. I zapewne pojechała na Sybir, do łagru, gdzie wszyscy jeńcy i robotnicy, którzy widzieli Niemcy czy Austrię, wylądowali. Nie dowiem się nigdy, czy Wiera jeszcze żyje. Ale – może lepiej nawet i teraz – nie pisać jej nazwiska, które pamiętam.

Ona uważała swój – przyszły wtedy – los i ten ukaz za coś normalnego. Tak jak mi opowiadała, jak o czymś normalnym, o dwóch wielkich głodach, które przeżyła. Bo umierali starsi, chorzy i słabi, a ona była wtedy mała i zdrowa. Jedli ludzi. Jak jedli? Zaraz po śmierci, w pierogach. Nie będę się tu rozpisywał o rozmowach z Wierą. I tak mało kto uwierzy i – w dodatku – zasłużyć na miano oszczerca, choć to wszystko odbywało się normalnie, przy pracy w polu. Naśmiewała się ze mnie, że kiepsko pracuję.

Znowu, zamiast o Polsce, piszę o Rosji.

Mówią mi tu ci młodszy ode mnie o 40, 50 i 60 lat: „Ty masz program minimalny”. Mówię na to, że ja nie mam żadnego programu. Ja tylko istnieję. To

już dużo. Mogę myśleć, pisać, czasami nawet coś mi wydadzą, nawet paszport dadzą. Mieszkam, jem – przynajmniej dotychczas. Nie muszę się ukrywać. Jeżeli już koniecznie chcecie, żebym miał program, to powiem: niechże już wreszcie dadzą ludziom pracować i zarabiać. Resztę można uregulować podatkami rozłożonymi rozsądnie. Może to też program minimalny – mówmy o czym innym. Czemu tak trudno mi pisać o Polsce?

Jest listopad. Lada chwila będzie 150. rocznica powstania. Jakiego powstania? Listopadowego, rzecz jasna. Wysocki, Szkoła Podchorążych, Wielki Książę już uciekł do brata cara. Jest Książę Adam, Lubecki, Chłopicki. Co starsi pamiętają Sejm Czteroletni i króla niesionego na rękach po uchwaleniu Konstytucji 3 maja. To ten król, który umarł w pałacu, przed którym mój rozmówca powiedział...

O czym tu pisać?

Mieliśmy prawdziwy sejm, ten za Stanisława Augusta. Mieliśmy potem sejm za czasów cara, gdy był królem Polski, choć nie był polskim królem. Mieliśmy, dużo później, przez 20 lat, sejm, gdy budowaliśmy port w Gdyni i Centralny Okręg Przemysłowy. Trudno było wtedy o zagraniczne pożyczki. Przed samą wojną dostaliśmy – o ile dobrze pamiętam – 100 milionów funtów z Anglii. To nie były miliardy i to było w ostatniej chwili.

Teraz mamy od 35 lat sejm niemy, maszynkę do jednogłośnie gośowania. Od kilku miesięcy coś się w tej maszynce zmieniło. Maszynka przemówiła. Zdumienie. Co to? Szlacheckie zachcianki, szlacheckie wolności? Może jeszcze i *liberum veto*?

Mieliśmy swoich poetów, swoje orły. Nawet pisarzy politycznych, i to już w XVI wieku. Napisał o nich mądrą książkę – którą nazwał skromnie podręcznikiem dla studentów – Stanisław Tarnowski. Przedziwna jest lektura tych pisarzy, piszących w momencie, gdy Rzeczpospolita Obojga Narodów sięgała niemalże od morza do morza. Lekka przesada, ale kraj był rzeczywiście bardzo duży.

Rozprawialiśmy dużo o wolności. Gospodarowaliśmy gorzej, ale głód był rzadkością, chociaż była bieda tam, gdzie ziemia była zła i rozdrobniona. Nikt jednak nie słyszał ani widział tych pierogów, które Wiera jadła na najżyźniejszych ziemiach świata.

W Rosji rozprawiano dużo o reformach. Wierzone, że można wszystko zreformować, nawet ludzi. I że można wszystko załatwić ukazem. Gospodartwo jest tam tak ogromne, ludzi tyle i tak się oni nie liczą, że zawsze znajdzie się i broń, i wojsko, żeby uwalniać sąsiednie kraje. Można to nawet tak urządzić, żeby oni się sami zarządzili. Za gubernatora dać ambasadora, z odpowiednim „ośrodkiem dyspozycyjnym”. I można zawsze poczekać, niech się we własnym sosie gotują i ugotują wreszcie. W razie czego znajdzie się zawsze ktoś, kto nas poprosi o pomoc. Model Targowicy ma nieskończoną ilość możliwych wariantów. Nie trzeba działać w tak prostacki sposób jak Hitler, ze swoją idiotyczną koncepcją rasy panów i niewolników i z praktyką pieców krematoryjnych. Jak można uży-

wać takich słów? Przewodnia rola partii wystarczy. Wyciszyliśmy z wiadomych powodów dyktaturę proletariatu – czy Polacy wzięli ją na serio? Może w to uwierzyli? Bo jak inaczej wytłumaczyć tu, w Rosji, to co się tam teraz dzieje? U nas i najtętsze umysły operują pewnymi wzorami i słownikiem – obowiązuje to i na szczytach. Czy oni chcą, żebyśmy zmienili słownik? Gdy rozmawiamy z jakimś Polakiem z Zachodu i powiemy mu – na przykład – że nas mordował Dzierżyński czy Stalin, to to się jeszcze mieści w tym słowniku. Przecie nie ma w tym nic złego, to nie wyskakuje z naszych wzorów, jak nie wyskakuje Groźny. Ludzi trzeba jakoś trzymać, bez tego jest anarchia. Polski ucisk, to i Batoremu można było wytłumaczyć, przecie to wszystko jest świętą prawdą, był najeźdźcą, agresorem, wszystko się zgadza. O co im tam zawsze chodzi, w Warszawie? A – jeżeli przewodnia rola partii zbankrutuje, to znajdziemy coś innego. Na razie załatwione mamy jedno: cały świat się nas boi. Już dawno świat się nas boi, ale tak jak teraz, to nigdy się tak nie bał. To mamy z głowy. Świat chce mieć pola pszenicy, stodoły czy silosy, fabryki i zysk. To i dobrze. Ktoś musi nas żywić, przysyłać nam technologię, dawać pożyczki, przecie nie możemy sami utrzymywać wszystkich państw, w których komunizm już doszedł do władzy. Nie może wszystko żyć z subwencji i dotacji państwowych, ktoś musi na to pracować. Niech nam dają dalej, drząc, żeby to się u nas nie zawaliło. O prawach człowieka mogą mówić. Pokrzyczą i zapomną. Tam się szybko zapomina, to nie tak jak u nas, gdzie cierpliwie i długo wychowuje się człowieka, żeby nie krzyczał. Żeby znosił cierpliwie swój los i bronił ojczyzny, to znaczy państwa. Człowiekowi popuścić to nieszczęście gorsze od głodu, od więzienia, katorgi i zsyłki. W więzieniu można człowiekowi pomóc, dużo go nauczyć. Nasza koncepcja gospodarcza jest bez sensu, może to nawet i prawda, ale to z pewnością tym gorzej dla sensu. Oni tam na Zachodzie zupełnie tego nie rozumieją. Państwo się trzyma, cały świat się boi, nie tylko naszego państwa, ale i tego, żeby się ono nie rozleciało, bo wtedy będzie jeszcze gorzej. Mamy więc wszystkie gwarancje, na wszystkie strony. De Gaulle mówił coś o azymutach. My nie potrzebujemy azymutów. Wystarczy to, co jest.

Dlaczego Rosja jest taka, a Polska jest inna? A dlaczego na kanadyjskich obszarach powstała Kanada, a na amerykańskich Stany Zjednoczone? Dlaczego w Afryce są państwa afrykańskie, dlaczego są Indie, Chiny, Brazylia? Dlaczego? Może wszędzie jest to, na co sobie kto zarobił? Czy na pewno?

Amerykani mogą te wszystkie pytania wsadzić do komputera, zaprogramować wszystko i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Rosjanie mogą wszystko zaplanować odgórnie, bez komputera. Nic z tego nie wychodzi, ale Rosja jest dalej. Nie piszę traktatu ekonomicznego ani *Psychologie der Völker*, jak Wundt. A o Polsce pisać nie potrafię.

Zresztą, wszyscy teraz piszą o Polsce. O przeciwwadze, którą są wobec partii nowe związki zawodowe, wolne, przy kierowniczej roli tej partii. Takie pisanie wydaje mi się, jakby ktoś się brał do matematyki, zakładając na wstępie równa-

nie, że $4 = 5$. Ja tak pisać nie potrafię. Usiłuję więc brać pod uwagę czynniki irracjonalne, których pełna jest historia, zachowanie tłumy, ludów czy narodów, czy rolę pojawiającej się jakiejś niezwyklej jednostki. Jak jednak operować takimi nieokreślonymi danymi? Czy mógł kto przewidzieć, że papież z Krakowa będzie próbował zmienić świat – albo że sprawy cenzury będą omawiane w polskim dzienniku telewizyjnym? A na pastwiskach dalej nie ma krów i skrada się głód, zły doradca. Słyszę na to: „Niech się pan nie martwi. Polacy wszystko przetrzymają”. Czy mam i taką propozycję podać, może do amerykańskiego komputera?

Czy to tak szalenie trudne, skomplikowane i groźne dla ustroju i państwa pozwolić ludziom pracować, zakładać warsztaty, zając się rolnictwem, przemysłem i handlem, które od początku znanego nam świata prowadziły do dobrobytu, a z upadkiem choćby jednej z tych „gałęzi” kraj biedniał, choćby miał większe bogactwa w ziemi czy na ziemi?

„Będzie to, czego nie można uniknąć”. Ani francuski, ani angielski pisarz nie mógł takiego zdania wymyślić, choć nie wiem, jak ono brzmi po angielsku pod piórem Conrada.

Nie robię tu wypisów z literatury ani z poezji. Wszystko znajdziesz w książkach. W historii też, chociaż ona się nie powtarza. Powtarza się tylko nadzieja i rozpacz. A z tych dwóch, nadzieja jest lepsza.

Warszawa, 27 listopada 1980

[3/1981]

Zamach na papieża

Gdy piszemy te słowa 19 maja, w dniu 61. rocznicy urodzin Jana Pawła II, komunikat ogłoszony przez profesora Emilio Tresalti mówi, że „zbliżamy się do chwili, gdy będziemy mogli stwierdzić, że niebezpieczeństwo minęło”.

13 maja na ekranach telewizji całego niemal świata ukazany został – w kilkanaście minut po zamachu o 17.47 – cały jego przebieg na placu św. Piotra. Do późnej nocy mogliśmy śledzić szczegóły tych minut. Ilość ujęć włoskich, niemieckich, ilość zdjęć amatorskich zwiększała się z każdą chwilą i świat, nie tylko chrześcijański, zamarł w oczekiwaniu. Papież ciężko ranny. Ile ran? Ile strzałów? Jeden czy kilku zamachowców? Indywidualny czyn szaleńca-fanatyka – czy też spisek, jakaś walka ciemnych sił z perspektywami tego, co ma zwyciężyć, co Jan Paweł II podjął się głosić od pierwszej chwili, przyjmując swój wybór na to zdumiewające świat stanowisko Namiestnika Chrystusowego?

Papież przewieziony natychmiast do polikliniki Agostino Gamelli – w 40 minut po zamachu poddany został operacji, która trwała blisko 5 godzin. Aż do chwili uśpienia modlił się po polsku.

Nie możemy współzawodniczyć w miesięczniku z wiadomościami, które prasa codzienna podaje bez przerwy. Możemy tylko podjąć przewijający się w nielicznych pismach temat ofiary i cierpień sprawiedliwego i niewinnego. Jako pierwszy chyba podjął ten temat arcybiskup Paryża Lustiger.

Wśród wielu obrazów widzieliśmy zdjęcia modlących się tłumów i wzruszające obrazy z Polski, gdzie jednocześnie zdrowie prymasa Polski, kardynała Wyszyńskiego, jest bardzo zagrożone.

Prymas Wyszyński i Jan Paweł II, dwa nazwiska, które wybiły się na pierwszy – jakże pierwszy! – plan w dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Paradoxs? Fenomen nie do przyjęcia! Od chwili, gdy w październiku 1978 roku kardynał Karol Wojtyła błogosławił świat z balkonu Bazyliki św. Piotra, zdaliśmy sobie sprawę, że od dziesięciu wieków żaden Polak nie dysponował tak uniwersalną trybuną. Jan Paweł II podkreśla i powtarza w swoich niezliczonych przemówieniach i w ciągu swoich licznych podróży po świecie tę swoją przynależność narodową, a robi to tak, że jego słowa nigdy nie potracają o jakieś płaskonacjonalistyczne struny. Świat dowiadyuje się teraz o św. Stanisławie, o Wawe-

Iu i... Wadowicach, ale dowiaduje się też o naszych związkach z Kościołem rzymskim i kulturą zachodnią. Jan Paweł II głosi światu nieznane mu sprawy, a Polakom pokazuje ich miejsce w kulturze i historii świata, utwierdza nas w tym, co tak bardzo jest u nas zagrożone. Jego podróż po Polsce stała się bodźcem samouświadomienia. Bez pysznej dumy, ale i bez kompleksów niższości. W momencie największej depresji gospodarczej, jaką nasz kraj teraz przeżywa, zamach na Papieża zdawał się usuwać nam spod nóg jakąś *ultima irratio*, niewymierny i pozornie tylko irracjonalny fundament. Religijny, moralny, ale i polityczny. Nie można bowiem uniezależniać od siebie tych spraw. Religia, moralność, prawo wiążą się z organizacją życia i pracy. Ich przeciwieństwa: wojujący ateizm, amoralność w życiu prywatnym i publicznym, bezprawie, wiążą się z nieudolnością i tak zwanym brakoróbstwem, niechlujstwem, choćby tylko administracyjnym. Państwowość i byt narodowy mogą u nas istnieć i przetrwać politycznie i historycznie tylko przy zachowaniu tych konstruktywnych wartości.

Alarmujące komunikaty o zdrowiu prymasa zbiegły się z wiadomością o zamachu na życie papieża. Napęłniły nas trwogą. Trwogą o głos, który od kilku dziesięcioleci był jedynym niemal niezależnym głosem w Polsce i o głos z Trybuny Watykańskiej, który jest dziś tak rzadkim „wolnym głosem świata”.

Zamykając numer czerwcowy „Kultury”, łączymy się z głosami Czytelników naszego pisma, życząc Ojcu Świętemu najszybszego powrotu do pełni sił i zdrowia.

[6/1981]

REDAKCJA

Obserwatorium

W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy społeczeństwo polskie odzyskało w znacznym stopniu swoją podmiotowość. Istotą tej podmiotowości stanowi możliwość decydowania, czy przynajmniej współdecydowania, o własnym losie. Ten nowy stan rzeczy stwarza szanse, których nie wolno zaprzepaścić; narzuca nieporównanie większą odpowiedzialność; w miejsce dawnych zagrożeń, wynikających z beziły, przynosi nowe, wynikające z uzyskanych swobód.

Jakie możliwe do wykonania, a zarazem niezbędne zadania stoją dziś przed Polakami? Próbujemy sporządzić listę najważniejszych. Są one trojakiiego rodzaju:

- utrwalenie osiągnięć socjalnych, politycznych, prawnych i instytucjonalnych,
- przezwyciężenie kryzysu gospodarczego,
- podsięwzięcie kroków zabezpieczających przed nowymi zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Dwa ruchy społeczne mają szczególnie dużą możność wpływu na bieg wydarzeń: NSZZ „Solidarność” (wraz z „Solidarnością Wiejską”) – najpotężniejsza w naszych dziejach i najbardziej dziś prężna organizacja, oraz tzw. partyjne struktury poziome, skupiające najaktywniejszych zwolenników odnowy w partii.

Jakie są w chwili obecnej, naszym zdaniem, naczelne zadania „Solidarności”? Usprawnić własną organizację i stworzyć trwałe podstawy zaufania członków wobec władz. W tym celu niezbędne jest dokończenie wyborów na wszystkich szczeblach oraz wyłonienie nowego składu ciała naczelnego, jakim jest Krajowa Komisja Porozumiewawcza. Równocześnie – pamiętając, że trzeba się w ciągu kilku miesięcy nauczyć tego, czego inni mogli się uczyć przez dziesięciolecia, to jest demokracji i wybierania reprezentantów – należy prowadzić szeroką akcję uświadamiającą. Trzeba wyjaśniać członkom związku, że swobodnie wybrani w tajnych wyborach ich przedstawiciele uzyskują określone obowiązki, ale i prawa. Obowiązek dbania o interesy tych, którzy ich wybrali – a zarazem prawo do samodzielnego podejmowania decyzji podczas okresu pełnienia swoich funkcji. Niezbędne wydaje się też wyraźniejsze określenie kompetencji członków władz zakładowych, regionalnych i centralnych „Solidarności”.

Działacze partyjnych struktur poziomych usiłują przekształcić PZPR, która mimo skostnienia, skompromitowania i kolaboracji z Sowietami skupia ponad trzy miliony Polaków – w autentyczną partię polityczną, posiadającą określony program, poza programem utrzymania się za wszelką cenę przy władzy. Jeżeli struktury poziome chcą uzyskać i utrzymać rzeczywisty wpływ na losy partii i państwa – stoją przed nimi zadania bardzo trudne.

Przede wszystkim: praktyczne wykorzystanie zasad demokracji wewnętrznej i nowo uzyskanych możliwości regulaminowych w przygotowaniach do zjazdu PZPR oraz w wyborach delegatów na zjazd. Tylko wyłonienie „od dołu” nowych, nieupłatanych w klikowe powiązania, niezaprzeczonych przez autokratyczne metody rządzenia i korupcje przywódców umożliwi wewnętrzną naprawę.

Po drugie, żądanie pociągnięcia do odpowiedzialności, nie tylko partyjnej, ale i karnej, winnych nadużyć i zaniedbań zostało spełnione tylko w małym stopniu. Dotychczasowe doświadczenie pokazuje, że komisje partyjne lub rządowe, złożone z ludzi należących do tych samych kręgów co sprawcy wykroczeń, przestają na powierzchownym zbadaniu niektórych tylko wypadków nadużyć. Jedynie stała presja, wyrażająca wolę całego społeczeństwa, może tę tradycję pobłażania władzy zmienić. Tylko skuteczne domaganie się śledztwa i kary może zdjąć z wszystkich szeregowych członków partii stygmat współwiny za rabowanie dobra społecznego, łamanie praworządności i rujnowanie majątku narodowego. Co więcej, tylko doprowadzenie do końca rozrachunków z winnymi może położyć kres szalejącym plotkom, cynicznym komentarzom o zastępowaniu jednej kliki złodziei przez drugą i przekonaniu, że strajk jest jedynym sposobem wymuszania sprawiedliwości.

Po trzecie, spontaniczny, oddolny ruch w partii powinien dolożyć wszelkich starań, aby jak najprędzej objąć kontrolą działanie aparatu bezpieczeństwa. Wypadki bydgoskie, które doprowadziły Polskę na skraj katastrofy, były jaskrawym przykładem, jak łatwo jest tzw. organom ścigania sprowokować generalną konfrontację między władzą a społeczeństwem. Bardzo liczne przypadki szantażowania, często i bicia, działaczy i współpracowników „Solidarności” przez milicjantów lub „nieznanych sprawców” nie dochodzą do szerszej świadomości publicznej – ale świadczą o tym, że wielu funkcjonariuszy MSW albo daje się łatwo używać, albo są po prostu tak wrogo nastawieni do zachodzących w kraju przemian, że gotowi są do użycia siły, jeżeli tylko mogą sobie na to pozwolić. Działacze partyjnych struktur poziomych powinni o tym pamiętać we własnym interesie i zmuszać władze centralne do interwencji.

Zadania natury gospodarczej są nie mniej ważne od politycznych – a mogą okazać się znacznie trudniejsze do wykonania, ponieważ wymagać będą wyrzeczeń, ofiarności i zrozumienia całego społeczeństwa, nie tylko grup i środowisk najbardziej aktywnych i świadomych. Uważamy za najpilniejsze działanie na pięciu następujących odcinkach:

1. Mobilizacja środków materialnych i społecznych (np. przekwalifikowanie zbędnej w przemyśle siły roboczej) dla szybkiej poprawy stanu rolnictwa. Hasło „wszystko dla wsi”, które jeszcze w marcu tego roku było przez rządzące władze rozumiane w sloganowym sensie „zadbania o terminowy remont maszyn rolniczych i zabezpieczenia ziarna siewnego” – musi zostać podjęte w rozumieniu znacznie szerszym. Nie wystarczy podniesienie cen skupu; konieczna jest radykalna poprawa zaopatrzenia, w ogóle warunków pracy i życia ludzi pracujących na roli. Tylko taka zmiana zatrzyma odpływ najzdolniejszych i przyciągnie na wieś ludzi gotowych do ciężkiej pracy, ale nie w warunkach urągających dzisiejszym potrzebom higienicznym i kulturalnym.

2. Wszyscy mający wpływ na podejmowane przez rząd decyzje dotyczące przesunięcia nakładów inwestycyjnych powinni pilnować, aby te bardzo ograniczone fundusze, jakimi dziś gospodarka polska dysponuje (i jakie uda się jeszcze dokończyć), były koncentrowane na usuwaniu takich „wąskich gardeł”, jak energetyka i transport.

3. Obniżenie konsumpcji, podwyżka cen i ogólnie konieczność wielkich wyrzeczeń ze strony całego społeczeństwa nie mogą doprowadzić do zniszczenia pozytywnych bodźców ekonomicznych. Spowodowałoby to zahamowanie rozwoju takich dziedzin, jak drobny przemysł, rzemiosło, prywatne usługi. Te właśnie gałęzie gospodarki, najbardziej sprawne, najmniej kapitało- i materiałochłonne, powinny uzyskać możliwość szerokiego rozwoju.

Tylko one bowiem, obok indywidualnego rolnictwa, są zdolne do szybkiego zwiększenia produkcji bez wielkich nakładów inwestycyjnych i tylko one będą mogły wchłaniać część zwalnianej przez przemysł państwowy siły roboczej. Muszą więc być najszybciej uprzywilejowane.

4. Minimum socjalne, zapewniające życie powyżej poziomu wyraźnego niedostatku, powinno zostać później czy prędzej ustalone przez ekspertów i uzgodnione między rządem a władzami „Solidarności”. Dopilnowanie, aby nieunikniony spadek realnej siły nabywczej dochodów ludności nie powodował ześlizgiwania się jakiegokolwiek grupy zawodowej czy społecznej, włączając bezrobotnych, poniżej minimum socjalnego, powinno być uznane za podstawowy obowiązek władz państwowych.

5. Wyrzeczenia, jakich od społeczeństwa wymaga zadanie wyjścia z kryzysu, będą bardzo dotkliwe i długotrwałe. Okazują się one konieczne w niewiele tylko miesięcy po tym, kiedy Polacy uzyskali możliwość wpływania na losy swojego kraju i wkrótce po wywalczeniu przez robotników wielu zdobyczy płacowych i bytowych. Co gorsza, wyrzeczenia te muszą nastąpić, zanim jeszcze władze partyjno-rządowe zdołają osiągnąć choćby umiarkowane zaufanie społeczne. W tych warunkach przekonanie społeczeństwa o niezbędności ofiar jest zadaniem trudnym i ogromnie odpowiedzialnym.

Sugerujemy, aby „Solidarność”, partyjne struktury poziome oraz np. Komisja Porozumiewawcza Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych – a więc ugrupowa-

nia posiadające autorytet społeczny – wyłoniły komisje informacyjno-nadzorcze, które uświadamiałyby ludności niezbędność wyrzeczeń, a zarazem stwierdzały, czy nie idą one na marne. Również Kościół katolicki, instytucja o największym autorytecie moralnym, mógłby w tej sprawie odegrać ogromną i pożyteczną rolę – nie angażując się w rozgrywki polityczne, ale biorąc praktyczny udział w rozwiązywaniu tak trudnego i bolesnego problemu. Być może właśnie uczestnictwo Kościoła mogłoby doprowadzić do zespolenia inicjatyw i wyłonienia jednej wspólnej „rady gwarancyjnej”, złożonej z ludzi cieszących się zaufaniem społeczeństwa i orzekającej o potrzebie i formach obniżania stopy życiowej?

Utrwalając zdobycze ostatniego roku i dążąc do zapobieżenia ostatecznej katastrofie gospodarczej – nie wolno tracić z oczu nowych niebezpieczeństw. Cztery spośród nich wydają się najważniejsze.

1. Inflacja, bezrobocie, braki w zaopatrzeniu, ogólny spadek poziomu życia mogą wywołać masowe konflikty między grupami społecznymi i zawodowymi. Niezbędna dla spokoju publicznego współpraca może się załamać pod naporem niedostatku i rozgoryczenia. Konflikty takie będą wykorzystywane i rozdmuchiwane przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów zachodzących w Polsce przemian. Można się też spodziewać prób prowokowania awantur i buntów przeciwko brakom na rynku.

2. Władze partyjne i państwowe będą się starały skupiać uwagę społeczeństwa na problemach gospodarczych, odsuwając na drugi plan inne palące zagadnienia, na przykład dostęp do informacji. Będą się usiłowały wymigać od wprowadzania w życie podjętych zobowiązań, dotyczących cenzury, reformy wymiaru sprawiedliwości i swobody przekonań. Należy zachować czujność wobec prób odbierania społeczeństwu uzyskanych swobód i uprawnień pod pozorem konieczności spokoju, porządku i mobilizacji sił na sprawach gospodarczych. Partyjni konserwatyści będą się w ten sposób starali przywracać dawny styl rządzenia.

3. Przeciwnicy zaszłych przemian wyraźnie liczą na to, że różnice zdań i temperamentów między przywódcami „Solidarności”, a także między ugrupowaniami zawodowymi i organizacjami regionalnymi tego związku doprowadzą do ostrych konfliktów i rozbitcia. Temu celowi służy i będzie służyło rozdmuchiwanie odmienności poglądów, która jest w każdym ruchu demokratycznym zjawiskiem zupełnie naturalnym. W tym samym celu będą ponawiane próby skłócenia doradców „Solidarności” z kierownictwem i członkami związku.

4. Zagrożenie stanowi również stały i często brutalny nacisk z zewnątrz, zwłaszcza ze strony ZSRR, NRD i Czechosłowacji. Nacisk ten przybiera różne formy. Byłoby pożądane, aby zarówno niezależne publikacje w kraju, jak nadające do Polski rozgłosie zachodnie informowały dokładnie o atakach propagandowych i politycznych na PRL ze strony jej sąsiadów, o szykanowaniu polskich turystów itd. Nie chodzi o rozniesanie obaw, ale o uświadamianie Polakom, jakie zarzuty wysuwają przeciw nim tzw. przyjaciele i sprzymierzeńcy.

Ułatwi to zrozumienie międzynarodowego tła wewnętrznych rozgrywek partyjnych w Polsce, a utrudni robotę tym, którzy posłuszeństwo wobec Kremla stawiają ponad polskie interesy narodowe.

Niewątpliwie świadomość, że próba interwencji zbrojnej w Polsce spotkałaby się ze zorganizowanym oporem robotników (o czym świadczą nieoficjalne, ale szeroko znane plany strajku powszechnego i sabotażu) działa trzeźwiąco na podnieconych sąsiadów Polski. Cenne byłoby również spełnienie żądań przedstawicieli „struktur poziomych”, aby władze PZPR otwarcie i szczegółowo powiadamiały sąsiadów o rozmiarach, sile i celach ruchu związkowego w Polsce. Ignorancja i złudzenia są równie niebezpieczne dla nas, jak dla nich.



W styczniu tego roku, podczas wizyty delegacji „Solidarności” w Rzymie, jeden ranek poświęcono na odwiedzenie Monte Cassino. Momentem najbardziej wzruszającym tych odwiedzin, momentem o głębokiej wymowie symbolicznej, był spontaniczny odruch Anny Walentynowicz. Odpieła nagle swój znaczek „Solidarności” i położyła go na płycie grobowej generała Andersa. Symboliczność tego gestu polegała naturalnie na połączeniu, rozumiałam dla każdego Polaka, naszej historii w kraju i na obczyźnie. Każdy uczestnik bitwy montecasińskiej, oglądając tę scenę, musiał przeżywać wielki dzień w swym życiu. Dzień na który długo czekał – czy pozostawszy tu, na emigracji, czy wróciwszy do kraju – razem ze wszystkimi Polakami. Ale gdyby mu powiedziano, że prochy generała Andersa winny być przewiezione nad Wisłę i złożone w jakimś narodowym sakrarium, wzruszyłby przypuszczalnie ramionami: zwycięski dowódca leży wśród swoich poległych żołnierzy, tam jest jego miejsce; i tam też, na Monte Cassino, powstało polskie sakrarium narodowe. Nie wszystkie narody mają taką historię jak nasz, nie wszystkie musiały powierzać walkę o swoją wolność i niepodległość żołnierzom na ziemi rodzinnej i żołnierzom tułaczom. A skoro mamy taką właśnie, a nie inną historię, powinniśmy ją szanować. Jednym z dowodów tego szacunku byłaby zasada, że zmarli czy polegli dowódcy tułacze nie opuszczają swych żołnierzy tułaczy.

Wspomnieliśmy o generale Andersie tytułem przykładu tylko, nikt bowiem dotąd nie wysuwał propozycji przewiezienia jego prochów do kraju. Wysuwano natomiast, i to dość dawno już, propozycję przewiezienia do kraju prochów generała Sikorskiego. W dawnych latach, przed Polskim Sierpniem, wysuwały ją nawet władze PRL, i to z wyraźnym odcieniem propagandowo-polemicznym: Sikorski został mianowany „dobrym” generałem i Polakiem, w przeciwieństwie do „złego” generała i Polaka Andersa. Teraz propozycja nabrała szerszego oddechu narodowego, cieszy się poparciem Kościoła i stara się przed prochami gene-

rała Sikorskiego otworzyć bramy Wawelu. Mamy do niej dokładnie taki sam stosunek: Sikorski leży wśród swoich żołnierzy w Anglii, gdzie osiągnęła apogeu-um jego działalność wojskowa i polityczna, i tam jest jego miejsce. Także w Anglii nasza historia, rozgrywająca się nad Wisłą i na obczyźnie, stworzyła nam polskie sakrarium narodowe.

Przy okazji wolno chyba zauważyć, że Wawel nie jest i nie może być czymś w rodzaju Superaei Zasłużonych. Jeżeli chce się uhonorować Sikorskiego nie tylko jako Wodza Naczelnego i premiera rządu RP na obczyźnie, lecz również za jego zasługi wojenne w roku 1920 i polityczne przed odzyskaniem niepodległości oraz w okresie dwudziestolecia międzywojennego, to uprawniony staje się łańcuszek pytań. Jeśli Sikorski, to dlaczego nie Paderewski? Jeśli Paderewski, to dlaczego nie Dmowski? Jeśli Dmowski, to dlaczego nie Witos? Jeśli Witos, to dlaczego nie Daszyński? Nikomu, miejmy nadzieję, nie przyjdzie tu do głowy pomysł powołania się na „precedens” Piłsudskiego. Wyjątkowość roli Piłsudskiego w naszej historii jest poza dyskusją, świadczy o tym chociażby kult otaczający jego nazwisko w kraju zarówno wśród starszych, jak i młodszych pokoleń.

Wawel za to, Wawel grobów królewskich, powinien być miejscem wiecznego spoczynku naszego ostatniego króla. Powinna się skończyć wreszcie poniewierka trumny Stanisława Augusta, także w imię szacunku dla naszej historii, dobrej i złej, szczęśliwej i nieszczęsnej. Że jest to ważna sprawa naszej narodowej godności (ożywiona zresztą świeżo rewizją oceny historycznej Stanisława Augusta w duchu książki Stanisława Mackiewicza), dowodzi artykuł Michała Rożka, wydrukowany kilka tygodni temu w „Tygodniku Powszechnym” nr 14 (1630) z 5 kwietnia 1981.

[6/1981]

REDAKCJA

Niepodległość i Rosja

Z cyklu *Obserwatorium*

Wśród problemów, z którymi para się naród polski, dwa – ściśle ze sobą związane – pozostają od blisko czterdziestu lat najważniejsze: niepodległość państwowa oraz stosunki z naszym wschodnim sąsiadem. Narzucają się natrętnie przy wszystkich próbach wewnętrznych przemian, którym zawsze towarzyszą rosyjskie grymasy i pogróżki. Są to problemy trwałe nie tylko ze względu na nasze położenie geograficzne, ale przede wszystkim dlatego, że ich praktyczne rozwiązanie, narzucone nam po drugiej wojnie światowej, jest dla znacznej większości Polaków niezadowolające.

Brutalnym przypomnieniem związku między tymi dwoma problemami była ta część listu KC KPZS do KC PZPR z 5 czerwca bieżącego roku, w której mowa jest o zagrożeniu niepodległości Polski przez zachodzące w niej procesy wewnętrzne. A równocześnie wiemy doskonale, że jedyne rzeczywiste zagrożenie dla polskiej odrębności państwowej o ograniczonej choćby suwerenności stanowi właśnie ZSRR. Przypominają nam o tym, w formie ledwie zawołowanej, przywódcy partii polskiej od sierpnia 1980 roku. I chociaż przypominają w złych intencjach, dla własnych samoobronnych celów – nie czynią tego bezpodstawnie.

Sytuacja obecna, na którą składają się niebywałe od lat możliwości myślenia i działania Polaków, a równocześnie największe od lat czterdziestych zagrożenia – każe stawiać owe pytania na nowo: czy i jaka niepodległość jest dla Polski możliwa? Jak można ukształtować nieantagonistyczne stosunki między Polską a ZSRR (lub, w wymiarze narodowym, między Polakami a Rosjanami, którzy są w ZSRR narodem rządzącym, a także innymi narodami tego państwa)?

Pytania te stawiane są zwykle retorycznie i ogólnikowo – niezależnie od tego, czy odpowiadając na nie, stwierdza się, że jedyna możliwa niepodległość to niepodległość w wiecznym przyjaznym sojuszu z ZSRR, czy też się sugeruje, iż niepodległość może być tylko absolutna, a o przyjaźni z sowieckimi mordercami szkoda mówić.

Zastanówmy się więc nad konkretnymi przykładami. Czy jest niepodległa Holandia? W Polsce uzna się to pytanie za banalnie retoryczne: oczywiście że jest niepodległa. Ale przecież Holandia należy do Wspólnoty Europejskiej i wie-

wódców ZSRR, jak i dla ich krajowych sprzymierzeńców, że z takim stanowiskiem Polacy nigdy się nie pogodzą.

Co jest istotnie niewątpliwe i niepodważalne – to fakt, że lepsze stosunki polsko-sowieckie i polsko-rosyjskie leżą w naszym interesie i teraz, i na przyszłość. Na ile takie właśnie były założenia uczestników dyskusji – toczony w maju i czerwcu na łamach warszawskiej „Kultury” – na tyle zasługują oni na sympatię. Ale jako całość dyskusja posiadała dwie kardynalne wady: prawie wszystkie wygłaszane w jej ramach wezwania (do realizmu, zrozumienia, przyjaźni, rzetelności, prawdy itd.) były skierowane pod mylnym adresem; ponadto stanowisko „realistyczne”, reprezentowane np. przez Dominika Horodyńskiego i Aleksandra Bocheńskiego, jest tradycyjnie stanowiskiem kapitulancim. Nasi „realiści” przestrzegają ciągle, aby nie żądać za wiele – i nie żądają niczego; nie oczekiwać zbyt dużo – i nie oczekują niczego; uznają to, co w danej chwili istnieje (i naprawdę realne) za rzeczywistość jedyną i trwałą. Nie słychać było w tych głosach i w ich myślowym zapleczu ani śladu świadomości, że ZSRR – nasz potężny sąsiad i przez los zesłany sojusznik – nie jest monolitem, nie jest państwem wiecznym, sam przeżywa ogromne trudności i głębokie kryzysy. „Realisci” każą nam opierać się na opoce – nie zastanawiając się, czy aby opoka jest naprawdę niewzruszona. I nie chodzi tu o to, by liczyć na jej rozpad – ale by zdawać sobie sprawę z naszych możliwości przetargowych.

Na czym polega wspomniana mylność adresu? Na tym po prostu, że winę za to, iż stosunki polsko-rosyjskie są niedobre, ponoszą i historycznie, i aktualnie Rosjanie i ZSRR. Jeżeli stosunki te mają ulec poprawie, inicjatywa musi wyjść od strony winnej. Polacy muszą się tego domagać i o to apelować, zamiast składać gołosłowne obietnice i zapewniać, że „w Polsce nie ma liczących się społecznie tendencji antyradzieckich ani uprzedzeń antyrosyjskich”. Nie można przecież przypuścić, że ci Rosjanie, do których te słowa były skierowane, potraktują je na serio. Zrozumieją je po prostu jako retoryczną gimnastykę, w której sami celują. Polacy mają na swoim koncie wiele serwilistycznych wypowiedzi; poważni i uczciwi publicyści muszą dbać o to, aby formułować swoje myśli tak, by się od tamtych deklaracji uwielbienia i hołdu odróżniać. Mówienie prawdy w oczy (nastroje antysowieckie i antyrosyjskie rosną w oczach!) jest lepszą taktyką, bo budzi respekt i chroni od nieporozumień.

O sojuszu powtarza się bez przerwy, ale nie mówi się o tym, do czego on Polaków zobowiązuje. Jeżeli dwaj czołowi intelektualiści katolicycy zapewniają, że „są za sojuszem” (Stanisław Stomma) i że „nikt samej idei tego sojuszu nie kwestionuje” (Marcin Król) – to musimy ich zapytać, jaki sojusz mają na myśli. Trzeba przyjąć, że ten, który obowiązuje obecnie (bo nikt nie wspomniał o potrzebie jego korektury).

A jeśli tak, to niezbędne jest przypomnienie, iż ostatnim ważnym aktem, dokonany przez PRL w ramach porozumień sojuszniczych, była inwazja Czechosłowacji w roku 1968. A również i to, że jeżeli ZSRR uzna, iż rozwój wewnątrz-

nych sporów w Jugosławii grozi konfliktem międzynarodowym, szkodliwym dla interesów „obozu socjalistycznego”, Ludowe Wojsko Polskie będzie mogło, w ramach obowiązującego sojuszu, zostać wezwane np. do najazdu na Chorwację. Musimy sobie jasno zdawać sprawę, że w praktyce istniejący dziś sojusz z ZSRR czyni z nas współzandarmów Europy Środkowo-Wschodniej. Zagrożenia „obozu socjalistycznego” są wyłącznie zagrożeniami wewnętrznymi: przypomnamy Berlin 1953, Węgry 1956, Czechosłowację 1968, Polskę dzisiaj.

To prawda, że sojusz ten jest w chwili obecnej sojuszem papierowym i nikt nie spodziewa się, by Ludowe Wojsko Polskie dało się użyć do stłumienia np. buntujących się Rumunów. Ale to tylko dodatkowy powód, dla którego lepiej na temat sojuszu tyle nie gardłować: jest to i niemoralne, i nierealistyczne. Nawet Stanisław Kania w przemówieniu na XI plenum KC użył ostrożnego zwrotu „sojusz obronny”. Bo tylko na taki sojusz powinniśmy się godzić.

Klucze do poprawy stosunków polsko-rosyjskich są w rękach władców Kremla. W ostatnich miesiącach zachowują się oni tak, jakby im zupełnie nie zależało na stosunkach już nie tylko przyjaznych, ale poprawnych. Ataki propagandowe, oszczerstwa, manewry wojskowe, pogróżki, uwięzione listem do KC PZPR, który osiąga szczyt bezczelnej obłudy we fragmencie dotyczącym niepodległości „siostrzanej Polski” – dowodzą, że Rosjanom nie chodzi o zrozumienie, ale o posłuszeństwo. Nagła wizyta Susłowa, który przyjechał udzielić polskiemu Biuru Politycznemu nagany, jak gdyby nieposłusznym przedszkółkom, albo chamska wizyta Kulikowa w przeddzień pogrzebu prymasa Wyszyńskiego świadczą o zupełnej obojętności na nastroje i uczucia Polaków. Dlatego to do Sowietów trzeba kierować wezwania o rozsądek, trzeźwość, umiar i realizm.

Jasne, że w otwartym konflikcie z nimi Polska musi dziś przegrać – ale czy nie zapłacą za to absurdalnie wysokiej ceny? Czy nie rozkruszą się przy tym murszejące podstawy imperium? Czy perspektywa okupowania Polski nie jest gorsza od perspektywy godzenia się z jej zasadniczą innością?

Jakie są niezbędne warunki poprawnego i rokującego dobre nadzieje na przyszłość ułożenia stosunków polsko-rosyjskich? Są one dwojakie – faktyczne i emocjonalne.

Po pierwsze, należy usunąć rzeczowe, namacalne powody zadrażnień. Jest ich wiele: od takich ograniczeń, jak niezgoda na przystąpienie Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego (IMF), która powoduje np. ogromne i groźne w skutkach trudności w przekwalifikowaniu międzynarodowych zadłużań Polski; poprzez zdominowanie przez Rosjan stanowisk kierowniczych we wszystkich instytucjach współpracy, z RWPG na pierwszym miejscu; szarogesiennie się Armii Czerwonej w Polsce (nieujęte już w żadne ujawnione ramy umów sojuszniczych); aż do propagandowych nagonek i zastraszania. Bez zaprzestania tego wszystkiego istotnie szkoda czasu na rozprawianie o przyjaźni, bo całe postępowanie władz ZSRR wywołuje żywiołowy antysowietyzm. I nic nie pomaga

zapewnienia, że nasza współpraca gospodarcza i wymiana handlowa z ZSRR są dla Polski bardzo korzystne. Może i tak; jest to na wielu odcinkach bardzo prawdopodobne, ale dopóki całość obrazu tonie w mrokach narzuconej tajemnicy, dopóty nikt w poszczególne fakty nie uwierzy.

Po drugie, niezbędne jest wytworzenie sprzyjającego klimatu emocjonalnego. Nie da się tego osiągnąć bez możliwości otwartego mówienia i pisania o historii, także najnowszej, z wrześniem 1939, Katyniem i Powstaniem Warszawskim włącznie; a także o losie Polaków zamieszkałych nadal w ZSRR. Bez prawdy o dawnych i dzisiejszych stosunkach polsko-sowieckich i bez przyznania Polakom w ZSRR praw takich, jakie przysługują mniejszościom narodowym w PRL – złego klimatu się nie zmieni.

Jeżeli ktoś stwierdzi, że są to żądania zbyt wygórowane, odpowiemy: cel, jakim jest pojednanie dwóch narodów, jest godny ogromnego wysiłku. Niechże za przykład posłużą mądre i odważne słowa biskupów polskich, którzy w roku 1966 zwrócili się do Niemców o wybaczenie tych win, które mają na sumieniu Polacy. Te słowa stały się podwaliną przyszłego pojednania.

Znajdujemy się w tej chwili w krytycznym momencie stosunków polsko-sowieckich. Istnieje historyczna szansa, może największa w tym stuleciu, otwarcia nowego rozdziału w dziejach narodów słowiańskich wschodniej Europy. Przywódcy sowieccy mądrą decyzją tolerancji, poszanowania głoszonego przez nich samych prawa narodów do samostanowienia mogą zerwać z tradycją wrogości, ucisku i nienawiści. Natomiast decyzja ingerencji lub interwencji przekreśli chyba już na zawsze nadzieje na pojednanie.

[7-8/1981]

REDAKCJA

„Solidarność”

Od chwili powstania rok temu „Solidarność” znajduje się w centrum uwagi całej Polski. I jest „Solidarność” na ustach świata. Nie było w bogatych przecież dziejach naszego kraju ruchu społecznego tej skali i tego znaczenia. Ruchu, który budziłby tyle nadziei – i tyle obaw. Ruchu, który wedle publicznych oczekiwań spełniać musi tyle funkcji.

Nic dziwnego, że wywołuje też liczne nieporozumienia i żale, pretensje i rozczarowania – zwłaszcza u tych, którzy patrzą nań z daleka. Warto więc w rocznicę powstania „Solidarności” zadać sobie parę prostych pytań, zastanowić się nad istotą tego niebywałego fenomenu, a przede wszystkim nad szansami i warunkami spełnienia przez „Solidarność” tych wszystkich ról i zadań, które przed nią stoją.

Zacznijmy od stwierdzeń najprostszych. „Solidarność”, skupiająca około dziesięciu milionów członków, czyli przeszło połowę Polaków w tzw. wieku produkcyjnym, jest związkiem zawodowym o liczebności i strukturze, jakiego nie było dotychczas nigdy i nigdzie. Połączenie w ramach jednego związku ludzi pracujących w zupełnie różnych zawodach i warunkach, ludzi o różnych kwalifikacjach, poziomach życia, potrzebach i przyzwyczajeniach życiowych – musi sprawiać, że dla utrzymania jedności organizacyjnej i względnej spójności form działania potrzebne są bardzo silne motywacje jednoczące, które stanowiłyby przeciwwagę dla licznych odmienności postaw i rozbieżności interesów.

Te jednoczące, integrujące motywacje miały od początku charakter przede wszystkim moralny, a szerzej duchowy. Przyciągał ludzi do „Solidarności” i skupiał w jej obrębie protest przeciwko poniżaniu, oglupianiu i oszukiwaniu, dążenie do ludzkiej godności, do prawdy, sprawiedliwości, swobody przekonań i wiary. Pobudki ekonomiczne oddziaływały i oddziałują nadal potężnie, ale nie są do tego stopnia integrujące, bo i poziom życia członków „Solidarności” jest bardzo różny, i stopień zrozumienia problematyki gospodarczej, a co za tym idzie hierarchia ważności żądań w tym zakresie są bardzo rozmaite. Dlatego też do najbardziej niezwykłych cech „Solidarności” jako związku zawodowego należy rola wspólnoty duchowej w utrzymywaniu względnej choćby spójności organizacji.

„Solidarność” powstała i istnieje jako ruch obrony interesów pracowni-
czych, a także obywatelskich. Jest więc w zasadzie, z założenia, z samej swojej
istoty ruchem defensywnym. Okazało się jednak, że istniejące struktury polity-
czne i gospodarcze, czyli, mówiąc po prostu, system ekonomiczny i ustroj poli-
tyczny PRL, przeciwko którym „Solidarność” miała bronić swoich członków, są
tak słabe, tak przeżarte nieudolnością, bezsenssem, korupcją, do tego stopnia
oparte na lekceważeniu uczuć, nadziei i potrzeb społeczeństwa polskiego, że
rozpadają się same, okazując swoją całkowitą niewydolność. To z tego powodu,
nie w wyniku działań „sił antysocjalistycznych”, spisków, imperialistycznych in-
tryg czy też czyichkolwiek świadomych usiłowań, istniejący w Polsce system
społeczno-gospodarczy i polityczny sypie się w oczach. Powstanie ruchu obron-
nego, jakim jest „Solidarność”, tylko ten rozpad przyspiesza, ale nie jest jego
przyczyną.

I oto „Solidarność” musi wobec praktycznego nieistnienia innych możliwości
przejść na siebie rolę twórczą i kształtującą, przede wszystkim rolę pomocnika,
a nawet wyręczyciela organów administracji państwowej i najrozmaitszych in-
stytucji społecznych. Musi walczyć o wolność słowa i religii, domagać się rzetel-
ności informacji, przeciwdziałać marnotrawstwu, żądać przeprowadzenia refor-
my systemu gospodarki narodowej (a nawet projektować zasady i sposoby jej
przeprowadzenia), a także reformy administracji państwowej i terenowej, dbać
o wymiar sprawiedliwości tak w zakresie obrony niewinnych, jak i karania win-
nych, musi zajmować się ochroną zdrowia i środowiska naturalnego, oświatą,
kulturą, powstrzymywaniem plagi alkoholizmu itd., itd. – sprawami, którymi
w społeczeństwach demokratycznych zajmują się liczne ciała, specjalnie do tych
celów powołane.

Trzeba to powiedzieć bardzo wyraźnie: „Solidarność” wcale nie pchała się
do podejmowania odpowiedzialności za te liczne dziedziny i aspekty życia spo-
łecznego, gospodarczego, państwowego i kulturalnego, którą jej sytuacja lata
1980 i późniejsze wydarzenia narzuciły. „Solidarność” nigdy nie przypisywała
sobie ani „kierowniczej roli” w PRL, ani nie chciała decydować o treści i meto-
dach przeprowadzenia licznych reform gospodarczych i administracyjnych. Za-
rzucając „Solidarność”, że nie spełniła takich czy innych zadań, że zawiodła tak-
kie czy inne nadzieje, trzeba pamiętać, że owe zadania zostały ruchowi związko-
wemu narzucone przez okoliczności, a nadzieje wiązano z nim nie dlatego, że
wiele obiecywał, ale dlatego że inne struktury zawiodły.

Władze PRL, które wielokrotnie i usilnie apelowały do „Solidarności” o „po-
parcie programu odnowy”, pomoc i współodpowiedzialność – z jeszcze większą
usilnością przeszkadzają niezależnym siłom społecznym w Polsce w rzeczywistej
odbudowie i niezbędnej przebudowie systemu zarządzania i gospodarowania.

Trochę tylko rzecz upraszczając, powiedzieć można, że partia i rząd są zbyt
słabe i nieudolne, aby wypełniać obowiązki, które same na siebie przyjęły, ba,
które sobie uzurpowały. Wiedząc, że zdaje sobie z tego sprawę cały naród, ape-

lują o wsparcie do „Solidarności” (i do Kościoła), ale zarazem broniąc swojego
zakresu władzy (czy jej pozorów), nie dopuszczają do rzeczywistego partner-
stwa. (Aby dobrotnie sparafrazować Lenina: władza nie może już rządzić po
staremu – a po nowemu nie potrafi).

Najbardziej uderzającą i znamieną ilustracją tego stanu rzeczy jest fakt, że
„Solidarność”, pragnąc przyczynić się do ratowania gospodarki polskiej od
ostatecznego upadku, inicjuje i popiera ruch samorządów pracowniczych – zda-
jąc sobie sprawę, że w ten sposób stwarza sobie oponenta. Samorząd taki bo-
wiem ma za cel główny wyłonienie zarządu przedsiębiorstw, a następnie nowej
struktury administracyjnej. Będzie więc reprezentował interesy nie pracowników,
ale zakładów pracy. Będzie musiał dbać przede wszystkim o efektywność produ-
kcji, a nie o dobrobyt pracowników. Jak to zwięźle wyraził przewodniczący „Soli-
darności” regionu Mazowsze Zbigniew Bujak: „Oczywiście tworzący się samorząd
będzie naszym przeciwnikiem, co więcej, musi być przeciwnikiem... Kiedy przy-
jdzie do wypracowywania programu dla przedsiębiorstwa, samorząd będzie za-
siadał po drugiej stronie stołu”. W tym absurdalnym układzie rzeczy „Solidar-
ność” musi więc zadbać o reprezentowanie dwóch stron, których interesy są
często, a zwłaszcza w okresach kryzysów gospodarczych, sprzeczne. I znowu:
podejmuje to zadanie, bo nikt inny podjąć go nie potrafi, nie chce, nie odważa
się. Nikt inny zresztą nie rozporządza niezbędnym kapitałem zaufania.

Skoro społeczeństwo nie ma zaufania do władzy, a do kierownictwa gospo-
darczego w szczególności, a zrujnowana gospodarka wymaga wyrzeczeń, pracy
bez odpowiedniej płacy i aprowizacji oraz obniżenia stopy życiowej – „Solidar-
ności” przypada w udziale rola jeszcze bardziej dziwaczna: namawianie robotni-
ków, aby pracowali ciężiej, aby szafowali swoimi siłami i zdrowiem, aby – subie-
ktywnie biorąc – dawali się wyzyskiwać. Związek obrony pracowników ma się
stać ich naganiaczem. I tej roli „Solidarność” nie chce – ale jest w nią wpędzana.
Wpędzana nie tylko przez władze, tyleż nieudolne co chytne. Wpędzana jest
również przez tę prawidłowość socjopsychologiczną, że Polacy potrafią znakomicie
pracować zespołowo, ale tylko wówczas, kiedy czują na sobie oczy zbiorowości
i mają świadomość sensu swojego wspólnego wysiłku; nie mają zaś wdrożonego,
zinternalizowanego poczucia obowiązku dobrej roboty, którą trzeba wykonywać
niezależnie od tego, czy ktoś na nas patrzy, czy nie – tego poczucia obowiązku,
który każe na przykład Niemcom pracować pilnie nawet wówczas, gdy dokoła
walą się wszystkie ustalone struktury. W gospodarce polskiej, poza rolnictwem
indywidualnym, poczucie sensu zbiorowego wysiłku zostało niemal doszczętnie
poderwane. I musi je odtwarzać, o ironio, związek zawodowy.

Być może wielostronne usiłowania „Solidarności” są tylko porywaniem się
z motyką na słońce. Ale pamiętajmy: motykę „Solidarności” w ręce wciśnięto.
I nie na „słońce” się porywa, ale aby załatwić sprawy najzupełniej podstawowe,
niezbędne – nie jakieś tam społeczne czy ideologiczne luksusy, lecz sprawy, bez
których załatwienia społeczeństwo nasze po prostu nie może przetrwać.

Główną przeszkodą w wykonywaniu przez „Solidarność” zadań, które postawił przed nią polski los i które jej wyznaczyły aspiracje naszego społeczeństwa, jest brak narzędzi wykonawczych. Pozbawiona egzekutywy, nieposiadająca przedstawicielstwa w oficjalnych organach władzy, spychana do roli opozycji (a jednocześnie wzywana do współodpowiedzialności), „Solidarność” rozporządza jako środkiem nacisku, sposobem wywierania praktycznego wpływu na decyzje i postępowanie władz, tylko strajkiem. Strajk natomiast jest typowym orężem defensywnym. Nadaje się dobrze do obrony interesów pracowniczych – ale źle do wszystkich innych zadań i celów. Ponieważ zaś, jak powiedzieliśmy, stawia się ciągle przed „Solidarnością” zadania o charakterze ofensywnym i tworzącym, wypycha się cały ruch w położenie paradoksalne, by nie powiedzieć (biorąc pod uwagę rozpaczliwą sytuację kraju) tragiczne.

Czy musimy tedy dojść do wniosku, że „Solidarność” stoi przed zadaniami niemożliwymi do wykonania? Niewykluczone, że tak. Nie powinniśmy jednak tego stwierdzenia uważać za pewne, choć przemawiają za nim silne argumenty. Co jest natomiast pewne, to to, że aby „Solidarność” zdobyła jakiekolwiek szanse sukcesu, konieczne jest szukanie rozwiązań i sposobów zupełnie nowych, podziałów ról nigdy dotychczas niepraktykowanych, form organizacyjnych i więzi społecznych nigdy na tę skalę nieuruchamianych. Trzeba będzie tak często i tak skutecznie sięgać do uczuć i idei jednoczących większość społeczeństwa, jak to się dotychczas zdarzało tylko w krótkich okresach wielkich wydarzeń ogólnonarodowych (jak rok 1920). Ale „Solidarność”, powtórzmy, jest zjawiskiem, jakiego nie było w dziejach Polski ani w dziejach świata: sama jej nazwa jest wyzwaniem rzuconym wszystkim teoriom o nieuchronności społecznych konfliktów i podziałów. Wszystko, co się jej dotychczas udało, udało się po raz pierwszy.

[9/1981]

STEFAN KISIELEWSKI

O nowe hasło

Polska w nędzy, w sytuacji mętnej, nieprzejrzystej, gdzie nie widać ani wyjścia, ani konkretnej i zrozumiałej propozycji wyjścia, ani wreszcie całościowego hasła, które mogłoby ludzi zapalić, zachęcić, dać im impuls do działania i do pracy, otworzyć nową perspektywę. Owszem, młodzież z „Solidarności” walczy, upojona możliwością działania, jakiej nie było w Polsce przez parę dziesięcioleci, wychodzą przeróżne pozacenzuralne pisma, książki, broszury, trwa festiwal rocznic, przemówień, głosowań, swobody, ale społeczeństwu jako całości brak nowej, narodowej perspektywy, która wyraźnie naznaczyłaby sobą początek kolejnego i twórczego etapu naszej historii. Toż nawet komuniści na początku tak dzisiaj zbankrutowanej „Polski Ludowej”, choć startując z niekorzystnej pozycji, bo pod jawnymi auspicjami sowieckimi, potrafili rzucić kilka plakatów, lecz bardzo konkretnych haseł, które znalazły pewne społeczne echo i niejednokrotnie stały się motywacją do pracy u wyposzczonych, znużonych niemiecką okupacją „szarych” ludzi. Dziś natomiast w Polsce mamy, owszem, inflację haseł szczytnych, demokratycznych, narodowych, padają piękne słowa o wyborach, samorządności, niezależności, samostanowieniu, lecz to są hasła ramowe, na wyrost, niewypełnione konkretną treścią społeczno-ustrojową. Oczywiście, w dziedzinach że tak powiem „humanistycznych”, w publicystyce, literaturze, historii, w świadomości politycznej dokonano się mnóstwo rzeczy przełomowych, lecz za ową humanistyką nie podążyła koncepcyjna myśl społeczno-gospodarcza. Z wielkiej chmury spadł tutaj mały deszcz, debaty o reformie gospodarczej utknęły na niczym, ekonomistom, zdolnym skądinąd pozaczasowym teoretykom, zbrakło egzekutywy politycznej, z pomocą której mogliby przezwyciężyć opór aparatu partyjno-administracyjnego, który rządził produkcją i myślą, że będzie nią rządził dalej. W czym zresztą nie przeszkadza mu specjalnie tak przez Marksa reklamowana klasa robotnicza, która, wychowana w naszym systemie kapitalizmu państwowego, bynajmniej nie kwapi się do przejścia władzy nad produkcją, nikt w dodatku nie wie, jak by takie zbiorowe zarządzanie miało wyglądać. Zresztą, rozumuje niejeden, skoro nie ja wywołałem kryzys, to dlaczego mam teraz brać za niego odpowiedzialność? Niech odpowiada ten, co jest winien i niech płaci! A jak płacić nie chce czy nie może – wziąć go strajkiem!

I w ten sposób wytwarza się błędne koło, sytuacja się zarazem degeneruje i petryfikuje, a teza, iż naprawiać zegarek powinni wyłącznie ci, co go zepsuli, sprzyja dalszym rządów biurokracji partyjno-administracyjnej, sprawowanym nad tym, co stanowi sedno i serce problemu: nad gospodarką. Jeśli bowiem, jak mówił Marks, wolny jest ten, kto posiada środki produkcji, to w ustroju naszym nikt właściwie nie jest dotąd wolny (może najwyżej chłopci?!), choćby mógł pisać poza cenzurą, głosować i strajkować. Nikt nie jest wolny, nie mając wpływu na strukturę ustrojową naszego życia, nie mając w ogóle jasnej i konkretnej koncepcji przetworzenia tego życia, strzegąc się ponadto ze względów rzekomej mądrości taktycznej używania zbyt wyraźnych haseł, zapowiadających tę przemianę. Nie mieszajmyż pozorów wolności z jej istotą, a gromkich, lecz bezszelestnie wsiąkających w eter słów z czynami i konkretem! Owszem, od słów się zaczyna, lecz królowanie samych słów nie może trwać za długo.

Symbolem dążności petryfikacyjnych jest dla mnie postawa dwóch ludzi: Jaruzelskiego i Wałęsy. Pierwszy chce za wszelką cenę utrzymać resztki systemu i władzy, najwyraźniej bardziej się bojąc Rosjan niż własnego społeczeństwa, co może się okazać nie najrozsądniejsze, wybuch bowiem raczej w tej chwili grozi od wewnątrz niż z zewnątrz. Drugi, specjalista od pertraktacji i kompromisów, chce zachować partnera do tych pertraktacji – partnera, od którego można żądać tego i owego, nie angażując się samemu we władzę. Obaj, plus nowy prymas, zalecają rzekomą ostrożność – rzekomą, bo właśnie nic nierobienie i niczego niezmienianie może, wobec rosnącej nędzy, doprowadzić do irracjonalnego, oddolnego wybuchu. A wtedy dopiero wszystko co najgorsze stanie się możliwe!

Rzecz w tym, że „szary” człowiek z ulicy nie rozumie przyczyn tak gwałtownego i katastrofalnego gospodarczego kryzysu, a ekonomiści nie umieją mu tego prosto wytłumaczyć: zawiłości ustroju były niepojęte, to zresztą ustrój w istocie tajny, nieznan obywatelom, którzy go, nieraz w dobrej wierze, „budowali”. Zaś dla ekspertów kapitalistycznych fakt, że olbrzymie pożyczki zagraniczne, miały przynieść korzyść, doprowadziły do katastrofy, to coś w rodzaju negatywnego cudu. Nie da się przy tym zważyć sprawy na luksusowe życie odgórnych rabusiów, bo nawet najbardziej wyrafinowany złodziej w rządzie nie byłby u nas w stanie ukraść niepostrzeżenie 20 miliardów dolarów – teraz zresztą „winnisiemy” już światu około 30. Trzeba więc skończyć z oskarżeniami personalnymi, a także z zawiłymi tłumaczeniami ekonomistów i wyjaśnić ludziom sytuację prostym hasłem, działającym i wstecz, i wprzód: winne jest państwowe władanie środkami produkcji, czyli marksistowski socjalizm w rosyjskiej, leninowsko-stalinowskiej wersji. Doprowadził on wszakże do permanentnego kryzysu w Związku Sowieckim (kupowanie olbrzymich ilości zboża oraz technologii na Zachodzie); małe kraje, jak Węgry i Czechosłowacja, bronią się przed nim unikaniem wielkich inwestycji i drobnotowarową wymianą handlową z Zachodem, zreformowana Jugosławia broni się przed nędzą pracą miliona swych obywateli za granicą oraz turystyką. Natomiast duża i najbardziej zniszczona

wojną, pozbawiona mieszczaństwa Polska stała się klasyczną ofiarą leninowsko-stalinowskiej koncepcji wielkich inwestycji politycznych, mających na celu szybkie przerobienie kraju rolniczego w przemysłowy. Skutek – wiadomy. A więc jedyne możliwe hasło to odejście od socjalizmu i powrót, jeśli nie do kapitalizmu, który trudno na poczekaniu wytrzasnąć z rękawa, to do indywidualnej gospodarki rynkowej.

Widzę już zgorszenie naszych „tastyków”, że takie otwarte mówienie to jest awanturnictwo, które doprowadzi Polskę do zguby (tak jakby petryfikowanie obecnej bezwyjściowej sytuacji nie prowadziło do owej zguby najkrótszą drogą). Słowa „socjalizm” jako barwy ochronnej używają u nas wszyscy, od Wałęsy do Jaruzelskiego i od prymasa do Reiffa, nawet owych 35 intelektualistów (cóż za grupą!), usiłujących wymyślić coś nieszablonowego, plotło znowu o konieczności ratowania „polskiego socjalizmu”. Tymczasem ja sądzę, że czas już wreszcie wyrwać się z owego błędnego koła wywołanego przez żonglowanie wieloznacznością słowa „socjalizm”, które to słowo staje się w istocie elementem petryfikacji nonsensów, paraliżując wszelką ideową i ustrojową energię mutacyjną. Słowo to ma nas niby chronić, w istocie nie da się przy jego pomocy ani nikogo oszukać, ani nikogo ochronić. Rosjanie już dawno uważają, że wszyscy razem, hurtem czy z osobna, chcemy odejść od socjalizmu, a słowa „socjalizm” używamy ze strachu przed nimi. Bardzo to wszystko niepedagogiczne: nigdy nie należy okazywać strachu, bo wtedy dopiero pies nas pokąsa. I nie można również używać kłamstwa jako sposobu ratowania prawdy – to się musi zemścić.

Komunizm rosyjski jest to marksizm wprowadzony siłą (wraz z leninowskimi dobudówkami politycznymi), który, jeden jedyny z marksizmów, wytrzymał próbę historii. Nigdzie bowiem indziej, poza totalistycznymi krajami komunistycznymi, nie ma marksistowskiego socjalizmu ani, pogódźmy się wreszcie co do terminologii, żadnego doktrynalnego socjalizmu. Nawet w krajach Zachodu, gdzie rządzą tzw. socjaliści (socjaldemokraci), nie ma socjalizmu, jest po prostu pragmatycznie i demokratycznie zreformowany kapitalizm, skończy się na tym i we Francji. Zaś w najbogatszych i najbardziej technicznie rozwiniętych krajach świata, jak USA, Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka, nie ma w ogóle hasła „socjalizm”. Byłoby tam niezrozumiałe, nieaktualne, zważywszy, że marksizm, jako całościowy zbiór proroctw ekonomiczno-społecznych, okazał się błędny i – choć w swoim czasie dał impuls dla demokratyzujących kapitalizm ruchów robotniczych – dziś stracił sens, a wprowadzać go można tylko terrorem: historia nie jest już po jego stronie, jedynie sztuczny wiatr może jeszcze czasem i chwilowo nadymać jego żagle. Bowiem tylko imperialistyczne marzenia Rosjan lub Chińczyków aktualizują na pozór tę martwiącą doktrynę.

W tej sytuacji przed Polską jest tylko jedna droga: rzucić otwarcie hasło odwrotu od socjalizmu (o co nas i tak nie bez racji podejrzewają) i budowania, a raczej odradzania gospodarki rynkowej. Będzie to arcypedagogiczne i pouczające.

jące dla całego świata, zwłaszcza gdy pozostając, co niezmiennie podkreślam, w Bloku Wschodnim, udowodnimy, że problemy i związki geopolityczne i narodowe ważniejsze są i trwalsze niż wszelkie mózgowo wykoncypowane teorie społeczne lub ekonomiczne. A i Rosjanom taka nasza odwaga wiele da do myślenia – zresztą oni w głębi duszy dobrze już wiedzą, że kapitalizm jest dla ludzi lepszy – nie na darmo kupują tyle na Zachodzie...

Jak odbudowywać rynek i gospodarkę indywidualną? Na wszelkie sposoby, zaczynając również od dołu. Jeśli u nas nie ma mydła, a ktoś prywatny zechce się podjąć tej nie najbardziej skomplikowanej produkcji, oddać mu trzeba państwowe maszyny i pozwolić na sprzedawanie wytwarzanych produktów po ile chce, choćby za dolary. Słowem skrajny „NEP”, rozwalanie centralnego planu ze wszystkimi jego konsekwencjami – tylko to rozbudować może ekonomiczne ambicje w społeczeństwie. Oczywiście nie będzie tego realizować żadna „klasa robotnicza”: to sztuczne, wydumane przez inteligenta Marksa pojęcie nie ma dziś, przy rozwoju techniki i wynalazczości, żadnej prometejskiej przyszłości, choć u nas stało się ciałem, bo nasza odgórna rewolucja tworzyła na siłę kadry robotnicze, aby potwierdzić teorię: wóz stawiano tu przed koniem. Ale w prawdziwie uprzemysłowionych krajach, w USA, Szwecji, RFN, grupa robotnicza ani nie jest dzisiaj przodująca, ani liczna, ani rewolucyjna – to już „białe kołnierzyki”, podpory kapitalizmu. I u nas droga do reformy i odrodzenia nie wiedzie przez działaczy przejściowych typu Wałęsy, będących w istocie *à rebours* wytworami systemu, lecz przez nowy typ prężnego, indywidualnego producenta, który oby jak najszybciej się wytworzył.

Odradzając rynek oddolnie, działajmy i odgórnie, korzystając z pomocy zagranicznego kapitału, ale tym razem już nie absurdalnie, lecz w sposób ekonomiczny, właściwy gospodarce rynkowej i jej sposobom działania. Przedtem Zachód władował miliardy w budowanie naszego socjalizmu, co było nonsensem, bo marksistowskiego kolektywizmu nie buduje się kapitałem, lecz terrorem – inaczej się on nie utrzyma. Tamte długi trzeba anulować, nie przyznawajmy się do nich, otrzymali je socjaliści – nie nasza sprawa. Nam przydadzą się nowe kapitały, tym razem na budowę polskiego kapitalizmu, przyjmujemy je, wraz z rozsądnymi warunkami ich zużytkowania – udzielanie komunizmowi kredytów bez warunków ustrojowych to była największa bzdura naszych czasów!

Proste i wyjaśniające wszystko hasło odrzucenia kolektywizmu i odtworzenia produkcji indywidualnej to jedyny, jaki widzę impuls mogący wyrwać Polaków i psychicznie, i materialnie z ich obecnego, katastrofalnego stanu. Niech mi przy tym nikt nie mówi, że to hasło „nieostrożne” czy „niebezpieczne”, że trzeba zachować ochronną pokrywkę słowa „socjalizm”. Nikogo tą pokrywką nie oszukamy prócz siebie samych, a im prędzej mętny terror tego słowa zostanie u nas unicestwiony, tym dla wszystkich (z Rosjanami włącznie) lepiej. Nie mamy nic do stracenia i nie mamy czasu, grozi nam bowiem rzeczywiste niebezpieczeń-

stwo zraty narodowego bytu, jakim będzie przyzwyczajenie się polskiego społeczeństwa do jaskiniowych warunków egzystencji, utrata wszelkiej prężności i ambicji cywilizacyjnej. A wtedy z bohatera Europy staniemy się jej pośmiewiskiem i żebrakiem – do tego tylko jeden krok!

Paryż, 7 listopada 1981

[12/1981]

Nasza ocena

„Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym”.

Józef Piłsudski na konferencji niepodległościowych organizacji politycznych, 25–26 sierpnia 1912 roku w Zakopanem

O północy dnia 12 grudnia rozpoczęła się jeszcze jedna polska tragedia narodowa. Rozległy się dzwonki do mieszkań; zaczęto aresztowania na skalę podobną do tego, co działo się na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej po 17 sierpnia 1939 roku. Rozpoczął się gigantyczny pogrom największej w dziejach Polski organizacji – „Solidarności”. Wykonawcami byli Polacy. Wojsko polskie, o którym tak piękne krążyły legendy – ostatnio o wiele piękniejsze za granicą niż w kraju – przystąpiło do pacyfikacji własnej, niedawno rozbudzonej do wolności ojczyzny. Mit pewnego dogadania się „Polaka z Polakiem” skończył wraz z zatrzęsnięciem się drzwi aresztu za Lechem Wałęsą.

Kiedy piszemy te słowa 19 grudnia, nieznane są ani ostateczny wynik akcji pogromowej („normalizacji”, jak się to zaczyna wzorem czeskim nazywać), ani liczba krwawych ofiar, ani pełny zasięg aresztowań. Cztery fakty widać wszakże jasno:

1. Chociaż pogrom dokonywany jest polskimi siłami (co daje wielu rządowi łatwy pretekst do mówienia o „wewnętrznej sprawie polskiej”), siłą sprawczą jest Moskwa. Nie musimy się opierać na domysłach; można przytoczyć bezpośrednie autorytety: artykuły w „Izwiestiach” i „Prawdzie”, zapewniające, że „zachowanie rewolucyjnych zdobyczy narodu polskiego” jest sprawą dotyczącą „bezpośrednio żywotnych interesów wszystkich narodów i państw, które wybrały drogę socjalizmu”, a także obwieszczające stan wojenny przemówienie Wojciecha Jaruzelskiego, w którym mówi o „suwerenności Polski” zobowiązującej do samodzielnego uporania się z zagrożeniem. Żadnemu przywódcy naprawdę suwerennego państwa takie oświadczenie nie przysłoby nawet do głowy; sedno sprawy leży w domyślnym uzupełnieniu: jeżeli nie zademonstrujemy naszej suwerenności w ten właśnie sposób, zrobi to za nas kto inny.

2. Zakres narzuconych społeczeństwu ograniczeń jest tak ogromny – szerszy niż podczas ostatniej wojny, kiedy np. nie wyłączono telefonów, nie przerwano wymiany pocztowej i nie zakazano podróży – że sprowadzają się one do zamachu stanu przeciwko całemu narodowi. Najjaskrawszym tego wyrazem jest

przerwanie wszelkich, poza dwoma dziennikami, publikacji prasowych. Nie mamy więc do czynienia z jeszcze jednym puczem wojskowym czy zmianą partyjnej ekipy: jest to najraptowniejsza w dwudziestowiecznej historii Europy próba zaprowadzenia reżimu totalitarnego.

3. Jawnie położono kres „kierowniczej roli partii”. Nie słyhać o niej w oficjalnych wypowiedziach, jej aparat przestał działać jako całość, wielu członków władz rozmaitych szczebli zostało izolowanych lub aresztowanych. To, na co nie odważała się porywać „opozycja”, zostało dokonane przez partyjną soldateskę. Ale dokonane za zgodą i zachętą Moskwy. Na tych zasadach wolno wszystkim, byle nie nazywać rzeczy po imieniu.

4. Skończył się też trwający od ponad pięciu lat okres unikania przemocy. W tym okresie władze stosowały przemoc ukradkiem i marginalnie; ruchy wolnościowe, a potem „Solidarność”, NZS, inne związki i cała „opozycja” wyrzekały się jej zasadniczo i ostantacyjnie. Przemoc i gwałt były niemodne; ktokolwiek by je zalecał lub nawet dopuszczał w swoich planach – stawiał się poza obrębem przyjętych reguł gry. Teraz władze łamały owe reguły. Przemoc wchodzi znowu do normalnego repertuaru środków i trudno oczekiwać od przeciwników reżimu, aby godzili się na los biernych ofiar.

Nie wiemy dziś, powtórzmy, jaki będzie bezpośredni skutek pogromu. Skape i wyrwykowe wiadomości zdają się świadczyć o sporadycznym i rozsianym oporze, który władze stopniowo choć nie bez trudu tłumią. Ten opór, który stanowi naszą największą szansę, może jeszcze trwać – i im dłużej potrwa, tym większe będą jego możliwości rozszerzania się, osłabienia spoistości wojska, rozzerwania obręczy przemocy, zmuszenia władzy do rokowań.

Jeżeli jednak pogrom się powiedzie, przyniesie tylko czasowe opanowanie sytuacji. „Normalizacja”, a właściwie pacyfikacja, nie rozwiąże żadnego spośród problemów i konfliktów, które wywoływały dotychczas ferment w społeczeństwie polskim i doprowadziły do przemian w lecie 1980 roku; przeciwnie, dodaje do nich nowe i ostrzejsze. Przyduszenie płomienia gniewu podnosi zarazem jego ciśnienie. Następny wybuch może okazać się krwawy od pierwszej chwili: przepowiadali to niejednokrotnie nawet działacze partyjni. Moskiewscy inspiratorzy wojskowej „rady ocalenia narodowego” nie powinni się łudzić. Dopóki nie zaczną traktować Polaków jako partnerów, nie wasali – dopóty Polska po zostanie beczką z prochem. Powinien o tym pamiętać również Zachód. To prawda, że nastawienie opinii publicznej na Zachodzie jest dla Polaków niebywale życzliwe; głosy sympatii dla „Solidarności” są masowe i wzruszające. Ale niejedynemu przywódca zachodni (z Helmutem Schmidtem na czele) marzy najwidoczniej o tym, aby znowu „porządek zapanował w Warszawie”, jak 150 lat temu. Jeżeli zapanuje, będzie to porządek złudny. Normalizacja przy pomocy terroru musi okazać się fikcją. Tymczasem zaś wstrząsliwa reakcja Zachodu na pogrom w Polsce zachęca tylko ZSRR do dalszego awanturnictwa, przekonuje, że stosowanie przemocy w sporach politycznych jest nadal oplącalne.

Jak do tego doszło? Historia ostatnich siedemnastu miesięcy jest przeładowana wydarzeniami, odmiennymi od wszystkiego, co działo się przedtem i gdzie indziej. Z trudem poddaje się dziś analizie; musimy się ograniczyć do ogólnych stwierdzeń i hipotez.

Polskie lato 1980 wybuchło nagle. Spodziewano się go, choć nie w tej postaci i skali; pracowano na nie – choć przygotowując nie to, co nastąpiło. Sukces strajków lipca i sierpnia 1980 roku był dziełem determinacji i żywiołowej, autentycznej jedności postaw i celów; ale był również, na planie czysto praktycznym, dziełem szczęśliwego zbiegu okoliczności – w stopniu większym, niż to sobie potem chciano uświadomić. Szczęście polegało na rozkładzie i paraliżu władz. Rezultat był tak olśniewający, że zaniedbano zastanowienia się, co byłoby się stało (i co może się stać w przyszłości), gdyby władza zachowała się inaczej.

Wybuch „Solidarności” unieruchomił w praktyce kierowniczą rolę partii, która nie była już w stanie, jak do tego przywykła, narzucać społeczeństwu swojej woli. Również uczestnictwo PRL w Układzie Warszawskim zredukowane zostało do poziomu teoretycznego zobowiązania. Deklarowanie, że się tej kierowniczej roli ani uczestnictwa w sojuszach nie kwestionuje, było zabiegiem rytualnym, bardzo ważnym, ale pozbawionym praktycznego pokrycia. Tymczasem Kreml, przywiązujący wielką wagę do formalnych pozorów, jeszcze większą przykładą do rzeczywistego układu sił. Oskarżając „Solidarność” o podważanie ustroju i chęć jego obalenia, przywódcy i komentatorzy sowieccy mieli w swoim poczuciu pełną rację, bo nie chodziło im wówczas o słowa, ale o fakty. A fakt zasadniczy stanowiło to, że Polska przestawała być dyspozycyjna. Kierownictwo KPZR zajmowało więc od początku stanowisko jednoznaczne: zmiany, zachodzące w Polsce, można tolerować tylko tymczasowo, są one nie do przyjęcia.

Opór polskich sfer rządzących wobec postulatów społeczeństwa wynikał w znacznej mierze z tego właśnie, że dla kierownictwa PZPR ważniejsze było nastawienie Kremla niż nastroje i aspiracje własnego narodu. Działy także dwa inne czynniki: chęć obrony własnych interesów oraz niemal zupełny brak wyobraźni politycznej. Władza ustępowała jedynie pod silnym naciskiem. Oczyszczanie aparatu z ludzi najbardziej skompromitowanych dokonywano bardzo niechętnie; do karania winnych nadużyć w ogóle nie doszło.

W sytuacji kiedy Moskwa uważała bezpośrednią interwencję zbrojną za krok ostateczny, którego usiłowała za wszelką niemal cenę uniknąć – koła rządzące Polską miały szansę przetrwania kryzysu polityczno-gospodarczego na zasadzie dogadania się i kompromisu z niezależnymi związkami zawodowymi i całym narodem. Twierdzimy, że śmiała decyzja dopuszczenia swobodnie wybranych reprezentantów społeczeństwa do współudziału w podejmowaniu decyzji i kontrolowaniu ich wykonania, podjęta dostatecznie wcześniej – np. w maju 1981 roku – mogłaby ocalić wielki eksperyment demokratyzacyjny, czyli polską „odnowę”. Nie stało się tak głównie z winy rządzącego aparatu, który wołał dopuścić

cić do całkowitego niemal zablokowania mechanizmów władzy społeczno-ekonomicznej, niż się tą władzą podzielić.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że przynajmniej część członków władz partyjno-rządowych od kilku miesięcy świadomie przewlekła lub zrywała rokowania, przygotowując równocześnie siły do pogromu. W obliczu niemożności osiągnięcia porozumienia i wygzekwowania udzielanych obietnic – żądania „Solidarności” i innych niezależnych związków rosły z tygodnia na tydzień. Rozpowszechniało się przekonanie, że tylko całościowe i zasadnicze zmiany w systemie politycznym umożliwią niezbędne reformy gospodarcze, wyzwolą inicjatywy społeczne, dadzą narodowi szansę rozpoczęcia procesu wynurzania się z biedy i chaosu. Dialog, szczątki dialogu, stawały się coraz trudniejsze – bo dotyczyły kwestii coraz bardziej fundamentalnych. Już nie rejestracji związków, legalizacji strajków lub samorządu pracowniczego – ale wolnych wyborów. I wówczas część aparatu władzy, najściślej powiązana z Moskwą, zdecydowała się na skok w ciemność, przerwanie wszelkich pozorów porozumienia i otwarty terror.

Czy tak się stać musiało? To pytanie trzeba rozbić na dwie części: czy była inna droga dla władz? i czy „Solidarność” (mówimy o niej, dla skrótu myślowego, jako o całości niezależnych sił społecznych) mogła zapobiec skuteczności pogromu? Na pierwszą część pytania udzieliliśmy już odpowiedzi: można było znaleźć wyjście kompromisowe. Pod trzema warunkami: 1) wykazania większej śmiałości politycznej przez umiarkowaną część kierownictwa partii; 2) objęcia przez umiarkowane koła partyjne kontroli nad MSW i wojskiem; 3) większej dojrzałości politycznej najbardziej głośnych doradców „Solidarności” i przywódców „demokratycznej opozycji”. Decydujący okazał się fakt, że cały aparat przymusu oraz wojsko pozostały nietknięte przez proces „odnowy”, zachowały pełną siłę uderzenia.

Mimo wszystko wydaje się, że pogrom mógł się nie udać. Niezbędnym warunkiem jego sukcesu była słabość i rozproszenie oporu. Przywódcy „Solidarności” przejawiają wielkie męstwo, nie uginając się pod naciskiem władz wojskowych; ale „Solidarność” jako całość okazała się nieprzygotowana organizacyjnie i psychicznie na konfrontację siłową. Nieprzygotowana również – chociaż było wiele wyjątków – na ryzyko ofiar śmiertelnych. Bez podjęcia tego ryzyka była jednak bezbronna. Przywódcy i członkowie związku powtarzali: jedyną naszą bronią jest strajk; wyrzekamy się przemocy; nie będziemy używać siły. Ale nieubłaganą konsekwencją takiej postawy, jeżeli nie ma ona prowadzić do kapitulacji przed przeciwnikiem, który użyć siły się nie zawaha, jest gotowość do ponoszenia męczeńskich ofiar. Jeżeli zaś chce się uniknąć rzezi bezbronnych – trzeba być gotowym do odpowiedzenia przemocą na przemoc, nawet w obliczu drastycznej nierówności sił. Zapewniano się wzajemnie, że wojsko polskie nie będzie strzelać do współbraci. Ale wojsko, o ile wiemy dotychczas, nie zostało postawione w obliczu wyboru: strzelać czy nie strzelać. Do strzelania wy-

starczają na razie oddziały służby bezpieczeństwa i ZOMO. Podziwiamy polskie podziemie lat wojny; podziwiamy dziś Afganów. Podstawą działania i jednych, i drugich była gotowość poświęcenia życia.

Sukcesy ostatnich miesięcy przychodziły nam za łatwo. Za niski był próg strachu, który trzeba było przekraczać. Przed prawdziwą wielką próbą stajemy dopiero teraz. I wolno się obawiać, że dla odrobienia strat politycznych i moralnych, które nam od 13 grudnia zadano, trzeba będzie ponieść znacznie więcej ofiar, niż by poświęcono, stawiając natychmiastowy twardy opór.

Czy można się było lepiej przygotować? Tak. Jakie popełniliśmy błędy? Przede wszystkim daliśmy się porwać upojeniu, iluzji własnej siły, złudzeniu zupełnej niemocy władz; daremnie Wałęsa ostrzegał przed tym na zjeździe w Gdańsku, nawet jeszcze w Radomiu, na kilka dni przed katastrofą. Snuto wielkie plany, opracowywano programy, zapewniano zagranicznych dziennikarzy o „swobodzie manewru politycznego” nowego szefa partii i o niezłomnej potęgze „Solidarności” i sił demokratycznych. Dziś czyta się te zapewnienia z takim samym zażenowaniem, jak artykuły o mocarstwowej Polsce, pisane w latach trzydziestych. Trzeba zresztą sprawiedliwie stwierdzić, że zadania, jakie „Solidarność” musiała wykonać, były w tak krótkim okresie niewykonalne: samorządności i demokracji trzeba się uczyć długo i w spokoju.

Zaniedbano nie tylko przygotowania psychiczne na wypadek konfrontacji; takie przygotowanie było istotnie bardzo trudne. Zaniedbano także pracy nad infrastrukturą ruchów wolnościowych w Polsce. Za wiele było zebrań i oświadczeń, za wiele współzawodnictwa, sporów, wzajemnych oskarżeń (jak podczas klótni o zasługi KOR-u na zjeździe w Gdańsku, jak wewnątrz regionu mazowieckiego „Solidarności”, gdzie szalały mafijność, głupota i histeria) – a za mało przyziemnej roboty nad formowaniem i utrwalaniem struktury organizacyjnej. Działające pod osłoną puklerza „Solidarności” grupy i organizacje polityczne zabawiały się w planowanie gruntownej przebudowy ustroju, ba – nawet układu sił w naszej części Europy; proklamowały ogólnopolskie akcje, ruchy, kluby i konfederacje, odsłaniając w pełni swoje składy personalne. Działano w oczywistym mniemaniu, że bój to jest nasz ostatni, nie zabezpieczono odwodów, pławiono się w jawności. Stracono bezpowrotnie mnóstwo czasu na gadaniu, pisaniu i drukowaniu – a trzeba go było używać także na tworzenie rezerwowych sposobów porozumiewania się tajnych komórek, ukrytych przed służbą bezpieczeństwa siatek. Prawie wszyscy robili czy starali się robić wszystko na raz – nie bacząc na to, jak chytrze rozdzielił role broniący się system. A równocześnie domagano się – najgłośniej ci, którzy powinni byli wiedzieć lepiej, intelektualni, doradcy ze sporym doświadczeniem politycznym – zmian ostentacyjnych, fasadowych, zamiast wykorzystywać możliwość rozwiązań cząstkowych a konkretnych.

Czy, jeżeli pogrom okaże się w tej chwili skuteczny, mamy uznać wszystko za stracone? Z pewnością nie, i w tej postaci postawione pytanie może brzmieć

jak pusta retoryka. Zostanie przecież, może i powinna zostać, świadomość jedności duchowej społeczeństwa, a również jego umiejętności samoorganizacji. Zostanie pamięć o miesiącach swobodnego oddechu, miesiącach bez strachu. „Solidarność” w zdumiewająco krótkim czasie dokonała wielkiego dzieła zjednoczenia ludzi wszystkich sfer i okolic Polski. Przełamała bariery klasowych podziałów, obaliła liczne uprzedzenia. Po latach atomizacji społeczeństwa doprowadziła do niebywałego zbliżenia się ludzi do siebie. Uczyla stawiać interes ogólnonarodowy ponad grupowym. Wyzwoliła ogromne bogactwo inicjatyw jednostkowych i zbiorowych; ujawniła twórczy potencjał narodu. Nagle rozkwitło życie intelektualne – symbolem tego rozkwitu był przerwany przez ogłoszenie stanu wojennego Kongres Kultury Polskiej w Warszawie. W ciągu ostatniego roku opublikowano mnóstwo książek, broszur, a przede wszystkim pism, które trwale pozostaną w dorobku naszej kultury.

Pytanie postawiliśmy jednak nie dla retorycznego efektu, ale aby zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo utracenia nie owej cennej tradycji – lecz wiary w sens działań, podejmowanych i w ciągu ubiegłych kilkunastu miesięcy, i wcześniej. Widać w tej chwili strasliwą groźbę szerokiego i głębokiego rozgoryczenia, zwłaszcza tych, którzy najwięcej z siebie dali, najwięcej zaryzykowali i najbardziej dziś cierpią. Jak po roku 1831, jak po 1863, jak po Powstaniu Warszawskim może nadejść okres żalu i pretensji do tych – przede wszystkim przywódców, jeszcze bardziej doradców i patronów intelektualnych – którzy przywiedli lud polski w pole własnych urojeń i ambicji. Tej groźbie trzeba świadomie stawiać czoła. A przeprowadzając konieczny i surowy rachunek błędów – trzeba stwierdzać, że były one znacznie mniejsze niż zasługi i osiągnięcia.

Polacy mają przed sobą okres nowej wielkiej próby moralnej i politycznej. Społeczeństwo już w tej chwili zaczyna stosować bierny opór; ale nacisk na pokajanie się i kolaborację będzie ogromny, odczuje go zwłaszcza inteligencja. Aresztowania i represje wyeliminowały na czas jakiś z życia publicznego dużą część polskich elit naukowych, kulturalnych i fachowych; gwałtowność prześladowań musiała te elity jeszcze bardziej zrazić do władz PRL. Rada wojskowa jest dziś popierana otwarcie tylko przez figury rodzaju Wojciecha Żukrowskiego; nawet jeżeli uda się jej zmusić lub skłonić do współpracy garść innych – zantagonizowanie środowisk inteligentkich stanowi jeszcze jedną przyczynę, dla której ratowanie gospodarki polskiej przez komunistyczną soldateskę jest przedsięwzięciem beznadziejnym. Zresztą rada wojskowa nie zdaje się poświęcać temu zadaniu wiele uwagi. O poziomie jej „myślenia” ekonomicznego świadczy ogłoszenie po pięciu dniach stanu wojennego, w sytuacji trwających strajków, zamkniętych stoczni i gigantycznych kosztów operacji wojskowej, komunikatu, że stan gospodarki polskiej już ulega poprawie.

Co powinniśmy dziś postulować i robić? Związki zawodowe wolnego świata mają obowiązek jak najusilniejszego dopominania się o swoich uwięzionych i pozbawionych praw kolegów w Polsce. To, co się dzieje w naszym kraju, jest

wyzwaniem rzuconym międzynarodowemu braterstwu ludzi pracy – o którym wypowiedziano tyle wzniosłych słów. Nieskrępowane wymogami (rzeczywistymi czy urojonymi) politycznej taktyki związki zawodowe wolnego świata, a także stowarzyszenia twórcze i naukowe mogą i powinny brać w opiekę prześladowanych Polaków, organizować dla nich pomoc lekarską, żywnościową i prawną. Związki zawodowe mają też obowiązek wywierania presji na rządy swoich państw, które z ociąganiem tylko potępiły niebawem przecież w cywilizowanym świecie prześladowania i bezprawie w Polsce i które nie potrafią się zdobyć na otwarte powiedzenie, że sprawcą całej tragedii jest ZSRR.

Potępienie jest niewystarczające; poza słowami potrzebne są czyny. Konieczne jest twarde postawienie warunku: przed zniesieniem stanu wojennego, uwolnieniem aresztowanych i przywróceniem swobody działania „Solidarności” – PRL nie otrzyma żadnych ulg finansowych, kredytów ani pomocy gospodarczej. Pożądane byłoby zastosowanie okresowych przynajmniej sankcji ekonomicznych w stosunku do wszystkich krajów bloku moskiewskiego, których rządzące partie domagały się uprzednio rozprawy z „Solidarnością”. Dotyczy to przede wszystkim ZSRR. Sankcje takie mogą na wahających się rządach wymusić, a potem realizować tylko związki zawodowe wolnego świata, jest to ich historyczne zadanie. Postawa dokerów amerykańskich i związkowców francuskich, przede wszystkim centrali CFDT, pozwala tu żywić pewne nadzieje.

Obowiązkiem emigracji polskiej i wszystkich Polaków, którzy mogą wywierać wpływ na opinię publiczną i sfery rządzące na Zachodzie, jest kształtowanie takiej właśnie linii politycznej oraz tłumaczenie, że Zachód powinien ją obrać nie dlatego, czy nie tylko dlatego, że jest ona pożyteczna dla Polaków – ale dlatego, że jest ona na dłuższą metę korzystna dla samego Zachodu.

Drugim zadaniem emigracji polskiej jest – wespół z najnowszymi przybyszami z Polski, odciętymi od kraju przez stan wojenny – wzmacniać dotychczasowe i tworzyć nowe ośrodki oddziaływania politycznego. Powinny one z jednej strony zapewnić ciągłość istnienia krajowych ruchów wolnościowych, z drugiej zaś pobudzać i ożywiać polskie środowiska emigracyjne, na które spadnie teraz dodatkowa rola rzeczników zakneblowanych środowisk krajowych. Należy też czym prędzej otoczyć opieką rzesze najnowszych uchodźców z wyboru lub mimo woli, aby nie uległy rozproszeniu, aby nie zatraciły się w trudnej walce o byt, aby mogły odświeżyć i wzbogacić wielopokoleniową zbiorowość emigracyjną.

Kościół katolicki w Polsce, jedyna instytucja ocalała dotychczas z pogromu, daje piękne dowody odwagi – na przykład w oświadczeniu Episkopatu z 15 grudnia oraz w odmowie prymasa Glempa prowadzenia rozmów z gen. Jaruzelskim bez udziału Lecha Wałęsy. Mamy nadzieję, że nadal Kościół opierać się będzie pokusom przekraczania granic swego narodowego autorytetu moralnego dla osiągnięcia doraźnych instytucjonalnych celów.

Najtrudniejsza rola przypada oczywiście ludziom w kraju, którzy muszą podjąć od nowa pracę organizacyjną i koncepcyjną. Trzeba będzie od początku

uczyć się działań niejawnych. I trzeba będzie w odmienionych, znacznie gorszych niż w ciągu ostatnich 25 lat warunkach opracowywać postulaty i programy.

Uważamy, że w programach tych powinny się znaleźć następujące składniki minimalne – poza oczywistym żądaniem zniesienia stanu wojennego i zwolnienia więzionych:

1. Zezwolenie zawieszonym organizacjom związkowym na wznowienie statutowej działalności.

2. Utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, w formie proponowanej we wrześniu przez grono czołowych intelektualistów i zaaprobowanej przez prymasa i „Solidarność”.

3. Przeprowadzenie wolnych wyborów do samorządów lokalnych.

Czy realizacja tego minimalnego programu dałaby nam Polskę, jakiej chcemy? Nie; ale otworzyłaby do niej drogę – poprzez Polskę, jaka jest dzisiaj możliwa.

[1–2/1982]

KRZYSZTOF POMIAN

13 grudnia 1981

Zacznijmy od dwóch stwierdzeń niepodważalnych.

W ciągu osiemnastu miesięcy, licząc od 1 lipca 1980 roku, Polska była widownią ruchu społecznego bez precedensu nie tylko w naszej historii, ale również w dziejach powszechnych. Widownią strajków, zebrań, zgromadzeń, wieców, pochodów, dyskusji i wyborów, w których uczestniczyły dziesiątki milionów osób. Były zapewne tu i ówdzie jakieś scysje. Gdzieś tam może i doszło do rękoczynów albo do wywożenia na taczkach. Ale – rzecz niebywała – w ciągu tych osiemnastu miesięcy nie odnotowano ani jednej ofiary śmiertelnej. Nie było nawet ciężko rannych. Nikt – z wyjątkiem związkowców pobitych w Bydgoszczy przez milicję – nie odniósł poważniejszych obrażeń. Toteż ktokolwiek określał ten ruch społeczny mianem „rewolucji”, wprowadzał natychmiast jakieś zastrzeżenie podkreślające jego osobliwość: „samoograniczająca się”, na przykład, czy „obywatelska”. A ci, którzy mówili w tym związku o „powstaniu”, dodawali od razu: „pokojoye”. Nic lepiej niż ten brak ustalonej nazwy nie świadczy o wyjątkowości zjawiska.

W ciągu tygodnia, jaki minął od wojskowego zamachu stanu z 13 grudnia 1981 roku, „siły porządku” zabiły co najmniej kilkadziesiąt osób. Rannych są setki, więźniów – dziesiątki tysięcy.

Zapamiętajmy:

Z jednej strony: osiemnaście miesięcy ruchu społecznego, miliony uczestników i ani jednej ofiary. Z drugiej: dziesiątki zabitych, kilkaset rannych i pierwsze trupy przywożone z polskich łagrów.

To zestawienie mówi właściwie wszystko zarówno o przytłaczającej większości narodu, jak i o władzy. O przytłaczającej większości narodu, że okazała bezprzykładne opanowanie i rozsądek w warunkach, które wręcz prowokowały do uzewnętrznienia tłumionej od lat pogardy i wyładowania nienawiści. O władzy i jej zwolennikach – bo, nie ludźmy się, są i tacy – że wypowiedziała, w imię obrony interesów Związku Sowieckiego, wojnę narodowi polskiemu.

Ktoś powie, że wiedział o tym od dawna. Od 1944 roku. Sprawa nie jest jednak aż taka prosta. Gdyby różnice między Gomułką, Gierkiem i Kanią a Jaruzelskim polegały tylko na ubiorze, nie byłoby o czym mówić. Ale są to różnice

zasadnicze. Wyrażają się w liczbie zabitych i rannych, która, tylko w ciągu pierwszego tygodnia dyktatury Jaruzelskiego, przekroczyła zapewne łączną liczbę zabitych i rannych podczas wszystkich masakr dokonanych w historii PRL. Wyraża się też w liczbie więźniów politycznych dorównującej – jeśli przyjąć dane ujawnione na Zachodzie – rekordom ustalonym w najgorszych latach stalinizmu, a jeśli nawet poprzestać na danych oficjalnych – zgola niewiarygodnych – to i tak wielokrotnie wyższej od wszystkiego, z czym mieliśmy do czynienia w ciągu minionych 25 lat.

Na tym nie koniec. W okresie, jaki upłynął od października 1956, wyrosło w Polsce pokolenie, które okazało się zdolne do zapoczątkowania i podtrzymania owego trwającego osiemnaście miesięcy bezprecedensowego ruchu społecznego. Wyrosło dlatego, że – mimo wszelkich okaleczeń, przemilczeń i fałszów, jakże skądinąd dotkliwych – nawiązana została, po przerwie spowodowanej stalinizmem, ciągłość kultury narodowej. Że krzewił swą naukę Kościół. Że żywotne pozostały i były wpajane młodym tradycje polskiej inteligencji. Że utrzymywano wielorakie związki z Zachodem. W tych warunkach, których nie zdołał całkiem zniszczyć nawet haniebny pogrom z marca 1968 roku, ukształtowali się późniejsi działacze opozycji demokratycznej i organizacji niezależnych oraz ci wszyscy, których wiedza i zapał umożliwiły budowę „Solidarności”.

Nie jest moim zamiarem bronienie władców Polski z lat 1956–1981. Jest nim zwrócenie uwagi na istotne odmienności ustroju, jaki istniał w ciągu tego ćwierćwiecza, w porównaniu z tym, którego zarysy zaczynają przeziierać z obwieszczeń junty wojskowej. Tamten był komunizmem typu sowieckiego, ale, co ważne, heterodoksyjnym w tym sensie, że pozostawiał dość znaczny zakres swobód Kościołowi, nie kolektywizował wsi, pozwalał ludziom na pewną swobodę ruchu – w tym na podróże poza blok – stosował represje ograniczone i wybiórcze. Po sierpniu 1980 roku, a zwłaszcza po zarejestrowaniu „Solidarności”, odstępstwa od modelu sowieckiego stały się ogromne, a Polska weszła w fazę szukania nowych formuł ustrojowych.

Jeśli dziś trzeba z całą ostrością podkreślić odrębność sowietofaszyzmu, jaki zaprowadza w Polsce generał Jaruzelski, to dlatego, że co do jego osoby i poglądów nagromadziły się tysiączne złudzenia fabrykowane zapewne przez specjalistów z Wydziału Czarnej Propagandy Głównego Zarządu Politycznego. Któż nie słyszał w kraju i za granicą o głębokim przywiązaniu generała Jaruzelskiego do polskich tradycji patriotycznych czy o jego rodzinie wywiezionej podczas wojny do łagrów? Komuż nie opowiedziano o rzekomej odmowie użycia wojska przeciw robotnikom Wybrzeża w grudniu 1970 roku. Któż nie zetknął się – zwłaszcza od lutego 1981 roku – z przekonaniem o zbawiennych dla społeczeństwa i gospodarki skutkach przejęcia władzy przez wojsko – przez nasze, polskie wojsko. Przecistawiano je partii, jak gdyby nie należeli do niej prawie wszyscy oficerowie i komplet generałów. Traktowano je jako emanację narodu, jak gdyby nie było bardziej niż jakakolwiek instytucja w Polsce podporządkowane

Związkowi Sowieckiemu. Uważano za ostoję zdobyczy posierpniowych, jak gdyby jego rzecznicy nie głosili na łamach swej prasy – i to co najmniej od połowy lat sześćdziesiątych – ideologii nacjonalistycznej i prosowieckiej zarazem, nadto zaś autorytarnej, antysemitkiej i antyinteligentkiej. A przecież wojsko – to nie tylko poborowi, po większej części członkowie „Solidarności”. To przede wszystkim zawodowi podoficerowie i oficerowie, których od lat wychowywano do roli janczarów. Są Polakami, rzecz jasna, jak są nimi oprawcy z ZOMO, jak są nimi obrońcy i piewcy terroru: Żukrowski, Urban, Górnicki. Jak są nimi członkowie Rady Państwa, którzy – z jednym wyjątkiem – podpisali dekret o wprowadzeniu stanu wojennego: wyrok śmierci na setki rodaków. Ale są to Polacy z gatunku tych, co w listopadzie 1830 roku chronili się do Petersburga, a w roku 1863 łapali i wieszali powstańców.

Cios, jaki spadł na nas 13 grudnia 1981 roku, daje się porównać tylko z nazajdem hitlerowskim albo z wyczynami NKWD w latach 1944–1945. Przeżywamy katastrofę, a perspektywy na najbliższą przyszłość są ciemne. Generał Jaruzelski zapewnia, że nie chce cofnąć Polski do sytuacji sprzed sierpnia 1980 roku. Obawiam się, że należy mu wierzyć. Wstępne poczynania jego władzy świadczą bowiem, że cofa nas ona o wiele dalej w czasie i przestrzeni: do Związku Sowieckiego pierwszych lat powojennych, do którego nas w owym czasie nie przyłączono. Represje już są masowe i pozostaną takie zapewne na długo, ponieważ władza uzależnia ich złagodzenie od uspokojenia się społeczeństwa. O swobodzie ruchu nie ma mowy: nigdy, nawet w czasie okupacji, nie wyłączono, jak teraz, telefonów i nie zakazano podróżowania z miasta do miasta. Tępi się kulturę polską w osobach jej przedstawicieli, nie zważając na wiek, płeć i stan zdrowia. Tępi się, podobnie, tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób manifestowali ostatnimi czasy swe związki z działalnością niezależną. Czekamy na decyzje w sprawie wsi – wspomina się już przecież o rekwizycjach – i z trwogą myślimy o losach Kościoła, który ma swych przedstawicieli wśród prześladowanych. Nie izby można było wątpić o żywotności katolicyzmu polskiego. Ale dlatego, że obawiamy się pomnożenia pocztu jego męczenników.

Czy generał Jaruzelski tego właśnie pragnął? Pytanie bez znaczenia. Albo jest on człowiekiem niezdolnym do przewidzenia skutków własnych czynów, albo musiał się liczyć z tym, że pucz wojskowy, gdy raz się zacznie, ma własne prawa i przeinacza dobre chęci organizatorów, które brukuje piekło. Że ekstremiści w partii, w wojsku, w bezpieczeństwie i w milicji zrobią wszystko, by wykorzystać uzyskaną wreszcie pełnię władzy. By bezlitośnie rozprawić się z przeciwnikami. By stworzyć sytuację, która by się mogła zdawać nieodwracalna. By przyrębać Polskę do prokrustowego łoża systemu sowieckiego w jego odmianie najbrzydliwszej i najkrwawszej. I tym głównie różniące się od stalinowskiego pierwowzoru, że osłaniającej swe zbrodnie retoryką „narodową”. Opiewaniem posłusznego robotnika, ucieleśnienia cnót patriarchalnych, i matki wieloródki.

Zwalczaniem zgnilków inteligenckich i innych kosmopolitów i syjonistów. Naród dostanie w podarunku rogatywkę. Ale przedtem amputuje mu się mózg.

Taki jest program wpisany w pierwsze posunięcia zsowiezowanych polskich generałów, w ich obwieszczenia, rozporządzenia, dekrety, odwołania, nominacje i rozkazy. W ich politykę izolowania Polski i przekształcenia jej w jeden wielki obóz, gdzie nie wolno przejść z baraku do baraku, i w którego obrębie znajdują się obozy o znacznie obostrzonym reżimie dla osób szczególnie niezależnych. Ale program ten ma nikłe szanse urzeczywistnienia, choć na pewno spowoduje ogromne straty. Kultura polska zejdzie w podziemie, jak to czyniła w przeszłości. Rozwinie się bierny opór, którego załążki już zaczynają być widoczne. Osiemnaście miesięcy wolności wytworzyło więzi, które zostaną odbudowane. Na każdy zakaz wynajdzie się sposób obejścia lub bezkarnego złamania. Można wyłączyć telefony, ale nie da się wyłączyć pamięci, chyba że razem z życiem. Można zakazać podróży koleją, ale nie wyobraźnią. Jesteśmy dziś narodem innym, innym, niż byliśmy dwa lata temu. Narodem, który nauczył się przełamywać strach, żyć godnie. Który wie, że może wybić się ku wolności i że przyjdzie dzień, gdy osiągnie swój cel. Czekają nas okres straszny. Ale generał Jaruzelski, mimo wszelkich wysiłków, wciąż jeszcze nie zarobił na duży okrągły miedziak z napisem: *Za usmirenije polskowo miatieża*.

22 grudnia 1981

[1-2/1982]

Przy zasadach stójmy

Byłem w Stoczni Gdańskiej w czasie sierpniowego strajku 1980 roku. Byłem w hali Oliwii podczas drugiej tury Zjazdu NSZZ „Solidarność”. Do końca życia pamiętać będę te olśniewające chwile wolności i braterstwa, dni poczucia, że słowa „godność człowieka” i „miłość ojczyzny” odzyskują czystość swoich znaczeń. Dni pełnego oddechu, których wspomnieniem trzeba się teraz karmić.

Nie bezkrytycznie. Już od pierwszych tygodni entuzjazmu, przesyconych poczuciem zwycięstwa, pojawiały się różne wątpliwości. Zjazd w Gdańsku był chwilami widowiskiem bardzo niepokojącym; w październiku i listopadzie mnożyły się wydarzenia, świadczące o stracie poczucia rzeczywistości. Trzeba się będzie tym siedemnastu miesiącom starannie przyjrzeć, zastanowić nad popełnionymi błędami. Parę z nich wymienię w pisanych w tym okresie artykułach; o innych mówiliśmy w rozmaitych gronach uporczywie, choć z niewielkim skutkiem. Jednakże chociaż analiza pomyłek i słabości jest niezbędnym warunkiem wydzwignięcia się ze skutków pogromu – jeszcze pilniejsze i psychologicznie bardziej potrzebne jest moim zdaniem zastanowienie się nad najważniejszymi zadaniami, które stoją dziś przed narodem polskim, jeżeli doznana porażka nie ma się przekształcić w trwałą klęskę. Jeśli zaś idzie o solidarnościowy rachunek sumienia, jedno uważam za pewne: jakiegokolwiek popełniliśmy błędy – nie one przesądziły o postawie Moskwy i decyzji Wojciecha Jaruzelskiego. Błędy ułatwiły zadanie wrogom „Solidarności”, a społeczeństwu utrudniły opór i dzwignięcie się po katastrofie, ale nie zmieniły zasadniczo ani układu sił, ani nastawienia przeciwnika. Wolny ruch związkowy był od początku obcym ciałem w systemie i to zadecydowało o jego losie.

Czy było więc warto? Z pewnością tak; zarówno dla owych siedemnastu miesięcy swobody, jak i dla wykazania sobie i światu, jacy jesteśmy, jacy być możemy. A jeżeli ktoś stwierdzi, że wobec takiej postawy Kremla i władz PZPR trzeba było od początku stosować zupełnie inną, skromną taktykę i wysuwać minimalne żądania – odpowiem, że dostosowywanie się do wymogów systemu jest tylko pozornie aktem rozsądku, skoro ten system jest sam w sobie bezsensowny, sprzeczny nie tylko z podstawowymi dla naszej kultury wartościami, ale i ze zdrowym rozsądkiem.

To, co się dzieje w Polsce od 13 grudnia, jest sukcesem siły i głupoty. Zarówno Kreml, jak i kierownictwo PZPR miały w ciągu owych siedemnastu miesięcy parokrotnie okazję, aby podjąć ryzyko nowego ułożenia stosunków z narodem polskim. Byłoby to mądre ryzyko, otwierające nadzieję na trwalszy pokój międzynarodowy. „Solidarność” i ruchy wolnościowe w Polsce popełniły wiele błędów – ale dawały Sowietom i rodzimej partii szansę na wielki eksperyment pokojowego współistnienia i ewolucji.

Na czoło zadań stających przed Polakami wysuwają się dzisiaj trzy:

1. Ocalenie „Solidarności” jako idei, zachowanie tego, co w jej dorobku najcenniejsze.

2. Niedopuszczenie, aby stan wojenny w Polsce i pogrom ruchów wolnościowych były traktowane jako wewnętrzna sprawa PRL.

3. Dochowanie wierności tym zasadom moralnym i politycznym, które stanowią podstawę wskrzeszenia swobodnego rozwoju społeczeństwa polskiego. Konkretny kształt, jaki nadamy wypełnianiu tych zadań, zależy od rozumienia obecnej sytuacji w Polsce i przewidywań, jak się będzie ona rozwijać. Od takiej diagnozy musimy zacząć, ze świadomością poruszania się trochę po omacku, wobec niedostatku wiarygodnych informacji z kraju.

Dokonany w grudniu pogrom „Solidarności” i innych niezależnych organizacji i ugrupowań – pogrom o tak szerokim zakresie, że równał się wypowiedzeniu wojny całemu narodowi – był starannie przygotowany, niewątpliwie od dawna, i został przeprowadzony z dużą sprawnością. Kluczową rolę odegrał tu na pewno system połączeń radiokomunikacyjnych, rozbudowany w ciągu ubiegłego roku przez stacjonujące w Polsce wojska sowieckie, a także obecność doradców wojskowych z ZSRR.

Przewaga siły militarnej i przygotowania organizacyjnego była po stronie władz tak miazdząca, że – zwłaszcza w obliczu zaskoczenia – składane wcześniej przez niektórych działaczy i członków „Solidarności” buńczuczne zapowiedzi strajku generalnego, masowego oporu, sabotażu, zaminowania fabryk, kopalń itd. musiały się okazać gołosłowne. (Podejrzewam zresztą, że wiele z nich było rezultatem prowokacji.) Opór czynny, widać to z perspektywy, w połowie grudnia nie był na większą skalę możliwy; było nań wtedy za późno. Można się było lepiej przygotować do przetrwania stanu wojennego, ale nie do siłowego odparcia zamachu gen. Jaruzelskiego.

Władze miały zresztą wyraźną nadzieję, że wprowadzenie stanu wojennego spotka się z mniejszym i krótszym oporem i że obejdzie się bez rozlewu krwi. Z chwilą kiedy padli zabici i ranni, każdy musiał zauważyć, że powtarza się sytuacja z czerwca 1956 i grudnia 1970 roku. Wszelkie rozprawianie o ratowaniu przez władze pokoju społecznego stało się szyderstwem, bo wszyscy pamiętali – pisano o tym do 12 grudnia – że wspaniałym osiągnięciem kilkunastu miesięcy było przeprowadzenie w Polsce tylu rewolucyjnych zmian bez ofiar w ludziach. Górnicy z kopalni „Wujek” nie zginęli nadaremnie, dołączyli

do swoich wcześniej pomordowanych kolegów jako ci, co odsłaniają oblicze reżimu.

Prawie natychmiast po przeprowadzeniu akcji milicyjno-wojskowej okazało się, że władze nie mają spójnego planu dalszego działania – politycznego, społecznego czy gospodarczego. Potrafiły sparaliżować wszystkie niezależne siły społeczne, ale i same są w stanie paraliżu. Są jak zapaśnik, który całą energię zużywa na utrzymanie przeciwnika w bezruchu i nie rozporządza już żadną rezerwą sił ani nawet pomysłem, co zrobić dalej. Zamach stanu był czynem czysto powstrzymującym, czysto negatywnym. Był aktem nagiej przemocy, pozbawionej politycznego zaplecza.

Wyszło też niebawem na jaw, że ci, którzy wypowiadają się oficjalnie w imieniu kierownictwa partyjno-wojskowego, a więc Jaruzelski, Barcikowski, Rakowski i jeszcze paru innych, wygłaszają stwierdzenia i zapowiedzi, którym zaprzecza postępowanie aparatu wykonawczego. Jaruzelski zapewniał, że stan wojenny nie oznacza przerwania procesu „odnowy” i reform; Rakowski i Hieronim Kubiak oznajmiali gotowość do dialogu ze społeczeństwem. Deklaracje te pozostają bez pokrycia, podobnie jak wielokrotne zapowiedzi rozpoczęcia rozmów z Lechem Wałęsą i innymi internowanymi przywódcami „Solidarności”. Taką sytuację przewidzieli zresztą ci sami Jaruzelski, Barcikowski, Rakowski czy Kubiak, kiedy jeszcze parę miesięcy temu zapewniali, że żadne inne niż polityczne rozwiązanie konfliktów między władzą a społeczeństwem nie rokuje nadziei, że partia nie przetrzyma kolejnej konfrontacji, że tylko otwarty dialog i porozumienie umożliwiają uniknięcie katastrofy. Grupa kierownicza złamała więc reguły gry, przez siebie samą wyłożone i zaaprobowane. Więcej: sprzeniewierzyła się własnemu programowi.

Wprowadzenie stanu wojennego nie rozwiązało żadnego z problemów, które stały przed partią i rządem. Nie zahamowało kryzysu gospodarczego, nie wytworzyło zaufania społeczeństwa do władzy, nie powstrzymało rozpadu partii, nie otwarło drogi reformom społeczno-ekonomicznym, nie wzmocniło pieniądza. Przeciwnie, zaostriżyło wszystkie te trudności i dodało nowe, przede wszystkim wywołując taką polaryzację postaw politycznych, jakiej nie było od czasu drugiej wojny światowej, i niwecząc wszelkie możliwości rzetelnego dialogu, opartego już nawet nie na zaufaniu czy szacunku dla przedstawicieli władzy, ale choćby na wierze w ich rozsądek.

Polityczna sprawność działań WRON-y nie powinna przesłaniać faktu, że motywacje tych działań były paniczne i irracjonalne, by nie powiedzieć obłąkańcze. U źródła zamachu stanu leżał strach przed utratą władzy i przywilejów, strach przed moskiewskim mocodawcą. Co dalej? Tego zamachowicze zdają się nie wiedzieć, o tym jak gdyby nie pomyśleli.

Powtórzę: bezwyjściowość „rozwiązania siłowego” widzieli jasno nawet główni członkowie grupy Jaruzelskiego. I niezależnie od tego, czy ich wypowiedziane publicznie przewidywania miały spełnić rolę kamuflażu prowadzonych

przynajmniej od marca przygotowań, czy też były szczere – diagnoza była słuszną i dość oczywistą. Tym można psychologicznie wyjaśnić fakt, że w „Solidarności” nikt takiego właśnie rozwoju wydarzeń na serio nie przewidywał, zwykle bowiem bierze się pod uwagę sposoby działania racjonalne, takie, które otwierają działającym wyjście z trudności, a nie ich pomnożenie. To, co zrobił Jaruzelski, było sensowne tylko z punktu widzenia Sowietów: kładło tamę rozwojowi „Solidarności”, wpędzało Polskę na dno kryzysu, a pociągało za sobą znacznie niższe koszty polityczne i gospodarcze niż otwarta interwencja. Z punktu widzenia polskiej partii, polskiego rządu (nawet komunistycznego) i polskiego wojska był to akt szaleństwa, było to wydanie się na łaskę, najpierw własnego aparatu ucisku, a potem sowieckich mocodawców, wobec których rząd Jaruzelskiego stracił możliwości przetargowe.

Rządząca obecnie grupa Jaruzelskiego stoi przed dwoma głównymi problemami: socjotechnicznym i politycznym. Zantagonizowanie społeczeństwa sprawia, że brakuje ludzi chętnych do współpracy z wojennym reżimem. Jest to szczególnie widoczne na przykładzie środowisk naukowych i kulturalnych (być może tylko dlatego, że o innych mniej wiemy). Wytworzono sytuację odwrotną niż w latach bezpośrednio powojennych, kiedy to narzucony ustrój potrafił, uczciwymi i nieuczciwymi środkami, zjednać sobie współpracę znacznej części warstwy inteligenckiej. Teraz, mimo prób wbijania klina między intelektualistów a robotników, jedność postaw została utrzymana w imponującym stopniu.

Ten brak zaplecza społecznego musi okazać się zgubny na dłuższą metę; bezpośrednio groźniejszy jest brak własnej bazy politycznej. Grupa Jaruzelskiego dokonała zamachu stanu, posługując się aparatem milicyjno-wojskowo-partijnym; jak się zdaje, rolę decydującą odegrał pion Głównego Zarządu Politycznego LWP. Przeważają wśród tych ludzi sympatie do partyjnego „betonu”, do zwolenników twardego, stalinowsko-nacjonalistycznego kursu. Wykonawcami poleceń grupy, która w kierownictwie partyjnym przedstawiała umiarkowane centrum (a teraz została zepchnięta na skrzydło, o zgrozo, umiarkowane), są więc ludzie o poglądach i skłonnościach znacznie radykalniejszych i mniej elastycznych. (Nie tylko oni zresztą: zapewne wielu oficerom LWP mogła trafić do przekonania pierwsza formuła Jaruzelskiego, który stwierdził 13 grudnia, że ogłaszając stan wojenny, zapobiega większemu złu – w domyśle sowieckiej interwencji). Warto notabene pamiętać, że wyższa kadra oficerska LWP i MSW to środowisko najbardziej wyalienowane ze społeczeństwa polskiego, żyjące zupełnie osobno w otocze własnych zajęć, przywilejów i podróży do ZSRR. Przyznał to mimochodem płk Stanisław Reperowicz w artykule *Członkowie partii w mundurach* („Trybuna Ludu”, 23/24 I 1982), wspominając o ich „oderwaniu od domów i rodzin”.

Wykonawcy okazali się chętni, bo spełniając rozkaz „umiarkowanego” generała („działacza partyjnego w mundurze”, jak go ze znamiennym namaszczeniem określa Reperowicz), realizowali najważniejszą część własnego programu,

który można streścić w haśle „całą parą wstecz!”. Szybko zasmakowali w sprawowaniu prawie nieograniczonej władzy, przestali liczyć się z protestami i paragrafami prawa – nie widzą więc powodu, by nie wcielać w życie całości swoich zamierzeń. Grupa Jaruzelskiego jest dla nich za miękka, powtarza niebezpieczne bajania o dialogu z kierownictwem „Solidarności” i reaktywowaniu tego związku, a ponadto zapowiada postawienie przed sąd członków dawnego kierownictwa partyjnego. Zdaniem „twardych” jest to, być może, dobry chwyt propagandowy – ale tylko na chwilę, kiedy trzeba tumanić społeczeństwo. Na dłuższy dystans stwarza to jednak ogromne niebezpieczeństwo, bo daje przykład możliwości skazania przez sędziów pierwszego sekretarza partii i jego najbliższych współpracowników. Proces Gierka i towarzyszy groziłby również wpłataniem wielu nadal urzędujących funkcjonariuszy aparatu partyjnego i bezpieczeństwa; rwardzi odnoszą się więc do całej imprezy z coraz jawniejszą niechęcią.

Sięgnięcie przez partyjny „beton” po władzę najwyższą będzie w tym stanie rzeczy procesem naturalnym i jest moim zdaniem tylko kwestią czasu. Aparat wykonawczy i tak chętnie spełnia polecenia zgodne z własnymi interesami, blokuje natomiast skutecznie wielokrotnie zapowiadane próby rokowań z Lechem Wałęsą. Gdyby po skutecznym przeprowadzeniu akcji pogromowej grupa Jaruzelskiego potrafiła natychmiast przejść do układów, miałyby zapewne jakieś szanse rozszerzenia własnej bazy politycznej. Trudno stwierdzić, w jakim stopniu nie chciała czy nie umiała tego zrobić, a w jakim zostało jej to uniemożliwione przez opór i sprzeciw „twardych”. Intencje są tu ostatecznie obojętne, ważny jest rezultat: frakcja milicyjno-betonowo-sowiecka odgrywa coraz znaczącą rolę.

Frakcja ta, a raczej orientacja, również nie posiada programu pozytywnego, za to ich program negatywny jest szeroki, spoisty i jednoznaczny: dać narodowi polskiemu nauczkę, odebrać mu uzyskane w ubiegłych latach swobody i uprawnień, rozprawić się z buntownikami. Program posiada tę wadę, że utrwała stan kryzysu gospodarczego i politycznego; ale i tę wielką dla jego wyznawców zaletę, że jest całkowicie zgodny z pragnieniami Sowietów. ZSRR chciałby na polskim przykładzie udzielić bolesnej lekcji wszystkim potencjalnym reformatorem i buntownikom, sprowadzając nasz kraj do poziomu vegetującej kolonii.

Głównym hamulcem wydaje się w tej chwili obawa przed sankcjami Zachodu, chęć uniknięcia międzynarodowego hałasu i załatwienia sprawy najtańszym kosztem. Obawy dotyczą oczywiście bardziej Sowietów niż polskich komunistów, którzy z opinią międzynarodową mniej się liczą, bo mają mniej do stracenia. Sowietci zaś stawiają na osłabienie zainteresowania Polską w Stanach Zjednoczonych oraz na egoizm gospodarczy państw Europy Zachodniej, które pokazały już, że sankcje ekonomiczne stosować będą jedynie wówczas, kiedy poczują się do tego absolutnie zmuszone.

W opisanych powyżej warunkach realizacja pierwszego z trzech zadań – ocalenia idei „Solidarności” jako nowego rodzaju związku ludzi pracy – będzie

ogromnie trudna. Wskrzeszenie „Solidarności” w jej dawnej postaci jest w tej chwili niewykonalne; chodzi jednak o przechowanie tradycji, o ciągłość zasad. „Solidarność” jest pierwszym na świecie związkiem zawodowym, opartym konsekwentnie na założeniach moralno-ideowych, a nie klasowych, stanowych czy profesjonalnych; na zasadach wspólnoty i braterstwa – nie antagonizmu, łączenia – nie przeciwstawiania. To zapewne ma na myśli Jan Paweł II, kiedy powtarza, że dorobek ideowy „Solidarności” jest częścią dorobku ludzi pracy na całym świecie; w obronie nienaruszalności tych zasad wystąpił w swoim pięknym i mądrym przemówieniu do przedstawicieli związków zawodowych wygłoszonym 10 lutego bieżącego roku. Odstąpienie od założeń ideowo-organizacyjnych „Solidarności” byłoby ogromną stratą. Niepokoją mnie wzmianki o możliwości rezygnacji ze struktury regionalnej na rzecz branżowej, oznaczałoby to nie tylko częściowe rozbrojenie polityczne związku, ale przede wszystkim odebranie mu jego nowatorskiego i uniwersalnego charakteru. Ułatwiłoby też robotę rozbijacką.

Władze dążą do stworzenia pseudo-„Solidarności”, starając się przekonać czy przekupić poszczególnych działaczy średniego i niższego szczebla, zamącić w głowach członkom związku. Dotychczas udaje im się to w stopniu minimalnym, ale próby będą z pewnością kontynuowane – zwłaszcza jeżeli władze zrezygnują ostatecznie z pozorów nawiązywania rozmów z Wałęsą, jego doradcami prawnymi i kolegami z Prezydium Komisji Krajowej. Gdyby rozmowy mimo wszystko się rozpoczęły, można przewidzieć, że celem władz będzie albo rozbicie związku, albo jego ubezwłasnowolnienie, odebranie mu możliwości wpływu na politykę społeczno-gospodarczą rządu.

Nie należy jednak wykluczać i kompromisu, nad którego zasadami pracują, jak slychać, także niektórzy ukrywający się przywódcy „Solidarności”. Uważam taki kompromis za bardzo mało prawdopodobny. Gdyby się go udało osiągnąć – wznowiający działalność związek powinien przede wszystkim uwolnić się od kompleksu klęski. „Solidarność”, jako reprezentacja nadziei i dążności Polaków, przedstawia taką siłę, że może sobie pozwolić na umiar, spokój, nawet powolność – zupełnie odwrotnie niż władze, w istocie słabe, rozporządzające wyłącznie narzędziami przemocy i aparatem ucisku. Bezpieczniacko-wojskowy przewrót, a następnie surowość i długotrwałość stanu wojennego powinny być dla „Solidarności” dowodem, jak bardzo władza się jej boi. Powinny rodzić nie poczucie bezsilności – ale przeciwnie, pewność siebie. Nie tę szczeniacką i zadyszaną, której było za wiele, ale głęboką, pozwalającą na umiar i rozsądek, niepopychającą do demonstracji i czczych gestów. W ciągu kilkunastu miesięcy istnienia „Solidarności” było takich gestów, mających wykazać, że nie jesteśmy „jacy tacy”, stanowczo za wiele. Cała afera z wolnymi sobotami była w gruncie rzeczy wyrazem niedojrzałości związku i jego braku zaufania do własnych sił i przywódców. Teraz trzeba będzie, jakiegokolwiek formy działalności związek przyjmie, staranniej dobierać cele i ostrożnie różnicować środki do ich osiągnięcia.

Odrodzona „Solidarność” powinna się skoncentrować na rozbudowie samej struktury organizacyjnej, wdrożeniu nawyków do współpracy organów związkowych, umiejętności współżycia i wyrobienia demokratycznych przyzwyczajeń. Brzmi to gładko i łatwo, ale będzie niesłychanie trudne, trudniejsze niż przedtem, w warunkach wrogości władzy, prowokacji, prób rozbicia związku, kompromitowania przywódców, oskarżeń o awanturnictwo itd. Trzeba z góry przewidzieć, że władze zgodzą się na kompromis wznowiający działalność „Solidarności” tylko po to, aby stworzyć sobie możliwość ostatecznego jej zniszczenia.

Dlatego kwestią najważniejszą będą nie formy organizacyjne i przyznany związkowi zakres działalności – ale poziom moralno-ideowy przywódców. Można się będzie zgodzić na czasowe ograniczenie uprawnień „Solidarności” – ale nie wolno przystać na jakiegokolwiek uzależnienie od partii, na jakiegokolwiek ingerowanie czynników zewnętrznych w samorządny wybór organów kierowniczych. Można zrezygnować z wielu postulatów politycznych, nie wolno rezygnować z wymogów uczciwości, rzetelności, statutowej niezależności. „Solidarność” nawet ograniczona do spraw czysto zawodowych pozostanie sobą, jeżeli ustrzeże się agenturalności.

Alternatywą kompromisu jest „Solidarność” konspiracyjna, już zresztą istniejąca. Prowadzi ona i będzie rozwijać działalność przede wszystkim w zakresie samopomocy materialnej oraz informacji. Już od pierwszych dni „wojny” – jak się to w kraju mówi – ukazują się w całej Polsce liczne wydawnictwa podziemne, nieraz odbijane w wielotysięcznych nakładach. Organizuje się opiekę nad rodzinami aresztowanych i pozbawionych pracy. Od początku wysuwane są też plany akcji strajkowych i innych form biernego oporu; równocześnie przywódcy konspiracyjnej „Solidarności”, jak Zbigniew Bujak i Władysław Frasyniuk, przestrzegają przed oporem czynnym, takim, „który mógłby powodować rozlew krwi”.

Potrzeba działalności konspiracyjnej i organizowania biernego oporu nie wywołuje, jak się zdaje, poważniejszych zastrzeżeń ani w kraju, ani wśród działaczy „Solidarności” znajdujących się za granicą. Wątpliwości budzą natomiast wysuwane często w Polsce, zwłaszcza w środowiskach robotniczych, hasła pracy na niby i sabotażu przemysłowego. Jak wskazują dane zagranicznych firm importowych, sabotaż taki jest w niektórych przynajmniej dziedzinach rozpowszechniony. Podnoszą się więc przerażone głosy, że jest to zarzynanie gospodarki polskiej własnymi rękami. Trudno się jednak dziwić robotnikom, którzy mają słuszną świadomość, że społeczeństwu odebrano częściową nawet władzę nad owocami jego pracy. Polacy pracują dziś nie dla siebie, ale dla państwa, które przejęło kontrolę nad produkcją i obrotem pieniężnym w stopniu znacznie większym niż za czasów stalinowskich; nie widać też, by miało jakiś sensowny program gospodarczy. Praca na niby powinna być uważana nie za ogólne hasło albo wyraz protestu, ale za środek do określonego celu. Celem takim jest obecnie zmuszenie władz do pertraktacji z „Solidarnością”. Dlatego też hasło: sabotujemy

przemysł niekonsumpcyjny – tj. taki, którego wyroby nie są przeznaczone bezpośrednio na użytek współobywateli, ale na inwestycje lub eksport – tak długo, dopóki władze nie przystąpią do rzeczowych rozmów, wydaje mi się uzasadnione.

Zadanie konsekwentnego umiędzynarodowienia sprawy polskiej spada w części na emigrację – starą, nową i najnowszą. Musi ona wpływać na opinię publiczną w krajach demokratycznych, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Trzeba zwalczać podtrzymywane tu i ówdzie opinie, że obecny podział Europy na strefy wpływów leży w interesie Zachodu; trzeba wykazywać, że jest to równoznaczne z twierdzeniem, że w interesie Zachodu leży albo stałe zbrojenie się, albo kapitulacja wobec Moskwy.

Należy upowszechniać myśl, powtórzoną niedawno przez prezydenta Mitterranda, że tylko likwidacja pojałtańskiego systemu stosunków międzynarodowych daje szansę rzeczywistego odprężenia w Europie. Dopóki w środku kontynentu żyje ponad sto milionów ludzi zmuszanych siłą do rezygnacji ze stanowienia o sobie – dopóty równowaga polityczna w naszej części świata będzie równowagą chwiejną, grożącą potężnymi wahaniami. Chociażby dlatego, że utrzymywanie w posłuszeństwie Polaków, Czechów, wschodnich Niemców, Węgrów itd. wymaga militaryzacji tych krajów i znacznego wysiłku zbrojnego ze strony panującego nad nimi imperium.

Tylko międzynarodowy nacisk, wywierany przede wszystkim na Sowiety, ale także na władze PRL, daje szansę bezkrwawego, pokojowego rozwiązania sprawy polskiej. Twierdzenia komunistycznej propagandy o podżeganiu przez Amerykę i w ogóle Zachód do buntu i aktów przemocy są beczelną bzdurą. Nikt na Zachodzie nie zachęcał do używania siły, a popierana przez wolną opinię światową „Solidarność” ostentacyjnie, ku własnemu osłabieniu, wyrzekała się wszelkich innych niż pokojowe i zgodne z prawem sposobów działania.

Słyszysz się apele, by Polaków zostawić samym sobie, by nie ingerować, nie „manipulować”. Za późno. Trzeba było takie apele kierować pod adresem ZSRR i innych „bratnich krajów”, kiedy przez półtora roku prowadziły kampanię oszczerstw i ataków na niezależne związki i ugrupowania w Polsce. Grabiący swoją ofiarę w ciemnym zaułku bandyta też nie chce, by się wtrącano do jego terytorium łowieckiego; fakt, że wykonawcy pogromu na społeczeństwie polskim nosili polskie mundury jest tu obojętny. Nacisk opinii międzynarodowej i rządów zachodnich – ciągle za słaby, niestety – ma skutki wyłącznie dobroczynne. Krępuje ręce władzom, które inaczej stosowałyby znacznie ostrzejszy terror; obnaża wewnętrzną izolację reżimu; nie pozwala komunistom na przekształcanie Polski w obóz pracy niewolniczej. Gwałtowne reakcje prasy reżimowej i sowieckiej świadczą najlepiej o skuteczności nawet tak ograniczonych sankcji, jak dotychczasowe.

Postulat umiędzynarodowienia sprawy polskiej nie oznacza tu wcale zalecania, by liczyć na zagranicę, że nas wybawi od ciemnińców. Nie jest wyrazem przekonania o naszej własnej bezzadności; nie jest nawrotem do dziewiętna-

stowiecznego stawiania na „pomyślną koniunkturę”. Jest raczej nawiązaniem do starań, jakie prowadzili w latach 1916–1918 polscy przywódcy polityczni różnych obozów, przeciwdziałając ustalonemu obyczajowi, by sprawę polską uznawać za wewnętrzny problem Rosji, Austrii albo Niemiec. Innymi słowy, jest wyrazem sprzeciwu wobec doktryny Breżniewa, sprzeciwu opartego nie tylko na zasadach moralnych, ale przede wszystkim na kalkulacji politycznej. Tylko „polonizacja Polski” – która może zostać przeprowadzona na drodze rokowań między mocarstwami – daje szansę trwałego spokoju i międzynarodowej współpracy w naszej części Europy; tylko umiędzynarodowienie sprawy polskiej daje nam, Polakom, szansę wyrwania się z tragicznej spirali zrywów i represji.

Warunkiem umiędzynarodowienia sprawy polskiej jest utrzymanie jej przez czas dłuższy w świadomości opinii publicznej i kół politycznych tak Zachodu, jak i Sowietów. A warunkiem tego z kolei jest trwanie Polaków w oporze, niezgoda na pozbawienie swobód, zachowanie jedności ideowej. Spełnienie drugiego zadania zależy więc od spełnienia trzeciego, najbardziej podstawowego.

Słowa przytoczone w tytule nie pochodzą od jakiegoś zapaleńca, niezłomnego emigranta, romantycznego poety. Wypowiedziała je, w dojrzałym już wieku, „pozytywistka”, zwolenniczka „pracy organicznej”, trzeźwości i rozsądku – Eliza Orzeszkowa. Doświadczona, mądra kobieta, która wiedziała, że tylko uporczywe trwanie przy podstawowych zasadach daje możliwość kompromisu bez utraty własnej tożsamości, możliwość przystosowania się do wymogów sytuacji bez ześlizgnięcia się w cynizm i utraty szacunku dla samego siebie.

Zdawała też sobie sprawę, że obowiązek przechowania zasad spoczywa w ogromnej mierze na warstwie intelektualno-inteligenckiej; do niej kierowała swoje wezwania, od niej wymagała najwięcej, jej dawała przykład własnym życiem. Jesteśmy w położeniu o tyle pomyślniejszym niż Orzeszkowa przed wiekiem, że bardziej możemy dziś liczyć na Kościół katolicki. Podczas ostatnich czterech dekad przodował on w dziele podtrzymywania polskiej ciągłości historycznej, ideowej i moralnej.

Przyznam, że linia Episkopatu i nowego prymasa w ciągu ostatnich dwu miesięcy wydaje mi się dość chwiejna. Sądzę, że chwiejność ta wynika z nieuniknionej sprzeczności między dwiema rolami Kościoła w Polsce: rolą opiekuńczą i rolą dawania świadectwa prawdzie. Duchowieństwo ma świadomość tego, że reprezentuje dziś w kraju jedyną instytucję, która może się wstawiać za prześladowanymi i nieść im pomoc duchową i materialną. Płaczące żony i matki proszą o opiekę, nie o niezłomność. Kościół pamięta jednak z pewnością i o tym, że swój olbrzymi autorytet – który jest przedmiotem podziwu i zazdrości innych Kościołów – zawdzięcza wieloletniej gotowości do przeciwstawiania się złu, do ofiar i męczeństwa. Zdaje sobie sprawę, że tak uzyskany autorytet może stracić przez błędy zaniedbania. Sądzę, że w tym właśnie świetle należy rozumieć przytoczenie przez prymasa Józefa Glempa w kazaniu, wygłoszonym w Rzymie 7 lutego, przykładu bł. o. Maksymiliana Kolbego. Ksiądz Kolbe, przez celibat

uchroniony od więzów i obowiązków rodzinnych, oddał życie za człowieka żonatego i ojca. Stał się symbolem nie tylko najwyższego poświęcenia, nie tylko najwznioślejszej formy wolności w ocaleniu bliźniego za cenę własnego życia – ale również symbolem duchownego, który przyjmuje na siebie męczeństwo, który własnym ciałem osłania ofiarę przed męczeństwem. Symbolem Kościoła, który bierze na siebie ciosy wymierzone w społeczność. Stawiając sobie takie wzory, Kościół katolicki w Polsce może nie tylko dopomóc narodowi w przetrwaniu nowej ciężkiej próby, ale i ponownie wykazać, że jest Kościołem wielkim, godnym papieża.

Jan Paweł II zajmuje przez cały czas obecnej „wojny” stanowisko zupełnie jednoznaczne. Powiedział 1 stycznia:

„Solidarność”... To słowo mówi o wielkim wysiłku, którego dokonali ludzie pracy w mojej Ojczyźnie, ażeby zabezpieczyć prawdziwą godność człowieka pracy. Ludzie pracy mają prawo do tworzenia samodzielnych związków, których zadaniem jest strzec ich społecznych, rodzinnych oraz indywidualnych praw.

10 stycznia:

[Stan wojenny w Polsce] przyniósł i niesie z sobą naruszenie podstawowych praw człowieka i narodu. [...] łamane jest najbardziej podstawowe prawo człowieka: prawo wolności sumienia. [...] Łamanie sumień jest straszną krzywdą, wyrządzoną człowiekowi. Jest najboleśniejszym uderzeniem w ludzką godność. Jest poniekąd gorsze od zadawania śmierci fizycznej, od zabijania.

20 stycznia:

Pani Jasnogórska i Matko mojej ziemskiej Ojczyzny. [...] Dlaczego na sześćsetlecie zgotowano Ci – razem z nami wszystkimi – sytuację „stanu wojennego”? W kraju, który ma pełne prawo, aby być ojczyzną suwerennego narodu?

31 stycznia:

Solidarność z narodem polskim nabiera tym większej wymowy etycznej, gdy sobie uświadomimy, że naród ten w znacznej (rzec można: nieproporcjonalnej) mierze dźwigał na sobie ciężary ostatniej wojny oraz ponosił straszliwe ofiary dla słusznej sprawy. Walczył i cierpiał dla zapewnienia swego suwerennego bytu. Chodzi o to, ażeby mógł żyć suwerennie na własnej ziemi, która jest przesiąknięta krwią i potem jego synów i córek.

Te zasady, przy których trwać powinniśmy, to utrzymanie w głębi serc wizji Polski niepodległej. To zachowanie braterstwa i solidarności, odrzucenie kłamstwa, serwilizmu, kolaboracji. To życzliwość i pomoc wzajemna, tak istotne w czasach niedostatku, wobec wielkich różnic w możliwościach i poziomach życia. Niezgoda na przemoc jako podstawę porządku publicznego. Stanie przy tych zasadach musi się przejawiać w codziennym życiu: w ochronie zagrożonych i potępieniu oportunistów, przewyciężaniu strachu, gotowości do udziału

w oporze. Jest też ważne, aby ludzie, otrzymujący paczki z zagranicy od rodzin, przyjaciół lub instytucji charytatywnych, dzielili się jak najszczodrzej z tymi, którzy takiej pomocy nie otrzymują. Bezinteresowne akty cementują jedność narodu.

Jedność owa, ucieleśniona w „Solidarności”, powszechniejsza niż kiedykolwiek w dziejach naszego kraju, jest spełnieniem marzeń wielu pokoleń polskich patriotów. Jawiła się w poetyckich wizjach romantycznych wieszczów; pracował nad jej podstawami Sienkiewicz; roił o niej Wyspiański; biadał nad jej tragicznym brakiem Żeromski. Wytwarzała się w płomieniach ostatniej wojny. Rozpełzła się znowu pod wpływem obłudnej komunistycznej teorii i chytrej, zniewalającej i otumaniającej społeczeństwo praktyki. Rosła znowu; coraz szybciej w ciągu ostatnich sześciu lat, dzięki trudowi wielu dzisiaj więzionych i znieważanych działaczy. Od jesieni 1980 roku wyraziła się w powstaniu wielkich organizacji „Solidarności”. Teraz musi być jednością postaw, jednością zasad. W wierności tym zasadom nasza cała nadzieja.

Przy zasadach stójmy.

[3/1982]

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 13 grudnia 1981

Ani słowa. Prócz daty, ani słowa.

16 grudnia

Wieczorem wpadł Iks, człowiek rozsądny, spokojny, z tytułu swoich zajęć dobrze zorientowany. Z Polski wyjechał w przeddzień puczu, dowiedział się o nim w pociągu za granicą. Czeką teraz w Paryżu na możliwość szybkiego powrotu. Na pożegnanie powiedział: „Następnym razem zacznij się od wieszania komunistów”.

(Ten motyw będzie się później powtarzał coraz częściej, nawet – nieco zawołany – w korespondencjach dziennikarzy zagranicznych. P. skwitował go słuszną uwagą: „Dość prawdopodobne, ale nie trzeba zapominać, że i komuniści o tym wiedzą”. Oto „dialektyka” puczu w kategoriach najprostszych).

20 grudnia

Oglądałem w telewizji francuskiej warszawski dziennik telewizyjny, pokaz skondensowanego żołdactwa w stylu południowo-amerykańskich *golpe*. Umundurowany spiker wystękał „wiadomości”, z których wynikało, że wszystko idzie ku lepszemu, łącznie ze zgalwanizowaną cudownie gospodarką. W „migawce ulicznej” jego kolega podetknął mikrofon jakiejś warszawskiej paniusi: okazała się „mile zaskoczona” wprowadzeniem stanu wojennego. Dla okraszy nadano reportaż z lokalu nielegalnego wydawnictwa po wizycie milicji: połamane meble, walające się na podłodze papiery, teleobiektyw naczelnym długą chwilę na niedopitą butelkę wódki, po czym prezentacja na ekranie występných książek gotowych do kolportażu, wśród nich *Polskiego kształtu dialogu* księdza Tischnera. Autor, „biskup połowy »Solidarności«”, i tytuł jego książki służą jako niedwuznaczne ostrzeżenie z odcieniem pogroźki: Kościół nie jest nietykalny.

Redaktor „Esprit” Paul Thibaud, świeżo przybyły z Warszawy, opowiada w „Libération”, co widział i słyszał: „Na Nowym Świecie rozlepiono nocą afisze,

przedstawiające Geremka w rozmowie telefonicznej z rabinem jerozolimskim, Polka, z którą o tym rozmawiałem w kościele Świętej Anny, rozpląkała się nagle z oburzenia. O trzeciej po południu trudno było znaleźć na murach bodaj skrawek tych afiszów; zdzierali je przechodnie”.

Eksperci ideologiczni z aparatu propagandowego junty Jaruzelskiego powinni byli, dla większej jasności, zlecić napis na afiszu: „Prawdziwy kształt dialogu”.

24 grudnia

W ciągu ostatnich trzech dni komentatorzy francuscy usiłowali wypunktować sytuację, dając po raz pierwszy do zrozumienia, że pucz, wykonany technicznie bez pudła, zarył się politycznie w piasku czy wylądował w grzęzawisku. Jacques Amalric o Jaruzelskim: albo zastąpi go ktoś jeszcze brutalniejszy, albo przejście od „autoinwazji” do otwartej inwazji. André Fontaine o „jedynym dogmacie” Moskwy: *J'y suis, j'y reste*. „Na szczęście” – według komentatorów francuskich – Jaruzelski „ma obsesję dialogu z Kościołem”. Ale (na nieszczęście): „Czyżby Jan Paweł II porzucił ową *prudence*, która go dotychczas znamionowała?”. Od czterdziestu ośmiu godzin Moskwa bije nieprzerwanie w bęben jałtański. Rozstawwszy na szachownicy główne figury, traktuje się jak strąconą już figurę najgłośniejszą: „Solidarność”. A tymczasem dokoła niej toczyć się będzie cała gra.

25 grudnia

Zarysowują się trzy warianty. Pierwszy, czysto teoretyczny i naiwny: zwolnienie Wałęsy i prezydium „Solidarności”, rozmowy (z udziałem Kościoła) na temat nowych układów, przy nacisku junty na branżową, a nie regionalną strukturę związków. Drugi, prawdopodobny i konieczny: zejście „Solidarności” do podziemia, narodziny konspiracji. Trzeci, mniej prawdopodobny, choć w duchu mentalności junty: stworzenie „Solidarności” ubeckiej, złożonej z tych, co się pokajali i pokajają, oraz z dawnych „wtyczek” w NSZZ.

Słyszę, że pierwszą reakcją Papieża na pucz był list do Jaruzelskiego, w którym padło słowo „hitlerizm”. List odrzucony przez adresata.

Igrek, kolejny gość z Warszawy: upadł mit wojska w społeczeństwie. Liczono – rachuba była bliska pewności – że wojsko z poboru stanie po stronie „Solidarności”. Ten błąd popełniliśmy chyba wszyscy, i tam, i tu. Pamiętam jak 6 listopada w Rzymie słuchałem, potakując głową, takich właśnie wywodów z ust wybitnych działaczy „Solidarności” (poparte były informacją poufną o „tajnym sondażu” wśród poborowych: tylko 10–15% zadeklarowało jakoby jednoznacznie „gotowość do obrony socjalizmu”).

Drugim błędem, wyłącznie już „Solidarności”, było zaufanie do zasady jawności tak bezgranicznej, że zaniedbano zbudowania elementarnej choćby sieci alternatywnej w ukryciu na wypadek użycia siły przez władzę. Jaruzelski i jego

moco- czy rozkazodawcy sowieccy przygotowywali – zdaniem znawców przedmiotu – pucz od co najmniej 8–9 miesięcy. Jeżeli zdołali zachować sekret, to nie sądzę, by przeciwna strona nie była zdolna do czegoś analogicznego. Uniknięcie pełnego zaskoczenia mogło być ważnym atutem „Solidarności” na przyszłość, przyjąwszy nawet, że opór wojskowej „autoinwazji” musiałby się i tak okazać za słaby.



Czego się należy obawiać, to urodzaju na ożywionych nagle czarnowidzów, tych, co „od dawna przewidywali nieuchronną katastrofę, lecz nie śmieli występować głośno przeciw rozbuchanej nadziei”; rozmnożenia się, nazajutrz po operacji WRON-y, kruków w złej wierze wśród chwilowo obezwładnionych. W złej wierze, tak, i to z dwóch powodów. Historia minionych szesnastu miesięcy była, i dobrze że była, musiała być, historią wskrzeszonej nadziei; bez tego odzicia nadziei, wciąż rosnącej, wciąż szerzej i głębiej sięgającej, Polski Sierpień stałby się jeszcze jednym epizodycznym szarpnięciem się ryby na ościeniu, a nie gruntownym przeoraniem kraju, którego nie odwróci militaryzacja *in extremis* zranionego śmiertelnie ustroju. A mówienie o katastrofie jest dowodem małoduszności i braku wyobraźni, gdy coraz wyraźniej widać polityczne niepowodzenie puczu.

Na czym polega udany *golpe*? Na sparaliżowaniu wszystkich odruchów organizmu społecznego z wyjątkiem jednego, odruchu podniesienia rąk do góry. To w Polsce nie nastąpiło. Było zrozumiałe oszołomienie, jakby zdrętwienie od ciosu wymierzonego między oczy, był nawet strach wywołany klasycznymi środkami z arsenału terroru psychologicznego, ale paraliż nie pociągnął za sobą natychmiastowej kapitulacji. I sporo zdaje się wskazywać, że wchodzimy w okres stopniowego wydobywania się, otrząsania z częściowego paraliżu. Każdy pucz, stając przed takim obrotem rzeczy, staje równocześnie przed pytaniem: wygraliśmy technicznie, wojskowo, i co dalej? Więc nie skończyło się, jak pokrakują czy będą pokrakiwać biczownicy i samobiczownicy nad rzekomym trupem „Solidarności”; przeciwnie, dopiero się zaczyna. Mam pokusę dorzucenia: na dobre. Zaczyna się na dobre w tym sensie, że podsycany nadzieją półtoraroczny, rewolucyjny wichur dojrzwiania społecznego i politycznego, często chaotyczny, jeszcze częściej zbyt z konieczności emocjonalny i pewny swej nieodpartej mocy, zamieni się odtąd w powolne, uparte, trwalsze odbijanie piędy po piędy zniewolonej i okupowanej ziemi.

28 grudnia

„Co dalej?” Jaruzelskiego łączy się z opinią przypisywaną w „Le Monde” bliskiemu mu człowiekowi: „Trzeba przede wszystkim wstrzymać mechanizm napięcia; partytura jest dopiero do rozpisania”. Jaką w tej „partyturze” odegra rolę generalska „obsesja dialogu z Kościołem”?

Scenariusz dogodny dla Jaruzelskiego byłby zapewne taki. Wstępne rozmowy z Kościołem przewlekają się i utykają w martwym punkcie, pojawia się groźba ich przerwania. Naraz junta wysuwa „wielkodusznie” propozycję kompromisu: zwolnienie Wałęsy i prezydium „Solidarności” plus eksperci, z wyłączeniem „ekstremistów”; podział „Solidarności” na „dobrą”, „zdrową”, „przepełnioną duchem chrześcijańskim i autentycznie związkowym”, oraz „złą”, „politykierską”, „awanturniczo-lewacką”, „opętaną myślą o wydarciu nam władzy”. Dewizą puczu było „mniejsze zło” (wiadomo, co kryło się za „większym”). Może zatem i Kościół użyje swych wpływów, by przekonać Wałęsę o patriotycznym obowiązku przyjęcia zasady „mniejszego zła” w obliczu alternatywy: ocale nie części lub zniszczenie całej „Solidarności”?

Kompromis oznaczałby bez wątpienia koniec cudu polskiej jedności, największej zdobyczy „Solidarności”. I, bez wątpienia również, podkopałby powszechny autorytet moralny Kościoła. Toteż Zet, któremu ten scenariusz przedstawiłem, skomentował go krótko: „Całkowicie takiej możliwości wykluczać nie można, nie potrafię jednak uwierzyć w skłonności Kościoła do autolizjonizmu”. A skoro (dodał) idzie do powstania „Solidarności” podziemnej, nie jest nawet pewne, czy juncie opłaciłoby się na dłuższą metę utrzymywanie fikcji z pomocą „Solidarności” ubeckiej.

6 stycznia 1982

„Stan zero”. Tak, sądząc z przecieków prasowych, Rakowski wyraził się o sytuacji w Polsce podczas spotkania z urzędnikami ambasady PRL i z dziennikarzami polskimi w Bonn. Czyli inna wersja „Co dalej?” Jaruzelskiego. Metafora zarycia się puczu w piasku przylega do politycznej istoty rzeczy. Obraz jazdy na tygrysie – z wyborem między zajeżdżeniem go na śmierć, zeskoczeniem albo zrzuceniem – daje pojęcie o stanie wojennym, który tym trudniej będzie odwołać, im dłużej będzie trwał „stan zero”.

7 stycznia

Tydzień temu Bernard Guetta, najlepszy korespondent zagraniczny w Polsce, zwrócił uwagę na przeoczany ciągle aspekt „taktyki psychologicznej” junty. Nieznana jest liczba „miejsc odosobnienia” dla aresztowanych i internowanych, ocenia się ją na około pięćdziesiąt. Mówi się jednak i pisze bezustannie o trzech czy czterech, gdzie osadzono elitę intelektualną „Solidarności”; i gdzie warunki

są znośne, jeśli nie dobre. W pozostałych czterdziestu kilku siedzą działacze z robotniczych „dołów”; w warunkach (według skąpych informacji), które mają im dzień i noc wbijać do twardych głów, że w „robotniczym państwie” na nich zawsze spadną najcięższe razy za „próby rozrabiania z inteligentnymi wicherzycielami”.

Dziś przeczytałem reportaż dziennikarza holenderskiego, który był w Polsce w przebraniu szofera ciężarówki z żywnością i lekami. Udało mu się dotrzeć do śląskiego górnika, uczestnika strajku w kopalni „Piast” od 14 do 27 grudnia. W wilię dano trzem księżom zezwolenie zjechać do strajkujących. Namawiali bez skutku do przerwania strajku, do „poniechania przegranej sprawy”. Robili wrażenie przysłanych przez władze. Przed odjazdem obiecali wrócić nazajutrz dla odprawienia mszy. „Nie zjawili się więcej, co dla nas, w większości wierzących, było głębokim zawodem”. Przypuszczalnie nie pozwolono im powtórnie zjechać. Ale incydent jest pouczający: w warunkach stanu wojennego włos le dwie dzieli „mediację” od podejrzeń z osadem goryczy.

8 stycznia

Spotkanie z I. A., moją rosyjską przyjaciółką. Zastanawialiśmy się najpierw, dlaczego Sołżenicyn milczy po 13 grudnia, po czym pochłonęły nas (zjawisko w tych dniach epidemiczne) rozmaite „scenariusze”. Odkąd w wiadomościach z Warszawy powtarza się uporczywie formuła o „zesztywnieniu stron w rozmowach Kościoła z juntą”, zadaję sobie pytanie: z czyjej woli? Ostatecznie nie wolno zapominać, że „autoinwazja” jest pomysłem Moskwy, inwazją *per procura* przygotowaną i wykonaną w ścisłym współdziałaniu ze sztabami sowieckimi. Mimo komedii pozorów „polskiego rozwiązania wewnętrznego” operacja otwarcia polskiego brzucha jest dla Moskwy dostatecznie kosztowna, aby przy sposobności, za jednym zamachem, dobrać się do dwóch starszych od raka „Solidarności” złośliwych guzów w socjalistycznej tkance PRL: Kościoła i wsi. Innymi słowy, i wieś odsuwając chwilowo na bok z oczywistych względów gospodarczych, nie lekceważyłbym i takiej ewentualności, że Moskwa poleciła wykonawcom „autoinwazji” sprowadzić Kościół polski do „właściwych wymiarów”. Może więc „zesztywniał” Jaruzelski, a raczej został odgórnie „zesztywniony”.

Neapol, 15 stycznia

Upragniona wersja puczu jako „wewnętrznej sprawy Polski”, ze szczególnym zapalem podchwyciona przez Schmidta, miała w zachodniej Europie dość krótki żywot. Zostawiła po sobie takie dziwolagi, jak porównanie, w jednej z gazet włoskich, Jaruzelskiego z Piłsudskim. Wydobyła w Niemczech na powierzchnię poglądy, które wydawały się bezpowrotnie pogrzebane.

Ale przywrócenie wypadkom ich rzeczywistych znaczeń i proporcji, pogodzenie się z faktem, że polski pucz jest po prostu lichy zamaskowaną agresją im-

perialno-kolonialną Moskwy, nie zapowiada bynajmniej w Europie otrzeźwienia. „Życie codzienne – pisze Raymond Aron – odzyskuje swoje *business as usual*. Za kilka tygodni, za kilka miesięcy zachodni Europejczycy zapomną... Zobaczymy, czy Polacy pozwolą nam zapomnieć. Zobaczymy, czy zachodnia Europa może żyć w wolności, nie przejmując się niczym innym poza dobrobytem i spokojem. Zobaczymy, czy Amerykanie będą nadal bronić Europejczyków zobojętniałych na problemy własnej obrony”. Tak, zobaczymy. I zobaczymy również, czy Związek Sowiecki pozwoli zachodniej Europie korzystać długo z wolności za swoistą kaucją.

17 stycznia

Sympatia do „Solidarności” na Zachodzie przeplatana jest teraz, głośniejszą i jawniejszą niż przed puczem, tzw. przyjaznymi wymówkami. Że posunęła się za daleko, że przeciągnęła strunę, że dostała zawrotu głowy od powodzenia, że upiła się poczuciem własnej siły i uległa złudzeniu słabości przeciwnika. W znakomitym artykule Kołakowskiego o „łagodniejszym kacie” jest odpowiedź na te bałamuctwa, zakrapiane mniej lub więcej szczerymi łzami ubolewania, podszyte załamaniem rąk przyjaciół, którzy na brak przezorności nie mogą się uskarżać, mają jej pod dostatkiem i dla siebie, i na wynos. Tak, oczywiście, „Solidarność” posunęła się za daleko, samo jej powstanie i istnienie było posunięciem się i stałym posuwaniem się za daleko, jak posuwają się zawsze za daleko i przeciągają strunę poddani w systemach despotycznych, gdy wybucha w nich wreszcie dojrzewający od dawna bunt. „Ktokolwiek w jakimkolwiek kraju despotycznym nie bardzo chce się pogodzić z despotyzmem, posuwa się za daleko. No i dobrze mu tak”. Despoci tracą cierpliwość, despoci – każe o tym pamiętać drogocenna cnota przezorności – też mają swoje interesy, kłopoty i przeróżne zawile uwarunkowania. Trzeba spróbować wejść w ich skórę i położenie.

Kołakowski poprzestaje na króciutkiej ripostie ironicznej. Warto jednak przyjrzeć się bliżej owej „przezorności”, zalecanej zbuntowanym poddanym despotyzmu, w tym wypadku milionom członków „Solidarności”. „Solidarność” powstała, i przybrała taki, a nie inny charakter, po doświadczeniach przeszłości, z których można było wyciągnąć jedną tylko naukę: ustępstwa wydarte doraźnie, bez instytucjonalnych gwarancji i prawdziwych reform, nie posiadają żadnej prawie trwałości, są szybko rozmydlane. Z powstaniem „Solidarności” zmieniła się jakość oporu, stał się z petenta stroną. Tego przeciwna strona nie chciała nigdy, na przekór solennym zapewnieniom formalnym, przyjąć do wiadomości. „Solidarność” posuwała się dalej i dalej, każdorazowo „za daleko”, gdyż władza udawała jedynie, że wychodzi jej naprzeciw, w rzeczywistości stojąc w miejscu, podpisując układy „do lodówki”, pertraktując z myślą... Wiadomo dziś o czym. Owszem, wiadomo, ale niewiele rozumie z nowej jakości ruchu sierpniowego w Polsce, kto jego immanentny dynamizm zbywa w imię „wymogów

gów przezorności” banałami o „przeciąganiu struny” i „zawrocie głowy od powodzenia”. Ta nowa jakość, społeczna i narodowa, jest za twardym orzechem na wojskowe zęby rodzimej armii okupacyjnej.

18 stycznia

Obie gazety są z tej samej daty, 9–10 stycznia. Pierwsza, „Gazeta Krakowska” z aneksami, przynosi na pierwszej stronie radosną wiadomość: *Takiego splotu towarów nie notowano od lat*. Druga, „Trybuna Ludu”, drukuje rozważania Koźniewskiego *Jestem zawiedziony postawą inteligencji*. Koźniewski – jak się okazuje z lektury jego nieścisłe zatytułowanego artykułu – jest zawiedziony postawą robotników i inteligencji. Robotników, bo z ich inicjatywy doszło do „jednego z najsmutniejszych wydarzeń minionych miesięcy, budowy pomnika ofiar Grudnia w Gdańsku i ofiar Czerwca w Poznaniu”. Inteligencji, bo zachorowała na atrofię „instynktu państwowego”. Pamiętał, nasz biedny zawiedziony, jaki był tytuł artykułu Bolesława Piaseckiego w „Słowie Powszechnym” z 16 października 1956? W swoim *Instynktie państwowym* wódz Paksu groził „ogłoszeniem stanu wyjątkowego” (do spółki z sojusznikami z partii). Koźniewski nie ma już czym grozić w styczniu 1982. Nie przyszło mu, i nigdy nie przyjdzie, do głowy, że „instynkt państwowy” w jego i Piaseckiego wydaniu jest, pod panowaniem sowietyzmu, przykrywką permanentnego stanu wyjątkowego.

23 stycznia

Z Rzymu przywiozłem dwa teksty: odpowiedzi (z ukrycia) Zbigniewa Bujaka na pytania dziennikarza amerykańskiego Johna Darntona i „Komunikat komisji wspólnej przedstawicieli rządu i Episkopatu z 18 stycznia” podpisany przez księdza Orszulika.

Pisemny wywiad z Bujakiem, spokojny i rozumny, potwierdza moją notę sprzed tygodnia o stawianych „Solidarności” zarzutach, że „posunęła się za daleko”. Co na Zachodzie nazywa się „mądrością”, powiada Bujak, „byłoby dla nas skierowaną przeciw »Solidarności« współpracą z władzami państwowymi i partyjnymi; staliibyśmy się jeszcze jedną przybudówką do systemu totalitarnego, stwarzając tylko wrażenie demokracji; tego nie można od nas wymagać”. W dalszym ciągu wywiadu mowa o stosunku władzy do „bezkrwawej rewolucji”, o tym, co nazwałem „odmową jej przyjęcia do wiadomości”. Bujak: „Wiadomo dziś, że nikt z rządzących nie myślał o zmianach i reformach, że nasze nadzieje znalezienia po tamtej stronie pewnych oznak dobrej woli były iluzoryczne; jest jasne, że obecna sytuacja była nie do uniknięcia; byłaby do uniknięcia za cenę rezygnacji »Solidarności« z własnej tożsamości”. Pierwszy szok stanu wojennego minął, rodzi się i rośnie podziemny ruch oporu.

Darnton wysłał z Warszawy wywiad z Bujakiem tego samego dnia, w którym wysmażono „komunikat komisji wspólnej” podpisany „za zgodność” przez księ-

dza Orszulika. Kiedy się ten komunikat czyta, ogarnia przerażenie (i nie ma się ochoty wyjść w komentarzu poza to słowo). W Rzymie opowiadano mi o różnicy zdań w łonie Episkopatu; podobno niektórzy członkowie Episkopatu tłumaczą twardą postawę Papieża jego „oderwaniem od kraju”. Ta postawa zapewne, prócz wymienionych i potępionych w komunikacie sankcji gospodarczych, jest zaporą na wspólnej drodze komisji wspólnej: na drodze „przewyciężenia kryzysu” i „powrotu do pełnej realizacji procesu odnowy w duchu umów społecznych”. Mniejszą natomiast, albo wręcz bagatelną, zaporą jest „wyrażone przez przedstawicieli Episkopatu zaniepokojenie przypadkami działań mających charakter odwetu w stosunku do obywateli i naruszających godność ludzką”, skoro „przedstawiciele rządu oświadczyli w związku z tym, że działania takie nie leżą w intencjach władz”.

26 stycznia

Odezwał się wreszcie Solżenicyn. Jego artykuł na temat „lekcji Polski” oskarża Zachód o słabość i ślepotę (z czym do pewnego stopnia łatwo się zgodzić) i przypomina, że „ideologia komunistyczna jest siłą metafizyczną działającą na przekór prawom fizyki, ekonomii i socjologii, zdolną przeżyć nawet ZSRR i komunistyczne Chiny” (co, moim przynajmniej zdaniem, zakrawa na natechnioną niedorzeczność). Zsumowawszy oba czynniki, nie można się oprzeć uczuciu jałowości. Zachód jest słaby, choć nie tak słaby, jak się sądzi; i ma cechy raczej krótkowidza niż ślepcy. O tym wiemy od dawna, z tą wiedzą żyjemy i liczymy się od dawna, pilnując, by dla walczących przeciw despotyzmowi na Wschodzie nie stała się czymś w rodzaju rezygnacyjnego alibi. A „siła metafizyczna”? Oglądamy ją w Polsce wepchniętą, *in articulo mortis*, w mundury wojskowe. Wypowiadającą wojnę całemu prawie społeczeństwu, które w ciągu szesnastu miesięcy rozdeptało resztki „ideologii” na proch i pył.

Coś jednak łączy dwóch wielkich antagonistów wolnej myśli rosyjskiej, Solżenicyna i Zinowiewa. Apokaliptyczne poczucie nieuchronności, nieodwracalności, obojętne jak wyjaśnianej i uzasadnianej. Byłoby prawdą słynne zdanie Bierdiajewa, że „Rosjanin jest apokaliptykiem albo nihilistą, apokaliptykiem na dodatnim biegunie, nihilistą na ujemnym”? Tyle tylko oznacza „lekcja Polski” dla naszych przyjaciół Rosjan na dodatnim biegunie?

3 lutego

Swoim listem Wałęsa przekreślił jeden z ważniejszych znaków zapytania w Polsce. Jest nie do użycia, uparł się, pozostał wierny duchowi „Solidarności”. Na ten jego upór skarżył się prymas Glemp w rozmowie z amerykańskim senatorem Presslerem, wyrażając bądź „zniecierpliwienie” („Times”), bądź „zakłopotanie” („Financial Times”) Kościoła. Jeśli wierzyć dziennikarzom angielskim, prymas rzucił także ironiczną uwagę o Wałęsie, który „życzy sobie, by partia

przeprosiła go na kolanach”. Bliższa rzeczywistości byłaby supozycja, że nie chce partii przeprosić na kolanach. Tak czy owak, odpadła szansa kompromisu na „wiarygodnym poziomie”.

6 lutego

Amatorów poglądu, że „ideologia komunistyczna jest siłą metafizyczną” musi zastanowić zerwanie, czy niemal zerwanie, komunistów włoskich z ideologiczną Centralą na tle „lekcji Polski” (kremlowską anatemę pod adresem włoskich towarzyszy poprawiał i wycieniowywał na łożu śmierci Metafizyk Numer Jeden, Susłow). Nie wchodzi tu w spekulacje, jakie skutki będzie miało zerwanie, czy Moskwie uda się doprowadzić do rozłamu w partii włoskiej, na ile kłątwa upoważnia do dania Berlinguerowi pewnego kredytu. To się dopiero okaże w przeszłości. Ale już dzisiaj widoczny jest, dla chcących patrzeć, zupełny brak elementów „ideologicznych” w zderzeniu komunistycznego Rzymu z komunistyczną Moskwą. Jeden z partyjnych notabli, Barca, wykrzyknął nawet: „Dosyć walkowania marksizmu-leninizmu, trzeba otworzyć oczy!”. Trzeba było, co prawda, otworzyć je grubo wcześniej. I przyznała się do tego z biciem w piersi para partyjnych seniorów i senatorów, Camilla Ravera i Umberto Terracini, deklarując, że „w gruncie rzeczy” miał rację Turati. Turati! Wysztychany, szarpany, opluwany przez całe lata, synonim „socjal-zdrady”, „sprzedajnego reformizmu”, „tłusty szczur na śmietniku Historii”. To tak jakby stary polski komunistą zadeklarował nagle, że „w gruncie rzeczy” mieli rację Daszyński, Niedziałkowski, Pużak, Ciołkosz. Co wpłynęło na tę zmianę? Mówiono mi, że włoscy adrepcy intelektualni „metafizycznej siły komunizmu” czytają teraz gorliwie esej Castoriadis o sowietyzmie *La Force Brute pour la Force Brute*.

8 lutego

We wczorajszych gazetach depesza katolickiej agencji prasowej w Wiedniu „Kathpress” o liście dwudziestu sześciu biskupów-ordynariuszy do Jaruzelskiego. List zredagowano 19 stycznia (nazajutrz po nieszczęsnym „komunikacie komisji wspólnej”), a doręczono adresatowi po jego przemówieniu w Sejmie 25 stycznia. Istotne jest w nim ostrzeżenie przed ewentualnym rządowym pomysłem tworzenia „Solidarności” „konformistycznej” (czyli ubeckiej). „Krok tego rodzaju byłby prowokacją dla narodu polskiego, który ma świadomość wytkniętych przez »Solidarność« celów”. Wygląda to – a w każdym razie powinno w oczach junty wyglądać – na gwóźdź wbity do trumny kompromisu na „poziomie niewiarygodnym”.

W dwa miesiące blisko po puczu nic nie świadczy o „wstrzymaniu mechanizmu napięcia”; i nadal „partytura jest do rozpisania”. W Rzymie kościelna „narada na szczycie”. W Warszawie oświadczenie przedstawiciela rządu, że stan wojenny (z pewnymi retuszami „łagodzącymi”) nie będzie odwołany w bieżącym roku.

[3/1982]

Trudny i drażliwy problem

W *Naszej ocenie*, opublikowanej w poprzednim numerze „Kultury”, stwierdziliśmy, że Kościół katolicki w Polsce, jako jedyna instytucja ocalała dotychczas z pogromu, „daje piękne dowody odwagi, na przykład w oświadczeniu Episkopatu z dnia 15 grudnia”. Wyraziliśmy nadzieję, że „nadal Kościół opierać się będzie pokusom przekraczania granic swego narodowego autorytetu moralnego dla osiągnięcia doraźnych celów instytucjonalnych”. Tymczasem w grudniu i styczniu zaszły pewne fakty budzące niepokój nie tyle co do „pokusy” osiągnięcia tych celów, ile odnośnie do generalnej strategii wobec junty wojskowej i wyłomów, jakie zarysowały się w spoistej dotąd postawie Episkopatu. Wywołują one ponadto obawy o uleganie naciskom junty wojskowej i uzasadnioną krytykę odnoszącą się do niektórych publicznych wystąpień przedstawicieli kierowniczego ośrodka Episkopatu. Odnotujmy kilka tych faktów.

Komunikat z 15 grudnia odczytany był w niektórych tylko diecezjach (np. w metropolii wrocławskiej), w innych lokalnym komisarzom wojskowym udało się nastraszyć biskupów. Były też przypadki, że zamiast odczytania wywieszono ten komunikat na drzwiach kościołów. W niektórych kazaniach prymasa Polski uderza jakaś dziwna skłonność do biczowania umęczonego dostatecznie już społeczeństwa przy równoczesnym jeśli nie wybielaniu, to przynajmniej usprawiedliwianiu działań junty wojskowej. 24 stycznia, kiedy w kościołach był odczytany list pasterski biskupów, ks. prymas wygłosił kazanie w Warszawie transmitowane przez radio. Z informacji, jakie otrzymaliśmy z kraju, wynika, że odebrano to ugodowe kazanie jako chęć zneutralizowania efektu mocnej treści listu pasterskiego. Kazanie to zawiera 4 punkty. W jednym z nich ks. prymas apeluje o niepomijanie zasług i nieośmieszanie władzy (!). W drugim namawia do postulowania, by ludzie pozbawieni wolności lub zwolnieni z pracy „wiedzieli, za co spotyka ich taka kara”. Słowa te nie mogły nie rozdrażnić społeczeństwa. Postulat drugi świadczy o niebotycznej naiwności. Ogólnie biorąc, razi język i ton tego kazania, niedostatecznie, jak się wydaje, przemyślany, bo trudno przypuścić, by chodziło o świadome ukłony pod adresem junty. W tym i innych jeszcze wystąpieniach kościelnych uderza jaskrawy brak proporcji: o dramacie powoźdian mówi się w kategoriach „ogromu cierpień ludności”, o ofiarach zbrodni

przeciw narodowi – w sposób znacznie łagodniejszy. W przemówieniu do studentów ks. prymas stwierdza, że „każdy pragnie pomóc tym właśnie biednym internowanym, a jest wśród nich wielu niewinnych”. Czy to zwykły lapsus, czy też faktycznie następca wielkiego zmarłego prymasa uległ propagandzie reżimowej, dowodzącej, że wśród internowanych są „ekstremiści zaprzędani klice syjonistycznej” („Żołnierz Wolności”).

Sprawa komunikatu Komisji Wspólnej przedstawicieli Rządu i Episkopatu z 19 stycznia: tekst ten poszedł do prasy jako komunikat PAP-u. Po co więc było nadawać mu również charakter komunikatu kościelnego? Podobno tekst przedłożony delegacji Episkopatu w pierwszej wersji był jeszcze gorszy. Nie tłumaczy to jednak zdania, w którym przedstawiciele Episkopatu wyrażają zaniepokojenie przypadkami działań mających charakter odwetu i naruszających godność ludzką, a przedstawiciele rządu „oświadczają w związku z tym, że działania takie nie leżą w intencji władz”. Można by było to jakoś strawić, sęk jednak w tym, że powszechnie to odczuto jako łatwe przerzucenie odpowiedzialności za łamanie praw obywatelskich na juntę wojskową.

Jeśli już mowa o języku, w jakim redagowane są dokumenty kościelne, to mielibyśmy pewną sugestię: przedkładać je do konsultacji członkom Rady Społecznej przy prymasie Polski. W Radzie tej, będącej jak dotąd czystą fikcją, są wybitni prawnicy, tacy jak adwokaci Chrzanowski i Olszewski, publicyści Wielowieyski, Micewski i Turowicz. Chwilowo notabene są bezrobotni.

Budzi zasadnicze zastrzeżenie fakt, że dostęp do przebywającego w zasadzie w areszcie (choć z prawnego punktu widzenia internowanego tak jak pozostali działacze „Solidarności”) Lecha Wałęsy dostęp mieli – przynajmniej do tej pory – jedynie bp Dąbrowski i ks. Orszulik. Nie najlepsi to konsultanci.

I wreszcie jeszcze jedna przykra kwestia, a raczej prawdziwy skandal. Chodzi nam o oświadczenie ks. A. Orzulika, dyrektora Biura Prasowego Episkopatu, dla agencji zachodnich nazajutrz – tzn. 23 stycznia – po przekazaniu im fragmentów tekstu listu pasterskiego biskupów. Ks. Orszulik zarzucił prasie zachodniej, że fałszywie jakoby zinterpretowała treść tego listu. Nie stanowił on bowiem – zdaniem rzecznika Episkopatu – żadnej presji na rząd, lecz był podyktowany jedynie troską o zachowanie pokoju wewnętrznego i o pojednanie. Gazety amerykańskie, jak np. „Int. Daily News”, ukazująca się w Rzymie, podały, że ks. Orszulik skierował pod adresem zachodnich korespondentów następujące obraźliwe słowa: „rzucili się na ten list jak sępy na ścierwo” (!). Radio Warszawa oczywiście skwapliwie podchwyciło tę wypowiedź, obsypując ks. Orzulika pochwałami jako „wybitnego kapłana” (przypominają się czasy stalinowskie, kiedy święcili triumfy „księża-patrioci”). Kto upoważnił ks. Orzulika do złożenia tego rodzaju skandalicznego oświadczenia – nie wiadomo. Miarodajne źródła kościelne wykluczają podobno, by uczynił to ks. prymas. Pozostaje więc jego bezpośredni przełożony, ks. bp Dąbrowski, sekretarz Episkopatu. Czas najwyższy położyć kres niepoczytalnym, gorszącym wystąpieniom ks. Orzulika.

Nie pierwszy to przecież wyskok tego kapłana, który stale podważa wielki kredyt moralny, jakim cieszy się Kościół w Polsce. I nie przysparza na pewno chluby Episkopatowi, którego chyba stać na bardziej wykwalifikowanego i zrównoważonego rzecznika prasowego. Dochodzą również słuchy, że i mandat bp. Dąbrowskiego jako sekretarza Episkopatu dobiega końca. Może znajdzie się i w tym przypadku następca cieszący się lepszą sławą.

[3/1982]

O Nagrodę Pokoju Nobla dla Wałęsy

Z różnych krajów świata płyną od przedstawicieli kultury i nauki, od działaczy religijnych i działaczy związków zawodowych listy do Oslo, do norweskiego Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla, których autorzy wysuwają do niej w tym roku kandydaturę Lecha Wałęsy. Nie ma ani powodu ani potrzeby ukrywać, że inicjatywa zawdzięcza sporo „Kulturze”. Nie warto też trwonić słów dla uzasadnienia, że przyznanie Wałęsie, a w jego symbolicznej już osobie wszystkim działaczom NSZZ i całej w ogóle „Solidarności”, tego wysokiego odznaczenia byłoby jedną z najsprawiedliwszych decyzji norweskiego komitetu. W ciągu półtorarocznego zaledwie istnienia „Solidarności” przeprowadziła zdumiewającą, budzącą powszechny podziw i powszechną nadzieję walkę pokojową o wolność swego kraju i o godność ludzkiej pracy. Nie przelano ani jednej kropli krwi, nie wzywano nigdy do przemocy i gwałtu, świat zobaczył spokojną, stanowczą, uczciwą, czystą twarz milionów ludzi; tę samą twarz, którą miał okazję przelotnie ujrzeć podczas podróży Jana Pawła II do Polski. Krew, żołdacką przemoc, policyjny gwałt przyniósł dopiero dzień 13 grudnia 1981 roku. I widmo wojny przeciw własnemu narodowi. Kto zatem godny jest dzisiaj noblowskiej Nagrody Pokoju bardziej od przywódcy robotników polskich, więzionego przez reżim wojskowy? Kto bardziej był jej niegdyś godny od Ossietzky'ego, więzionego przez wojenny reżim hitlerowski? Jeśli słowo „pokój” ma zachować jakiś sens, inny od sensu nadawanego mu przez Moskwę i jej etatowych „pacyfistów” na Zachodzie, sędziowie w Oslo nie zawahają się w swym wyborze.

Apele, petycje, listy należy kierować do połowy września bieżącego roku pod adresem: Comité Nobel Norvegien, Drammensveien 19, Oslo 2, Norwegia.

16 sierpnia 1982

21 uwag o dialogu z terrorystą

1. 13 grudnia 1981 państwo napadło na społeczeństwo i wzięło mu zakładników. Aparat wojskowo-policyjno-partyjno-administracyjny przyjął taktykę terroryzmu, ponieważ reprezentując znikomą mniejszość społeczeństwa, nie mógł narzucić swoich koncepcji większości. Jej jedynym wiarygodnym rzecznikiem była i jest „Solidarność”.

Terroryści, którzy porwali zakładników, proponują nam teraz: zwolnimy ich i przestaniemy wam grozić użyciem broni, jeśli odstąpicie od waszych działań, idei, przywódców. Słowem: terroryści wyrzekną się terroru, jeśli my wyrzekniemy się siebie. Odpowiedź nasza musi być prosta i jasna: żadnych rokowań, żadnej ugody z terrorystą.

2. Do osiągnięcia kompromisu nie trzeba woli kompromisu, trzeba woli walki. Kompromis powstaje ze starcia sił, a nie z negocjowania społecznych racji. Z pistoletem przytkniętym do skroni nie zawiera się kompromisu, można tylko poddać się. Nie ma jednak powodu do kapitulacji. Ta wojna jest także wojną nerwów. Widać już, że terrorysta boi się strzałów nie mniej niż my.

Maksymy: Vegetiusa „Kto pragnie pokoju, niech się gotuje do wojny” i Clausewitza „Wojna jest dalszym ciągiem polityki prowadzonej innymi środkami” powinny wisieć nad łóżkiem każdego działacza „Solidarności”.

3. Po siedmiu miesiącach wojny z narodem widać już wyraźnie, że taktyka władzy sprowadza się do powtórzenia pojałtańskiej farsy.

Stopniowo wycofując się z rygorów stanu wojennego, władza chce nas skłonić do ujawnienia się i rezygnacji z oporu w zamian za obietnicę nierepresjonowania. Jest to groteskowa kopia stalinowskiej akcji ujawniania AK, by... przystąpić do jej likwidacji. Zastosowano cały zestaw działań. Najpierw zamknięto w obozach czołówkę działaczy, których udało się zaskoczyć. Ze sporadycznych polowań na pozostałych ukrywających się rezygnowano w momencie ujawniania się poszukiwanych. Na wolności, czyli w więzieniu zewnętrznym, którym stał się kraj, groźbą i szantażem wymuszano lojalność. Następnie zaczęto zwalniać internowanych, zastępując ich aresztowanymi i skazanymi.

Taktyka ta jest jasna: izolować elitę ruchu „Solidarności”. Rozbroić naród, pozbawiając go przywódców. Nie represjonować za bierne członkostwo „Solidarności”, karać za podziemną aktywność.

4. Kościół, rzucając w tej sytuacji, sytuacji narodu terroryzowanego przez państwo, hasło ugody społecznej, sprowadził dyskusję na manowce. Uгода sugeruje dobrowolne ustępstwa z obu stron na określonych warunkach. Jest to fikcyjna dobrowolność: jedna ze stron wypowiedziała wojnę domową i ją prowadzi. Dopóki tylko straszymy odpowiedzeniem ciosem na cios i powstrzymujemy się w imię nadrzędnych racji – terrorysta nie ustąpi. Jacek Kuroń ma więc rację, wzywając do niegubienia „złotego rogu”.

Polska samoograniczająca się rewolucja skończyła się, gdy przeciwnik nasz przestał się samoograniczać. Kuroń ma rację: tylko uderzeniami na ośrodku władzy i przemocy możemy zmusić przeciwnika do ustępstw. Dla ocalenia programu reform nie musimy iść na żadne kompromisy. Władza uwłaszczy nas, chcąc nie chcąc, jak carat polskich chłopów po 1863 roku. Koncepcja autonomii jest nie tyle owocem naszych samoograniczeń, ile samoograniczeń zaborcy, który musi zrezygnować pod wpływem buntu i oporu z pewnych form dyktatu. Na tym polega wyższość kompromisów niepisanych nad zapisanymi.

5. Nic groźniejszego w obecnej sytuacji niż uproszczenie myślenia o organizacji: góra ustala co robić, a doły precyzują, jak. Jest bowiem dokładnie na odwrót: rolę Tymczasowej Komisji Krajowej jest ustalić, jak wyrzucić na władzę presję silniejszą niż kolportaż bibuły czy bojkot prasy, radia i TV, jak uderzyć w aparat przemocy. Nie możemy bez końca spierać się o zdobycie władzy, która trzyma nas na muszce karabinu. Możemy natomiast ustalić, jak będziemy jej wydierać ten karabin. Centrum oporu może i musi określić, jak odpowiemy na to, że terrorysta wypuścił większość zakładników, a trzymać będzie bezprawnie, powiedzmy, dwustu internowanych, sugerując, że o dwustu ludzi nie ma się co spierać, a reszta to przecież skazani. Odpowiedź na pytanie „jak?” brzmi moim zdaniem następująco: na ograniczony terror trzeba odpowiedzieć ograniczonym odwetem, odwetem, który nie przybierze jednak charakteru kontrterroru.

Należy niszczyć materialną bazę aparatu przemocy i symbole tej przemocy, należy powołać sądy społeczne i piętnować ich wyrokami kolaborację wśród społeczeństwa. Na poziomie makropolityki pytanie podstawowe brzmi: jak? Natomiast na poziomie kilkunasto- i kilkudziesięcioosobowych grup pytanie podstawowe brzmi: co? Nie ma bowiem sensu budować organizacji dla organizacji, siatek dla systemu siatek. Struktury powstają do zadań, a nie same dla siebie. Organizacje społeczeństwa podziemnego nie powinny się więc skupiać na dyskusowaniu metod walki, kwestii programowych czy subtelności technicznych. Nie taktyka czy metody, a konkretna, z sukcesem wykonana akcja przeciw terrorystom stanowi o identyfikacji i sile grupy, pomaga jednostce opanować strach przed wszechwładnym, zdawałoby się, aparatem przemocy.

6. A więc jak walczyć z Rosją i jej Wielkim Księciem Jaruzelskim? Tu trzeba siły. Trzeba odzyskać naszą armię, trzeba pomóc jej się zorganizować od wewnątrz. Powstanie? Nie, po co! Wystarczy sparaliżować pacyfikatorów, pozbawić ich woli walki ze społeczeństwem. Nie występować przeciw wojsku, prowadzić pracę wewnątrz armii. Nie – liczyć na odruch świadomości narodowej w momencie próby, gdy rozkaz stawia żołnierza polskiego na wprost robotnika. Wyprzedzać każdy taki moment, popierając wzrastające w kadrze oficerskiej nastroje frustracji, związanej z rolą okupanta.

7. Gdy parę miesięcy temu Kuroń wezwał z więzienia do zmiany taktyki i powiedział, że trzeba na siłę odpowiedzieć siłą, wyglądało to na oderwanie od rzeczywistości. W atmosferze przygnębienia ta myśl wydawała się absurdalna, nieprzystająca do sytuacji. Tymczasem jest to myśl celna i dalekowzroczna. „Solidarność” wpadła w tę samą pułapkę co niegdyś rewizjoniści: próbowała wraz z całym społeczeństwem pokojowymi środkami walczyć o socjalizm o ludzkiej twarzy, tak jakby taki kiedykolwiek istniał dłużej, niż trwał nacisk w kierunku liberalizacji systemu. I jeśli dziś po raz kolejny nagim terrorem przypominano nam, że Moskwa chce nad Wisłą realnego socjalizmu, czyli faszyzmu o ludzkiej twarzy, to nie można już wierzyć, że przekona się terrorystę perswazją czy tylko groźbą użycia siły. Siła użyta przeciw terrorystom jest normalną samoobroną, bez której naród skarleje.

Jeśli państwo-terrorysta wbrew konstytucji wprowadza stan bezprawia, więzi i maltretuje obywateli, to czynne, metodami siły utrudnianie takiego sprawowania władzy (coż, że z drugiej ręki) nie jest aktem gwałtu, a działaniem w obronie koniecznej.

8. Nie wolno nam bronić się dziś na pozycjach, na których nas zaatakowano. Walczyć dziś w imię „realizmu” o niezależne samorządne związki zawodowe w zależnym i niesamorządnym kraju, w tej polskiej zonie obozu otoczonej drutami bratnich państw to minimalizm, który wikła nas w sprzeczności słów i działania. Skoro Moskwa boi się solidarności narodów podbitych bardziej niż solidarności samych Polaków, akcentujmy tym mocniej tę pierwszą i szerzymy zarazę wolności poza polskie druty. Między Niemcami a Rosjanami, narodami od dwustu lat coraz potężniejszymi i liczniejszymi od nas, dla Polski, samej Polski niepodległej nie znajdziemy miejsca. Żaden – choćby na krótką metę zwycięski – strajk generalny nie przeniesie naszego kraju z granic między Odrą a Bugiem. Finlandyzacja Polski to złudzenie podobne dziewiętnastowiecznym marzeniom o autonomii zaboru rosyjskiego. Alternatywa jest inna: albo Europa Wschodnia będzie wolna, albo sfinlandyzowany zostanie Zachód.

9. Koncepcja polityki posierpniowej sprowadzała się do milczącego uznawania, że władze polskie są władzami niezależnymi; przyjmowano, że możemy rozmawiać jak Polak z Polakiem. Pora zmienić ton. To, o co teraz wypada nam walczyć, to o rewolucję w obozie, a nie polską pokojową i odpowiedzialną drogę do demokratycznego społeczeństwa. W bezruchu, jaki zdaje się tworzyć so-

wiecki szantaż, kryje się nadal szerokie pole manewru. Powtarzam: Rosjanie mają receptę na powstania narodowe (patrz: Budapeszt '56), nie mają natomiast sposobu na pacyfikowanie „pełzających kontrrewolucji”. Zwłaszcza inicjowanych przez socjalistów wrogich komunizmowi.

10. Kolejną odpowiedzią na pytanie: jak walczyć?, jest uświadomienie sobie przez podziemną „Solidarność”, że możemy iść równolegle z Kościołem, ale nie możemy po prostu iść razem, harmonizując na co dzień nasze wysiłki. Cele Kościoła są wieczne, nasze – ziemskie. Kościół trwać ma przez pokolenia. Polska, by przetrwała, każde pokolenie na nowo musi spełniać ofiarę. Pokorą i miłością można walczyć o wolność religii chrześcijańskiej. Ale cywilizacja chrześcijańska broniła się zawsze ogniem i mieczem.

Nie można mieć Kościołowi za złe, że broni swej potęgi i swych interesów wielkiej społecznej instytucji. Ale nie możemy rezygnować w imię jedności działania z samodzielności naszego ruchu społecznego. Nie możemy – tendencje te były i są nieraz bardzo silne – podporządkować się Kościołowi. Musimy być niezależni, bo cele polityki niepodległościowej są inne niż cele polityki Kościoła. Kościół dąży do stworzenia takiej sytuacji, w której nie tracąc nic ze swoich wpływów, uzyska niekwestionowany rząd dusz. Może go uzyskać tylko za cenę powstrzymywania społeczeństwa od walki – taki był wydźwięk kazania prymasa Wyszyńskiego na Jasnej Górze w przeddzień podpisania Porozumień Gdańskich i taki jest sens działań prymasa Glempa. Jeśli Kościół zachowa umiar, a my radykalizm, to obie strony, działając niezależnie a równolegle w tym samym kierunku, utrudnią władzy politykę terroru.

11. Stojąc na wprost terrorysty, wbrew pozorom nie jesteśmy bezbronni: nasze więzienie jest też jego więzieniem. Terrorysta jest silny, dopóki ulegamy jego szantażowi. Jego celem nie jest zabijać i więzić, jego celem jest panować nad tymi, którzy godzą się na terroryzowanie jednostek, by ocalić „siły narodu”. Determinacja w odważnym niewycofywaniu się, spiskowanie, gdy tylko terrorysta nie może nas osiągnąć, zadawanie mu ciosów znienacka, szarpanie z ukrycia, utrudnia rządy strachu. Nam mdleją ręce od trzymania ich w górze, ale on też musi trzymać karabin. To rozważa, a nie brawura dyktuje nam w tej sytuacji odwagę.

12. Nie wierzymy w dobrych i złych terrorystów. Terrorysta jest liberalny, gdy musi takim być. Jeśli władze przyjęły, że liczba aresztowanych jest koncesjonowana, że trzeba gospodarować pulą represji, bo to się bardziej opłaca, to postępujemy tak, by ta liberalna koncepcja jak najmniej im się opłacała. Pamiętamy, że liberałowie nigdy sami z siebie nie zdołali zliberalizować komunizmu, ich liberalizm ujawniał się w chwili upadku kolejnej ekipy.

13. Trzeba sobie jasno powiedzieć: pół Polski może knuć spiski, ale konspirować naprawdę nie może 10 milionów. Konspiracja nigdy nie była masowa. Zaprzysiężeni żołnierze Armii Krajowej stanowili około 1% społeczeństwa. Obecny ruch, jeśli nie będzie ruchem kadrowym – ulegnie rozbiciu. Nie ludźmy

się i nie pochlebiamy społeczeństwu, w wychodku, w którym przyszło nam żyć, nie ma aż tak wielu odważnych. Istotne, by ustrzec się obustronnej mitomanii, by znaleźć miejsce w ruchu na miarę swoich sił. Z każdym działaczem podziemia muszą współpracować dziesiątki współobywateli „na powierzchni”. Obie strony muszą być świadome ograniczeń swej działalności. Jedni nie zrobią wiele bez drugich. Najważniejsze, by działania kadrowych grup konspiracyjnych nie rozmięły się ze społecznymi oczekiwaniami. Tak było zaraz po wojnie, gdy WiN strzelał do komunistów, odpowiadając na ich czerwony terror, a komuniści, będąc panami sytuacji, kierowali równocześnie odbudową kraju. To stawiało podziemie na straconej pozycji: ludzie chcieli budować kraj, a dość już mieli przelewu krwi.

Jedno podobieństwo tej i tamtej wojny pozostaje: na Polskę Walczącą musi pracować cała Polska Solidarna.

14. Czymś, czego bronić musimy rzeczywiście aż do zwycięstwa, jest nasze podwójne życie. Musimy wygrywać w każdym konkretnie procesie odgórnej liberalizacji stanu wojennego. To nasza konspiracja wymusza na władzy ustępstwa. Choć konspiruje pół Polski, niewielu z nas działać musi na fałszywych papierach. Z wyjątkiem kręgu najbliższych nasza aktywność jest anonimowa. Tego nie możemy właśnie stracić. Jeśli tajna pozostanie struktura i osoby, nasze stopniowe wynurzanie się na powierzchnię nie grozi nam dekonspiracją.

Życie pod powierzchnią zachować musimy za wszelką cenę: wtedy to my naszym drugim życiem trzymać będziemy czerwonych w rękę. By nasze „rozczapierzone palce”, które tak drażnią Jaruzelskiego, mogły zawsze zewrzeć się w pięść.

15. Przystępując do tego, co różne organizacje podziemnej „Solidarności” mają robić, by zrealizować określone powyżej drogi, do tego jak osiągnąć demokrację i niepodległość, trzeba sobie powiedzieć, czy rzeczywiście niekontrolowany wybuch społecznego gniewu jest tym, czego powinniśmy się najbardziej obawiać. W sytuacji gdy mamy centralny ośrodek polityczny podziemnej „Solidarności”, wybuch spontaniczny nie jest już zagrożeniem. Centrum może poprzeć lub nie rodzące się działania. Nawet zupełnie zaskakujący swą siłą wybuch, jak demonstracja 3-majowa tego roku, może być – tym razem, niestety, nie był – zdyskontowany politycznie. Warto pamiętać, że niekontrolowany wybuch, to nie ten, który spontanicznie wybucha, a ten, który nie znajduje właściwie sformułowanego i osiągalnego doraźnie celu.

Niejeden polski zryw (jak choćby powstanie listopadowe) trafił w ślepy zaułek tylko dlatego, że zabrakło zdecydowanych przywódców, którzy umieli ukierunkować spontaniczny wybuch i wpisać go w szerszą koncepcję walki. Strajki sierpniowe były też spontanicznym wybuchem (w tym sensie, że nie proklamowało ich żadne centrum dyspozycyjne). Tyle że władza była do niego gorzej przygotowana niż opozycja.

16. Strajk, a tym bardziej strajk generalny o charakterze okupacyjnym, był czym innym w początkach samoorganizowania się społeczeństwa, czym innym

jest dziś. Wówczas służył tej samoorganizacji, pozwalał wyłonić ludzi zdeterminowanych, szerzej oddziaływać na liczącą opozycję. „Strajk generalny – mówią autorzy opracowania *Stan wojenny i opór masowy* – nawet wtedy, gdy uda się do niego doprowadzić – nie paraliżuje władzy, ponieważ nie uderza w jej podstawowe narzędzie – aparat przemocy”. 13 grudnia wyznacza wyraźną granicę skuteczności strategii strajku generalnego. W sierpniu żołnierz i milicjant nie strzelali, bo nie miał kto wydać im rozkazu. Władza była sparaliżowana, nie było ośrodka politycznego, który mógł wydać decyzje operacyjne.

Do strajku można się odwoływać, ale nie – mówiąc: generalny i aż do zwycięstwa. Podobnie nie strzela się aż do zwycięstwa, tylko do wyczerpania amunicji. Jeśli chcemy walczyć aż do zwycięstwa, nie możemy zaczynać od końca: od wystrzelania w jednym starciu generalnym całej amunicji. Można śpiewać *Bój to będzie ostatni*, ale nie można tego planować.

17. Samo nasze trwanie jest dla władzy zagrożeniem. Siła ustroju totalitarnego polega na zawładnięciu środkami społecznej komunikacji, polega na atomizowaniu społeczeństwa i uniemożliwieniu mu oddolnego, bez wiedzy i zgody władzy, zorganizowania się. „Papierowa amunicja”, o której śpiewał Kelus, jest warunkiem koniecznym, choć niewystarczającym budowy społeczeństwa i państwa podziemnego. Niezależna kultura okazała się pożywką, na której wyrosła kadra działaczy Sierpnia. Szukając odpowiedzi na pytanie, co ma robić podziemie, nie zapominajmy o tej odpowiedzi znanej i wciąż sensownej. Ma robić bibliotekę, której jest wciąż za mało. Której zabrakło w początkach sowietyzacji Polski lat '44-'48.

18. Strajk generalny ma dzisiaj sens, tylko jeśli odbywać się będzie pod hasłem bardzo konkretnym i trudnym dla władzy do odrzucenia. Gdybyśmy zorganizowali ogólnopolski strajk lub inną masową publiczną demonstrację przeciw niewpuszczeniu Papieża do Polski – byłby to cios trudny do odparowania propagandowo. Represjonowanie uczestników takiego protestu stawiałoby ją w sytuacji niezwykle kłopotliwej. Fakt, że nikt nie podjął takiej inicjatywy, umożliwił kunktatorskie przesunięcie wizyty Papieża na rok przyszły. Z wyjątkiem sytuacji tak konkretnych i oczywistych, gdzie możemy być pewni, że poderwiemy społeczeństwo do walki, należy unikać starć frontalnych. Działajmy jak partyzantka, zaskakujmy przeciwnika, a nie wydawajmy mu otwartej bitwy. O trwałości naszego ruchu zadecydują takie akcje, jak audycje radio „Solidarność”, wmurowanie granitowej płyty pamięci zabitych górników kopalni „Wujek” na placu Zwycięstwa w Warszawie, lanie sprawione 13 czerwca wrocławskim zomowcom czy porwanie ze szpitala postrzelonego Janka Narożniaka.

19. Podwójne życie pozwoli nam realizować nie tylko etos walki, ale także etos pracy. Pozwoli współtworzyć program pozytywny z wszystkimi, którzy chcieliby swoją pracą nie utrzymywać istniejącego porządku, a budować elementy przyszłego. Indywidualni rolnicy, prywatni przedsiębiorcy, spółdzielcy, rze-

mieślnicy muszą czuć, że ich działania opozycja popiera jako budowę gospodarczej niepodległości.

20. Już opozycja przedsierpniowa udowodniła, jak wiele może zależeć od niewielu. Dla kogoś, kto widzi emancypację polskiego społeczeństwa jako proces, a nie jako jednorazowy fakt, okres „Solidarności” był nagłym skokiem wznoszącego się w górę wykresu. Dziś temperatura nastrojów opadła. Niemniej, z przedsierpniowej perspektywy, obecna sytuacja może być oceniana tylko jako bardzo dobra. Mamy szerokie wpływy we wszystkich warstwach. Mamy elitę przywódczą społeczeństwa.

Jeśli przed Sierpniem KOR-owski „Robotnik”, jako pismo ogólnokrajowe, ukazywał się (w pokojowych czasach) w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy, to dziś tylko nakład regularnie ukazującej się prasy Mazowsza jest dużo wyższy. Wygraliśmy już bitwę o wolne słowo.

21. Milczenie morza jako odpowiedź na wrzaski terrorysty ma nie tylko znaczenie moralne. Milczenie 10 milionów jest też formą dialogu. Jedyną formą dialogu z władzą, jaka jest dziś możliwa.

I jedyne porozumienie społeczne, jakie jest nam teraz potrzebne, to nasze wewnętrzne: jak i czym zamierzamy walczyć z państwowym terroryzmem. O negocjacjach i ofertach pokojowych będziemy myśleć po wygranych bitwach.

Lipiec 1982

[9/1982]

Proces o podpalenie PRL

Rozmowa z Janem Józefem Lipskim

Jan Józef Lipski, urodzony w roku 1926 w Warszawie, krytyk, historyk literatury, dr hab. Żołnierz AK w latach 1942–1944 (najpierw w „Szarych Szeregach”, uczestnik akcji małego sabotażu, następnie w pułku „Baszta”), uczestnik Powstania Warszawskiego, ranny i kontuzjowany, odznaczony Krzyżem Walecznych. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Autor nieukończonej dotąd (dwa tomy) monografii *Twórczość Jana Kasprówicza*, dwutomowej pracy o dziejach felietonistyki warszawskiej, ponad 200 prac dotyczących współczesnej literatury, głównie liryki polskiej, literatury okresu modernizmu i międzywojennego, ekspresjonizmu niemieckiego i polskiego itd. Członek Związku Literatów Polskich i Polskiego Pen Clubu.

W latach 1953–1960 był redaktorem i kierownikiem redakcji klasyki polskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym, usunięty karnie za prelekcje o historii ONR „Falangi” i Bolesława Piaseckiego. Od 1956 współpracownik, a w 1957 kierownik działu kulturalnego tygodnika „Po prostu”. Od 1956 członek, w latach 1957–1958 prezes, do 1962 członek zarządu Klubu Krzywego Koła, odpowiedzialny za program i organizację zebrań czwartkowych Klubu. W 1964 współorganizator Listu 34, represjonowany zatrzymaniem na 48 godzin i ponadrocznym zakazem druku. W 1967 ponownie zatrzymany i ukarany rocznym zakazem druku za udział w akcji obrony studentów, represjonowanych po odczycie prof. Leszka Kołakowskiego na UW. W 1968 ukarany znowu zakazem druku za zorganizowanie wraz z Pawłem Jasienicą listu grupy pisarzy w obronie studentów represjonowanych za demonstracje przeciw zakazowi wystawiania *Dziadów* w Teatrze Narodowym oraz współorganizowanie zebrania nadzwyczajnego Związku Literatów Polskich w tej sprawie. Po raz czwarty zakaz druku po podpisaniu protestu przeciw zmianom Konstytucji PRL, w roku 1975. W 1976 współtwórca KOR, wielokrotnie zatrzymywany. W 1977 przez 3 tygodnie w więzieniu mokotowskim, zwolniony z powodu stanu zdrowia. Skarbnik Funduszu Samoobrony Społecznej KSS KOR.

Od początku istnienia „Solidarności” jej działacz. Przedstawiciel Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” do negocjacji z rządem oraz komisjami sejmowymi w sprawie ustawy o cenzurze, członek zarządu Regionu „Mazowsze” NSZZ „Solidarność”, delegat na I Zjazd Związku, autor tekstu uchwał o kulturze narodowej i o mniejszościach narodowych.

Aresztowany 15 grudnia 1981 po złamaniu strajku w Ursusie przez oddziały ZOMO i MO, oskarżony wraz z działaczami „Solidarności” w Ursusie o zorganizowanie i kierowanie strajkiem w Ursusie, wyłączony do osobnego sądenia ze względu na stan zdrowia. W maju 1982, zwolniony z aresztu, otrzymał zezwolenie na wyjazd do Anglii (gdzie w roku 1978 przeszedł operację serca) w celu poddania się badaniom pooperacyjnym. 15 września 1982 powrócił do PRL na wiadomość o przygotowaniach do procesu KOR i sformułowaniu zarzutów prokuratorskich również przeciw niemu.



Gustaw Herling-Grudziński: Został Pan włączony do przygotowywanego procesu KOR-u. Wymieniono najpierw czterech oskarżonych: Kuronia, Michnika, Lityńskiego i Wujca; dołączono potem do tej czwórki Pana i Chojeckiego. Wiadomość zastała Pana na leczeniu w Londynie. Słyszę, że zamierza Pan za kilka dni wrócić do Warszawy, być może prosto do więzienia, a stamtąd na ławę oskarżonych. Dlaczego?

Jan Józef Lipski: Zarzuty uważam za absurdalne. Chciałem podobno obalać siłą ustrój. Jaką siłą? Chyba siłą mięśni? Ale nie mam jej zbyt wiele. Uważam więc, że nie ma powodu, bym zmieniał swą wcześniejszą decyzję powrotu, z którą przyjeżdżałem w maju do Londynu. Co prawda można powiedzieć, że jeśli ktoś stawia absurdalne zarzuty, to zapewne ma nie po kolei w głowie i lepiej komuś takiemu nie pchać się w ręce. To prawda. Ale jako współtwórca KOR-u sądzę, że przydam się na ławie oskarżonych, by wraz z przyjaciółmi wykazać nonsens merytoryczny oskarżenia, które jest po prostu aktem zemsty.

G. H.-G.: Jak Pan myśli, co stoi za decyzją wytoczenia przez juntę Jaruzelskiego procesu sześciu działaczom KOR-u?

J. J. L.: Jeszcze raz muszę powtórzyć: zemsta. KOR odegrał ogromną rolę w wydarzeniach lat 1976–1981, stąd to brzydkie raczej uczucie, które żywią dla jego działaczy władze PRL. Trzeba jednak zrozumieć, że są one sfrustrowane w bardzo poważnym stopniu. Sytuacji ekonomicznej i społecznej poprawić nie umieją i nie mogą, bo nie stan wojenny jest drogą do tego, więc robią to, co rzeczywiście jest łatwiejsze: represjonują. Tylko że niczego w ten sposób nie załatwiają.

G. H.-G.: Nasuwa się pytanie, dlaczego wytypowano tę właśnie szóstkę, pomijając innych członków KOR-u?

J. J. L.: Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie! Może rzucono kostką? Oczywiście przy Kuroniu i Michniku obyło się zapewne bez tej procedury prawnej, bo ich od dawna darzyły władze szczególną nienawiścią; ich nazwiska znalazłyby się w każdej kombinacji.

G. H.-G.: Chciałbym usłyszeć Pana zdanie o wstępnym (według prasy) sformułowaniu aktu oskarżenia: miałby to być proces wytoczony „elementom trockistowsko-terrorystycznym”.

J. J. L.: No właśnie, im szczegółowiej wnikać w to, co już wiadomo o przygotowywanym procesie, tym bardziej jest to absurdalne. Jackowi już podczas jego

pierwszego procesu, w 1965, wmawiano trockizm – bez sensu, ale co dostał wyrok, to dostał. Robienie z Kuronia czy z Michnika, czy z któregośkolwiek z nas, trockisty jest może obliczone na analfabetyzm polityczny społeczeństwa, chyba przeceniany jednak przez prokuraturę. Oskarżeni – przepraszam, formalnie rzecz biorąc dopiero „podejrzani” – prezentowali raczej poglądy socjaldemokratyczne, wywodzące się z tradycji PPS, partii nie tylko socjalistycznej, lecz również demokratycznej, antytotalitarnej i niepodległościowej. Notabene trockiści nie głoszą programu terroru indywidualnego, trudno więc ich nazywać terrorystami, ale kogo to obchodzi? Na pewno nie prokuratora. Jedna bzdura więcej, jedna mniej – jaka różnica? Chciałbym zresztą zwrócić Pana uwagę, że w ostatnich latach w publicystyce PRL używa się terminu „trockista” w tym samym sensie, co słowa „syjonista” w roku 1968. Może to o to chodzi? Doprawdy, problem przekracza moje możliwości rozumienia.

KOR z uporem głosił przez całe pięć lat swego istnienia hasła wyrzeczenia się użycia siły przez ruch społeczny, który tworzyliśmy. Nie jesteśmy w Polsce aż tak nieznani, by uwierzono w nasz terroryzm.

Ale wszystko to są refleksje człowieka przywykłego myśleć kategoriami racjonalnymi – tu zaś chodzi o co innego: nie o sens i nie o prawdę, lecz o skutek. Nie sądzę jednak, by ten skutek mógł być dla naszych oskarżycieli korzystny.

G. H.-G.: 2 września Adam Michnik przemycił z obozu w Białoleśce *Apel do społeczności międzynarodowej*. Michnik napisał ten apel na wiadomość o postawieniu w stan oskarżenia Kuronia, ale nie wiedział jeszcze, że do Kuronia dołączeni zostaną inni, wśród nich on sam. W apelu Michnika, ogłoszonym w „Le Monde” z 10 września, nowa impreza junty porównana jest z procesem o podpalenie Reichstagu. Warszawski „Proces o podpalenie PRL” (jeśli się tak można wyrazić) zdaje się wskazywać, że junta uważa KOR za swoisty zapłon „Solidarności”. Czy sądzi Pan podobnie? Jeśli tak, to czym Pan tłumaczy fakt dość nieufnego stosunku mas „Solidarności” do KOR-u, jakby o tym mógł świadczyć przykry incydent z Panem na zjeździe w Gdańsku? A może wchodził w grę nieufny czy niechętny stosunek robotników do inteligencji w ogóle, na co mógłby wskazywać również przykry incydent z Janem Józefem Szczepańskim na tymże zjeździe?

J. J. L.: Wydaje mi się, że jest Pan w błędzie. Nie było nieufnego stosunku mas „Solidarności” do KOR-u. Nie znam wypadku, by kandydujący do władz dowolnego szczebla członek lub współpracownik KOR-u przepadł w wyborach, to był zawsze atut – i kandydat, jeśli rozkolportował choćby pięć numerów „Robotnika”, czynił z tego zawsze podstawowy element swojej akcji wyborczej, zawsze dobrze na tym wychodząc. Nie znaczy to, by wszyscy w „Solidarności” nas kochali i wszyscy nam ufali. Szyła nam buty i bezpieczeństwa swą szepetaną propagandą – i ci wszyscy, którzy w KOR-owcach widzieli konkurentów, osobistych bądź ideologicznych. Ale to co innego. Życie nie jest bezkonfliktowe. Incydent,

o którym Pan mówi, stwarzał może pozory, że jest inaczej. Próba uniemożliwienia podjęcia przez Zjazd uchwały, dziękującej KOR-owi za jego pracę, wyszła od nie bardzo liczego grona działaczy „Mazowsza” (którzy przegrali tę sprawę najpierw w delegacji „Mazowsza”). Prawdę mówiąc, nadmiernie może zdenerwowałem się tym, co źle odbiło się na moim sercu, a również wraz z Haliną Mikołajską unieśliśmy się honorem i skłoniliśmy delegację Regionu Radomskiego, by wycofała wniosek, który (w mniej szczęśliwym sformułowaniu) postawiła zaraz inna delegacja. To wszystko stworzyło pozory, że sam wniosek miał poważne trudności. Ale tak nie było: przegłosowano go ogromną większością głosów. Rozwiodłem się o tym szeroko, bo często spotykam się z tą pomyłką, a rzecz sama dość mnie obchodzi.

Incydent z J. J. Szczepańskim wynikał wyłącznie z braku taktu jednego czy dwóch działaczy „Solidarności”.

Robotnicy w „Solidarności” rzadko mieli nieufny stosunek do inteligencji – raczej interesowało ich, co dany inteligent ma do zaproponowania. Do tych, którzy walczyli o prawa robotnicze od lat, mieli stosunek na ogół pozytywny również ci robotnicy, którzy byli niechętni inteligencji.

A czy KOR był „zapłonem” „Solidarności”? W pewnym sensie tak: cztery lata ciężkiej pracy dały dobry skutek. Ale przecież na ten skutek złożyło się wiele czynników: i pielgrzymka Jana Pawła II, i kryzys, i motywacje patriotyczne, i głód wolności. Żaden z tych czynników sam by nie wystarczył, aby narodziła się „Solidarność”.

G. H.-G.: Czy podziela Pan moje zdanie, że wysokość wyroków w przygotowywanym procesie zależy od tego, jaką wobec niego postawę zajmie Kościół: czy wyciągnie, czy nie ochronne skrzydło, czy otworzy swój „parasol”, o którym się kiedyś sporo pisało i mówiło? Jaki, według Pana, był naprawdę stosunek Kościoła do KOR-u za życia prymasa Wyszyńskiego?

J. J. L.: Ma Pan rację, postawa Kościoła będzie miała znaczenie kluczowe również dla naszego procesu.

Jaki był stosunek Kościoła do KOR-u za życia prymasa Wyszyńskiego? To zależy. Co to jest Kościół? Na przykład ksiądz Orszulik i parę innych osób w Sekretariacie Episkopatu nie zdradzało sympatii do KOR-u, by wyrazić się nieco eufemistycznie. Czy to Kościół? No, nie przesadzajmy.

Ksiądz prymas Wyszyński konsekwentnie bronił nas, gdy jedenastu członków i współpracowników KOR-u znalazło się w więzieniu. Szczególnie wiele ja mu zawdzięczam, bo wyróżniał mnie w swych interwencjach ze względu na katastrofalny wówczas (przed operacją serca) stan mego zdrowia. Przyjął w pewnym momencie delegację KOR-u (Halina Mikołajska, Jan Kielanowski, Henryk Wujec) i okazał w rozmowie wiele życzliwości, upoważniając do zwracania się z ważnymi sprawami do siebie i wskazując drogę gwarantującą natychmiastowe i bezpośrednie dotarcie każdej prośby czy informacji (nie nadużywaliśmy zresztą

tego). Wśród biskupów byli i niechętni KOR-owi, i przyjaciele KOR-u, na których radę i pomoc zawsze można było liczyć. A Kościół to dla mnie jest też i ksiądz Zieja, i inni księża współpracujący z KOR-em, i moi wierzący i praktykujący przyjaciele w KOR-ze, i świeccy działacze katolicy spoza KOR-u, tacy jak np. Cywiński, Mazowiecki i inni, na których radę i pomoc można było również liczyć, gdy chodziło o sprawy ważne z moralno-społecznego punktu widzenia.

G. H.-G.: Zarysowuje się jak gdyby zamiar podzielenia ruchu „Solidarności” na dwa człony: na „sponsorowany” przez Kościół i laicki; z perspektywą rokowań z pierwszym (przy zmianie nazwy i zastąpieniu struktury regionalnej branżową) oraz izolowania drugiego. Czy ten zamiar ma szansę powodzenia? Spotkałem się z opinią dobrego zagranicznego znawcy spraw polskich, że zachowanie się „Solidarności” podziemnej pokaże, czy Sierpień 1980 był w głównej mierze owocem inspiracji i patronatu Kościoła, czy też samodzielnym zrywem klasy robotniczej. Co Pan o tym myśli?

J. J. L.: Jeśli „Solidarność” da się podzielić, przestanie być „Solidarnością” (czy można być solidarnym, godząc się na izolowanie kolegów, tzn. rzucenie ich na pożarcie bezpiece lub, w najlepszym razie, na dyskryminujące zrobienie z nich obywateli drugiej kategorii, pozbawionych prawa do uczestnictwa w życiu publicznym?).

Myślę, że Sierpień był samodzielnym zrywem klasy robotniczej. Nie było w tym zrywie z pewnością inspiracji Kościoła – było natomiast kolosalne zaufanie mas robotniczych do Kościoła, a to co innego.

G. H.-G.: KOR nie interesował się wcale albo interesował się mało chłopami, co można sobie ostatecznie wytłumaczyć jego nazwą i doraźnymi celami. Ale i „Solidarność” na początku zachowywała dość długo pewien dystans wobec problemów wsi. To już trudniej zrozumieć...

J. J. L.: Znowu muszę sprostować Pańskie mniemanie. Jeśli weźmie Pan wszystkie oświadczenia KOR-u dotyczące spraw wsi i chłopów – przekona się Pan, że było inaczej. Prasa KOR-u również bardzo wiele miejsca poświęcała tym sprawom. Ukazywało się specjalne czasopismo KOR-u dla chłopów „Placówka”, wiejski odpowiednik „Robotnika”. Wiesław Kęćik prowadził w KOR-ze ten dział prac. Byłem wraz z grupą współpracowników KOR-u na wiecu założycielskim pierwszego w Polsce Komitetu Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej – bo zaproszono nas, po długich kontaktach. Jeszcze wcześniej zawiązała się współpraca z silnym ośrodkiem działalności chłopskiej pod Grójcem, w Zbroszy Dużej – gdzie powstał drugi z kolei Komitet Samoobrony Chłopskiej. I tak dalej.

Rzeczywiście, „Solidarność” na początku zachowała pewną bierność na tym odcinku. Sądzę, że zbyt wiele miała wówczas własnych spraw na głowie, a zbyt mało kompetentnych działaczy w swych szeregach, którzy by te problemy podjęli natychmiast. Na to musiał przyjść czas.

G. H.-G.: Przed wprowadzeniem stanu wojennego słyszało się dość często o możliwościach odzyskania (czy też stworzenia nowej) partii chadeckiej. Pan sam był jednym z około tysiąca sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej „Wolność – Sprawiedliwość – Niepodległość”, o dość wyraźnej inspiracji socjaldemokratycznej, nawiązującej do tradycji PPS i WRN. Trudno się oprzeć staremu odruchowi „gdybania”: gdyby można było w Polsce swobodnie głosować...

J. J. L.: Partia chadecka, partia socjaldemokratyczna... Brzmi to dziś prawie anachronicznie, ale sądzę, że jednak przyszłe życie polityczne Polski nieuchronnie będzie nawiązywaniem do tych czy innych wątków politycznych tradycji.

Będąc sam socjaldemokratą z poglądów (z pewną modyfikacją w duchu kooperatywizmu Abramowskiego), byłem sceptyczny co do szans odegrania znacznej roli przez przyszłą partię socjalistyczną w Polsce. Myliłem się. Ale to wymaga krótkiego wyjaśnienia natury socjologicznej.

W „Solidarności” ogromną rolę odgrywa warstwa młodych czy względnie młodych robotników (20–40 lat) o średnim wykształceniu technicznym, dobrym poziomie intelektualnym, kulturalnym, cywilizacyjnym, o dużych ambicjach społecznych i politycznych, chłonnych, chętnych do samokształcenia się. Z tej warstwy wywodzi się większość robotniczych działaczy „Solidarności”. Łatwo znajdują oni wspólny język z inteligencją, a szczególnie intelektualistami zaangażowanymi w działalność społeczną – i jednocześnie z resztą klasy robotniczej o niższych standardach wykształcenia (pracują często przy tych samych maszynach). I w tej warstwie szczególnie łatwo znaleźć sympatyków socjaldemokracji. Dlatego gdyby odrodziła się PPS – byłaby partią silną. Sądzę, że w ewentualnych wyborach w Polsce nikt nie mógłby liczyć na zdominowanie konkurentów. Ale o czym my dziś, we wrześniu 1982, mówimy?

G. H.-G.: Seria trzech wiążących się ze sobą pytań. Jak Pan ocenia dzień 31 sierpnia 1982 w kraju? Jakie Pan widzi „wyjście z sytuacji bez wyjścia” (żeby użyć formuły Kuronia)? Jakie są, według Pana, perspektywy okrzepnięcia, i stopniowego rozwoju organizacyjnego, ruchu oporu?

J. J. L.: 31 sierpnia... To było nieuniknione. Żywy, lecz stłamszony, wciąż jednak potężny ruch społeczny musi od czasu do czasu dawać znać o sobie.

Jakie widzę wyjście z sytuacji? Jednak ponowną próbę ugody i porozumienia, mimo złych doświadczeń z porozumieniem poprzednim. Będzie zmuszać do tego sytuacja ekonomiczno-społeczna – a kto wie czy i nie Wielki Brat, który dla dobra całości bloku może po nieudanej próbie pacyfikacyjnej forsować próbę ugody, by nie pogłębiać wyrwy w potencjale Układu Warszawskiego. To smutny paradoks, ale wcale nie nierealny.

Ruch oporu zaś będzie chyba zjawiskiem trwałym aż do nowych przemian i wydarzeń trudnych do przewidzenia – jeśli uda się w nim zachować zdrową

proporcję między zdecentralizowaną inicjatywą i centralną koordynacją ruchu. W innym wypadku każdy udany cios policyjny w centrum mógłby się stać katastrofą ruchu.

G. H.-G.: Nie mogę naturalnie nie zapytać o Pana zdanie na temat działalności i roli emigracji. Odpowiedź musiałaby dzisiaj obejmować także nową emigrację czy półemigrację, czyli reprezentację „Solidarności” na Zachodzie.

J. J. L.: Widzę właśnie potrzebę dużego zróżnicowania funkcji emigracji „solidarnościowej” i emigracji dawnej (bądź również i z ostatniego okresu, jeśli niektórzy jej działacze będą szukali dla siebie pola poza „Solidarnością”).

Emigracja związana z „Solidarnością” musi być ambasadorem „Solidarności” w kraju, a więc ograniczać się do działań służebnych (co nie znaczy, że pozbawionych własnej inwencji i inicjatywy). Musi to być więc emigracja powściągnięta swe ambicje polityczne – zarówno dlatego, że ma reprezentować, a nie stać się niezależnym czynnikiem, jak i dlatego, by nie wciągać krajowej „Solidarności” w konsekwencje polityki uprawianej na emigracji.

Tym wyraźniej rysuje się rola emigracji niebędącej „Solidarnością” na wychodźstwie. Inicjatywy stąd wychodzące nie będą wiązać ani krępować „Solidarności” w kraju – dlatego mogą być śmiałe. Myślę, że taka gra na dwóch fortepianach jest możliwa, choć trudna.

Emigracja będzie też musiała – jako całość – podjąć dzieło ratowania od nowa zagrożonej kultury polskiej. Jest to zadanie z punktu widzenia życia narodowego pierwszoplanowe.

G. H.-G.: Myślę, że można, jak dotąd, powiedzieć dużo dobrego o zachowaniu się inteligencji polskiej po 13 grudnia 1981. Ale weszliśmy w okres wyjątkowo ostrego zagrożenia kultury polskiej. Rzecz jasna, szuka się gorączkowo sposobów przeciwdziałania temu niebezpieczeństwu. Jednym z nich jest założenie w Paryżu Funduszu Pomocy Niezależnej Kulturze Polskiej, pod przewodnictwem Miłosza. Zna Pan jego skład i cele. Byłbym wdzięczny za wszelkie uwagi o tym przedsięwzięciu, a także za ewentualne sugestie na temat jego przyszłej działalności.

J. J. L.: Myślę, że będą tę pracę programować ludzie o większym od mojego doświadczeniu. Przecież to musi być „Kultura” i „Instytut Literacki” – tylko do kwadratu, jeśli chodzi o rozmiary akcji i jej wielotorowość. Byłoby śmieszne, gdybym w piśmie redagowanym przez Jerzego Giedroycia radził, jak robi się takie rzeczy.

G. H.-G.: Ostatnie pytanie kieruję do autora pięknego szkicu *Dwie ojczyzny*. Jest Pan szczególnie uczulony na tzw. sprawy narodowościowe oraz na stosunki Polaków z sąsiadami. Czy i Pan uważa za niezbyt fortunny apel zjazdu gdańskiego do robotników w krajach sąsiadujących z Polską?

J. J. L.: Trudne pytanie. Treściowo apel był mi bliski. Sądzę jednak, że lepiej byłoby, gdyby nie był uchwalony. No, nie sądzą, by ten apel właśnie wywołał katastrofę – ale nie było konieczne naciskać wszystkie guziki alarmowe. Redagował apel jeden z moich przyjaciół – i żałuję, że nie powiedział mi *ante factum*, co się święci. Natomiast przegłosowanie go przez zaskoczenie, w trybie formalnie innym niż prawie wszystkie uchwały zjazdu – było czymś dziwnym (autor tekstu nie miał już z tym do czynienia). Przykładały do tego rękę osoby, których nie podejrzewałem o merytoryczne zainteresowanie tym problemem.

Londyn, 12 września 1982

[10/1982]

Od Redakcji

Dwa końcowe miesiące roku 1982 przyniosły w Polsce wyraźną zmianę atmosfery politycznej. Zmniejszyły się publiczne objawy oporu wobec władzy. Osłabła aktywność podziemnych struktur „Solidarności”. Ich przywódcy, pozostający nadal na wolności, przyznali się szczerze do popełnionych błędów taktycznych. Nacisk na władze w celu natychmiastowego doprowadzenia do rozmów i uzyskania paru ustępstw o charakterze humanitarnym (zwolnienie internowanych i więzionych) oraz prawnym (odwieszenie organizacji związkowych i innych) – okazał się i za mało mobilizujący, i bezskuteczny.

Z drugiej strony okazało się, i to jest fakt podstawowy, istotniejszy od wszystkich błędów „Solidarności”, że obecna ekipa rządząca nie jest, mimo zapewnień, zainteresowana w dążeniu do rozwiązań politycznych. Innymi słowy – nie chce starać się, wespół z niezależnymi siłami społecznymi, o usunięcie części przynajmniej przyczyn kryzysu gospodarczego, społecznego i ideowego, który trawi Polskę od kilku lat. Świadczy o tym zignorowanie nawet bardzo kompromisowych propozycji, wysuwanych na przykład przez Radę Społeczną przy Prymasie Polski, przez Lecha Wałęsę czy przez Międzyregionalny Komitet Obrony NSZZ „Solidarność”. Oznacza to zamknięcie rozdziału rachub na „dialog” i „ugodę społeczną”; zarówno podziemna „Solidarność”, jak i Kościół muszą z tej odmowy reżimu wyciągnąć należyte wnioski.

Przeciwnie – ze strony władzy i jej moskiewskich poręczycieli rysuje się złowieszczo możliwość próby „rozwiązania ostatecznego”. Próby takiego spacyfikowania Polski, aby przestała już co kilka lat sprawiać Kremłowi żenujące kłopoty. Że próba taka oparta byłaby na fałszywym stosowaniu do Polaków sowieckich kategorii myślenia i byłaby skazana na niepowodzenie – to inna sprawa.

Władze wykazały, że nie chcą kompromisu. Społeczeństwo wykazało, że nie ma zamiaru się poddawać, że nie chce uczestniczyć w haniebnym widowisku samooszukiwania. Skutkiem jest wzajemna blokada, trwający kryzys, groźba dalszego wyniszczenia gospodarczego – dla którego sankcje ekonomiczne Zachodu mają znaczenie uboczne, niemal tylko symboliczne.

W tej mętnej a groźnej sytuacji, która potrwać może czas dłuższy, warto się pokusić o ustalenie kilku ogólnych reguł, które – naszym zdaniem – powinny

dziś stanowić wytyczne dla Polaków pragnących przywrócenia i rozszerzenia swobód w Polsce.

Jak zawsze w okresach politycznego odpływu i jak zawsze w okresach tłumienia ruchów wolnościowych w kraju – ciężar odpowiedzialności przesuwają się w stronę emigracji. Na emigrację polską spada obowiązek rozwijania niezależnej myśli politycznej i podtrzymywania ducha narodowego. Musi ona – korzystając ze swobody działania i dostępu do informacji – znowu pełnić rolę rzecznika politycznego na Zachodzie i dostarczyciela koncepcji – obok roli organizowania pomocy materialnej i moralnej dla kraju. Winna to jednak być emigracja odnowiona, maksymalnie dostosowana do obecnych okoliczności. Czas najwyższy przełamać definitywnie zastarzałe opory wobec emigracyjnej broni w walce. Coraz pilniejsza staje się potrzeba pojawienia się tutaj kogoś z czołowych przywódców podziemnej „Solidarności”, zdolnego – dzięki swemu autorytetowi – uporządkować działalność „Solidarności” zagranicznej oraz służyć efektywną pomocą polityczną zachowanym strukturom krajowym. Coraz jaskrawsza też staje się konieczność wzmocnienia przez przybyłych z kraju publicystów i ekspertów tych narzędzi łączności, informacji i oddziaływania, jakie tu istnieją: przede wszystkim radia.

Nie wolno dopuścić do zaniku wytworzonego z takim trudem pluralizmu form działania społeczno-politycznego w kraju. Jest to zadanie równie ważne, jak trudne do spełnienia. Jawnie działające ośrodki niezależne powinny posiadać głębokie oparcie w ośrodkach i ugrupowaniach niejawnych, a także w strukturach podziemnych. Brak takiej wielopiętrowości i niezależnego życia społecznego okazał się wielką słabością lat, które poprzedziły powstanie „Solidarności”. Nie chodzi tu o wzajemne uzależnienie czy podporządkowywanie ani też o organizacyjne związki między grupami działającymi jawnie a grupami niejawnymi. Chodzi właśnie o rozmaitość, rozbudowę w głąb, wielopłaszczyznowość. Powinniśmy się nauczyć i w trudnych warunkach państwa totalitarnego wytwarzać podobną wielorakość form aktywności politycznej, jaka występuje w krajach demokratycznych, gdzie nie obowiązuje ani piramidalne uzależnienie wszystkich struktur od jednej – partyjnej czy wojskowej – ani też zasada, że wszyscy podobnie myślący zachowują się tak samo. „Społeczeństwo podziemne” jest pewnym skrótem myślowym, trudno naturalnie oczekiwać, by wielomilionowy naród zszedł na co dzień pod ziemię. Ale w tym skrócie myślowym kryje się bardzo dla nas istotny postulat: wielomilionowy naród może, żyjąc i pracując w ramach „kraju legalnego”, zachować duchową wierność „krajowi realnemu”, którego żywym ucieleśnieniem przez półtora roku i niezatartym na zawsze znakiem stała się „Solidarność”.

Doświadczenia lat powojennych, a przede wszystkim doświadczenia ostatnich miesięcy, wykazały ponad wszelką wątpliwość i bardzo dotkliwie, że tylko istnienie podobnego głębokiego zaplecza może zabezpieczać jawnie działające stowarzyszenia, ugrupowania i struktury przed samowolą i bezprawiem, przed

bezwzględny rozbiem przez władze i przed zniszczeniem ich dorobku. Ponadto „podziemie” niemające oparcia na emigracji – oparcia zarówno materialnego, jak i koncepcyjnego – nie ma szans na naprawdę efektywne działanie. Tylko to głębokie, nieujawniające się na co dzień zaplecze może tworzyć taką osłonę, jakiej instytucjom politycznym w krajach praworządnych używają wyborcy i niezależna władza sądownicza.

A wśród wszystkich form niejawnej działalności za najważniejszą uważamy dziś informowanie, kształcenie, wychowywanie i pobudzanie do myślenia politycznego. Do tego potrzebne są podziemne wydawnictwa, gazety, czasopisma, taśmy z nagraniami i książki. W tej działalności – jak od dawna – „Kultura” jest zawsze gotowa służyć pomocą.

Krótkie aresztowanie Wałęsy i okoliczności, w jakich się ono odbyło, wskazują, czym dla Jaruzelskiego i jego sowieckich moco- i rozkazodawców jest komedia „zawieszenia” stanu wojennego. Reakcja rządów i środków przekazu na Zachodzie na to aresztowanie zdaje się dowodzić, że walka Polaków nie została uznana za skończoną. Do nas – w kraju i na emigracji – należy odpowiedź na pytanie, jak będziemy ją prowadzić dalej.

[1–2/1983]

Program i organizacja

Panuje dość powszechne przekonanie, że impas, w jakim znalazło się Podziemne Społeczeństwo, jest spowodowany brakiem programu politycznego. W domyśle tak sformułowanego „zamówienia społecznego” tkwi zadufanie w sobie, jakiego członkowie „Solidarności” nauczyli się w ciągu naszych Pięciu-set Dni: dajcie tylko program, a już my go zrealizujemy!

Sądzę, że nie brak nam ani wizji, ani programu. Brak natomiast organizacji zdolnej do realizacji tych celów politycznych, których jesteśmy już świadomi.

Racją polityczną jest dopiero myśl ucieleśniona w działaniu, a nie pozostawiona na zasadzie: ja rzucam pomysł, a wy go łapcie. Pomysłów jest dużo, brak rąk do pracy. Program polityczny społeczeństwa, które chce być suwerenne w suwerennym państwie, zaczyna się od pojedynczego obywatela i jego umiejętności zorganizowania najbliższego środowiska. Programem może być dziś każdy pojedynczy czyn, z którym społeczeństwo będzie solidarne. Totalitaryzm można budować na silnym centrum, demokrację trzeba budować na jednostce.

Spróbuję pokazać, dlaczego wołanie o program jest wykrętem. Wykrętem od działania. Brakiem odwagi i zdecydowania maskowanym rozwągi i potrzebą wnikliwej refleksji. Wyzwanie, które rzucił nam komunizm, nie jest wyzwaniem programowym, lecz organizacyjnym: kto stworzy sprawniejsze sztaby ludzi, lepsze trusty mózgów, mogące prowadzić grę o naszą wolność lub ostateczne zniewolenie.

Program

Wizja – program – realizacja... Wizję już mamy. Niepodległa i demokratyczna Polska jest tą wizją „ekstremy” „Solidarności”, którą podziela większość społeczeństwa. Ta wizja pozwala nam czuć się narodem, a nie miazgą etniczną na przedpolu sowieckiego imperium, jak to kiedyś powiedział Mieroszewski.

Program też mamy. Chcemy niezależnie od uwarunkowań geopolitycznych budować samorządne organizacje społeczne. Są one dziś jedyną szansą autentycznego życia społecznego, a w sytuacji rewolucyjnej pozwolą z dnia na dzień zamienić fasadowe instytucje na te, które zbudujemy na tyłach.

Wiemy, że wolność jest stopniowalna, że demokracji nie można z komunistami wynegocjować, że każdy kompromis z nimi jest tylko rozejmem. W roku 80. nauczyliśmy się współdziałania robotników, intelektualistów i chłopów. Solidarność stała się nazwą ruchu i programu.

Po Budapeszcie i Pradze my z kolei mogliśmy się przekonać, że nie wystarczy bunt w jednym baraku, gdy obóz trwa w uśpieniu. Nie licząc na nic prócz odruchów sympatii Zachodu, musimy budować solidarność krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Musimy wypracowywać już dziś przyszły porządek europejski. To tylko kolejna hipoteza robocza, że między zjednoczonymi Niemcami a Rosją pozbawioną swych wojennych trofeów: Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich, znajdzie się miejsce dla niepodległej Polski. Społeczeństwo przed Sierpniem było bezsilne, bo nieświadome swych celów. Społeczeństwo epoki „Solidarności” było już świadome, ale okazało się bezsilne politycznie. Dziś stoi przed nami nauka prowadzenia gry politycznej w warunkach użycia siły. Jeśli tej edukacji przez czyn społeczeństwo nie przejdzie, nasza nadzieja na nowe miejsce Polski w Europie rozsypie się jak federacyjne koncepcje Piłsudskiego. Dla wizji Piłsudskiego zabrakło bowiem i architektów, i cierpliwych budowniczych. Był za to burzyciel Dmowski ze swymi ideami egoizmu narodowego i Polaka-katolika, było młode państwo litewskie pełne urazów wobec Polski, były społeczności ukraińska i żydowska, odpowiadające na polską ksenofobię jeszcze większym hermetyzmem, i wreszcie było samo polskie społeczeństwo tęskniące za jednością i w swojej większości uznające wobec innych tylko zasady dominacji.

Wizja – program – realizacja... Realizacja czego? Przecież tylko hipotezy roboczej, która bez naszej wiary i nadziei rozsypie się w proch programowych frazesów. Godność człowieka, wolność słowa, nieożywione działaniem, staną się naszą nowomową, nowomową „Solidarności”. Nie o to chodzi, że dziś słowa i programy już ludzi nie porywają. Słowa i programy zawsze porywały tylko garstkę, która d z i a ł a n i e m umiała przyciągnąć do nich masy.

Co dzieli naszą wizję od programu politycznego? Wskazanie choćby najogólniej określonych środków realizacji. Wskazanie, jakie cele częściowe wytyczają drogę do demokracji i niepodległości. Ale ponieważ program jest właśnie roboczą hipotezą, im będzie ogólniejszy, tym dłużej zachowa aktualność. A któż chce pisać program, który już jutro będzie przestarzały? Tak się dzieje, że programy polityczne są górą analiz, która rodzi mysz wniosków. Są owocem nieustannej spekulacji, na ile walczyć, a na ile trwać. Pytającym wciąż: „Co dalej?” odpowiedzieć można w końcu tylko sceptyczną formułą: Nawet jeśli komunizm ma zdobyć władzę nad światem, nie chcemy być po stronie zwycięzców. I ten próg opcji czysto moralnej musimy przekroczyć, by działać.

Program polityczny powstaje w sprzężeniu zwrotnym idei i organizacji. Czego nam dziś brak najbardziej: idei czy organizacji? To dylemat rzeczywisty. Dziś stan naszej organizacji zakreśla możliwości programowe. Jeśli nie mamy utonąć w powodzi frazesów, musimy opanować nowe środki walki, by móc sta-

wiać sobie cele polityczne. Już słyszę: Ale to właśnie dowód na to, że potrzebne są nowe propozycje programowe! Taki podział na program i organizację sugeruje, że intelektualiści oddają swoje maszynopisy działaczom i tak robi się politykę. Inaczej pisze się do pustej kartki papieru, inaczej do czekających na naszą pomoc tysięcy komisji zakładowych, które chcą wiedzieć, jak zgodnie z prawem mogą się organizować w rewindykacyjnej walce związkowej. Ten sam tekst prawnika, który tłumaczy, dlaczego obecna ustawa o związkach zawodowych jest bezprawiem, w świetle ratyfikowanej przez PRL konwencji MOP jest czymś innym jako manuskrypt, a czym innym jako broszura w – powiedzmy – 10-tysięcznym nakładzie. Myśl staje się programem dopiero wtedy, gdy istnieje organizacja gotowa ją zrealizować. Podstawą organizacji jest zebranie ludzi, a nie postulatów.

Jest w dzisiejszym podziemiu wiele rzeczy, które od zaraz należałoby zrobić: „przygotować się do akcji czynnej samoobrony zakładów”, „zorganizować sieć łączności w warunkach strajku generalnego”, „szkolić kadry zawodowych konspiratorów”, „prowadzić aktywną politykę niepodległościową wobec krajów ościennych i antagonistów naszych antagonistów” itd., itd. Nieprzypadkowo postulaty te umieszczam w cudzysłowach. Znane są nie od wczoraj. Jeśli nie umiemy zrealizować ich w konkretnych działaniach organizacyjnych, zamieniają się w intelektualne szablony, w slogany polityczne, mogące służyć tylko ambiciojnalno-ideologicznej licytacji, a nie polityce wobec władzy.

Przełom, który dokonał się w Sierpniu '80, był tylko fragmentem procesu. Z punktu widzenia zewnętrznych atrybutów panowania komunistów reżim się zaostriął. Z punktu widzenia opozycji demokratycznej dokonał się skok jakościowy i ilościowy: mamy centralne kierownictwo, mamy zaczątki kadrowych organizacji niepodległościowych, mamy masowy ruch solidarności i odnowy. Niecierpliwe tupanie na ciasto, żeby szybciej rosło, nic tu nie pomoże. Całe społeczeństwo przejść musi drogę stopniowego, kawałek po kawałku, budowania własnej podmiotowości, zbliżającego moment obalenia komunistów. Rację polityczną ma nie ten, kto głośniej krzyknie w swoim piśmie, a czyj głos będzie bardziej zrozumiały dla mas i lepiej słyszalny dzięki dobremu zorganizowaniu się.

Działalność Moczulskiego była kwintesencją myślenia o programie w próżni organizacyjnej. KPN budowano tak – napisał Leszek Żak – jakby dom budować od dachu. Nie organizowano się wokół konkretnych inicjatyw, nie tkano sieci organizacyjnej, powoływano natomiast instancje i wybierano władze. (I tak ci, którzy stworzyli Kierownictwo Akcji Bieżącej – Okręg Lwów i nic więcej nie robiąc, zostali internowani, dokonali tylko gestu uzurpacji wobec narodu ukraińskiego). Rezultatem takiego myślenia jest pustosłowie i mistyfikacja. Organizacja nie może jak silnik „chodzić na luzie”, napędzana tylko ambitnym programem. Sens ma tylko organizowanie się w działaniu, w sprzężeniu zwrotnym celów i form organizacji. Struktura, z którą walczymy, jest monstrum biurokracji, jest przykładem nierozwojowej organizacji społeczeństwa. Dlatego właśnie inna organizacja jest kluczem do naszego programu.

Zastanówmy się, na czym polega potęga państwa sowieckiego. Na programie, ideologii czy na działaniu organizacyjnym? Sądzę, że na tym trzecim. To właśnie organizacja umożliwia przechwytywanie aspiracji wolnościowych pojawiających się w różnych krajach świata i podporządkowywanie ich imperialnym celom Rosji. Patent „pokojuowego współlistnienia”, zniksowany z „ruchami narodowowyzwoleńczymi”, pozwala dziś nieść rewolucję na bagnietach w sposób subtelniejszy niż za Trockiego. A czym był w swoim czasie triumf bolszewików? Był też triumfem organizacji. Zgoda, bandyckiej, działającej – w ostatniej fazie – za niemieckie pieniądze, ale jednak organizacji, w swojej dynamice i adekwatności do celów sprawniejszej niż organizacje innych partii, które przeprowadziły rewolucję.

To organizacji komuniści boją się najbardziej. Jeśli chcemy cokolwiek wywalczyć, treści programu musimy rozważać równolegle z formami. Musimy zbudować organizację odpowiadającą naszym celom. To ogólniki, a zadania na dziś? Można bez trudu je wymienić: łączność, mały sabotaż, koła samokształceniowe, biblioteki, komórki wywiadu, porządkujące informacje o planach władzy, dywersja psychologiczna skierowana przeciw partii, pomoc ruchom opozycyjnym wewnątrz wojska i milicji. Sensowność każdego z tych zadań nie ulega wątpliwości. Czy nawiążemy kontakty ze społeczeństwami demoludów, które pozwolą nam budować solidarność obozową? Czy zbudujemy sektor prywatny i spółdzielczy w gospodarce, który z przedmiotu manipulacji stanie się środkiem nacisku na reżim i sferą samodzielności ekonomicznej dużej części społeczeństwa? Czy wojsko zdoła wyłonić elitę przywódczą zdolną paraliżować aparat przemocy w momencie kolejnej narodowej próby? Odpowiedzi na te pytania nie leżą w sferze koncepcji intelektualnych, a w sferze organizacyjnej, zależą od ludzi, od kadr. „A więc porozumienie odpada, powstanie w obecnej sytuacji byłoby szaleństwem. Co pozostaje? Bardzo dużo pracy” – napisał F. M. w nr. 17 „Kierunków”.

Przyjrzyjmy się spokojnie i bez emocji naszej ostatniej wielkiej przegranej. 13 grudnia 1981 roku był zaskoczeniem dla „Solidarności”, mimo że Komisja Krajowa miesiącami otwarcie rozważała problem, co zrobić w wypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego. Ba, przyjęła nawet uchwałę o automatycznym podjęciu strajku generalnego w momencie ataku na nasz Związek. A więc program samoobrony był. Nie było organizacji. Władze 10-milionowego Związku mogły zostać, jak w kwiecie lat stalinowskich, wyaresztowane w jedną noc i nie było drugiego garnitur, awaryjnych punktów kontaktowych ani żadnych alternatywnych środków łączności. To znaczy, że gdy organizacja jest fikcją, program jest tylko marzeniem. Co więcej: program taki nie działa profilaktycznie, odstrasza, a przeciwnie – zachęca do agresji.

Siła

Dziesięć milionów świadomych obywateli miało przed oczyma wizję niepodległej i demokratycznej Polski i program polityczny uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów „Solidarności”. 13 grudnia wszystko zawało się jak domek z kart. Czy to znaczy, że wizja i program były utopijne? Nie! Utopijna była natomiast koncepcja organizacyjna: obnoszenie się z jawnością i wyrzeczeniem użycia siły. Fakt, że totalniacy – jak kiedyś nazwał komunistów Tyrmand – walczyli o pokój, wzywając innych do rozbrojenia, nie znaczy, że trzeba czy można samemu się rozbrajać.

Nasz Związek został zniszczony siłą, my wyrzekliśmy się użycia siły. W płaszczyźnie moralnej może się to wydawać budujące. W płaszczyźnie politycznej organizacja niezdolna do samoobrony, zdolna tylko do moralnych potępień, prowokuje do łatwego zwycięstwa nad nią.

W konfrontacji z Rosją trzeba rzucić na szalę coś więcej niż narodowe sentymenty. Tu trzeba właśnie siły. Siły militarnej: trzeba odzyskać zatem własną armię, by służyła obronie granic Polski, a nie – obronie partii i interesów imperium sowieckiego. Siły politycznej: trzeba umocnić suwerenność społeczeństwa, doskonalić organizację podziemia. Siły ekonomicznej: trzeba wygrywać kryzys gospodarczy dla społeczeństwa, budując struktury gospodarczej samowystarczalności, mogące przerastać państwową ruinę.

Siła powstaje drogą treningu, walki, stawiania sobie konkretnych, choćby niewielkich, zadań. Nie czekajmy i nie bądźmy cierpliwi. Organizujmy się w działaniu. Ale prowadźmy akcje na miarę posiadanych środków. W pół roku, w rok nie wyzwolimy w polskim wojsku żadnej znaczącej patriotycznej siły, która mogłaby odstraszyć władze przed użyciem armii przeciw narodowi. Tu dopiero czas będzie pracował dla nas. Krążące w wojsku pismo „Reduta” świadczy o tym, że status okupanta własnego kraju zmobilizował zwycięzców w tej wojnie do rozpoczęcia antytotitarnej edukacji.

W czasie agresji na Czechosłowację w 1968 roku wielu młodych Polaków mówiło lekceważąco o narodzie Szwajców, który nie przeciwstawił się bratnim armiom. Los udzielił nam lekcji pokory; my też nie ruszyliśmy z gołymi pięściami na czołgi. Czechem wyrzucaliśmy, że ich armia nie wystąpiła w obronie społeczeństwa. I tu los dał nam lekcję pokory: polscy żołnierze wystąpili przeciwko polskiemu społeczeństwu.

Dumne podkreślanie, że „Solidarność” nie stosuje przemocy, to tylko słowna pułapka, w którą wpadła nasza myśl. „Solidarność” cierpi na bezsilność, a nie wyrzeka się przemocy. Trzeba wypracować nowe środki walki. Inne niż terror, który stosuje lub którym grozi władza. Inne niż bezsilność, z której czyni się przedmiot dumy. Nie wystarczą świadome cele, lecz bezbronne masy stojące na wprost oddziałów ZOMO. W czasie demonstracji ulicznych ostatniego roku tłum pokojowych demonstrantów czekał właściwie na atak! Jak długo można

poddawać się tym próbom odwagi połączonej z masochizmem? 31 sierpnia 1982 roku na ulicach naszych miast była masa krytyczna, gotowa do choćby jednodniowej rewolty. Tam, gdzie atakowano, a nie czekano na atak – policja uciekała i musiała ściągać posiłki, by odzyskać stracone pozycje. Eksplozja następowała wszędzie tam, gdzie był detonator.

Tym detonatorem może być tylko kadrowa organizacja, sprawna i wyszkolona, dla której tłum demonstrantów stanowi choćby częściową osłonę. Jeśli społeczeństwo nie zacznie stosować taktyki ofensywnej, jeśli nie będziemy atakować władzy na jej terenie, to zginiemy, zaszczują nas falą robionych na ślepo masowych rewizji i aresztowań.

Sądzę, że budowanie siły politycznej społeczeństwa musi objąć dziś cztery grupy zadań. Po pierwsze: wariantowe opracowywanie decyzji, by nie dać się zaskoczyć akcjami politycznymi ani policyjnymi. Należy więc przewidywać ruch przeciwnika (patrz: delegalizacja Związku) i spontaniczne ruchy społeczeństwa (3 maja 1981 roku, strajk w Stoczni Gdańskiej po delegalizacji) i mieć z góry przygotowaną na nie odpowiedź. Po drugie: należy skupić się na paraliżowaniu władzy przez penetrację aparatu przemocy i prowadzenie przeciw niemu działań obezwładniających – dywersji psychologicznej. Po trzecie: należy wypracować normalną i rezerwową sieć łączności wewnątrz każdej zorganizowanej grupy i w regionach. Po czwarte: należy po rocznej papierowej wojnie przystąpić do represjonowania kolaborantów, bo nic tak nie osłabia solidarności społeczeństwa poddanego przemocy jak bezkarność kanalii. Ale, uwaga: nie wolno mylić kolaborantów z okupantami. Musimy oczyścić z kanału społeczeństwo, a nie władzę. Jaruzelski, Rakowski, Urban – to przeciwnicy polityczni. Ale Dobraczyński i Koźniewski czy prowokator policji Sławomir Miastowski to kolaboranci, bo wysługują się władzy, licząc na bezkarność. Inni liczą na anonimowość. Witold Mysłowicz, autor plakatu „Z pnia narodowej zdrady” (na którym z drzewa Targowicy wyrastają jak gałęzie nazwiska Giedroycia, Najdera, Bujaka, Herlinga-Grudzińskiego, Chojeckiego, Piniora, Blumsztajna i... uciekinierów: Rurarza i Spasowskiego) nie podpisał swego dzieła. Mysłowicz jest kolaborantem, podobnie jak jego poprzednik – twórca sloganu „AK – zapluty karzeł reakcji”, chce naszym kosztem żyć wygodnie przy realnym socjalizmie. Mówić o presji moralnej w stosunku do takich kanalii to czysta kpina. Tylko represje (jakie? – niech popracuje wyobraźnia...) mogą wywrzeć na nich dobroczynny wpływ.

Jeśli władza chce, by społeczeństwo patriotycznie zjednoczyło się w kłamstwie, my musimy siłą polaryzować je w imię solidarności w prawdzie.

Posierpniową szkołę mamy już za sobą: demokracja musi być na tyle silna, by w momencie zagrożenia bronić się, a nie dopiero myśleć i dyskutować, jak się bronić.

Organizacja

Trzeba postawić sobie jasno pytanie: w czyjej strukturze walczymy? Czechosłowacja '68 była próbą zdobycia wolności od wewnątrz, od środka partii komunistycznej. Polska lat '80–'81 była próbą zdobycia wolności razem z partią komunistyczną: „Solidarność” była niezależna i samorządna w granicach kompromisu-paradoksu, grała rolę partnerską wobec kogoś, kto miał przyznaną mu przez konstytucję rolę kierowniczą. Po tych doświadczeniach nie mamy innej drogi niż droga budowy własnej struktury organizacyjnej, która ma szansę z czasem, dzięki prężności, zwartości, innowacyjności i inteligencji tworzących ją ludzi, zwalczyć strukturę utworzoną przez komunistów.

Powszechne jest przekonanie (będące nieświadomą akceptacją modelu rewolucji totalitarnej), że system wali się w wyniku aktu woli społeczeństwa, a nie na skutek procesów rozkładu i budowy nowych struktur organizacyjnych. Strategia strajku generalnego była wynikiem wiary społeczeństwa w taki właśnie akt woli. Powód, dla którego wielu działaczy dużych zakładów pracy parło do strajku generalnego, nie wynikał z siły słabości. Strajk generalny stał się odpowiednikiem zawołania: „Kupą mości panowie, kupą!”. Strajk generalny ma sens tylko jako zgazzenie światła, by władza mogła zniknąć i pojawiła się nowa. Jeśli jednak nie wierzymy w żaden frakcyjny wariant przemian w Polsce i sami nie zamierzamy przejmować władzy powierniczej, strajk generalny traci sens. Nie jest gaszeniem światła, by komuna mogła zniknąć. Jest zamykaniem oczu, by jej nie widzieć.

Faktycznie strategia ta upadła 13 grudnia 1981, ale trzeba było 10 listopada '82, żeby społeczeństwo zrozumiało, że pokojowa epoka „Solidarności” naprawdę się skończyła. Jest czas wojny z komunizmem i koncepcja odstraszenia może działać tylko wtedy, gdy możemy przewyższyć przeciwnika siłą i organizacją. W przeszłości wielokrotnie wypowiadałem się za budowaniem podwójnych struktur. Za tym, by koncepcja jawności działania – która okazała się wbrew temu, co sądziłem, najskuteczniejszym środkiem upodmiotowienia społeczeństwa – nie skazała nas na łaskę i niełaskę władz. Myląc się co do preferencji, nie myliłem się – niestety – co do niebezpieczeństwa tak obranej drogi. Działalność demonstracyjnie jawna doprowadziła do powstania NSZZ „Solidarność”. Ograniczenie się wyłącznie do tej formuły spowodowało taki, a nie inny właśnie jej upadek, oczywiście upadek jako ruchu masowego. Jeśli „Solidarność” ma przetrwać, musimy jasno sobie powiedzieć, że przekształcamy ją w kadrową organizację niepodległościową „Solidarność”, bo masowej konspiracji, i to o strukturze opartej na miejscu pracy swoich członków, nikt jeszcze nie założył. A po to, by żyła w społeczeństwie solidarność z „Solidarnością”, nie trzeba organizacji.

Co dzieli tak nakreślone zadania od wcielenia w życie? Niewiara wyrosła z wieloletniej indoktrynacji determinizmem społecznym, który procesom historycznym czytelny z perspektywy lat odbiera ludzki charakter, charakter sumy jednostkowych decyzji. Tymczasem rewolucja 1980 roku nie była inicjatywą

milionów, tylko inicjatywą jednostek i niewielkich organizacji, z którymi miliony się zidentyfikowały. Fala rewolucyjna opadła tak szybko, bo w warunkach zagrożenia kadry rewolucji okazały się za słabe. Przed Sierpniem głównym problemem opozycji było to, że nieliczne jej grupy nie miały szerokich kontaktów z masami robotników. Dziś działacze podziemia mają te kontakty, jest doskonała transmisja między podziemiem a społeczeństwem. Są nas tysiące, ale nie setki tysięcy, pogodzenie się z tą nową skalą ruchu i jej organizacyjnymi konsekwencjami jest kwestią doświadczenia.

Barierę kadrową możemy przekroczyć dopiero stopniowo, docierając się, sprawdzając organizacje i ludzi, mówił w *Bilansie roku* (TM nr 36) Zbyszek Bujał. I choć musimy się spieszyć, bo SB wciąż pruje konspirację, którą tkamy, pewnych doświadczeń przeskoczyć się nie da. Po roku wojny pewien działacz (ze środowiska uważanego tradycyjnie za elitę robotniczą) skarżył mi się: „Ale nas jest tak mało do tej roboty, popatrz, zaledwie pięć osób!”. Rzeczywiście, w kategoriach wschodnich pięciu ludzi to tyle, co nic. Ale w kategoriach zachodniej kultury pracy to przecież bardzo dużo, szczególnie jeżeli tych pięciu ludzi ma kontakty z kilkuset, a często kilku tysiącami kolegów.

Z konfrontacji szesnastu miesięcy „Solidarności” i roku wojny o nią wyłania się prosty wniosek kadrowy. Można liczyć, przy sporych zdolnościach społeczeństwa do improwizacji, na szybkie samoorganizowanie się w oparciu o działaczy liniowych. Ci, jak to na wojnie, wymagają krótkiego instruktażu i albo walczą, ucząc się ostrożności, albo wpadają jak brawurowy żołnierz, który wciąż wystawia głowę z okopu, nie wierząc, że naprawdę strzelają. Ale oficerowie sztabowi nie uczą się prowadzenia walki z dnia na dzień ani z roku na rok. I oni właśnie są barierą kadrową każdej z walczących stron. Czy jesteśmy zatem skazani na ruch, którym będą kierować zawodowi rewolucjoniści? Postawmy pytanie inaczej. Czy w sytuacjach silnych stresów i olbrzymich trudności, w tej wysokogórskiej wspinaczce, do której zmusza nas sytuacja, stać nas na wyrwykowo, spontanicznie, amatorsko organizowany „długi marsz”?

Powtórzmy raz jeszcze: oficerów liniowych wyłania i wychowuje każdy strajk, akcja protestacyjna, demonstracja uliczna. Oficerów sztabowych – autentycznych polityków – elitę przywódczą narodu – kształtuje dopiero czas.

Front odnowy jest na razie jednym z naszych największych sukcesów propagandowych. Ale już dziś musimy być przygotowani organizacyjnie do akcji rewindykacyjnych. Czerwony już wrócił do metod kupowania ludzi przywilejami, przydziałami, lepszymi kartkami. Nie trzeba wielu kupić, żeby wszystkich skłócić. To, że „Solidarność” nie przetrwa jako związek zawodowy, nie znaczy, by nie miała prowadzić nadal także akcji typu związkowego.

Komuniści potraktowali jako wskazówkę dla siebie hasło „Nie ma chleba bez wolności”. Dziś najlepszy dla nich jest niedostatek i jednego, i drugiego. Skoro nie mogą dać nam wolności, bo ograniczyłaby ich władzę, to nie mogą dać też dość chleba, gdyż dobrobyt pozwala masom oderwać się od łagiernej rzeczywis-

tości. Wolność gospodarcza powoduje i wymaga wolności politycznej. Słowem, programem komunistów na dziś jest: bez chleba i bez wolności. Ten program atakować należy akcjami o charakterze związkowym, opierając się na istniejących przepisach. Nikt nie wierzy dziś w Polsce w sens walki o praworządność jako cel sam w sobie. Dzięki konkretnym akcjom rewindykacyjnym komunistyczne rządy bezprawia będą jednak wciąż wpadać na rafy „socjalistycznej praworządności”. A tu obowiązuje zasada: im gorzej, tym lepiej. Im trudniej komunistom łamać prawa człowieka, tym łatwiej nam żyć i działać.

Co jest główną przeszkodą w samoorganizowaniu się społeczeństwa, w realizacji konkretnych celów, w jednostkowej czy grupowej samoobronie? Odpowiedź jest prosta: jesteśmy zsowietyzowani bardziej, niż to sobie uświadamiamy na co dzień. Robotnik rozkłada ręce, gdy pęknie mu najmniejsza śrubka w maszynie i krzyczy: – Majster, stoję z robotą! Rolnik przepija sumy, za które mógłby, jeśli nie wyzwolić się ekonomicznie, to zwiększyć swoją niezależność od państwa. To wszystko są składniki bolszewii, która nas zżera. Na czym polega sowietyzacja? Bolszewizm był owocem beziły narodu rosyjskiego. Miernota i rabstwo uzyskiwało w Rosji od wieków rangi, przywileje, władzę. Sowietyzm tę beziłę niesie po świecie jako Dobrą Nowinę. Dlatego właśnie diabelską sztuką jest nurt tłumaczenia wszystkiego w Polsce wszechwładnym systemem. Trzeba się zdecydować. Albo jesteśmy dziedzicami cywilizacji chrześcijańskiej i zachodniej kultury, albo jesteśmy maruderami bolszewizmu na pograniczu Azji i Europy. Jeśli mamy niezbywalne prawa osoby ludzkiej, to bierzmy je razem z obowiązkami, albo milcząc, pokornie zgódźmy się na komunistyczną „normalkę”.

W „Solidarności” w wyniku obciążenia dziedzicznego bolszewią powstały na najniższym i średnim szczeblu struktury do rządzenia i reprezentowania, a nie do działania. Dlatego po wybuchu dziwnej polskiej wojny i po naszej stronie widzi się niemal wyłącznie generałów, pułkowników, kapitanów, a nie ma kaprali i sierżantów. Ile już razy słyszałem od członków Komisji Zakładowych „Solidarności”: „Ja właściwie nie powinienem działać, bo jestem namierzony”. Dalej już wiadomo – zaczyna się komunistyczne szukanie „rąk do pracy”. Tymczasem w każdej pracy organizacyjnej jest część podejmowania decyzji i część roboty wykonawczej: kilometrogodzin biegania, ustalania, kontaktowania, pisanie, kupowania, pakowania, numerowania. Na każdym szczeblu organizacji współlistnieją te dwa czynniki. Bolszewia polega na tym, że wszystkie szczeble powyżej robotnika (w domyśle jest nim zawsze pracownik przy taśmie) chcą tylko podejmować decyzje i koordynować. Konkretna praca zawsze spychana jest w dół, konkretna decyzja zawsze spychana jest w górę. W ten sposób pod koniec piramida urzędników niemogących się ze sobą dogadać obciąża pracą pojedynczego robotnika. Taka struktura organizacyjna pozbawia poszczególne odłuki pracy elementów twórczych i rzemieślniczych. Między robotnikiem a dyrektorem jest jeszcze potrzebny majster. Jego szczebel jest kluczowy: to on po-

woduje, że ten, co umie zrobić dobrze i na czas, robi to, co ktoś inny wymyślił dobrze i na czas. Podziemie bez majstrów, bez tych, którzy potrafią pokazać własnymi rękami, jak można i trzeba coś zrobić, nigdy nie będzie dobrze funkcjonować. Konspiracyjna organizacja, która składa się z roboi i dyrektorów, z subiektów i menedżerów, nigdy nie pokona komunistów. Musimy wbrew bolszewii w nas samych odbudować etos majstra i kupca. Bowiem istotą zso-wietyzowanej organizacji jest to, że nie pracuje się w niej z ludźmi, a pracuje się ludźmi.

Małe firmy mogą prowadzić wielkie przedsięwzięcia: pięciu kupców zrobi więcej niż stu subiektów czekających na instrukcje, jak świadczyć usługi dla ludności. W zso-wietyzowanej organizacji zachwane są proporcje służb pomocniczych i technicznych w stosunku do „frontu”. Rezultat jest zawsze ten sam: braki ludzi na linii i ludzi w służbach pomocniczych. Niemal wszyscy zarządzają i koordynują zamiast także – po prostu pracować. W podziemnej organizacji powtórzenie takiego modelu powoduje, że roi się od pośredników patriotycznych, a Ojczyzna wciąż jest w potrzebie. Bowiem *homo sovieticus* tworzy drugi szczebel struktury organizacyjnej, zanim pierwszy zacznie w ogóle pracować. Struktura biurokratyczna jest zbudowana na wyrost i wciąż szuka rąk do pracy – ma tylko ręce do rządzenia. Zdarza się też, że skrojona na miarę umiera na rutynę, chorobę każdej zbyt pasywnie i stagnacyjnie nastawionej organizacji. Organizacja to ludzie. Jeśli nie mają się marnować, muszą działać w strukturze, która się rozwija, pęcznieje: jedno wykonane zadanie prowokuje do postawienia sobie nowego.

Można bez trudu dostrzec następującą prawidłowość: im gorzej zorganizowana grupa, im mniej ma ludzi energicznych, tym więcej ideologicznych dąsów, pretensji do błędnej taktyki centrum, które nie umie wykorzystać ducha oporu społeczeństwa itd., itd. Często na czele tych grup stoją ludzie wielkiego umysłu, dopóki jednak nie umieją skupić grona współpracowników gotowych realizować ich idee i szukają winnych wokół – ich racje polityczne wiszą w próżni. By odpowiednie słowo padło w odpowiednim miejscu i czasie, potrzebna już jest organizacja. Bowiem o ile w ciągu ubiegłego roku TKK błędnie odpowiadała na pytanie: *jak?*, wzywając do ugody i porozumienia, zamiast do walki, „Solidarność” jako całość nie miała kadr, które wiedziałyby, *co* robić i *co* organizować na szczeblu zakładu. Wszyscy czekali z myśleniem i organizowaniem się na wytyczne, a im bardziej nie radzili sobie z konkretnymi pracami w swoim środowisku, tym bardziej szukali winy w centrali. Czekano na słowa, gesty, programy...

Gdzieś w sferze konfrontacji dwóch kultur: bizantyńsko-marksistowskiej i protestancko-demokratycznej problem wyglądać może następująco: Kto z nas – władza czy społeczeństwo – ulegnie prędzej sowietyzacji? Kogo z nas prędzej dosięgnie ta zbitka beśsiły, prymitywizmu, bezhołowia organizacyjnego i braku jakiegokolwiek odpowiedzialności?

Centrum

Poprzedni okres, 1976–1980, był czasem budzenia świadomości społecznej i narodowej. Teraz trzeba budować dojrzałość polityczną, to znaczy wyłonić w działaniu kadrę polityków, mających poparcie społeczeństwa i umiejących podejmować zrozumiałe dla mas decyzje bez wiecowania i referendum.

Przeciwstawianie hasłu budowy struktur Społeczeństwa Podziemnego hasłu utworzenia Państwa Podziemnego to przykład licytacji możliwej tylko w sferze programowej – tracącej sens w myśleniu o organizacji. Czy państwo może istnieć bez zorganizowanego społeczeństwa? Czy państwo nie jest formą zorganizowania społeczeństwa, formą, która musi wyrastać z innych organizacji? Obecnemu centrum – Tymczasowej Komisji Krajowej – nie dlatego nie udało się sprawnie kierować ruchem, że nie przejęła ona funkcji Państwa Podziemnego, a dlatego, że samo społeczeństwo jest za słabo zorganizowane. Dla społeczeństwa chcieć to znaczyć moc. Społeczeństwo musi mierzyć siły na zamiary, jeśli nie ma ugrzęznąć w ugodzie i realizmie. Ale centrum podziemia ma obowiązek chcieć tylko tego, co zrobić może. Musi mierzyć zamiary podług sił, jeśli nie chce pozbawić się wszelkiego autorytetu.

Tym, którzy żądali, by TKK była „silnym centrum”, trzeba zadać jedno pytanie: czym to centrum miało zarządzać? Ruiną pozostała po rozbiciu „Solidarności” jako Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego? Jak zareagowały organizacje związkowe na atak 13 grudnia? Ileż słyszeliśmy relacji zaczynających się od słów: „Poszliśmy pod siedzibę Regionu, żeby dowiedzieć się, co robić – a tam ZOMO...”.

Siła centrum ruchu demokratycznego tkwi w sprawnie zorganizowanym społeczeństwie, a nie w sprawnej administracji. Bez dobrze zorganizowanych małych i średnich struktur społecznych centrum może tylko panować, a nie rządzić. TKK popełniła ten właśnie błąd: zamiast panować – mówić *jak* walczyć, próbowała rządzić – mówiła, *co* robić. Autorytet centrum, które występuje w imieniu całego podziemia jest tym potrzebniejszy, że czeka nas czas reorganizowania się, przepoczwarzania jako ruchu. Po minionym roku wiemy, z kim, przeciw komu i o co walczyć.

Na początku tej wojny, wskazując różnice między konspiracją polityczną a konspiracją ściśle wojskową ostatniej wojny, napisałem, że w tej drugiej mianowano dowódców określonych szczebli, a ci prowadzili werbunek członków do organizacji. Było to uproszczenie, które dzieliłem z wieloma piszącymi o konspiracji. Najlepsze oddziały AK powstały nie w wyniku werbunku, a scaleńia mniejszych, już działających, często nawet już rozbitych aresztowaniami ugrupowań. Zespół z prawdziwego zdarzenia można zbudować dopiero z molekuł organizacyjnych, wypróbowanych w działaniu. Ta zasada obejmuje całe podziemie od dołu aż po centrum: z jego biurem organizacyjnym, systemem łączności, grupami doradców. Organizacja to nie schematy i idee. To ludzie i jeszcze raz ludzie. Ludzie umiejący organizować pracę innych.

Koncepcja Komitetu Polskiego na Zachodzie, który reprezentowałby krajowe aspiracje niepodległościowe, nie jest i nie była utopiina sama w sobie. Jeśli Biuro Koordynacyjne „S” jest niezdolne do działań politycznych – jak pisze „Niepodległość” – to dzieje się tak dlatego, że nie znaleźli się ludzie gotowi zgodnie podjąć wyzwanie polityczne. Koncepcja, którą proponuje „Niepodległość”, by tworzyć w podziemiu partie polityczne, by partie te skryształizowały swoje programy, następnie się skonfederowały, a na końcu ewentualnie zaprosiły „Solidarność” do tej konfederacji organizacji niepodległościowych, by dodała im autorytetu – to dopiero fantasmagoria. Jeśli nie dochowaliśmy się jeszcze kadr dla nielicznych, oczywistych solidarnych działań, nie wierzę, by starczyło ich do sensownych akcji partykularnych. To będzie pluralizm dezorganizacji, a nie organizacji podziemia.

Z dyskusji tej wyłania się polski upiór: żeby dobrze rządzić, trzeba mieć prawdziwy silny rząd, bo społeczeństwo jest słabe. Jest inaczej: trzeba wzmocnić społeczeństwo, podnosząc jego kulturę polityczną, kulturę pracy i kulturę organizacji, by kierowanie nim przez podziemną centralę nie było groteską.

Łatwo jest żądać (oczywiście nie od siebie, a od władz „Solidarności”) utworzenia grup specjalnych, które odpowiedzą na siłę siłą, sądów społecznych, które wymierzą choćby symboliczne kary konfidentom, prowokatorom i zdrajcom. Trudniej wziąć się samemu do zorganizowania może nie samych grup, może nie sądów, ale choćby któregoś z ich serwisów: technicznego, transportowego, zaopatrzenia, legalizacji, medycznego czy archiwum danych o kolaborantach.

TKK nie panuje nad wydarzeniami... Ależ i rząd nad nimi nie panuje. Wszystkie wydarzenia w PRL, które spowodowały, że ich miesiące piszemy dużą literą, okazały się niesterowalne. Bo to była żywa historia, a nie realizacja programów politycznych według z góry założonego planu. Jeśli jednak przyniosły one zwycięstwo lub klęskę owocującą zwycięstwem, to tylko wtedy, gdy w trakcie wydarzeń lub na ich skutek powstały instytucje niezależnego życia politycznego.

Wielu wypomina Bujakowi, że powiedział, iż może stanąć na czele strajku generalnego, gdy ten już wybuchnie – bo taki strajk to dzisiaj powstanie. Ci, co liczyli czas do wiosny lub jesieni, widzą już chyba dzisiaj, że niezależnie od błędów TKK, zmiany, które w Polsce zachodzą, mają charakter procesowy.

Czy wszystko, co napisałem, jest minimalizowaniem znaczenia centrum ruchu podziemnego? Skądże! Powtarzam raz jeszcze: podział na plan i realizację, program i działanie – to tylko dziedzictwo bolszewii. Nie słowa programu pchały przez wieki ludzi do walki, a fakt, że program ten potrafił skupić wokół siebie grupę ludzi zdolnych do działania i umiejących przyciągnąć do niego innych. Po to jednak, by centrum skutecznie kierowało ruchem niepodległościowym, nie może ono już w pewnym momencie widzieć swego działania wyłącznie jako społecznej działalności, w której jest się gotowym szlachetnie ginąć lub gnić w więzieniu, by dać świadectwo prawdzie. Niejedna prawda już przegrała walkę ze złem i kłamstwem. Trzeba przy całej determinacji w obronie zasad mo-

ralnych widzieć siebie jako gracza politycznego i sztabowca rewolucji. Nie darmo komuniści, chcąc skompromitować opozycjonistów, mówią o nich „cyniczni gracze polityczni” czy piszą o „sztabie kontrrewolucji”. To wyraz rzeczywistych lęków połączony z projekcją własnego ja. Przecież władza to rzeczywiście cyniczni gracze polityczni i sztab kontrrewolucji, dlatego nie moralnego oblicza naszego ruchu się boją, a profesjonalnej gry.

Każdy polityk, a nie tylko prezydent USA, musi chodzić wszędzie ze swoją skrzynką z guziczkiem i w momencie każdej rozmowy, każdego szantażu politycznego móc odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie. Społecznik w razie czego powie, że padł zdradziecko trafiony w plecy. Ale polityk z prawdziwego zdarzenia mówi: nie pozwolę, żeby mnie zaatakowano nożem w plecy. Taki atak jest możliwy tylko wobec kogoś, kto z góry pogodził się z tym, że można go oszukać i kompletnie zaskoczyć. Gdybyśmy szli śladem doświadczeń lat '76-'80, oznaczałoby to, że nie skorzystaliśmy z lekcji 13 grudnia. Ta lekcja musi spowodować jakieś radykalne cięcie, jakiś przełom w naszej świadomości politycznej. Naszą elitę przywódczą od polityków *sensu stricto* dzieli to, że z zagrożenia, które widzieli, nie wyciągnęli wniosków operacyjnych. Nie potrafili zinstrumentalizować rozwiązania tej sytuacji. Walka polityczna między społeczeństwem a władzą nie może polegać na tym, że społeczeństwo jest obiektem represji, aparat przemocy jest wyłącznie przedmiotem łagodnej perswazji.

Żyje w nas bardzo silna tradycja, by nierozwiązane problemy, które z dnia na dzień odkładamy, bo operacyjnie nie umiemy im podołać, grupować w całe bohaterkie alternatywy. W ten sposób to, co jest organizacją oporu, trwania, walki zastępuje się straceńczym zrywem. Można i trzeba mierzyć opór, trwanie i walkę siłą tych spektakularnych wybuchów, ale musi wyprzedzać je rzetelna sztabowa praca.

Gra wojenna

Jedyna prawdziwa, inteligentna gra polityczna, którą prowadzi władza, to walka o własny stółek, czyli prawo zarządzania protektoratem. W każdej innej grze partia okazała się bezsilna. Stworzywszy – raz na zawsze! – w latach pięćdziesiątych „zręby socjalizmu”, nie potrafiła już od tej pory wyprowadzić Polski z kryzysu. I tym lepiej dla niej: właśnie kryzys – utrzymywanie niedowładnego ekonomicznego na poziomie krytycznym – okazał się z perspektywy lat szansą łatwiejszego rządzenia krajem. Co nie znaczy, że system nie miałby wykorzystać i prosperity. Niemniej w historii PRL każde załamanie gospodarcze połączone z nadzieją zmian na lepsze osłabiało władzę komunistów. Analizując te przyczyny i skutki jako strukturę rzeczywistości totalnej i wiedząc, że celem komunistów jest władza i tylko władza, widzimy, że jedynym realistycznym programem jest walka na zewnątrz tej struktury.

Roboczy schemat obalenia ustroju komunistycznego opowiedzieć może każdy. Dla jednych upadek zacznie się od erozji aparatu przemocy, dla drugich od

konfliktu europejskiego lub światowego. W każdym razie „Solidarność” była dla nas parę lat temu trudniej wyobrażalna, niż jest nim dla nas dziś upadek komunizmu. Żadna konstrukcja intelektualna nie zmieni jednak faktu, że programy obalenia systemu są tylko roboczymi hipotezami. Nie ma innej drogi sprawdzenia ich niż działanie. Wiąże się to z ryzykiem, ryzykiem działalności politycznej. Nie podejmując go, także ryzykujemy: że nie będziemy warci być narodem, jak to już kiedyś powiedział nam Napoleon.

Sytuacja dzisiejsza jest zbliżona do koniunktury w czasie powstania listopadowego. Szansy wybicia się na niepodległość nie da kunktatorstwo, poszukiwanie kompromisu w rokowaniach, próby ugody społecznej z komunizmem. Tak jak w powstaniu listopadowym szansę daje tylko wojna przewencyjna. Oczekiwanie na jakieś nowe kroki władz, które nie ukrywają przecież, że chcą rzucić społeczeństwo na kolana, grozi całkowitym unicestwieniem „Solidarność”. Druga strona nie jest wszechmocna, ale posiada ludzi, czas, pieniądze i rutynę sztabową. Rozwiązanie z 13 grudnia '81 może się okazać kaftanem bezpieczeństwa, który władza będzie gotowa zawsze nakładać w sytuacji „wyższej konieczności”: przed rozpoczęciem sowieckiego blitzkriegu na Zachodzie czy wysyłaniem naszych wojsk do Afganistanu. Podziemie, tworząc mechanizmy obronne przeciw państwowemu terrorowi, dokonuje wyboru między martyrologią i polityką. Wiemy już, z kim siedliśmy w Gdańsku do stołu. Siedliśmy z bandytami politycznymi, którzy gotowi są wyciągnąć nóż zza cholewy, gdy tylko pozwala na to sytuacja. Tymczasem w sposobie myślenia działaczy „Solidarność” tkwił i często tkwi do dziś zupełnie inny zaczyn intelektualny, niż ten, który jest niezbędny politykowi. Polityk z prawdziwego zdarzenia robi bilans sił i środków obu stron i prowadzi grę wojenną.

Ekstrema Jaruzelskiego składa się z ludzi wykorzenionych ze społeczeństwa, jest przez to tym żałośniejsza, ale i tym groźniejsza. Jedną grupą wykorzenionych jest Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”, czyli zaścianek stalinowsko-antysemicki. Drugą grupą wykorzenionych są „Żydzi” i „liberałowie” – Urban, Toeplitz, Passent, Sandauer i Koźniewski, Kałużyński czy Jan Szczepański. Nikt z nich nie ma już nic wspólnego ani z polskością, ani z liberalizmem, ani z żydostwem, tym lepiej więc grają rolę nowych Borejszów. Wśród gówna i krwi – tych niezbędnych atrybutów terroru – zawsze pojawiają się postacie walczących o „liberalizm mimo wszystko”. Byłe uniknąć losu ofiary i kata. Różański był jednak bratem Borejszy.

Mając po drugiej stronie cynicznych i inteligentnych graczy, nie można im przeciwstawić jakiegś pozytywistycznej koncepcji pracy u podstaw o charakterze zbliżonym do lat '76–'80. Komuniści nauczyli się już stopniowania terroru. Najpierw grozili nam bronią. Teraz grożą nam już tylko więzieniem lub wyrokiem w zawieszeniu. Nie są odważni. Ale mają świetnie wypracowaną technikę szantażu. W tej dziedzinie Jaruzelski ma spore osiągnięcia. Na przykład stworzył wrażenie, że dogadał się z Kościołem. I w ciszy przygotował się do akcji KRUK: ataku na niepokornych księży.

Spróbujmy określić, co było naszą największą słabością w wojnie polsko-jaruzelskiej. Myślę, że brak myślenia wariantowego. W grze z czerwonym, jak w każdej grze, musimy przewidywać sytuację na parę ruchów naprzód. Tymczasem „Solidarność” parla do szachowania króla, nie licząc się z możliwymi ruchami drugiej strony. Podstawianie pionka pod naszego konia nie znaczy, że warto bić go, tracąc wieżę i samemu narażając się na zaszachowanie. Musimy być bardziej ofensywni. Druga strona idzie na ruchy do przodu, na pozory liberalizacji, gdy liczy, że pokrzyżuje tym nasze plany.

Gra polityczna związana z wizytą Jana Pawła II w Polsce wymaga – dla przykładu – przeanalizowania przez nas czterech wariantów. Papież przyjeżdża do Polski na naszych warunkach – postępujemy znowu tak jak wolni ludzie w wolnym kraju. Papież pielgrzymuje na warunkach czerwonych. Papież nie przyjeżdża do Polski na naszych warunkach: władze wycofują się w ostatniej chwili. Papież nie przyjeżdża na warunkach czerwonych – odrzuca wronie ramy wizyty. Każdy z tych wariantów, z wyjątkiem drugiego, jest dla nas do wygrania, ale pod warunkiem że nie postawimy tylko na jeden i że rozważymy organizacyjnie konsekwencje każdego z nich. Kościół polski – trzeba to powiedzieć wreszcie głośno i autorytatywnie – nie ma w tej sprawie żadnego pola manewru, żadnych szans na społeczną mediację. Może tylko ustępować czerwonemu, czyli pacyfikować własne społeczeństwo za cenę wizyty lub trwać z nim we wszystkich odruchach buntu, są one bowiem tym samym suwerennym naszym prawem co prawo Jana Pawła II do Pielgrzymki Jasnogórskiej. Jeżeli będziemy nasilać do czasu przyjazdu papieża demonstracje naszej woli niezależności, komunistom pozostanie tylko dopuścić do wizyty na naszych warunkach lub nie dopuścić – także na naszych warunkach. W każdym z tych wariantów społeczeństwo (i Kościół...) zachowają swą podmiotowość. Nie powinniśmy więc czekać, jak władza zaszantażuje nas wizytą papieża, lecz atakować. W naszym interesie nie leży, by kraj, do którego papież przybywa, został spacyfikowany, zanim ślepiec zarządzający protektoratem przywita Ojca Świętego na lotnisku. Cud przebudzenia narodu drugi raz się nie zdarzy, po prostu dlatego, że naród już nie śpi. W planach władz ceną wizyty papieża ma być uspienie nas, „by nie zakłócać religijnego charakteru patriotycznych manifestacji”. Zanim znów milionami wylegniemy na ulice ze znakami „Solidarność” – i niech wtedy spróbują nas tknąć! – musimy to publicznie i władzom, i prymasowi Glempowi zapowiedzieć. Trzeba też zadać publicznie – jakkolwiek byłoby ono bolesne – pytanie: czy dla Sowietów nie jest najlepszym interesem politycznym zabicie papieża w Polsce i rękami Polaka, skoro nie udał się spisek bułgarsko-tureckich podwykonawców? Im bardziej publiczne będzie ostrzeżenie przed długimi rękami Starszego Brata, tym większa szansa, że nie dojdzie do tej tragedii i hańby (gorszącym się w tym miejscu przypominam ubecki napad na polską ambasadę w Bernie, dokonany rzekomo przez terrorystów z „Solidarność”).

Musimy tak prowadzić grę wojenną, by przy każdej próbie walki z podziemiem stwarzać władzy tylko gorsze wyjścia. Ci, którzy chcą, by TTK postawiła

przed społeczeństwem cele walki i od tego każdorazowo uzależniają swój akces do ruchu, zapominają, że każdy cel polityczny wymaga następnie instrumentacji. Programy czy decyzje centrum nie spowodują skutków, na które czekamy bez określonych językiem operacyjnym środków realizacji. A te przecież nie mogą być jawne. Dlatego sądzę, że centrum powinno firmować działania lub informować o działaniach, które miały miejsce, a nie – wzorem komunistów – apelować do... i o...

Czym innym jest dawanie świadectwa – zajmowanie się polityką jako działalnością, nawet – misją społeczną, czym innym zaś jest polityka jako gra. Jest różnica między społecznikiem gotowym nadstawić głowy dla dobrej sprawy i pokazywać ją pobitą pałkami jako dowód bezprawia a politykiem, który wie, że mieści się to w regułach gry z barbarzyńcą, ale celem jego jest nie dać się złapać na błędzie, nie dać się oszukać w grze. Nie żalmy się więc, że rząd postępuje zgodnie z prawami Machiavellego, tylko wykorzystujmy naszą wiedzę o makiawelizmie komunistów i uczmy się mu przeciwdziałać. Nie znaczy to, byśmy mieli rezygnować ze zobowiązań moralnych, ale stać nas już na świadomość, że nie uciekniemy przed Szekspirem. A Szekspir umarłby z głodu, gdyby problemy władzy, ambicji i chłodnej kalkulacji interesów stron biorących udział w grze mogły być wytarte gumką przez nasze czyste intencje. Romantyczny w polityce może być tylko wybór wyjściowy lub ostateczny. We wszystkich innych musimy się kierować zimnym realizmem.

Możemy gorąco wierzyć, że komunizm upadnie, bo upaść musi. Ale musimy udowodnić to na chłodno naszym działaniem.

Warszawa, marzec 1983

[5/1983]

Od Redakcji

Jest jeszcze za wcześnie na ocenę sytuacji w kraju. Jesteśmy zalani morzem plotek, informacji, dezinformacji i sprzecznych ocen ludzi rzekomo „dobrze poinformowanych”. Dezorientację pogłębia milczenie osób miarodajnych.

Można jednak już dzisiaj zaryzykować pewne wnioski:

1. Jest rzeczą oczywistą, że reżim nie zamierza prowadzić dialogu ze społeczeństwem ani pójść na kompromisy. Czas więc najwyższy, żeby skończyć z tymi złudzeniami, których echa ciągle jeszcze można znaleźć w wypowiedziach podziemia i emigracji. Czas uświadomić sobie, że trzeba przestać liczyć na cud i na mężów opatrnościowych, którzy wszystko za nas załatwią. Musimy pamiętać o gorzkiej uwadze Marszałka Piłsudskiego, którą już nie raz przytaczaliśmy:

Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi – a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym. (Józef Piłsudski na konferencji niepodległościowych organizacji politycznych, 25–26 sierpnia 1912 roku w Zakopanem).

2. Kościół jest nieocenionym sojusznikiem w naszej walce o niepodległość. Są setki, jeśli nie tysiące kapłanów, którzy zajmą kiedyś należne im miejsce w pamięci narodowej, ale Kościół jako instytucja walczy w pierwszym rzędzie o utrzymanie swej wyjątkowej roli w państwie komunistycznym, należącego do bloku sowieckiego i to zmusza go do szukania kompromisów z partią. Trzeba ponadto pamiętać, że Kościół ma swoje zadania i cele, nie zawsze pokrywające się z interesami Polski, by przypomnieć tylko politykę wschodnią Watykanu, która zawsze prowadzona jest kosztem naszych interesów narodowych.

3. Trzeba nastawić się na rozbudowanie społeczeństwa podziemnego. Pisaliśmy o tej potrzebie w „Kulturze” styczniowej bieżącego roku. Tylko uparta walka i wysiłek pozwolą nam na stopniowe wyzwolenie. Nikt z nas nie myśli o samobójczych koncepcjach rewolucji czy przewrotu, ale nie można być stale sparaliżowanym straszakiem interwencji sowieckiej czy wojny domowej. Zbyt często te obawy były przykrywką dla niepotrzebnych kompromisów czy wręcz oportunistu.

4. W walce o niepodległość naszym naturalnym sojusznikiem są narody z nami sąsiadujące, nie możemy być izolowani. Jest to zadanie dla nas wszystkich:

dla Kraju – walka z nacjonalizmem dyskryminującym mniejszości narodowe w Polsce, dla emigracji – współpraca z emigracjami tych narodów.

5. Najważniejszym zadaniem w chwili obecnej jest walka o uwolnienie przywódców „Solidarności” i KOR-u, którzy w więzieniach czekają na procesy. Nie można zapominać, że odrodzenie społeczeństwa w latach osiemdziesiątych było przede wszystkim ich zasługą. Nie można zapominać o skazanych działaczach KPN i o braciach Kowalczyk. Jest to nasz moralny obowiązek, którego nie mogą przestąpić takie czy inne układy z władzą.

REDAKCJA

Obserwatorium

Lech Wałęsa w swoim głośnym apelu wezwał do zniesienia sankcji gospodarczych, a Nagrodę Nobla przeznaczył na Fundusz Pomocy dla indywidualnego rolnictwa. Apel Wałęsy spotkał się z życzliwym przyjęciem prezydenta Reagana.

W związku z tym apelem przedrukowujemy z poprzedniego numeru „Kultury” zakończenie artykułu prof. Zbigniewa Fallenbuchla *O sankcjach gospodarczych wobec Polski*, gdyż wyraża ono bardzo dokładnie nasze stanowisko:

Aby wydobyć gospodarkę z kryzysu, rząd Jaruzelskiego musi uczynić takie ustępstwa polityczne, które doprowadzą do zniesienia sankcji gospodarczych i uzyskania częściowej przynajmniej akceptacji ludności dla trudnej polityki gospodarczej. Alternatywą jest dalsze przewlekanie się kryzysu. Ta alternatywa może doprowadzić do stabilizacji gospodarki jedynie na bardzo już niskim poziomie dochodu narodowego na głowę mieszkańca.

Cechą charakterystyczną sankcji gospodarczych jest to, że ich skutki widać dopiero po dłuższym czasie. Zadaniem sankcji zastosowanych wobec PRL jest zmuszenie grupy Jaruzelskiego do przyjęcia pierwszej drogi. Zniesienie sankcji bez osiągnięcia zmiany polityki, która zagraża narodowi, nie jest w jego interesie. Jest rzeczą ważną, aby przedstawiciele zachodnich krajów, którzy rozpoczęli ponownie rozmowy z PRL, zdawali sobie z tego sprawę.

Zniesienie sankcji umożliwiłoby reżimowi gen. Jaruzelskiego zabiegi o dalsze kredyty dla PRL. Ze strony „Solidarności” nie widać prób sformułowania konkretnego programu gospodarczego, którego realizacja mogłaby zapewnić ewentualną pomoc Zachodu, zabezpieczając Polskę przed jej zmarnowaniem.

To samo dotyczy projektowanego Funduszu Pomocy dla indywidualnego rolnictwa. Społeczeństwo nie jest informowane, jak się sprawa przedstawia, otaczająca ją aura tajemniczości sprzyja szerzeniu się i narastaniu niepotrzebnych pogłosek. Można ostatecznie zrozumieć, że chodzi tu o nieutrudnianie rokowań i zabiegów. Ale społeczeństwo powinno wiedzieć, jakie są zadania Funduszu i jak ma on działać, powinno innymi słowy znać program uzdrowienia polskiego rolnictwa. Tymczasem brak nie tylko jakichkolwiek szczegółów, lecz nawet pogłębionej dyskusji na ten temat. I to zarówno ze strony „Solidarności”, jak ze strony kół bliskich hierarchii kościelnej.

Słabe zainteresowanie „Solidarności” sprawami gospodarczymi w całym okresie jej legalnego istnienia i nikłe wysiłki postawienia na nogi „Solidarności” wiejskiej nie napawają optymizmem. Wałęsa i jego doradcy koncentrują się prawie wyłącznie na postulacie dialogu z władzą. Kto tak usilnie – i mniejsza w tej chwili o to czy realistycznie – domaga się dialogu z władzą, musi być do niego dobrze przygotowany i wiedzieć, o czym konkretnie chce się dyskutować.

14 grudnia 1983

[1–2/1984]

REDAKCJA

Obserwatorium

Docierające do nas z różnych środowisk w kraju reakcje sygnalizują zjawisko rosnącej dezorientacji społeczeństwa na skutek taktyki prymasa Polski, która polega na stałej ustępliwości wobec władzy i na wyciszaniu wszelkich przejawów jej nieprawości. To stanowisko, obserwowane z niepokojem już od dłuższego czasu, uwidoczniło się ostatnio w dwóch jego wystąpieniach: w orędziu świątecznym i kazaniu w dniu 6 stycznia. W pierwszym przypadku za uprawianie polityki zgromieni zostali w równej mierze księża-kołaboranci z „Caritasu” i kapłani szykanowani za publiczną obronę działaczy „Solidarności” („ludzi pokrzywdzonych” – jak nazywa ich orędzie prymasowskie). Na skutek protestów jednych i drugich ks. prymas w ostatniej chwili polecił usunąć inkryminowany fragment orędzia. Zostało więc odczytane w kościołach w wersji autoocenzurowanej. Ponieważ jednak „korekta” przyszła za późno, w prasie – z wyjątkiem „Tygodnika Powszechnego” – ukazał się tekst integralny. Ten epizod świadczy, jak bardzo niepewnie czuje się Głowa Kościoła w Polsce, skoro – już po opublikowaniu tekstu orędzia w oficjalnym biuletynie Biura Prasowego Episkopatu – podejmuje decyzję wprowadzającą doń zmiany. W drugim przypadku mieliśmy do czynienia wręcz z podarunkiem dla Jaruzelskiego i Andropowa, tj. z potępieniem jedynie instalacji rakiet w Europie Zachodniej, a przemilczeniem uprzedniego ich zainstalowania na terenie ZSRR.

Rozumiemy, że ks. prymas nie ma łatwego zadania po takim poprzedniku jak zmarły kardynał Wyszyński, i to w sytuacji, która jest na pewno bardziej skomplikowana niż w okresie stalinowskim, kiedy kardynał Wyszyński też decydował się na niepopularne kroki, jak choćby słynny układ z władzą z 1950 roku (kontestowany zarówno przez kardynała Sapięgę, jak i przez Watykan). Należy ponadto przyjąć, że prymas ma zapewne jak najlepsze zamiary, ale niestety wykonanie mocno szwankuje. W prymasowskich wystąpieniach budzą od samego początku zastrzeżenia: brak jednoznacznych sformułowań, posługiwanie się nie raz terminologią wziętą żywcem z urzędowej propagandy i pozory schlebienia władzy. Szczególnie irytujące są niektóre jego wezwania. Kiedy nawołuje wiernych do wspólnego odmawiania modlitwy w domach rodzinnych, precyzuje: „choćby po wieczornym dzienniku telewizyjnym”. Wiadomo przecież, jak znie-

nawidzone są te programy w społeczeństwie. Ks. prymas patrzy jednak na działalność środków masowego przekazu tak, jakby chodziło o normalny kraj i normalny system.

Na te świadome czy nieświadome niedomagania jedynym remedium wydaje się wzmocnienie kolegialności biskupów, to znaczy przejęcie przewodnictwa duchowego w sprawach ogólnospołecznych i narodowych przez Radę Główną i plenarne Konferencje Episkopatu. Przypomnijmy, że w sierpniu ubiegłego roku plenarna sesja biskupów, w której ks. prymas nie uczestniczył z powodu choroby, zajęła bardzo zdecydowane, twarde stanowisko w sprawie postulatów społecznych (i do dziś dnia ten dokument jest źle widziany przez władze państwowe). W obecnym, trudnym okresie z punktu widzenia społeczno-gospodarczego na plan pierwszy wysuwają się decyzje prymasa, które mają charakter polityczny, natomiast niewątpliwie w cieniu pozostają jego osiągnięcia na planie ściśle pastoralnym. Tylko odciążenie ks. prymasa poprzez kolektywne wystąpienie biskupów może zaradzić dalszym zgrzytom, prowadzącym nie tylko do spadku autorytetu prymasa, ale także do osłabienia prestiżu Kościoła w społeczeństwie.

Pozostaje do rozstrzygnięcia, jaki jest stosunek samego papieża do tej budzącej niepokój sytuacji. Chociaż podobno jest tym bardzo zmartwiony, niewiele jednak, jak się wydaje, może wskórać, poza dobrymi radami, by tę sytuację zmienić na lepsze.

[3/1984]

REDAKCJA

Dialog

Z cyklu *Obserwatorium*

Najpierw zdelegalizowano „Solidarność”, następnie – wszystkie związki twórcze, które chciały uratować choćby ślad autonomii, ostatnio przyszła kolej na politykę wydawniczą. Dziś w szkołach zdejmują się krzyże i coraz częściej wzywa na przesłuchania księży uznanych za „ekstremistów”. Towarzyszy temu konsekwentne wzmaganie represji. Liczba więźniów politycznych, która zmalała po zniesieniu stanu wojennego, ponownie rośnie. Wydłuża się lista zakazów, których naruszenie karane jest więzieniem; aresztowanie Marka Nowakowskiego za to tylko, że jego książki ukazały się w Instytucie Literackim, jest tego wymownym przykładem. Z całą bezwzględnością prowadzi się działania zmierzające do rozbicia podziemnej „Solidarności” oraz niezależnej kultury: prasy, wydawnictw, instytucji oświatowych. Warunki w więzieniach są coraz gorsze. Znęcanie się nad więźniami przestało być czymś wyjątkowym.

W ciągu dwóch lat i trzech miesięcy ekipa gen. Jaruzelskiego nie dotrzymała żadnej obietnicy i nie ustąpiła w żadnej ważniejszej sprawie. Okazywana niekiedy powściągliwość w stosowaniu przemocy, w której niepoprawni optymiści widzieli zapowiedź zmiany kursu, za każdym razem okazywała się tylko grą na zwłokę, wyborem chwili odpowiedniej do zadania ciosu.

Dostrzegają to na swój sposób nawet ci, którzy przez długie miesiące po 13 grudnia wciąż jeszcze wierzyli w możliwość porozumienia. Dziś słowo to zostało wycofane z języka politycznego. Mówi się natomiast o dialogu. Jeśliby jednak ów „dialog” zakładać miał uznanie przez władzę jakiegoś różnego od niej i niepodporządkowanego jej wyraziciela interesów społecznych, którego opinii powinna wysłuchać, by wziąć ją pod rozwagę lub zmienić, przedstawiając własne racje – to władza przekonująco udowodniła, że takiego dialogu nie zamierza prowadzić z nikim. Zresztą gdyby zamierzała, zrobiłaby to już dawno; w ciągu minionych dwudziestu siedmiu miesięcy ani okazji po temu nie brakowało, ani chętnych. Ale umizgi, uśmiechy, zapewnienia o otwartości i deklaracje dobrej woli okazywały się za każdym razem zwodniczą przynętą. Gdy bowiem dochodziło do spotkania, władza z reguły wymagała od swych rozmówców przystania na dyktowane im warunki; odpowiedzią na opór były jednostronne decyzje niepodlegające dyskusji ani zaskarżeniu.

Również dotychczasowe rozmowy prymasa Glempa z generałem Jaruzelskim oraz posiedzenia Komisji Wspólnej Episkopatu i rządu nie są w żadnej mierze dialogiem w podanym wyżej słowa tego znaczeniu. Poza uzyskaniem zgody na podróż papieża do Kraju – co było osiągnięciem o najwyższej doniosłości – i załatwieniem niewielkiej liczby przypadków humanitarnych rozmowy te nie wywarły większego wpływu na bieg spraw publicznych. Kościół wciąż nie uzyskał statusu prawnego, o który zabiega. Nie doprowadził do utworzenia fundacji mającej popierać rolnictwo indywidualne. Nie osiągnął złagodzenia polityki represyjnej. Co ważniejsze, odrzucając te i inne propozycje Kościoła, władza odmówiła uznania w nim rzecznika interesu narodowego. Całe jej postępowanie wskazuje dowodnie, że widzi w Kościele nie partnera dialogu o sprawach dotyczących ogółu Polaków, ale partykularną instytucję uprawnioną do występowania wyłącznie we własnym imieniu. W tym sensie dialogu z Kościołem władza po 13 grudnia nawet nie zaczęła, gdyż nigdy nie wyraziła zgody na samą zasadę, która stanowi jego konieczny warunek.

Czas najwyższy wyciągnąć wreszcie wnioski z dwudziestu siedmiu miesięcy doświadczeń i uznać fakt, że perspektywa dialogu z władzami PRL jest w przewidywalnej przyszłości nierealna. Czas najwyższy porzucić marzenia o rozmowach Polaka z Polakiem, co zakłada jakąś wspólnotę interesów, i uznać fakt, że mamy do czynienia z patriotami Układu Warszawskiego, mianowanymi na zajmowane stanowiska, by zaprowadzić normalizację w rozumieniu Moskwy. Czas najwyższy przestać wierzyć, że władza musi odstąpić od polityki zapoczątkowanej nocą z 12 na 13 grudnia 1981, bo inaczej nie wyjdzie się z kryzysu, i zrozumieć, że jedynym kryzysem, z którego władza chce wyjść, jest kryzys panowania PZPR w Polsce. Wszystkie te złudzenia ciąży już nazbyt długo na umysłach pewnych środowisk opozycji, a skutki tego są coraz gorsze: tu nie wymienia się nazwy „Solidarność”, tam mówi się o niej jak o czymś bezpowrotnie minionym, a gdzie indziej dąży się wręcz do zaniechania wszelkich form oporu.

Nie znaczy to, że trzeba zaniechać rozmów z rządem. Znaczy to wszelako, że ci, którzy je prowadzą, winni jasno zdawać sobie sprawę z rzeczywistego charakteru takich rozmów, pamiętać, że nie jest to dialog partnerów zatroskanych o wspólną sprawę, ale rokowania z przeciwnikiem pozbawionym skrupułów. I znaczy to, że należy unikać wszystkiego, co nadaje takim rokowaniom pozór dialogu, pozwalając wykorzystać je jako propagandową osłonę działań represyjnych. Wszystkiego, co sprawia wrażenie aprobaty dla polityki władzy i umacniania jej autorytetu w kraju i za granicą. Nie brakło niestety deklaracji, które nie spełniały tych elementarnych warunków i wystawiały gen. Jaruzelskiemu wraz z podwładnymi świadectwa szczerej polskości i szlachetnych intencji, przyczyniając się do zwiększenia dezorientacji i osłabiając wolę oporu.

W ciągu najbliższych miesięcy takie świadectwa będą władzy szczególnie potrzebne. Dąży ona bowiem do zamknięcia pierwszej fazy normalizacji, co wymaga nie tylko zwycięstwa policyjnego, ale również sukcesu politycznego. Ta-

kim sukcesem mają stać się wybory do rad narodowych. Będą nim jednak tylko pod warunkiem dostatecznie wysokiej frekwencji i liczby oddanych ważnych głosów. Zarówno opinia publiczna, jak instancje kościelne będą zatem przedmiotem intoksykacji i nacisków, aby nie dopuścić do bojkotu wyborów przez znaczną część uprawnionych do głosowania.

Jak będzie się kształtować opinię, już wiadomo. Naprzód zaczęła krążyć w Warszawie plotka – rzecz jasna z najlepiej poinformowanych źródeł – o mającej nastąpić 22 lipca amnestii dla 7 członków kierownictwa „Solidarności” i 4 członków eks-KOR. Następnie pojawiła się jej nowa wersja, zapowiadająca amnestię dla wszystkich więźniów politycznych. Wiadomo, że w niektórych środowiskach inteligenckich daje się temu posłuch z nadzieją, że przy okazji amnestii ujawnią się działacze „Solidarności” pozostający nadal w podziemiu, co pozwoli zamknąć historię związku i otworzyć nowy rozdział „dialogu z władzą”. Instancje kościelne są nie tylko pod ciśnieniem takich pogłosek. Wolno bowiem przypuszczać, że prymasowi Glemptowi przypomniany będzie i podany za wzór kardynał Wyszyński, który w styczniu 1957 wezwał do głosowania na listę Frontu Narodowego. Pozostaje tylko wyrazić nadzieję, że różnice między gen. Jaruzelskim w roku 1984 a Gomułą w trzy miesiące po Październiku 1956 są dostatecznie uderzające, by nikt nie dał się zwieść tej fałszywej analogii.

[5/1984]

Amnestia i ciąg dalszy

Sytuacja jest tak płynna i zamazana, że można sobie pozwolić tylko na zwięzłe wypunktowanie tego, co dostatecznie wyraźne i ważne na przyszłość.

1. Ustawa amnestyjna przedstawiana jest przez władzę jako akt wielkoduszności, podyktowany poczuciem odzyskanej siły i postępiami „normalizacji”. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Amnesticę wymogły następujące czynniki: postawa społeczeństwa; postawa oskarżonych i więzionych; przetrwanie ducha „Solidarności” i jej struktur podziemnych; i – *last but not least* – sankcje amerykańskie. Co potwierdza skuteczność broni nacisku.

2. Częściowe uchylenie sankcji amerykańskich pozostawia wystarczający margines dla wywierania dalszego nacisku. Powinien on iść w kierunku powrotu PRL do Międzynarodowego Biura Pracy, naturalnie po przedyskutowaniu raportu Biura, który spowodował wystąpienie PRL; powinien postulować przywrócenie pluralizmu związkowego w duchu Porozumień Gdańskich; oraz ustalenie statusu więźniów politycznych.

3. Amnestia jest warunkowa jednostronnie, tzn. stawia warunki ze strony władzy, ale ich przestrzeganie lub nie pozostawia w praktyce amnestionowanemu, którzy się do niczego nie zobowiązali. Jest mało prawdopodobne, by wśród amnestionowanych znaleźli się ludzie gotowi do czasowego wycofania się z wszelkiej działalności politycznej. Należy się zatem liczyć z ponownymi aresztowaniami.

4. Ujawnianie się podziemnych działaczy „Solidarności” miałoby się odbywać za cenę donosicielstwa, czyli jest całkowicie niewyobrażalne. Zresztą TKK już następnego dnia po ogłoszeniu amnestii podjęła decyzję utrzymania podziemia. Utrzymania i przypuszczalnie rozbudowy, co do której wolno nam tylko wysunąć pewne sugestie. Wydaje nam się, że – zachowując symboliczną i w jakiejś skromnie realistycznej mierze możliwą rolę koordynacyjną TKK – trzeba się pogodzić z procesami decentralizacji i rosnącej autonomii poszczególnych odcinków podziemia; innymi słowy, ze wzrostem i dojrzewaniem pluralizmu politycznego.

5. Jan Paweł II powiedział 25 lipca na audiencji generalnej: „Pragnę, aby ogłoszona w Polsce amnestia stała się elementem odnowy społecznej, według

zasad wypracowanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980 roku i zawartych w Porozumieniach (Gdańskich)". Słowa papieża będą, miejmy nadzieję, wyprostowaniem linii Kościoła, która tyle ostatnio budziła wątpliwości i niepokoju. Piórem jednego ze swych autorów krajowych „Kultura” przestrzegała Kościół przed niebezpieczeństwem „stawania ponad społeczeństwem, gdy posłannictwem tej bardzo starej a młodej instytucji jest życie wewnątrz społeczeństwa”. Krótkotrwały cień tego niebezpieczeństwa zdaje się na szczęście rozplywać.

6. Pozostaje zatem kontynuacja inteligentnej i wytrwałej presji społecznej. W imię czego? Słysz się często w odpowiedzi: w imię dialogu z władzą, dla uniknięcia interwencji sowieckiej. Nie jesteśmy przeciwnikami dialogu, ale musi on być owocem naszej siły; tymczasem zaś bezustanne wołanie o dialog jest monologiem, bez żadnego echa z tamtej strony. Zdajemy sobie doskonale sprawę z naszej pozycji geopolitycznej, ale widmo sowieckiej interwencji zbrojnej nie może być wiecznym straszakiem, najlepszą receptą władców PRL na utrzymanie Polaków w stanie paraliżu. Mądry pragmatyzm nie oznacza przekreślenia wyobraźni politycznej, a z wyobraźni politycznej Polaków nie może się wstydlawie ulotnić słowo „Niepodległość”.

7. Jedną z największych zdobyczy Sierpnia była więź inteligencji z robotnikami. Trzeba ją za wszelką cenę utrzymać i, w miarę możliwości, wzmacniać. Dlatego z ogromnym niepokojem śledzimy objawy, chwilowo nieliczne, lecz nie mniej przez to groźne, ponownego zamykania się inteligencji we własnych opłotkach. Dochodzą nas też słuchy, że rzecznicy jakiejś osobliwej „strategii” głoszą konieczność przyhamowania czy ograniczenia duszpasterstwa robotniczego. Byłby to więcej niż błąd; byłoby to podcięcie głównej gałęzi tej „odnowy społecznej”, o której w trzy dni po ogłoszeniu amnestii mówił Jan Paweł II.

8. Zjawiskiem w pełni zrozumiałym i uzasadnionym było stawianie „Solidarności” na pomniku, uwypuklanie jej zasług i dorobku, w okresie gdy znajdowała się pod ustawicznym i zmasowanym ostrzałem propagandowej artylerii stanu wojennego. Teraz, gdy widać już, że spełzły prawie na niczym wysiłki zohydzenia „Solidarności” w duszach i umysłach Polaków (zwłaszcza młodzieży), możemy sobie pozwolić na przejście od przedwczesnej trochę legendy do spokojnej i rzeczowej oceny, do krytycznego rachunku zysków i strat, osiągnięć i pomyłek. Nie w celu masochistycznego rozdrapywania i jętrzenia ukrywanych dotąd ran, ale z myślą o przyszłości korzystającej z doświadczeń i nauk przeszłości.

9. Wciąż brak koncepcji ekonomicznej wśród przedstawicieli opozycji demokratycznej, wciąż w prasie pozacenzuralnej zagadnienia gospodarcze traktowane są po macoszemu. Nierzadko uczucie *Schadenfreude* wobec symptomów katastrofy zastępuje próbę znalezienia środków zaradczych. Dotyczy to szczególnie wsi. Sprawa funduszu dla rolnictwa ślimaczy się z wielu powodów; jednym z nich, i wcale nie drugorzędnym, jest atmosfera zamkniętego kręgu „wtajemniczonych”, niechętnych wszelkiej dyskusji publicznej.

10. Psychologicznie amnestia odczuwana jest w Kraju jako pewien zwrot; reakcja zrozumiała na widok wychodzących z więzienia ludzi. Politycznie rzecz sprowadza się do pytania, jak potrafimy zużytkować ciąg dalszy.

11 sierpnia 1984

[9/1984]

Obserwatorium

Mord dokonany na księdzu Jerzym Popiełuszcze wstrząsnął opinią polską bardziej niż jakiekolwiek wydarzenie poza delegacją „Solidarności” czy zgola wprowadzeniem stanu wojennego. Albowiem dostrzegła ona natychmiast, że śmierć męczeńską poniósł w jego osobie nie tylko człowiek, obywatel i kapłan, ale również – jeśli nie przede wszystkim – symbol. Symbol Kościoła jako ostatniego azylu wolności tolerowanego jeszcze przez władzę. Symbol „Solidarności”: sprawy i ludzi. Symbol Polski odpornej i wytrwałej, natchnionej pamięcią, wiernej nadziei. Takim symbolem ksiądz Popiełuszko stał się dzięki swej żarliwości i ofiarności. I ponieważ uczyniła go nim historia. Jakoż zamordowanie 13 grudnia 1981 praw obywatelskich – częściowo odzyskanych w ciągu szesnastu poprzednich miesięcy – zamordowanie 8 października 1982 swobód związkowych wystrajkowanych latem 1980 i zamordowanie 19 października 1984 wolnego słowa, którego ksiądz Jerzy był uosobieniem – to trzy zbrodnie podrytkowane tym samym zamysłem bezwzględnej łamania wszystkich postaw niezależnych i wykonane tą samą ręką.

Ledwo przypuszczenie, że ksiądz Popiełuszko został zamordowany zaczęło graniczyć z pewnością, władza skierowała cały swój wysiłek na przekonanie opinii w kraju i za granicą o wyjątkowości tego zdarzenia. Jako współautor najnowszych tez Biura Politycznego, generał Jaruzelski uznał dopiero co część kleru polskiego za awangardę kontrrewolucji, czym ideologicznie usprawiedliwił działania oddanych towarzyszy, powołanych do obrony ustroju. Teraz ujrzał nagle w zamordowaniu księdza Popiełuszki akt bandytyzmu i prowokację polityczną, wymierzoną w politykę rządu. Przechodząc z dnia na dzień od tonu pomniejszającego znaczenie sprawy do świętego oburzenia, zawtórował mu Jerzy Urban, główny organizator długotrwałej nagonki na księdza Popiełuskę i innych przedstawicieli „klerykalizmu politycznego”. Komitet Centralny PZPR ogłosił oświadczenie, w którym potępił zbrodnię i jej sprawców, nie zapominając jednak o wyrażeniu pełnego zaufania służbie bezpieczeństwa. Minister Spraw Wewnętrznych osobiście poinformował widzów o stanie śledztwa. Wszystkie te gesty miały wytworzyć wrażenie, jakoby zamordowanie księdza Popiełuszki było prywatną inicjatywą kilku wykołejonych bezpiekniaków, nie

zaś tym, czym jest w rzeczywistości: kolejnym przejawem zbrodniczego rozpasa-
nia SB, którego ofiarami padli m.in. Włosik, Bartoszcze i Przemysk, a zarazem
konsekwencją polityki prowadzonej przez generała Jaruzelskiego od 13 grudnia
1981. Polityki, która pozwala wprawdzie budować kościoły, zwiększać nakłady
prasy katolickiej i zapewniać przywileje dostojnikom Kościoła, ale w zamian
wymaga uzyskania wyraźnego poparcia Kościoła dla poczynań władzy,
a w pierwszym rzędzie – do rozbicia więzi między znacznymi odłami a śro-
dowiskami niezależnymi. Właśnie tę więź uosabiał ksiądz Popiełuszko i właśnie
dlatego padł ofiarą kapturowego wyroku.

W prasie zachodniej nie brakło inspirowanych przez „czarną propagandę”
PRL spekulacji na temat walk frakcyjnych w kierownictwie partyjnym, które
główną ofiarę morderstwa dokonanego na księdzu Popiełuszcze widziały w gene-
rale Jaruzelskim i sugerowały nieomal, by to jemu przesłać kondolencje z tego
powodu, ciesząc się zarazem, że rozgromił spisek zwrócony przeciw sobie – ja-
ko rzecznikowi polskich interesów narodowych, obrońcy praworządności
i Kościoła. Przyczyniły się do tego, niestety, takie wypowiedzi, jak stwierdzenie
Lecha Wałęsy, że zamordowanie księdza Popiełuszki uderza we wszystkich Po-
laków, od robotnika do premiera, co ustanawiało swego rodzaju wspólnotę ża-
łoby między rzeczywistymi ofiarami zbrodni a pierwszym z jej moralnych i poli-
tycznych winowajców. Jak gdyby po bez mała trzech latach od wprowadzenia
stanu wojennego, osoba i polityka generała Jaruzelskiego pozostawiały jeszcze
miejsce dla jakichkolwiek złudzeń. Zapewne, przywódcy „Solidarności” postą-
pili słusznie, wzywając do spokoju na czas żałoby i przeciwdziałając reakcjom,
które nic dobrego przynieść nie mogły. Godny, zdyscyplinowany, pokojowy,
ale wyrażający jakąś niezłomną determinację, pogrzeb księdza Popiełuszki oka-
zał się o wiele większym sukcesem „Solidarności”, niż by nim było kilka chaotycz-
nych manifestacji połączonych ze starciami ulicznymi. Między dążeniem do za-
chowania spokoju a braniem strony generała Jaruzelskiego w konflikcie przeciw-
stawiającym go rzekomo innym hierarchom PZPR jest jednak zasadnicza różni-
ca. Równie wielka jak ta, która zachodzi między deklarowaniem gotowości do
dialogu, tzn. do rozmowy równego z równym, a oświadczeniami, które mogą
być poczytywane za wyraz ustępliwości i skłonności do przyjęcia każdych wa-
runków, byle tylko usiąść wreszcie do jednego stołu z przedstawicielami władzy.
Niektóre wypowiedzi czołowych postaci opozycji nie były dostatecznie wyraźne
pod tym względem.

22 października, gdy ukazał się pierwszy oficjalny komunikat o porwaniu
księdza Popiełuszki, kardynał Glemp wyjechał do NRD. Wizyta była zaplano-
wana od dawna, zdawałoby się jednak, że bezprecedensowy w Polsce fakt por-
wania księdza – nawet gdyby nie miał od początku oczywistego charakteru poli-
cyjno-politycznego – uzasadniał wystarczająco przełożenie jej na inną datę. Po
delegalizacji „Solidarności” przez Sejm kardynał Glemp odwołał swój wyjazd do
Stanów Zjednoczonych. Tym razem stało się inaczej, jak gdyby nie zdawał sobie

sprawy ze ścisłego pokrewieństwa obu wydarzeń i z zajmowania przez nie po-
dobnego miejsca w zbiorowych odczuciach i wyobrażeniach Polaków. Minęły
trzy dni. Na temat księdza Popiełuszki wypowiedzieli się biskupi sufragani war-
szawscy, dając wyraz zatrwożeniu o jego losy. Zabrał głos papież. Milczał tylko
arcybiskup warszawski, prymas Polski, zajęty spotykaniem się w NRD z tamtej-
szymi dostojnikami państwowymi i z ambasadorem PRL. Dopiero 25 paździer-
nika Biuro Prasowe Episkopatu Polski ogłosiło odezwę prymasa. Komentarz jest
tu zbyteczny. Ale niepodobna powstrzymać się od pytań.

W dniach między ogłoszeniem wiadomości o porwaniu księdza Popiełuszki
a jego pogrzebem można było przypuszczać, że zarówno w kołach opozycji, jak
w Kościele sporo osób uważa generała Jaruzelskiego za szczerego Polaka-katoli-
ka, który pobił tylko i którym męczeńska śmierć kapłana wstrząśnie tak, że
skłoni go do zmiany linii politycznej, a w pierwszym rzędzie – do podjęcia dia-
logu z „Solidarnością”. Jeśli tak jest istotnie, to są podstawy do głębokiego nie-
pokoju. Nie tylko dlatego, że taki pogląd na generała Jaruzelskiego i jego ekipę
jest jawnie fałszywy, jak o tym świadczą – po raz kolejny – najnowsze decyzje
mające zapobiec „rozprzestrzenianiu się kontrrewolucji” i ataki Jerzego Urbana
na księdza Jankowskiego, oskarżanego, jak ksiądz Popiełuszko, o „klerykalizm
polityczny”. Niepokój bierze się również z faktu, że złudzenia co do generała
Jaruzelskiego prowadzą nieuchronnie do konfliktu między tymi, którzy im ule-
gają, a tymi wszystkimi, którzy uważają, że nie ma żadnej perspektywy porozu-
mienia z władzą. Konflikt ten zarysował się zresztą ostatnio, gdy jedni nawoły-
wali do spokoju, a inni do strajku. W nadchodzącym czasie, gdy represje wobec
opozycji i wobec działalności niezależnej we wszystkich jej postaciach staną się
na pewno bardziej dokuczliwe niż przez ubiegłe trzy miesiące, pozbycie się wre-
szcie złudzeń co do zamiarów władzy – to konieczny warunek utrzymania sku-
tecznej na dłuższą metę działalności politycznej i kulturalnej.

[12/1984]

Obserwatorium

Przypadki stosowania przemocy fizycznej wobec księży, ostatnio w Krakowie; prowadzona przez wszystkie ogniwa partyjne i całą prasę oficjalną kampania przeciw „garstce polityków w sutannach” czy „przedstawicielom wojującego, nietolerancyjnego kleru”, do którego zaliczono obecnie również papieża; przygotowywanie przez rząd posunięć zmierzających do uniemożliwienia parafiom i diecezjom działalności kulturalnej i społecznej oraz pracy z młodzieżą; ograniczenie przydziałów papieru dla prasy katolickiej; zagrożenie „Więzi” i „Znaku”: polityka dobrych stosunków z Kościołem zapoczątkowana zimą 1978 roku dobiegła końca.

Ta zasadnicza zmiana nastawienia władz PRL zarysowała się już ubiegłej jesieni w tezach Biura Politycznego na XVII Plenum KC PZPR. Zamordowanie księdza Jerzego Popiełuszki przez trzech oficerów MSW, z przyzwolenia co najmniej kilku innych, zmusiło jednak kierownictwo partyjne do przyhamowania realizacji nowego kursu, by uniknąć oskarżenia o bezpośrednią odpowiedzialność za zbrodnię. Śledztwem w tej sprawie i procesem zabójców zapłacono zatem za uratowanie deklamacji o porozumieniu i o szacunku dla praworządności przed ostateczną kompromitacją zarówno w oczach dyplomacji zachodniej, jak i w samym kraju. Albowiem, jakkolwiek wydaje się to zdumiewające, urzędowa retoryka pozostała w jakiejś mierze wiarygodna nawet dla niektórych przywódców „Solidarności”, działaczy opozycji i przedstawicieli hierarchii kościelnej. Pokazały to wymownie ich reakcje na potępienie przez władzę morderców księdza Popiełuszki. Dopiero proces toruński odebrał – acz, jak zobaczymy, nie wszystkim – żywione dotąd złudzenia, gdy stał się procesem samej ofiary, a wraz z nią – kilku członków Episkopatu i księży. Uwerturą narastającej odąd *crescendo* kampanii antykościelnej.

Intencje, jakie przyświecają przy tym kierownictwu partyjnemu, nie są tajemnicą. Ich znamiennym przejawem jest zaatakowanie papieża jako wykonawcy antypolskiej rzekomo polityki prezydenta Reagana, uzależnionego nadto od Episkopatu zachodnoniemieckiego, który ma reprezentować w Watykanie kardynał Ratzinger, „syn bawarskiego żandarma”. Czegoś podobnego nie czytaliśmy chyba w prasie PRL od pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Nic dziwnego:

właśnie owe lata propaganda partyjna wynosi przecież do godności epoki wzorcowej pod wszystkimi niemal względami i szuka w nich natchnienia do różnych inicjatyw, mających pozwolić na „wyjście z kryzysu” – nie kryzysu gospodarki polskiej, rzecz jasna, ale kryzysu władzy PZPR. Najnowszym tego przykładem były obchody trzydziestej piątej rocznicy „porozumienia” zawartego w imieniu rządu przez trzech prominentów PZPR z przedstawicielami Episkopatu Polski. Prezes Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego oświadczył z tej okazji m.in.:

Miejsce katolicyzmu, chrześcijaństwa, Kościoła w socjalizmie kształtować trzeba w oparciu o ducha i generalną linię porozumienia z 1950 roku [...] w perspektywie zarówno dotychczasowego dorobku w tej dziedzinie, jak i zadań, które stoją przed nami [...].

Ładna to perspektywa. Rok przed zawarciem „porozumienia” wypełniły posunięcia władz ograniczające zakres działalności Kościoła – m.in. etatyzacja „Caritasu” i utworzenie – aby rozbić jedność kleru – ruchu „księży patriotów”. Zaś lata 1950–1953 stały pod znakiem aresztowań duchownych, którzy nie chcieli uczestniczyć w tej ponurej farsie uniemożliwiania działalności duszpasterskiej, dekretu o obsadzaniu stanowisk kościelnych, procesu biskupa Kaczmarka i uwięzienia kardynała Wyszyńskiego. Do tych stalinowskich tradycji odwołuje się zatem obecna polityka państwa wobec Kościoła.

Ale warunki są dziś całkiem inne. Kościół ma siłę i autorytet większe niż kiedykolwiek, a PZPR jest słabsza, niż była. Większe niż w przeszłości jest też uzależnienie gospodarcze od Zachodu i dyktowana tym konieczność liczenia się w pewnym zakresie z opinią międzynarodową. Wszystko to nie powstrzyma zapewne władzy od uderzenia w Kościół. Sprawia jednak, że uderzenie takie – jeśli nastąpi – będzie inne niż to z lat pięćdziesiątych. Mało prawdopodobne, by było atakiem czołowym. Oczekiwać należy raczej oskrzydlenia, wypierania z zajmowanego obszaru, ograniczania zakresu działań niezakazanych prawnie, dzielenia na dobrych i złych, izolowania „wysp klerikalnego awanturnictwa” – przy akompaniamencie nieustannego zaklinania się na zasady konstytucyjne, wolność sumienia i wyznania oraz poszanowanie swobód religijnych.

Władza marzy o odtworzeniu stalinowskiego modelu stosunków między państwem a Kościołem. Ale w swym realizmie zadowoliliby się zapewne, przynajmniej na początek, wymuszeniem na Episkopacie ustępstw, które doraźnie uważa za najważniejsze, by później postawić mu nowe ultimatum. Odniesć zwycięstwo raczej groźbą niż siłą, przekonać przeciwnika, że jest się gotowym użyć środków ostatecznych, a zarazem skłonny do porozumienia, pokonać go przeto i zdeorientować – ten zabieg, konsekwentnie stosowany przez ekipę generała Jaruzelskiego, pozwalał jej dotąd osiągnąć założone cele przy względnie oszczędnym gospodarowaniu przemocą, wprawdzie wolniej, niż gdyby działała szturmowo, ale za to sprowadzając do minimum ryzyko eksplozji. Obecnie próbuje się powtórzyć to wobec Kościoła.

Sądząc po natychmiastowej reakcji kardynała Macharskiego na torturowanie księdza Zalewskiego oraz po replice „Adama Białego” na ataki przeciw papieżowi – udostępnionej zachodnim agencjom prasowym w obawie, że zostanie zdjęta przez cenzurę – Episkopat Polski zdaje się rozumieć, że jedynie stanowcza obrona własnych pozycji może zmusić władzę do zawarcia rozejmu. I że nie zakulisowe przetargi, nie spotkania kardynała Glempa z generałem Jaruzelskim – do czego nawołuje PRON – ale tylko pełna mobilizacja opinii krajowej i międzynarodowej może pomóc Kościołowi polskiemu w obronie niezależności, jaką zdobył po roku 1956, a zwłaszcza w okresie minionego dziesięciolecia.

„Narastające zniecierpliwienie” władz – termin generała Jaruzelskiego – uzewnętrzniło się jednak nie tylko w rozpętaniu walki z Kościołem. Jak stwierdza tenże autor:

Jeszcze wiele odcinków naszego życia społecznego i gospodarczego, naukowego i kulturalnego wymaga uzdrowienia. Będziemy je leczyć. Jak wiadomo, nie nadużywamy leczenia metodą operacyjną. Chcielibyśmy jak najmniej z niej korzystać. Oferta porozumienia – na gruncie nadrzędnych celów narodu i socjalistycznego państwa – jest wciąż aktualna. Gdy jednak nie będzie doceniana nasza cierpliwość, dobra wola, gdy będą powstawały czy narastały szkody i straty, nie zawahamy się przed zaostrzeniem niezbędnych praworządnych decyzji.

Stosuje się to przede wszystkim do szkolnictwa wyższego, które zazna wkrótce rygorów nowej ustawy. Będzie ona istotnym regresem nie tylko w stosunku do ustawy z 1982 roku, przygotowanej w jej zasadniczym zrębie w okresie „Solidarności”, ale nawet w porównaniu ze stanem wcześniejszym, gdyż wprowadzi niczym już nieograniczoną dyktaturę instancji partyjnych i administracji. Ale groźby i szantaże generała Jaruzelskiego stosują się również do instytutów PAN, wydawnictw, teatrów – do wszystkiego, co zachowało jeszcze jakąś, choćby szczątkową, autonomię. Walka z Kościołem jest więc tylko odcinkiem – acz na pewno najważniejszym – wojny ze społeczeństwem, która weszła obecnie w nową fazę.

Od 13 grudnia 1981 roku głównym celem władzy było zniszczenie „Solidarności” i związanych z nią środowisk inteligenckich. Kościół usiłowano zneutralizować lub zgłoła przeciwstawić podziemiu. „Solidarność” nie przestała jednak istnieć ani cieszyć się autorytetem społecznym – dowodem sukcesu apelu o bojkot wyborów do Rad Narodowych – choć jako organizacja uległa znacznemu osłabieniu. Uczenie się nielegalnej działalności związkowej, konieczny warunek przyszłego odrodzenia, przebiega powoli, a niekiedy – z oporami, co sprawia, że w wielu przedsiębiorstwach struktury „Solidarności” zamarły. Ale nadal istnieją i działają rozliczne instytucje podziemne: TKK, władze niektórych regionów, wydawnictwa i czasopisma poza cenzurą, niezależna oświata, kultura i nauka, organizacje polityczne. A choć część z nich nie występuje pod szyldem „Solidarności”, wszystkie pospołu należą do ruchu społecznego, który bez niej nie mógłby ani zaistnieć, ani utrzymać się, i którego jest ona nadal najważniejszym składnikiem.

Jeśli obecnie władze zrezygnowały ze starań o neutralizację Kościoła, to przede wszystkim dlatego, że nie powiodły się próby skłócenia go z „Solidarnością” i uczynienia zeń podpory reżimu. Ale również dlatego, że osłabienie „Solidarności” pozwala skończyć z ubieganiem się o jego względy. Spełniając marzenia wszystkich Grzegorzów Piotrowskich w SB i w PZPR, można więc wreszcie przystąpić do pustoszenia ostatniego obszaru, gdzie działalność kulturalna i społeczna prowadzona jest w sposób zarazem jawny i niezależny. I do tworzenia przeto warunków do przywrócenia również w tej dziedzinie „kierowniczej roli”, czyli monopolistycznej pozycji PZPR, przywróconej w ruchu zawodowym po delegalizacji „Solidarności”. Toteż ofiarami napaści są zwłaszcza ci wszyscy, którzy – za przykładem księdza Popieluszki – głoszą i praktykują na co dzień społeczną naukę Kościoła. Jest nią też, co pokazały niedawne enuncjacje prasowe, sama ta nauka w tej mierze, w jakiej stanowi podstawę do rewindykowania praw człowieka jako pojedynczej osoby i jako uczestnika działań zbiorowych. Walka z Kościołem jest więc politycznym i ideologicznym przedłużeniem walki prowadzonej od grudnia przeciw „Solidarności” głównie środkami administracyjnymi i policyjnymi, przy czym w obu przypadkach sięga się często po metody najwyczajniej gangsterskie.

Raport Komitetu Helsińskiego za okres od września 1984 do lutego 1985 przytacza fakty porwania, zabójstw w niewyjaśnionych okolicznościach, pobicie przez „nieznanych sprawców”, znęcania się podczas przesłuchań nad aresztowanymi, nieludzkiego i poniżającego traktowania więźniów, odmów zatrudnienia. Raport wymienia też ok. 90 nazwisk więźniów politycznych. Dziś jest ich już ponad 100. W początkach marca aresztowano Leszka Moczulskiego i kilka innych osób oskarżonych o kierowanie KPN. Pod koniec miesiąca do Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie wpłynął akt oskarżenia przeciw Edmundowi Bałuce i Janowi Kosteckiemu, którym zarzuca się, że między 30 listopada 1984 a lutym 1985 kierowali regionalnym społecznym Komitetem Obrony Praworządności Regionu Pomorze Zachodnie. Zakończono też śledztwo w sprawie Władysława Frasyńki, Bogdana Lisa i Adama Michnika, aresztowanych 15 lutego podczas spotkania z Lechem Wałęsą. Proces zacznie się zapewne w najbliższych tygodniach. Oskarżonym grozi wyrok do trzech lat więzienia.

W tym pogarszającym się szybko klimacie politycznym szczególnie niepokój budzą fakty, które świadczą o utrzymywaniu się w niektórych środowiskach inteligentkich złudzeń co do polityki władzy oraz o narastającej rozterce i dezorientacji. Wzięty z osobna, żaden z nich nie jest bardzo ważny. Razem składają się jednak na migawkowe zdjęcie stanu umysłów. Oto dwaj wybitni historycy publikują artykuły w „Polityce”; w ich treści nie ma wprawdzie nic zdrożnego, ale samo korzystanie z tych łamów coś przecież znaczy. Oto artyści udają się na przyjęcie do ministra kultury, gdzie zastają generała Jaruzelskiego, po czym ich nazwiska ogłasza się w prasie, a zdjęcia z generałem pokazuje w telewizji. Oto znany publicysta składa wizyty Jerzemu Urbanowi, by załatwić legalizację pis-

ma, które przed grudniem ukazywało się poza cenzurą. Tu i ówdzie – a mowa, rzecz jasna, o środowiskach opozycyjnych – grzebie się „Solidarność” bądź w imię werbalnego radykalizmu, bądź w ramach „budowania centrum”, ale zawsze – bez zastanowienia się nad konsekwencjami. Gdzie indziej głosi się konieczność zerwania wreszcie z „opozycyjnym betonem” i podjęcia „działań pozytywnych”, które miałyby polegać na przykład na zgłoszeniu, za zgodą władz, „niezależnych” (!) kandydatów na posłów w najbliższych wyborach do Sejmu.

Sytuacja gospodarcza Polski jest rozpaczliwa. Zacołanie cywilizacyjne pogłębia się z miesiąca na miesiąc, grożąc w perspektywie katastrofą ekologiczną na wielką skalę, spowodowaną zanieczyszczeniem wody lub powietrza, oraz epidemią – następstwem niewiarygodnych wręcz warunków sanitarnych. Brak papieru powoduje drastyczne cięcia w planach wydawniczych – ale nie kosztem propagandy – co wraz z wieloletnim zaniedbaniem poligrafii grozi katastrofą w kulturze. Powszechne jest poczucie, że żyje się w kraju, w którym materialne podstawy bytowania zbiorowego rozpada się, rozsypują, osuwają w nicość. W kraju, który zostaje w tyle nie tylko dlatego, że inne idą do przodu, ale przede wszystkim dlatego, że jest ciągnięty wstecz. Zrozumiała jest zatem narastająca wśród wszystkich, którzy myślą odpowiedzialnie o przyszłości narodu, świadomość, że tak dłużej być nie może i że trzeba coś zrobić, póki jeszcze nie jest za późno.

Ktokolwiek pragnie zająć się konkretną pracą społeczną, a nie chce poprzestać na zbieraniu butelek po wodzie brzozonej w krzakach koło domu – jak pewien „opozycjonista” z PRON – staje jednak wobec dramatycznego dylematu. Wszystko bowiem dzieje się w Polsce tak, jak gdyby władza spokojnie patrzyła na walenie się kraju, licząc na to, że odruch samozachowawczy zmusi prędej czy później wpływowe odłamy społeczeństwa do podjęcia przeciwdziałań. I że wtedy PZPR będzie mogła zdyskontować ten odruch, czyniąc zeń podstawę uznania swej „kierowniczej roli” i aprobaty prowadzonej przez siebie polityki. Tak właśnie jest w przypadkach indywidualnych: za prawo robienia rzeczy niezbędnych dla gospodarki, kultury czy nauki władza każe sobie płacić ustępstwami. Decyzja o tym, czy w takim albo innym przypadku należy je czynić i gdzie każdorazowo leży granica, której nie wolno przekroczyć, podlega wyłącznie osądowi indywidualnego sumienia i kompetentnej opinii. Nikt nie ma prawa, bez wnikliwego zbadania stanu faktycznego, oskarżać o kolaborację kogoś, kto uczestniczy w oficjalnej imprezie, ponieważ w istniejących warunkach zmusza go do tego pełniona funkcja, nieodzowna z punktu widzenia naczelnych interesów narodowych i wykonywana w sposób z nimi zgodny. Albo kogoś, kto nie wypowiada się na tematy polityczne, by nie narazić na szwank instytucji, za którą współodpowiada, a której sprawność ma istotne znaczenie dla dobra ogółu.

Nie znaczy to wszelako, jakoby nie zachodziła ostra i dla każdego uchwytna różnica między tymi, którzy zawierają kompromisy z władzą w sprawach higieny publicznej, zanieczyszczenia środowiska, komunikacji zbiorowej, oświaty itp., a tymi, którzy proponują rezygnację z walki o pluralizm związkowy. Mię-

dzy tymi, którzy usiłują poprawić, choćby trochę, warunki życia codziennego, a tymi, którzy snują wywody o „budowie centrum” czy o potrzebie posiadania „reprezentacji” w Sejmie. Między tymi, którzy nie zajmują publicznie stanowiska w sprawach politycznych, a tymi, którzy publicznie występują w obronie władzy, podając się na domiar złego za opozycjonistów. Między tymi, którzy, choć sami nie uczestniczą w działalności niezależnej, uznają prawo innych do prowadzenia jej, a tymi, którzy wzywają, by wreszcie z nią skończyć. Słowem: między tymi, którzy podnoszą poziom wymagań moralnych, ponieważ pozostają wierni zasadom, a tymi, którzy ten poziom obniżają, gdyż zastępują zasady uznaniem „nadrzędnych celów socjalistycznego państwa”. Można wysławić to inaczej: lokalne kompromisy z władzą, dotyczące spraw życiowo ważnych dla zbiorowości, są usprawiedliwione, jak wszelkie działania w obronie koniecznej; na jednoznaczne potępienie zasługuje natomiast wszystko, co jest wyrazem pogodzenia się z politycznym dyktatem PZPR.

[5/1985]

Obserwatorium

Wojna wchodzi w nową fazę. 1 lipca bieżącego roku zaczną obowiązywać przepisy uchwalone przez Sejm 10 maja. Wraz z nimi zapanuje w Polsce stan prawny (!) godny kraju uznanego za „niezlomne ogniwo” Układu Warszawskiego. Dwa lata w trybie przyspieszonym za sam udział w nielegalnej manifestacji; więzienie za uczestnictwo w „nielegalnym zebraniu w mieszkaniu prywatnym”; orzekanie „ograniczenia wolności” przez jednego sędziego na podstawie notatki milicyjnej pod nieobecność oskarżonego i obrońcy; zakaz wykonywania zawodu jako kara dodatkowa; rozszerzone stosowanie środka zapobiegawczego; niemożliwość zawieszenia odbywania kary w przypadku recydywy; podniesienie górnego wymiaru grzywny do 5 milionów złotych, przy czym wykroczeniem jest płacenie grzywny za kogoś, kto nie należy do najbliższej rodziny – oto najważniejsze posunięcia wymierzone w działalność niezależną i mające rozbić – wraz z „Solidarnością” – codzienną ludzką solidarność, stłumić strachem jakiegokolwiek zbiorowe wystąpienie, a nawet zespołową refleksję nad sprawami publicznymi, aby zmienić naród w zbiór odosobnionych jednostek, poddanych nieograniczonej samowoli aparatu partyjno-represyjnego.

Generał Kiszczał udawał dotąd dżentelmena, dbał o przychylną szeptaną propagandę, zapraszał na salony MSW, jak gdyby młodość spędził nie w kontrwywiadzie, ale w angielskiej *public school*. 10 maja zza tej maski wyłoniła się twarz sowieckiego stupajki, właściwego następcy Radkiewicza, ministra bezpieczeństwa publicznego w najczarniejszych latach PRL. Zarówno słownictwo generała, jak zawartość jego przemówienia w Sejmie pochodzą bowiem wprost z tamtej epoki. Twierdzenie, że w miarę poszerzania się zakresu stabilizacji „utrzymuje się, a nawet zaostrza stan zagrożenia kluczowych interesów państwa” – to przecież tylko odświeżenie znanej stalinowskiej teorii „zaostrzającej się walki klasowej”, która nieuchronnie prowadzi do utożsamienia wszelkiej opozycji z obcą agenturą działającą wyłącznie z niskich pobudek. Toteż znaczną część generalskiej mowy wypełniło znieważanie działaczy opozycji demokratycznej, niezależnego ruchu związkowego i niezależnej kultury upiękkszane akcentami antysemitycznymi, wycieczkami osobistymi, pomówieniami, szantażowaniem rzekomą wszechwiedzą bezpieki i uzupełnione konstruktywnymi obietnicami,

takimi jak na przykład apel o odbieranie mieszkań tym, którzy wykorzystują je dla „celów sprzecznych z prawem”.

Generał Jaruzelski od dawna udaje patriotę – wprawdzie nie z taką gracją jak jego policmajster-dżentelmen, ale nie bez pewnych sukcesów. Jakoż wielu zapomniało, że to on przecież podpisał komunikat, w którym zobowiązał się wobec władz sowieckich do „odwrócenia biegu wydarzeń”. Nie wszyscy też przeczytali z należytą uwagą przemówienie, w którym oświadczył, że Układ Warszawski „oznacza współcześnie uzyskanie sojuszniczych gwarancji dla niepodległej polskiej państwowości, dla sprawiedliwych granic Polski Ludowej i naszych własnych socjalistycznych rozwiązań wewnętrznych”. Generał nie wyjaśnił, na czym polega owa niepodległa rzekomo państwowość, która nie może się obyć bez takich gwarancji. A granice? Czyżby ich obecny zarys mógł ulec zmianie, gdyby tylko „sojusznik” uznał, że mu dłużej nie odpowiada? I co mają znaczyć gwarancje dla „socjalistycznych rozwiązań wewnętrznych”, podobno przecież „naszych własnych”, jeśli nie zapowiedź niechybnej sowieckiej interwencji, gdyby tylko Polacy zmienili narzucone im instytucje?

Zarówno w przemówieniu sejmowym generała Kiszczaka, jak podczas ostatnich konferencji prasowych rzecznika rządu o Kościele mówiło się tonem spokojnym i rzeczowym. Krytykowano „imprezy, w trakcie których prezentowane są treści o wyraźnie jętrzącej antypaństwowej wymowie” bez napastliwości jednak i bez inwektyw, które zdobyły podczas minionych miesięcy łamy prasy oficjalnej. Myliłby się jednak ten, kto by upatrywał w tym jakąś zmianę polityki wobec Kościoła, zapoczątkowaną jesienią ubiegłego roku. Od 13 grudnia 1981 każde brutalne uderzenie w działalność niezależną idzie w parze z koncesjami dla Kościoła, a przynajmniej – z czasowym wyciszeniem antykościelnej kampanii propagandowej. Obecnie dzieje się tak samo. Nie sposób nawet wykluczyć, że zrobi się niebawem jakiś gest, na przykład wyrazi wreszcie zgodę na kościelny Fundusz Pomocy dla Rolnictwa, zwłaszcza że już wiadomo, iż w następstwie trzyletniej obstrukcji stosowanej przez władze nie uzyska on kwot, na jakie mógł pierwotnie liczyć.

Najważniejszym celem panujących w PRL strategów jest teraz wygranie wyborów do Sejmu, tzn. spowodowanie, by można było – zachowując pozory prawdopodobieństwa – oświadczyć w komunikacie Państwowej Komisji Wyborczej, że absencja nie przekroczyła 5%. Temu celowi służy ustawa uchwalona przez Sejm 10 maja. I w imię tego celu władza może poczynić jakieś ustępstwa, zresztą bardziej pozorne niż rzeczywiste, na rzecz Kościoła lub środowisk katolickich. Zaiste, blisko stuprocentowe uczestnictwo w wyborach jest w tym roku warte mszy. Władza boi się masowego bojkotu, gdyż jest on jedynym wymiernym wskaźnikiem siły oddziaływania opozycji, a zarazem widomym świadectwem, że Polska wciąż jeszcze nie została znormalizowana. Toteż w miarę zbliżania się do wyborów rosnąć będzie presja na Episkopat, by wezwał do udziału w nich, a przynajmniej – nie zajął postawy negatywnej. Równolegle postępować

będzie zastraszanie jednostek i środowisk posądzanych przez władze o działania lub sympatie opozycyjne, zwłaszcza w małych miastach i na wsi. Ordynacji wyborczej jeszcze nie uchwalono. Ale kampania wyborcza zaczęła się w rzeczywistości 10 maja.

Wolno chyba oczekiwać, że opozycja, której wybory mogą dać szansę zdemontowania swoich wpływów, zdoła szybko, jednomyślnie i jednoznacznie opowiedzieć się za ich bezwarunkowym bojkotem. A następnie włoży maksimum wysiłku w upowszechnienie przekonania, że w obecnych warunkach tylko taki bojkot pozwala zadać dotkliwy cios polityce prowadzonej przez władze we wszystkich dziedzinach, od gospodarki poczynając, a kończąc na kulturze. I że jedynym skutecznym sposobem zmniejszenia ryzyka, z jakim łączy się dla każdego odmowa udziału w wyborach, jest spowodowanie tak wielkiej absencji, by władza okazała się niezdolna zupełnie zakłamać wyniki i ukarać opornych.

Sprawa wyborów do Sejmu jest dziś szczególnie ważna. Ale przepisy, które wejdą w życie 1 lipca, mają nie tylko wymiar doraźny, gdyż wpisują się w politykę represyjną, która od 13 grudnia 1981 ulega konsekwentnemu i systematycznemu zaostrzeniu. Zwiększa się liczba czynów zakazanych pod groźbą kary. Rośnie repertuar kar i ich surowość. Rozszerza się uprawnienia organów ścigania. Ogranicza – prawa obrony. Władza zamierza dążyć dalej w tym samym kierunku. Tak np. przyszły Sejm będzie zapewne musiał uchwalić ustawę o pasywnym społecznym w brzmieniu zadowalającym wreszcie poczucie prawne generała Kiszczaka. Nieuchronnym następstwem tej polityki będzie wzrost liczby więźniów, w szczególności – politycznych, oraz ofiar wszelkiego rodzaju prześladowań i dyskryminacji. Ale nieuchronnym tego następstwem będzie również nasilenie się – po ewentualnej pauzie na wybory – ataków na Kościół, a zwłaszcza na jego działalność w dziedzinie pomocy represjonowanym, oświaty i kultury. W rzeczy samej, uniemożliwiając prowadzenie działalności niezależnej nawet w mieszkaniach prywatnych, władza zamyka ją w jednym miejscu, gdzie może jeszcze być uprawiana: w lokalach kościelnych. Aby zlikwidować ją ostatecznie – do czego dąży – władza musi zatem uderzyć w kapłanów, którzy udzielają jej schronienia, a tym samym – w Kościół, gdyż granica między opiekowaniem się działalnością niezależną a sprawowaniem obowiązków duszpasterskich nie da się w żaden sposób przeprowadzić.

Na tym nie koniec. Sytuacja gospodarcza pogarsza się, i tak będzie nadal. Stopa życiowa spada. Całe regiony – zwłaszcza Krakowskie i Śląsk – są zagrożone katastrofą ekologiczną. Wzmaganie represji, zmuszanie do milczenia uznanych autorytetów społecznych, walka z Kościołem, rozmyślne drażnienie opinii publicznej zwiększają – zwłaszcza w tych warunkach – prawdopodobieństwo niekontrolowanego, krwawego wybuchu. Jeśli generał Jaruzelski daje do zrozumienia, że stan obecny nie ulegnie zmianom, gdyż każda próba wprowadzenia ich spowoduje interwencję sowiecką, to dlatego, że liczy się z taką perspektywą, jak liczy się z nią generał Kiszczak, gdy usiłuje wskrzesić mit terroryzmu, do

którego mieliby się rzekomo skłaniać jacyś jemu tylko znani „opozycjoniści”. Trzeba więc z góry stwierdzić, że gdyby doszło w Polsce do przelewu krwi, to odpowiedzialność zań spadnie wyłącznie na władzę, która od 13 grudnia 1981 naraża na szwank swymi poczynaniami nawet i tę ograniczoną suwerenność, jaka przysługuje PRL, oraz życiowe interesy milionów Polaków.

Bez mała dziesięć lat temu, jesienią 1975 roku, zaczął rozwijać się ruch społeczny, który po roku zaowocował założeniem KOR-u, a po pięciu latach – stworzeniem „Solidarności”. Od blisko czterech lat ruch ten, jak każdy, kto związał z nim swe losy, przeżywa czas bezlitosnej próby. Przykro to stwierdzić, ale prawda lepsza od złudzeń: najtrudniejszy okres jest jeszcze przed nami i wszyscy – zarówno w kraju, jak na emigracji – musimy się do niego przygotować. Znaczy to w pierwszym rzędzie: zachować wierność tym zasadom, które pozwoliły Polakom w ciągu 16 miesięcy ograniczonej przecież wolności wnieść nową jakość do dziejów własnych i do dziejów powszechnych. I zachować nadzieję.

[6/1985]

REDAKCJA

Obserwatorium

W maju generał Kiszcak przyrównał opozycję do agentury. W sierpniu generał Jaruzelski uznał „Solidarność” za przejaw obłędu. Między jednym przemówieniem a drugim zaostrzono przepisy prawa karnego i prawa o wykroczeniach, uchwalono ustawę o szczególnej odpowiedzialności karnej i znowelizowano ustawę o szkolnictwie wyższym, likwidując autonomię uczelni, gdzie rzadzić teraz będą pospół instancje partyjne i administracja. Uchwalono również tak piękną ordynację wyborczą do Sejmu, że nawet ci, co wierzyli jeszcze – wbrew oczywistości – w możliwość wprowadzenia do tej instytucji jakichś elementów pluralizmu, powinni wreszcie porzucić ostatnie złudzenia. Ale na kogoś, kto chce się oszukiwać i być oszukiwany, żadne fakty i tak nie mają wpływu. Co się zaś tyczy pozostałych, to proces gdański – godne Związku Sowietkiego naigrawanie się z samego pojęcia sprawiedliwości – i fala aresztowań, które dotkliwie uderzyły w prasę i kulturę niezależną, są dla nich zdarzeniami bardziej znamienitymi niż ordynacja wyborcza, po której i tak niczego się nie spodziewali. Świadczą bowiem, jak wszystkie tu przytoczone, że myślą polityczną (!) władców PRL – zarówno mundurowych, jak i chodzących po cywilnemu – rządzi zasada: „kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam”. Przy czym, jak autorytatywnie wyjaśnili generałowie Kiszcak i Jaruzelski, kto nie jest z nimi, jest z konieczności albo agentem, albo szaleńcem.

Kampanię wyborczą do Sejmu PRL prowadzi się w tym duchu i w tym stylu. Chociaż w PRL nie obowiązuje prawny przymus udziału w wyborach, władza robi wszystko, by wpoić w ogół przekonanie, jakoby wstrzymanie się od głosu było aktem wrogości wobec państwa, a tym samym – przestępstwem. Ideologicznym wsparciem tej propagandy strachu jest pseudopatriotyczna retoryka odwołująca się głównie do twierdzenia, że PRL generała Jaruzelskiego jest jedynym możliwym w istniejących warunkach państwem polskim. Wniosek: kto występuje przeciw polityce generała, występuje przeciw Polsce, która bez niego zniknęłaby po prostu z mapy Europy albo została okrojona do rozmiarów Księstwa Warszawskiego. Tak oto wracamy znowu do strachu, tyle że nie o jednostkowy spokój, ale o istnienie zbiorowe. Albowiem strach i tylko strach ma zapewnić wysoką frekwencję wyborczą, którą władza będzie następnie mogła po-

wolywać jako dowód poparcia, okazywanego jej rzekomo przez większość narodu. Argument ten był już używany na forum międzynarodowym po ostatnich wyborach do Rad Narodowych; mamy za sobą, głosili rzecznicy PRL, 75% Polaków. Ale teraz potrzebny jest lepszy wynik, by można było stwierdzić, że opozycja traci wpływy i ogranicza się do garstki agentów i szaleńców.

Władza nie jest jednak całkiem pewna zwycięstwa. Nie wie, czy wyniki wyborów nie okażą się dla niej tak niekorzystne, że nie zdoła dofałszować ich do poziomu, który by mogła uznać za zadowalający. Niektórzy publicyści na etapach zapowiadają więc na wszelki wypadek, że absencja może być znaczna, co wszelako nie będzie miało ich zdaniem żadnej wymowy politycznej. Ktoś posunął się nawet do stwierdzenia, że nie miał takiej wymowy fakt, iż w wyborach do Rad Narodowych 25% uprawnionych wstrzymało się od głosowania, gdyż byli to przeważnie chorzy. Sześć i pół miliona chorych to obraz zdrowotności społeczeństwa polskiego gorszy od wszystkiego, co mówi na ten temat opozycja. Nie powinno to jednak dziwić w kraju, gdzie według generała Jaruzelskiego jest co najmniej tyleż obłąkanych.

W sytuacjach trudnych, gdy czeka ją ciężka przeprawa, władza PRL zwraca się zawsze z nadzieją na ratunek w stronę Kościoła. Naciski, wywierane, by doprowadzić do spotkania generała Jaruzelskiego z prymasem Glempem, okazały się skuteczne. Ale chociaż do spotkania doszło, nie przyniosło ono jednak władzy oczekiwanych korzyści politycznych, jak nie przyniosła ich wizyta ministra Olszowskiego w Watykanie. Toteż presję na Episkopat i na Stolicę Apostolską wywiera się nadal. Obecnie chodzi podobno o to, by papież przyjął przed wyborami generała Jaruzelskiego; zdjęcie generała w galowym mundurze chylącego głowę przez Ojcem Świętym – czyż można wyobrazić sobie piękniejszą ulotkę wyborczą? I czy coś wpłynęłoby lepiej na frekwencję niż udział w wyborach członków Episkopatu Polski? Mamy nadzieję, że nic podobnego nie nastąpi. Odnotowujemy jednak uporczywe pogłoski na temat ewentualnej przedwyborczej wizyty generała Jaruzelskiego w Watykanie, gdyż najlepszym dowodem niepewności władzy jest to właśnie, że szuka pomocy Kościoła, który przecież od z góry roku otwarcie zwalcza, dążąc do zerwania jego więzi z kulturą niezależną i do ograniczenia działalności duszpasterskiej do najwięcej pojmowanych problemów wiary.

Skład przyszłego Sejmu nie zależy od wyborców. Posłowie będą mianowani przez władzę i ją tylko będą reprezentować. Wiele zależy jednak od tego, jak zostaną wybrani, tzn. od tego, jaki procent ogółu uprawnionych weźmie udział w wyborach. A właściwie – w referendum, bo władza nadała właśnie taki sens tej imprezie. Z jej punktu widzenia, ktokolwiek idzie głosować, głosuje na nią. Ktokolwiek wstrzymuje się od głosu, głosuje przeciw. Ale jeśli poziom absencji ma być miernikiem postawy społeczeństwa wobec władzy, to nie wiadomo jeszcze, czyim sukcesem zakończy się to referendum. Zapewne w każdym przypadku władza zadba, by ogłosić, że większość wyborców poszła do urn; odpowied-

nio dobrane komisje dokonają wszelkich nieodzownych po temu manipulacji. Nie wiadomo jednak, jaką większość władza będzie sobie mogła przypisać przy zachowaniu choćby minimum wiarygodności. Oczywiście jest bowiem rzeczą, iż przy bardzo wysokiej absencji i dobrze zorganizowanej przez „Solidarność” obserwacji punktów wyborczych, większość ta będzie musiała być mniejsza – może nawet w sposób znaczący – od tej, która by władzy odpowiadała. Spowodowanie, by tak się właśnie stało, powinno być w najbliższych tygodniach głównym celem wszystkich poczynąń opozycji.

W tej sprawie nie ma rozbieżności. Wezwania do bojkotu wyborów powracają od kilku miesięcy na łamach prasy podziemnej. Wypowiedziały się też w tym duchu różne miarodajne instancje podziemnej „Solidarności” na czele z TKK. Zabrakło wszelako, jak dotąd, jednoznacznego wezwania Lecha Wałęsy, który poprzestał na oświadczeniu, że nie pójdzie głosować. Zabrakło też głosów intelektualistów i ludzi kultury niezależnej. Co równie niepokojące, dotychczasowe wezwania do bojkotu i wypowiedzi na temat wyborów zdają się zakładać, że wszyscy są przekonani o słuszności stanowiska opozycji. Ale tak nie jest. Ludzie mogą iść głosować powodowani strachem, zmęczeniem, zastarzałym nawykiem i przekonaniem, że cokolwiek zrobią, nie ma i tak żadnego znaczenia. Trzeba wytrwale tłumaczyć, że im skuteczniejszy bojkot, tym mniejsze indywidualne ryzyko. Że nikt nie jest prawnie zobowiązany do udziału w wyborach. Że dla teraźniejszości i przyszłości Polski i Polaków nie jest obojętne, jak wypadnie to referendum: jeśli władza będzie mogła uznać je za swe bezwarunkowe zwycięstwo, to wszystkim będzie gorzej.

Największym wrogiem opozycji jest dziś jej własna bezzasadna wiara, że przytłaczająca większość narodu wie, co powinna zrobić w dniu wyborów i że robi to, co powinna. Wiara, która demobilizuje. Która sprawia, że mówi się na zbyt często w sposób przekonujący tych zwłaszcza, którzy już i tak są przekonani, miast zwracać się do tych przede wszystkim, których dopiero trzeba przekonać. Ten sam zarzut stosuje się również do wielu audycji Radia Wolna Europa.

Opozycja nie może wygrać wyborów. Nie ma co liczyć na to, by przytłaczająca większość wzięła udział w bojkocie. Wystarczy jednak, że absencja będzie dość wysoka, by dla władzy, legitymującej się jednomyślnym rzekomo poparciem narodu, wybory były przegrane.

[9/1985]

Obserwatorium

Wizyta generała Jaruzelskiego u prezydenta Mitterranda nie zbulwersuje zapewne stosunków między PRL a Francją. Gość nie miał bowiem nic do zaoferowania gospodarzowi. Chciał tylko być przyjęty i gotów był w zamian połknąć wszystkie żaby, którymi go poczęstują. Liczył się dla niego sam fakt spotkania: zdobycie Paryża. Temu strategicznemu celowi należało, pisze „Trybuna Ludu”, podporządkować wszystkie względy protokolarne. Złożono je więc w ofierze z iście wojskową bezwzględnością. Początkowo generała-turystę miał witać na lotnisku minister spraw zagranicznych. Później – podsekretarz stanu w tym resorcie. Ostatecznie czekał na niego szef protokołu. Niżej nie można. Następnie go dnia generał otworzył nowy rozdział w bogatej skądiną historii przyjmowania głów państwa w Pałacu Elizejskim: odesłano go wraz ze świtą od drzwi frontowych i wpuszczono wejściem od ogrodu. Skoro dziennikarzy zawiadomiono o zmianie, nie sposób przyjąć, że zapomniano uprzedzić dyplomatów; był to zatem rozmyślny afront. Nie jedyny zresztą. Prezydent nie wyszedł na podest powitać gościa i nie odprowadził go na pożegnanie, co zawsze robi. A komunikaty oficjalne podkreślały aż do znudzenia, że generał Jaruzelski został przyjęty na własną prośbę. Jak petent.

Generał nie zraził się jednak małostkowością prezydenta i ze swego punktu widzenia miał słuszość: otrzymał, czego pragnął. Przyszedł, spojrzął, zwyciężył. Mitterrand zaś kierował się względami prozaicznie politykierskimi: chciał zmusić komunistów, by go poparli, pokazać prawicy, że nie ma monopolu na *Realpolitik* w stosunkach z blokiem sowieckim, utwierdzić swą niezależność wobec rządu – wszystko to z myślą o zbliżających się wyborach parlamentarnych, które będą niemal na pewno klęską socjalistów, i w przekonaniu, że „Solidarność” żadnych masowych namietności we Francji już nie wyzwała. Efekt wizyty zaprzeczył wszakże oczekiwaniom. Spowodowała ona bowiem lawinę oburzonych komentarzy telewizyjnych, radiowych i prasowych (dwa wyjątki: komunistyczna „Humanité” i rządowy „Matin”). Potępiły ją wszystkie związki zawodowe (z wyjątkiem, jak zawsze, komunistycznej CGT). Wypowiedziało się przeciw niej 54% Francuzów. Co więcej – rzecz bez precedensu w dziejach Piątej Republiki – swe zakłopotanie tym zdarzeniem wyraził urzędujący premier, który

podobno podał się był nawet do dymisji. Niemal tydzień po wizycie prezydent musiał poświęcić całą godzinę na tłumaczenie narodowi, że jego decyzja była słuszną i że wizyta generała przyniesie korzyść Francji, Polsce i Europie. Lektura prasy świadczy, że nie przekonał wąpiących.

Z natychmiastowym i prawie jednomyślnym potępieniem wizyty przez opinię francuską kontrastowały dobiegające z kraju głosy przedstawicieli naszej opozycji, którzy udzielali prezydentowi Mitterrandowi kredytu zaufania, wyrazili przekonanie, że nie zdradzi interesów narodu polskiego i nie odstąpi od obrony praw człowieka, a nawet aprobowali jego spotkanie z generałem Jaruzelskim pod warunkiem, by było korzystne dla społeczeństwa. Głosy te łatwo zrozumieć. Od 13 grudnia 1981 roku stanowisko Francji było formułowane tak dobitnie i przy tylu okazjach, że wolno było mniemać, jakoby w przedmiocie praw człowieka prezydent Mitterrand kierował się nie względami koniunkturalnymi, ale zasadami. Zdradzając je w sposób wyzywający, zaskoczył on i zaskoczył nawet swych nieprzyjaciół, co dopiero mówić o tych, którzy mieli prawo pokładać w nim jakieś nadzieje.

Ale zrozumienie nie może być rozgrzeszeniem. Osobistości polskiej opozycji muszą wreszcie zdać sobie sprawę, że ich głosu słucha się z uwagą i że miewa on wpływ na bieg wydarzeń. Toteż gdy obraz sytuacji jest mętny, gdy brak danych pozwalających ją ocenić, lepiej powstrzymać się od wypowiedzi lub odłożyć ją na później, niż bezwiednie dostarczać alibi poczynaniom wymierzonym w sprawę, której się broni. A tak właśnie było w przypadku wizyty generała Jaruzelskiego w Paryżu, którą rzecznicy prezydenta usiłowali usprawiedliwić, powołując się na słowa Lecha Wałęsy.

Nazwiskiem Wałęsy szermuje się również przy innych okazjach. Ponieważ wizyta generała Jaruzelskiego nie była sukcesem prezydenta Mitterranda, oświadczył on teraz, że chętnie przyjąłby Lecha Wałęsę i dał do zrozumienia, że będą podjęte jakieś kroki mające umożliwić takie spotkanie. Pozostaje wyrazić nadzieję, że do tego nie dojdzie, w każdym razie – w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Oczywiście – zważywszy na klimat przedwyborczy we Francji – że za tym zaproszeniem, które formalnie zaproszeniem nie jest, kryją się rachuby na wykorzystanie autentycznej popularności Lecha Wałęsy dla celów niemających nic wspólnego z interesami „Solidarności” i z interesami Polski. Można tylko podpisać się pod stanowczym protestem Bronisława Geremka przeciwko tego rodzaju eksploataowaniu spraw polskich w wewnętrznych rozgrywkach, szczególnie oburzającemu, gdy idzie w parze z udzielaniem błogosławieństwa „normalizacji” w wykonaniu generała Jaruzelskiego i jego ekipy. Trzeba jednak, by sam Lech Wałęsa i jego doradcy umieli w należyty sposób reagować na pokusy i naciski – dziś francuskie, jutro może inne – które nie liczą się ani z losami osobistymi Wałęsy, ani z losem jego przyjaciół, ani z potrzebami uosabianego przezeń ruchu.

Jaruzelski w Paryżu, Brandt w Warszawie. Pierwszą reakcją na takie nowiny bywa często rozgoryczenie: „Zachód nas zdradził”. Otóż nieprawda. Po pierw-

sze, co się tyczy stosunków z blokiem sowieckim, nie ma „Zachodu”, gdyż w żadnej niemal sprawie nie zajmuje on jednolitego stanowiska; każdy kraj prowadzi w tym zakresie własną politykę i każdy winien być oceniany z osobna. Po drugie, żaden z tych krajów nas nie zdradził, bo zdradzić nie mógł; dbają one o swoje interesy, nie o nasze. Po trzecie wreszcie, w każdym kraju mamy wprawdzie nieprzyjaciół, ale w każdym kraju mamy również sojuszników; od nas zależy w jakiejś mierze, czy tych ostatnich będzie coraz więcej; obrażanie się na „Zachód” jest pod tym względem wręcz szkodliwe.

Losy Polski rozstrzygają się w pierwszym rzędzie w Polsce i zależą od układu sił między reżimem a opozycją. Rozmowy z władzami PRL były, są i będą prowadzone. Od rządów państw zachodnich domagać się należy nie tego, by ich unikały, ale tego, by przyczyniały się przy ich pomocy, w miarę swych możliwości, do ewolucji reżimu w kierunku odpowiadającym interesom narodu polskiego. Tego warunku nie spełnił prezydent Mitterrand, przyjmując generała Jaruzelskiego tak, jak gdyby wyrażał uznanie dla prowadzonej przezeń „normalizacji”: kagańcowemu ustawodawstwu, likwidacji samorządnych związków zawodowych i stowarzyszeń, pacyfikacji wyższych uczelni, represjom wobec działaczy niezależnego ruchu związkowego i niezależnej kultury, rosnącej liczbie więźniów politycznych, prześladowaniu dzieci, by wyrzucić presję na rodziców, mnożeniu się zagadkowych zgonów... Tego warunku nie spełnił również Willy Brandt, odrzucając zaproszenie Lecha Wałęsy do Gdańska, zarówno swym zachowaniem, jak treścią swych publicznych oświadczeń, odmawiając uznania „Solidarności” i występując bez mała w roli sojusznika ideowego obecnych rządców PRL. Dlatego też jest zupełnie niezrozumiałe, że wielu działaczy, z Mazowieckim i Śliwińskim na czele, uważało za potrzebne udać się na przyjęcie do ambasady niemieckiej w Warszawie.

Z uwag tych wynikają wnioski praktyczne i dla opozycji w kraju, i – zwłaszcza – dla emigracji polskiej na Zachodzie. I jedna, i druga powinny domagać się od rządów państw zachodnich, by w swych stosunkach z rządem PRL stale pamiętały, iż jest on dyktaturą, która systematycznie łamie normy prawa międzynarodowego. I by dawały temu wyraz, protestując przeciwko naruszaniu przez PRL ratyfikowanych przez nią traktatów, porozumień i konwencji oraz utrzymując stosunki również z „Solidarnością”, Kościołem i niezależnymi środkami intelektualnymi. Trzeba wytrwale tłumaczyć opinii publicznej i doprowadzać do świadomości polityków, że jeśli chce się utrzymywać stosunki z Polską – a nie tylko z Jaruzelskim, którego jutro spotkać może los Gierka – to trzeba, by ich partnerami były wszystkie strony polskiego konfliktu. Polska leży w Europie, to prawda. Prawdą jest też, że Europa potrzebuje Polski stabilnej. Ale Polska może się stać stabilna wyłącznie pod warunkiem, że zostaną wreszcie zaspokojone elementarne roszczenia Polaków.

12 grudnia 1985

[1-2/1986]

Prawica – lewica*

Z cyklu Wolna trybuna

Każde słowo upraszcza, ale są różnice. Słowa „prawica” i „lewica” upraszczają bardzo znacznie. Rzeczywistość społeczno-polityczna to ludzie (rozmaici), ich rozmaite myśli i dążenia. I nagle ktoś chce tę rzeczywistość opisać, posługując się dwoma słowami: „lewica” i „prawica”. Trudno, by wystarczyły i w dodatku wydają się bardziej niejednoznaczne niż inne, bo sugerują, że istnieje jeden wymiar porządkowania spraw społecznych, jakiś wymiar naczelny, pierwotny lub syntetyczny. Taką jednowymiarowość można byłoby zrozumieć, gdyby poglądy w poszczególnych sprawach były tak ściśle związane z innymi, że znając poglądy w jednej ze spraw szczegółowych, można by było odtworzyć inne poglądy danej osoby. Tak jednak nie jest i może nie byłoby dobrze, gdyby tak było. Są różne lewice i prawice. Co prawda, niektórym organizacjom politycznym udaje się w znacznym stopniu ujednolicić poglądy członków organizacji. Ale co bywa dobre w polityce organizacji totalitarnych, nie jest dobre w życiu społecznym w ogóle, zwłaszcza zaś w takich dziedzinach, jak kultura, w której próby ujednolicenia i standaryzacji poglądów nie dają dobrych rezultatów.

Mówiąc o „prawicy” i „lewicy”, czuje się więc niedosyt i potrzebę ograniczenia przedmiotu rozważań, sprecyzowania słów. Oczywiście, nie każdy taką potrzebę odczuwa. W praktyce politycznej posługiwanie się pojęciami upraszczającymi może przynosić korzyści, pomagać w znajdowaniu zwolenników i zwalczaniu przeciwników, choćby ktoś miał powiedzieć, że uproszczenia nie są intelektualnie zadowalające.

Jeśli w ogóle posługuję się słowami „lewica” i „prawica”, to w ten sposób, że komunistów zaliczam do lewicy. Oni sami zresztą uważają, że należą do lewicy i tam, gdzie istnieją parlamenty, komunistów sadza się po lewej stronie. Taki jest zwyczaj terminologiczny i praktyczny. Komuniści nazywają się lewicą radykalną lub konsekwentną, sugerując, że istnieje też lewica nieradykalna lub mniej

* Artykuł ten jest odpowiedzią na ankietę „Polityki Polskiej” (por. „Polityka Polska” 1984, nr 6), a ściślej na pytanie „Jaka prawica jest Polsce potrzebna?”, które było tytułem artykułu Józefa Wiernego.

konsekwentna. Istnieje zresztą także lewica niekomunistyczna lub antykomunistyczna, i to różnych rodzajów. Co najmniej w niektórych krajach można znaleźć lewicowców bardziej niespokojnych i gwałtowniejszych niż komuniści (zresztą terroryści belgijscy nazywają się komunistami, w kilku krajach zaś terroryści wybrali sobie nazwę Armii Czerwonej). Można także znaleźć lewicowców spokojniejszych niż komuniści i mniej skłonnych do gwałtu, a więc socjalistów i socjaldemokratów, popierających niektóre akcje komunistyczne, a przeciwwstawiających się innym.

Można, oczywiście, tak określić słowo „lewica”, by nazywać „lewicą” wyłącznie antykomunistów. Robi się to, stosując w następujący sposób logikę uczuć. Mówi się: nie lubię komunistów, natomiast lubię lewicę, i wnioskuje się, że komuniści nie są lewicą. Tym, którzy lubią lewicę, trudno jakoś przychodzi powiedzieć, że lubią ją nie w całości. Wyłączanie komunistów z lewicy wydaje się jednak nienaturalne i nieuzasadnione – z tej racji, że jest sprzeczne z dość powszechną praktyką językową, zgodnie z którą komuniści są przedstawicielami lewicy, i to takimi, którzy przekonania lewicowe wyznają często w sposób bardziej konsekwentny niż inni, w formie ostrzejszej, bardziej zbliżonej do wzorca.

Spośród różnych składników lewicowości – i odpowiednio prawicowości – wybieram tu do rozważań jeden, by łatwiej się tymi pojęciami posługiwać. We współczesnych krajach Zachodu ważną sprawą różnicującą ludzi politycznie jest stosunek do państwa. Lewica popiera państwo rozbudowane, opiekuńcze, takie, które zajmuje się znaczną ilością spraw. Przeciwstawia się temu prawica.

W tym rozumieniu *s o w c h o z y* (państwowe gospodarstwa rolne) są bardziej lewicowe niż *k o ł c h o z y* (gospodarstwa kolektywne), kolchozy zaś – bardziej lewicowe niż gospodarstwa indywidualne. Jednopartyjny system polityczny jest bliższy lewicy niż system wielopartyjny. Sądy realizujące politykę państwa (i partii) są bardziej lewicowe niż sądy niezawisłe, zlikwidowanie religii – bardziej lewicowe niż jej tolerowanie, jednolite szkolnictwo podległe administracji państwowej – bardziej lewicowe niż szkolnictwo zróżnicowane. W świecie współczesnym te bardziej lewicowe formy życia społecznego są zwykle nazywane *p o s t ę p o w y m i*, *l u d o w y m i*, *s o c j a l i s t y c z n y m i*.

Wielu ludzi chciałoby przez socjalizm rozumieć nacjonalizację „nie za daleko posuniętą”. Kiedy mówią o lewicy, mają właśnie na myśli „socjalizm nie za daleko idący”, taki, który potrafiłby w porę się powstrzymać. Można stwierdzić, że ustrój w Polsce ma kłopoty z podobną wstrzeźliwością.

Będę tu tak posługiwał się słowem „prawica”, by prawicowe było przeciwstawianie się rozbudowie państwa, zwalczanie jego wszechwładzy, dążenie do zmniejszenia jednolitości organizacji społecznej, do ograniczenia centralizmu i totalizmu. Uważam, że Polsce rządzonej przez komunistów tak rozumiana prawica jest potrzebna, a wydaje się, że będzie również potrzebna w Polsce niekomunistycznej.

Lewica zachodnia (socjaliści w Europie, częściowo także „liberałowie” w Ameryce) chce zwiększać budżet państwa, nacjonalizuje banki i przemysł,

rozbudowuje funkcje opiekuńcze państwa, scentralizowany i zależny od państwa system oświaty i służby zdrowia. Ale lewica chce jednocześnie zmniejszać wydatki na obronę, w związku z tym nie chce polityki zagranicznej opartej na sile, stosuje też bardziej tolerancyjną niż prawica politykę w dziedzinie walki z przestępczością i w działaniu wymiaru sprawiedliwości. Prawica widzi w państwie narzędzie obrony obywateli przed zagrożeniem zewnętrznym i wewnętrznym, lewica – narzędzie opieki społecznej, przejmujące rozmaite inicjatywy prywatne. Prawica chce państwa ograniczonego, dbającego jednak o obronę, nie chce więc, by państwo zniknęło zupełnie (to autorzy lewicowi – tacy jak Lenin – pisali, że państwo ma zniknąć).

Komuniści, którzy nie są przy władzy, chcieliby często państwo (w jego funkcjach obronnych) osłabić; komuniści przy władzy rozbudowują funkcje obronne państwa: armię i policję polityczną, które ponadto stosują zwykle zasadę, że najlepszą obroną jest atak.

Co najmniej niektóre odłamy lewicy co najmniej niekiedy sprzyjają komunistom. Przyciąga ich do komunizmu program reform społecznych – hasła równości i sprawiedliwości. Lewica zgadza się czasem, że praktyka komunistyczna nie jest najlepsza, ale trafia jej do przekonania pojęcie „wypaczeń”. Uważa się, że komunizm, w swej istocie szlachetny, wypaczono w praktyce. Lewica często więc zwalcza antykomunizm i popiera „fronty ludowe”, w których komuniści odgrywają „kierowniczą rolę” (choćby okazywało się, tak jak w Polsce po drugiej wojnie światowej, że takie fronty były pierwszym etapem władzy komunistycznej).

Wydaje się jednak, że dla prawicy, rozumianej tak jak w tym tekście, komunizm musi być głównym przeciwnikiem. Nie było bowiem dotychczas na świecie tendencji społeczno-politycznej bardziej niż komunizm totalitarnej, bardziej skłonnej do nadzorowania i kontrolowania wszystkiego. Choćby więc komuniści odwoływali się do niektórych hasel tradycyjnie prawicowych i posługiwali się pojęciami charakterystycznymi dla prawicy – takimi jak naród, jedność moralno-polityczna, ład i porządek – totalitaryzm komunistów sprawia, że są wrogiem prawicy, rozumianej jako tendencja do ograniczenia wszechwładzy państwa.

Prawica, która chciałaby zmniejszyć zakres władzy państwa, powinna mieć program gospodarczy. Program gospodarczy lewicy brzmi na ogół: upaństwowić co się da (a nawet więcej), a potem zobaczymy. Programem gospodarczym prawicy, zwłaszcza w kraju znacjonalizowanym, jest przede wszystkim denacjonalizacja, usamodzielnienie przedsiębiorstw, zmiana własności państwowej na komunalną lub akcyjną, dbanie o to, by pobudzać i umożliwiać finansowanie inicjatyw niepaństwowych, nie tylko zresztą w gospodarce. Prawica ceni suwerenność konsumenta i dba o to, by producenci mogli produkować, by państwo nie szkodziło produkcji, która ma docierać do konsumenta.

Prawica chciałaby wzbogacić życie społeczne, sprawić, by ożyła prowincja, by rozwijały się małe przedsiębiorstwa, spółdzielnie, stowarzyszenia, by działały

się rzeczy na miarę wsi, miast i regionów, a nie tylko na miarę państwa. Wymaga to zmian prawnych, walki o własność prywatną, grupową, komunalną.

Próbując ograniczać państwo komunistyczne, należy troszczyć się o to, jakie jest prawo, oraz przygotowywać prawo postkomunistyczne. Bliższa lewicy – takiej, o jakiej tu mowa – jest koncepcja prawa jako sposobu socjotechnicznego, jako narzędzia inżynierii społecznej, którym władza posługuje się, realizując swoje cele. Bliższa prawicy – tej, o której tu mowa – jest koncepcja prawa jako umowy szanującej wartości moralne i krępującej władzę państwową. Prawo jest w społeczeństwie polskim zakorzenione jako poczucie sprawiedliwości, ale potrzebne jest też prawo stanowione. Nawet w państwie komunistycznym zdarza się, że można w pewnej mierze wpływać na treść prawa. Z tego wpływu prawica nie powinna rezygnować, tak samo jak nie powinna rezygnować z wpływania na sposób, w jaki prawo jest wykonywane. Komunistyczne prawo stanowione stosuje się w instytucjach, ale robią to ludzie, którzy w mniejszym lub większym stopniu dbają o swoją karierę i (co często jest tym samym) o interesy komunistycznego państwa i partii.

W warunkach polskich prawicę, która chce zmniejszyć wszechwładzę państwa, trudno nazywać konserwatywną. Nie jest konserwatywna, bo chce wiele zmienić, mianowicie komunistyczny system polityczno-społeczno-gospodarczy, którego zmiana wcale nie jest łatwa, bo w podtrzymywaniu tego systemu zainteresowane jest nie tylko mocarstwo ościenne, ale także rzesze ludzi na miejscu. Tego systemu strzegą organizacje, mające broń i gotowe jej użyć. Przekonanie, że wszyscy Polacy mają podobne dążenia społeczno-polityczne jest fałszywe. Denacjonalizacja może następować tylko wbrew oporowi warstw społecznych zainteresowanych w rozbudowie i centralizacji państwa. Wymaga ona twórczości społecznej, budowy i odbudowy, a nie tylko utrwalania tego, co już jest. Denacjonalizacja w umocnionym już państwie komunistycznym może być procesem ewolucyjnym lub rewolucyjnym. Ale trudno powiedzieć, by był to program konserwatywny.

Tak się składa, że w skali masowej można pobudzać ludzi, by robili coś w imię niepodległości kraju lub w imię sprawiedliwości społecznej. To pierwsze hasło zwraca się przeciw obcym ciemnościom i nie jest ani lewicowe, ani prawicowe. Drugie hasło jest na ogół lewicowe i może zwracać się przeciw ciemnościom rodzimym. Do sprawiedliwości społecznej dąży się zwykle w ten sposób, że innym odbiera się (lub chce się odebrać) to, co, jak się sądzi, posiadają niesprawiedliwie, powołuje się aparat przemocy odbierający dobra niesprawiedliwie posiadane i utrudniający ich uzyskiwanie, rozbudowuje się aparat państwowy zajmujący się organizacją produkcji, dostarczaniem usług i podziałem dóbr (chce się bowiem, by podział był sprawiedliwy).

Postulat ograniczania władzy państwa nie jest hasłem tak chwytliwym jak niepodległość i sprawiedliwość. Władzę państwa chcą ograniczać ci, dla których wartością jest wielość niezależnych działań społecznych. Mówią oni o wolności,

podmiotowości, twórczości, inicjatywie. I choćby nie precyzowali kierunku, w którym wolność ma być wykorzystywana, zgodziliby się zapewne, że ma być ograniczana przez porozumienia między korzystającymi z wolności. Z takich porozumień powstaje prawo.

Można być prawicowcem z przyczyn etycznych, estetycznych, filozoficznych, z tej racji na przykład, że woli się różnorodność niż uniformizację. Ale mogą tu też wchodzić w grę interesy.

W polityce zwykle kogoś się reprezentuje. Prawica w Polsce reprezentuje (lub reprezentowałaby) interesy warstw mniej związanych z państwem komunistycznym, dokładniej zaś – interesy ludzi w tych rolach społecznych, w których następuje przeciwstawienie: człowiek – państwo komunistyczne. Należy tu rola konsumenta, producenta, rola przedmiotu norm prawnych lub oddziaływań wychowawczo-propagandowych. Interesy ludzi występujących w tych rolach społecznych mogą przyczyniać się do podejmowania przez nich niezależnie podobnych działań (działań mających podobne cele), ale może to też być podstawa działań zorganizowanych – o pewnym stopniu specjalizacji i koordynacji.

Prawicowość nie jest tożsama z dążeniem do demokracji, a więc do tego, by wola większości mogła być znana i by ją uwzględniano w decyzjach władz. Większość może domagać się szerokich uprawnień państwa w życiu społecznym, a więc być lewicowa (w sensie, w którym w tym tekście mówi się o lewicy). Prawica może wchodzić w konflikt z większością lub ze znaczną częścią społeczeństwa, nie muszą jej wszyscy przyznawać racji i może ona głosić i starać się realizować hasła niepopularne. Nie wydaje się, by prawica musiała koniecznie iść za większością, gdyby większość chciała jakąś mniejszość pozbawić praw, na przykład deportować ją (w imię jedności narodowej) lub pozbawić majątku (w imię równości i sprawiedliwości społecznej). Ruchy nazywane prawicowymi bywały populistyczne, mobilizowały lud i szły za głosem ludu. Ale tak być nie musi.

Prawica, o której mowa, nie stroniłaby od formułowania celów społecznych i od poszukiwania ich choćby częściowej realizacji. Na szczęście istnieją jeszcze w Polsce dziedziny życia społeczno-politycznego niepoddane komunistycznemu państwu lub poddane mu w mniejszym stopniu niż inne; prawica starałaby się umocnić niezależność tych dziedzin i rozszerzać ich znaczenie. Dotyczy to gospodarki, wychowania, oświaty i kultury, nawet sądownictwa i administracji. Ciągłe, jak wiadomo, istnieje w Polsce rolnictwo prywatne, Kościół, rodzina, na ogół niepodporządkowana państwu, kultura i tradycja przekazywane przez Kościół i rodzinę (rozmaicie przez różne rodziny). Istnieje niezależna twórczość kulturalna i opozycja zwalczana przez państwo komunistyczne. Choćby opozycja deklarowała lewicowość, ogranicza ona swym istnieniem władzę państwa, co jest celem uznanym tu za wyróżnik prawicy. Ciągłe także działają w Polsce nauczyciele, a nawet sędziowie i urzędnicy, którym partia komunistyczna nie wszystko może nakazać. Ich niezależność od partii i państwa to część programu prawicy (w sensie przyjętym w tym tekście).

Prawicę, która, jak się zdaje, jest potrzebna, rozumiem jako ruch bardziej praktyczny niż ideologiczny w tym znaczeniu, że nastawiony raczej na rezultaty w ograniczaniu wszechwładzy państwa niż na przykład na upowszechnianie jakiegokolwiek światopoglądu. Prawica nie musiałaby być dogmatyczna: denacjonalizacja, na której by jej zależało, mogłaby być przedmiotem prób i eksperymentów. Nastawienie praktyczne, niedogmatyczne i aideologiczne różniłoby prawicę tu omawianą od innych tendencji prawicowych.

Myszę, że Polsce jest właśnie potrzebna inna prawica niż ta, która była kiedyś, jest potrzebna prawica, którą utworzyć lub skrzyknąć nie jest łatwo, prawica nie najprawdopodobniejsza. W XX wieku w Polsce istniały ruchy prawicowe deklarujące ścisły związek z katolicyzmem oraz obawiające się i zwalczające współobywateli innej narodowości i innego wyznania. Uważam, że jest potrzebna też (lub przede wszystkim) prawica areligijna, nienacjonalistyczna, tolerancyjna.

Jest naturalne, że naruszanie wszechwładzy państwa następuje w Polsce i będzie następować w oparciu o instytucję, która od poleceń państwowo-partyjnych nie jest uzależniona. Tą instytucją (w pewnym aspekcie swych działań) jest Kościół katolicki.

Prawica w Polsce często mówi o Kościele katolickim (a nie w ogóle o religii) i o rodzinie jako o instytucjach, które trzeba umacniać. W Polsce komunistycznej tym instytucjom się powiodło: nie zostały podporządkowane i w dużej mierze im zawdzięczamy obecną polską niezależność. Są to instytucje przekazujące wartości, tradycje, nadające barwę kulturze. Ale wydaje się, że dla przyszłej Polski potrzebne są też instytucje polityczne, prawne i gospodarcze, a także ludzie, którzy umieliby te instytucje tworzyć i w nich działać, potrzebna jest więc prawica, która politykę traktuje jako sferę godzenia sprzecznych interesów i wartości, umie wyjść poza krąg rodzinny i budować nie tylko instytucje religijne i związane z Kościołem.

Być może wielu zwolenników zyska prawica, która od lewicy zapożyczy zadanie organizowania raju na ziemi i program przepojenia świętością życia społecznego. Wydaje się jednak, że potrzebna jest także prawica, która szanuje podział funkcji i różnorodność w życiu społecznym. Według której polityka podlega ocenom moralnym, ale nie jest tożsama z religią. Administrowanie państwem lub organizacja gospodarki to są dziedziny, których nie ma powodu powierzać organizacjom parafialnym, przyklasztornym lub diecezjalnym. Wydaje się, że potrzebna jest w Polsce prawica, która przygotowywałaby się do działania w państwie i dla której ateusze, niedowiarki i innowiercy nie byłiby głównymi przeciwnikami, bo prawica ta umiałaby odróżnić zajmowanie się administracją, organizowaniem wytwórczości i sprzedaży, sądownictwem – od zajmowania się ewangelizacją.

Taka prawica potrafiłaby poświęcić znaczną część swych sił organizacjom większym od rodziny, a mniejszym od narodu. Organizacjom, które tworzy się i do nich się przystępuje, a niekoniecznie należy się do nich od urodzenia. Do

tej strefy życia społecznego należą organizacje produkcyjne, zajmujące się wymianą dóbr i dostarczaniem usług, różne dziedziny administracji, instytucje w dziedzinie oświaty lub wymiaru sprawiedliwości; to wszystko, co we współczesnym społeczeństwie polskim jest albo zniszczone, albo jest częścią systemu organizacji scentralizowanych i podporządkowanych partii komunistycznej.

Takie organizacje próbowano w Polsce odbudowywać w latach 1980–1981. Stworzono jedną wielką organizację – „Solidarność”, którą stan wojenny rozbił i zmusił, by się przekształciła. Może byłoby lepiej, gdyby legalnie działającej „Solidarności” towarzyszyło więcej organizacji niezależnych od państwa. Dziś, w mniej lub bardziej zaczątkowej formie, takie organizacje istnieją.

Prawica, która by zajmowała się narodem w całości, jest zapewne w Polsce potrzebna. Istnienie narodu to istnienie kultury. Jej podtrzymywanie jest zarówno wartością, jak i ochroną przed komunizmem. Ale w skład kultury narodu wchodzi też jego sposób zorganizowania, wchodzi sposób działania państwa, prawa, gospodarki. Wydaje się, że dość łatwo o prawicę, która mówi i pisze o narodzie, chwali naród i jest dumna z narodu. Trudniej o taką, która zajmowałaby się mnożeniem dóbr (a nie, jak lewica, przede wszystkim ich podziałem), i o prawicę, która (w przypadku konfliktu) wybierze raczej dobro państwa i obywateli niż narodu i współplemieńców. Wydaje się, że potrzebna jest prawica, która na tyle pewnie czułaby się w państwie, że mniejszości narodowe i wyznaniowe raczej brałaby w opiekę i obronę, niż zajmowałaby się utrudnianiem im życia.

W pierwszej połowie XIX wieku naród wzięły sobie na sztandary ruchy polityczne uznawane raczej za lewicowe. Następnie naród dostał się na sztandary prawicy. Ale możliwa jest też prawica dbająca o państwo (choć nie w ten sposób, by miało ono decydować o wszystkim), rozumiejąca państwo jako własność współobywateli, a nie tylko narodu stanowiącego większość, i troszcząca się o współpracę z narodami sąsiednimi. Wydaje się, że szczególnie w Polsce taka prawica jest potrzebna.

Ruchy społeczne i polityczne zwykle na czymś się koncentrują, czynią niektóre sprawy jakby warunkiem przynależności, inne zaś pozostawiają decyzjom prywatnym. Ten tekst mówi o prawicy jako o ruchu społecznym i politycznym i wydaje się, że jest istotne, jak szeroka jest strefa, w którą państwo i polityka już nie sięgają. Nastawienie na totalność władzy, pełność światopoglądu, pełność programu – jest charakterystyczne dla ruchów lewicowych (dla sporej ich części). Zresztą narodowy socjalizm – ze względu na totalność zainteresowań, radykalizm polityczny i ujęcie roli władzy – uważam za tendencję bliższą lewicy niż prawicy. Sądzę, że Polsce jest potrzebna taka prawica, która nie we wszystkich sprawach ma poglądy. Jej aideologiczność mogłaby zwłaszcza polegać na tym, że nie miałaby ona poglądów organizacyjnych w takich sprawach, jak wyższość kultury polskiej nad wszelkimi innymi lub jak przynależność Krzyżaków do kultury bizantyjskiej. Prawica, której – jak mi się zdaje – w Polsce potrzeba,

ma szukać rozstrzygnięć gospodarczych, politycznych i prawnych, umacniać społeczeństwo obywatelskie i być w polityce niedogmatyczna, to znaczy nie wiedzieć zbyt dużo z góry, na przykład tego, czy Polska powinna mieć lepsze stosunki z Rosją, z Niemcami czy z Ukrainą. Byłaby to prawica, która bada sytuację i uważa, że wybory sojuszników i przeciwników w polityce międzynarodowej nie są określone raz na zawsze i zależą od sytuacji.

Polityka zagraniczna, kształtowana w Polsce, jest jednak sprawą przyszłości. Dziś można ją przygotowywać przez upowszechnianie informacji o sprawach międzynarodowych, o problemach innych krajów, a zwłaszcza narodów sąsiednich. Nie byłoby źle, gdyby prawica interesowała się światem współczesnym (a nie tylko tym z początku XX wieku), gdyby na przykład interesowały ją angielskie, amerykańskie, niemieckie i francuskie rozwiązania praktyczne i tamtejsze spory na temat gospodarki państwowej, sposobów opodatkowania, państwowej i prywatnej służby zdrowia lub oświaty, nacjonalizacji i denacjonalizacji w rozmaitych dziedzinach.

Krótko mówiąc, prawica jest potrzebna i – co więcej – Polska powinna zmniejszać lewicowość swego ustroju (wszechwładzę państwa), a więc zmierzać w kierunku bliskim współczesnej prawicy w krajach Zachodu. Są w Polsce potrzebne wartości kultury związane tradycyjnie z prawicą. Ale wydaje się, że Polsce potrzebna jest także prawica społeczno-polityczna, organizująca życie społeczne, przygotowująca i kształtująca życie polityczne. Prawica nie najłatwiejsza, niebędąca kontynuacją głównych kierunków prawicowych znanych z historii Polski.

[6/1986]

REDAKCJA

Obserwatorium

Do trwającej od 13 grudnia 1981 roku serii czarnych wydarzeń ostatnie dni dołączyły nowy epizod: aresztowanie 31 maja br. Zbigniewa Bujaka. Jego uwięzienie jest ciosem, który pogłębia jeszcze ból spowodowany uwięzieniem Borusewicza, Frasyniuka, Jedynaka.

Ale chociaż myśli nasze zwracają się dziś w pierwszym rzędzie ku Bujakowi i ku aresztowanym wraz z nim Konradowi Bielińskiemu i Ewie Kulik – musimy skupić się na politycznym wymiarze tych ludzkich dramatów. Na następujące sprawy trzeba w związku z tym zwrócić uwagę.

1.

Zbigniew Bujak i inni członkowie podziemnej TKK „Solidarności” od czterech i pół roku, tzn. od pięćdziesięciu czterech miesięcy, czyli około 1650 dni, ukrywali się w kraju rządzonego przez komunistów, inspirując przy tym wystąpienia zbiorowe, publikując oświadczenia, którym dawał posłuch znaczący odłam społeczeństwa, a nawet organizując z imponującą sprawnością kontrolę wyborów do Sejmu i podając do wiadomości jej wyniki na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych. Jest to fakt bez precedensu i bez odpowiednika w jakimkolwiek innym kraju bloku sowieckiego. Fakt świadczący o szerokim – choć zapewne malejącym z upływem lat – poparciu okazywanym TKK. Władze PRL są świadome tego poparcia. Toteż cały ich wysiłek propagandowy ma na celu wykazanie, że sukces Bujaka i TKK tłumaczy się wyłącznie brakiem zainteresowania nimi ze strony SB, zajętej ważniejszymi rzekomo sprawami. Wszystko, co wiadomo o nieprzerwanie od czterech i pół roku trwających poszukiwaniach, pozwala stwierdzić, że jest to kłamstwo.

2.

Aresztowanie Bujaka nie spowodowało zniknięcia TKK. Jego miejsce zajął Wiktor Kulerski, który – jak Bujak – przebywa w podziemiu od wprowadzenia stanu wojennego. TKK spotkała się już po aresztowaniu Bujaka i ogłosiła wraz z Lechem Wałęsą oświadczenie na ten temat. Ukazał się też kolejny numer

„Tygodnika Mazowsze” z artykułem o Bujaku pióra Stefana Bratkowskiego, którego wystąpienie w dzisiejszych warunkach na łamach nielegalnego pisma jest przykładem odwagi budzącej najwyższy szacunek. Tak więc TKK istnieje nadal. Co równie ważne, zdecentralizowany charakter struktur podziemnej „Solidarności” sprawia, że SB nie jest w stanie ich zniszczyć. W wielu zakładach wciąż płaci się składki związkowe, ukazują się gazety, prowadzi się samokształcenie; prasa podziemna ciągle liczy kilkaset tytułów, działają niezależne wydawnictwa oraz instancje niezależnej kultury, nauki i oświaty.

W prasie zachodniej ukazały się ostatnio liczne „rozmyślenia nad zwłokami „Solidarności”, by określić je łącznie tytułem pewnego artykułu sprzed kilku miesięcy. Rozmyślenia bezprzedmiotowe: „Solidarność” przeżywa na pewno bardzo ciężkie lata i czeka ją równie ciężka przyszłość, wystarczy jednak jako taka znajomość faktów, by stwierdzić, że ten pacjent ma organizm o wiele odporniejszy, niż zwykło się przypuszczać, gdy rozumuje się przez analogię z przeszłością. Powtórzmy raz jeszcze: żaden ruch społeczny w kraju komunistycznym nie zdołał utrzymać – po blisko pięciu latach prześladowań – takiego potencjału, jakim wciąż jeszcze dysponuje „Solidarność”. Historia ruchu związkowego w krajach, gdzie – jak we frankistowskiej Hiszpanii – jego działacze skazywano na wieloletnie więzienie, wskazuje nadto, że nie daje się on złamać represjami. Można więc utrzymywać zasadnie, że niszczona w jednych zakładach „Solidarność” będzie odtwarzać się w innych, podobnie jak odtwarzać się będą po kolejnych wpadkach wydawnictwa, pisma czy inne inicjatywy niezależne. Społeczny ruch oporu, którego trzonem jest „Solidarność”, pozostaje nieusuwalnym składnikiem polskiego krajobrazu politycznego. Nie wyklucza to naturalnych przemian, jakie następują w podziemnym społeczeństwie.

3.

Władze PRL wiedzą doskonale, że – jak napisał Stefan Bratkowski – sukces policyjny nie jest jeszcze sukcesem politycznym. Stąd natężenie kampanii propagandowej przeciw „Solidarności”, do której włączył się obecnie generał Kiszczak we własnej osobie, by powtórzyć raz jeszcze to, co jego poprzednicy – od Radkiewicza poczynając – mówili o kolejnych wcieleniach opozycji antykomunistycznej w Polsce. A mianowicie, że nie ma żadnego społecznego poparcia, że istnieje tylko dzięki dopływowi pieniędzy z Zachodu i że jest pospolitą agenturą. W tym kontekście wyciągnięto też sprawę płk. Kuklińskiego. Mamy tu do czynienia z nieco odświeżoną odmianą poglądu o czysto instrumentalnym traktowaniu przez Zachód sprawy polskiej, który jest trwałym składnikiem propagandy prosowieckiej. Niestety wywody tego rodzaju znajdują niekiedy posłuch w kołach, które od dawna powinny być na nie uodpornione, zwłaszcza zaś tam, gdzie werbalny antykomunizm idzie w parze z przypisywaniem przywódcom PZPR intencji patriotycznych i z poszukiwaniem porozumienia z nimi

na gruncie obrony interesów państwa, jak gdyby PRL była istotnie wspólną własnością wszystkich Polaków.

4.

Najważniejsze pytanie dnia dzisiejszego, wokół którego ogniskują się wszystkie dyskusje polityczne w środowiskach niezależnych, dotyczy tego, jak wykorzystać nadchodzące ciężkie lata, by przyspieszyć chwilę, gdy aparat PZPR okaże się zmuszony do jakichś form rokowania ze społeczeństwem.

Właśnie z tej perspektywy należy oceniać wszystko, co dzieje się w polskim życiu politycznym. I z tej właśnie perspektywy stwierdzić trzeba, że ogromną szkodę wyrządzają nie tylko „Solidarności”, ale wręcz sprawie polskiej ci wszyscy, którzy z błędów popełnionych przez TKK wnoszą, że powinna ona przestać istnieć. Mamy tu na myśli nie dziennikarzy zagranicznych, ale ich krajowych informatorów i mentorów, podróżników rozjeżdżających się po całym świecie i występujących jako rzecznicy opozycji lub zgoła narodu polskiego. Błędy TKK są niewątpliwe. Należało i należy nadal, bez względu na okoliczności, wskazywać te błędy publicznie, czynić je przedmiotem dyskusji. Ale zarazem należało i należy nadal bronić istnienia TKK i szerzej – podziemia, którego jest ona symbolem. Przypada mu bowiem zasadnicza rola w podnoszeniu wymagań moralnych i politycznych, w organizowaniu ruchu społecznego i w inspirowaniu nacisków wywieranych na władzę. Nacisków, które zmuszają ją do ustępstw m.in. wobec Kościoła, którego sytuacja w PRL zawsze ulegała pogorszeniu, ilekroć przestał być chroniony przez zorganizowaną i mocną opozycję.

5.

Od 13 grudnia 1981 roku ożywił się po raz kolejny spór między „romantykami” a „realistami”. „Romantykami” mają być zwolennicy oporu w jego różnych formach, zwłaszcza zaś ci, którzy opowiadają się za kontynuowaniem działalności podziemnej. Za „realistów” uważają się natomiast rzecznicy porozumienia z władzą, którzy zgłaszają na różne sposoby akces do popierających ją organizacji w przekonaniu, że otworzą drogę do dialogu ze społeczeństwem. Po blisko pięciu latach doświadczeń czas już najwyższy, by uznać samowolnych realistów właśnie za przedstawicieli marzycielskiego i najbardziej oderwanego od rzeczywistości nurtu w polskim życiu politycznym: niczego nie uzyskali, niczego nie załatwili, a każde niemal posunięcie władzy było dla nich kolejnym upokorzeniem. Przykłady znają wszyscy. Powtarzać ich nie warto. Warto wszelako wrócić do przywoływanego często przez „realistów” właśnie argumentu o odpowiedzialności za naród i o potrzebie ratowania go w sytuacji szczególnie groźnej dla jego przyszłości demograficznej, dla zdrowia, dla środowiska naturalnego, dla kultury.

Argument ten byłby nieodparty, gdyby miał uzasadniać działanie w ramach Towarzystwa Ochrony Przyrody, PCK, Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej

czy Towarzystwa Walki z Alkoholizmem. Ale uzasadnia na ogół coś zupełnie innego: udział w PRON, kandydowanie do Sejmu, zajmowanie stanowisk czy legalizowanie pism, które dotąd były niezależne. Otóż używany w ten sposób argument o ratowaniu narodu jest – nazwijmy wreszcie rzecz po imieniu – po-spolitym szalbierstwem. Jedyną drogą ratowania narodu jest organizowanie nacisku na władzę w formach legalnych, jeśli można, a jak nie można – to nielegalnych. Kiedyś ulegnie to może zmianie. Dziś jednak, w następstwie konsekwentnej polityki samej władzy, działacz polityczny w Polsce może wybierać – poza strukturami kościelnymi – tylko między opozycją a kolaboracją.

6.

Obecnie naszą nieustającą troską powinni być więźniowie polityczni i ich rodziny. Nie wydaje się jednak, by w tej dziedzinie robiono wszystko, czego potrzeba. Brak zadowalających informacji o każdym z blisko 300 więźniów, o powodach aresztowania, oskarżeniu, wyroku, jeśli już zapadł, stanie zdrowia, sytuacji rodzinnej itd., itp. Brak nieustannego przypominania o więźniach zarówno w kraju, jak i za granicą. Brak zwłaszcza opracowanego przez prawników, choć przecież opozycja ma ich wielu, projektu statutu więźnia politycznego, który by należało jak najszerzej upowszechnić i o uchwalenie którego należałoby zabiegać wszędzie tam, gdzie można jeszcze coś powiedzieć.

[7-8/1986]

REDAKTOR [JERZY GIEDROYC]

Stan wojenny w PRL a administracja amerykańska

„Washington Post” z 4 czerwca br. opublikował sensacyjny wywiad Jerzego Urbana, który wywołał zrozumiałe poruszenie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie Zachodniej i był szeroko omawiany nie tylko w prasie zachodniej, ale ostatnio również w prasie i mass mediach PRL.

Chcąc wyjaśnić stanowisko Stanów Zjednoczonych w związku z rewelacjami płk. Kuklińskiego, zwróciliśmy się do osoby dobrze zorientowanej w meandrach polityki waszyngtońskiej z prośbą o skomentowanie tej sprawy. Oto komentarz, jaki otrzymaliśmy:

W początkach czerwca br. Jerzy Urban zaprosił na rozmowę korespondenta „Washington Post” w Warszawie, aby zaoferować mu nie byle jaką sensację. Oto Stany Zjednoczone miały przez dłuższy czas na najwyższym szczeblu wojskowym w Warszawie swego informatora w osobie płk. Włodzimierza Kuklińskiego, łącznika między generałem Jaruzelskim i jego sztabem a gen. Kulikowem i dowództwem Układu Warszawskiego. Z tytułu tych funkcji Kukliński miał dostęp do najbardziej strzeżonych tajemnic wojskowych. Dzięki niemu Stany Zjednoczone znalazły się w posiadaniu dokładnych planów operacyjnych uderzenia, które nastąpiło 13 grudnia 1981. Rząd Reagana – twierdził Urban – mógł udaremnić te plany, podając je do wiadomości publicznej i ostrzegając „Solidarność”, ale tego nie uczynił, ponieważ Stanom Zjednoczonym bynajmniej na tym nie zależało.

W ten sposób w cztery i pół roku po „wojnie” postanowiono w Warszawie przerzucić na Stany Zjednoczone odpowiedzialność za zdławienie legalnej „Solidarności”, krwawe ofiary i uwięzienie tysięcy ludzi.

Oficjalne zaprzeczenie Departamentu Stanu było dość ogólne. Rząd amerykański przyznał, że był poinformowany o możliwości wprowadzenia stanu wojennego, ale brakowało konkretnej daty oraz potwierdzenia, czy i kiedy plan operacyjny zostanie wykonany.

Więcej można było dowiedzieć się z różnych nieoficjalnych przecieków. Płk Włodzimierz Kukliński kierował się motywami patriotycznymi. Przekazywał informacje z własnej inicjatywy, odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia. Dwukrotnie ocalił Polskę przed inwazją sowiecką – w grudniu 1980 i w marcu 1981 roku – przekazując nie tylko plany wojskowe, ale także datę, kiedy uderzenie ma nastąpić. Na podstawie tych wiadomości rząd Cartera, a w cztery miesiące później Reagana, zaalarmował rządy sprzymierzone i niezaangażowane oraz opinię światową, zapowiadając równocześnie daleko idące konsekwencje. W obu wypadkach rozkazy inwazji zostały w ostatniej chwili odwołane, a rząd Stanów Zjednoczonych ostro skrytykowany za podnoszenie „falszywego alarmu”.

W początkach listopada 1981 roku na posiedzeniu połączonych sztabów sowieckiego i polskiego jeden z sowieckich generałów ujawnił, że wywiad amerykański jest w posiadaniu planów przygotowywanej operacji przeciwko „Solidarności”. Najwidoczniej sowieccy także mieli swego informatora w Waszyngtonie. W kilka dni później – dokładnie 7 listopada – Kukliński zbiegł z Polski przed aresztowaniem i z całą rodziną znalazł się w Stanach Zjednoczonych. Tym samym na 36 dni przed ogłoszeniem stanu wojennego urwał się dopływ dalszych informacji. Poprzednio zdarzało się, że plany dostarczane przez Kuklińskiego ulegały zmianie w ostatniej chwili. Nie było więc pewności, czy i kiedy atak nastąpi. Poprzednie raporty o przygotowaniach do inwazji znalazły potwierdzenie w zdjęciach satelitarnych. Obecnie takiego potwierdzenia nie uzyskano. Meldunki w ciągu następnych kilku tygodni były sprzeczne. Prawdopodobnie niektóre z nich były podrzucane przez przeciwnika w celu zmylenia Amerykanów. Administracja obawiała się, że trzeci „fałszywy alarm” pozbawi ją wszelkiej wiarygodności.

Wyjaśnienia te nie odpowiadają na pytanie, dlaczego kierownictwo „Solidarności” nie zostało na czas ostrzeżone drogami poufnymi. Amerykanie odpowiadają na to, że takim ostrzeżeniem była niedyskrecja Albina Siwaka, członka Biura Politycznego, który na zebraniu branżowego Związku Zawodowego w Krośnie w końcu września 1981 ujawnił, że powołana została do życia Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON), złożona z sześciu generałów, z Jaruzelskim i Kiszczakiem na czele, wydzielono także specjalne oddziały ZOMO i wojsk wewnętrznych. Uderzenie zapowiedział Siwak na 23 grudnia.

Rewelacja Siwaka ogłoszona została przez „Agencję Solidarności” nr 44 pod datą 29 września i była całkowicie zignorowana. Podobny los spotkałby prawdopodobnie ostrzeżenie ze strony amerykańskiej, tym bardziej że w przeszłości dwukrotnie się nie sprawdziły.

Dużo trudniej zrozumieć, dlaczego Kukliński nie został ujawniony po 13 grudnia? Znal on dokładnie fakty wykazujące niezbicie, że cała operacja była nakazana i przygotowana we wszystkich szczegółach przez Moskwę, a Jaruzelski i jego sztab byli posłusznymi wykonawcami sowieckich rozkazów. Eksplozowanie tej bomby miałyby duży wpływ na zachodnią opinię, i to w chwili, gdy zabiegi Reagana o skierowanie ostrza środków odwetowych przeciwko Rosji napotykały na opór aliantów. Z informacji Kuklińskiego Reagan ujawnił tylko to – bez powołania się na źródło – że proklamacja stanu wojennego oraz inne druki i okólniki odbijane były w ZSRR na sowieckim papierze.

Powstaje pytanie, dlaczego czekali w Warszawie cztery i pół roku na ujawnienie sprawy Kuklińskiego i dlaczego zdecydowano się na to właśnie teraz. W kołach dziennikarskich mówi się, że reżim od pewnego czasu zabiegał o zniesienie pozostałych sankcji w zamian za jakieś bliżej nieokreślone ustępstwa. Wiązała się z tym nieoficjalna wizyta ambasadora Waltera Stoessela w Warszawie. Nie miała ona dalszego ciągu, a powstrzymanie się Stanów Zjednoczonych od głosowania nad przyjęciem PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego odczytane zostało w Warszawie jako sygnał, że nie ma co liczyć na jakieś *modus vivendi* i że nie ma już nic do stracenia albo zyskania w stosunkach z USA. Zdaniem korespondenta „New York Timesa” Kauffmana bezpośrednim następstwem tego stała się eskalacja ataków na Stany Zjednoczone i zaostrezenie represyjnego kursu w kraju.

Plk Kukliński w dalszym ciągu trzymany jest w ukryciu. Musi odczuwać rozgoryczenie i zawód. Kosztem wielkiego osobistego ryzyka dostarczył USA potężny ładunek wiadomości i dokumentów w nadziei, że ich ujawnienie posłuży obronie Polski. Nie przewidywał zapewne, że on sam i jego informacje zostaną schowane pod sukno i otoczone służbową tajemnicą. Wyjaśnienia, że chodzi o bezpieczeństwo jego osoby nie są przekonujące. Istnieją przecież takie precedensy, jak Światło, Tykociński, a ostatnio Spasowski i Rurarz. Polonia amerykańska ma prawo domagać się, by prawda została w pełni ujawniona.



Zamieszczając powyższe wyjaśnienia, musimy stwierdzić, że nie są one przekonujące. Jest zupełnie zrozumiałe, że nikt z „Solidarności” nie mógł potraktować poważnie rewelacji Albina Siwaka. Tłumaczenie, że chciano uniknąć fałszywych alarmów, które miały miejsce w latach 1980 i 1981, też nie jest poważne. Administracja amerykańska miała możliwość zapoznania sprzymierzonych z dostarczonymi przez plk. Kuklińskiego materiałami, zaznaczając, że plany mogą być zmienione lub zarzucone właśnie na skutek ich ujawnienia, nie mówiąc o tym, że nie można porównywać ostrzeżeń Siwaka z ostrzeżeniem pochodzącym od prezydenta Reagana. O ile pierwsze mogło być (i zostało) zignorowane jako element zastraszania „Solidarności” i nacisku na nią w ramach „wojny nerwów”, o tyle drugie – z uwagi na przyjazne i tak wysokie źródło – musiałyby być wzięte na serio, immunizując „Solidarność” przed efektem zaskoczenia i dając jej trochę czasu na przygotowanie się do ciosu i do oporu. Zresztą nie było nawet potrzebne osobiste zaangażowanie się prezydenta Reagana: na pewno całkowicie wystarczyłoby ostrzeżenie np. prezesa Mazewskiego czy Jana Nowaka lub Zbigniewa Brzezińskiego, których znaczenie polityczne jest doceniane i którzy cieszą się zaufaniem Polaków. Należałoby zatem przypuszczać, że żaden z nich o rewelacjach plk. Kuklińskiego nie był powiadomiony.

Cała ta godna pożałowania sprawa jest dowodem nie tylko braku konsekwentnej polityki amerykańskiej wobec Polski i krajów wschodniej Europy, ale ponadto świadczy o niekompetencji działaczy amerykańskich zajmujących się tymi sprawami, no i o braku lobby polskiego w Waszyngtonie. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski na przyszłość, nie zapominając jednak, że Stany Zjednoczone są mimo wszystko naszym głównym, jeśli nie jedynym, sojusznikiem. Ale też nie należy mieć złudzeń.

[7-8/1986]

Obserwatorium

Od zwolnienia przeważającej większości polskich więźniów politycznych minie niebawem miesiąc. Radość powitań, spotkania po długim niekiedy niewidzeniu, dyskusja o tym, jak działać w nowej sytuacji, pierwsze decyzje – wszystko to środowiska opozycyjne w Kraju mają już za sobą. Święto skończyło się; wróciliśmy do powszedniości. Dziś widzi się jaśniej niż w połowie września, że amnestia nie objęła ok. 40 osób więzionych z powodów politycznych. Co więcej, dochodzenia wszczęte przed jej ogłoszeniem trwają nadal; mówiąc żargonem prawników, wobec podejrzanych uchylono tylko stosowanie środka zapobiegawczego, a wobec skazanych – zawieszono wykonanie kary. W ostatnich latach władza wzbogaciła „normalne” ustawodawstwo karne tyloma przepisami właściwymi dla okresu stanu wojennego, że niemal zatarła granicę między jednym a drugim. Ale na wszelki wypadek pozostawiła sobie również możliwość ponownego uwięzienia tych, których teraz zwolniła, za czyny popełnione przed amnestią. Wydaje się mało prawdopodobne, by miała z tego rychło skorzystać. Utrzymanie takiej groźby świadczy jednak, że zwolnieni działacze „Solidarności” nie są dla władzy przyszłymi partnerami dialogu o najważniejszych problemach bytu narodowego. Są tylko przestępcami, którym okazano łaskawość i którzy winni odpowiedzieć na to zejściem ze sceny. Toteż oficjalne wypowiedzi, które to właśnie stwierdzają, należy traktować jako wyraz stanowiska istotnie zajmowanego przez władzę.

Po pięciu latach od wprowadzenia stanu wojennego najbardziej zdumiewającą osobliwością postawy wielu przywódców i działaczy opozycji jest ożywiająca ich wciąż nadzieja, że władza wreszcie zrozumie niesłuszność swego postępowania po 13 grudnia 1981, że przejrzy na oczy, że poprawi się i że ponownie podejmie dialog, który wtedy bezzasadnie przerwała. Można to nazwać „syndromem negocjacji”. Osoby porażone tą przypadłością wiedzą wprawdzie, że PRL z roku 1986 różni się zasadniczo od PRL z roku 1980 i, gdy je o to zapytać, całkiem trzeźwo oceniają generała Jaruzelskiego i jego ludzi, niczego się po nich nie spodziewają, nie liczą na żadne dobrowolne ustępstwa z ich strony. Ale ta przenikliwość jest wyłącznie deklaratywna. Najmniejszy krok władzy, w którym

mogą, choćby z wysiłkiem, dopatrzeć się czystych intencji, rozprasza bowiem ich nieufność wobec niej, wymazując zarazem z pamięci historię minionych pięciu lat – i trzydziestu pięciu poprzednich. Odtąd oczekują tylko telefonu, który zaprosi na rozmowy, i boją się zrobić lub powiedzieć cokolwiek, co mogłoby w tym przeszkodzić. Od 13 grudnia ten nastrój wyczekiwania pojawiał się już kilkakrotnie; za każdym razem następowało po nim rozczarowanie. Niestety podatność na złudzenia nie maleje pod wpływem doświadczeń. Tym razem władza, po licznych demonstracjach nieustępliwości, zaskoczyła opinię decyzją na prawdę doniosłą. Jej bezpośredni skutek – zwolnienie kilkuset więźniów politycznych, w tym czołowych działaczy „Solidarności” – wzbudził uzasadnioną radość. Nic więc dziwnego, że „syndrom negocjacji” przeobraził się z dolegliwości jednostkowej w epidemię, zarażając całe środowiska, zwłaszcza w Warszawie i w Gdańsku.

Najgroźniejszym tego objawem była utrata zdolności do właściwej oceny kontynuowanej przez władzę polityki – polityki „normalizacji” – co spowodowało, że jedni już widzieli się na salonach Rady Konsultacyjnej, podczas gdy inni planowali utworzenie komitetu do przywrócenia pluralizmu związkowego. Jak gdyby władza kiedykolwiek wyraziła zamiar zaproszenia przedstawicieli opozycji do Rady Konsultacyjnej, choć ta nie została przecież jeszcze powołana i choć nie wiadomo, jakie będą jej uprawnienia i jaką rolę będzie odgrywać. I jak gdyby zabiegi o cofnięcie delegalizacji „Solidarności” i innych niezależnych związków zawodowych wymagały specjalnego komitetu, a nie wspólnego wystąpienia władz zainteresowanych organizacji. Pisząc o tych i jeszcze dziwniejszych pomysłach, korespondenci i goście zagraniczni mieli prawo przypuszczać, że zdaniem ich autorów „Solidarność” już się skończyła. Wypowiedzi różnych autorytatywnych przedstawicieli opozycji – to, co w nich było, i to, czego w nich brakło – wystarczały z nawiązką, by ich o tym przekonać. Zamętu tego nie przerwała nawet świetna deklaracja Zbigniewa Bujaka złożona natychmiast po zwolnieniu.

Dopiero powołanie 30 września przez Lecha Wałęsę Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność” położyło kres myśleniu zachciankowemu. Ale i tej decyzji towarzyszyły liczne niejasności. Taka niejasność ciąży na stosunkach między Radą a Lechem Wałęsą, nie wiadomo bowiem, czy jest on jej członkiem, czy nie. Taka niejasność, o wiele groźniejsza w skutkach, ciążyła początkowo na stosunku do działalności podziemnej, ponieważ nie powiedziano wyraźnie, że o ile osoby przebywające w podziemiu od grudnia 1981 roku mają pełne prawo wyjść na powierzchnię, o tyle struktury powinny nadal działać w konspiracji, a ich członkom nie wolno się ujawniać. Jeszcze bardziej jaskrawym objawem „syndromu negocjacji” były mętne wystąpienia Lecha Wałęsy oraz oświadczenie Rady o jej ukonstytuowaniu się, które przemawiały wyłącznie do władzy, jak gdyby pierwszym obowiązkiem tej nowej instancji „Solidarności” nie było zwrócenie się do członków związku. Nikt nie pomyślał, że należy im podzięko-

wać za wierność, choć przecież to ich liczebność i wywierany przez nich nacisk mają swój ważki udział w wymuszeniu na władzy decyzji o amnestii. Nikt nie dokonał podsumowania minionych pięciu lat i nie zarysował, choćby ogólnie, obecnego stanu związku. Nikt nie zaapelował o dalszą wytrwałość. Później dopiero pojawiły się oświadczenia Władysława Frasyniuka i Marka Muszyńskiego we Wrocławiu oraz Tadeusza Jędynaka i Andrzeja Górnego w Katowicach, podczas gdy w Warszawie i Lublinie utworzono jawne struktury regionalne obok struktur podziemnych, a nie zamiast nich, w Łodzi zaś postanowiło wznowić działalność dawne prezydium regionu. Są to wydarzenia ważne i bardzo pozytywne. Wiele spraw pozostaje jednak bez wyjaśnienia, co grozi komplikacjami i konfliktami w przyszłości.

Podjęmując decyzję o zwolnieniu przytłaczającej większości więźniów politycznych, władza nie kierowała się ani względami humanitarnymi, ani dążeniem do porozumienia się z „Solidarnością” na gruncie nadrzędnych interesów narodu. Celem amnestii – jak o tym świadczą zresztą organy prasowe rządu PRL – jest wzmocnienie międzynarodowej pozycji ekipy generała Jaruzelskiego, a zarazem dalsze osłabienie działających w Polsce instytucji niezależnych.

Kraje bloku sowieckiego doprowadziły do perfekcji handel żywym towarem. Honecker sprzedaje RFN swych więźniów politycznych za dewizy. Gorbaczow używa dysydentów i Żydów pragnących wyemigrować do Izraela jako drobnej monety, którą może opłacać ustępstwa Zachodu. Generał Jaruzelski również wkroczył na tę drogę. Amnestia ma umożliwić uzyskanie od Kongresu Stanów Zjednoczonych klauzuli najwyższego uprzywilejowania, gwarancji rządu amerykańskiego dla pożyczek udzielanych przez banki prywatne oraz jego poparcia dla starań o kredyty z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. W numerze wrześniowym wyraziliśmy – nie po raz pierwszy – nasz negatywny stosunek do polityki „im gorzej, tym lepiej” oraz do polityki nieodwzajemnionych ustępstw. Uważamy amnestię za akt wielkiej wagi. Ale widzimy w niej tylko spełnienie koniecznego wstępnego warunku dalszych negocjacji. W ich toku należy postulować nie mglisty dialog władzy „z przywódcami środowisk Kościoła, opozycji demokratycznej i niezależnych związków zawodowych”, o czym wspomina Kongres Polonii Amerykańskiej w swym oświadczeniu z 27 września, ale wprowadzenie w Polsce statusu więźnia politycznego i uznanie pluralizmu związkowego oraz zadośćuczynienie pewnym wymogom sioście gospodarczym (patrz „Kultura” nr 9/468, s. 16–21). Ostatecznie nawet w PRL te same przyczyny powodują te same skutki. Ponieważ zaś przyczyny kryzysu gospodarczego nie zostały usunięte, jak nie zniknęły te, które sprawiają, że od pięciu lat rytm życia polskiego wyznaczają aresztowania i amnestie, przeto nie ma podstaw, by oczekiwać w przewidywalnej przyszłości uzdrowienia gospodarki i zniknięcia z naszego krajobrazu więźniów politycznych. Chyba że dokonałyby się zmiany instytucjonalne znacznie wykraczające poza powołanie Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa, konwentów podobnego typu przy radach narodowych czy rzeczników praw obywatelskich.

Dziś już wiadomo, że władza nie zamierza w niczym ustąpić opozycji. Świadczy o tym oświadczenia Jerzego Urbana i generała Kiszczaka, wsparte artykułem „Prawdy”, który pozwoli tubom szeptanej propagandy głosić, że rząd PRL chciał bez mała zaprowadzić w Polsce wolność, ale przeszkodziły mu w tym warunki geopolityczne (czytaj: Sowiety). Świadczy o tym przede wszystkim formalne uznanie Tymczasowej Rady „Solidarności” za nielegalną. Jawne działania „Solidarności” są jednak prowadzone nadal, i to na rosnącej skalę. Jest więc rzeczą oczywistą, że władza odpowie na to prędzej czy później kolejną ofensywą policyjną, która – jeśli nie wyrazi się w aresztowaniach – przybrać może formę ścisłego nadzoru nad działaczami „Solidarności”, by uniemożliwić im spotkania się, a zwłaszcza jakiegokolwiek kontakt ze strukturami podziemnymi. W tym stanie rzeczy, jeśli TTK nie zostanie wyraźnie upoważniona do zabierania głosu w imieniu związku, uniemożliwienie funkcjonowania Rady grozi „Solidarności” milczeniem i paraliżem. Podobne niebezpieczeństwo rysuje się również w regionach.

Ale władza na pewno nie poprzestanie na przedsięwzięciach policyjnych i nie one są dziś najbardziej niebezpieczne. O wiele groźniejszy jest wysilek skierowany na rozbięcie, skłócenie i skompromitowanie opozycji. Już w ostatnich miesiącach widać było, jak ważną rolę w wytwarzaniu „syndromu negocjacji” odgrywały poufne rozmowy prowadzone przez tajnych wysłanników władzy z wybranymi przez nich rzekomymi przedstawicielami instytucji opozycyjnych, którzy, choć w istocie reprezentują głównie samych siebie, skutecznie wytwarzają wrażenie namaszczonej święceniemi najwyższego stopnia. Nie ulega kwestii, że tego rodzaju pertraktacje będą wznowione, a może nawet toczą się już teraz, że utworzenie Rady Konsultacyjnej da asumpt do kolejnych prób dzielenia opozycji i że podobną rolę odegra ewentualna legalizacja pism wychodzących dotąd poza zasięg cenzury. Chciałoby się poradzić niektórym, by miast słuchać tego, co szepczą im do ucha ich dyskretni oficjalni interlokutorzy, czytali gazety i brali na serio wypowiedzi panów Jaruzelskiego, Kiszczaka i Urbana. Nie po to, rzecz jasna, by unikać rozmów. Prowadzić je trzeba, gdy tylko jest nikła choćby, ale realna szansa, że dadzą pożądane skutki. Ale nie wolno ulegać złudzeniom i zapominać o tym, że są to rozmowy nie z polskimi patriotami, którzy mają inne poglądy niż my, ale z patriotami Układu Warszawskiego, niepodatnymi na nasze argumenty, i którzy ustępują nie z dobrej woli, ale wtedy jedynie, gdy stosunek sił okazuje się dla nich niekorzystny.

Represje są straszne dla jednostek. Ale ruchy społeczne wychodzą z nich często wzmocnione. Jak świadczy amnestia, władze PRL zdały sobie sprawę, że zbliżają się do punktu, w którym mnożenie liczby więźniów politycznych może zacząć działać na rzecz „Solidarności”. Z. Morawski nie mówi nic innego, gdy stwierdza, że „sprawa osób uwięzionych z powodów politycznych była poważnym, odczuwanym przez wszystkich problemem etycznym” („Życie Warszawy” z 2 października 1986). Obecnie wkraczamy prawdopodobnie w okres szklan

administracyjnych, które mogą być bardzo dokuczliwe, oraz prób rozkładania opozycji od wewnątrz. Jeśli instytucje niezależne wyjdą i z tego bez szwanku, to można będzie uznać je za nieusuwalny już składnik polskiego życia publicznego. Oby.

18 października 1986

Dwa wydarzenia z ostatnich dni wymagają od nas zajęcia stanowiska:

Pierwsze – to list do prezydenta Reagana wzywający do zniesienia sankcji, którego autorami są Lech Wałęsa i 9 znanych intelektualistów należących do opozycji lub jej bliskich (w tym kilku doradców „Solidarności” i działaczy katolickich). List zadziwiający. Niektóre koła emigracyjne, polonijne i amerykańskie ujrzały w nim natychmiast z dawna oczekiwany dowód, że Polska wkracza wreszcie w okres pluralizmu politycznego i że problem, jakim była „Solidarność”, przestał istnieć. Zbyteczne wyjaśniać, że tak nie jest. Zwalniając więźniów, władza istotnie wykonała krok, który mógłby być otworzyć nowe perspektywy. „Solidarność” odpowiedziała powrotem do normalnego życia osób pozostających dotąd w podziemiu i gotowością podjęcia rozmów z władzą. Jak odpowiedziała na to władza – wiadomo. Wiadomo też, iż nie podjęła ostatnio żadnej decyzji dotyczącej gospodarki, która by uzasadniała nadzieję na poważne zmiany w tej dziedzinie. Toteż list dziesięciu można poczytywać tylko za kolejny objaw myślenia zachciankowego i „syndromu negocjacji”. Jest on adresowany w istocie nie do prezydenta Reagana, ale do generała Jaruzelskiego, którego ma przekonać, że powinien rozpocząć dialog z sygnatariuszami. *O sancta simplicitas!*

Drugie wydarzenie to opublikowane poniżej wspólne oświadczenie TTK i Lecha Wałęsy z 12 października br. Pozytywny jest tu już sam fakt, że Wałęsa po wielomiesięcznej przerwie spotkał się z TTK i podpisał z nią wspólny tekst. Ważne jest też podkreślenie konieczności kontynuowania działalności podziemnej przez zdelegalizowaną przecież – o czym niektórzy zapominają – „Solidarność”, zwrócenie uwagi na doniosłość struktur zakładowych, wyjaśnienie roli poszczególnych ogniw, a zwłaszcza – samej TTK jako odpowiedzialnej za bieżącą działalność związku, co gwarantuje zachowanie ciągłości organizacyjnej. Oczywiście powstają nowe problemy. Ponieważ TTK składać się odtąd będzie z przedstawicieli regionów, których nazwiska nie mogą być ujawnione, zachodzi niebezpieczeństwo ogłaszania w jej imieniu fałszywek. Toteż wszystkie dokumenty, których autorem jest rzekomo TTK, wolno uważać za autentyczne tylko jeśli uwierzytnili je w kraju Lech Wałęsa i druga osoba, wybrana przez TTK, a za granicą – biuro brukselskie, przedstawiciel „Solidarności” wobec międzynarodowego ruchu związkowego.

To powiedziawszy, nie sposób nie wyrazić głębokiego niepokoju co do przyszłych stosunków między TTK a Tymczasową Radą „Solidarności”. Lektura oś-

wiadczenia budzi obawę, że te stosunki już teraz są bardzo złe; stanowisko Wałęsy stało się w tej sytuacji zupełnie niezrozumiałe. TKK twierdzi – i słusznie – że ostatnie wydarzenia wywołały wiele zamętu i nieporozumień wśród członków i sympatyków „Solidarności”. Oświadczenie nie przywraca niestety jasności. Co gorsza może przyczynić się do rozpętania sporów i wzajemnych oskarżeń, które byłyby na rękę wyłącznie władzy. Bardziej niż kiedykolwiek „Solidarność” potrzebuje dziś organizacyjnej i politycznej zwartości.

[11/1986]

REDAKCJA

Kryzys w „Solidarności”

Oświadczenie „Kultury”

W lipcu bieżącego roku Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił przyznanie „Solidarności” na rok 1987 pomocy w wysokości jednego miliona dolarów. W sierpniu Lech Wałęsa powiadomił ofiarodawcę listem otwartym, że „Solidarność” postanowiła przeznaczyć obecnie całość tej sumy na cele socjalne. Zarówno tryb podjęcia tej decyzji, jak jej treść budzą nasze istotne zastrzeżenia.

Przede wszystkim nie wiadomo, jaka instancja „Solidarności” ponosi za to odpowiedzialność: TKK? Tymczasowa Rada? Lech Wałęsa jako przewodniczący Związku? Doradcy Wałęsy? Naciski różnych emisariuszy Departamentu Stanu lub za takich się podający? Wymogi konspiracji nie tłumaczą tego przemilczenia. Skład TKK jest niejawnym, a Lech Wałęsa i tak publicznie aprobeuje i uzasadnia podjętą decyzję. Nie ma więc powodów, by jej autorzy pozostawali w ukryciu. Nie ma też powodów, by nie ujawnić dyskusji na ten temat, a nie innego stanowiska. Łączy się z tym inne pytanie, na które brak odpowiedzi: jak to się stało, że decydowanie o przeznaczeniu sumy przyznanej przez Kongres trwało tak długo? Przecież uchwała Kongresu nie spadła z nieba i było chyba dość czasu, by spokojnie przygotować się na jej przyjęcie.

Przejdźmy do treści. Stan ochrony zdrowia w PRL zaiste jest rozpaczliwy. Czy wynika z tego jednak, że należało przeznaczyć na ten cel całą otrzymaną sumę? Czy należało zrezygnować z możliwości zaspokojenia najbardziej palących potrzeb struktur „Solidarności”, a zwłaszcza – poligrafii, aby utworzyć Fundusz Socjalny w wysokości akurat jednego miliona dolarów? Zresztą do tej chwili – połowa września – nie są znane dalsze losy tej inicjatywy.

Wszystko skłania zatem do przypuszczenia, że podejmując ją, kierowano się nie tylko chęcią wykorzystania otrzymanej kwoty w sposób maksymalnie użyteczny, lecz również dążeniem do pokazania rządowi PRL, iż bierze się pod uwagę jego opinię. Przy okazji zadowolono też Departament Stanu USA, dla którego sprawa mianowania ambasadora w Warszawie jest – i zawsze była – ważniejsza od interesów „Solidarności”, o co zresztą nie sposób mieć doń pretensji. Jeśli to przypuszczenie jest słuszne, są podstawy do głębokiego zaniepokojenia. Ale nawet gdyby okazało się bezzasadne, pozostawałby fakt podjęcia anonimowo

decyzji niezrozumiałej i nieprzekonującej w sprawie, której waga polityczna i finansowa jest chyba jasna dla każdego.

Propaganda oficjalna uważa, że wszelka pomoc zagraniczna dla „Solidarności” jest zła i upatruje w niej uzasadnienie dla swych oszczerstw. W środowiskach opozycyjnych, a nawet na emigracji, nie brak niestety osób podatnych na działanie tej propagandy. Trzeba zatem przypomnieć, że z pomocy zagranicznej, przeważnie amerykańskiej, korzystają wszystkie związki zawodowe skazane na nielegalność. W pomocy takiej nie ma zresztą nic zdrożnego, dopóki jest jawna i nieobwarowana żadnymi warunkami i dopóki przyznają ją instytucje otoczone powszechnym szacunkiem. W danym przypadku wszystkie te warunki są spełnione. Co więcej, wniosek o uchwalenie pomocy dla „Solidarności” wyszedł nie od rządu USA, ale od samych deputowanych, którzy reprezentowali po równi partię republikańską i demokratyczną, a jego uchwalenie w Senacie poprzedziła kampania na rzecz takiej uchwały prowadzona przez Kongres Polonii Amerykańskiej. Jest to więc najdosłowniej pomoc społeczeństwa amerykańskiego, a nie takiej czy innej agendy rządu.

Wreszcie, a nie jest to bez znaczenia, ta sama uchwała, która asygnuje milion dolarów na „Solidarność”, przyznaje dziesięć milionów Fundacji Rolniczej Episkopatu Polski i na cele lecznicze. Wiadomo już, że te pieniądze zostały przyjęte; pewien wiceminister rządu PRL wypowiedział się nawet na temat sposobu, w jaki powinny być wydane. Nie jest to niespodzianką. Od 1982 roku rząd PRL przyjął łącznie kilkadziesiąt milionów dolarów pomocy uchwalonej przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Dla rządu PRL amerykańskie pieniądze są dobre – gdy on je dostaje. Ale są złe, gdy dostaje je „Solidarność”. Albowiem dla rządu PRL „Solidarność” pozostaje wrogiem numer jeden, toteż robi on wszystko, by ją zniszczyć. Działacze „Solidarności” winni zatem robić wszystko, by jej bronić. Wymóg to oczywisty i skromny. Fakt, że trzeba o tym przypominać, świadczy, że zamęt polityczny w środowiskach opozycyjnych stał się prawdziwie groźnym niebezpieczeństwem.

Wałęsa w swoim oświadczeniu zapowiada stworzenie grupy roboczej, która miałaby zająć się zaprojektowaniem zużycia wspomnianego miliona dolarów na cele społeczne, i zwraca się do TKK, TR, ogniw regionalnych i zakładowych „o przyjęcie z pomocą tej inicjatywie”. Wydaje się, że byłoby właściwsze, żeby te wszystkie ogniw były konsultowane przed podjęciem decyzji odrzucenia dotacji na samą „Solidarność”.

Co należałoby teraz zrobić? – Należałoby przeprowadzić we wszystkich ogniwach regionalnych i zakładowych coś w rodzaju ankiety-plebiscytu, mającego na celu wyjaśnienie:

- Czy decyzja Wałęsy była słuszna?
- Przez kogo decyzja Wałęsy była zaaprobowana?
- Czy doradcy są na wysokości zadania i czy należycie spełniają swoje funkcje?

– Czy na skutek dekompozycji licznych struktur „Solidarności”, jak TKK, Tymczasowa Rada etc., wszystkie ważniejsze decyzje nie powinny być zawczasu konsultowane przez wszystkie terenowe ogniw „Solidarności”?

Taki plebiscyt może być w obecnej chwili przeprowadzony jedynie poprzez najważniejsze niezależne pisma i to jest ich obowiązkiem.

Antony, 13 września 1987

[10/1987]

Obserwatorium

Zapowiadano „trzęsienie ziemi”. Ilustracją tych zapowiedzi były tezy Biura Politycznego KC PZPR udostępnione – w pełnym brzmieniu? – niektórym korespondentom zagranicznym w Warszawie, ale nieopublikowane w prasie oficjalnej. Potem przyszło plenum KC. Trwało tylko jeden dzień, a dyskusja nie zasługiwała na tę nazwę: wypowiadali się głównie „robotnicy członkowie KC”, czyli po prostu figuranci. Rzecznicy aparatu partyjnego wstrzymali się od głosu: czyżby nie mieli nic do powiedzenia? Wystąpienie premiera było, jak zwykle, bez wyrazu. Przemówienie końcowe gen. Jaruzelskiego zawierało wyłącznie ogólniki w partyjno-patetycznym sosie. Plenum, które reklamowano jako szczególnie ważne, wręcz przełomowe, zionęło rutyną i nudą jeszcze bardziej niż inne imprezy tego rodzaju, przypominając swym charakterem spokojne czasy Edwarda Gierka, nie zaś burzliwe obrady z okresu „Solidarności”, gdy nawet członkowie KC PZPR mówili niekiedy ludzkim głosem. Jedyną konkretną uchwałą okazało się poparcie dla projektu referendum w sprawie reformy gospodarczej, zgłoszonej przez PRON.

Sesja Sejmu też nie przyniosła ciekawych nowości. Trudno bowiem przejmować się zapowiedzianą redukcją liczby ministerstw i urzędników administracji centralnej. Wiele takich operacji znamy przecież z przeszłości. Ich jedynym skutkiem była na ogół zmiana wywieszek na gmachach urzędowych, które, po krótkim okresie zwolnień, okazywały się jeszcze gęściej zatłoczone niż przedtem, zgodnie z zasadą wymyśloną na tę okoliczność przez Lejzorka Rojtszwańca w samych początkach systemu sowieckiego: gdzie są redukcje, tam są i przyjęcia. Zmniejszenie zatrudnienia w administracji centralnej miałoby znaczenie, gdyby – jak w latach 1955–1956 – dotknęło służby bezpieczeństwa, wojska, aparatu partyjnego. Ponieważ tak nie będzie, wiadomo już, że dokona się kolejne przemalowywanie fasady. A gmach pozostanie, jaki był.

Cała ta historia jest jednakowoż znamienna choćby dlatego, że ukazuje szczególnie wyraziście techniki manipulowania opinią stosowane przez ekipę gen. Jaruzelskiego. Zaczyna się zawsze od wytwarzania oczekiwań i nadziei rozpuszczaniem plotek i popełnianiem zaprogramowanych niedyskrecji. Pozwala to użyć bardziej łatwowiernych przedstawicieli opozycji – niekiedy o znanych i za-

służonych nazwiskach – jako zwiastunów dobrych nowin, a prasę zachodnią, która powtarza ich opinie i dodaje do tego własne spekulacje, wykorzystać do podnoszenia kursu akcji gen. Jaruzelskiego nie tylko na Zachodzie, ale również w samej Polsce. Gdy zaś góra urodzi mysz, gdy oczekiwania okażą się zawiedzione, lansuje się pogląd, że decyzje są wynikiem ostrej walki w aparacie władzy i że, choć są skromne, należy uważać je za duży sukces reformatorów, którym przewodzi rzecz jasna gen. Jaruzelski i których należy popierać, aby nie zgniotła ich partyjna konserwa lub interwencja Związku Sowieckiego. Umiejętnie dawkując decyzje i pogłoski, władza ma czym karmić oczekiwania przez kilka miesięcy. A gdy temat ulegnie wyczerpaniu, propaganda wpada na nowy pomysł i wszystko zaczyna się od początku. Tak było z pierwszym etapem reformy gospodarczej. Tak było zwłaszcza z Radą Konsultacyjną. Przy czym za każdym razem znajdują się przedstawiciele opozycji gotowi żyrować wystawiane przez władzę czeki, jak gdyby nie wiedzieli lub nie chcieli uwierzyć, że są to czeki bez pokrycia.

I tak trwa to od sześciu lat, w ciągu których ekipa gen. Jaruzelskiego nie rozwiązała ani jednego żywotnego problemu Polski. „Pierwszy etap reformy gospodarczej” zawiódł oczekiwania nie tylko społeczeństwa. Nawet samego rządu. Wiadomo, że Polska jest w przededniu zapaści cywilizacyjnej i że nie ma ani jednej dziedziny gospodarki i kultury, gdzie by nie groziła katastrofa. Ale dla ekipy rządzącej kryzys nie jest kryzysem cywilizacji, zdrowia, oświaty, nauki, środowiska naturalnego i wszystkiego innego. Jest przede wszystkim kryzysem systemu panowania. I tym, co tę ekipę interesuje, jest w pierwszym rzędzie, jeśli nie wyłącznie, utrwalenie systemu panowania aparatu partyjno-wojskowo-bezpieczniackiego. Wszystko inne należy z jej punktu widzenia do porządku środków, które, jeśli trzeba, mogą nawet być „liberalne”, byle służyły realizacji nadrzędnego celu.

Kolejnym tego przykładem jest pomysł referendum, przedstawiany jako wprowadzenie w życie demokracji bezpośredniej, a który ma z nią tyleż wspólnego, co zmniejszanie liczby urzędników z ograniczaniem roli państwa, a leninizm gen. Jaruzelskiego z liberalizmem pani Thatcher. Pomińmy nawet fakt, że historia PRL pamięta jedno referendum, które nie było wzorem demokracji, chyba że mowa o „demokracji ludowej”. I zauważmy tylko, że naród ma odpowiedzieć na pytanie, czy chce realizacji reformy gospodarczej w tempie szybszym czy wolniejszym. Nie pyta się go o treść i zakres reformy. Nie podejmuje się dyskusji na temat wybranej przez władzę terapii, która ma rzekomo uzdrowić gospodarkę. Dyskusji takiej nie było zresztą w partii. Nie było jej na ostatnim plenum KC. Nic więc dziwnego, że i od narodu chce się wyłącznie aklamacji.

Nic też dziwnego, że nie przedstawia się jasno i otwarcie kosztów, jakie w najbliższym okresie będzie musiało ponieść społeczeństwo. I że, nazywając rzecz po imieniu, okłamuje się po prostu i zwyczajnie opinię, gdyż udając, jakoby pytało się ją o tempo reformy, pragnie się uzyskać od niej odpowiedź na zu-

pełnie inne pytanie, zgodę na zupełnie inną decyzję. Na decyzję dotyczącą jedynej liberalizacji, na której rządowi naprawdę zależy – liberalizacji cen. Kiedy w oficjalnych wystąpieniach mówi się o potrzebie przywrócenia równowagi w gospodarce, za tym jakże słusznym postulatem kryje się przecież wymóg ostrego podniesienia cen przy równoczesnym zablokowaniu płac, tzn. dalszego zmniejszenia popytu. Tylko to pozwala przywrócić równowagę, gdy nie jest się w stanie zwiększyć podaży. Gdyby pytanie postawione pod referendum było sformułowane uczciwie, to by brzmiało: czy zgadzacie się na kolejną, drastyczną obniżkę waszej stopy życiowej?

Na to pytanie odpowiedzieć trzeba dwoma pytaniami: jakie są szanse, że ta obniżka zaowocuje odczuwalną poprawą, że zapoczątkuje choćby powolne, ale rzeczywiste zmiany, prowadzące ku strukturalnej przebudowie gospodarki narodowej i polepszeniu warunków życia Polaków? Kto gwarantuje, że nie będzie to jeszcze jedno poświęcenie, które zostanie zmarnowane, jak tyle innych w ciągu minionych czterdziestu trzech lat?

Odpowiedzi narzucają się nieodparcie. Władza nie jest w stanie udzielić żadnych gwarancji. Nawet gdyby zapomniano się o Bierucie, o Gomulce i o Gierku, niepodobna nie dostrzec, że ekipa gen. Jaruzelskiego zaprzepaściła minionych sześć lat i że, co więcej, zachowuje się tak, jak gdyby doszła do władzy dopiero wczoraj i nie ponosiła pełnej odpowiedzialności za obecny stan kraju. *Exposé* premiera podczas ostatniej sesji sejmiku było znamienym przykładem tego stanu umysłu, który świadczy, że władcy PRL nie zmienili się w stopniu, który by pozwalał oczekiwać od nich czegokolwiek. Toteż szanse poprawy są nikłe, by nie powiedzieć żadne, o ile zmiany podstaw organizacji gospodarki i systemu sprawowania władzy nie będą tak głębokie, że otworzą zupełnie nowe perspektywy. Ale wymusić takie zmiany mógłby tylko nacisk mocnego ruchu społecznego, którego obecnie brak. Te zaś, które zapowiadają najbardziej nawet optymistyczne pogłoski na temat uchwał następnego plenum KC, nawet gdyby zostały wprowadzone w życie, wniosłyby tylko częściowe, choć bez wątpienia ważne usprawnienia do systemu, który ciągle podporządkowany jest celowi „zbudowania socjalizmu”. Dlatego też jedynym stanowiskiem, jakie opozycja winna zająć wobec referendum, jest wezwanie do powstrzymania się od udziału w tym przedsięwzięciu.

[11/1987]

Obserwatorium

Podjęcie pracy przez Stoczną Gdańską zakończyło – na jak długo? – strajki, które zaczęły się w Bydgoszczy i osiągnęły szczytowe nasilenie w Nowej Hucie. Od 25 kwietnia do 11 maja strajkowało w całej Polsce osiem zakładów przemysłowych; inne poprzestały na ogłoszeniu pogotowia strajkowego lub krótkich przerw w pracy. Strajkowało również kilka wyższych uczelni. Ale tylko w dwóch przypadkach – w hucie i w stoczni – strajk miał charakter jawnie polityczny i trwał dłużej niż kilka dni. Nawet wtargnięcie ZOMO na teren huty, pobicie strajkujących, aresztowania i grzywny nie uruchomiły ogólnopolskiej, masowej akcji protestacyjnej. Hutę poparła tylko stocznia. Szczególnie uderzająca jest bierność Warszawy, nawet jeśli uwzględnimy strajk w Ursusie, skończony, nim zdołał się naprawdę zacząć. Smutny obraz regresu solidarności robotniczej do stanu sprzed „Solidarności”.

Tym większy podziw i szacunek budzi postawa strajkujących zarówno w hucie, jak w stoczni. Domagali się przecież podwyżek płac nie tylko dla siebie, ale również m.in. dla służby zdrowia, pauperyzowanej przez politykę płacową władz, choć od jej sprawnego działania zależą w istotnej mierze losy jednostek i przyszłość narodu. Domagali się też zalegalizowania „Solidarności”, bez czego mowy nawet być nie może o zapoczątkowaniu wychodzenia z kryzysu. Zaś trwanie w hucie strajku absencyjnego już po wtargnięciu ZOMO i przerwaniu przemocą okupacji zakładu oraz sprzeciw 90% strajkujących wobec decyzji zakończenia strajku w stoczni, którą przyjęto, wedle słów Lecha Wałęsy, z oporami i z „wściekłością” – były świadectwem determinacji, odwagi i poświęcenia spraw osobistych na rzecz interesów ogółu, przed którymi należy pochylić czoła.

Strajki odsłoniły nie tylko słabość solidarności robotniczej. Również podzielił i dezorientację inteligencji niezależnej i opozycyjnej, której jednomyślne poparcie dla robotników zdaje się należeć do przeszłości. W Krakowie środowisko „Tygodnika Powszechnego” bez zwłoki i jednoznacznie opowiedziało się za strajkującymi hutnikami. W Warszawie zareagowano dopiero na użycie przez władze siły. Przedtem, przez około 10 dni, nie ukazało się żadne zbiorowe oświadczenie z wyrazami poparcia dla strajkujących. Nie ukazało się, gdyż wpływowe koła inteligencji warszawskiej uznały, że strajki są nie na czasie. Jedni utrzymu-

ją, że nie należy osłabiać Jaruzelskiego, który jest przecież najmniejszym złem – jak gdyby najmniejsze zło było zarazem największym dobrem. Inni powołują się na Gorbaczowa i odrzucają wszystko, co mogłoby, ich zdaniem, zaszkodzić pierestrojce: po co robić rewolucję, gdy można osiągnąć swe cele w trybie ewolucyjnym? Stanowisko takie – zrozumiałe u Rakowskiego – zadziwia, gdy zajmują je osoby bliskie „Solidarności” lub zgola jej doradcy. Jeszcze inni, jak np. Wiesław Chrzanowski, uznali strajki za przejaw ulegania emocjom ze strony młodych, radykalnych robotników i zaapelowali o podjęcie dialogu z władzą, jak gdyby siedem lat – nie mówiąc o wszystkich poprzednich – nie nauczyło ich, że władza lubi dialog z tymi tylko, którzy są jej posłuszni, czego Rakowski nie omieszczał przypomnieć raz jeszcze. Również Lech Wałęsa uważał strajki za nie-wczesne, gdyż – jak powiedział – „Solidarność” zaplanowała protesty na sierpień. W tym myśleniu o ruchu społecznym kategoriami kombatantów, którzy żyją od rocznicy do rocznicy, jest coś głęboko niepokojącego. Na szczęście Wałęsa postawił więc z kolegami wyżej niż plany wykoncypowane za biurkiem, wziął udział w strajku stoczni i opuścił ją dopiero wraz z ogółem strajkujących. Uczestniczył on jednak w strajku – i faktu tego nie sposób przemilczeć – nie jako przewodniczący „Solidarności”, ale jako stoczniowiec.

To zdezwuwanie Wałęsy-przewodniczącego przez Wałęsę-stoczniowca jest wymownym symbolem obecnego stanu stosunków między krajowym kierownictwem „Solidarności” a robotnikami. Pod wpływem doradców przekonanych, że w ustroju komunistycznym nie ma miejsca na nielegalny związek zawodowy, zrezygnowało ono z powolnej i długotrwałej budowy organizacji związkowych w zakładach i regionach, czyli z budowy realnej siły politycznej, zdolnej w perspektywie wyrzucić wpływ na rozwój sytuacji w Polsce. Zaś ustrój komunistyczny – co chyba nie było dla nikogo niespodzianką – udowodnił, że nie ma w nim miejsca również dla legalnych związków zawodowych, o ile nie chcą uznać jego legalności, tzn. podporządkować się, jak OPZZ, aparatowi partyjnemu, a zarazem nie są dostatecznie silne, by wymusić uznanie. Krajowe kierownictwo „Solidarności” zostało zatem pozbawione swego jedyne – obok udziału w nabożeństwach rocznicowych – pomysłu na działanie, którym było podejmowanie starań o legalizację „Solidarności” w zakładach. Bez projektów organizacyjnych, bez programu, którego nie zastąpi nostalgiczne upominanie się o powrót do porozumień gdańskich, krajowe kierownictwo „Solidarności” w jego obecnym składzie stało się instytucją szczątkową, pozostałością z innej epoki, niezdolną wypracować polityki dostosowanej do teraźniejszości i zwróconej w przyszłość. Nic dziwnego, że utraciło kontakt z robotnikami, zwłaszcza młodymi, i z tymi wszystkimi, którzy od „Solidarności” oczekują w pierwszym rzędzie, by była niezależnym i samorządnym związkiem zawodowym. Nic też dziwnego, że nie było przygotowane na wybuch strajków i że nie odegrało w ich toku żadnej roli. Było wprawdzie jakieś oświadczenie KKW, ale nikt nie zwrócił nawet na nie uwagi.

Innym przykładem rozpadu kierowniczych struktur „Solidarności” jest pojawienie się w hucie i w stoczni dotychczasowych doradców, prof. Stelmachowskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Andrzeja Wielowieyskiego – nie z upoważnienia związku, ale w roli mediatorów powołanych przez Episkopat. Mediatorów? Władze centralne wyraziły zgodę na ich misję, gdyż spodziewały się, że uspokoją robotników i przyczynią się do szybkiego zakończenia strajków. Episkopat pragnął tego samego. O tym, że władze nie zamierzały negocjować i zawierać kompromisów świadczy interwencja ZOMO w hucie, która pozwoliła władzy zademonstrować siłę, a zarazem skompromitować mediatorów i podważyć zaufanie robotników do Episkopatu. Barcikowski w imieniu Biura Politycznego wyjaśnił Episkopatowi to posunięcie władz lokalnych, co wzmocni zapewne rozpowszechnioną w różnych kołach opinię, że wraz z Jaruzelskim, Kiszcza-kiem i Rakowskim należy on do czwórki liberalów, na których należy chuchać, by się przypadkiem nie przeziębili. A przecież do negocjacji nie doszło również w stoczni, gdzie dyrekcja odrzuciła propozycje przedstawione przez Mazowieckiego i Wielowieyskiego. Ten ostatni uznał zatem swą misję za spełnioną i wrócił do Warszawy. Mazowiecki został w stoczni do końca strajku. Ale był tam jako działacz katolicki i moralista, a nie jako upoważniony przedstawiciel jakiegokolwiek instytucji.

Chyba nigdy od zimy 1981 roku Episkopat nie okazał się tak bezpośrednio wciągnięty w grę polityczną jak tej wiosny, z tą wszakże różnicą, że jego stanowisko było tym razem o wiele bardziej dwuznaczne. Świadczy o tym przede wszystkim sprawa Kornela Morawieckiego. Przypomnijmy, że Kornel Morawiecki i Andrzej Kołodziej, więźniowie polityczni czekający na proces, odmówili zaproponowanego im przez SB wyjazdu za granicę, gdy – po czterech miesiącach izolacji – dowiedzieli się od rodzin, co się dzieje w kraju. Wtedy w więzieniu, w gabinecie naczelnika, zjawili się rzecznik Episkopatu ksiądz Orszulik, prof. Stelmachowski oraz mec. Olszewski, którzy zakomunikowali obu więźniom, że są ciężko chorzy, o czym zainteresowani dowiedzieli się po raz pierwszy; wytłumaczyli im też, że nie powinni przeszkadzać swym uporem charytatywnej misji Kościoła oraz zagwarantowali im prawo powrotu. Gdy Morawiecki, który w przeciwieństwie do Kołodzieja okazał się zdrowy, postanowił po kilku dniach pobytu w Rzymie skorzystać z tego prawa i wylądował na Okęciu, został siłą wsadzony do samolotu i wysłany do Wiednia, a jego wielokrotny paszport unieważniono. Tak oto wprowadzona została doniosła innowacja, o której władze marzyły już od dawna. Po raz pierwszy zastosowano banicję wobec więźniów politycznych, przy czym stało się to przy współudziale i z błogosławieństwem oficjalnych przedstawicieli Episkopatu. Teraz mówi się, że Morawiecki będzie jednak mógł wrócić do kraju. Zobaczymy. Ale faktem pozostanie, że ksiądz Orszulik, prof. Stelmachowski i mec. Olszewski podjęli się skłonić go i jego współwięźnia do wyjazdu, wywierając na obu presję psychiczną. Faktem pozostanie, że trzech przedstawicieli Episkopatu wystąpili w kompromitującej ro-

li narzędzi SB. Żadne argumenty humanitarne nie usprawiedliwiają tej oburzającej „mediacji”.

Sprawy Morawieckiego niepodobna odłączyć od posiedzenia Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu i Episkopatu i od komunikatu z 227. Konferencji Episkopatu Polski, który, choć deklaruje zrozumienie dla protestu robotników, wzywa ich, by poniechali swych żądań i tym samym położyli kres strajkom, nie uzyskując zadośćuczynienia. Komunikat podkreśla konieczność wspólnych rozwiązań i apeluje o zjednoczenie wysiłków wszystkich Polaków oraz o zgodę społeczną, przy czym daje niestety do zrozumienia, że zakłócili ją właśnie robotnicy, których strajki i niepokoje muszą napawać lękiem „obywateli mających poczucie odpowiedzialności za losy kraju”. To streszczenie komunikatu pokazuje, że biskupi zbliżyli się w nim niebezpiecznie do języka oficjalnej propagandy i do argumentów PRON-u. Że wystąpili nie jako mediatorzy, którzy starają się nakłonić do ustępstw obie strony, ale jako sojusznik jednej z nich – strony rządowej. Postępujące bezpośrednie angażowanie się Episkopatu w politykę, i to w roli instancji, która legitymizuje władzę i jej posunięcia, grozi ukształtowaniem się w Polsce czegoś, co przez analogię z cesaropapizmem można by określić jako komunoklerykalizm. Życie publiczne w Polsce nie ma na tym nic do zyskania. A Episkopat może tylko stracić zarówno autorytet, jak niezależność wobec władzy, która stara się, jak może, by uczynić zeń swe trwałe oparcie.

Wydarzenia ostatnich tygodni okazały się zapewne za jakiś czas początkiem nowego okresu. Po raz pierwszy doszło w nich bowiem do głosu pokolenie robotników i studentów, które przeżyło szesnaście miesięcy „Solidarności” w wieku młodzieńczym i które ukształtowało się już w Polsce pogrudniowej z jej wielostronną działalnością podziemną, niezależną prasą i niezależnymi wydawnictwami, manifestacjami kulturalnymi i samokształceniowymi, autorytetami i wzorami osobowymi. Odrodzenie ruchu studenckiego, który nie istniał przecież w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, oraz rola odegrana przez młodych robotników w czasie strajków zarówno w hucie, jak w stoczni, pokazują żywotność w tym pokoleniu ideałów „Solidarności”, ale dostosowanych do Polski dnia dzisiejszego. Pokazują też wolę działania, determinację, inteligencję i rozsądek. Wszystko to pozwala oczekiwać szybkiego wyłonienia się nowej kadry przywódców opozycji i stawia na porządku dziennym kwestię pokoleniowej zmiany warty.

Stało się to absolutną koniecznością z trzech co najmniej powodów. Po pierwsze dlatego, że bohaterowie są zmęczeni; po drugie dlatego, że krajowe kierownictwo „Solidarności” przekształca się coraz bardziej w zamknięty klub weteranów zapatrzonych w przeszłość, oderwanych od społeczeństwa, słuchających tylko siebie nawzajem, ale jednocześnie skłóconych, nieumiejących wyrwać się spod wpływów Episkopatu, salonu warszawskiego i rozmówców zagranicznych, nadto zaś arbitralnie dysponujących funduszami, i to znacznymi; po trze-

cie dlatego, że tym, czego opozycja polska potrzebuje dziś najbardziej, jest wyobraźnia, umiejętność zerwania z rutyną, rozpoznania nowych możliwości, form i terenów działania. Niepodobna oczekiwać tego od osób, którym pozytywne bez wątpienia zmiany: rozluźnienie cenzury, liberalizacja polityki paszportowej, przejście do bardziej subtelnych form represji, dobre stosunki z Episkopatem i nieśmiałe otwarcie dla prywatnej inicjatywy – jawią się, może nawet nieświadomie, jako punkt dojścia, gdyż porównują one ciągle Jaruzelskiego z Gierkiem i Gomułką, jeśli nie z Bierutem. Odnowa opozycji może przyjść tylko od młodych, dla których Polska Jaruzelskiego jest punktem wyjścia, którzy odczuwają w sposób szczególnie intensywny bezsens wyrzeczeń, jakich się od nich żąda, i beznadziejność życia, jakie się im proponuje, i którzy umieją wyrazić potrzeby narodu w języku dostosowanym do obecnego czasu. Ta odnowa spowodowana pokoleniową zmianą warty nastąpi tak czy inaczej. Od obecnych przywódców opozycji zależy, czy będą ją hamować i utrudniać, czy też okażą się zdolni przekazać kierownictwo w młode ręce.

[6/1988]

Obserwatorium

Symboliczne zwycięstwo „Solidarności”, realne zwycięstwo władzy – tak można ocenić w największym skrócie to, co się stało 31 sierpnia.

Przyjęcie przez generała Kiszczaka Lecha Wałęsy ze znaczkiem „Solidarności” w klapie i uznanie go przeto *de facto* za jedyne go prawowitego przedstawiciela strajkujących robotników było zaiste zwycięstwem. Przekreśleniem siedmiu lat polityki opartej na przekonaniu, że „Solidarność” przestała istnieć, a Lech Wałęsa jest tylko osobą prywatną, co wielokrotnie oświadczały rzecznicy aparatu PZPR. Ale gest ministra spraw wewnętrznych, który zresztą zadbał o osłabienie jego wymowy, przyjmując natychmiast po Wałęsie różne „osobistości” oficjalne, okazał się niestety jedynym zwycięstwem „Solidarności”. Nie wymusiła ona bowiem na władzy żadnego ustępstwa, żadnego zobowiązania, niczego poza mglistą obietnicą rozmów, z których porządku dziennego nie jest z góry wykluczona sprawa legalizacji związku.

Rozmowy na ten temat mogą jednak skończyć się na niczym. Delegacja Górnego Karabachu pojechała do Moskwy, by uzyskać przyłączenie tego okręgu do Armenii. Władze nie uchyliły się od dyskusji, co wskazuje, że ich sprawność socjotechniczna jest znacznie większa niż w czasach, gdy reagowały na konflikty tylko użyciem wojska i milicji. Ale Górny Karabach jak był częścią Azerbejdżanu, tak nią został. „Solidarności” grozi dziś, że po rozmowach przy Okrągłym Stole będzie równie nielegalna co teraz. Doradcy Wałęsy mówią, że jeśli tak się stanie, to strajki wybuchną na nowo. Wiadomo jednak, że po 13 grudnia „Solidarność” nigdy nie zdołała zorganizować strajku; inicjatywa taka wychodziła nie od związku, ale od samych robotników. Wiadomo też, że bardzo trudno zacząć nowy strajk wkrótce po tym, jak spowodowało się zakończenie poprzedniego. Ani w Polsce, ani gdziekolwiek indziej nie strajkuje się na zawołanie. Zaś zaufanie do Wałęsy i do jego doradców może ulec zupełnemu zniszczeniu, jeśli okaże się, że władza wystrychnęła ich na dudków.

Zwłaszcza że zaufanie to jest już mocno naderwane. Świadczą o tym burzliwe dyskusje na temat słuszności wizyty u generała Kiszczaka, niechętnie przyjęcie przez strajkujących wezwania do zakończenia strajku, zarzut zdrady postawiony Wałęsie w Stoczni Gdańskiej. Taki jest pierwszy realny sukces władzy.

Drugim jest to, że strajki się wreszcie skończyły. Trzecim to, że zyskała opinię skłonnej do podjęcia dialogu, podczas gdy przypuszczać można, że Wałęsa zgodził się wezwać do zakończenia strajków, ponieważ Kiszczak zaszantażował go interwencją sowiecką i zaapelował do patriotycznego poczucia odpowiedzialności za zagrożony rzekomo byt narodu; może zresztą groził nie interwencją sowiecką, ale obaleniem generała Jaruzelskiego przez beton partyjny, który pokazał na ostatnim plenum KC, że chce stanowczego rozprawienia się ze strajkującymi. To drugie przypuszczenie, które nie wyklucza pierwszego, jest nawet bardziej prawdopodobne, zważywszy, że Kiszczak wystąpił z inicjatywą spotkania z Wałęsą dopiero po plenum, choć mógł przecież podjąć ją wcześniej. Póki protokół spotkania nie zostanie opublikowany, wszystkie spekulacje na ten temat będą dozwolone, jak były swego czasu po tajnych negocjacjach, które zakończyły kryzys bydgoski; wiadomo dziś dobrze, że szantażowanie interwencją sowiecką miało wtedy zasadniczy wpływ na decyzję Wałęsy i jego doradców.

Ale jeśli porozumienie warszawskie z końca marca 1981 dało „Solidarności” w zamian za odwołanie strajku powszechnego realne korzyści, to teraz Wałęsa nie uzyskał nawet zapewnienia, że strajkujący nie będą podlegać żadnym represjom ani ze strony SB, ani ze strony dyrekcji zakładów, że wypłaci się im dniówki za czas strajku, że zaspokojone zostaną ich roszczenia płacowe i dotyczące warunków pracy. Inna rzecz, że nie wiadomo nawet, czy się tego domagał, czy też wielka polityka całkowicie przesłoniła doraźne interesy strajkujących robotników. Faktem pozostaje, że natychmiast po rozmowie Wałęsy z Kiszczakiem dyrekcje wszędzie usztywniły swe stanowisko i że ani w Stalowej Woli, ani w Szczecinie, ani w „Manifeście Lipcowym” strajkujący niczego nie zyskali. Zaś w porcie gdańskim trzeba było aż interwencji biskupów, by dyrekcja zgodziła się ponownie zatrudnić robotników usuniętych z pracy za udział w strajku, co znaczy, jeśli nic się nie zmienia, że tracą oni wszystkie uprawnienia z tytułu wysługi lat. Tak więc po swej rozmowie z Kiszczakiem Wałęsa nie miał robotnikom do zaoferowania ani realnej perspektywy legalizacji „Solidarności”, ani zadośćuczynienia ich postulatami materialnymi. Niczego poza symbolicznym gestem ministra spraw wewnętrznych, gestem, któremu trzeba będzie dopiero nadać jakiś pozytywny sens, by nie okazał się przynętą w pułapce. Fakt, że w tych warunkach Wałęsie okazano posłuch, jest jeszcze jednym świadectwem zdyscyplinowania i gotowości do poświęceń poważnego odłamu polskich robotników. Nakazuje też rozumieć i podzielać ich rozgoryczenie.

Przywiązanie do „Solidarności” i skłonność do poświęceń na jej rzecz są jednak w Polsce nadzwyczaj nierównomiernie rozłożone. Inteligencja okazuje ich znacznie mniej niż robotnicy, czego wymownym świadectwem była słabość poparcia dla strajkujących, zwłaszcza zaś – nieobecność jakichkolwiek doradców poza Stoczną Gdańską. Górnicy w szczególności pozostawieni zostali własnemu losowi; nie zdołano nawet zapewnić przyzwoitej informacji o tym, co się wśród nich dzieje. Ale również w środowisku robotniczym zróżnicowanie jest

ogromne. Strajki wybuchły na Śląsku, w Gdańsku, w Szczecinie i w Stalowej Woli. Ponadto w niektórych zakładach, m.in. w Cegielskim, zastrajkowało na krótko kilka wydziałów. Można zrozumieć, że nie było strajku w Nowej Hucie, która strajkowała w maju. Ale bardzo liczne, nazbyt liczne, są te zakłady, które grzecznie pracowały i wtedy, i teraz. Dotyczy to w pierwszym rzędzie Warszawy, gdzie „Solidarność” została żywa chyba tylko w jednym miejscu – na grobie księdza Popiełuszki. Pomijając nieudane próby w hucie i w Ursusie, robotnicy warszawscy nie wzięli udziału w strajku, choć jest ich tyłu, a ich ciężar jest tak wielki, że mogli przyczynić się w stopniu rozstrzygającym do uwiecznienia go realnym sukcesem. Prowadzona od lat polityka zastępowania związku zawodowego „Solidarność” przez ducha, ideę, ruch, czy jak to tam jeszcze nazywano, nie minęła bez skutków – region Mazowsze po prostu przestał istnieć. Zostali tylko generałowie bez wojska. Pod tym względem kontrast jest uderzający między Warszawą, z jednej strony, a Krakowem, Śląskiem, Szczecinem, Gdańskiem czy Stalową Wolą, z drugiej.

W jakiej mierze bierze się to z tradycyjnie antysolidarnościowego nastawienia znacznej większości kleru warszawskiego, w jakiej zaś z roli odgrywanej w Warszawie przez sfery urzędniczo-inteligenckie? Trudno powiedzieć. Ale pytanie musi być zadane choćby dlatego, że wchodzimy w okres rozmów z władzą, w toku których warszawskie środowisko inteligenckie będzie odgrywać szczególnie ważną rolę. Głosy, które się słyszy, nie skłaniają do optymizmu. Tu ktoś cieszy się na przyszłe rozmowy, bo można będzie coś konkretnego załatwić, co znaczy, że widzi w nich głównie forum do ubicia drobnych, koteryjnych interesów z przedstawicielami władzy. Tam ktoś wyraża nadzieję, że uzyska się zalegalizowanie „Solidarności” w ramach ustawy z października 1982, jak gdyby ustawa ta nie wykluczała samej możliwości istnienia związku o takiej nazwie, który byłby niezależny od PZPR, i jak gdyby kluby polityczne i stowarzyszenia, instytucje typowo inteligenckie, mogły być rekompensatą za ewentualne ofiarowanie robotnikom związku zawodowego podrzędnej jakości, z góry upośledzonego w porównaniu z OPZZ. Najbardziej niebezpieczne są wszystkie te pomysły, które jawnie czy w sposób zawoalowany godzą się z góry na przyznanie „Solidarności” prawa do istnienia tylko w poszczególnych zakładach, bez organizacji ogólnopolskiej. Czy znaczy to, że struktury krajowe mają przestać istnieć i że każdy zakład ma być zdany tylko na siebie? Trzeba jasno stwierdzić, że taka legalizacja, gdyby do niej doszło, byłaby po prostu kapitulacją.

Gdy artykuł ten ukaże się w druku, rozmowy będą prawdopodobnie jeszcze trwałe. Uważa się powszechnie, że nie skończą się one prędko, choćby nawet zaczęły się niebawem. Jakoż przewleknięcie ich leży w oczywistym interesie władzy, która zamieni je w ten sposób w nowe, poprawione wydanie Rady Konsultacyjnej, a zarazem zwiąże ręce Wałęsie i jego doradcom, zmuszając ich do gaszenia ewentualnych przyszłych pożarów robotniczych czy studenckich w imię legalizacji, która może odsuwać się coraz dalej, jak fatamorgana na pustyni.

Władza liczy też – i trudno jej się dziwić – na wewnętrzne konflikty w „Solidarności”, która wchodzi w nowy okres swego istnienia, kto wie czy nie bardziej krytyczny od dotychczasowych, z podziałami silniejszymi niż kiedykolwiek. Jest zatem rzeczą wielkiej wagi szybkie uporządkowanie wszystkich, od lat zaniedbywanych spraw organizacyjnych i wyłonienie wreszcie zespołu kierowniczego, który składałby się nie z zasłużonych kombatanów i różnej maści „doradców”, ale z osób sprawdzonych w ciągu ostatnich strajków i legitymujących się rzeczywistą działalnością w chwili obecnej, i który cieszyłby się z tego tytułu rzeczywistym autorytetem. Rozmowy z władzami nie powinny osłabiać działań zmierzających do budowania związku od podstaw, odtwarzania jego instancji i struktur, uporządkowania wreszcie gospodarki finansowej i jej społecznej kontroli i przywracania demokracji wewnętrznej wszędzie tam, gdzie działania takie są podejmowane.

Ale równie ważne, jeśli nie jeszcze ważniejsze, jest niedopuszczenie do rozłamu, choćby w imię najsluszniejszych hasel. Skoro strajki zostały przerwane, skoro zgodzono się na podjęcie rozmów, to celem nadrzędnym staje się osiągnięcie dzięki nim tego celu, który przyświecał strajkującym – legalizacji „Solidarności”. Dlatego też Wałęsa i jego doradcom oraz ekipie, która reprezentować będzie „Solidarność” podczas rozmów Okrągłego Stołu, należy udzielić na czas ich trwania poparcia, by mogli występować wobec władz z możliwie mocnych pozycji. Rozliczać się ich będzie potem, na podstawie tego, co osiągnęli. Ale udzielenie poparcia nie powinno być okazywaniem ślepego zaufania. Dlatego też od przedstawicieli związku, którzy będą uczestniczyć w rozmowach, należy żądać, by: 1) domagali się określenia z góry czasu ich trwania, który nie powinien przekraczać kilku tygodni; rozmowy mają doprowadzić do załatwienia najbardziej dziś palących polskich spraw, nie zaś służyć nieobowiązującej wymianie zdań; 2) występowali jednoznacznie wobec władzy jako strona konfliktu, którego jest ona stroną przeciwną, nie dając się włączyć do fałszywych sojuszy i pozorowanych koalicji; rozmowy winny być negocjacjami, a nie nową odmianą Rady Konsultacyjnej; 3) informowali rzetelnie i na bieżąco opinię publiczną o przebiegu obrad i zajmowanych stanowiskach; rozmowy nie powinny w żadnym przypadku stać się kolejnym przykładem tajnej dyplomacji prowadzonej w imieniu „Solidarności”, dla dobra „Solidarności”, ale bez kontroli „Solidarności”; 4) nie zgadzali się za żadną cenę na pozorną legalizację „Solidarności”, która zostałaby opłaconą utratą już posiadanych pozycji (struktur regionalnych i krajowych, drugiego obiegu wydawniczego itp.). Jeśli te warunki będą spełnione, to może nawet dojść do zawarcia jakiegoś kompromisu, który byłby do przyjęcia nie tylko dla władzy, ale również dla społeczeństwa. Zważywszy na nastawienie władzy, jest to znikomo mało prawdopodobne. Ale w sytuacji, w jakiej znajduje się dziś Polska, nie należy z góry wykluczać żadnej, nawet najmniej prawdopodobnej możliwości.

Wszystkie pozytywne zmiany w PRL dokonywały się za sprawą nacisku wywieranego przez większość społeczeństwa; przez chłopów w 1956 roku, gdy szło

o walkę z kolektywizacją wsi, oraz, wtedy i w latach 1980–1981, przez sojusz robotników i inteligencji. Gdy te siły społeczne występowały osobno – ponosiły klęskę, jak w marcu 1968 czy grudniu 1970. Opozycja, zwłaszcza zaś „Solidarność”, znalazła się obecnie na ostrym zakręcie. Jeśli zdoła utrzymać sojusz inteligencji z robotnikami, ma szansę na realne sukcesy. Jeśli jednak środowiska inteligencji ulegną pokusie porozumienia się z władzą bez rzeczywistego załatwienia problemów żywotnych dla robotników, to skutek może być tylko jeden: pojawienie się wśród nich nastrojów ostro antyinteligentkich oraz poczucia osamotnienia i beznadziejności. A wtedy widmo żywiłowego wybuchu, które krąży od lat po polskiej scenie politycznej i społecznej, może rychło stać się rzeczywistością.

5 września 1988

[10/1988]

Obserwatorium

Kto sprawuje władzę w PRL? Słuchając niektórych rzeczników opozycji – i niektórych komentatorów RWE – odnosi się wrażenie, że dobrzy Polacy, którzy chcieliby narodowi nieba przychylić, ale stale ktoś im rzuca kłody pod nogi i dlatego to im się jeszcze nie udało. Winą za to niepowodzenie obciąża się najczęściej biurokrację, co pozwala uznać przypadek polski za mieszczący się w normie światowej: biurokracja istnieje wszędzie i wszędzie sprzeciwia się inicjatywie i nowatorstwu. Rządziej wskazuje się na nomenklaturę; jeszcze rządziej – na aparat partyjny. Zawsze na Moskwę bądź też, bardziej dyplomatycznie, na ograniczenia geopolityczne. Słowem, gdyby nie te wszystkie wrogie siły, to znany z patriotyzmu generał Jaruzelski oraz otaczający go zwolennicy reform dawno już poczyniliby znaczne postępy w wyciąganiu Polski z kryzysu.

W środowiskach opozycyjnych i wśród emigracji politycznej pogląd ten nie bywa nigdy wyrażany aż tak dobitnie, choć niektórych dzielą odeń tylko niuanse. Jest on jednak, co o wiele ważniejsze, stale obecny w tle różnorakich oczekiwań i ocen, kształtuje postawy i wywiera wpływ nie tylko na wypowiedzi, które skądinąd nie pozostają bez echa, zwłaszcza za granicą, ale również na samą linię polityczną opozycji. Oto władze PZPR desygnowały na premiera Mieczysława Rakowskiego. I zaraz lament: Rakowski? Dlaczego Rakowski? Przecież miał być Baka! Jak gdyby Baka reprezentował całkiem inną orientację niż Rakowski, jak gdyby był większym od niego liberałem, gorliwszym orędownikiem reform, sprawniejszym administratorem. Jak gdyby obaj byli czymś innym niż tylko emanacjami kierownictwa partyjnego. Nie chodzi o to, by pomijać ważne przecież w życiu publicznym różnice temperamentu i osobowości czy zapoznawać fakt, że Rakowski jest pełen zapiekłych urazów osobistych i że już rokował z „Solidarnością” – wiadomo, jak i z jakim skutkiem: generał Jaruzelski miał wszelkie podstawy, by udzielić mu za to pochwały przed frontem KC – podczas gdy Baka nie ma takiej przeszłości. Wszystko to należało, rzecz jasna, przypomnieć, ale bez popadania w płakiwy ton zawiedzionej nadziei, który pobrzmiwał w różnych komentarzach i który świadczy, że po spotkaniach Wałęsy z Ki-szczakiem i zapowiedzi rozmów Okrągłego Stołu znaczne odłamy opozycji zno-

wu – jak latem 1984 i jesienią 1986 roku – oczekiwały od władzy otwartej polityki, gestów pojednania i dobrej woli, jak gdyby Polską rządili ludzie czekający tylko sposobności po temu. Zresztą, gdy tylko Rakowski oświadczył, że zamierza stworzyć „rząd koalicyjny”, o Bace natychmiast zapomniano i zaczęły się kolejne popisy myślenia zachciankowego oraz najbardziej fantastyczne spekulacje, tym razem – na temat przyszłej ekipy. A teraz, po ogłoszeniu jej składu, słyszy się nowy lament, gdyż rząd Rakowskiego okazał się w swym podstawowym, politycznym zrębie rządem Messnera, który był rządem Jaruzelskiego; zmiany personalne dotyczą tylko resortów gospodarczych, przy czym wcale nie wiadomo, czy będzie to miało jakiekolwiek rzeczywiste skutki. Winnego bezruchu już znaleziono. Jest nim aparat partyjny.

Prawdą jest, że rząd Rakowskiego ma zadowolić aparat partyjny. Nie wynika z tego jednak, by słuszne było przeciwstawianie Rakowskiego aparatowi i dawanie przeto do zrozumienia, iż poszybowałby on o wiele dalej w przestwór wolności, gdyby aparatczycy nie podcinali mu skrzydeł. Nie jest przecież tak, że aparat partyjny cokolwiek by Rakowskiemu narzucał czy zmuszał go do ustępstw na rzecz twardej linii. Rakowski bowiem, tak jak Jaruzelski, Kiszczak i *tutti quanti* – to właśnie aparat partyjny. Są oni do cna przesyceni leninizmem, co znaczy, że ich najgłębszym przekonaniem, niezbywalnym składnikiem ich politycznej tożsamości jest nakaz niedopuszczenia w żadnym przypadku do rzeczywistego pluralizmu politycznego. Zapewne jako leniniści są na swój sposób realistami: rozumieją język siły, wyrażającej się w zdolności poprowadzenia za sobą szerokich rzesz, i wiedzą, że gdy stosunek sił staje się dla nich niekorzystny, muszą poczynić ustępstwa, możliwie jak najmniejsze. Ale też język siły jest jedynym, który pozwala coś od nich uzyskać. Cała powojenna historia Polski dowodzi, że na każdy inny pozostają nieuleczalnie głusi.

By przekonać się o tym, wystarczy zresztą historia minionych sześciu tygodni. Lech Wałęsa podczas spotkań z Kiszczakiem ofiarował władzy w prezencie zakończenie strajków i zgodę na Okrągły Stół – zanim otrzymał od niej jakiegokolwiek wyraźne obietnice. Władza uznała jednostronne ustępstwo Wałęsy za dowód słabości i zachętę do wszczęcia ofensywy. Tak więc Wałęsa nie uzyskał od Kiszczaka niczego, w szczególności zaś – publicznego oświadczenia, że wobec strajkujących nie będą stosowane żadne represje, popartego odpowiednimi poleceniami dla instancji terenowych. Kiszczak podobno obiecał to podczas rozmów, ale żaden dokument oficjalny o tym nie świadczy, a uczestnicy strajków poddawani są prześladowaniom, zwłaszcza na Śląsku. W kołach opozycji bywa to uważane za dowód, że Kiszczak nie kontroluje swego aparatu: tak oto czyni się z niego liberała, który nie może zrobić niczego dobrego – tak jakby chciał – gdyż przeszkadzają mu w tym lokalni zamordyści. Nikt jakoś nie zauważa, że w braku odpowiednich rozporządzeń to, co Kiszczak powiedział Wałęsie, nie zobowiązuje do niczego jego podwładnych i że cała obecna polityka jest wierną realizacją uchwał przedostatniego plenum KC.

Jednostronne ustępstwa nie przyniosły opozycji żadnych korzyści. Co więcej, można już dziś powiedzieć, że ją osłabiły, gdyż dały władzy spokojny czas na rozprawienie się z uczestnikami strajków, co poderwało prestiż Wałęsy, wbiło klin między robotników, zwłaszcza górników, a inteligencję, która radzi w stolicy, natomiast wzmocniło autorytet kierownictwa partyjnego w oczach jego popleczników, pozwoliło przeprowadzić rosadę na stanowisku premiera, demonstrując przy okazji wpływ OPZZ, i zacząć kampanię prasową przeciw opozycji w najlepszym stylu minionych lat. W początkach września wydawało się, że rozmowy Okrągłego Stołu niechybnie dojdą do skutku; ten optymizm udzielił się nawet nam. Dziś nie ma żadnej pewności w tej materii. Władza ma poczucie, że zdołała przejąć inicjatywę i że jest w natarciu. Trudno jej się dziwić. Brak jednoznacznego oświadczenia, że opozycja podejmie rozmowy wyłącznie pod warunkiem zaprzestania prześladowań wobec strajkujących i cofnięcia wszystkich już orzeczonych sankcji oraz pod warunkiem, że przywódcy „Solidarności” będą brali udział w tych rozmowach właśnie jako przywódcy „Solidarności”, a nie jako osoby prywatne, pozwala mniemać, że opozycji zależy na doprowadzeniu do Okrągłego Stołu niemal za wszelką cenę. Toteż wymagania władzy wzrosły: obecnie usiłuje ona podyktować opozycji listę osób, z którymi jest skłonna rozmawiać. I tak oto kluczową sprawą staje się dyskusja o personaliach, na którą opozycja w ogóle nie powinna była przystać, której samo podjęcie winna była uznać za próbę zerwania rozmów, zanim się jeszcze zaczęły. Ale jeśli uważa się w głębi serca, że ma się przed sobą lojalnego i uczciwego partnera, który musi robić koncesje na rzecz swojej bazy, tzn. aparatu partyjnego, zamiast uznać, że pertraktuje się z przedstawicielami tegoż aparatu – to maszeruje się, jak przez minionych sześć tygodni, od mocno wątpliwego sukcesu do niemal pewnej porażki.

Zapewne, aparat nie jest monolitem. Nigdy nim zresztą nie był. Ale zasadniczy spór w jego obrębie toczy się nie między liberałami a zwolennikami dyktatury, gdyż zwolennikami dyktatury są w aparacie wszyscy. Spór ten przeciwstawia natomiast zwolenników modernizacji systemu rządzenia tym, którzy chcieliby utrzymać ten system bez zmian. Rakowski reprezentuje tych pierwszych. Uważa, że należy zastąpić dawną drętwą mowę odświeżonym słownictwem, a techniki agitpropu technikami marketingu, byle towar pozostał ten sam. Tak więc rząd PZPR będzie nazwany „rządem koalicyjnym”. Rakowski uważa też – co jest bez wątpienia faktem pozytywnym – że należy pozwolić na względnie szeroki zakres wolności słowa publicznego – pod warunkiem jednak, by słowa pozostawały tylko słowami. W centralnej kwestii życia polskiego – kwestii pluralizmu związkowego i politycznego – należy postępować tak, by nie naruszyć podstaw dyktatury aparatu partyjnego, jego monopolu decyzji. A więc wielokrotnie powtarza się oświadczenia odrzucające zasadność i celowość legalizacji „Solidarności”; własne słowa wiążą tu Rakowskiego bardziej niż jego poprzednika na urzędzie i każą widzieć ciemno perspektywy Okrągłego Stołu. Stąd też

skłonność do wydzielenia jakiegoś obszaru, który można by pozostawić opozycjonistom pod warunkiem, by byli „konstruktywni”, tzn. gotowi zadowolić się tytułami i pozorami, pozostawiając pełnię rzeczywistej władzy Biuru Politycznemu, ale dzieląc się z nim skwapliwie odpowiedzialnością za katastrofę polityczną i gospodarczą. Stąd wreszcie powołanie na ministra przemysłu prywatnego przedsiębiorcy i milionera – ale z legitymacją partyjną w kieszeni; przy czym nie towarzyszy temu żadna zapowiedź zielonego światła dla prywatnej inicjatywy na wsi i w mieście: zniesienia limitów zatrudnienia i obrotów, likwidacji „inspekcji robotniczej”, ulg podatkowych itp. Wygląda na to, że w tej dziedzinie rząd Rakowskiego będzie rządem blichtru i działań pozorowanych.

Odległość między ustępstwami, do jakich skłonny jest Rakowski – tzn. Biuro Polityczne i aparat – a tymi, które opozycja i szerokie środowiska niezależne uważają za bezwzględnie konieczne, jeżeli ma dojść do jakiegoś porozumienia, nie uległa żadnemu zmniejszeniu. Pozostaje ogromna. To, co dla pierwszych stanowi maksimum, do którego nie wznoszą się nawet w najśmielszych myślach, jest dla najbardziej nawet umiarkowanych kół opozycji politycznym minimum, poniżej którego nie sposób zejść, gdyż byłoby to zgłoszeniem akcesu do PRON. Najlepszą ilustracją jest fakt, że wejścia do rządu odmówili m.in. Andrzej Micewski i Wacław Auleytnier, których nawet najbardziej dogmatyczny aparatczyk nie może chyba uważać za ekstremistów. W tych warunkach wolno zastanawiać się nad tym, czy rozmowy Okrągłego Stołu mają jeszcze jakikolwiek sens. Jest przecież oczywiste, że dojść do nich może tylko w trzech przypadkach: jeśli Rakowski skapituluje i uzna legalizację „Solidarności” za możliwą; jeśli skapituluje opozycja, rezygnując z tego warunku; jeśli znajdzie się jakaś mętna i wieloznaczna formuła, która pozwoli opozycji twierdzić, że władza uznała „Solidarność”, a władzy głosić coś wręcz przeciwnego. Ale z rozmów podjętych pod znakiem wieloznaczności i zamętu korzyść może odnieść tylko władza. Toteż gdyby jednak do nich doszło, to cały wysiłek opozycji musiałby być skierowany na zachowanie wyraźnej linii podziału; pisaliśmy o tym miesiąc temu. Teraz dodajmy tylko, że w świetle nominacji Rakowskiego znaczenie rozmów Okrągłego Stołu staje się drugorzędne, gdyż świadczy ona, że aparat PZPR dąży nie do rozsądnego kompromisu, ale do wymuszenia na opozycji jednostronnych ustępstw, które byłyby dla niej równoznaczne z politycznym samobójstwem. Jedyną słuszną odpowiedzią na to nastawienie aparatu są wszelkie działania, które wzmacniają siły opozycji, a w pierwszym rzędzie – „Solidarność”.

Zrozumieli to doskonale ci, którzy zajęli się tworzeniem komitetów założycielskich „Solidarności” w zakładach pracy. Gdyż jasne jest, że „Solidarność” znacznie zwiększy szansę zalegalizowania jej jako ogólnopolskiego związku zawodowego, ze wszystkimi niezbędnymi do normalnej pracy strukturami i uprawnieniami, gdy będzie w tej postaci faktem dokonany. Gdy będzie obecna nie w kilku, kilkudziesięciu czy nawet kilkuset zakładach, ale w ich znacznej większości. Gdy skupi liczący się odłam zatrudnionych w gospodarce narodo-

wej. Wymaga to wielkiego poświęcenia od szeregowych działaczy i poważnego wysiłku od góry solidarnościowej. Organizacja związku wymaga uporządkowania. Jego członkowie czekają na rozliczenie się polityczne i finansowe tych, którzy podejmują decyzje w ich imieniu, oraz na odmłodzenie tego grona i dostosowanie go do dzisiejszej rzeczywistości. Szeroka opinia zaś chciałaby znać najważniejsze postulaty, których realizacji domaga się dziś „Solidarność”, gdyż powszechnie znany jest tylko jeden z nich: postulat legalizacji związku. Kierownictwo „Solidarności” – dotyczy to zresztą ogółu opozycji – stale zachowuje się tak, jak gdyby wszyscy Polacy doskonale wiedzieli, czego opozycja chce, i jak gdyby rozumieli zależność między wprowadzeniem pluralizmu związkowego a perspektywą poprawy ich sytuacji. Tak jednak nie jest. Trzeba wreszcie porzucić złudzenia nie tylko na temat władzy, ale również na temat społeczeństwa i uznać za jedno z najważniejszych obecnie zadań uświadomienie każdemu Polakowi głównych postulatów opozycji oraz argumentów przemawiających za ich realnością i za koniecznością działania, by jak najszybciej wcielić je w życie.

Z rozmowami Okrągłego Stołu nie warto w istniejącym klimacie łączyć poważniejszych nadziei. Nadzieje można zasadnie pokładać tylko w ponownym ożywieniu ruchu społecznego i w postępującej regeneracji „Solidarności”. Postawiony wobec faktów dokonanych aparat będzie musiał bowiem zadać sobie pytanie, czy woli „Solidarność” legalną czy nielegalną, a wtedy jego bardziej inteligentni eksponenci dojdą samodzielnie do wniosku, że ta pierwsza jest dla nich korzystniejsza od drugiej, tak jak w 1956 roku doszli do wniosku, że muszą współżyć z Kościołem i przystać na prywatne rolnictwo, choć trzeba było jeszcze dwudziestu z górą lat, by ostatecznie przekonali się, że nie mają innego wyboru. Liczenie na patriotyzm i dobrą wolę aparatu oraz na to, że zrozumie on wreszcie, iż bez „Solidarności” nie wyprowadzi Polski z kryzysu, jest karmieniem się mrzonkami. Katastrofa cywilizacyjna, która każe myśleć z trwogą o przyszłość Polski, jest dziś dla opozycji faktem najważniejszym. Jest ona bowiem przekonana jak najślusniej, że władza zmarnowała siedem lat i chciałaby jak najszybciej zmobilizować wszystkich Polaków wokół odbudowy kraju. Ale dla aparatu PZPR faktem najważniejszym jest kryzys jego panowania nad Polską i na przezwyciężeniu tego kryzysu zależy mu w pierwszym rzędzie. Toteż aparat ma czas, mnóstwo czasu, co właśnie udowodnił, zapelniając sześć długich tygodni, jakie minęły od strajków sierpniowych, plenami, sesjami i dyskusjami, wydarzeniami zupełnie pozornymi, obrzędami celebrowanymi na jego wewnętrzny użytek. Polska straciła kolejnych sześć tygodni; aparat kolejnych sześć tygodni zyskał. I będzie tak nadal, o ile wytrwała presja sił społecznych nie zmusi go do zmiany sposobu postępowania.

[11/1988]

Obserwatorium

Decyzja premiera Rakowskiego o zamknięciu Stoczni Gdańskiej stworzyła w Polsce nową sytuację polityczną. Przekreśliła mocno już zwietrzałą skądinąd efekt spotkań Lecha Wałęsy z gen. Kiszczakiem. Pokazała, że „Solidarność” nie odniosła w sierpniu nawet symbolicznego zwycięstwa i że rząd nie zamierza się z nią liczyć. Zademonstrowała siłę, którą unaocznili następnie wyczyny ZOMO podczas rozpędzania pochodów zorganizowanych przez KPN dla uczczenia siedemdziesięciolecia niepodległości. Słowem, powiedziała zarówno społeczeństwu, jak aparatowi, że do władzy doszedł wreszcie dziarski chłopiec, który wie, czego chce, nie boi się strajków ani manifestacji i nie zamierza hamletyzować. Gen. Jaruzelski zaczął chyba myśleć o nowej posadzie. Podejmując z jego błogosławieństwem decyzję o likwidacji stoczni, dr Rakowski zgłosił bowiem swą kandydaturę na stanowisko pierwszego sekretarza KC.

Reakcje opinii zachodniej na tę decyzję są jednoznaczne. Nikt nie uwierzył w twierdzenie propagandy, jakoby dyktowało ją wyłącznie dążenie do naprawy gospodarki. Wszyscy komentatorzy podkreślali jej wymowę symboliczną i jej sens doraźnie polityczny. Dobitne i jasne stanowisko zajął w tej sprawie Papież, który wezwał do solidarności z „Solidarnością”. Inaczej prymas Glemp. W wyjątkowo niefortunnym wywiadzie dla agencji Nowosti pochwalił nowego premiera za to, że „odważnie podejmuje się trudnych zadań”. Na szczęście sekretariat Episkopatu Polski ogłosił w związku z decyzją o likwidacji stoczni oświadczenie stanowcze i rozważne zarazem, które raz jeszcze podkreśla niezbywalne prawo ludzi pracy do pluralizmu związkowego, o czym ani generał, ani jego premier nie chcą słyszeć.

Perspektywa Okrągłego Stołu oddaliła się w całkiem już nieokreśloną przyszłość, choć w pierwszych dniach po ogłoszeniu decyzji nie było to oczywiste dla niektórych przywódców „Solidarności”, w tym – dla Lecha Wałęsy, którego przeczące sobie nawzajem wypowiedzi świadczyły o zaskoczeniu i dezorientacji. A przecież jakiegoś posunięcia wymierzonego przeciw „Solidarności” można było oczekiwać od chwili, gdy nowy premier objął swój urząd; zapowiadały je uchwały plenum KC oraz wypowiedzi gen. Jaruzelskiego, wykluczające kategorycznie samą możliwość uznania pluralizmu związkowego. Nie warto by może

tego przypominać, gdyby nie konieczność wyciągnięcia wniosków z perypetii ostatnich miesięcy.

W tej chwili powinno być już chyba jasne dla wszystkich, że jak długo Rakowski pozostanie premierem, czy będzie wywierał na innym stanowisku wpływ na linię kierownictwa PZPR, tak długo rozmowy z „Solidarnością” nie wejdą na porządek dzienny. Jeśli zaś prawdą jest, że 39 sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR opowiedziało się w liście do Biura Politycznego przeciwko takim rozmowom, to Rakowski, znany jako osobisty wróg „Solidarności”, dysponuje w tej sprawie istic betonowym poparciem. Zapewne, tylko głupi polityk nie umie zmieniać stanowiska, a historia zna większe wolty niż ta, jaką byłoby dla Rakowskiego i kierownictwa PZPR podjęcie negocjacji z „Solidarnością”. Ale ewentualność taką należy uwzględniać tylko w ogólnych rozważaniach o możliwej przyszłości. Nie sposób wszelako budować na niej polityki.

Od wiosny 1982, a już całkiem wyraźnie od jesieni 1986, strategia „Solidarności” zmierzała do jednego tylko celu, którym było doprowadzenie do legalizacji związku w trybie rozmów z przedstawicielami kierownictwa PZPR, tzn. powtórzenie z możliwie niewielkimi odmianami scenariusza porozumień gdańskich. Zakładano, że gdy tylko Moskwa przestanie zgłaszać swe weto, będzie musiało wreszcie dojść do rozmów Polaków z Polakami, i że tym razem wszystko skończy się dobrze. Otóż Moskwa nie zgłasza weta i nie wywiera presji na kierownictwo PZPR, by uniemożliwić legalizację „Solidarności”. Nie chcą tego w pierwszym rządzie Jaruzelski z Rakowskim. To oni, jako mandatariusze aparatu PZPR, podjęli samodzielnie decyzję o likwidacji stoczni, wierni polityce, jaką zapoczątkowali 13 grudnia 1981 i której przedłużeniem była haniebna uchwała Sejmu z 18 października 1982 o postawieniu „Solidarności” poza prawem.

Decyzja o likwidacji stoczni przypieczętowuje załamanie się dotychczasowej strategii „Solidarności”, której nie zastąpiła na razie żadna inna. Toteż ciągle czeka się rozmów – wszystko jedno jakich, byle rozmów. Ledwo Rakowski zrobił swoje, gdy w „Trybunie Ludu” ukazał się artykuł Miodowicza proponujący Lechowi Wałęsie dyskusję telewizyjną. I ledwo artykuł się ukazał, a już Wałęsa propozycję przyjął, nie czekając nawet na oficjalny list w tej sprawie i nie dyskutując jej ze swymi doradcami. Nie wiadomo na razie, co z tego wyniknie i czy do dyskusji w ogóle dojdzie. Ale pośpiech, z jakim propozycja Miodowicza została przyjęta, jest znamieny i niepokojący. Miodowicz występuje wprawdzie w roli związkowca, ale jest przecież członkiem Biura Politycznego PZPR, które ponosi odpowiedzialność za prowadzoną obecnie politykę rządu: za represje wobec robotników, którzy brali udział w strajkach sierpniowych, i za bicie pałkami w pięty i w genitalia tych, którzy manifestowali 11 listopada – przy czym wszystko to idzie w parze z deklaracjami gotowości do rozmów z każdym i o wszystkim, byle nie z kierownictwem „Solidarności” na temat legalizacji związku. Ten popis dwulicowości nie wystarczył, Wałęsa znów przyjął zaproszenie gen. Kiszczaka na rozmowę, z której nic nie wyszło.

„Solidarność” i opozycja muszą teraz wyciągnąć wnioski z klęski dotychczasowej strategii i znaleźć odpowiedź na politykę, jaką zamierza prowadzić Rakowski. Potrzebne są przede wszystkim wiarygodne kontrpropozycje dotyczące gospodarki i spraw socjalnych; ostatnie oświadczenie Krajowej Komisji Wykonawczej na ten temat niczego takiego nie zawiera. Potrzebne jest też jasne stanowisko wobec przyszłych wyborów do Sejmu, które posłużą zapewne rządowi do ponownego podjęcia prób włączenia części opozycji do struktur kontrolowanych przez aparat PZPR. Potrzebne jest, słowem, zarysowanie nowej linii politycznej na najbliższy okres: wskazanie celów, których osiągnięcie uważa się za realne, określenie środków, jakich zamierza się używać, nade wszystko zaś – organizacyjne i finansowe uporządkowanie „Solidarności”, bez czego jej możliwości działania pozostaną równie ograniczone jak w ostatnich latach.

7 listopada 1988

[12/1988]

Rozpad PRL

Chory człowiek Europy

Polska jest krajem coraz mniej zrozumiałym. Obserwatorzy zagraniczni w Warszawie coraz częściej przyznają, że właściwie nie mogą zrozumieć polskiej kwadratury koła. Stosunkowo szybki rozwój gospodarczy kraju od roku 1971, oparty głównie na olbrzymich kredytach zachodnich, doprowadził do załamania, którego partia od półtora roku nie jest w stanie opanować. Ratuje się więc dalszymi pożyczkami z Zachodu. Ponieważ jednak stan naszego zadłużenia dochodzi do sumy 14 miliardów dolarów, można wątpić, czy to źródło utrzymania względnej równowagi da się nadal eksploatować. Wobec czego wkroczone na drogę drakońskich oszczędności dewizowych. Odwołano nawet zbiorowe wycieczki „Orbisu” do krajów zachodnich, zlikwidowano głośno reklamowane przydziały 130 dolarów raz na trzy lata na wyjazdy indywidualne. Ograniczono do minimum zagraniczne delegacje służbowe. Drastycznie zmniejsza się import towarów konsumpcyjnych z Zachodu. W kawiarniach polskich nie podaje się więcej kawy, lecz erzac w postaci mieszanki zbożowej z symbolicznym dodatkiem kawy prawdziwej. Kawa znikła również ze sklepów. Z planów inwestycyjnych skreśla się budowy czasem bardzo już zaawansowane, jeżeli wymagają wkładów dewizowych. Mimo tych wszystkich rozpaczliwych kroków zadłużenie Polski w walutach twardych nadal rośnie, a spłacanie procentów wymaga niezwykle wysiłków Ministerstwa Finansów i Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

Był moment, że chciano zablokować konta dolarowe ludności w Banku PKO, na których jest ok. 250 milionów dolarów, ale w obawie przed reakcją społeczeństwa zaniechano tego gorączkowego posunięcia. Natomiast cała „polityka zagraniczna PRL”, od przezabawnej wizyty „Szachinszacha i Cesarzowej Iranu” w Warszawie, poprzez wszystkie inne wyjazdy zagraniczne przywódców partyjnych i przyjazdy do Polski przedstawicieli innych krajów, sprowadza się do starań o dalsze kredyty, jeśli nie finansowe, to surowcowe i w postaci urządzeń inwestycyjnych.

Poza tym podróże Gierka i Jaroszewicza mają jeszcze jeden cel „międzynarodowy”, a mianowicie zmiekczenie przywódców zachodnich przed Konferencją w Belgradzie. Kierownicy PZPR odgrywają tu rolę głównego pomocnika sowieckich dążeń do „wyciszenia” Belgradu.

Drugim najważniejszym kierunkiem polityki gospodarczej w Polsce jest stale podnoszenie cen na wszystkie niemal artykuły żywnościowe i przemysłowe. Partia zrezygnowała chwilowo z jawnej jednorazowej podwyżki cen, która doprowadziła w czerwcu 1976 do strajku generalnego i znanych wydarzeń w licznych zakładach pracy, z Ursusem i Radomiem na czele. Ceny podnosi się teraz niemal codziennie na jakiś artykuł i bez informowania o tym społeczeństwa. W gruncie rzeczy podniesiono także ceny na chleb, wypuszczając obok normalnych bochenków podłużnych, także okrągłe, o 50% droższe. Wędlin na ogół na rynku nie ma, mięso jest rzadkością, a przed masarniami stoją po kilka godzin kolejki jeszcze przed przywiezieniem towaru. Coraz to jednak pojawiają się nowe stoiska z mięsem w innych sklepach, ale tam jest ono już droższe o kilkadziesiąt procent. Chłopi zaczęli masowo dostarczać mięso po wygórowanych cenach wprost do domów znanych odbiorców, z pominięciem państwowej sieci handlowej, a milicja urządza na nich łapanki, żywo przypominające stosunki, które panowały w okresie okupacji niemieckiej.

Wyludzanie bądź wymuszanie dalszych kredytów zagranicznych i przerzucanie na społeczeństwo skutków błędów ekonomicznych przez drastyczne podnoszenie cen stanowią w tej chwili jedyne uchwytne przejawy polityki gospodarczej państwa. Poza tymi doraźnymi próbami ratowania się partia nie ma koncepcji wyjścia z kryzysu gospodarczego. Polskie sklepy świecą pustkami. Brak jest wszystkiego, w tym samym stopniu rynkowych artykułów przemysłowych co żywnościowych. Konieczność spłaty procentów od astronomicznego zadłużenia zmusza państwo do eksportowania wszystkiego, co tylko da się sprzedać. Stąd niezwykle czarnorynkowa cena dolara, który kosztuje przeciętnie 140 złotych, w czasie gdy jego kurs na Zachodzie wyraźnie spadł. W Polsce o kursie dolara decyduje popyt na samochody produkcji krajowej, które praktycznie można nabyć za dolary. „Ojciec motoryzacji polskiej”, towarzysz Wrzeszczyk, ma więc sukces, ale sukcesowi towarzyszy pewien cień. Na rynku nie ma części samochodowych, kwitnie więc spekulacja akcesoriami. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Polską gospodarkę trawi ciężka choroba. Państwo kierowane przez komunistów nie jest więc w stanie niczemu zaradzić. Na dole panuje dezorganizacja i rosnąca korupcja aparatu administracyjnego. Kraj nasz stał się przysłowiowym chorym człowiekiem Europy.

W istniejącej sytuacji możliwe są lokalne napięcia i wybuchy, psychologicznie zrozumiałe odruchy protestu społeczeństwa. Opozycja polityczna w kraju, której trzon bez żadnej wątpliwości stanowi w tej chwili poszerzające się środowisko Komitetu Obrony Robotników, rozumie wszystkie niebezpieczeństwa istniejącej sytuacji. Prowadząc różne formy walki, które w tej chwili nadal głównie skupiają się na obronie represjonowanych i pozacenzuralnej akcji wydawniczej, opozycja kieruje się zasadą niedopuszczenia, aby ludzie wyszli na ulice. Obserwujemy nadzwyczaj rzadki w dziejach Polski wypadek, że siły opozycyjne i niepodległościowe są bardzo rozważne i za żadną cenę nie zamierzają dopuścić do

nieobliczalnego czy przedwczesnego wybuchu. Ale opozycja nie zamierza także dać za wygraną, szczególnie że sowietyzacja Polski za pomocą cenzury, propagandy, uniformizmu życia umysłowego i kulturalnego niestety nadal postępuje. Dlatego środowiska opozycyjne, zakończywszy zwycięsko batalię z represjami, które nastąpiły po czerwcu 1976 roku, w tej chwili koncentrują się na odcinku kultury. Polska weszła w erę samizdatów, a być może jeszcze dalej idącego przeciwdziałania sowietyzacji kulturalnej.

Kierownictwo partyjne, bezradne w dziedzinie gospodarczej, świadome jest jednak powagi sytuacji politycznej w kraju. Gierek w pewnej mierze wzmocnił swoją pozycję, kapitulując po cichu przed opozycją swą zakłamaną „amnestią”. Okazało się, że najlepszą receptą na zdobycie opinii przywódcy liberalnego jest najpierw zamknięcie, a potem wypuszczenie przywódców opozycji. Jest oczywiście, że bez „amnestii” Gierek nie mógłby odbyć całej serii zaplanowanych podróży i kontaktów zagranicznych. A były mu one niezbędne tak z przyczyn gospodarczych, jak i ze względu na rolę wyznaczoną PRL przed spotkaniem „europejskim” w Belgradzie.

Co będzie jednak dalej? Czy chory człowiek Europy – nasz kraj – ma szansę wywyższenia się z katastrofalnej sytuacji? Niestety, nie ma żadnych podstaw, aby na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Przewyciężenie kryzysu gospodarczego wymagałoby głębokich gruntowanych reform, na które partii polskiej nie pozwoli Wielki Brat, gdyż reformy zakłóciłyby w oczach Sowietów normy panujące w całym imperium, a przede wszystkim w samym jego centrum – w Rosji. Przewyciężenie kryzysu politycznego wymagałoby częściowego choćby, ale rzeczywistego porozumienia się ze społeczeństwem, a nie tylko pozorów odprężenia wobec opozycji i umizgów wobec Kościoła katolickiego i epigonów dawnej prawicy narodowej w Polsce. Tymczasem jednak te manewry można obecnie uznać za główną strategię partii wobec społeczeństwa. Nie trzeba dodawać, że nie jest to w najmniejszej mierze linia porozumienia z opinią publiczną, lecz wręcz przeciwnie, linia dywersji wobec społeczeństwa. Dywersję tę charakteryzuje szczególnie rodzaj cynizmu i jest ona najdrastyczniejszym bodaj w dziejach PRL sprzeniewierzeniem się zasadom socjalistycznym. Oto bowiem najświatlejszym Polakom w kraju i na emigracji, siłom walczącym o wolność, przeciw represjom i sowietyzacji kultury, przeciwstawia się rzekomą prawicę, fałszywy nacjonalizm, pobudzając ciemne obsesje, ksenofobie, antysemityzm, ba, nawet wyciągnięte z lamusa historycznego zabawne widmo wszechwładzy masonerii.

Gra prowadzona jest różnymi sposobami i na różnych szczeblach. Propaganda partyjna przechodzi sama siebie, by dewaluować w odczuciach społeczeństwa słowa: ojczyzna, naród, patriotyzm. Tajna policja inspirowana w kraju i za granicą „narodowe” odłamy, niczego im zresztą nie dając ani nie przyrzekając. Rząd deklaruje przy każdej dogodnej okazji swoją życzliwość wobec Kościoła, jednocześnie zwalczając bezwzględnie np. biskupa Tokarczuka z Przemyśla, któ-

ry wystawił w swojej diecezji najwięcej kościołów. Służący nie od dzisiaj każdej aktualnej linii partii pisarz katolicki o, bądź co bądź, dość znanym nazwisku – Jan Dobraczyński, dzieli katolików na „narodowych” i innych podejrzanych, którzy są złymi patriotami i mają za dobre stosunki na Zachodzie. Wszystko to razem jest szyte tak grubymi nićmi, że można powątpiewać w skuteczność nowej „strategii” partii. Ale pewne pomieszanie w co słabszych głowach powstaje. A poza tym PZPR zadowala mocodawców sowieckich, którzy wyraźnie doszli do wniosku, że na tym etapie najgroźniejszy dla imperium jest liberalizm i kierunki prawdziwie postępowe. Nakazano więc zwalczać je, podsycając fałszywy nacjonalizm, antysemityzm i nieistniejącą praktycznie masonerię.

Czy kierownictwo polityczne w Polsce jest jednolite i czy akceptuje linię polityczną tak bardzo żenującą z punktu widzenia zasad socjalizmu? Posłuszeństwo przywódców partyjnych wobec Moskwy decyduje o ich karierze i pozycji politycznej. Dlatego nie należy mieć zbytnich złudzeń, że istnieją poważniejsze różnice w sprawie tzw. jedności „obozu” i zagranicznej polityki imperium. Nie ma też w PZPR tak drastycznych walk frakcyjnych, jakimi wypełnione były lata sześćdziesiąte. Ale napięta sytuacja gospodarcza i polityczna nie może nie wpływać na powstawanie różnic i skrzydeł partii. W jej władzach najwyższych wyraźnie widać orientację dogmatyczną, z jednej strony, i bardziej umiarkowaną, z drugiej. Niżej w aparacie bardzo silna jest grupa nacjonalistyczna. Wypiera się ją, lansując działaczy najmłodszej generacji, z najmniejszą wiedzą o historii partii, minionych walkach i sporach.

Przeprowadzona reforma administracji stworzyła legion działaczy partyjnych, którzy w wieku około pięćdziesiątki przeszli na emeryturę lub mają fikcyjną pracę. Pociąga to za sobą olbrzymie obciążenia finansowe dla państwa. Ale przede wszystkim stworzyła armię niezadowolonych, żyjących marzeniami o odwecie. A co najgorsze, reforma administracji na dobre zdeorganizowała państwo, stworzyła najbardziej bezideowy i przekupny aparat w dziejach naszego kraju.

Póki w Rosji rządzi Breżniew, póty pozycja Gierka wydaje się dość silna, oczywiście jeżeli nie wysadzi go z siodła jakaś przypadkowa eksplozja, o którą przy stale postępującej pauperyzacji społeczeństwa nie jest trudno. Pauperyzacja ma zresztą szczególny charakter, bo ludzie na ogół nie są bez pieniędzy, a nawet drogą nielegalnych transakcji dewizowych dochodzą do samochodów. Ale nie mają gdzie mieszkać i coraz gorzej się odżywiają. Są także niezwykle zmęczeni walką z dezorganizacją życia i bałaganem, w którym załatwienie czegokolwiek wymaga nadludzkich wysiłków.

Nikt nie wierzy, by odejście Jaroszewicza ze stanowiska premiera PRL – o czym się mówi od lat, a od czerwca 1976 roku niemal bez przerwy – mogło wiele zmienić. Stefan Olszowski czy inni kandydaci na funkcję premiera są młodszy i z pewnością inteligentniejsi. Ale bez gruntownych reform nie będą w stanie opanować sytuacji.

Niestety, Polska pozostanie długo jeszcze chorym człowiekiem Europy. Propaganda partyjna próbuje tłumaczyć to wadami naszego charakteru narodowego, naszym poszlacheckim indywidualizmem, brakiem karność i pracowitości. W istocie winna jest sama partia. Obok immanentnych wad systemu totalno-biurokratycznego, które występują także w Rosji i w innych krajach Bloku Wschodniego, nasilenie zjawisk kryzysowych w Polsce wynika ze szczególnie niskiej wartości moralnej i umysłowej polskiej partii. Cała jej historia naznaczona była wypieraniem lepszego aktywu przez gorszy. Tymczasem duchowa przynależność Polski do kultury europejskiej wymaga od komunizmu w naszym kraju szczególnej finezji w rządzeniu. Rosjanie nigdy nie chcieli tego uznać i zawsze dążyli do „glajchszaltowania” Polski z innymi krajami obozu. Doprowadziło to do tego, że z Polską mają teraz największe kłopoty.

Spółczesność polskie dobrze wie, że u nas właśnie jest najgorzej w porównaniu z innymi krajami Bloku Wschodniego. Ale świadoma opinia publiczna nie pozwoli propagandzie partyjnej wpędzać społeczeństwa w kompleksy i nieuzasadnione poczucie winy. Winna jest Rosja, jej imperialna polityka wykorzystująca potencjał Polski dla własnych celów. Winna partia w Polsce, w której widać wyraźnie brak ludzi z charakterem, umiających bronić w Moskwie naszych interesów narodowych i naszej kulturalnej odrębności.

[11/1977]

Życie codzienne w PRL

Potrzeba opisu

Wybitni badacze systemu totalitarnego panującego we współczesnej Polsce, a potocznie nazywanego socjalizmem, więcej zazwyczaj uwagi poświęcają zjawiskom ogólnym niż opisowi codzienności. Wiadomo, że człowiek w Polsce poddawany jest nieustannemu naciskowi gospodarczemu, propagandowemu i socjalnemu, lecz opis tych nacisków przeprowadzany jest na ogół w skali makro, „z lotu ptaka”, bez uwzględniania tzw. drobiazgów życiowych. Dzieje się tak we wszystkich dziedzinach: w ekonomii, socjologii, publicystyce społecznej i politycznej, a nawet w literaturze pięknej, która chętniej sięga do uogólniających metafor niż do drobiazgowego opisu. Z tej perspektywy nieocenionym wprost wyjątkiem jest znakomity poemat Stanisława Barańczaka pt. *Sztuczne oddychanie*, od kilku lat krążący w kraju w maszynopisowych odpisach, ostatnio zaś wydrukowany za granicą nakładem „Aneksu”. Jednakże w takich utworach również niemożliwe jest zbyt drobiazgowo zajęcie się tzw. codzienną rzeczywistością.

Z kolei jeśli chodzi o prasę krajową, zarówno oficjalną, jak i wydawaną poza zasięgiem cenzury, to nie jest ona w stanie podjąć takiego opisu. Po pierwsze dlatego, że o ile jeszcze może opisywać poszczególne wycinki życia, to z przyczyn zasadniczych (cenzura) nie może opisać całości – dopiero lektura kilku roczników takich pism, jak „Polityka” czy „Kultura” pozwala się zorientować plus minus w ogólnym obrazie, lecz takie układanie kamyczków reporterskiej mozaiki jest zajęciem niezwykle żmudnym. Z kolei prasa niezależna nastawiana jest bardziej na spełnianie doraźnych funkcji interwencyjnych niż na systematyczny opis całości życia społecznego; ponadto zaś jej możliwości ograniczone są przez trudności techniczne, konieczność oszczędności papieru itp. – w rezultacie zajmuje się ona sprawami najbardziej aktualnymi.

Jako dziennikarka od lat parająca się w prasie oficjalnej zagadnieniami codzienności czuję się upoważniona do zabrania głosu na ten temat; tym bardziej że prowadzę życie kobiety zarabiającej przeciętnie i skazanej na podobne użeranie się z trudnościami jak każdy tzw. szary obywatel naszego kraju. Mieszkam w dużym mieście wojewódzkim, ale z racji mego zawodu jeżdżę po całym kraju, mam więc możliwość porównania warunków panujących we wszystkich regio-

nach. Obraz, który przedstawiam poniżej, jest charakterystyczny dla życia w dużych skupiskach miejskich – Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu czy Katowicach. W małych miasteczkach prowincjonalnych i na wsiach jest jeszcze gorzej.

Nie tylko etat

Wśród około 40 młodych (około 30 lat) małżeństw przeprowadziłam w zeszłym roku ankietę mającą na celu zorientowanie się w tym, z czego ci ludzie żyją. W ponad trzydziestu małżeństwach pracują oboje, w kilku pracuje tylko mąż; w tym drugim wypadku zarobek męża jest całkowicie wystarczający na pokrycie wydatków, lecz jest to z reguły praca wyjątkowo dobrze płatna – wzięty dziennikarz, aktor, wyjątkowo zdolny inżynier czy naukowiec. W pozostałych wypadkach prawie zawsze płace z etatów obojga małżonków są niższe od ich potrzeb finansowych. Powstaje zatem konieczność dorabiania „na boku”. Najczęściej są to prace zlecone w tej samej instytucji, w której się pracuje. Praktyka „prac zleconych” jest w Polsce bardzo rozwinięta, często są to prace, które można wykonywać we własnym przedsiębiorstwie (niejednokrotnie umowę podpisuje się, podstawiając kogoś znajomego), i mimo że jest to oficjalnie zabronione, wykonuje się je w godzinach pracy, przy czym kierownictwo przymyka oczy na takie praktyki. Częściej jest to praca, którą trzeba wykonywać w domu. Zarobki osiągane w ten sposób stanowią coś w rodzaju drugiej pensji (niezwykle wyższej od pierwszej, oficjalnie pobieranej co miesiąc). Konieczność dorabiania „na boku” stanowi poważne ograniczenie czasu teoretycznie przeznaczonego na odpoczynek, powoduje permanentne przemęczenie. Innym sposobem dorabiania do pensji jest udzielanie korepetycji. Wiele małżeństw korzysta z pomocy finansowej rodziców.

Przy omawianiu tego tematu należy pamiętać, że w Polsce dla młodego małżeństwa przedmiotem swego luksusu są takie przedmioty codziennego użytku, jak dobra lodówka (ponad 2 przeciętne pensje), dobry telewizor (2–2½ przeciętnej pensji), dobry garnitur męski (1 przeciętna pensja), nie mówiąc już o takich luksusach, jak dobry zachodni sprzęt stereofoniczny (ok. 10 przeciętnych pensji) czy mały fiat (ok. 25 przeciętnych pensji). Dla porównania – tani nowy samochód kosztuje na Zachodzie ok. 5 miesięcznych pensji, porządny zaś garnitur kupić można po 25–30 godzinach pracy, przy czym podstawą obliczenia jest płaca robotnika niewykwalifikowanego (34 dolary USA za godzinę). Przeciętną płacę w Polsce obliczam na ok. 4000 zł miesięcznie.

Praca, zakupy, zaopatrzenie

Młode małżeństwa otrzymują mieszkania najczęściej w nowych osiedlach usytuowanych daleko od miejsca pracy, na obrzeżach miast. Dojazd do pracy trwa przeciętnie 45 minut do 1½ godziny, tyle samo czasu przeznaczają na

powrót. Ze względu na olbrzymie braki w taborze komunikacyjnym jedzie się do pracy w niebывалым tłoku, wraca w jeszcze większym. Zniknęły już co prawda słynne „winogrona” w autobusach i tramwajach, lecz jest to jedynie efekt postępu technicznego – kierowca i motorniczy nie mają prawa ruszyć z przystanku, jeżeli nie zamkną się automatyczne drzwi pojazdu. Tłum w autobusach i tramwajach w godzinach szczytu i tak dwukrotnie przekracza nominalną pojemność pojazdu. Ludzie jadą rozdrażnieni, w napięciu, częste są kłótnie wywołane o najmniejsze nawet drobiazgi. W czasie dojazdów do pracy i powrotów narasta w ludziach agresja, którą we wszelki możliwy sposób starają się wyładować na bliźnich.

Ponieważ w nowych osiedlach mieszkaniowych jest źle rozwiązana sieć zaopatrzenia – brak przede wszystkim sklepów spożywczych, a te z reguły posiadają dużo mniejszy asortyment towarów niż w centrum – zakupy najczęściej dowozi się z miasta. Jeżeli to możliwe, każdy stara się je robić w godzinach pracy (dotyczy to zwłaszcza urzędów, redakcji, biur projektowych itp.), w większości wypadków jednak robi się je po pracy. W stosunkowo dobrze zaopatrzonych w mięso sklepach komercyjnych stoi się w kolejce od 30 minut, często dużo dłużej, do godziny – przy czym zakup takich delicji, jak np. cielęcina należy do ewenementów. Zakupy w samoobsługowym sklepie spożywczym (bez mięsa) trwają w godzinach sklepowego szczytu ok. 50 minut, często dłużej. Odbywa się istne polowanie na takie artykuły, jak świeże jaja, w Krakowie brakowało niedawno masła i oliwy, często brak świeżego pieczywa, bardzo duże niedobory występują (nawet w sezonie) w zaopatrzeniu w owoce, warzywa i sery. Zdobyć bez kolejki jakiegokolwiek wędliny jest czystą utopią.

Po zrobieniu zakupów z pełnymi siatkami – tradycyjnie wciąż jeszcze obowiązkiem tym obciążone są kobiety – wsiada się do przepełnionego do granic możliwości autobusu czy tramwaju. W sklepie osiedlowym najczęściej dokupuje się towary, o których się zapomniało w mieście lub które prawem przypadku znajdują się akurat w tym sklepie, w centrum zaś ich brak.

Wybór artykułów spożywczych jest tak ograniczony, że porównywanie tego z wyborem w przeciętnym sklepie spożywczym na Zachodzie zakrawa na kpinę. Niedawno w jednym z małych miasteczek wpadłam do sklepu spożywczego. Naliczyłam: 5 rodzajów makaronu, ser żółty, ser biały, jajka chłodnicze drugiego gatunku (małe), trzy rodzaje serków topionych, 5 gatunków dżemu, sok owocowy, jeden rodzaj herbaty („Popularna” – składa się głównie z jakiegoś pyłu herbacianego – listki należą do rzadkości), kilka rodzajów konserw rybnych i zup w proszku, cukier, czerstwy chleb, kasza jęczmienna, parę innych drobiazgów i... 16 (szesnaście) gatunków wódek. Poszukiwałam kawy, której, rzecz jasna, nie było.

Nie wiedzieć dlaczego absolutnie znikły z handlu takie artykuły mięsne, jak wątróbki, płucka, nerki, wszelkiego rodzaju podroby, a więc produkty stosunkowo tanie i mogące stanowić bazę żywieniową dla rodzin skromniej zarabiających.

Byłoby bez wątpienia ciekawostką przewiezienie na Zachód niektórych artykułów spożywczych, zwłaszcza konserw, i oddanie ich do zbadania w jakimś instytucie żywienia. To, co sprzedaje się jako konserwy mięsne w Polsce, jest fascynującą wielu ludzi zagadką.

Nowe mieszkanie, czyli klęska żywiołowa

Otrzymanie – po 10 lub nawet 12 latach oczekiwania – nowego mieszkania jest jednocześnie dużą radością i klęską. W ramach ulubionych przez władze prac społecznych ludzie zasiedlający nowe domy zaczynają dostosowywać mieszkania do swoich potrzeb. Po pierwsze usuwają w mozołę resztki gruzu, pracowicie zdrapują rozchlapany cement, farbę itp. Po drugie muszą w trybie natychmiastowym uszczelnić okna i drzwi, jak również sprawić sobie autentyczny zamek. Po trzecie polują na rzemieślników, aby ci przestawili niefunkcjonalnie zamontowane kaloryfery, zlewozmywak i kuchenkę gazową. Wszystko to oczywiście kosztuje, i to немало.

Ale są to dopiero miłe złego początku. Rozpoczyna się polowanie na meble. Jest stół kuchenny, lecz nie ma do niego krzesel. Potem są krzesła, co prawda nie od kompletu, ale trudno, trzeba kupować to, co akurat jest „na składzie”. Przed sklepami czy, jak to dumnie nazywa prasa, „salonami” meblowymi formują się długie kolejki – w dniu, na który zapowiedziano „rzucenie” jakiegoś poszukiwanego typu mebli, kolejki ustawiają się od rana: rośnie spekulacja, powstał nawet „zawód” polegający na odpłatnym staniu w tego typu kolejkach. Umeblowanie i w ogóle doprowadzenie mieszkania do stanu używalności trwa przeciętnie 1–1½ roku. Ważne przy tym jest to, że absolutnie nie można ułożyć sobie sensownego planu wydatków, kupuje się bowiem to, co akurat – prawem przypadku – znalazło się na rynku. Ludzie motają się w długach zmuszeni przez sytuację do zaciągania niespodziewanych pożyczek. Jest to jednak i tak sytuacja dla młodego małżeństwa dużo znośniejsza niż poprzednia, gdy w oczekiwaniu na własne mieszkanie żyło ono w mieszkaniu wynajętym: ceny wynajmu mieszkań przekroczyły już bowiem wszelkie granice przyzwoitości – pokój z kuchnią w Krakowie, Wrocławiu czy Warszawie kosztuje obecnie do 4 tys. zł miesięcznie, co stanowi równowartość średniej płacy.

Dzieci

Dziecko dla młodego małżeństwa jest też swego rodzaju klęską żywiołową. Często pojawia się jeszcze przed zdobyciem mieszkania. Nie muszą chyba pisać o koszmarze mieszkania we troje w jednym wynajętym pokoju.

Ale nie to jest największym problemem, choć trzeba przyznać, że pojawienie się dziecka w tych warunkach bardzo często staje się przyczyną rozwodu. Nie tak dawno jeszcze „Życie Warszawy” prowadziło głośną akcję zmierzającą do właściwego zaopatrzenia rynku dla niemowląt („Niemowlę też człowiek” – od-

krycie godne drugiej połowy dwudziestego stulecia). Akcja minęła, problemy pozostały nierozwiązane. Problemem jest wszystko – zdobycie pieluszek, właściwej mieszanki mlecznej, wózka, ubranek, oliwki, smoczków, zasypki, podgrzewaczy do butelek. Można by tę wyliczankę właściwie ciągnąć w nieskończoność.

Kto ma rodzinę na Zachodzie lub sam może tam wyjechać – ściga co tylko się da. Ponadto wiele artykułów dla niemowląt można kupić w Peweksie. Zaczyna się więc polowanie na dolary (ok. 130 zł = 1 dolar), co kosztuje mnóstwo zachodu, nie mówiąc o pieniądzach.

Oczywiście, jak ze wszystkim innym, można sobie – bo trzeba – z tym jakoś poradzić. Do pomocy rusza bliższa i dalsza rodzina, przyjaciele, znajomi. Najczęściej dzieje się tak, iż niektóre przynajmniej artykuły, takie jak wózek, podgrzewacz czy ubranka, otrzymuje się „w spadku” po dzieciach znajomych, które już z nich powyrastały. Ten łańcuch samopomocy niemowlęcej jest już od dawna znakomicie rozwinięty i rozpoczyna funkcjonowanie jeszcze przed przyjściem dziecka na świat.

Kolejny problem to zdobycie miejsca w żłobku lub w przedszkolu. Koszmar braku tych miejsc, zwłaszcza w większych miastach, nie da się z niczym porównać, tym bardziej że miejsce w prywatnym przedszkolu, których sieć rozwija się coraz potężniej, kosztuje 2000 zł miesięcznie, jest więc wydatkiem, na który zbyt wielu ludzi nie stać. Nie każdy zaś z kolei ma do pomocy babcię emerytkę czy kogoś innego z rodziny, kto może się dzieckiem zaopiekować. W związku z tym kobiety biorą trzyletnie urlopy bezpłatne. Powoduje to dalsze obciążenie mężczyzn pracami zleconymi i innymi formami dodatkowych zarobków – w końcu wymagania rodziny zwiększyły się z chwilą przyjścia dziecka na świat w sposób silnie odczuwalny.

Życie kulturalne

Jak już pisałam, nowo wybudowane osiedla położone są na ogół dość daleko od centrum. Są też one pozbawione kin i teatrów, w związku z czym pójście do teatru czy nawet obejrzenie filmu wiąże się z odbyciem dalekiej wyprawy. Kończy się więc najczęściej, zwłaszcza w powiązaniu z permanentnym przemęczeniem, ciągłym brakiem czasu i w dodatku koniecznością polowania na bilety, oglądaniem programu telewizyjnego. Poziom tego programu w zasadzie nie wymaga komentarza – jest to przeżuta papka filmowo-propagandowa. Przyznać jednak należy, że jest kilka programów (np. Teatr Telewizji), które stoją na ogół na dość wysokim poziomie. Najważniejsze jest to, że programy ambitne i rzeczywiście interesujące nadawane są w godzinach późnych lub wtedy, gdy na drugim programie nadawana jest pozycja o silnej konkurencyjności (np. mecz piłki nożnej). Sytuacja na rynku księgarskim jest taka, że praktycznie zdobycie jakiegokolwiek dobrej książki jest dla kogoś, kto nie ma „zaprzysiężonej” księ-

garni, niemożliwe. Dotyczy to zarówno książek autorów krajowych, jak i zagranicznych, tak prozy fabularnej, jak tomu wierszy czy dzieła filozoficznego. Faktem jest, że w Polsce występuje ogromny głód słowa drukowanego. Wartościowe pozycje, zwłaszcza z dziedzin humanistycznych, znikają w ciągu jednego, dwóch dni.

To samo dotyczy gazet. Po godzinie od ukazania się „Przekroju” czy „Polityki” znikają one z kiosków jak kamfora. W ogóle nie widuje się w sprzedaży takich gazet, jak „Literatura na Świecie”, „Więź” czy „Znak” lub „Tygodnik Powszechny” – sprzedawane one są, tak jak i „Twórczość”, niemal wyłącznie spod lady. Wielokrotnie już mówiono i pisano o potrzebie zwiększenia nakładu niektórych pism i powtarzania wydań najważniejszych pozycji książkowych, sprawa nie wymaga więc wielu dodatkowych komentarzy. Na jeden jednak aspekt tego zagadnienia chciałabym koniecznie zwrócić uwagę. Chodzi mi przede wszystkim o wielkonakładowe cegły zalegające latami półki księgarskie. To są dosłownie setki, może nawet tysiące pozycji pochłaniających góry papieru, którego w Polsce rzekomo brak na wydawanie książek np. Marka Nowakowskiego. Różne broszury propagandowe, przemówienia wodzów partii komunistycznych, trzeciorzędna literatura lub nawet wręcz grafomania, nieproporcjonalna do ich wartości ilość przekładów z literatury rosyjskiej – to wszystko wygląda na świadome i planowe dążenie do unicestwienia kultury polskiej. Byłoby na pewno rzeczą pouczającą obliczenie ilości papieru pożeranego przez tego rodzaju publikacje.

I raz jeszcze chciałabym podkreślić fakt, że wszystko, o czym tu piszę, dotyczy większych miast. Na prowincji jest dużo gorzej, często można mówić o sporalizowaniu wszelkich przejawów życia kulturalnego.

Polityczny klajster

Zatomizowane, wyzbyte spontaniczności i autentyzmu życie społeczne w Polsce lat siedemdziesiątych zanurzone jest w politycznym klajstrze, w jakiejś lepkiej cieczy propagandy, w której to wszystko pływa w sposób nieuporządkowany, przypadkowy i pozbawiony jakiegokolwiek sensu. Nie mówię tu o małych grupkach ludzi zdecydowanych na aktywne przeciwstawienie się panującemu stanowi rzeczy. Mówię o codziennym życiu milionów ludzi wegetujących z dnia na dzień bez poczucia trwałości i ciągłości swego losu, niepewnych tego, co zdarzy się za tydzień, przepełnionych nieukierunkowaną agresją, bojących się załatwić najprostszą sprawę w najmniejszym urzędzie. Ci ludzie, nawet jeśli wiedzą o działalności opozycji, nie są jej zwolennikami – co najwyżej kibicują jej z kaprysami kibica sportowego, który w razie zwycięstwa „swojej” drużyny będzie ją wynosił pod niebiosa, gdy zaś ona przegra, zwróci swe zainteresowanie w innym kierunku. Tacy właśnie ludzie stanowią o klimacie życia w Polsce.

Są oni zanurzeni w tym lepkim klajstrze propagandy, który na co dzień ich otacza w mniej lub bardziej widoczny sposób. Ten klajster to nie tylko partyjna

propaganda we wszystkich środkach przekazu. To również pokiereszowana, zniekształcona mowa, która zionie z prasy, radia i telewizji, jakiś bełkot przemawiany przez masy, bełkot, w którym często brak podmiotu i orzeczenia, w którym słowa pozbawiane są znaczeń i sensów. Ten bełkot staje się ich sposobem porozumiewania się. Wystarczy przypomnieć coroczne przerażenie poziomem maturalnych wypracowań z polskiego czy lamentsy dotyczące umiejętności poprawnego wysławiania się kandydatów na wyższe uczelnie (nawet na polonistykę). Przeciętny maturzysta mówi nie swoim językiem, nie potrafi napisać nic od siebie, wysławia się kalkami językowymi, gotowymi sztancami. Coraz większa liczba ludzi zamiast jeść – „konsumuje”, w sprzedaży pojawiają się artykuły o jakichś fantastycznych nazwach („trójkąt męski” – slipy, „zwis” – lampa itp.), powstają jakieś „fronty robót”, daje się „odpór”, „zabezpiecza” się pomoc itd.

To wszystko nie jest zabawne, choć często może brzmieć humorystycznie. Rozkładowi ulega podstawowe spoiwo, jakim jest naturalny język. Zastępuje go rodzaj nowomowy, o jakim nawet się Orwellowi nie śniło. To już nie jest tylko zniekształcenie języka, to jego zmiażdżenie przez ciśnienie propagandy ujednoliciącej wszystko.

Zakopane, 16 czerwca 1979

[9/1979]

Przebieg wydarzeń 198*

I

W maju czy czerwcu 1978 roku na lotnisku wojskowym na Gocławku w Warszawie odbyły się manewry. W manewrach tych wzięły udział wyborowe jednostki „chłopców z Golędzinowa”, uzbrojone w plastikowe (lecz mocne), przezroczyste tarcze i długie, wzmacniane ołowiem gumowe pałki. Rozpoczął się okres przygotowań do rozpędzania ulicznych demonstracji. Potomkowie Borynów, Radków i Ślimaków, potomkowie Baryków w zwartym szyku nacierali na przeciwnika. Sprawni dowódcy formowali nowe zastępy, kreowali nowe sytuacje. Dobrze odżywieni rycerze porządku publicznego dziarsko wywijali pałkami, armatki wodne przygotowywały pole ataku, granaty z gazem łzawiącym pękały, rozpędzając niewidzialny tłum.

Ćwiczenia jak ćwiczenia, nie pierwsze i nie ostatnie zapewne. Ostatnio jednak jakby ich było więcej. Nazywa się to intensyfikacją szkolenia, jest czymś w rodzaju pogotowia bojowego. A dziwić się temu nie należało, skoro naród niezadowolony jakby, opozycja zyskiwała rzesze jawnych i niejawnych zwolenników, w ogóle zaś było nie za dobrze, często nawet wręcz źle. Wrzenie jakieś podskórne w społeczeństwie powstało, z wierzchu niby spokój, ale w gruncie rzeczy wszystkiego się można było spodziewać.

Póki co jednak milicja i Służba Bezpieczeństwa zabawiały się walką podjazdową. Kogoś zamykano, puszczano do domu, znów zamykano. Tu rewizja, tam nalot na powielacz, konfiskata nakładu. Ówdzie przyskrzyniono wykładowcę kółka samokształceniowego, rozpędzono studentów, kogoś pobito, wywieziono z miasta i porzucono w rowie. Specjalne komórki twórcze układały sprośne wierszyki o działaczach opozycyjnych, którą to twórczość rozsyłano pracownicy pocztą. Ale w ogóle raczej było spokojnie, bez wstrząsów, delikatnie. No może jeszcze fakt, że w cichości opracowywano bombę informacyjno-propagandową, filmy telewizyjne o obrażającym godność narodu życiu opozycji, artykuły demaskujące perfidię wrogów ludu, fotomontaże, fałszywe dokumenty.

II

Konflikt zaczął narastać w połowie roku 198*. Sytuacja gospodarcza kraju stawała się coraz rozpaczliwsza: inwestycje okazywały się przestarzałe już w chwili ich uruchamiania, ukryte i jawne podwyżki cen wyprzedziły wzrost płac tak dalece, że powiązanie końca z końcem stało się sztuką z pogranicza ekwilibrystyki, sklepy straszyły pustymi półkami. Opozycja ciągle zyskiwała sojuszników, również w sferach bezpośrednio związanych z władzami. Stawało się coraz jaśniejsze, iż wrzenie społeczne musi znaleźć jakieś ujście.

Wszelako układ sił „na górze” był wciąż nieodgadniony. Jedne zarządzenia eliminowały drugie, powiększał się chaos, tendencje zmierzające do wzmocnienia władzy centralnej coraz bardziej sabotowane były przez ośrodki regionalne. Niezadowolenie wsi, wzmocnione nieurodzajem, znajdowało wyraz w buntach chłopskich. Ilość strajków w wielkich ośrodkach przemysłowych dawno już przestała być zjawiskiem marginalnym. W środowiskach akademickich coraz częściej dochodziło do manifestacji otwarcie przeciwstawiających się polityce partyjnej. Rwało się wszystko jednocześnie. Interwencje policyjne w jednym miejscu wywoływały natychmiastową reakcję gdzie indziej. Wiadomości przenikały bariery międzyśrodowiskowe. Milczenie prasy coraz bardziej drażniło ludzi.

Wszystko to wywoływało niepokój państw ościennych, zwłaszcza zaś niezadowolenie Moskwy. Partyjni przywódcy Polski łajani byli coraz srożej w czasie swych tradycyjnie przyjacielskich wizyt na Kremlu. Nakazywano jak najrychlejsze stłumienie niepokojów, posługiwano się groźbą zmiany ekipy, niedwuznacznie dawano do zrozumienia, że cała ta afera skończyć się może udzieleniem Polsce bratniej pomocy. Szczególnie widoczne było zaniepokojenie przywódców NRD, dla których to polskie nieposłuszeństwo, ferment w „przywiślańskim kraju” był groźnym przykładem dla własnych poddanych. Ale i namiestnikom Czechosłowacji cała ta zabawa była nie w smak.

Tymczasem Zachód roił się od spekulacji. Niedwuznacznie dawano do zrozumienia Rosjanom, iż ponowne zastosowanie „doktryny Breżniewa” może doprowadzić do nieprzewidywanych skutków, wspominano o możliwości całkowitego zerwania stosunków gospodarczych, wstrzymaniu pożyczek i sprzedaży zboża.

Mocno już nadwreżona jedność ruchu komunistycznego groziła całkowitym rozpadem. Chiny wspominały o analogiach z rokiem 1956, Rumunia zaś wygrażała całą tę sytuację dla umocnienia własnej niezawisłości, przypominając, iż Układ Warszawski jest paktem obronnym. Co gorsza, Węgry jakby podnosiły głowę po nauczce otrzymanej w pamiętnym roku 1956.

Jednakże nie można było pozostawić spraw własnemu biegowi. Sytuacja stawała się nieznośna. W dodatku choć prywatnie wszyscy mówili o niepokojach, oficjalnie nikt nic o nich nie wiedział i wiedzieć nie mógł. Prasa nadal donosiła

o wykonywaniu i przekraczaniu planów, o rozwijaniu natarcia na szerokim froncie prac żniwnych, szybkim remoncie szkół i dorocznych brakach napojów chłodzących. Rzeczą bowiem najważniejszą było niewzbudzanie paniki. Zgodnie z marksistowską teorią rzecz nienazwana nie istnieje, nie nazywano zatem rzeczy po imieniu.

III

Wreszcie pękło. Tym razem, dla odmiany, w Łodzi. Łódzkie wypadki sierpniowe z 198* roku weszły na stałe do kalendarza polskiej historii. Ich tragiczny przebieg stał się powodem narastającego lawinowo buntu w innych ośrodkach.

Zaczął się niewinnie. Traf chciał, iż dyscyplinarnie zwolniono z pracy, słusznie zresztą, jedną z pracownic którejś przedsiębiorstwa: za kradzież. Niby nic, ale kobieta ta, samotna, miała na utrzymaniu troje dzieci. Ponieważ dano jej wymówienie ze skutkiem natychmiastowym, została praktycznie bez środków do życia. Jej koleżanki interweniowały w związkach zawodowych, prosząc o danie kobiecie jeszcze jednej szansy. Sprawa prawdopodobnie rozwiązana by była pomyślnie, ale ponieważ kradzieże przekroczyły w tym zakładzie wszelkie milcząco zakładane normy, dyrekcja uznała, iż to zwolnienie ma być przykładem dla reszty pracowników. Zrobił się z tego problem prestiżowy. Jednakże koleżanki zwolnionej postanowiły czynnie stanąć w jej obronie w myśl zasady, że może i słusznie wymówiono jej pracę, lecz w tym wypadku, akurat właśnie w tym, powinno się rzecz całą potraktować bardziej po ludzku, nie tak formalnie.

W związku z napiętą sytuacją organizacja partyjna zwołała zebranie otwarte, by kobietom przemówić do rozsądku. Zebranie przerodziło się w wiec, na którym wyciągnięto wszystkie brudy i zażądano uregulowania wszystkich naraz napiętych spraw, których nagromadziło się w tym zakładzie sporo. Zaspokojenie tych żądań było oczywiście niewykonalne. Ferment wśród załogi narastał. Wreszcie skrzyknęły się kobiety do strajku. Taki strajk jak każdy inny, niby nic, ale...

Właśnie. Na strajk odpowiedziano natychmiastowym zwolnieniem z pracy sześciu kobiet uznanych za jego organizatorki. Następnego dnia pół Łodzi znalazło się na ulicy w marszu pod siedzibę miejskiego komitetu partii.

Widać w tym było działanie opozycji. Tym razem tłum był jakby uformowany, bardziej niż kiedykolwiek dotąd stanowczy. Przed gmachem się zatrzymał i wysłał doń grupę delegatów z przygotowaną uprzednio listą żądań. Chodziło o podstawowe sprawy bytowe oraz o... uznanie uformowanego już niezależnego związku zawodowego, którego przedstawicielami byli delegaci. Żądania te były oczywiście nie do przyjęcia, ostatnie zaś uznano za policzek wymierzony ludowej władzy.

Zareagowano, po pierwsze, aresztowaniem delegatów, po drugie zaś zmobilizowaniem do działania milicji. Z tłumy przeciw milicjantom poleciały kamienie. I oto okazało się, że czym innym są ćwiczenia, czym innym zaś rzeczy-

wista walka z tłumem: śmiertelnie poturbowano ciężarną kobietę. Zaczęły się rozruchy w całym mieście.

Władze centralne ogłosiły zwyczajowy komunikat o chuligańskich wybrykach w Łodzi. W samym mieście zarządzono godzinę policyjną. Zamieszek jednak nie zdołano zlokalizować. Co gorsza, rozruchy objęły wszystkie środowiska społeczne: robotnicze, chłopskie, akademickie. Przystąpiono do aresztowania działaczy opozycyjnych. Jednocześnie ruszyła przygotowana na tę okazję kampania propagandowa.

IV

Wobec rozprzestrzeniania się buntu wojsko obsadziło wszystkie ważniejsze obiekty – elektrownie, gazownie, radiostacje itp. Łańcuchowa reakcja strajków rozprzestrzeniała się błyskawicznie, lecz nie żywiołowo, widać było, iż środowiska robotnicze były do podjęcia takich działań przygotowane. Coraz trudniej było o żywność, po ulicach miast wałęsały się bandy chuliganów, dochodziło do wzorowanych na działalność grup zachodnich zamachów terrorystycznych, godzina policyjna obowiązywała już w całym kraju, rozrastał się czarny rynek. Radio i telewizja bez przerwy nadawały apele o zachowanie spokoju.

W tygodni po pierwszej manifestacji w Łodzi powołano tzw. trybunały wojskowe. Była to akcja wymierzona przeciw monopolowi milicji, wojsko powoli przechwytywało kontrolę nad krajem. Mianowano nowego pierwszego sekretarza partii, usunięto całą dotychczasową ekipę. Rozwiązano sejm, zapowiadając wybory w ciągu najbliższego roku. Zmobilizowano pracowników kluczowych zakładów przemysłowych, kopalń, służb społecznych, przede wszystkim zaś służby zdrowia. Do odwołania zamknięto uniwersytety i szkoły. Wprowadzono na podstawowe artykuły kartki żywnościowe, co było koniecznością wobec niesłychanego wzrostu cen na czarnym rynku i niedostatku żywności w sklepach.

Z początkiem następnego tygodnia grupa wojskowych z pierwszym sekretarzem partii odleciała do Moskwy na pertraktacje z komunistycznymi przywódcami ZSRR, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier i NRD. Jednocześnie rozpoczęto rozmowy z aresztowanymi przywódcami opozycji i zawieszono w środkach masowego przekazu kampanię propagandową skierowaną przeciw tym działaczom społecznym.

Nadal też trwała rozgrywka między policją i wojskiem – oczywiście niejawna, z zewnątrz ledwo dostrzegalna. Po tygodniu wszakże przewaga wojskowych stała się faktem. Wojsko też przejęło kontrolę nad poczynaniami policji, zwłaszcza w większych ośrodkach.

Po pięciodniowym pobycie powróciła z Moskwy delegacja. Ogłoszono komunikat:

Powodując się troską o dobro narodu i działając w niezwykle skomplikowanej sytuacji, delegacja nasza zwróciła się do władz Związku Radzieckiego i innych bratnich krajów nasze-

go obozu o zagwarantowanie nienaruszalności granic państwa polskiego. Jednocześnie delegacja zapewniła swych partnerów o stałej i natychmiastowej gotowości Polski do wypełnienia wszelkich zobowiązań wynikających z faktu przynależności naszego kraju do Układu Warszawskiego.

Był to jedyny komunikat na temat przeprowadzonych rozmów, choć było oczywiste, że jest to jedynie atrapa mająca na celu ukrycie ich rzeczywistego przebiegu.

V

Dalszy przebieg wypadków wykazał, iż między władzami wojskowymi w Polsce a przywódcami Kremla musiało dojść do niezwykle dramatycznego spięcia. Między innymi świadczyła o tym wypowiedź Chin, wspominająca o poparciu „udzielonym przez cały naród chiński postawom antyhegemonistycznym i antyimperialistycznym innych narodów”, oraz wspólne oświadczenie państw-członków Układu Warszawskiego, mówiące o „intrygach określonych sił zmierzających do naruszenia obowiązujących zasad pokojowego współistnienia narodów”.

W trybie natychmiastowym zwołano kolejny zjazd partii, na którym wybrano nowe kierownictwo. W Biurze Politycznym większość stanowili wojskowi. Mianowano nowych sekretarzy wojewódzkich. Jedną z głównych uchwał zjazdu było powołanie Komisji Reformy Gospodarczej. Postulowano też powołanie Sądu Administracyjnego oraz Biura Konstytucyjnego. Zarządzono reorganizację resortu spraw wewnętrznych. Cenzurę przekształcono w ten sposób, iż określono jej status prawny i wprowadzono jawny system odwoławczy.

W miesiąc po powrocie delegacji z Moskwy zdemobilizowano załogi zakładów przemysłowych. Zwolniono z więzień aresztowanych opozycjonistów oraz zatwierdzono statuty nowo powstałych stowarzyszeń społecznych.

Prasa zachodnia coraz częściej wspominała o „radykalnych przemianach” w Polsce i o naukach płynących dla krajów Bloku Wschodniego z „lekcji czechosłowackiej”. W niektórych komentarzach pojawiały się wzmianki o „modelu portugalskim” i „hiszpańskiej drodze do demokratyzacji”, w obu wypadkach chodziło o aktywność wojskowych. Mnożyły się teoretyczne interpretacje wydarzeń w Polsce. Na plan pierwszy, rzecz jasna, wnoszono rolę „światłych oficerów”, podkreślano też fakt, iż wojsko jako instytucja stanowić może szkielet organizacyjny współczesnego społeczeństwa. Jednocześnie podnosiły się głosy o niebezpieczeństwie „wojskowej dyktatury” czy o „państwie w państwie”. Rozważano możliwość podobnej rewolty w Rosji.

Współczesna armia, stwierdzał komentator „Die Zeit”, podporządkowuje swym potrzebom zmurszałe struktury społeczne. Widząc ich niewydolność, wojsko zdaje sobie sprawę z wpływu, jaki to może mieć na jego własną zdolność działania. Bierność armii Czechosłowacji w roku 1968 musiała stać się dla Polaków sygnałem ostrzegawczym. Aby ratować swoją

zdolność działania, armia musi dążyć do przekształcenia struktur całego aparatu państwowego. Przekształcenia te siłą rzeczy muszą prowadzić do społecznej demokracji.

Udowodniano, iż postęp techniczny, rewolucja naukowo-techniczna, że wszystko to doprowadziło do sytuacji, w której metoda manipulacji administracyjnej nie jest w stanie osiągnąć swego celu. Przeciwstawiano jej metodę manipulacji mniej odczuwalnej przez społeczeństwo – demokratyzacja życia jest tu tylko ustępstwem pozornym: zniewolenie mas następuje w drodze zablokowania ich aktywności poprzez – jak na Zachodzie – wyzyskiwanie możliwości środków masowego sterowania. Zaczyna się również na wschodzie hodowla syntetycznych niewolników.

VI

Dziennikarski bełkot dziennikarskim bełkotem, lecz póki co sytuacja nadal pozostawała niewyraźna. Dyktat wojska niczego w gruncie rzeczy nie rozwiązywał, przynajmniej w dziedzinie najistotniejszej: zależności od Rosji. Trwał też nadal zamęt społeczny, nic jeszcze nie było definitywnie przesądzone. Wyczuwało się niepokój nowych władz, których przedstawiciele bez przerwy kursowali po trasach łączących Warszawę z ważniejszymi stolicami świata. Wszystko pozostawało w jakimś zawieszeniu, tym bardziej iż widoczny był proces ożywienia wzajemnych kontaktów między państwami ościennymi.

Nowy pierwszy sekretarz, będący zarazem przewodniczącym Rady Państwa, wystąpił w połowie października z nieoczekiwanym przemówieniem, w którym wspominał o „podjęciu inicjatyw polskiego Października i Praskiej Wiosny, wytyczających drogę postępu światowego komunizmu”. Przemówienie to podchwycone zostało natychmiast przez zachodnie partie komunistyczne, które we wspólnym oświadczeniu stwierdzały, że „nieuchronność procesów historycznych w państwach obozu socjalistycznego raz jeszcze dowiodła, iż wypaczenia komunizmu, które miały miejsce w tych krajach, były stanem przejściowym, wynikającym z konkretnych warunków”.

Wreszcie w rocznicę rewolucji bolszewickiej na łamach moskiewskiej „Prawdy” ukazał się osobliwy artykuł. W sposób niezwykle dobitny podkreślono w nim zasługi Polaków w dziele rewolucji, wyeksponowano też fakt uzyskania przez Polskę niepodległości w wyniku załamania się imperialistycznej polityki caratu. Komentarz do obecnych wydarzeń w naszym kraju stwierdzał, iż „towarzysze polscy w niedwuznaczny sposób wyrazili swą nieodwołalną wolę umacniania nierozzerwalnego sojuszu, będącego podstawą wspólnoty naszego obozu” oraz że „polska droga do budowy komunizmu stanowi cenny wkład w rewolucyjne doświadczenie mas pracujących na całym świecie”.

Powódź spekulacji i komentarzy wywołanych tymi sformułowaniami zdawała się nie mieć końca. Dla nas oznaczały one jedno: absolutnie jednoznaczną zapowiedź natychmiastowej interwencji w razie dążenia do naruszenia struktury

Układu Warszawskiego, lecz zarazem pozostawienie wolnej ręki w sprawach wewnętrznych. No, powiedzmy: wolnej do pewnego stopnia.

VII

I oto stała się rzecz zgoła nieoczekiwana. Demokratyczna opozycja stanęła wobec następującego dylematu: dalszego nacisku w celu osiągnięcia maksimum swobód lub utrwalania ograniczonych zdobyczy wywalczonych przez rewoltę wojskową. Nastąpił ostry rozłam na „radykałów” i „realistów”, przy czym ci pierwsi zmuszeni zostali do zejścia w podziemie.

[12/1979]

Rozmowa o Iwaszkiewiczu

Z cyklu *Ci, co odeszli*

Konstanty A. Jeleński: Zacznijmy od tego, że nie wierzę wcale w obiektywizm. Nie mam nawet ochoty starać się o „bezstronność” wobec człowieka, który był jednym z ostatnich ogniw łączących mnie z dzieciństwem, z moją matką, powiedzmy z tym, co jest dla mnie wspomnieniem Polski konkretnej. Poza tym argument (który tyle razy słyszałem) w rodzaju „bronisz tego człowieka, bo go lubisz” wydaje mi się z gruntu fałszywy. Myślę, że poznaje się tylko ludzi, których się lubi – tylko wtedy można ich choć trochę zrozumieć. Dziś mam wrażenie, że znałem Jarosława całe życie, a poznałem go dopiero podczas jego ostatnich tygodni, kiedy leżał w łóżku w paryskim hotelu, a później w Sailly, gdzie go ulokowałem u Tuty Niemojowskiej i gdzie spędziłem z nim niestety jeden tylko dzień. Odwiedziliśmy go tam z Józiem Czapskim, z którym znali się „od zawsze”, obchodząc się raczej z daleka, z pewną wzajemną nieufnością. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy obaj to sobie wyznali, nie było w tym cienia sentymentalizmu, po prostu nagle zbliżenie i porozumienie, tak jak czasem u Dostojewskiego, gdzie jakiś wiatr nagły zmiata śmiecie i kurze nagromadzone między ludźmi.

Przez wiele lat Jarosław był mi „bliski”, jak bywają członkowie rodziny, o ustalonym miejscu w konstelacji wspomnień, na przecięciu różnych linii naszego życia. Właściwie bliska mi była Hania, jego żona, tak podobna do mojej matki i fizycznie, i w sposobie mówienia, o podobnym stylu i uroku. Jeśli tu wspominam Annę Iwaszkiewiczową, to też dlatego, że dzieli ona z Jarosławem zasługę ich postawy w latach okupacji, gdy Stawisko było jednym z tak rzadkich niestety w Polsce schronień udzielanych znajomym i nieznanym Żydom. Tego nie należy nigdy zapominać. Ani odpowiedzi Iwaszkiewicza na sugestię Gomułki, aby Związek Literatów Polskich potępił „syjonistyczne spiski” (sam mi to opowiedział, jeszcze „na gorąco”): „Nie dlatego z narażeniem życia chronilem Żydów w czasie okupacji, aby teraz przyłączyć się do tej nagonki...”.

Gustaw Herling-Grudziński: Naturalnie, nie wolno zapominać o postawie Iwaszkiewiczów w latach okupacji niemieckiej. Podkreślają to zresztą najbardziej nawet surowi krytycy Iwaszkiewicza powojennego. I często jak gdyby z pyta-

niem w podtekście: co się z nim stało po wojnie, skąd się ten jego serwilizm wziął?

Nie wierzysz w obiektywizm, zwłaszcza wobec ludzi, których się lubi. Nie wiem, czy potrafię się w naszej rozmowie zdobyć na jaki taki obiektywizm, ja, który Iwaszkiewicza bardzo nie lubilem. Zetknąłem się z nim osobiście kilka tylko razy. Po raz pierwszy na jakimś penclubowym kongresie, jeszcze w czasach stalinizmu; natychmiast po przywitaniu oświadczył w obecności pozostałych członków delegacji polskiej, że widywanie się ze mną jest niedopuszczalne. Aż dziw, że się w ogóle przywitał. Opowiadano mi, że w tym samym okresie odmówił przywitania się w teatrze paryskim z Miłoszem, któremu zadedykowane są *Pasje błędmierskie*. Na krótko przed polskim Październikiem, czyli w okresie pełnej „odwilży”, odbyło się w Zurychu spotkanie redaktorów miesięczników „zachodnich” i „wschodnich”. „Twórczość” reprezentował Iwaszkiewicz, z Włoch pojechali na to spotkanie Silone i Chiaromonte, redaktorzy świeżo założonego „Tempo Presente”, do którego zacząłem podówczas pisywać, m.in. na tematy polskie. Iwaszkiewicz ostro zaatakował moją działalność „dezinformacyjną” (chodziło zdaje się głównie o mój artykuł o Poznaniu), redaktorzy „Tempo Presente” zaproponowali mu publiczną polemikę na łamach obu miesięczników albo choćby tylko włoskiego; odrzucił propozycję. I oto zmiana sceny. Nazajutrz po Październiku przyjeżdżam któregoś dnia do Rzymu, w mieszkaniu twojej matki Reny zastaję Iwaszkiewicza. Zupełnie innego: serdeczności, duse-ry, „nie ma właściwie między nami żadnych różnic”, „naradźmy się nad tym”, „zastanówmy się wspólnie nad owym”... Nigdy go więcej nie widziałem. Prawdopodobnie, gdyby doszło do jeszcze jednego spotkania, zobaczyłbym Iwaszkiewicza wolnego od „październikowych miazmatów”.

K. A. J.: Pozwól, że ci przerwę. Nie było w zachowaniu Iwaszkiewicza tej „logiki”, której doszukują się jego przeciwnicy. Jak wiesz, w zebraniu w Zurychu brałem sam udział, było to w pierwszej połowie września 1956, zaraz po ukazaniu się mego dużego artykułu w „Preuves” o sytuacji polskiej po wypadkach poznańskich. Iwaszkiewicz powiedział, że ten artykuł to wzór obiektywizmu (odczytaj go, a zrozumiesz, jak zdębieli obecni na zebraniu „lewicowi” Francuzi – jakby ich trafił grom z jasnego nieba).

G. H.-G.: Przytaczam te drobne epizody, bo szczerść zobowiązuje: po Twojej deklaracji wstępnej nie mogłem nie powiedzieć, jaki był mój osobisty stosunek do Iwaszkiewicza. Ale nie on jest w końcu istotny. Wciąż myślę o ukrytych sprężynach serwilizmu Iwaszkiewicza, autora wiersza na cześć Bieruta i nieszczęsnej *Ucieczki Felka Okonia*. Na pierwszym miejscu wymieniałbym szacunek dla władzy, która z tytułu swojej siły ma prawo „wymagać”, a nawet „żądać”. Tak było i przed wojną: opowiadał mi Grydzewski, że Iwaszkiewicz, przyjechawszy na urlop do Warszawy z placówki dyplomatycznej w Kopenhadze, wytoczył przeciw „Wiadomościom Literackim” ciężkie wtedy działo oskarżenia o nad-

mierne uleganie wpływom „żydokomuny”. Na drugim miejscu postawiłbym naturalny instynkt dworzanina: pisałem o tym przed wielu laty, zestawiając Iwaszkiewicza z Aleksym Tolstojem; i myślę, że Iwaszkiewicz odegrał w PRL podobną rolę, a mianowicie użyczenia pewnego kulturalnego splendoru nowemu ustrojowi, rzecz jasna w zamian za... I wreszcie na trzecim miejscu coś, co nazywałbym filozofią mandaryna. W latach trzydziestych, w momencie największego nasilenia terrorku w ZSRR, Tomasz Mann życzliwym okiem spojrzał na ustrój sowiecki: wychodził z założenia, że jedynym pewnym kryterium w ocenie danego ustroju jest jego stosunek do klasyków (także żyjących, oczywiście...); analogicznym łokciem posługiwał się, jak sądzę, Iwaszkiewicz.

Najbliższy Iwaszkiewiczowi mentalnością był w naszej literaturze Tadeusz Breza. Zabawne, że i on napisał swoją *Uciezkę Felka Okonia*, bardzo podobne w treści i intencji opowiadanie *W potrzasku*, obol zapłacony stalinizmowi...

K. A. J.: To prawda, że ten motyw był obolem ówczesnym, ale nie zapominamy, że w tym wypadku Iwaszkiewicz i Breza są w towarzystwie ludzi, którzy później zachowali się wzorowo, są członkami KOR-u. Zabawne zresztą, że postawy w sprawach Miłosz–Panufnik, i w sprawie rzekomo antypolskiego wywiadu udzielonego przez Gombrowicza w Berlinie, w niczym nie przesądzają o późniejszych, o wiele ważniejszych podziałach. Nie mówmy zresztą o okresie stalinizmu, kiedy nie było żadnego wyboru poza być może bohaterstwem, męczeństwem. W tych warunkach „kolaboracja” nie znaczy właściwie nic, gdyż wynika z tego, jak blisko się stoi ośrodka władzy, czego ta władza od jednostki oczekuje, a oczekuje oczywiście czego innego od jednostek sławnych, wybitnych, które mogą być użyteczne na scenie politycznej, a czego innego od tzw. szarych ludzi. Ale od 24 lat Polska nie jest już w tym sensie krajem totalitarnym, mimo że należy do totalitarnego bloku. Nie będę tu powtarzał analizy Kisiela w ostatnim numerze „Kultury”, która wydaje mi się przekonująca, mimo że wcale nie podzielam nadziei, które pokłada w „geopolitycznej” karcie finlandzkiej, ani jego „realistycznej” oceny szans polskiej świadomej, aktywnej opozycji. Kiedy Kisiel pisze „to nic nie zmieni”, wydaje mi się to absurdalne, gdyż właśnie wszystko się zmienia, gdy ludzie zaczynają mówić prawdę, odzyskują szacunek dla siebie samych – wartości takie jak „niepodległość” czy „demokracja” wydają mi się ważne nie tyle „same w sobie”, ile dlatego, że powinny stwarzać warunki, w których przyzwoite zachowanie staje się normalne. Czy nie należy się cieszyć z tego, że tak znaczny odłamek polskich intelektualistów i polskiej młodzieży zachowuje się „przyzwoicie” w warunkach tak radykalnie trudniejszych, że ta „przyzwoitość” wymaga odwagi, siły charakteru, wielkiego poczucia odpowiedzialności?

W tym sensie nie jestem więc bynajmniej „geopolitycznym realistą”, przeciwnie, „ideologia realizmu” w polskich warunkach wydaje mi się zgubna, gdyż z jednej strony może usprawiedliwić różne stopnie luźnej kolaboracji, z drugiej zaś strony zakłada ona racjonalne funkcjonowanie sowieckiego systemu, co wydaje mi się z gruntu fałszywe.

Wyda mi się, że w różnych dziedzinach – a przede wszystkim na polu kultury – musi istnieć w polskich warunkach pewien podział ról – to znaczy zakładam potrzebę ludzi współpracujących z reżimem w takiej czy innej formie w celu zachowania pewnych wartości, w tym wypadku kulturalnych.

Omawiając przed kilkoma laty sprawę wydania przez Iwaszkiewicza listów, które otrzymał od Witolda Gombrowicza, nazwałem go – w poświęconym Gombrowiczowi zeszycie *Cahiers de l'Herne* – „Pétainem polskiej literatury”. Iwaszkiewicz miał mi to długo za złe, i prawdą jest, że trudno uznać rolę Petaina *ex posteriori* za pozytywną w jakimkolwiek sensie. Miałem jednak co innego na myśli: to, że ktoś w Polsce musiał się podjąć tej oficjalnej roli „partnera” partii i rządu w sprawach literatury i że gdyby tego nie zrobił Iwaszkiewicz, los tej literatury byłby zapewne jeszcze o wiele gorszy. Jestem przekonany, że w sumie akcja Jarosława Iwaszkiewicza była w tej dziedzinie pozytywna. Mam na myśli nie tylko wiele jego interwencji w obronie takich czy innych jednostek, ale choćby fakt, że stanowił „ochronny parasol” dla „Twórczości”, jednego z najlepszych pism literackich w Europie. Nie wdaję się tutaj w subiektywną motywację Iwaszkiewicza – zapewne dużo w niej było elementów próżności, pychy nawet, a także tego snobizmu, który był plagą przedwojennej Polski.

G. H.-G.: Ciekawym, czyś zwrócił uwagę na nekrolog Iwaszkiewicza w tygodniku „Literatura”. Pod nazwiskiem seria tytułów, godności, odznaczenia: „Prezes ZLP, poseł na Sejm, wybitny działacz międzynarodowego ruchu pokoju, Budowniczy Polski Ludowej, laureat licznych nagród, doktor *honoris causa* UW i UJ”. Ale poprzedza tę serię zwrot: „Wielki pisarz i patriota polski”. Mogę się naturalnie mylić, wyczuwam jednak szczególnie nacisk na słowo „patriota” (rzadko używane w nekrologach), jak gdyby po śmierci Iwaszkiewicza chciano definitywnie rozstrzygnąć starą kontrowersję. Ta kontrowersja przypomina – masz tu całkowitą rację – spór o „patriotyzm” Pétaina. Lecz „pétainizm”, zasada ratowania po klęsce tego, co się da uratować za pewną cenę i kosztem pewnych ustępstw, nasuwa wiele pytań. Czy zapłacona cena nie okazała się za wysoka w stosunku do tego, co udało się ocalić? Czy nie wyrządził zbyt dużych szkód wychowawczych model pétainowskiego zachowania, szkód niewspółmiernie dużych wobec wyciągniętych korzyści? Jak dalece domniemany gracz umiał zapanować nad swoją grą, czy przypadkiem domniemana gra nie zapanowała nad graczem, czy mu aby zanedo nie zasmakowała? Wszystkie te pytania o „Pétaina literatury polskiej” można w gruncie rzeczy porównać, na odcinku politycznym, z tytułowym pytaniem książki Micewskiego o Piaseckim *Współrządzić, czy nie kłamać?* Nawiasem dodam, że jak Ty słusznie mówisz o zasługach „Twórczości”, tak wielu obrońców Piaseckiego słusznie podkreśla zasługi paksowskiego wydawnictwa książkowego.

Otóż mam odnośnie do tych trzech pytań poważne wątpliwości. To znaczy nie wątpię (by posłużyć się jednym konkretnym przykładem), że Iwaszkiewicz stanowił „ochronny parasol” dla „Twórczości”, ale kiedy myślę o głupstwach,

jakie wypowiedział lub napisał w roli posła na Sejm, Budowniczego Polski Ludowej, „wybitnego działacza międzynarodowego ruchu pokoju”, nie potrafię żadną miarą uznać wraz z Tobą, że „w sumie jego akcja była pozytywna”, czyli że się *per saldo* opłaciła jego operacja dochrapania się rangi „ochronnego parasola” nad literaturą polską. I jeżeli dziś odbywają się w Polsce wśród intelektualistów i młodzieży procesy, o których wspominasz, to wbrew, a nawet przeciw takim postawom, jak Iwaszkiewicza.

Zastanawiam się jednak, czy ma sens na serio o tym dyskutować, skoro jestem zdania, że początkowy „pétainizm” Iwaszkiewicza przeobraził się niebawem w to, co w trzecim pytaniu określiłem jako „zapanowanie gry nad graczem”. Wszystko jedno jak to będziesz tłumaczył – pychą, próżnością czy snobizmem, faktem jest, że Iwaszkiewicz zasmakował stopniowo w swoich tytułach, dostojenstwach i godnościach, że z dumą obnosił swoje ordery, że przechwalał się, iż Gierek zabrał go ze sobą do Breżniewa itede, itepe. Niektórzy widzą dowód kabotyństwa albo błazeństwa w jego przedśmiertnym życzeniu, by go pochowano w mundurze górnika. Co do mnie, podejrzewam, że postawił kropkę nad i w swojej ewolucji „politycznej”: innymi słowy, kazał się pochować w mundurze górnika, jak niegdyś kazałby się być pochować w kontuszu albo w dwudziestolecu w mundurze legionisty. Miał słabość do „elit”.

No ale dość o Iwaszkiewiczu „działaczu”. Był przede wszystkim pisarzem...

K. A. J.: Iwaszkiewicz jest dla mnie naprawdę wielkim pisarzem. Mogę właściwie mówić tylko o jego nowelach i dziele poetyckim. Jego powieści – *Czerwone tarcze*, *Pasje błędniarskie* – zachwycaly mnie, kiedy je czytałem przed wojną, ale trudno mi odpowiadać za mój osąd w wieku 15 lat. Uważam go natomiast za mistrza noweli i pozostał nim do końca. Weźmy choćby ostatnią jego nowelę, *Bilek*, która ukazała się w „Twórczości” przed kilkoma miesiącami. Na pewno nie należy do jego najlepszych, ile jednak w tej noweli, osnutej na tle historii starego konia, wspaniale zaobserwowanych realiów współczesnej Polski – więcej się wie o Polsce po przeczytaniu tych 20 stron niż z jakiegokolwiek socjologicznej rozprawy. A napisał to pisarz w 85. roku życia!

Iwaszkiewicza poezja przedwojenna nie dorasta, moim zdaniem, do jego nowel. Ale jaki to wspaniały, prosty, mądry poeta na starość! Wyzbywa się całkowicie swojej „manieri” przedwojennej i staje się poetą niesłychanie szczerym. Nie powiem, że ta poezja „usprawiedliwia” jego rolę społeczną i polityczną, ale absolutnie jej nie fałszuje, nie ma w niej cienia hipokryzji. Jest to poezja starego człowieka, który o wszystkim zwątpił, który w nic nie wierzy, chyba w to, że „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las”. Nuta tragiczna wcześniej zaczyna brzmieć w tej poezji. Czy nie o sobie myśli Iwaszkiewicz w wierszu z roku 1976 o starych kobietach, które przed Wigilią –

Wróżby sobie wróżą
Choć ich nic nie czeka

To za nasze dzieci
Dzieci zbuntowane
Lub nienarodzone
Lub zamordowane...

Wielkim wzruszeniem dla mnie były dwa ostatnie wiersze Iwaszkiewicza, napisane w czasie jego ostatniego pobytu we Francji, a więc w ciągu ostatniego miesiąca jego życia. W ciągu pierwszych dni pobytu skarżył mi się wciąż, że „nawet pisać już nie potrafi”. Chciał zająć sobie czas pisanem sylwetek dawnych przyjaciół, ale mu to absolutnie nie wychodziło. Zaprosiłem go na śniadanie do domu (Leonor miała do niego, a jeszcze bardziej do Hani, wielką sympatię – chyba obopólną). Na tym śniadaniu był nasz przyjaciel malarz Stanisław Lepri, który podarował Iwaszkiewiczowi dużą ilustrowaną monografię o swoim malarstwie. Jarosław był oswiały i ponury, a nagle się ożywił, przeglądając książkę i natrafiwszy na serię fantastycznych obrazów przedstawiających najróżniejsze wieże, powiedział Lepriemu, że jest mu wdzięczny, bo chodzi mu po głowie taki wiersz o wieżach, „a teraz już wiem, że go napiszę”.

Byłem u niego w hotelu paryskim dwa dni później i przeczytał mi – przerywając zresztą kilka razy szlochom swą lekturę – długi, wstrząsający wiersz, złożony z czterech części, pod tytułem *Wieża* („powiedz Lepriemu, że jego obrazom zawdzięczam nagłą materializację tego wiersza”). Wiersz wydał mi się tragiczny. Te różne wieże, dziwnie związane z historią Polski, pożary, klęski, poeci i wróże – zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Do Saily pojechałem go odwiedzić w niedzielę 3 lutego. Tam mi wręczył wiersz, który tu chcę przytoczyć. Przed domem na Stawisku rosło dziewięć wielkich sosen (często przewijają się one przez ostatnie jego wiersze), które Jarosław nazwał imionami muz. Kilka z nich trzeba było ściąć, ale pozostała największa, najpiękniejsza – Urania. Oto ten wiersz.

Konstantemu Jeleńskiemu

URANIA

Uranio, sosno, siostró – tak ciebie nazywam
Bo palcem pnia twojego ukazujesz niebo.
Wiatr co się w twojej czarnej grzywie zrywa
Zacicha dołem. Siostró, wzywam ciebie,

Jak niegdyś wróżę w koronach z ziemioli,
Abyś wytrwała w progu mego domu
I strzegła kwiatu, owocu i pszczoły,
I serc co tutaj gasną po kryjomu.
Uranio, muzu dnia ostatecznego,
Bogini końca, bogini trwałości,

Zniszczeń bogini i wszystkiego złego,
Stójże na straży domu i nicości.

Weźmij mnie w swoje grzywy, ty, Szalona,
Wyszarp mi ręce, co już nie wyrosną,
Pogrzeb mnie, ratuj, daj swoje korony,
Bym także był Uranią, nicością i sosną.

Saily, 2 II 1980

W mojej pamięci Jarosław Iwaszkiewicz zostanie związany na zawsze z tą sosną – Uranią. Myślę, że on także „stał na straży domu i nicości”.

G. H.-G.: Nie, nie nazwałbym Iwaszkiewicza pisarzem wielkim, jest zbyt nierówny, obok rzeczy doskonałych rzeczy żenująco słabe. *Czerwone tarcze* są piękną powieścią, ale myślę, że sprawiłaby Ci ogromny zawód ponowna lektura *Pasji błędmierskich*. O *Sławie i chwale* lepiej w ogóle z litości zamilczeć.

Najpewniej czuł się w długim opowiadaniu. Porównuje się go z Buninem, zwraca się w każdym razie uwagę, jak wiele zawdzięczał literaturze rosyjskiej. To prawda. Może to zabrzmieć dość dziwnie, lecz w jego najbardziej udanych opowiadaniach wyczuwam połączenie Turgieniewa i Czechowa: Turgieniewa, powiedzmy, z *Pierwszej miłości*; i Czechowa, powiedzmy, z *Czarnego mnicha*. Szczególnie lubię przedwojenne opowiadania Iwaszkiewicza, *Panny z Wilka* czy *Brzezinę* (nawiasem mówiąc, Wajdzie nie udało się wydobyć uroków ich sensualistycznej prozy, większe szczęście miał Kawalerowicz z napisaną prawie „scenariuszowo” *Matką Joanną od Aniołów*). W miarę starzenia się Iwaszkiewicz nowelista doskonalił *métier*, natomiast zgubił jakby swój dawny sekret: wystarczy porównać dwa opowiadania o podobnym motywie, *Brzezinę* i *Kochanków z Marony*. A zupełnie już na starość zdolny był jako prozaik do pisania raczej wspomnień niż opowiadań. Nie zachwycał się ani *Biłkiem*, ani drukowanym w ostatniej „Twórczości” opowiadaniem *Tano*. A za to jaki bywał świetny w memorialistyce!

I – zgadzam się z Tobą – w poezji. Ja myślę, że znalazł w wierszach swoisty azyl, podobnie jak we wspomnieniach, choć inny. Starzał się w nim prawdziwie, stawał w nim twarzą w twarz ze śmiercią, może szukał w nim oczyszczenia. Niejedyń to zresztą we współczesnej literaturze polskiej wypadek dojrzenia, pogłębienia się i odnowienia poetyckiego na starość, coś analogicznego stało się z Kazimierzem Wierzyńskim.

Ktoś nie bez racji zauważył, że Iwaszkiewicz mógłby być postacią w powieści lub noweli Tomasza Manna. Jest i w Polsce pisarz, który potrafiłby napisać o nim dobrą powieść lub nowelę – autor *Miazgi*.

[5/1980]

Pałka i teoria

Jednym z fundamentów sowieckiego wychowania moralnego jest zasada wyrażana zwykle powiedzeniem, iż *wielikij gumanist Maksim Gorki skazał: jeśli wrag nie sdajotsa, nado ego unicztožit'*. Cokolwiek *wielikij gumanist* chciał osiągnąć (pamiętamy, że Solżenicyn oddał w swoim *Gulagu* należny hołd jego pamięci jako wydawcy i współautora pierwszej rosyjskiej książki sławiącej pracę niewolniczą), sens tej zasady w sowieckiej wykładni jest całkiem jasny. Nie odnosi się ona tylko do wojny w zwykłym słowa znaczeniu, lecz do wszelkich stosunków z „wrogiem klasowym”, wrogiem klasowym jest zaś każdy, kto nie jest posłusznym narzędziem sowieckiej władzy. Jest to, jak wiemy, zasada czysto leninowska. Lenin unicestwił głupie burżuazyjne odróżnienie między wojnami napastniczymi i obronnymi i w ogólności między pokojem a wojną; nie ma znaczenia, kto jest agresorem, a kto się broni, znaczenie ma tylko, w imieniu jakiej klasy wojna się toczy; dopóki komunizm nie zapanuje na świecie – Lenin oznajmił to całkiem niedwuznacznie – będzie trwał stan „straszliwej wojny”. Tak oto wyzyskiwani proletariusze Breżniew, Andropow czy Jaruzelski walczą z wyzyskiwaczami-burżujami, jak Sacharow, Wałęsa czy Papież; wyzyskiwaczami-burżujami są zarówno wszyscy nieposłuszni obywatele sowieccy, jak też wszyscy obywatele innych krajów, politycy, pisarze, dziennikarze czy robotnicy, o ile nie są gotowi służyć sprawie sowieckiej. Świat dzieli się na wrogów i wasali (trzecia kategoria to usłużni idioci, jak np. niekomunistyczni pacyfiści zachodnioeuropejscy, pieszczeni, lecz pogardzani), kto więc nie jest wasalem, musi być zniszczony.

Nieskomplikowana ta filozofia ma liczne oczywiste zalety, ale nie jest bez wad: trzeba, z jednej strony, wypowiadać ją możliwie głośno i dobitnie w samym Związku sowieckim, aby utrwać nieśmiertelną jedność moralno-polityczną narodu, lecz, z drugiej strony, jej hałaśliwe głoszenie w międzynarodowych stosunkach jest niewskazane, tu bowiem korzystne jest, by Związek sowiecki uchodził za państwo jak wszystkie inne, za mocarstwo, które ma, oczywiście, swoje interesy i będzie ich bronić, lecz poza tym gotowe jest do kompromisów, „obopólnie korzystnych” układów i dotrzymywania umów. Jest, rzecz jasna, niepożądane, by państwo sowieckie było widziane takim, jakim jest faktycznie,

tj. jako państwo, dla którego nie istnieje kompromis w sensie tradycyjnej polityki europejskiej; tymczasem percepcja taka, mimo wszystkich iluzji zachodnich, ma tendencję rosnącą.

Kompromis w znaczeniu właściwym polega nie tylko na wzajemnych ustępstwach, ale zakłada ponadto, że interesy obu stron są jawne i że jest w interesie obu, by ustępstwa poczynić; *do, ut des*, kupić nieco obniża cenę, a nabywca nieco podwyższa ofertę, po czym rozchodzą się, może niekoniecznie całkiem szczęśliwi, ale na ogół w przekonaniu, że osiągnęli co można. Modelem demokratycznej polityki jest handel (włączając, oczywiście, jego oszukańcze strony). Modelem sowieckiej jest wojna. Kompromis nie jest porozumieniem, jest postrzegany jako kapitulacja (paradygmatem jest, w sowieckiej historii, pokój brzeski, który był w rzeczy samej kapitulacją); kompromis oznacza tyle: „nie jesteśmy jeszcze, niestety, dość silni, by się załatwić z wrogiem”. Jest manewrem wojennym w oczekiwaniu na korzystniejszą sytuację. Jest to całkiem zgodne z założeniami leninizmu: Lenin cytował Clausewitz’a wielokrotnie, chodziło mu wszelako mniej o to, że wojna jest kontynuacją polityki, a bardziej o to, że polityka jest formą wojny. Otóż, żeby osiągnąć kompromis, dwóch musi wyrazić zgodę, ale żeby wywołać wojnę, wystarczy jeden.

Jest to sprawa kluczowa dla dyskusji o znaczeniu ideologii w sowieckiej polityce. „Marksizm” w jakimkolwiek rozpoznawalnym sensie jest bez znaczenia dla tej polityki, a właściciele sowieckiego imperium mogą o nim wiedzieć tyle, ile przypuszczalnie wiedzą, tj. znać parę zdań wyuczonych kiedyś w partyjnych *uculiszczach* i trochę słów, którymi przyozdabiają swój drętwy żargon. W jednym punkcie wszelako muszą dochować niezłomnej wierności odziedziczonej ideologii; muszą jeśli nie dosłownie wierzyć, to przynajmniej udawać, że niezachwianie wierzą, iż sowieckie imperium jest na mocy „praw historii” zarówno powołane, jak uprawnione do władania światem. Rezygnacja z tej zasady oznaczałaby rozkład imperium. Do tego nie trzeba wcale, by mieli określony plan podboju świata, wystarczy, że ów „marksizm” daje z góry historyczne uprawnienie do każdej agresji i do wciskania się we wszystkie miejsca, gdzie, jak słusznie czy niesłusznie sądzą, mogą wejść bez większego ryzyka. Reszta jest taktyką.

Widać stąd, że dopóki ktoś – jednostka czy państwo – nie ma ochoty zostać sowieckim wasalem, musi być postrzegany jako wróg i tak traktowany, niezależnie od wysiłków, jakie mógłby czynić, by pokazać się niewojowniczym, łagodnym i gotowym do kompromisu. Gotowość realna do kompromisu musi uchodzić bądź za złośliwą próbę przechytrzenia sowieckiego partnera, bądź za przyznanie się do słabości, a tym samym za zachętę do takiej czy innej formy agresji.

Demokratyczne rządy nie mogą uniknąć tego, by przy różnych okazjach nie tylko ujawniać, ale słowem potwierdzać różne swoje słabości. Mogą też przetrwać takie niemiłe zdarzenia. Jednakże dla sowieckiego ustroju każde ujawnienie, a w szczególności każde słowne uznanie własnej słabości jest nieobliczalną klęską. „Niezlomne prawa historii” wymagają bowiem, by postępowy ustrój zaw-

sze i niezmiennie dziarsko pał naprzód; każda porażka czy niepowodzenie wydaje się nie po prostu porażką czy niepowodzeniem, jakie wszystkim nieuchronnie się zdarzają, ale ciosem zadany „prawom historii”, a każde przyznanie się do niepowodzenia wygląda na powątpiewanie, czy owe prawa naprawdę działają, a więc – czy idea, na której prawomocność państwa jakoby się wspiera, w ogóle nadal obowiązuje. Zasada nieprzyznawania się do błędów i słabości musi być przestrzegana w tym systemie pod grozą ruiny. Nie chodzi bynajmniej o to, by ktokolwiek wierzył naprawdę we wszystkie kłamstwa i nonsensy powtarzane przez sowieckich wodzów: istotne jest, by wierzono w to, że oni sami wierzą w swoją siłę. Jest prawdą, od wieków znaną, że ci, co w walce są silnie przekonani o swoim zwycięstwie, mogą wprawdzie się mylić, ale wiarą swoją podnoszą znacznie szansę wygranej, podczas gdy ci, co przewidują własną porażkę, już ją ponieśli. Odwieczna ta prawda nabrała nowego sensu w warunkach, gdzie od jej skrupulatnego przestrzegania zależy nie tylko los poszczególnych batalii, ale samo istnienie ustroju.

Dlatego też krótkowzroczne i symplicystyczne jest twierdzenie, że rozkład ideologiczny sowietyzmu jest bez znaczenia, bo tak czy owak liczy się tylko naga przemoc. Czasami, rzeczywiście, historia percepcji sowietyzmu może przypominać powieść Agaty Christie, gdzie na ostatniej stronie książki, ku ogromnemu zaskoczeniu czytelnika, morderca okazuje się ten sam człowiek, którego na pierwszych stronach widzimy z gorącym pistoletem koło miejsca zbrodni i który, co więcej, natychmiast przyznaje się do morderstwa. Zaskoczenie czytelnika nie jest jednakowoż zdumiewające i nie świadczy tylko o jego bezgranicznej głupocie (gdyby tak było, powieść nie mogłaby istnieć), jako że mnóstwo komplikacji pojawia się po drodze. Podobnie odkrycie, że sowietyzm jest „nagą przemocą” nie jest tylko objawem umysłowego zacofania („przecież można to było wiedzieć od pierwszej strony”); historia rewolucji rosyjskiej i sowietyzmu jest długa i zawiła, a redukcja jej do samej pałki (i skądże się wzięła ta pałka?), jak gdyby żadne procesy społeczne w tym ustroju nie zachodziły, jest lekkomyślnym ułatwianiem sobie życia umysłowego. Erozja ideologiczna sowietyzmu jest istotna, o ile dotyczy nie tylko ornamentacyjnej warstwy ustroju, ale także tej części jego samochwalczej doktryny, co do której jest rzeczywiście ważne, by w nią wierzono.

Ideologia oficjalna sowietyzmu dzieli się bowiem na dwie części. Jedna część streszcza się w hasło, z którego pochodzi tytuł znanej powieści Zinowiewa: *Komunizm – świetlana przyszłość ludzkości*. Ta część jest zdobniczo-policyjna, nie ma żadnej zawartości semantycznej, nie znaczy nic, a potrzebna jest głównie po to, by wszyscy wiedzieli, że niczego innego pod groźbą pałki mówić nie wolno. Podobna jest do napisu „Towarzystwo Miłośników Opery Włoskiej”, pod którym w zabawnym filmie amerykańskim *Some like it hot*, uświetnionym galerią znakomitych aktorów, zbiera się na Florydzie szajka gangsterów. Druga część ideologii zawiera się w powiedzeniu „Komunizm (tj. sowietyzm) jest nieuchron-

ny” (w przekładzie na język praktycznych zaleceń: „nie walcie głową o ścianę”, „z naszą pałką nikt nie wygra” itp.). Ta część ma sens zupełnie wyraźny i jest wybitnie potrzebna, by zarówno szczęśliwi mieszkańcy postępowego ustroju, jak też nieszczęsne ofiary ustrojów reakcyjnych brali ją na serio, jako że służy ona moralnemu obezwładnieniu oporu przeciwko sowietyzmowi. We wszystkich szkołach wszystkich postępowych ustrojów uczą się dzieci i dorośli, jak wiemy, że marksizm-leninizm odkrył (naukowo, zbyteczne dodawać), że istnieje naturalna, powszechnie obowiązująca sukcesja „formacji społeczno-ekonomicznych”: wspólnota pierwotna–niewolnictwo–feudalizm–kapitalizm–socjalizm (to już koniec, więcej nie ma i nie będzie); wynika stąd, że „socjalizm”, tj. pałka sowiecka, jest na mocy konieczności dziejowej spadkobiercą „kapitalizmu” i że nikt na to nic nie poradzi. Teorii tej każdy może się nauczyć w ciągu pięciu minut, a chociaż niewiele więcej minut trzeba, by sobie uprzytomnić, że jest to fantastycznie rozdęta, źle skrojona i głośłowna ideologiczna oprawa kilku znanych faktów historycznych i że nie ma żadnych powodów, by w nią wierzyć, to jednak byłoby nader niebezpieczne sądzić, że wbijanie jej do głowy kilku kolejnym pokoleniom nie ma żadnego znaczenia. Teoria pomaga pałce, o ile prowadzi do umysłowego zniewolenia i moralnego paraliżu („i tak nic nie zdziałamy, bo socjalizm następuje po kapitalizmie”), ale jest także przez pałkę wspierana, jako że każde skuteczne walnięcie pałką potwierdza teorię („podbiliśmy Afganistan, a więc jeszcze jeden dowód, że socjalizm następuje po kapitalizmie”), a ostatecznie teoria znaczy właśnie tyle co twierdzenie, że sowiecka pałka jest zawsze skuteczna; obie zatem – pałka i teoria – wspierają się wzajem (dialektycznie), ale nie są identyczne i, co więcej, każda z nich jest drugiej nieodzowna: teoria bez pałki jest bezsilna, ale bezsilna jest także pałka bez teorii, gdyż teoria nie jest tylko pałki dekoracją, ale także pałki nadzieją i wiarą.

Kto temu przeczy i powiada „nic prócz pałki nie ma i nie było”, ten w rzeczy samej zakładać się zdaje, że walka przeciw umysłowemu i moralnemu niewolnictwu w zonie socjalizmu i pokoju nie ma znaczenia – „bo i tak nikt w nic nie wierzy” – i że przeciw pałce tylko większa pałka jest argumentem. Nie jest to wszakże wiarygodna opinia, wiemy bowiem wszyscy, że Polacy żadnej pałki przez dziesięciolecia nie mieli, a mimo to doprowadzili w Polsce sowietyzm na skraj ruiny samą siłą moralnej odmowy.

Dyktatura militarna w Polsce i jej następstwa były wielkim krokiem w procesie, który już długo był się ciągnął i który polega na budowaniu nowego dziwołagu państwowego: władzy komunistycznej bez ideologii. Zgon tej ostatniej na urząd starczy nie budzi od dawna wątpliwości. Z pewnością, będą nadal działać rozmaite ośrodki marksizmu-leninizmu, gdzie gromadka niedouków dukać musi w gorczy serca spróchniałe swoje katechizmy, nadal odbębniać się będzie ideolowykłady na uczelniach, nadal odbywać się będą co czas jakiś posiedzenia KC („plenium”) o „walce światopoglądowej” (trzeba nam, towarzysze, wzmoc ofensywę ideologiczną, wróg nie śpi, nie ma próżni itd.), których wynikiem bę-

dą nowe czystki na uniwersytetach, dodatkowe etaty dla celników grzebiących w walizkach podróżnych w poszukiwaniu zakazanych książek, nowe instrukcje dla cenzury, nowe teoretyczne czasopismo pod tytułem, na przykład, „Marksizm-leninizm – promienny chwałą i przodującym orężem światowego proletariatu” itp. Lecz że pożytek z tego wszystkiego maleńki, wiedzą melancholijnie rządcy Ludowej. Byłaby więc pała jedyną nadzieją? Tylko przy założeniu, że pała, oprócz ran, guzów i sińców, przynosi także skutki teoretyczne, mianowicie wbija ludziom do głowy i do grzbietów przekonanie, że tak już będzie i nie ma po co głowy nadstawiać. W tym bowiem cała teoria się streszcza („socjalizm następuje po kapitalizmie”). Za Gierka, to prawda, był jeszcze, na początku, mierz dobrobytu rychłego i on miał być tworzywem, z którego iskry entuzjazmu należało krzesać. Lecz trudno płomienny zapal dla socjalizmu wydostać z obietnicy, która dzisiaj musi brzmieć tak mniej więcej: „pracujcie w znoju, kochani rodacy, przez lat dwadzieścia, a może dostaniecie mieszkanie, metrów 37 i pełne dziur, już w pierwszym dziesięcioleciu następnego wieku!”. Albowiem, jak Boy pisał:

W iskiek krzesaniu żywem
Materiał to rzecz główna.
Trudno najtęższym krzesiwem
Iskry wykrzesać z substancji miękkiej i podatnej.

Skoro przeszczep sowietyzmu w Polsce się jawnie nie przyjął i skoro obietnica rychłego wesołego życia także się do użytku nie nadaje, skoro nawet pałka swojej funkcji teoretycznej czy teoriiotwórczej nie wypełnia i skoro, z drugiej strony, pałką, mocy teoretycznej pozbawioną, jako narzędziem wyłącznym długo rządzić z powodów technicznych niepodobna (chyba że się nastawi na prawdziwie masową reżę i gigantyczne obozy koncentracyjne, lecz to by nam mógł tylko Przodujący Kraj Dziejowego Postępu załatwić), skoro metody kija i marchewki z braku tej ostatniej stosować nie bardzo można, należy się spodziewać, że będziemy świadkami polityki chwiejnej, próbującej bezradnie przeskakiwać od zastraszania i bicia do prób ugłaskiwania ludności, przy czym ani jedno, ani drugie posunięcia nie będą dość konsekwentne, by Polskę bądź obezwładnić strachem, bądź ugłaskać.

Jeśli pomijamy superpałkę sowiecką, która jest oczywistym warunkiem nie tylko skuteczności, ale samego istnienia pałki peerelowskiej, ta ostatnia ma z pewnością liczne zasoby na swoim koncie. Oprócz samej pałki, tj. całej pasyżniczej kasty policyjno-nadzorczo-cenzorskiej, istnieją liczni piewcy pałki, czyli żurnalia na *kazionnej* kupie, a także pewna ilość bezpartyjno-wzniośle-nieugiętych adoratorów pałki, lizusów niezłomnych, owych Dobraczyńskich i Sandauerów, których pogląd na świat dynamiczny da się krótko streścić: „Pan Bierut bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć pan Bierut głupi, ale pan Gomułka bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć pan Go-

mulka głupi, ale pan Gierek bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć pan Gierek głupi, ale pan Jaruzelski bardzo bardzo mądry, to znaczy chciałem powiedzieć...” (jest to, jak widać, światopogląd otwarty, niedogmatyczny i subtelnie reagujący na przemiany dziejowe; wystarczy też do końca życia, oby najdłuższego; kolejne ekipy partyjne w hańbie przechodzą w nicłość – choć każda się ludzi, że jej właśnie się uda – ale chwalcę pałki sami we władzy nie uczestniczą i przechodzą bez trudu z jednej strefy hańby w następną).

Ale największym bogactwem na koncie pałki jest zmęczenie pałowanych. Pałka tysiącglowa nic innego nie ma do roboty prócz właśnie pałowania i za to sama siebie sowicie opłaca, podczas gdy pałowani muszą z czegoś żyć, kupować masło i schab w sklepach nie-specjalnych, znosić – z powodu przejściowych trudności zawinionych najpierw przez Żydów, potem przez Wałęsę, a ostatnio przez Reagana – wszystkie udręczenia prłowskiego życia; nikt z nich nie jest na etacie antypałki, podczas gdy na palce mrowi się od niezliczonych eratów, ostatecznie, acz nie dobrowolnie, opłacanych przez tychże pałowanych, tj. Polaków. Po stronie przeciwnej palce jest wyłącznie przekonanie, wola życia polskiego, w odróżnieniu od prłowskiego (ten ostatni przymiotnik należy wymawiać tak, jak się pisze; stosuje się on do wielu dziedzin życia: istnieje język polski i język prłowski, literatura polska i literatura prłowska itd).

Zmęczenie pałowanych jest przeto pałki główną siłą, ale by było skuteczne, pałka musi je przerobić na trzy doktryny, z których każda jest wprowadzie z pozostałymi niezgodna, ale z których wszystkie trzy nieustannie na palce zakwitają. Pierwsza doktryna to właśnie wspomniane: „socjalizm następuje po kapitalizmie” (czyli: pałka jest niezwykła; ta wersja jest w tej chwili słaba i mało skuteczna). Druga doktryna to sławne: „ach, to nasze geopolityczne!” (czyli „ci-cho siedźcie, bo pałka sowiecka nad głowę!”). Trzecia doktryna brzmi: „my jesteśmy pałka umiarkowana i centrystyczna, a jak będziecie podskakiwać, to przyjdzie pałka nieumiarkowana i ekstremistyczna, ona naszą pałkę na śmietnik wyrzuci, a wam dopiero da w kość!”

Ponieważ ta ostatnia doktryna ma za sobą pozory racji, wypada mi przytoczyć Wielkie Prawo Polityki (WPP), które odkryłem (naukowo) i które nawet ogłosiłem, lecz w miejscu na tyle egzotycznym, że pozwalałem je sobie powtórzyć. Prawo to brzmi „Umiarkowani rządzą”. Istotnie, ktokolwiek gdziekolwiek dochodzi do władzy, jest natychmiast naciskany z dwóch stron i zawsze może z pewnym poczuciem słuszności twierdzić, że jest umiarkowanym albo „centrystą”. Prawo to ma tę zaletę, że się stosuje do wszystkich ustrojów, zarówno demokratycznych, jak despotycznych, zarówno pluralistycznych, jak totalitarnych. Centrystą jest prezydent Reagan i pani Thatcher, centrystą jest Andropow i Chomeini, a także Jaruzelski i Pinochet, centrystą jest prezydent Mitterrand i kanclerz Kohl (że Stalin był centrystą, wiemy z licznych artykułów Trockiego). Dojść do władzy to być umiarkowanym – nie dlatego że tylko umiarkowani dochodzą do władzy, lecz dlatego że nikt, kto dochodzi do władzy, nie może za-

dowolić wszystkich swoich sojuszników i musi być przez część z nich atakowany jako zbyt umiarkowany. Dlatego też zalecenie, by jakiś rząd, grupę czy klikę rządzącą, dyktatora czy legalnego szefa rządu popierać z tej racji, że jest umiarkowany, znaczy tyle, że należy popierać wszystkich, co są w danej chwili u władzy – zawsze i wszędzie. Propagandyści i wysłannicy sowieccy nieraz starali się „poufnie” przekonywać Zachód, że aktualny władca – Breżniew czy Andropow – jest umiarkowany i że Zachód powinien go pieścić, bo jacyś ekstremiści czyhają na jego posadę.

Nie wynika stąd, że nie ma żadnych różnic między tendencjami politycznymi, lecz tylko że hasło, wedle którego trzeba popierać umiarkowanych jako takich, nie ma żadnego sensu. Skądinąd w Polsce każda klika rządząca ma wąskie pole manewru, każda musi dochować wierności Moskwie – w obopólnym interesie – i każda musi próbować znaleźć jakąś formę minimalnej komunikacji ze społeczeństwem. Jakościowym skokiem w marszu ludzkości ku powszechnemu braterstwu i wolności byłaby rzeczywiście bezpośrednia sowiecka okupacja Polski, lecz spowodowanie warunków, które by taką okupację uczyniły konieczną, nie leży w tej chwili w naszym interesie.

Z tej również racji przypuszczenie, że dyktatura wojskowa ustanowiona w grudniu 1981 roku zapobiegła sowieckiej okupacji, jest odpowiedzią na złe postawione pytanie, mianowicie pytanie, które zakłada, że istniał istotny konflikt interesów między sowiecką a prłowską władzą. Jednakże nie było żadnego konfliktu interesów: zarówno prłowski, jak sowiecki aparat rządzący był żywotnie zainteresowany w tym, by przywileje władzy w Polsce zostały nietknięte, a wszelkie niezależne formy życia społecznego zniszczone i by załatwić to w miarę możliwości bez okupacji bezpośredniej. Nie ma wątpliwości co do tego, że wszystkie umowy od początku traktowane były jako „kompromis” w znaczeniu sowieckim, tj. chwilowe ustępstwo, które należało najspieszej zlikwidować, że od pierwszej chwili partia nie miała najmniejszego zamiaru dotrzymywać układów i że zanim atrament zdążył wyschnąć w Gdańsku, polityczne i wojskowe kliki pracowały gorączkowo nad przygotowaniem tej czy innej formy masowego gwałtu na Polsce. Nie było zatem żadnej potrzeby szantażu czy groźby.

Przypuśćmy jednak, prawie na pewno fałszywie, że taki szantaż miał miejsce, że więc ten czy ów marszałek albo sekretarz sowiecki oświadczył panu Jaruzelskiemu coś w rodzaju: „albo towarzyszu generał sam rozbewstwonemu Polactwu kaganiec na pysk założysz, albo już nasze sławne boje wam pokażą, na czym polega nieśmiertelna przyjaźń narodów socjalistycznych!”. Czy przy takim założeniu było – teoretycznie – jakieś inne wyjście? Owszem, nawet bardzo proste. Przypuśćmy, dalej fantazując, że pan Jaruzelski wygłasza wówczas w telewizji taki oto tekst: „drodzy rodacy, jesteśmy w kleszczach sowieckich imperialistów, którzy zagrozili, że nas najadą i zmasakrują, jeśli nie ogłosimy stanu wojennego w Polsce; wobec czego ogłaszam stan wojenny”. Ryzykowne takie przemówie-

nie wywołałoby największy bodaj kryzys w dziejach bloku sowieckiego, zważywszy jednak, że „stan wojenny” miałby wówczas poparcie społeczeństwa i armii, nie musiałby on wcale skończyć się sowieckim najazdem.

Wszystko to, oczywiście, fantazje. Wychowankowie wielkiej szkoły komunizmu Lenina–Stalina, czyli ludzie przez dziesięciolecia trenowani w lokajstwie, na samą myśl świętokradczą o zbuntowaniu przeciw sowieckiemu władcy reagują tak mniej więcej, jak chasyd na słoninę. Nie powiadam zatem, że możliwość takiego rozwiązania rzeczywiście kiedykolwiek istniała, lecz tylko, że nie ma sensu mówić, iż rządcy Ludowej znaleźli się w „przymusowej sytuacji” itp. Przymus popelnienia gwałtu zdarza się w ogólności nieczęsto.

Tyle gwoli wyjaśnienia rzekłszy, wracam do początku, tj. do kompromisu albo też „kompromisu”. Kompromis albo „kompromis” jest wynikiem negocjacji i pytanie powstaje, czy negocjacje są w ogólności wyobrażalne w policyjno-militarnym reżimie, spychającym Polskę do rządu krajów Trzeciego Świata? (Proces tego spychania zaczął się, oczywiście, znacznie wcześniej: samowola policji obok normalnego bezprawia komunistycznego; powszechne ubóstwo; chronicznie chora gospodarka, niezdolna do konkurencji na światowych rynkach; rozdęta i nieudolna biurokracja; złodziejstwo, strach rządzących i to, co Rosjanie określają słowem „żulniczeństwo”, a czego słowo „korupcja” jest wybitnie uwznioślającym przykładem; degradacja kulturalna w wyniku policyjno-cenzuralnych represji, braku środków, rosnącej izolacji i braku zainteresowania rządzących dla spraw kultury, jeśli są one czym innym aniżeli propagandą polityczną). Otóż hasło „żadnych kompromisów” ma sens tylko, gdy się doskonale panuje nad sytuacją; negocjuje się, w razie konieczności, z kidnaperami, szantażystami i porywaczami samolotów: nie dlatego by ktokolwiek wierzył, że owi partnerzy są skłonni do dobrowolnego respektowania układów, ale dlatego że oni również nad sytuacją nie panują. Każde dziecko w Polsce wie, że partyjna czy wojskowa władza nie dotrzyma żadnych umów ze społeczeństwem, jeśli tylko sądzi, trafia nie czy mylnie, że może sobie na to bezkarnie pozwolić; wszystkie umowy, wyraźne czy milczące, mają znaczenie o tyle tylko, o ile łamanie ich nie może rządzącym ujść bezkarnie. Nie wynikają z tego żadne określone zalecenia taktyczne (od takich zaleceń piszący niniejsze powstrzymuje się z zasady, jako że rady wolno dawać tym, którzy się znajdują w położeniu porównywalnym z jego własnym), wynika tylko, że nastawienie ogólne, wyrażające się hasłem „żadnych kompromisów”, jest przeciwnie do skutku i że kompromis nie musi bynajmniej polegać na dobrowolnym samoosłabieniu. Z pewnością, obecny stan impasu w Polsce nie może ciągnąć się nieograniczenie długo i może być łatwo zaburzony przez różne przypadkowe okoliczności. Jego przedłużanie wydaje się sprzyjać palce, pałka bowiem nie zużywa się od impasu, podczas gdy zużywa się materia żywa, tj. Polska jako organizm kulturalny. Jest to jednak tylko część prawdy. Pasożyt jest w sytuacji dwuznacznej, gnębi swojego żywiciela, ale nie może się bez niego obejść. Sowieccy wodzowie, być może, śnią o tym, aby Polska za-

padła się w nicość, lecz dla prłowskich byłby to sen o samobójstwie. Prawdziwym marzeniem jednych i drugich jest sowietyzacja duchowa Polaków, tj. narzucenie im mentalności niewolniczej. Epoka „Solidarności” marzenie to, które nigdy bliskie realizacji nie było, zniszczyła, lecz marzyciele nie dają za wygraną. Nieodwracalne rozbitcie tego marzenia jest „Solidarności” zasługą, rzecz można, absolutną, ilekroć błędów mogli jej poszczególni działacze popełnić.

Po 13 grudnia 1981, w pierwszych tygodniach wojny z narodem, reakcje Polaków dochodzące do nas, w innych krajach żyjących, dzieliły się na dwie kategorie. Jedni mówili „jak za okupacji”, inni (mniej liczni) – „jak po powstaniu styczniowym”. Są to, oczywiście, całkiem różne percepcje. Po powstaniu styczniowym nastał okres zniechęcenia i desperacji, z którego, by Polacy się otrząsnęli, trzeba było wielu lat. Za okupacji niemieckiej, mimo wszystkich potworności; nikomu bodaj z Polaków nie przychodziło do głowy, by Trzecia Rzesza mogła wygrać wojnę i utrwalić swoje ludobójcze władanie w Europie; pewność, że wojna skończy się totalną klęską hitlerowskich Niemiec (a także złudzenie, że nastąpi to bardzo szybko) była niezachwiana i, choćby niekoniecznie dobrze uzasadniona, była warunkiem walki konspiracyjnej i woli zwycięstwa. Otóż, chociaż sytuacja dzisiejsza jest do okupacyjnej całkiem niepodobna, podobna jest pod jednym względem: upowszechnionego poczucia tymczasowości i epizodyczności. Jeśli poczucie to jest żywe, treść jego staje się prawdą.

[3/1984]

O gospodarce Polski i bloku sowieckiego

Włodzimierz Brus, przed Marcem 1968 profesor ekonomii politycznej Uniwersytetu Warszawskiego, wykłada obecnie problematykę gospodarki świata komunistycznego na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jest członkiem (*fellow*) Wolfson College.



Radek Sikorski: Zaczniemy od kwestii bardzo ogólnej i w pewnym sensie także osobistej. Jak ocenia Pan 40 lat polskich doświadczeń centralnie planowanej gospodarki „realnego socjalizmu”? Czy i co zmieniło się w Pana ocenie z upływem czasu?

Włodzimierz Brus: W okresie wprowadzania w Polsce socjalistycznej gospodarki planowej byłem jej entuzjastą. Zwolenników planowania było zresztą u nas wówczas wielu, między innymi pod wpływem ujemnych doświadczeń okresu międzywojennego. Jednak pojmowanie gospodarki planowej – jej zakresu, stosunku do rynku i związku z nacjonalizacją środków produkcji – było bardzo różne. Ja należałem do zwolenników rozwiązań skrajnych: planowania możliwie wszechogarniającego, scentralizowanego, opartego na daleko posuniętej socjalizacji środków produkcji, zwłaszcza poza rolnictwem. Krótko mówiąc, moje poglądy w tej sprawie oparte były na ortodoksyjnej doktrynie komunistycznej „marksizmu-leninizmu”. Wzory sowieckie uważałem za pozytywne, jeśli nie we wszystkich elementach – wiele negatywnych zjawisk tłumaczyłem sobie szczególnymi warunkami historycznymi Rosji zarówno przed, jak i po rewolucji – to na pewno w zasadniczych zrębach. Wydawało mi się, że gospodarka centralnie planowana tego typu pozwoli stosunkowo szybko i skutecznie postawić niewykorzystane zasoby wytwórcze w służbę rozwoju ekonomicznego Polski, przede wszystkim jej uprzemysłowienia, bez którego nie widziałem możliwości reorganizacji przeludnienia wsi, przeprowadzenia urbanizacji, awansu społecznego na wielką skalę, radykalnej – nawet jeśli nie nastąpiłaby od razu – poprawy warunków bytowania szerokich rzesz społeczeństwa. Realizację planu sześciolet-

niego przyjmowałem początkowo bez zastrzeżeń, a w pracy wykładowej i publikacjach wydobywałem jedynie aspekty pozytywne, przedstawiając je jako potwierdzenia słuszności doktryny i aktualnej linii partii.

Jednakże już wówczas obserwacja rzeczywistości prowadziła mnie stopniowo do wniosku, że nawet przy najprzychylniejszej interpretacji wyników działania systemu daleko mu do racjonalności: wielka mobilizacja przynosiła efekty, lecz niewspółmierne do ogromnych kosztów. Toteż kiedy po śmierci Stalina w 1953 roku zmieniać zaczęła się stopniowo atmosfera życia intelektualnego, wystąpiłem z – początkowo umiarkowanymi, później bardziej radykalnymi – propozycjami zmian. Propozycje próbowałem później uogólnić w postaci modelu gospodarki planowej, wykorzystującej mechanizm rynkowy i umożliwiającej samorządność pracowniczą. Wie Pan zapewne, że nie byłem pod tym względem wyjątkiem: burzliwy rok polskiego Października obfitował nie tylko w koncepcje, ale zrodził masowy ruch społeczny na rzecz przemian gospodarczych i politycznych. Panu chodzi jednak o wyjaśnienie ewolucji moich poglądów – muszę więc trwać na tej niespodziewanie biograficznej ścieżce. Otóż w tym mniej więcej okresie uświadomiłem sobie w pełni, że negatywne zjawiska pierwszego okresu istnienia gospodarki planowej w Polsce nie są „trudnościami wzrostu” słabnącymi w miarę dojrzwania, lecz przeciwnie będą się nasilały, jeśli system ekonomiczny wraz z jego powiązaniami politycznymi nie zostanie zasadniczo zreformowany. Odtąd mój optymizm czy pesymizm w ocenie przyszłości i perspektyw gospodarki polskiej stał się uzależniony od tego, jak widziałem możliwości dokonania tego typu reformy.

Początkowo byłem optymistą nie tylko w odniesieniu do treści reform, lecz również jeśli chodzi o metody ich realizacji. Uważałem mianowicie, że najbardziej obiecującą, a może nawet jedyną skuteczną metodą osiągnięcia niezbędnych zmian jest działanie od wewnątrz – w oficjalnych strukturach, zwłaszcza partyjnych. Jeszcze w 1966 roku, kiedy Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian zostali z PZPR usunięci, należałem do tych, którzy nalegali na nich, aby złożyli odwołanie od decyzji, by utrzymali możliwość działania wewnątrz partii. (Sam otrząsnąłem się z tego złudzenia kilkanaście miesięcy później, tuż przed Marcem 1968, gdy wystąpiłem z partii). Szkoda chyba czasu na rozwodzenie się, że ów optymizm był nieuzasadniony; istotne jest to, że chociaż od prawie 30 lat mało kto w Polsce dowodzi, że reforma systemu ekonomicznego jest zbędna, a oficjalne zapowiedzi jej dokonania występują przeciętnie raz na pięć lat – system ma się znakomicie, a gospodarka bardzo źle.

Jeśli zatem spojrzeć na czterdziestolecie gospodarki socjalistycznej w Polsce jako na całość, której obecna faza jest związana z poprzednimi, jeśli uwzględnić koszty – wymierne i niewymierne – jeśli wziąć pod uwagę alternatywy, to ocena moja jest niestety ujemna. Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co mówię, otwiera problem znacznie szerszy – problem reformowalności systemu w ogóle, ale jest to temat na oddzielną rozmowę.

R. S.: Zatrzymajmy się nad jeszcze jednym problemem natury ogólnej: czy to, co Pan mówi, stosuje się jedynie do Polski, czy też ma wymiar ogólniejszy? Często spotkać się można z opinią, że w żadnym z krajów bloku sowieckiego nie nastąpiła taka katastrofa gospodarcza jak w Polsce...

W. B.: Czyli nie system jest winien, lecz *polnische Wirtschaft*? Cóż – dawniej ignorowałem całkowicie wpływ takich czynników, jak charakter narodowy, tradycje itp. na procesy gospodarcze. Teraz jestem bardziej skłonny do brania ich pod uwagę, choć sam nie potrafiłbym wyważyć stopnia ich wpływu. Czytając przed rokiem 1980 książkę Waldemara Kuczyńskiego *Po wielkim skoku*, a ostatnio jedyne w swoim rodzaju „wspominki” Pawła Bożyka, szefa grupy doradców Gierka, musiałem raz po raz zadawać sobie to samo pytanie: czy ta horrendalna wprost ślepotą i lekkomyślnością ludzi decydujących o wielomiliardowych kwotach narodowego majątku nie jest w jakiejś mierze również przejawem tak często wytykanych w przeszłości polskich „grzechów głównych”? Odpowiedzi będą może w stanie udzielić ludzie bardziej kompetentni w formułowaniu wielkich uogólnień historycznych. Moja własna refleksja każe mi szukać źródeł szczególnego nasilenia negatywnych zjawisk gospodarczych w Polsce nie tyle w odległej przeszłości i charakterze narodowym Polaków, ile w bardziej niekorzystnych niż u sąsiadów konsekwencjach narzuconego systemu. Jak powiedzieliby cybernetycy, „ujemne sprzężenie zwrotne” między systemem a polską rzeczywistością społeczno-polityczną było i jest ostrzejsze niż gdzie indziej. W okresie wprowadzania systemu komunistycznego opór był w Polsce silniejszy niż gdziekolwiek w Europie Wschodniej, o czym świadczy między innymi zapomniany dziś fakt, że w odróżnieniu od innych krajów demokracji ludowej partia w Polsce powojennej nigdy nie odważyła się wystąpić w jakichkolwiek wyborach pod własnym sztandarem, zawsze chowała się za parawanem „bloków”, „frontów” czy „ruchów”. Jedyna próba przeciwstawienia się pełnej stalinizacji systemu politycznego, która wyszła z partii komunistycznej, miała miejsce w Polsce w postaci gomułkowskiego „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”. Nawet w szczytowym punkcie stalinizmu nie udało się skolektywizować polskiego rolnictwa. Idea reform ekonomicznych połączonych z samorządnością pracowniczą zrodziła się w Polsce wcześniej i nigdy właściwie nie udało się całkowicie zdjąć jej z porządku dziennego. Pozycja Kościoła katolickiego była i jest unikatem w świecie komunistycznym. Niezależność intelektualna i związki z kulturą zachodnią pozostawały zawsze (na miarę „obozową”) stosunkowo silne. Wreszcie – co najbardziej znamienne – każdy z wielkich przełomów politycznych w Polsce od 1948 roku dokonał się pod przemożnym wpływem buntu robotniczego. Zmiał on kolejne ekipy, a w 1980 roku dał początek autentycznemu ruchowi społecznemu i narodowemu na nieznana dotąd skalę. „Specyfika” polska jest więc niewątpliwa, a jedyną racjonalną metodą przeciwdziałania ciągłemu odrzucaniu „przeszczepu” mogła być systematyczna i subtelna polity-

ka reform wychodzących naprzeciw postawom i aspiracjom społeczeństwa, zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i politycznej. Zamiast tego królowała doktryna co najwyżej chwilowo i źle maskowana. Oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że polityka reform przyniosłaby pełne rozwiązania, ale stwarzałaby ona przynajmniej szansę. Podsumowując, uważam, że głównym elementem szczególnych okoliczności kształtujących procesy gospodarcze w Polsce jest większe niż gdzie indziej wyobcowanie reżimu komunistycznego i nieumiejętność albo niezdolność skompensowania tego przez odpowiednią politykę. W tym widzę przyczynę tej iście kosmicznej katastrofy, która uporczywie kojarzy mi się z tym, co widzieliśmy w filmie *Grek Zorba*.

Mam jednak nadzieję, że ani Pan, ani czytelnicy nie utożsamia tego uznania elementów szczególnych z traktowaniem Polski jako wyjątku. Polska jest, moim zdaniem, jedynie skrajnym przypadkiem ogólnego zjawiska rosnącej niewydolności gospodarki krajów komunistycznych. Nigdzie wprawdzie dochód narodowy nie spadł w ciągu 4 lat o ponad 1/4 jak w Polsce (w przeliczeniu na 1 mieszkańca i w zakresie tzw. dochodu narodowego podzielonego w 1982 roku nastąpiło cofnięcie o całą dekadę), lecz kilkuprocentowe spadki w poszczególnych latach w różnych krajach komunistycznych przestały już budzić sensację, a dawne wysokie tempo wzrostu (7% średnio rocznie według oficjalnych danych dla ZSRR i europejskich członków RWPG łącznie w latach 60., nie mówiąc już o 10% w latach 50.) odchodzi w zapomnienie. Przed paru tygodniami urząd statystyczny ZSRR ogłosił z dumą, że dochód narodowy wzrósł o 3,1% w ciągu ubiegłego roku – dziesięć lat temu taka liczba uważana byłaby za hańbę albo za wymysł wrogiej propagandy. Nigdzie wprawdzie obsługa długów zagranicznych nie kształtowała się tak katastrofalnie w stosunku do uzysków w walucie wymienialnej jak w Polsce, ale wielkość zadłużenia na jednego mieszkańca była u progu lat osiemdziesiątych wyższa w NRD i na Węgrzech niż w Polsce. ZSRR jest, praktycznie rzecz biorąc, niezadłużony – nastąpiły korzystne dla niego zmiany warunków handlowych (*terms of trade*), które przyniosły mu wielomiliardowe dodatkowe wpływy, zarówno z Zachodu, jak i z innych krajów RWPG. Lecz ten ogromny strumień środków z zewnątrz jakoś nie znalazł odzwierciedlenia w odwróceniu wygasającej dynamiki gospodarczej. We wszystkich bez wyjątku krajach RWPG występuje malejąca efektywność inwestycji (tzw. przyrostowy współczynnik kapitałowy, czyli wielkość nakładów inwestycyjnych potrzebna do uzyskania przyrostu jednostki dochodu narodowego wzrosła z 2–2,5 w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych do 6–7 pod koniec ubiegłej dekady). Ani w dziedzinie wydajności pracy, ani w nakładach materiałowych i energii, ani w nowoczesności produkcji i w zdolności dostosowania jej do potrzeb odbiorców – krajowych i zagranicznych – nie zaznacza się w krajach komunistycznych postęp, który uzasadniałby ogólne przeciwstawienie ich Polsce jako zjawisku wyjątkowemu, a są przypadki krajów, w których głód towarowy jest porównywalny z naszym.

Nie można tego problemu dyskutować zbyt długo, chciałbym tylko dodać, że uważam charakterystyczne obecnie dla całego świata komunistycznego trudności gospodarcze za skutek pewnych szczególnych właściwości systemu, który zdeformował proces modernizacji realizowanej zresztą za cenę wielkich ofiar. W niedawno ogłoszonym artykule, którego jestem współautorem, użyliśmy określenia „konserwatywna modernizacja” – niby paradoks, jednak oddaje chyba istotę rzeczy – modernizacja wystąpiła, ale poza wyselekcjonowanymi dziedzinami, głównie związanymi z wojskiem, nie wytworzyła ona wewnętrznych mechanizmów samorozwoju: gospodarka jest antyinnovacyjna, zachowuje stare układy gałęziowe i jej handel z Zachodem ma wciąż strukturę analogiczną do krajów słabo rozwiniętych.

R. S.: Jednak ogłoszone wyniki ekonomiczne roku 1983 zdają się wskazywać na pewną poprawę. Czy nie sądzi Pan, że „widać już światło w tunelu”, czyli że RWPG zaczyna wychodzić z kryzysu?

W. B.: Z belferskiego nawyku spróbuję najpierw sprecyzować pojęcia. Kryzys w języku potocznym mniej więcej znaczy to samo co w języku ekonomicznym depresja albo, jeśli spadek produkcji jest łagodniejszy – recesja; w obu wypadkach chodzi o cykliczne załamanie koniunktury. W niektórych krajach komunistycznych, zwłaszcza na Węgrzech, ogłoszono interesujące rozprawy dowodzące, że wbrew wyznawanej uprzednio doktrynie, nawet gospodarka planowana centralnie podlega wahaniom cyklicznym wywołanym przede wszystkim przez nadmierną ekspansję inwestycyjną, która po pewnym czasie napotyka na bariery i musi zostać gwałtownie wyhamowana. Nie chcę tu rozważać, na ile tego typu teorie są ścisłe; wspominam o nich głównie po to, by dokonać rozgraniczenia między zjawiskami cyklicznymi a długofalowymi tendencjami, trendami. To, o czym mówiłem w odpowiedzi na poprzednie pytanie, dotyczyło właśnie trendu, gasnącej dynamiki gospodarczej systemów centralnie planowanych. Wokół linii trendu zawsze występują wahania mniej lub bardziej krótkookresowe, wywołane przez różne czynniki. Staralem się nie używać słowa „kryzys” w naszej dyskusji, gdyż wolałbym zachować ten termin dla charakterystyki spadkowej fazy wahań krótko- lub średniookresowych. W tym sensie gospodarka RWPG może „wychodzić z kryzysu”, tzn. wahać się w górę w okresie rocznym czy nawet kilkuletnim. W przypadku takim jak Polska, gdzie duże cięcia importowe gwałtownie obniżyły stopień wykorzystania zdolności produkcyjnej, pewien wzrost produkcji w porównaniu z najniższym poziomem powinien nastąpić w wyniku prostych zabiegów przystosowawczych. Jednak kluczowa sprawa to, w moim przekonaniu, to, czy oznacza to odwrócenie trendu. Co do tego mam poważne wątpliwości i nie mógłbym się zgodzić, że widać już światło w tunelu.

Przypatrzmy się kilku liczbom (wszystko są to dane oficjalne – nie interesuje mnie ich wiarygodność w liczbach absolutnych, chodzi wyłącznie o porównania

w czasie przy założeniu, że ewentualne zniekształcenia są jednakowego rzędu w różnych okresach). Dochód narodowy ZSRR, jak już wspomnieliśmy, wzrósł w 1983 roku o 3,1%, czyli więcej niż w 1982 roku, kiedy wzrósł jedynie o 2,5%. Lecz plan na całe pięciolecie 1981–1985 przewidywał średni roczny wzrost o 3,4%, więc i ta „lepsza” liczba plasuje się poniżej planu, a przeciętny wzrost za okres trzech lat 1981–1983 wynosi mniej więcej 3% rocznie. Co więcej, zaplanowany na obecne pięciolecie wskaźnik wzrostu był niższy niż faktycznie uzyskany (lub w każdym razie podany do wiadomości) wskaźnik wzrostu w poprzednim pięcioleciu. Czy można wyciągnąć z tego wniosek o odwróceniu trendu? Nawet najostrożniejszy obserwator powiedziałby, że nie.

To samo da się powiedzieć o wszystkich prawie krajach wschodnioeuropejskich. Czechosłowacja ogłosiła 2,2% wzrost dochodu narodowego w 1983 roku, ale to oznacza niewiele więcej niż powrót do poziomu oficjalnego z 1980 roku, gdyż w latach 1981–1982 zamiast przyrostu był spadek (odpowiednio o 0,4% i 1%) – o wykonaniu skromniutkiego planu 2–2,6% rocznie w tym pięcioleciu nie ma mowy, choć i ten plan jest znacznie niższy od wzrostu uzyskanego w przeszłości. Na Węgrzech, gdzie w roku ubiegłym zanotowano lekki spadek dochodu narodowego, a w latach poprzednich słabiutki wzrost, też trudno spodziewać się wykonania bardzo ostrożnego planu. Rumunia wykazuje przyrosty roczne w granicach 2–3%, ale ambitni planiści chcieli osiągnąć ponad 7% (też trochę mniej niż w poprzednim pięcioleciu). Nawet NRD, jedyny kraj, który zaplanował nieco wyższe tempo rozwoju niż w pięcioleciu 1976–1980 (5% rocznie zamiast 4,1%) znajduje się „pod planem” ze wzrostem tegorocznym 4,4%, a przeciętnym za trzy lata około 4%. Jedynie Bułgaria wciąż jeszcze ma wskaźnik wzrostu nieco wyższy od zaplanowanego, ale wskaźnik ten został w planie obcięty o ponad 1/3 w porównaniu z wynikami poprzedniego pięciolecia (3,7% zamiast 6,1%), a poza tym wskaźniki z roku na rok spadają (5% w 1981, 4% w 1982, 3% w 1983). Dla pełnego obrazu dodajmy, że pozablokowa Jugosławia wykazuje ostatnio podobną tendencję – w 1983 roku produkt społeczny (wielkość obliczana inaczej niż dochód narodowy w krajach RWPG) spadł tam o ponad 1%.

Przepraszam za lawinę liczb, lecz nie chciałem być gołosłowny, mimo że ogólne wskaźniki są tylko uproszczoną ilustracją.

R. S.: Jakie znaczenie będzie miał ten spadek dla przyszłości systemów centralnie planowanych?

W. B.: Duże, jeśli chodzi o nacisk na podjęcie środków zaradczych. Dotąd władzom w pewnym stopniu, choć nie wszędzie, udawało się amortyzować skutki zwolnienia dla sfery konsumpcyjnej: dynamika nakładów inwestycyjnych obniżyła się więcej niż dynamika dochodu narodowego. Bez końca tak postępować nie można, bo tendencja stagnacyjna przekształci się we wsteczną, i to w przy-

spieszożnym tempie. Wobec tego dotychczasową względną osłonę bieżących interesów konsumpcyjnych ludności trzeba będzie zarzucić, co nie może nie wywrzeć wpływu na sytuację społeczno-polityczną. Za krótka koldra da się w końcu odczuć również w dziedzinie wydatków zbrojeniowych, które oczywiście trudniej powiększać z malejącego przyrostu dochodu narodowego.

Jednak wzmożona presja na podniesienie efektywności gospodarowania i większe prawdopodobieństwo przeprowadzenia zmian w systemie to dwie różne rzeczy. Dopóki reformy zależą od decyzji władz, oceniane są one według nadrzędnego kryterium utrzymania i wzmocnienia władzy aktualnej ekipy. Lepsze możliwości rozładowania ewentualnych napięć społecznych są na pewno atrakcyjne, ale nie za wszelką cenę w kategoriach politycznych. Wkraczamy tu w istny gąszcz konfliktów, włącznie z owym zasadniczym problemem reformowalności, którego nie mamy dziś dyskutować. Analiza tych konfliktów wykracza poza ramy naszej rozmowy, mogę tylko zarejestrować swój pesymizm co do szans skutecznych reform ekonomicznych w krajach komunistycznych w bieżącej dekadzie.

R. S.: Z Pańskiej analizy wynikałoby, że ocena szans reformy w Polsce musi być jeszcze bardziej pesymistyczna, gdyż do ogólnie niekorzystnych warunków dochodzi głębokie zakłócenie równowagi. Pisał Pan w swoim czasie, że w takiej sytuacji rozszerzenie zakresu mechanizmu rynkowego i zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw grozi wszystkimi negatywnymi skutkami zachowań monopolistycznych – nieuzasadnionymi podwyżkami cen, spadkiem jakości itd.

W. B.: Naturalnie, głęboka nierównowaga stanowi ogromną przeszkodę w uruchamianiu mechanizmów rynkowych, a nagromadzenie rezerw – rzeczywistych rezerw, nie papierowych – powinno w normalnej sytuacji stanowić nieodłączny składnik przygotowania reformy gospodarczej. Tak było m.in. na Węgrzech przed wprowadzeniem w 1968 roku „nowego mechanizmu gospodarczego”, który zdążył się od tego czasu zestarzeć, lecz oznaczał istotny krok naprzód na drodze usprawnienia systemu.

Co najmniej dwie sprawy powinny jednak być wzięte pod uwagę przy rozważaniu obecnych warunków realizacji reformy gospodarczej w Polsce. Po pierwsze, znacznie jaśniejsza jest dziś współzależność między systemem ekonomicznym a naruszeniem równowagi rynkowej: to nie tylko nadmiernie ekspansywna polityka gospodarcza, ale właściwości systemu nakazowo-rozdzielczego jako takiego są źródłem ustawicznego stanu niezaspokojonego popytu, a więc odkładanie reformy do czasu, gdy równowaga zniknie, może być czekaniem na Godota. Po drugie, wygląda na to, że w Polsce nie ma po prostu innego wyjścia. Może w NRD są podstawy do rozważania opcji zachowania systemu nakazowo-rozdzielczego z udoskonaleniami organizacyjnymi z jednej strony, a opcji reformy rynkowo-decentralizacyjnej, z drugiej; w Polsce taka alternatywa zdaje się nie istnieć, gdyż system nakazowo-rozdzielczy jest doszczętnie skompromitowany

i nie ma widoków na to, by funkcjonował na modłę niemiecką (nawet jeśli uznać ją za godny naśladowania wzór). Oczywiście, ten doszczętnie skompromitowany system wykazuje ogromną siłę przetrwania, zarówno wskutek zwykłej inercji, jak i potężnych interesów, które za nim stoją. Dwa lata, jakie upłynęły od oficjalnego ogłoszenia obecnej reformy, dostarczają wielu dowodów na to, że będzie upórcozywie wracał, jeśli nie frontowymi, to tylnymi drzwiami. Ale to nie jest alternatywne rozwiązanie, lecz dalsze spychanie gospodarki w dół.

Reforma jest więc niezbędna, mimo że warunki jej wprowadzania są tak złe. Jakie z tego wyjście? Trudno stwierdzić z całą pewnością, że wyjście w ogóle istnieje, sądzę jednak, że jedyna szansa tkwi w sferze politycznej. Sfera polityczna w odniesieniu do reformy gospodarczej ma wiele aspektów: zdecydowane zaangażowanie się po stronie przemian systemowych, gotowość do pragmatycznego wychodzenia poza uznane kanony socjalistycznego gospodarowania, łamanie starych struktur instytucjonalnych i związanych z nimi partykularnych interesów. Nade wszystko jednak rozwiązania polityczne polegać muszą na zmianie stosunków pomiędzy władzą a społeczeństwem, na włączeniu autentycznych samorządnych organizacji społecznych do procesów podejmowania decyzji ekonomicznych zarówno na szczeblu lokalnym (przedsiębiorstwa, jednostki terenowe), jak i ogólnokrajowym. Nie czas dzisiaj na „gdybanie” na temat okresu między sierpniem 1980 roku a wprowadzeniem stanu wojennego, który zmienił układ sił na arenie politycznej Polski. Jeśli jednak ta zmiana układu sił interpretowana będzie nadal przez władze jako przesłanka dla ignorowania ogromnego ruchu społecznego, którego wyrazicielem była „Solidarność”, to reformę pozbawia się moim zdaniem ostatniej szansy. Jest bowiem rzeczą raczej oczywistą, że przeobrażenia, które mają spowodować zmianę zachowań ludzkich w działalności gospodarczej, kiedy ewentualne korzyści mogą przyjść później, a dotkliwe nieraz środki muszą być stosowane od razu, nie będą dokonywały się bez aktywnego współdziałania społecznego, to zaś z kolei jest nieosiągalne bez możliwości autentycznej artykulacji opinii, interesów i aspiracji różnych warstw społecznych.

R. S.: Czy nie sądzi Pan, że pod pewnym względem Polska ma lepsze perspektywy gospodarcze na przyszłość niż inne kraje komunistyczne? Mam na myśli istnienie prywatnego sektora w rolnictwie.

W. B.: Na Wschodzie jest to naturalnie uważane za jednoznacznie ujemny czynnik – nie skolektywizowaliście, teraz macie za swoje. Na Zachodzie też trafia to niektórym do przekonania, a ci, którzy zasadniczo wierzą w przewagę prywatnej gospodarki nad kolektywną, też często pomijają ten temat w dyskusjach na temat polskiego krachu gospodarczego. Rzeczywistość polega na tym, że gospodarstwa chłopskie nie pozwoliły się wprowadzić skolektywizować, lecz też nie uzyskały możliwości rozwoju na gruncie własności prywatnej. Atak frontalny zastąpiono obłężeniem, które przyniosło gospodarce narodowej ogromne straty

(około 1/4 zadłużenia w latach 70. spowodowane było przekształceniem się Polski z netto eksportera w importera żywności). Obłężenie skutecznie przeciwdziałało również efektywnej modernizacji rolnictwa i racjonalizacji struktury agrarnej. Teraz sytuacja ulega zmianie, jednak ciągle zbyt mało jest dowodów na to, że jest to zmiana strategiczna, a nie taktyczny unik. Wydaje mi się, że istotnym elementem potwierdzającym, iż chodzi tu o coś więcej niż o krótkotrwały zwrot, przypominający to, co działo się w przeszłości, byłoby doprowadzenie do pomyślnego końca tasiemcowych negocjacji w sprawie utworzenia kościelnego funduszu pomocy rolnictwu prywatnemu. Nie chodzi o to, że fundusz ten sam przez się zaspokoi potrzeby rolnictwa i przełamię wszystkie trudności rozwojowe, lecz o to, że uruchomienie go zasygnalizowałoby wyraźne długofalowe intencje.

Z punktu widzenia ogólnego kierunku reformy systemu ekonomicznego rolnictwo prywatne zajmuje szczególną pozycję dlatego, że istnieją w nim już motywacje i przesłanki przedsiębiorczości, które dopiero trzeba stwarzać w sektorze państwowym czy w biurokratyzowanych konglomeratach spółdzielczych (z nazwy). Znaczenie tego faktu jest coraz bardziej doceniane w innych krajach komunistycznych, o czym świadczą nie tylko Węgry, gdzie największym sukcesem reformy okazało się rolnictwo umiejętnie wiążące prywatną inicjatywę z sektorem socjalistycznym, lecz powszechna właściwie zmiana klimatu wobec działań indywidualnych, a co najważniejsze, zapoczątkowany w 1983 roku powrót do idei tzw. ogniw w rolnictwie sowieckim (chodzi o coś w rodzaju grupowego systemu agencji; po rosyjsku nazywa się to *kolektywnyj podriad*).

Wracając do rolnictwa polskiego, chciałbym mocno podkreślić, że moim zdaniem powinno być ono traktowane nie jako coś osobnego, lecz jako kluczowy odcinek reformy. Właśnie dlatego, że nie potrzeba tu dopiero stwarzać nowych motywacji, stosowanie mechanizmów rynkowych w rolnictwie i wokół rolnictwa mogłoby się dokonywać stosunkowo najbardziej konsekwentnie także w obecnej sytuacji. Potrzeba do tego nie tylko wspomnianej poprzednio jasności w długofalowej polityce rolnej, lecz również wyraźnego poparcia dla przedsiębiorstw prywatnych oraz małych autonomicznych spółdzielni w sferze produkcji i usług dla rolnictwa oraz handlu ze wsią. Powinno to doprowadzić także do zmiany form działania przedsiębiorstw państwowych tej sfery, gdyż znalazłyby się one w obliczu konkurencji. Uogólniając – rozszerzenie zakresu prywatnej inicjatywy, włączając w to przedsiębiorstwa o kapitale zagranicznym i mieszanym, mogłoby w istotny sposób wpłynąć na perspektywę usprawnienia gospodarki. Naturalnie wystąpią także zjawiska negatywne, gdyż trudno się ustrzec przed wykorzystywaniem rozprężonego rynku dla celów spekulacyjnych. Jeśli jednak władza będzie kontynuowała tradycyjną metodę reagowania w postaci przykręcania ledwie odkręconej śruby, a tym bardziej hałaśliwych kampanii często służących odwracaniu uwagi od ważniejszych przyczyn trudności – to nic z tego wszystkiego nie wyniknie. Doświadczenie wskazuje niezbicie, że w warunkach

niepewności co do trwałości każdorazowej „nowej” linii działań będą tylko tacy prywatni przedsiębiorcy, którzy liczą na bardzo szybki zysk przy minimalnym zaangażowaniu kapitału – na długofalowe solidne inwestycje liczyć można dopiero, gdy ugruntuje się atmosfera zaufania. Są to takie truizmy, że aż wstyd je przypominać, ale żeby je za takie uznać w Polsce, trzeba pokonać potężne przeszkody doktrynalne i polityczne.

R. S.: W całej naszej dyskusji pominęliśmy kwestię zewnętrznych ograniczeń politycznych. Czy śmielsze inicjatywy polskich władz komunistycznych nie mogą być paraliżowane przez nacisk sowiecki?

W. B.: Jest to temat gigant, który wymagałby przedyskutowania zmian w stosunkach między ZSRR a państwami satelickimi na przestrzeni całego okresu wojennego. Jeśli chodzi o Polskę, to uważam, że władza komunistyczna ma wystarczające pole manewru, zanim natknie się na bariery w postaci sprzeciwu sowieckiego. Krótko mówiąc, odpowiedzialności za ewentualne zmarnowanie niewielu istniejących jeszcze szans na wyciągnięcie Polski z tego upadku, w jakim się znajduje, nie da się po prostu przerzucić na „Wielkiego Brata”.

[5/1984]

RYSZARD J. KUKLIŃSKI

Wojna z narodem widziana od środka*

„Kultura”: Panie Pułkowniku! Zaczniemy od pytania, które wszyscy sobie zadają. Upłynęło już pół roku od czasu, kiedy czynniki rządowe PRL ujawniły rolę, jaką Pan odegrał w czasie przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego, inicjując w czerwcu tego roku wybuch prawdziwej bomby prasowej. Dlaczego właśnie teraz i dopiero teraz zabiera Pan głos?

Ryszard Jerzy Kukliński: Rewelacje Jerzego Urbana, a później generała Czesława Kiszczaka były, jak wiadomo, wymierzone przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych. Nie jestem adwokatem rządu tego kraju i nie do mnie należy obrona czy uzasadnianie jego decyzji. Uważałem, że od tego są rzecznicy administracji amerykańskiej. I to był najważniejszy powód mojej wstrzeźliwości. Nie bez znaczenia był jednak również fakt, że nie chciałem być tymi przysłowiowymi nożyczkami, które odzywają się, gdy pan Urban w stół uderzy. Nie miałem i nie mam zamiaru polemizować z fałszami i propagandowymi bzdurami.

Zabieram głos w piątą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, bo jest to odpowiednia okazja do rozważań nad zakłóconym 13 grudnia 1981 roku, ale przecież jeszcze niezamkniętym rozdziałem naszej najnowszej historii. Nie roszczę sobie pretensji do objawienia całej prawdy niezwykle złożonego okresu od sierpnia roku 1980 do grudnia roku następnego. Czuję się jednak w obowiązku przedstawić społeczeństwu te wydarzenia, których byłem bezpośrednim uczestnikiem lub świadkiem. Społeczeństwo samo może sobie wyciągnąć wnioski.

K.: To, co Pan powiedział, odnosi się do ostatniego okresu. Społeczeństwo chciałoby jednak z pewnością znać również powody, dlaczego tuż po wydostaniu się z Polski nie ostrzegł Pan, że lada dzień wprowadzony będzie stan wojenny, że nastąpi policyjno-wojskowe uderzenie w „Solidarność”, że nastąpią masowe internowania itd.? Był Pan przecież jednym z niewielu, którzy jeszcze

* Rozmowa z byłym plk. dypl. Ryszardem J. Kuklińskim przeprowadzona w piątą rocznicę wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. (c) Copyright by Ryszard Jerzy Kukliński & „Kultura”.

przed ogłoszeniem stanu wojennego znali dokładnie plany tej operacji. Według oświadczeń reżimu, 7 lub 8 listopada, a więc na miesiąc przed uderzeniem grudniowym, znalazł się Pan w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego z tych informacji nie został zrobiony żaden użytek?

R. J. K.: Data, kiedy rzekomo miałem się znaleźć w Stanach Zjednoczonych, jest nieprawdziwa. 8 listopada nie zjawilem się w Sztacie Generalnym Wojska Polskiego, ale to wcale nie oznaczało, że byłem już w Stanach Zjednoczonych. Dla przedmiotu sprawy nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż szansa ostrzeżenia na czas społeczeństwa rzeczywiście istniała. W kraju było to niemożliwe, ale po wydostaniu się na Zachód miałem właściwie pełną swobodę poruszania się oraz postępowania według własnych decyzji. Byłem wolnym człowiekiem i bez najmniejszych przeszkód mogłem telefonicznie, a nawet osobiście nawiązać kontakt z przedstawicielami dowolnych środków masowego przekazu, a nawet – ze względu na powagę sytuacji – zwołać konferencję prasową i zaapelować o przekazanie takiego ostrzeżenia, o jakim Pan mówi.

Tak bym prawdopodobnie postąpił, gdybym się kierował wyłącznie emocjami. Byłoby dużym uproszczeniem twierdzenie, że były mi one zupełnie obce. Przeciwnie, wydaje mi się, że byłem w podobnym stanie wstrząsu, jaki w miesiąc później był udziałem większości Polaków słuchających radiowo-telewizyjnego wystąpienia generała Jaruzelskiego, ale na szczęście stan emocjonalny nie sparaliżował zupełnie zdolności przewidywania tego, co może nastąpić, gdy moje ostrzeżenie dotrze do kraju.

W przewidywaniu rozwoju wydarzeń niepotrzebna była jakaś szczególna wyobraźnia. Nad sprawami stanu wojennego pracowałem ponad rok, ściśle biorąc 380 dni, a czasami i nocy. Rozliczne warianty możliwych działań znałem już na pamięć. Wystarczyło więc tylko do niej sięgnąć, aby zdać sobie sprawę, że:

Po pierwsze – podjęta pod presją Związku Radzieckiego decyzja o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, w początkach listopada roku 1981, była już praktycznie nieodwołalna. Gdyby generał Jaruzelski w ostatniej chwili załamał się, wystąpienie radiowo-telewizyjne do narodu wygłosiłby generał broni Eugeniusz Molczyk lub inny zdecydowany na ten krok generał.

Po drugie – operacje stanu wojennego miały prowadzić wyłącznie polskie siły policyjno-wojskowe. Gdyby jednak z jakichkolwiek powodów nie były one w stanie złamać oporu społeczeństwa, do akcji miały wkroczyć czekające u granic Polski w pełnej gotowości dywizje radzieckie, czeskie i niemieckie.

Po trzecie – w dniu 7 listopada 1981 roku, to jest w momencie opuszczania przeze mnie Sztatu Generalnego WP, stan przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego był tak dalece zaawansowany, że do uruchomienia całej policyjno-wojskowej maszyny wystarczyło tylko naciśnięcie przysłowiowego guzika. Jedynym problemem do rozwiązania pozostało spreparowanie – możliwego do zaakceptowania przynajmniej przez część społeczeństwa – pretekstu do rozpoczęcia konfrontacji oraz wybór najlepszego momentu uderzenia.

Po czwarte – w głównym wariantcie działań stan wojenny zamierzano wprowadzić z zaskoczenia, którejs nocy z piątku na wolną sobotę. Gdyby jednak sytuacja w kraju na to nie pozwalała (na przykład: gdyby „Solidarność” podjęła jakąś akcję uprzedzającą), stan ten mógł być wprowadzony także w różnych niekorzystnych z operacyjnego punktu widzenia sytuacjach, w tym także w czasie trwania powszechnego strajku okupacyjnego.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ujawnienie przeze mnie planów uderzenia nie mogło ich w najmniejszym stopniu udaremnić lub choćby opóźnić. Mogło je tylko przyspieszyć. Rozważając taką ewentualność, musiałem się natomiast liczyć z faktem, że jeśli moje ostrzeżenie nie zostanie uznane w kraju za inspirowany przez władzę fałszywy alarm czy jakąkolwiek inną prowokację, jeśli w to ostrzeżenie „Solidarność” rzeczywiście uwierzy, wówczas niemal na pewno dojdzie do natychmiastowego ogłoszenia strajku generalnego, a w konsekwencji do zorganizowanego oporu w setkach fabryk, zakładów pracy i uczelni.

Wiedziałem, że w takiej sytuacji akcje sił policyjno-wojskowych nie ograniczyłyby się wyłącznie do blokowania ośrodków strajkowych oraz odcinania im dopływu elektryczności, wody, żywności; że dla złamania masowego oporu i osiągnięcia szybkiego sukcesu musiałyby nastąpić uderzenia sił pancernych, przede wszystkim czołgów; że wreszcie przy ewentualnym powszechnym oporze ludności, sił polskich byłoby za mało i na pewno do akcji wkroczyłyby również, pozostające w strategicznych rezerwach, dywizje radzieckie, a nawet czeskie i niemieckie.

Nie ulega wątpliwości, że przy takim rozwoju wydarzeń wszystko musiałoby się skończyć nieprawdopodobną krwawą masakrą ludności, a zwłaszcza tej jej części, która trwałaby w oporze. Wydaje mi się, że los działaczy „Solidarności” i opozycji wyglądałby dziś zupełnie inaczej, gdyż w wypadku wprowadzenia do działań sił radzieckich nastąpiłaby nie tylko rzeź, ale z całą pewnością także deportacja, taka sama, jaka miała miejsce po stłumieniu powstania węgierskiego.

Stawka była więc zbyt wysoka, aby dać się ponieść emocjom i poczynić jakiegokolwiek nierozważny krok. Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności za tego typu ryzykowne posunięcie. Powiem więcej, gdyby ktokolwiek inny, łącznie z rządem Stanów Zjednoczonych, chciał takie ostrzeżenie przekazać, to mógłby uczynić to tylko wbrew mojej opinii. Na szczęście taka okoliczność w ogóle nie wystąpiła.

Zdawałem sobie sprawę, że powstrzymanie się od takiego ostrzeżenia może się kiedyś w przyszłości spotkać z krytyką. Słyszę ją dziś tu, na obczyźnie, jej odgłosy docierają również z kraju. Krytykę tę przyjmuję w pokorze. Są to nieuniknione, ale przecież osobiste koszty własnych decyzji. Gdyby jednak moje obawy się spełniły, a mam silną wewnętrzną pewność, że tak – koszty poniosłoby społeczeństwo. Dziś – mimo ciężącego na mnie wyroku śmierci – śpię spo-

kojnie. I to nie dlatego, że mam jakąś szczególną osobistą ochronę, ale dlatego, że na moim sumieniu nie ciąży żadne ludzkie życie.

K.: Z tego, co Pan powiedział, wynika, że o Pańskiej decyzji przesądziły motywy oparte na wyborze mniejszego zła. Podobne motywacje przytoczył Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny. Czy nie widział Pan jakichś innych możliwości działań, które nie byłyby wyborem między złem mniejszym, to jest stanem wojennym, i większym, jakim miała być sowiecka inwazja?

R. J. K.: Od początku kryzysu aż do końca października roku 1981, to jest do momentu, kiedy decyzja o użyciu siły przeciwko „Solidarności” stała się nieodwołalna, nie tylko taką możliwość widziałem, ale wydaje mi się, że czyniłem wszystko, co było możliwe, a w wielu przypadkach podejmowałem nawet desperackie próby, aby uniknąć zarówno inwazji, jak i stanu wojennego.

Proszę sobie przypomnieć rok 1980 i 1981. Czy Pan lub ktokolwiek w Europie i świecie, a zwłaszcza w Polsce, usłyszał kiedykolwiek od najwyższych czynników partyjnych i państwowych PRL choćby jedno słowo o zagrożeniu Polski inwazją przez jej najbliższych sąsiadów, mimo że naprawdę byliśmy od tego o krok, i to na samym początku kryzysu?

Czy ktokolwiek słyszał, że Stanisław Kania czy generał Jaruzelski znaleźli w sobie tyle odwagi i siły, aby przeciwstawić się szantażowi Związku Radzieckiego tak, jak w roku 1956 uczynili to Gomułka i Ochab? Niestety nie! Oni jedynie dzielili radzieckie oceny o istnieniu kontrrewolucji w Polsce, dostarczając w ten sposób usprawiedliwienia dla ewentualnej akcji militarnej ZSRR i Układu Warszawskiego.

Głosy przeciwko radzieckiej inwazji Polski oraz w obronie jej prawa do samodzielnego rozwiązywania swych własnych problemów dochodziły nas tylko z Ameryki i Europy Zachodniej. Fakt, że do lata roku 1981 udało się nie tylko uniknąć najgorszego zła, ale nawet doprowadzić do IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii, w dużej, jeśli nie decydującej mierze zawdzięczać trzeba stanowczej postawie rządów, szerokiej opinii publicznej, a nawet partii komunistycznych świata zachodniego.

Byłoby nie na miejscu z mojej strony przypisywanie sobie jakiejś znaczącej roli w alarmowaniu rządu Stanów Zjednoczonych w tym okresie. W każdym razie coś w tym kierunku usiłowalem czynić.

Nie mam również żadnych wyrzutów sumienia, że zlekceważyłem jakąkolwiek szansę obrony „Solidarności” przed uderzeniem jej rodzimych przeciwników. Ci, którzy słuchali uważnie, mogli wychwycić dość wyraźne sygnały o zbliżającym się uderzeniu. Władze miały także świadomość, że ktoś z ich własnego środowiska wysyła sygnały alarmowe. Podam tylko jeden przykład. Otóż 13 września 1981 roku, tuż przed tzw. walką o dostęp „Solidarności” do środków masowego przekazu, na nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju poświęconym sprawom wprowadzenia stanu wojennego generał Kiszczak

ujawnił, że znaczna liczba działaczy „Solidarności” zna w szczególności plany wprowadzenia stanu wojennego, w tym także plan internowania, łącznie z listą osób przewidzianych do internowania oraz kryptonimem tej operacji.

W tamtym czasie ostrzeżenia miały jeszcze jakiś sens. Później, po zapadnięciu ostatecznego wyroku na „Solidarność”, mogły się tylko przeciwko niej obrócić.

K.: Do niedawna Pana nazwisko nie mówiło ludziom spoza grona Pana znajomych i rodziny. Dziś poza samym nazwiskiem jest Pan także postacią nieznaną szerszemu ogółowi. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o sobie? Z jakiego środowiska Pan pochodzi? Co Pana skłoniło do służby zawodowej w Wojsku Ludowym i jaki był przebieg tej służby?

R. J. K.: Urodziłem się w roku 1930 w Warszawie przy ulicy Dzielnej 6 i większą część mego życia spędziłem w tym właśnie mieście: lata dzieciństwa w domu przy ulicy Tłomackie 13, a później przy ulicy Długiej 32/34. Ostatnio mieszkalem na Starówce, przy ulicy Rajców 11. Nauki zacząłem pobierać w szkole nr 22 przy ulicy Elektoralnej 7, a później przy ulicy Miodowej oraz w szkole przyzakonnej przy ulicy Freta. Pochodzę z rodziny, której głównym źródłem utrzymania była praca, i najczęściej była to praca fizyczna. Na początku lat trzydziestych ojciec mój był prostym robotnikiem w fabryce pilników w Pruszkowie, a następnie w Ursusie. Był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Dom rodzinny – podobnie jak wielu moim rówieśnikom – zniszczyła bardzo wcześnie wojna i okupacja. W roku 1943 ojciec mój był aresztowany przez gestapo i torturowany w naszym domu przy ulicy Tłomackie 13 oraz w alei Szucha. Był więźniem Pawiaka. Zginął tuż przed wyzwoleniem w obozie koncentracyjnym Oranienburg-Sachsenhausen.

Po wojnie przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie w wieku lat 15 podjąłem pierwszą pracę zawodową w Urzędzie tego miasta i jednocześnie uczyłem się w gimnazjum wieczorowym dla dorosłych.

Do ludowego WP wstąpiłem w roku 1947. Wierzyłem wtedy, że pomimo wszystko jest to wojsko polskie.

Szkolę oficerską ukończyłem w roku 1950. Pierwsze 10 lat służby spędziłem na przemian w jednostkach liniowych oraz na różnego rodzaju kursach wyższego stopnia.

W roku 1963 ukończyłem studia w Akademii Sztabu Generalnego WP i przeszedłem do służby w Sztabie Generalnym. W tej instytucji zajmowałem się początkowo planowaniem szkolenia operacyjnego oraz opracowywaniem wielkich ćwiczeń wojskowych, które prowadzi minister Obrony Narodowej lub szef Sztabu Generalnego WP.

W roku 1976, po ukończeniu (wspólnie zresztą z obecnym ministrem Spraw Wewnętrznych generałem Kiszczakiem) kursu operacyjno-strategicznego Akademii Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie, objąłem w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego stanowisko szefa Oddziału I Planowania Strategiczno-Ob-

ronnego. Stanowisko to, które w ostatnich latach połączone było z funkcją zastępcy szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP, sprawowałem do ostatniej chwili, tj. do 7 listopada 1981 roku.

K.: Czy mógłby Pan rozwinąć, na czym polegały Pańskie obowiązki jako szefa Oddziału Planowania Strategiczno-Obronnego? Czy może były one związane z jakimiś funkcjami wewnętrznymi Wojska Polskiego, za które był Pan odpowiedzialny?

R. J. K.: Moje obowiązki służbowe nie miały nic wspólnego z jakimikolwiek funkcjami wewnętrznymi armii. Wręcz przeciwnie, były one jednoznacznie ukierunkowane na przygotowywanie kraju i sił zbrojnych do obrony z zewnątrz.

Zakres tych obowiązków był tak bardzo rozciągliwy, że łatwiej byłoby wyliczyć, co do nich nie należało, ale nie o to Pan przecież pytał. Ogólnie mogę powiedzieć, iż odpowiadałem za centralne, kompleksowe planowanie rozwoju sił zbrojnych i obronności państwa, co potocznie można nazwać planowaniem zbrojeń PRL.

Inną ważną dziedziną było prowadzenie właściwie wszystkich spraw związanych z udziałem Polski w Układzie Warszawskim. Z tego tytułu – niejako z urzędu – uczestniczyłem we wszystkich posiedzeniach Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego oraz w większości posiedzeń Rady Wojskowej ZSZ państw Układu Warszawskiego.

W ostatnim okresie wciągnięty zostałem także do tzw. planowania operacyjnego, to jest do planowania działań zbrojnych WP na wypadek wojny pomiędzy NATO i Układem Warszawskim.

K.: Niektóre źródła przekazały, że w pewnym okresie pełnił Pan również stanowisko łącznika między sztabem Jaruzelskiego a Kulikowem, co dawało Panu szeroki wgląd w sowieckie i polskie plany użycia siły przeciwko „Solidarności”.

R. J. K.: Zaszło tu jakieś nieporozumienie. Być może powstało ono z tego, że kiedyś w przeszłości przez bardzo krótki czas rzeczywiście pełniłem funkcję, którą można było rozumieć jako funkcję łącznika pomiędzy radzieckim Naczelnym Dowództwem a Wojskiem Polskim. Było to jednak w zupełnie innym czasie i nieco innych okolicznościach. Otóż w sierpniu roku 1968, w czasie przygotowywania radzieckiej inwazji Czechosłowacji, skierowany zostałem do pracy w Legnicy na stanowisku dowodzenia Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego marszałka Iwana Jakubowskiego. Uczestnicząc tam z ramienia Sztabu Generalnego WP w planowaniu działań polskich sił inwazyjnych, spełniałem równocześnie funkcję tzw. oficera kierunkowego do polskiej armii wydzielonej przez Śląski Okręg Wojskowy i dowodzonej przez gen. Floriana Siwickiego.

Później, w tym także w czasie kryzysu roku 1980/1981, łącznikiem – w takim znaczeniu, jak Pan to ujął w swym pytaniu – nie byłem.

Wgląd w plany użycia radzieckich i polskich sił przeciwko „Solidarności” dawała mi moja, do pewnego stopnia szczególna, pozycja służbowa w Sztabie Generalnym, która w czasie kryzysu przekształcona została w swego rodzaju jednoosobowy roboczy sekretariat kierownictwa MON do spraw przygotowań stanu wojennego.

K.: Z Pana życiorysu wynika, że w swojej karierze wojskowej zaszedł Pan bardzo wysoko, że działał Pan w samym centrum ośrodka dyspozycyjnego, i to nie tylko sił zbrojnych PRL, ale także Układu Warszawskiego. Od bardzo młodych lat był Pan wychowywany w wojskowej dyscyplinie oraz bezwzględny podporządkowaniu się rozkazom. Chcielibyśmy jednak dowiedzieć się, co zdecydowało, że postanowił Pan wyłamać się z tej dyscypliny oraz zaangażować się po stronie „Solidarności”. Co Pana skłoniło, by wziąć śmiertelne ryzyko na siebie, a także na swoich najbliższych? Czy było to jakieś wydarzenie, jakiś rozkaz?

R. J. K.: Przede wszystkim nie mogę zgodzić się z tezą, że byłem jakimś szczególnym wyjątkiem. Ludzi, którzy w różny zaangażowany sposób przeciwstawiali się panującemu systemowi, było w Polsce wielu. Po każdym kryzysie ich liczba wzrastała niemal w postępie geometrycznym i wszyscy oni w mniejszym czy większym stopniu byli narażeni na represje. Ludzi takich nie brakowało również w Siłach Zbrojnych PRL i może mi Pan wierzyć lub nie, ale w swych usiłowaniach naprawdę nie czułem się osamotniony.

Pytał Pan, czy było jakieś wydarzenie, jakiś rozkaz? Nie ulega wątpliwości, że wydarzeniem tym był Polski Sierpień oraz rozkazy, jakie prawie od samego początku wybuchu strajków na Wybrzeżu przyszło mi wykonywać, a które uznawałem za sprzeczne z interesem kraju i narodu, któremu służyłem. O dokonaniu ostatecznego wyboru przesądziły chyba jednak moje wcześniejsze doświadczenia.

O jednym z nich, które miało miejsce w sierpniu roku 1968, a więc niemal dokładnie 12 lat przed Polskim Sierpniem, już wspominałem, odpowiadając na Pańskie pytanie dotyczące mojej służby wojskowej. Rządowe środki masowego przekazu informowały wówczas społeczeństwo o knowaniach imperializmu w Czechosłowacji oraz próbach wydarcia tego kraju ze wspólnoty państw socjalistycznych. Były także wzmianki o odbywanych zgodnie z planem ćwiczeniach wojskowych Układu Warszawskiego, ale nie nadawano im szczególnego rozgłosu. Ćwiczenia te były już w pełnym toku, kiedy otrzymałem całkiem niewinny rozkaz, abym udał się natychmiast na rozwinięte przez Naczelnego Dowódcę ZSZ państw UW marszałka ZSRR Iwana Jakubowskiego stanowisko kierowania ćwiczeniami w Legnicy, gdzie miałem uczestniczyć w planowaniu ćwiczebnych operacji jednostek Wojska Polskiego.

Kiedy meldowałem się w sztabie marszałka Jakubowskiego, zastałem tam już przedstawicieli wszystkich armii Układu Warszawskiego z wyjątkiem Czechów i Rumunów. Atmosfera była raczej spokojna. Nikt nie wymawiał słów „inwazja”, „zbrojna interwencja” czy też „agresja”. Takie terminy były właściwe dla charakteryzowania działań zachodniego imperializmu. My zajmowaliśmy się tylko ćwiczeniami. W ćwiczeniach tych było jednak coś niezwykłego, czego nigdy w przeszłości nie spotkałem. Otóż te fazy ćwiczeń, które myśmy planowali, a którym nadano kryptonim „Dunaj”, miały być prowadzone na terenie Czechosłowacji, ale bez udziału strony czechosłowackiej. Również ćwiczebne działania miały być wprawdzie prowadzone w obronie socjalistycznej Czechosłowacji, ale tym razem nie przeciwko żadnym agresywnym siłom NATO, do czego powołany był rzekomo Układ Warszawski, lecz – o dziwo – przeciwko Czechosłowackiej Armii Ludowej, która przecież wchodziła w skład Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, a którą od tej pory zaczęto oznaczać na mapach sztabowych kolorem niebieskim, to jest kolorem zastrzeżonym wyłącznie dla przeciwnika. Jednym słowem nie było większych wątpliwości, o co chodzi, tylko nie wolno było tego nazywać po imieniu.

Kiedy plany błyskawicznego osaczenia garnizonów Czechosłowackiej Armii Ludowej i ich zneutralizowania w drodze perswazji były już gotowe, a wojska inwazyjne czekały tylko na sygnał do przekroczenia granic naszego południowego sąsiada, podjąłem próbę zorientowania się, co na ten temat mówi świat. Uważałem, że koncentracja tak dużych sił wojskowych wokół granic Czechosłowacji nie mogła ująć uwadze opinii światowej. Uważałem, że rozpoznanie zamiarów radzieckich było tym łatwiejsze, że w końcowej fazie przygotowań do inwazji na rozkaz marszałka Jakubowskiego rozpoczęto tak zwane ćwiczenia EFIR, które polegały na uruchomieniu pracy dużej liczby środków radiowych, aby wykazać stronie czechosłowackiej koncentrację dużych sił Układu Warszawskiego, wobec których wszelki opór jest bezcelowy. Ta demonstracja siły w eterze nie mogła ująć uwadze Zachodu. Będąc o tym przekonany, zacząłem słuchać zachodnich dzienników, tak tylko, aby potwierdzić sobie przyjęte z góry założenia, że świat wie o zbliżającej się inwazji, że świat stanowczo się temu przeciwstawia i protestuje, że wreszcie może uda się uniknąć najgorszego.

Byłem głęboko zawiedziony i bezradny zarazem. Ten świat, na który tak bardzo liczyłem, zajęty był wojną w Wietnamie oraz przetaczającymi się w tym czasie przez całą niemal Europę, a także Stany Zjednoczone masowymi protestami przeciwko tej wojnie. Były także wzmianki o Czechosłowacji, ale raczej sielankowe. Przeciwko potencjalnej inwazji Czechosłowacji nikt nie protestował. Na ten temat zarówno wschodnie, jak i zachodnie środki masowego przekazu zachowywały całkowite milczenie.

Nie chcąc uczestniczyć w najeździe Czechosłowacji, zadzwoniłem do Warszawy i pod jakimś pretekstem poprosiłem przełożonego o odwołanie mnie z Legnicy. Życzenie zostało spełnione natychmiast. Moje stanowisko objął płk

Stanisław Radaj. Ja wróciłem do Warszawy z niewielką nadzieją, że może uda mi się zaalarmować świat. Niestety, w mojej sytuacji nie było to ani proste, ani łatwe.

W niecały tydzień później, 20 sierpnia 1968 roku w nocy, radzieccy spadochroniarze lądowali już na lotnisku w Pradze, a jednostki Wojska Polskiego pod dowództwem ówczesnego szefa sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego gen. dyw. Floriana Siwickiego razem z innymi armiami Układu Warszawskiego przekraczały granicę Czechosłowacji.

Od uczestnictwa w inwazji nie udało mi się uciec. W momencie jej rozpoczęcia powołany zostałem do utworzonego w Sztabie Generalnym WP w Warszawie specjalnego Centrum Dowodzenia Armią Polską w Czechosłowacji. Później tego nie żałowałem. Utrzymując bezpośrednią łączność z operującymi wojskami, słuchając na gorąco meldunków ich dowódców, przygotowując specjalne raporty na ten temat dla ówczesnego ministra Obrony Narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz Władysława Gomułki, miałem jedyną w swoim rodzaju szansę zgłębienia tego rozdziału naszej powojennej historii.

Po zakończeniu inwazji w Siłach Zbrojnych PRL podjęto próby jej podsumowania oraz wyciągnięcia wniosków na przyszłość.

W nurcie oficjalnym – z inicjatywy ministra Obrony Narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz pod jego auspicjami – w Sztabie Generalnym WP odbyło się sympozjum naukowe poświęcone operacji „Dunaj”. Była to wielka galówka z udziałem niemal całego kierownictwa MON, dowódców wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych i Okręgów Wojskowych, polskich uczestników inwazji, no i oczywiście jej głównych autorów – przedstawicieli radzieckiego Naczelnego Dowództwa. Uczestnicy sympozjum prześcigali się w wychwalaniu działań jednostek polskich. Nie osaczyły one wprawdzie garnizonów czeskich tak szybko, jak uczyniły to najlepsze w świecie jednostki radzieckie, ale skompensowały to później wyjątkowo skuteczną perswazją czechosłowackim dowódcą, aby poparli zmiany na najwyższym szczeblu swej partii i państwa. Za wyjątkowe osiągnięcie uznany został fakt, iż pomimo wrogiej postawy ludności czeskiej, która przed czołgami i pojazdami pancernymi tworzyła żywe barykady, w zasadzie udało się uniknąć większych strat ludzkich i materialnych, że pod polskim czołgiem zginęło tylko jedno dziecko, i to tylko przez przypadek. W sumie operację „Dunaj” sympozjum uznało za wielki wojskowy i polityczny sukces wspólnoty państw socjalistycznych, do czego znaczący wkład wniosło ludowe Wojsko Polskie.

W nurcie nieoficjalnym, a więc w toczących się przez długi czas w Siłach Zbrojnych PRL dyskusjach półśłużbowych, koleżeńskich i środowiskowych, oceny operacji „Dunaj” były mniej entuzjastyczne, a wnioski diametralnie różne. Udział jednostek Wojska Polskiego w inwazji Czechosłowacji uznano niemal powszechnie za niewybaczalny błąd ówczesnego politycznego i wojskowego kierownictwa PRL, za co trzeba będzie płacić wysoką cenę, gdy Polacy upomną się o swe niezbywalne prawo do życia w godności, do przemian demokratycznych i społecznych, których ZSRR nie zechce zaakceptować.

polskich i że pod groźbą użycia siły nie będą rozmawiali. Społeczeństwo to zrozumiało i po raz pierwszy po wojnie stanęło murem za nowym przywództwem partii i jego bardzo mglistym w końcu przyrzeczeniem polskiej drogi do socjalizmu.

W październiku roku 1956 w obliczu radzieckich gróźb i ataków na nowe kierownictwo PZPR fala rewolucyjna zatrzymała się i doszło do jakiegoś niepisanego kompromisu społecznego, który później Gomułka zdradził. Ale to już inna rzecz.

Historia nigdy się nie powtarza, ale mechanizmy jej napędzania są zwykle te same.

Gdyby duet kierowniczy Kania-Jaruzelski od początku powiedział Rosjanom „nie”, wtedy pod naciskiem jawnych ataków i gróźb Moskwy „Solidarność” musiałaby zmienić front walki i stanąć w pierwszym rzędzie w obronie suwerenności i integralności kraju. Jestem pewien, że byłaby bardziej skłonna do kompromisu, a Związek Radziecki cofnąłby się, gdyby kierownictwo partyjno-wojskowe i ludność utworzyły wspólny front.

Nawet Stalin nie zaatakował zbrojnie Jugosławii. To samo dotyczyło Albanii, a w ostatnich latach Rumunii, gdy Ceaușescu wypowiedział Moskwie posłuszeństwo i odrzucił możliwość podporządkowania Związkowi Radzieckiemu swych sił zbrojnych.

Obserwując radzieckie posunięcia militarne z bliska, a nawet stykając się z nimi bezpośrednio, nigdy nie miałem żadnych wątpliwości, że Związek Radziecki mógł sobie pozwolić i był gotów do akcji militarnej w stylu inwazji Czechosłowacji (w zasadzie bez strat ludzkich i materialnych), natomiast z całą pewnością Moskwa nie chciała lub nie mogła sobie pozwolić na wojnę z Polską, gdzie po przeciwnej stronie stałoby dowództwo, armia i ludność. Nawet gdyby to miała być wojna bardzo krótka, Związek Radziecki musiałby za nią zapłacić zbyt wiele.

Pomijając koszty moralne i polityczne, jakie Moskwa musiałaby ponieść w sferze stosunków międzynarodowych, wydaje mi się, że miała ona poważne powody do oceny, iż w Polsce nie poszłoby tak łatwo. Tylko dla zmiążdżenia ewentualnego oporu ludowego Wojska Polskiego Rosjanie musieliby zaangażować większość swych sił zbrojnych z europejskiej części Związku Radzieckiego, a nawet rzucić do akcji część wojsk z Czechosłowacji i NRD.

Rosjanie wiedzieli dobrze, że opluwanie czołgów, z czym spotkali się w zaskoczonych inwazją Czechosłowacji, nie jest w stylu i charakterze Polaków. Zdawali sobie także sprawę z tego, iż społeczeństwo polskie było bogatsze o doświadczenia czeskie oraz własne z roku 1956 i 1970 i ludność nie tylko nie lękała się czołgów, ale nauczyła się je skutecznie palić i niszczyć w przypadkach, gdy były one przeciwko niej kierowane. Orientowali się także, jak od początku kryzysu Polacy reagują na pojawianie się w różnych częściach kraju nowych, choćby niewielkich, pododdziałów czy instalacji radzieckich i chyba słusznie oceniali, że nie jest to tylko zabawa w tropy. W tym czasie jeden z pomocników

stałego Przedstawiciela Naczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych przy WP, z którym utrzymywałem robocze kontakty, żalił się do mnie, że Polacy już oficjalnie mówią, że „czołgi radzieckie palą się lepiej od polskich”.

Tak więc gdyby ZSRR napotkał na otwarty opór kierownictwa PRL, wsparty przez społeczeństwo, oraz choćby symboliczne gesty obronne (na przykład: rozwinięcie wojsk wokół stolicy kraju), doszłoby zapewne do wojny nerwów, ale jeśli strona polska tę wojnę nerwów wytrzymała, Moskwa prawdopodobnie musiałaby się w końcu cofnąć.

Zupełnie inna sytuacja powstała z chwilą, gdy w wewnętrznym konflikcie Polaków partyjno-wojskowe kierownictwo PRL, to jest Kania i Jaruzelski, stanęli po stronie ZSRR, zgodzili się w zasadzie z Rosjanami, że mają do czynienia z kontrrewolucją i obiecywali im, że rozprawią się z „Solidarnością” środkami polityczno-administracyjnymi we własnym zakresie, prosząc jedynie, aby im dać czas.

Wobec takiego stanowiska przywódców PRL Moskwa nie miała do czynienia ze zorganizowaną siłą suwerennego państwa gotową do stawiania oporu, ale wyłącznie z bezbronnym społeczeństwem.

K.: Dlaczego wobec tego ZSRR dwukrotnie, pierwszy raz w grudniu 1980 roku i na wiosnę roku 1981, był gotowy i bliski wkroczenia do Polski? Czy było to potrzebne, skoro niemal od początku miał on zapewnienia i zobowiązania kierownictwa PRL, że rozprawi się ono z „Solidarnością” we własnym zakresie środkami politycznymi i administracyjnymi?

R. J. K.: Rosjanie chcieli pchnąć do Polski Armię Czerwoną, ponieważ – jak dobrze pamiętamy – podejmowane przez partię i Rząd PRL środki polityczne, polegające na sabotowaniu zawartych na początku września roku 1980 umów społecznych czy wręcz wycofywaniu się z nich, podsycaly jedynie wrzenie społeczne oraz doprowadzały do eskalacji żądań, przed którymi z kolei władza krajowa, chcąc nie chcąc, aby tylko przetrwać – musiała ustępować.

Była to polityka samobójcza, bo antagonizowała równocześnie szerokie masy w Polsce oraz kierownictwo radzieckie. Moskwa podejrzewała, że Kania i Jaruzelski grają na zwłokę, że prowadzą jakąś podwójną grę.

K.: Proponuję, abyśmy teraz spróbowali odtworzyć przebieg wydarzeń w porządku chronologicznym. Co wystąpiło jako pierwsze: groźba inwazji czy stan wojenny?

R. J. K.: Niestety stan wojenny.

K.: Kiedy po raz pierwszy wypłynął ten pomysł i kto go wysunął?

R. J. K.: Z pisemnej informacji dla kierownictwa radzieckiego, którą na polecenie i według wytycznych gen. Jaruzelskiego przygotowywałem osobiście przy

współpracy MSW, wynika, że idea wprowadzenia w Polsce stanu wojennego zrodziła się już w szczytowym okresie sierpniowych strajków okupacyjnych roku 1980, to jest prawie 16 miesięcy przed jej wprowadzeniem w życie przez generała Jaruzelskiego.

Jej kolektywnym autorem był wyłoniony 24 sierpnia 1980 roku (tuż po zakończeniu IV Plenum KC PZPR, które, jak wiadomo, wypowiedziało się za rokowaniami ze strajkującymi robotnikami) tzw. partyjno-rządowy Sztab Kierowniczy pod przewodnictwem, wówczas nowo powołanego, premiera Rządu PRL Józefa Pinkowskiego. W skład tego sztabu weszli sekretarze KC PZPR Kazimierz Barcikowski i Stefan Olszowski, wicepremier Mieczysław Jagielski i prawdopodobnie Tadeusz Grabski oraz z całą pewnością ministrowie kluczowych resortów: obrony narodowej Wojciech Jaruzelski i spraw wewnętrznych Mirosław Milewski.

Otóż w celu wymanewrowania zbuntowanego społeczeństwa Sztab Kierowniczy zgodził się taktycznie na podpisanie mało precyzyjnej umowy społecznej, aby po wygaszeniu pożaru strajkowego, który ogarnął niemal całą Polskę, w korzystniejszych warunkach przejść do kontrofensywy środkami administracyjnymi, z wprowadzeniem stanu wojennego – jako środkiem ostatecznym – włącznie.

Ponieważ już pierwsze – podjęte we wrześniu roku 1980 – próby wymanewrowania społeczeństwa z użyciem różnych środków administracyjnych przynosiły wręcz odwrotny skutek, Sztab Kierowniczy podjął ogólną decyzję o rozpoczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego.

W wojsku polskim przygotowania te rozpoczęły się 22 października 1980 roku, to jest na dwa dni przed rozprawą rejestracyjną „Solidarności” w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie.

W dniu tym – na polecenie ówczesnego ministra obrony narodowej generała armii Wojciecha Jaruzelskiego – Sztab Generalny WP rozpoczął w trybie pilnym opracowywanie planu wprowadzenia na terytorium PRL stanu wojennego.

Ogólne kierownictwo nad planowaniem od początku do końca sprawował Szef Sztabu Generalnego WP generał broni Florian Siwicki. We wstępnej fazie planowania w Sztabie Generalnym WP uczestniczyli wyłącznie zastępcy Szefa Sztabu, to jest: generał dyw. Tadeusz Hupałowski, generał dyw. Jerzy Skalski, generał dyw. Antoni Jasiński, generał bryg. Mieczysław Dachowski oraz ja sam, pułkownik Ryszard Kukliński.

Później do tego zespołu włączeni zostali dodatkowo – z Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP: generał bryg. Wacław Szklarski, pułkownik dypl. Czesław Witt, pułkownik dypl. Franciszek Puchała oraz z Zarządu X Sztabu Generalnego WP pułkownik Stefan Marciniak.

Ze sztabem generalnym WP współpracowały: Sekretariat KOK, który przygotowywał wszystkie akty prawne stanu wojennego; Ministerstwo Spraw Wew-

nętrnych z wiadomymi zadaniami oraz Wydział Propagandy KC PZPR wspólnie z Głównym Zarządem Politycznym WP.

Wstępna (właściwie studyjna) wersja planów, łącznie z projektami niektórych aktów prawnych stanu wojennego, gotowa była już w listopadzie 1980 roku i jeszcze w tym samym miesiącu została przedstawiona do rozpatrzenia przez Komitet Obrony Kraju, któremu przewodniczył ówczesny premier Pinkowski.

Prezentacja planów miała charakter ogólny bez wdawania się w szczegóły, gdyż w ocenie kierownictwa wojskowego część członków Komitetu Obrony Kraju należała do grupy tak zwanych „Smoncesow”, czyli ludzi niepewnych, zdradzających pewne skłonności do przemodelowania systemu politycznego PRL, którzy w tym organie władzy zasiadali tylko czasowo. Niemniej jednak przedstawiona na listopadowym posiedzeniu KOK przez MON i MSW koncepcja stanu wojennego w swych celach i generalnych założeniach niewiele odstawała od tej, którą zrealizowano w grudniu roku następnego.

Ministerstwo Obrony Narodowej postulowało: zawieszenie praw obywatelskich, ustanowienie nadzwyczajnych uprawnień władzy i administracji państwowej oraz wydanie specjalnego dekretu o stosunkach pracy. Wojsko zażądało również zastosowania postanowień o powszechnym obowiązku obrony umożliwiających:

- przeprowadzenie częściowej mobilizacji, która mogłaby sięgać powołania około 250 tys. rezerwistów,
- zamianę z mocy prawa zasadniczej służby wojskowej, przeszkolenia studentów i absolwentów szkół wyższych na czynną służbę wojskową,
- przeprowadzenie szerokiej militaryzacji jednostek gospodarki narodowej,
- powołanie do jednego miliona osób do służby w Obronie Cywilnej.

Po doświadczeniach grudnia 1970 roku Sztab Generalny WP chciał ograniczyć funkcje wojska w okresie stanu wojennego do terroryzowania społeczeństwa w dużych aglomeracjach miejsko-przemysłowych, co dyplomatycznie nazywano „utrzymywaniem ładu i porządku wewnętrznego w miastach”. Nie widział natomiast dla wojska żadnych zadań w bezpośredniej konfrontacji ze strajkującymi robotnikami. Sztab Generalny WP stał na stanowisku, że funkcja ta powinna przypaść siłom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W celu odciążenia tych sił oraz udzielenia im pomocy wojsko zadeklarowało przyjęcie w ochronę obiektów specjalnych oraz przekazanie MSW ciężkiego uzbrojenia i sprzętu (broni, amunicji, transporterów opancerzonych, śmigłowców itp.).

Minister spraw wewnętrznych Mirosław Milewski nie bawił się w owijanie zamiarów jego resortu w gładką terminologię typu ograniczenie praw obywatelskich, stwierdzając bardzo konkretnie, że konieczne jest:

- zdelegalizowanie działalności NSZZ „Solidarność”,
- przeprowadzenie szerokiej akcji internowania działaczy opozycji i „Solidarności”,
- wydanie zakazu swobodnego poruszania się obywateli oraz ustanowienie godziny policyjnej,

– zawieszenie takich praw obywatelskich, jak nietykalność osobista, nienaruszalność mieszkań i tajemnicy korespondencji, prawa zrzeszania się, wolności słowa, druków, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji,

– ustanowienie sądów specjalnych do karania winnych naruszenia praw stanu wojennego.

Przy rozważaniu metod działania minister Milewski chciał liczyć na większe, niż to przewidywał Sztab Generalny WP, zaangażowanie wojska w ewentualnych bezpośrednich starciach ze społeczeństwem.

W sumie pierwsza wizja czy też przymiarka do wprowadzenia stanu wojennego – od strony postulatów i życzeń, co należałoby zawiesić, zakazać, nakazać, zmilitaryzować, zdelegalizować, gdzie posłać wojsko, a gdzie siły bezpieczeństwa, kogo ochraniać, a kogo internować – nie była daleka od koncepcji finalnej, która została zrealizowana w 13 miesięcy później.

Od strony możliwości realizacji postulowanych zamierzeń stanu wojennego przymiarka ta wypadła jak najgorzej. Z tego, co wiem o tym posiedzeniu, w listopadzie roku 1980 nikt z członków Komitetu Obrony Kraju, na czele z Mirosławem Milewskim, nie widział możliwości wprowadzenia tych koncepcji w życie.

Oceniając słusznie, że wprowadzenie stanu wojennego w ówczesnej sytuacji kraju mogłoby być początkiem prawdziwego końca władzy i musiałoby się skończyć interwencją zbrojną Związku Radzieckiego, Komitet Obrony Kraju przyjął jedynie do wiadomości przedstawione przez MON i MSW koncepcje oraz polecił kontynuowanie przygotowań w tym kierunku. Na wniosek MON Komitet Obrony Kraju wyraził zgodę, aby przygotowaniami do wprowadzenia stanu wojennego objąć również kluczowe resorty cywilne, głównie: łączności, energetyki, komunikacji oraz handlu wewnętrznego i usług.

Mówiąc o listopadowych decyzjach KOK w sprawie stanu wojennego, nie sposób pominąć pozytywnej roli, jaką odgrywał w owych dniach i później jeszcze ówczesny I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Formalnie rzecz biorąc, Stanisław Kania nie był członkiem KOK, ale nie muszę chyba wyjaśniać, że jego opinie miały dla tego organu, zwłaszcza dla premiera rządu, który był przewodniczącym KOK-u, moc wiążącą. Otóż Stanisław Kania – mimo składanych radzieckiemu kierownictwu przyrzeczeń użycia siły dla obrony specyficznie przez nich pojmowanego socjalizmu – w praktyce do końca był zwolennikiem rozprawy się z „Solidarnością” wyłącznie środkami politycznymi. Nie ulega więc wątpliwości, że ta postawa Stanisława Kania, popieranego do pewnego momentu przez generała Jaruzelskiego, ostudziła zapędy zwolenników konfrontacji i wpłynęła na podjęte w tym czasie decyzje.

K.: Czyli że plany wprowadzenia stanu wojennego zostały na razie zawieszone na kółku. Czy to właśnie doprowadziło do groźby radzieckiej inwazji na początku grudnia 1980 roku?

R. J. K.: Mówiąc najprościej, tak. W ocenie kierownictwa radzieckiego zwłoka we wprowadzeniu stanu wojennego nie tylko umożliwiała organizacyjne umocnienie się „Solidarności”, czemu ZSRR sprzeciwiał się od samego początku, ale również otwierała drogę do formowania w PRL nowych niezależnych struktur społecznych. Jak wiadomo, 13 listopada 1980 roku sędzia Kościelniak odrzucił wniosek o rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów, ale już w niecałe dwa tygodnie później, po strajku na Uniwersytecie Warszawskim, minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki zobowiązał się zarejestrować to zrzeszenie do 20 grudnia tegoż roku. Jeszcze większe sprzeciwy Związku Radzieckiego wywoływała sprawa rejestracji „Solidarności Wiejskiej”. W końcu listopada nie była ona jeszcze zalegalizowana – ale jak pamiętamy – jej odwołanie do Sądu Najwyższego miało być przez ten sąd rozpatrzone w końcu grudnia.

Wszystko to w połączeniu z dość miękką postawą rządu Józefa Pinkowskiego w konfrontacji z „Solidarnością” na tle praworządności (pamiętamy aferę z tzw. Uwagami Prokuratora Generalnego PRL Czubińskiego oraz aresztowanie, a następnie zwolnienie Jana Narożniaka i Piotra Sapełło), wszystko to umocniło Rosjan w podejrzeniach, że kierownictwo PZPR, przede wszystkim Kania, gra na zwłokę, a może nawet prowadzi podwójną grę.

Na tym tle w końcu listopada 1980 roku kierownictwo radzieckie przy czynnym udziale swej ambasady w Warszawie oraz Naczelnego Dowódcy ZSZ Układu Warszawskiego marszałka Wiktora Kulikowa i jego przedstawiciela przy WP gen. armii Afanasje Szczegłowa zaczęło zakulisowo montować nową ekipę przywódczą PRL.

Przejęcie władzy przez zwolenników twardego kursu, którzy już wówczas gotowi byli rozprawić się z „Solidarnością”, miało być poprzedzone wprowadzeniem do Polski dużych sił wojskowych Związku Radzieckiego oraz innych państw Układu Warszawskiego. Rozmowy w tej sprawie, jak również w sprawie ewentualnej neutralizacji Wojska Polskiego, które było uważane za zdemoralizowane, Rosjanie prowadzili z gen. broni Wojciechem Jaruzelskim. Treść tych dramatycznych rozmów nie jest mi znana. Zrelacjonować może je jedynie gen. Jaruzelski i powinien to uczynić. Ja znam wyłącznie ich rezultaty. Tuż po zakończeniu rozmów, na osobiste polecenie doszczętnie zmaltretowanego gen. Jaruzelskiego, 1 grudnia 1980 roku pierwszy zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP gen. dyw. Tadeusz Hupałowski wraz z płk. dypl. Franciszkiem Puchałą udali się specjalnym samolotem do Moskwy w celu zapoznania się ze szczegółami radzieckich planów wprowadzenia do Polski wojskowych sił interwencyjnych.

Z przekazanych im jeszcze w tym samym dniu, to jest 1 grudnia 1980 roku, w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie informacji oraz skopowania z radzieckich map na zarejestrowane kalki techniczne gotowych planów inwazji wynikało, iż pod pozorem ćwiczeń „Sojuz 8” do Polski miały być skierowane trzy radzieckie armie w składzie piętnastu dywizji, jedna armia czecho-

słowacka w składzie dwóch dywizji oraz sztab jednej armii i jedna dywizja Narodowej Armii Ludowej NRD. W sumie w operacjach militarnych na terytorium PRL miało uczestniczyć osiemnaście dywizji radzieckich, czechosłowackich i niemieckich. Gotowość do przekroczenia przez siły inwazyjne granic PRL wyznaczona została na 8 grudnia 1980 roku. Zgodnie z założeniami planów siły radzieckie miały operować w centralnej i wschodniej części Polski, natomiast Czesi i Niemcy na zachodzie kraju. Działania sił inwazyjnych miały być połączone ze ścisłą blokadą morską PRL przez siły Floty Bałtyckiej Związku Radzieckiego oraz Ludowej Marynarki Wojennej NRD. W początkowej fazie interwencji jednostki Wojska Polskiego (podobnie jak to było w Czechosłowacji) miały pozostać w miejscach stałej dyslokacji. Dopiero po dramatycznych targach gen. Jaruzelskiego Rosjanie zgodzili się, aby nieliczne jednostki polskie mogły uczestniczyć w wykonywaniu drugorzędnych zadań. W ten sposób do armii czechosłowackiej miały być włączone: 5. i 11. Dywizja Pancerna, a do armii niemieckiej 4. i 12. Dywizja Zmechanizowana.

K.: To, o czym Pan w tej chwili mówi, nawet dziś, po sześciu latach, wywiera przynębiające wrażenie. A jakie wrażenie te przygotowania i plany radzieckie wywarły wtedy na Polakach w sztabie Jaruzelskiego?

R. J. K.: Bezwzględność i nieustępliwość Rosjan, którzy w rozmowach z generałem Jaruzelskim nie chcieli w ogóle dyskutować sprawy ewentualnego wyłączenia z sił interwencyjnych Narodowej Armii Ludowej NRD, a nawet kwestionowali jakąkolwiek możliwość udziału Wojska Polskiego w akcjach militarnych, obezwładniła zupełnie ówczesne ścisłe kierownictwo MON. Generał Jaruzelski był w stanie szoku, zamknął się w swym gabinecie i był zupełnie niedostępny nawet dla najbliższego otoczenia. W niewiele lepszym stanie był generał Siwicki oraz generał Hupałowski, któremu w udziale przypadła misja przywiezienia z Moskwy planów inwazji. Otóż ten paraliż trwał przez cały dzień 30 listopada i 1 grudnia. Wszyscy czekali na jakiś cud. Cudu jednak nie było. Przywiezione z Moskwy przez generała Hupałowskiego i pułkownika Puchałę kaski techniczne z planami inwazji potwierdzały w zasadzie wszystko, o czym w ogólnym zarysie wiedziano już wcześniej z tego, co Rosjanie przedstawili generałowi Jaruzelskiemu.

Szczegółowa analiza radzieckich planów, jaką przeprowadzono w Sztabie Generalnym WP po przywiezieniu ich do Warszawy, doprowadziła ścisłe kierownictwo tej instytucji do wniosków, że Rosjanie absolutnie nie rozumieją sytuacji w Polsce, nie znają rzeczywistych nastrojów społeczeństwa i nie doceniają siły „Solidarności”, że inwazja – zamiast uspokojenia – może spowodować jeszcze większe wrzenie społeczne, a niewykluczone że nawet wybuch ogólnonarodowego powstania.

Na tym tle 12 grudnia szef Sztabu Generalnego WP generał Florian Siwicki podjął nową próbę skłonienia generała Jaruzelskiego do ponowienia rozmów

z Rosjanami i zastopowania tego najgorszego wariantu rozwoju wydarzeń. Działając pod wpływem swych zastępców, generał Siwicki sugerował przedstawienie Rosjanom różnych innych opcji, a zwłaszcza wariantu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego bez czekania, aż wystąpią sprzyjające ku temu warunki. Generał Jaruzelski znajdował się jednak nadal w takim stanie kompletnej apatii, że nie dopuszczał nawet do dyskusji.

Nowy element w sytuacji wystąpił dopiero w dzień później, kiedy do tych spraw włączył się gen. broni Eugeniusz Molczyk. Otóż gen. Molczyk, który od 1 do 3 grudnia przebywał na posiedzeniu Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego w Bukareszcie, po powrocie do kraju i zapoznaniu się w Sztabie Generalnym WP z przywiezionymi z Moskwy planami, podjął kolejną próbę skłonienia gen. Jaruzelskiego do interwencji w Moskwie i przedstawienia im konkretnego planu bezwzględnego rozgromienia „Solidarności” i opozycji wyłącznie własnymi siłami. W rozmowie z gen. Jaruzelskim miał on podobno powiedzieć, że „Historia nigdy nam tego nie wybaczy, jeśli oni nas wyręcą”.

Aby zrozumieć wymowę tego wezwania, konieczne jest wyjaśnienie, że gen. Molczyk, który był wiceministrem Obrony Narodowej i Głównym Inspektorem Szkolenia MON, a na czas wojny przewidziany był jako dowódca Frontu Polskiego, uchodził za swego rodzaju lidera wojskowych twardogłowych, którzy ściśle współpracowali z Moskwą. Jego głos nie brzmiał szczerze, gdyż w swej istocie wzywał do źle skalkulowanego rozpoczęcia akcji, którą z całą pewnością musieliby zakończyć Rosjanie. Niemniej jednak głos ten potraktowany został jako sygnał pewnych wahań Moskwy, co mogło być wykorzystane do ponowienia oferty przygotowania i wykonania w niedługim czasie własnego uderzenia przeciwko „kontrewolucji”.

To prawdopodobnie przeważało, że gen. Jaruzelski wyraził ostatecznie zaowalowaną aprobatę dla przygotowania w trybie pilnym alternatywnego planu użycia wyłącznie własnych Sił Zbrojnych do zapewnienia „spokoju wewnętrznego”, który mógłby być przedstawiony stronie radzieckiej w czasie zwołanego na 5 grudnia szczytu państw Układu Warszawskiego w Moskwie.

Z materiałów, jakie zostały przygotowane dla delegacji polskiej na jej wyjazd do Moskwy, wynikało, że w tym czasie kiedy I Sekretarz KG PZPR Stanisław Kania oraz premier Pinkowski gęsto się tłumaczyli wobec Moskwy za tolerowanie w Polsce kontrewolucji, minister Obrony Narodowej gen. armii Wojciech Jaruzelski mógł się skupić na problemach gotowości sił zbrojnych PRL do „obrony socjalizmu w Polsce” oraz na przedstawieniu stronie radzieckiej koncepcji zlikwidowania „Solidarności” i opozycji własnymi siłami, gdy tylko wystąpią pierwsze oznaki zmęczenia i wyczerpania społeczeństwa.

Mogę do tego dodać, że chociaż wszyscy ci, którym znane były plany wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Polski, byli załamani i przynębieni, to jednak nikt nie wysunął myśli, że można podjąć choćby najmniejsze gesty samo-

obrony, tak jak to było w roku 1956, nie mówiąc już o jakimś zbrojnym przeciwstawieniu się akcji państw Układu Warszawskiego. Były natomiast głosy, że sama obecność na terytorium PRL tak dużych sił wojskowych może doprowadzić do uspokojenia społeczeństwa.

K.: Co według Pana wpłynęło na radziecką decyzję poniechania na razie bardzo już zaawansowanych planów inwazyjnych? Czy nacisk z Zachodu, czy oferta gen. Jaruzelskiego, że w końcu załatwi tę sprawę bez inwazji?

R. J. K.: I jedno, i drugie. Jak dobrze pamiętamy, przygotowania do inwazji Polski nie uszły uwadze świata zachodniego, jak to było w przypadku Czechosłowacji. Związek Radziecki nie tylko pozbawiony był ważnego w takich przypadkach czynnika zaskoczenia, ale wskutek uprzedzających reakcji rządów zachodnich, a nawet państw Trzeciego Świata, musiał sobie coraz bardziej zdawać sprawę, że interwencja doprowadziłaby do przerwania politycznego odprężenia w Europie, naruszyłaby ekonomiczną współpracę pomiędzy Wschodem i Zachodem, sprowokowałaby zwiększenie budżetów NATO, a według wszelkiego prawdopodobieństwa przyspieszyłaby nawet otwartą wojskową współpracę pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Chińską Republiką Ludową.

Przypomnę, że w pierwszych dniach grudnia, a więc wówczas gdy najwyższe czynniki wojskowe odpowiedzialne za obronę narodową PRL ogarnęła całkowita apatia i wątplenie, reakcja Stanów Zjednoczonych była niezwykle ostra. 3 grudnia prezydent Carter przesłał pilną osobistą depeszę Breżniewowi, w której zwrócił się z żądaniem o umożliwienie rządowi i narodowi polskiemu samodzielnego rozwiązania swych własnych trudności i ostrzegł przed negatywnymi skutkami, gdyby ZSRR zdecydował się na użycie siły przeciwko Polsce. 4 grudnia tej samej treści oświadczenie prezydent Carter złożył publicznie.

W sumie wobec zdecydowanych nacisków i bardzo jasnych ostrzeżeń Zachodu, że inwazja może okazać się dla ZSRR bardzo kosztowna, Moskwa bardziej była skłonna do wyręczenia się Polakami nawet za cenę odczekania jakiegoś czasu.

K.: Czy groźba radzieckiej inwazji cofnęła się natychmiast po Moskiewskim Szczycie 5 grudnia 1980 roku, czy też odpływ następował powoli? Co czyniła władza, żeby wywiązać się z przyjętych na siebie zobowiązań? Czy odczuł Pan jakąś intensyfikację przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego? Jeśli tak, to jak one wyglądały?

R. J. K.: Moskiewski Szczyt groźby inwazji wcale nie zażegnał. Uświadomił jedynie polskiemu kierownictwu, że od uderzenia nie ma odwrotu. Jeśli nie uderzą sami, to zrobi to za nich Armia Czerwona wraz z innymi wojskami Układu Warszawskiego. Aby wszystko było jasne, Rosjanie jeszcze przez ponad miesiąc utrzymywali swe wojska w pobliżu granic PRL, rozglądając się jednocześnie na bardziej zdecydowaną na konfrontację targowicą.

Nie mając innego wyboru, około 10 grudnia we wszystkich komórkach zajmujących się przygotowaniem do wprowadzenia tego stanu rozpoczęto generalną nowelizację i uszczegółowienie planów z takim wyliczeniem, aby można je było wprowadzić w życie na wiosnę roku 1981, kiedy spodziewano się większego zmęczenia społeczeństwa oraz spadku popularności „Solidarności”.

Przygotowaniem resortu Spraw Wewnętrznych do wiosennej konfrontacji kierował osobiście jego ówczesny kierownik Miroslaw Milewski. Bezpośrednią koordynacją planowania w tym resorcie zajmował się wiceminister Spraw Wewnętrznych gen. dyw. Bogusław Stachura. Miał on do pomocy swego rodzaju sztab koordynacyjny, który tworzył Zarząd I MSW z jego ówczesnym dyrektorem płk. Bronisławem Pawlikowskim oraz jego dwoma zastępcami płk. Janem Wasilukiem i płk. Janem Czyżewskim.

W centralnym planowaniu działań bezpośrednio uczestniczyli:

- zastępca komendanta MO gen. bryg. Józef Beim;
- dyrektor Departamentu I MSW gen. bryg. Jan Słowikowski;
- dyrektor Departamentu III „A” MSW gen. bryg. Władysław Ciastoń;
- komendant MO m.st. Warszawy gen. bryg. Jerzy Ćwiek;
- dyrektor Departamentu IV MSW gen. bryg. Konrad Straszewski;
- dyrektor Departamentu II MSW płk Zdzisław Sarewicz;
- dyrektor Departamentu III MSW płk Henryk Walczyński;
- dyrektor Biura „W” MSW płk Ryszard Wójcicki;
- zastępca dyrektora Zarządu Łączności MSW płk Benedykt Januszewski;
- dyrektor Biura Śledczego MSW płk Tadeusz Kwiatkowski;
- dyrektor Biura Operacyjnego KGMO płk Jan Wieloch;
- dyrektor Biura Ochrony Rządu gen. bryg. Jan Górecki;
- dyrektor Departamentu Kadr MSW gen. bryg. Bonifacy Jedynak.

W okresie od grudnia 1980 roku do lutego roku następnego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych koncentrowało swe wysiłki na agenturalnym spenetrowaniu „Solidarności” i innych powstających w tym czasie niezależnych organizacji społecznych, a także na drobnozgodowym przygotowywaniu masowych aresztowań osób rzekomo zagrażających ustrojowi. W tej fazie planowania siły bezpieczeństwa miały gotową listę wytypowanych do aresztowania działaczy „Solidarności” i opozycji, na której znajdowało się już około 4000 osób. Spośród tych 4000 – 240 osób objęto stałą inwigilacją tak, aby można ich było aresztować w każdej chwili.

W Ministerstwie Obrony Narodowej przygotowania koncentrowały się na opracowywaniu aktów normatywno-prawnych (czy, jak kto woli, bezprawnych) stanu wojennego, typowaniu i przejmowaniu od MSW pod ochronę wojska tzw. obiektów specjalnych, uszczegółowieniu koncepcji użycia jednostek wojskowych i ich współdziałania z siłami MSW, przygotowaniu mobilizacji i militarzacji oraz przygotowaniu resortów cywilnych do działania w okresie stanu wojennego.

Przygotowaniem aktów prawnych stanu wojennego z ramienia MON kierował wiceminister obrony narodowej, sekretarz KOK gen. broni Tadeusz Tuczapski. Wszystkie dekrety Rady Państwa, rozporządzenia wykonawcze ministrów, a nawet obwieszczenie o stanie wojennym redagowane były w sekretariacie KOK przy ulicy Krzywickiego w Warszawie. Pod bezpośrednim nadzorem szefa tego sekretariatu, późniejszego prezydenta m.st. Warszawy gen. dyw. Mieczysława Dębickiego. Redagowali je w uzgodnieniu z właściwymi resortami, w tym także (o zgrozo) z resortem sprawiedliwości, płk Tadeusz Malicki oraz podlegli mu przyuczeni prawnicy wojskowi.

Szczegółowym planowaniem użycia sił zbrojnych w okresie stanu wojennego zajmował się zastępca szefa Zarządu I Sztabu Generalnego WP płk (dziś już generał) Franciszek Puchała.

Sprawami mobilizacji, militaryzacji oraz wszelkimi sprawami związanymi z realizacją postanowień o powszechnym obowiązku obrony w okresie stanu wojennego bezpośrednio kierował zastępca szefa Sztabu Generalnego WP do spraw organizacyjno-mobilizacyjnych, wówczas gen. dyw. Antoni Jasiński. W pracach tych uczestniczył płk Stefan Marciniak oraz inni wyznaczeni przez gen. Jasińskiego oficerowie zarządu X Sztabu Generalnego WP.

Przygotowaniem kluczowych resortów cywilnych do działań w okresie stanu wojennego zajmowali się właściwi szefowie tych resortów lub ich pierwsi zastępcy. Uczestniczyli w tym także wojskowi dyrektorzy generalni lub dyrektorzy departamentów wojskowych:

- w Ministerstwie Łączności – gen. bryg. Leon Kołatkowski;
- w Ministerstwie Energetyki i Energii Atomowej – płk Piotr Panasiuk;
- w Ministerstwie Komunikacji – płk Jerzy Budrewicz;
- w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Usług – płk Tadeusz Antoniuk.

Przygotowaniem propagandy z ramienia KC PZPR zajmował się Walery Namiotkiewicz.

Pierwszy projekt radiowo-telewizyjnego wystąpienia premiera Rządu PRL, które miał on wygłosić do narodu na wiosnę roku 1981 w momencie wprowadzenia stanu wojennego, opracował wówczas Główny Zarząd Polityczny WP pod osobistym kierownictwem gen. bryg. Tadeusza Szaciło.

Mnie – podówczas płk. Ryszardowi Kuklińskiemu – przypadła w udziale robocza koordynacja (zgrywanie) planów wszystkich uczestników planowania stanu wojennego oraz opracowanie centralnego planu kierowania działalnością państwa w tym okresie.

Do VIII Plenum KC PZPR, które – między innymi – zadecydowało o zmianie na stanowisku premiera Rządu PRL, przygotowania stanu wojennego prowadzono w zasadzie osobno w MSW i MON. Sporadyczne dyskusje pomiędzy szefem Sztabu Generalnego gen. Siwickim i ministrem spraw wewnętrznych Mirosławem Milewskim oraz rzadkie robocze uzgodnienia pomiędzy MON i MSW wpłynęły na to, iż pomiędzy tymi dwoma uczestnikami planowania utrzymywały się nadal dość poważne różnice w takich kwestiach, jak: rola jed-

nostek WP w ewentualnej konfrontacji z ludnością, aspekty prawne stanu wojennego oraz wynikające z tego pewne szczegóły dotyczące momentu rozpoczęcia masowych aresztowań.

W tym stanie rzeczy, niemal natychmiast po powołaniu przez Sejm PRL gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko premiera, na jego polecenie rozpoczęto przygotowanie wspólnej gry decyzyjnej wszystkich uczestników planowania, aby usunąć rozbieżności oraz w pełni zintegrować plany działania pod jednym wspólnym kierownictwem. 16 lutego 1981 roku, kiedy kraj był jeszcze pod wrażeniem słynnego *exposé* nowego premiera-generała, w którym przedstawił on swój idealistyczny, ale w końcu pozytywny program oraz zaapelował o „trzy pracowite miesiące – 90 spokojnych dni”, w auli budynku Inspektoratu Obrony Terytorialnej i Wojsk Obrony Wewnętrznej przy Alejach Niepodległości zebrała się grupa 45 wyższych oficerów MON i MSW oraz dwóch funkcjonariuszy Wydziału Propagandy KG PZPR, aby ostatecznie doszlifować i zgrać plany wprowadzenia stanu wojennego.

Grze decyzyjnej współprzewodniczyli Mirosław Milewski i gen. broni Florian Siwicki.

Ze strony MSW brało w niej udział 20 oficerów (wszyscy już uprzednio przeze mnie wymienieni) oraz dodatkowo dyrektor Departamentu Uzbrojenia MSW gen. bryg. Stefan Stochaj i dyrektor Departamentu Materiałowo-Technicznego Zaopatrzenia MSW.

Ze strony MON uczestniczyło 19 osób, w tym wszyscy, których wymieniałem, że uczestniczyli w planowaniu stanu wojennego, oraz dodatkowo:

- szef Wojsk Łączności, gen. bryg. Marian Pasternak,
- szef Zarządu Sztabu Generalnego WP płk Henryk Święcicki,
- szef Oddziału Szefostwa WSW płk Mieczysław Kędzia,
- szef oddziału w sekretariacie KOK płk Zdzisław Malina.

Z Komitetu Centralnego PZPR oprócz Walerego Namiotkiewicza uczestniczył również towarzysz Czyż.

Mimo tak starannie dobranego grona uczestników gry wszyscy obecni na sali poproszeni zostali o podpisanie specjalnych zobowiązań do zachowania tajemnicy. Przedstawiane koncepcje działania nie mogły być opracowane na piśmie, a jedynie referowane z pamięci. Do robienia notatek upoważniony był tylko sekretariat gry (ze strony MSW płk Jan Wasiluk i płk Jan Czyżewski, a ze strony MON płk Czesław Witt i ja).

W toku dyskusji uczestnicy gry doszli wprawdzie do zgodnej oceny, iż wprowadzenie w ówczesnych warunkach stanu wojennego może być początkiem największego w historii Polski narodowego dramatu, ale ostateczne wnioski, jakie z tej oceny zostały wyciągnięte, ten dramat jedynie przybliżały.

A więc, przede wszystkim, odrzucona została ostatecznie myśl gen. broni Tadeusza Tuczapskiego, aby rząd wniósł pod obrady Sejmu PRL ustawy wyjątkowe stanu wojennego. Uczestnicy gry doszli do wniosku, iż zlikwidowanie wie-

lomilionowej „Solidarności” będzie możliwe tylko przy pełnym jej zaskoczeniu. Ustalono, że najkorzystniejszym momentem do rozpoczęcia akcji będzie dzień wolny od pracy i nauki, najlepiej noc z soboty na niedzielę.

Za najważniejsze posunięcie stanu wojennego uznana została tak zwana Operacja Wiosna, której celem było internowanie około sześciu tysięcy aktywnych działaczy „Solidarności” oraz innych niezależnych organizacji zawodowych i społecznych. Ustalono, że operacja ta może przynieść oczekiwane rezultaty tylko wówczas, jeśli zostanie przeprowadzona na 12 do 6 godzin przed oficjalnym wprowadzeniem stanu wojennego.

W toku gry osiągnięto również ostateczne porozumienie w kwestii podziału ról wojska i sił bezpieczeństwa oraz ich współdziałania w czasie ewentualnych działań konfrontacyjnych z ludnością.

Zgodzono się, że w rejonach zakładów przemysłowych, zakładów pracy i uczelni operować będą wyłącznie siły bezpieczeństwa. Natomiast wojsko działać będzie bardziej ostrożnie, co najwyżej jako siła wspierająca, rozwijana w miastach i blokująca ośrodki przemysłowe.

Gra wojenna zamykała drugi już, tak zwany wiosenny okres planowania stanu wojennego. 20 lutego 1981 roku wnioski z tego przedsięwzięcia przedstawione zostały gen. Jaruzelskiemu. W dniu następnym, to jest 21 lutego w sobotę, szef Sztabu Generalnego WP gen. broni Siwicki poinformował mnie, że przedstawiony materiał został przez gen. Jaruzelskiego zaaprobowany. Premier wniósł jedynie kilka drobnych uzupełnień i polecił przerobienie go na informację „O stanie przygotowania państwa do wprowadzenia stanu wojennego”, którą zamierzał przedstawić radzieckiemu kierownictwu w czasie XXVI Zjazdu KPZR.

3 marca PAP informowała, że: „członek Biura Politycznego KC PZPR, prezes Rady Ministrów PRL, minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski, członek delegacji PZPR na XXVI Zjazd KPZR, spotkał się 3 bm. na Kremlu z członkiem Biura Politycznego, Przewodniczącym Rady Ministrów ZSRR Nikołajem Tichonowem”. Społeczeństwo dowiedziało się z tego komunikatu, że omawiane były problemy współpracy opartej na zasadach równości i wzajemnej, braterskiej pomocy.

Tylko niewiele osób wiedziało, że w czasie spotkania na Kremlu 3 marca 1981 roku premier Wojciech Jaruzelski przy przedstawianiu stronie radzieckiej programu swego rządu złożył również szczegółową „Informację o stanie przygotowań państwa do wprowadzenia stanu wojennego” oraz zapewnił, że kierownictwo polskie, „mając świadomość sojuszniczego zaplecza, jest zdecydowane do sięgnięcia po ten środek obrony kraju przed kontrrewolucją”.

K.: Z tego, co Pan powiedział, wynika, że na wiosnę strona rządowa była już gotowa do konfrontacji ze społeczeństwem i że Związek Radziecki był dobrze o tym poinformowany. Dlaczego wobec tego w marcu i kwietniu ponownie wystąpiła groźba interwencji zbrojnej ZSRR? Czy mógłby Pan przedstawić tło tych wydarzeń oraz choćby najistotniejsze fakty?

R. J. K.: Pańska uwaga odnosząca się do tego, że na wiosnę strona rządowa była gotowa do konfrontacji ze społeczeństwem jest nieprecyzyjna. Rząd miał plany wprowadzenia stanu wojennego, miał koncepcję zniszczenia „Solidarności”, ale w ówczesnych warunkach po prostu nie widział jeszcze możliwości wprowadzenia tego w życie. Pomijając jakiegokolwiek inne motywy, jakimi gen. Jaruzelski mógł się kierować, on nie widział szansy na wprowadzenie stanu wojennego ze względów czysto pragmatycznych. Chodziło bowiem o to, aby operację tę nie tylko zacząć, ale przede wszystkim zakończyć dla „ludowej władzy” zwycięsko. Na wiosnę nie było to realistyczne, a nawet możliwe, ponieważ po stronie władzy było częściowo rozłożone MSW, niepewne wojsko i trochę twardogłowych w rozsypującej się partii; natomiast po stronie przeciwnej nie tylko milionowe rzesze „Solidarności”, ale niemal całe społeczeństwo, które było władzy przeciwne. Przy takim stosunku sił o jakimkolwiek powodzeniu akcji uderzeniowej nie mogło być mowy.

W tej sytuacji gen. Jaruzelski zawsze, i przed 3 marca, i później, zapewniał Moskwę, że jest zdecydowany na wprowadzenie stanu wojennego, a jedynie w nigdy niekończących się rozmowach z Rosjanami – do których i ja osobiście według jego wytycznych przygotowywałem materiały – tłumaczył, że trzeba trochę odczekać, aż stosunek sił choćby trochę się poprawi, aż „Solidarność” straci na popularności, a rząd pozyska choćby częściowe poparcie społeczeństwa. Wykazywał im także, iż czas potrzebny jest i po to, aby skonsolidować siły, na których mogłaby się oprzeć władza (chodziło tu o znane słabości MSW i partii).

Rosjanie – jak zwykle we wszystkich kontaktach z gen. Jaruzelskim – słuchali tego, co było im wygodne lub co chcieli usłyszeć. Na początku roku 1981 słyszeli tylko, że wyraża on gotowość do „obrony socjalizmu” w Polsce i że jest zdecydowany wprowadzić stan wojenny. To że jednocześnie mówił, iż trzeba z tym czekać, aż powstaną ku temu warunki, a głównie aż poprawi się stosunek sił, uważali za nieistotne, ponieważ niekorzystny stosunek sił gotowi byli w każdej chwili zmienić, kierując do Polski swoje dywizje, a nawet czeskie i niemieckie.

Na tym właśnie tle, tuż przed objęciem funkcji premiera przez gen. Jaruzelskiego, Moskwa wystąpiła z inicjatywą odzyskania od 16 marca na terenie Polski oraz wokół jej granic – nieprzewidzianego uprzednio planami – wielkiego ćwiczenia dowódco-sztabowego z wojskami, w którym uczestniczyć miało około 150 tysięcy żołnierzy, w tym na terenie PRL 30 tysięcy.

Sztab Generalny WP miał w tym względzie jak najgorsze przeczucia, gdyż Rosjanie nie ukrywali, iż ćwiczenie to ma ścisły związek z sytuacją w Polsce i jest pomyślane jako forma internacjonalistycznej pomocy komunistom polskim. Z przyjętą od początku kryzysu taktyką niedenerwowania Moskwy kierownictwo partyjno-rządowe tę ofertę internacjonalistycznej pomocy przyjęło. Jak tę pomoc rozumieli Rosjanie, można było się przekonać już wkrótce.

Otóż na krótko przed VIII Plenum PZPR, na którym podjęte były decyzje o zmianie na stanowisku premiera Rządu PRL, do Polski przybyła grupa 18 ra-

dzieckich generałów ze Zjednoczonego Dowództwa, w tym wszyscy zastępcy marszałka Kulikowa, aby sprawdzić, jak Wojsko Polskie przygotowane jest do ćwiczeń „Sojuz 81”. Za aprobatą MON odwiedzili oni wszystkie okręgi wojskowe oraz rodzaje Sił Zbrojnych, sięgając niekiedy dywizji, a nawet pułków. Generałów tych wcale jednak nie interesowały sprawy wyszkolenia czy sprawności bojowej wojsk, a wyłącznie stosunek kadry dowódczej do kontrrewolucji. To, na co sobie pozwalali w rozmowach z polskimi oficerami (niekiedy w cztery oczy), to już nie była agitacja, ale wręcz wzywanie do walki przeciwko własnemu społeczeństwu.

W 1. Pułku Zmechanizowanym w Wesołej koło Warszawy doszło nawet do tego, że generał armii Afanasij Szczegłow (jedna z najwredniejszych postaci szowinizmu rosyjskiego) zadał dowódcy tego pułku pytanie: „Jak będziecie działali w przypadku, jeśli zajdzie potrzeba usunięcia strajkujących z zakładu pracy?”

Charakter planowanych ćwiczeń „Sojuz 81” zaczął się jeszcze bardziej wyrażać rysować, kiedy od 14 lutego na teren Polski zaczęły przybywać rosyjskie grupy rekonesansowe. Okazało się, że celem prowadzonych rekonesansów wcale nie były typowe dla ćwiczebnych działań sztabów i wojsk lasy i poligony wojskowe, a takie obiekty, jak: lotnisko Okęcie, Centrum Radiowo-Telewizyjne na Mokotowie, Huta Warszawa, FSO Żerań, Stocznia Gdańska, kluczowe zakłady przemysłowe Elbląga, Szczecina, Poznania, Wrocławia, Świdnika i innych. Przybyłych z głębi terytorium ZSRR radzieckich generałów interesowały także lasy jako bazy ześrodkowania wojsk, ale nie z dala od wielkich aglomeracji miejsko-przemysłowych, jak to bywa w rutynowych ćwiczeniach, ale właśnie na styku z tymi aglomeracjami. Tak np. w pobliżu Warszawy na rejon ześrodkowania jednej radzieckiej dywizji wybrano Puszcę Kampinoską, a dla drugiej wytypowano rejon Pyr.

W czasie rekonesansów przed ćwiczeniami „Sojuz 81” były i takie sceny, kiedy radziecki generał w przebraniu cywilnym dzielił się swymi troskami z oprowadzającym go również po cywilnym oficerem WP: „Możemy rozwinąć się przed zakładami pracy, zablokować je, ale co dalej? Jak zmusić ludzi do pracy?”

O tym wszystkim wiedział szef Sztabu Generalnego gen. broni F. Siwicki oraz minister obrony narodowej i – w tym czasie – już premier Rządu PRL gen. armii W. Jaruzelski. Za ich zgodą przekazane zostały stronie radzieckiej nawet plany budynków użyteczności publicznej wytypowanych na radzieckie komendatury wojskowe w stolicy oraz w kilku innych miastach Polski.

Mówiąc o tych faktach, nie chcę choćby w najmniejszym stopniu sugerować, że gen. Jaruzelskiemu, a zwłaszcza Siwickiemu, zależało na sprowadzeniu radzieckich posiłków do Polski. Byłaby to nieprawda. Natomiast nie ulega kwestii, że wyrażenie zgody na nieplanowane ćwiczenia „Sojuz 81”, a później przyzywanie oczu na przygotowywany przez Rosjan scenariusz tych „ćwiczeń” w tak skomplikowanej sytuacji kraju było co najmniej nieostrożnym igraniem z ogniem, delikatnie mówiąc.

Wydaje mi się, że i gen. Jaruzelski, i gen. Siwicki odczuli to sami najlepiej, kiedy 16 marca ćwiczenia te się zaczęły. Otóż w czwartek 19 marca, a więc w trzecim dniu ćwiczeń, które w zamyśle ich autorów miały tworzyć swego rodzaju zaplecze dla długo obiecywanej kontrofensywy rządu, doszło do pierwszej poważniejszej konfrontacji pomiędzy władzą i „Solidarnością” w Bydgoszczy.

Dla władzy to „rozpoznanie walką” wypadło fatalnie. Jak pamiętamy, po przerwaniu sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz dotkliwym pobiciu przez bojówki Milewskiego popularnych działaczy: Jana Rulewskiego, Mariusza Łabentowicza i Michała Bartoszcze, protestowała cała Polska. Wobec tak jednoznacznej postawy społeczeństwa, które potępiło prowokację, rząd gen. Jaruzelskiego zaczął się cofać, ale szybko się okazało, że na żadne cofanie nie ma miejsca, bo z tyłu stał marszałek Kulikow i jego Armia Czerwona.

W momencie gdy rząd gen. Jaruzelskiego zaczął poszukiwać jakiejś formy kompromisu z „Solidarnością”, która na 27 marca proklamowała 4-godzinny strajk ostrzegawczy, a od 31 marca ogólnopolski strajk powszechny, do Legnicy specjalnym samolotem przyleciał szef Głównego Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR. Po czterogodzinnej konferencji z marszałkiem Kulikowem w cztery oczy ten ostatni stwierdził, że ćwiczenia „Sojuz” (które zgodnie z zawartym porozumieniem miały się skończyć w dniu następnym, to jest 25 marca) zostają bezterminowo przedłużone.

Przedłużenie ćwiczeń Układu Warszawskiego w normalnych warunkach (choć w przeszłości nigdy się to nie zdarzało) mogłoby być nawet niezauważone, ale w końcu marca 1981 roku budziło poważny niepokój, i to z dwóch powodów:

- pierwszy to pretekst do wprowadzenia na terytorium PRL większej liczby armii „zaprzysiężonych”,
- drugi (może jeszcze istotniejszy) to aprobata istnienia niezależnego od Sztabu Generalnego WP ośrodka dowodzenia Siłami Zbrojnymi PRL, w tym zwłaszcza utrzymywanie nietypowej dla czasu pokoju sytuacji, która umożliwiała generałowi broni Eugeniuszowi Molczykowi, znanemu z podporządkowania Moskwie, dowodzenie wojskami frontu polskiego, a więc prawie całymi wojskami lądowymi i lotniczymi.

Nie bez znaczenia był także fakt, że pod pretekstem ćwiczenia strona radziecka zażądała wydzielenia miejsc na Centralnym Stanowisku Dowodzenia Obroną Powietrzną Kraju w Pyrach koło Warszawy dla dużej grupy oficerów radzieckich, co umożliwiło im w praktyce przejście całkowitej kontroli obszaru powietrznego PRL.

Niewykluczone, że gen. Jaruzelski lub gen. Siwicki byli spokojni, bo wiedzieli coś więcej na ten temat, ale ich podwładni mieli jak najgorsze przeczucia. Ja sam w Sztabie Generalnym WP odebrałem co najmniej trzy telefoniczne interwencje z Białobrzegów koło Warszawy, gdzie był rozwinięty Sztab Frontu. Bardzo poważni oficerowie zapytywali mnie: „co wy tam w Sztabie Generalnym

robicie? My wiemy, w jakim celu jesteśmy tu trzymani. Czy góra naprawdę nie rozumie, o co chodzi? Kończcie to, chcemy wracać do naszych miejsc pracy”.

Moskwa miała jednak nadal zupełnie inne plany. 27 marca 1981 roku na płycie wojskowej lotniska Okęcie wylądował rządowy samolot ZSRR, na pokładzie którego przybyło do Polski ponad 30 funkcjonariuszy Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, Ministerstwa Obrony ZSRR oraz Gosplanu w celu szczegółowego zapoznania się z planami wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Grupą wojskową kierował marszałek ZSRR Wiktor Kulikow, a ze spółem KGB – pierwszy zastępca Andropowa.

Po zapoznaniu się z naszymi planami Rosjanie uznali je za niewystarczające i przedstawili swoje postulaty w tej sprawie. Według oceny Rosjan wprowadzenie stanu wojennego podyktowane jest koniecznością obrony socjalizmu. Wraz z jego wprowadzeniem należy zawiesić konstytucję i całą władzę przekazać w ręce Naczelnego Dowództwa Wojskowego. W terenie władzę powinni sprawować dowódcy garnizonów, a tam, gdzie ich nie ma, wyznaczeni dowódcy WP. Egzekutorem stanu wojennego powinna być armia, siły bezpieczeństwa i aktywne siły partii. W okresie stanu wojennego oraz w czasie przygotowań do jego wprowadzenia należy skoncentrować wysiłek na demaskowaniu kontrrewolucji w „Solidarności”, identyfikacji przywódców i elementów skrajnych, ustaleniu ich miejsc pobytu, wprowadzeniu agentury do wrogich organizacji oraz zlokalizowaniu podziemnych radiostacji i poligrafii. Rosjanie zalecili również, aby na czternaście godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego przeprowadzić internowanie, a następnie śledztwa i sądy doraźne. Oświadczyli oni także, iż do zdławienia kontrrewolucji i strajków powinny być użyte siły bezpieczeństwa wspólnie z armią. Do Sztabu Generalnego WP, dowództw okręgów i rodzajów sił zbrojnych zalecili przyjąć doradców radzieckich.

Po udzieleniu „konsultacji” (bo tak to zostało nazwane) radzieccy specjaliści od stanu wojennego w Polsce zwrócili się o wniesienie poprawek w naszych planach oraz wyrazili życzenie ich ponownego przejrzenia tak szybko, jak tylko będą gotowe.

Dla wykazania radzieckiej stronie polskiego konfliktu, że właściwie cała partia jest za kompromisem ze społeczeństwem, Stanisław Kania zwołał na sobotę 28 marca 1981 roku IX Plenum KC PZPR, które – jak wiadomo – podjęło uchwałę wyrażającą wolę dialogu i porozumienia.

Z tą legitymacją w prasie ogłoszono „Raport Komisji Rządowej o przebiegu wydarzeń w Bydgoszczy” oraz „Uwagi »Solidarności«” do tego raportu.

Społeczeństwo odetchnęło z ulgą. Władza nie, gdyż po przetrwaniu sprowokowanej przez siebie konfrontacji ze społeczeństwem teraz resztkami sił musiała walczyć ze swym protektorem – Moskwą o prawo do dalszego kierowania losami kraju.

Rosjanie reagowali gniewnie. Nawet nie chcieli rozmawiać na temat zakończenia ćwiczeń „Sojuz 81”. Zapytywani nieśmiało o powody jego kontynuowa-

nia dawali nie zawsze dyplomatyczne odpowiedzi. Tak na przykład szef Sztabu ZSZ gen. Anatolij Gribkow odpowiedział, że: „cele ćwiczeń jeszcze nie zostały osiągnięte”. Natomiast marszałek Kulikow stwierdził wprost, że: „ćwiczenia są kontynuowane dlatego, że w Polsce jest kontrrewolucja”.

Nie jestem w stanie przedstawić, co radzieccy marszałkowie mówili Stanisławowi Kani i gen. Jaruzelskiemu, gdyż rozmawiali z nimi w cztery oczy, i to z każdym osobno.

3 kwietnia wieczorem, pod osłoną ciemności, radziecki samolot dostarczył Kanię i Jaruzelskiego przed samo oblicze Leonida Breżniewa. Rozmowa była krótka, gdyż nad ranem 4 kwietnia tym samym radzieckim samolotem wojskowym powrócili oni do Warszawy. Nie znam treści tych rozmów, ale ich atmosferę, a nawet treść mogłem odtworzyć na podstawie tego, z czym w tych dniach miał do czynienia Sztab Generalny WP.

Otóż 3 kwietnia, a więc w momencie, gdy Kania i Jaruzelski przygotowywali się do wylotu na spotkanie z Breżniewem, Rosjanie rozpoczęli powietrzną wojnę nerwów z Polską. Tego dnia, bez uprzedniego zgłoszenia polskim organom ruchu lotniczego, przebazowali z Czechosłowacji do Polski 32 śmigłowce bojowe Mi-6 oraz przerzucili do Brzegu za pomocą 10 samolotów An-12 niezidentyfikowany transport wojskowy. W następnych dniach śmigłowce te wykonywały loty bojowe do rejonu Torunia oraz w inne części kraju. Wspomniane loty – niezależnie od aspektów terrorystycznych – tworzyły poważne zagrożenie w obszarze powietrznym PRL, gdyż radzieccy piloci nie podporządkowywali się naszym organom ruchu lotniczego.

Na zapytania szefa Sztabu Generalnego WP gen. Siwickiego Rosjanie dawali różne odpowiedzi. I tak dowódca Południowej Grupy Wojsk AR poinformował gen. Siwickiego, że są to normalne loty w ramach ćwiczeń ich armii lotniczej. Natomiast gen. armii Gribkow (szef Sztabu ZSZ) stwierdził, że odbywa się normalna rotacja wojsk oraz dostawa żywności, na którą obecnie nie można liczyć ze źródeł polskich.

7 kwietnia przebywający na Zjeździe Komunistycznej Partii Czechosłowacji Leonid Breżniew podjął decyzję o zakończeniu ćwiczeń „Sojuz 81”. Ćwiczenia się formalnie zakończyły, ale terror militarny ZSRR wobec PRL utrzymywał się nadal.

8 kwietnia, bez uprzedzenia kierownictwa MON, a nawet kontroli ruchu lotniczego, do Brzegu koło Opola przyleciał kolejny transport 19 samolotów An-12, a w dniu następnym 14 samolotów An-12 i 4 samoloty Il-76.

Równocześnie trwały rajdy radzieckich śmigłowców bojowych na trasie Legnica-Toruń oraz transporty pojedynczych samolotów do Mińska Mazowieckiego.

Przy takim akompaniamencie „braterstwa broni” grupa radzieckiego Zjednoczonego Dowództwa ZSZ państw Układu Warszawskiego, z marszałkiem Kulikowem na czele, 8 kwietnia przyleciała do Warszawy, aby na miejscu zapoznać się, czy zalecone przez nich poprawki i uzupełnienia do planów wprowadzenia stanu wojennego zostały wniesione. Marszałek Kulikow zajął się naszym

kierownictwem partyjno-wojskowym, natomiast reszta grupy badała plany szczegółowe w Sztabie Generalnym.

W czasie sprawdzania planów szef Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych gen. armii Gribkow wybrał 20 najważniejszych dokumentów planistycznych oraz zwrócił się o ich przetłumaczenie i przekazanie stronie radzieckiej, co oczywiście zostało uczynione. Opracowane dokumenty planistyczne, jakkolwiek nie uwzględniały wielu postulatów „konsultantów” radzieckich, przyjęte zostały w zasadzie pozytywnie. Rosjanie domagali się jednak, aby zostały one wszystkie podpisane, łącznie z uchwałami i dekrétami Rady Państwa, aby w każdej chwili mogły być wprowadzone w życie.

8 kwietnia Kulikow i Gribkow opuścili Polskę. W radzieckiej jednostce łączności w Rembertowie pozostała bliżej nieokreślona grupa operacyjna Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR. Natomiast grupa operacyjna Sztabu ZS Państw Układu Warszawskiego, w liczbie 47 wyższych radzieckich funkcjonariuszy wojskowych, wraz z przekazaną stronie radzieckiej dokumentacją planistyczną stanu wojennego przeniesiona została do Legnicy.

W nocy z 9 na 10 kwietnia pracowałem w sztabie generalnym nad dokumentami stanu wojennego. Tuż po północy zameldowano mi, że Rosjanie zgłosili organom ruchu lotniczego Wojsk Obrony Powietrznej Kraju przylot między godziną 3 i 5 rano z Rygi, Wilna i Lwowa 35 samolotów An-12 i 12 samolotów Il-76, a także lot 11 śmigłowców Mi-6 na trasie Brzeg–Toruń. Zaangażowanie tak dużej liczby ciężkich samolotów transportowych oznaczało w istocie uruchomienie 3 mostów powietrznych do Polski. Na szczęście, rankiem 10 kwietnia Moskwa loty te zawiesiła, choć ich definitywnie nie odwołała.

Po tej uwerturze 10 kwietnia Kulikow wraz ze swym zastępcą do spraw flot sojuszniczych admirałem Michajlinem przybyli ponownie do Polski w rejon Świnoujścia, skąd Kulikow zabiegał o spotkanie z Jaruzelskim. Powiedziano mu jednak, że premier jest u Kani i spotkanie możliwe będzie dopiero 13 kwietnia. Gen. Jaruzelski chciał uniknąć tego spotkania, gdyż strona radziecka w dalszym ciągu nalegała na ustalenie konkretnego terminu wprowadzenia stanu wojennego. Przygotowując się do wyznaczonego na 13 kwietnia spotkania z Kulikowem, 11 kwietnia gen. Jaruzelski przybył do Sztabu Generalnego WP, aby w gronie ścisłego kierownictwa zapoznać się osobiście z opracowanymi planami. Był on wyraźnie przygnębiony, a nawet załamany. Po rozpatrzeniu najważniejszych dokumentów planu ogarnęło go jeszcze przygnębienie. Powiedział wprost: „w najczarniejszych zakątkach mej wyobraźni nie znajduję myśli, że coś takiego możemy zrobić. Nie chciałbym być już premierem, kiedy trzeba będzie podpisać te dokumenty do realizacji. Sytuacja jednak jest taka, że stłuczenie trzech nosów w Bydgoszczy doprowadziło nas na krawędź przepaści”.

W dalszym toku wypowiedzanych urywkami myśli negatywnie ocenił Rulewskiego z bydgoskiej i Bujaka z warszawskiej „Solidarności”, stwierdzając, że „ich postawa jest typowa dla socjalfaszyzmu”. Gen. Jaruzelski opowiedział się za

ewentualnym pośrednim wariantem między masowym internowaniem opozycji a koncepcją stosowania tylko krótkich i selektywnych zatrzymań i aresztowań najbardziej ekstremalnych działaczy. Dalsze rozważania Jaruzelskiego na te tematy przerwał dziennik wieczorny w TV, który chciał on obejrzeć. Tego dnia dziennik był dla niego raczej łaskawy, ponieważ i własne społeczeństwo, i komentarze zagraniczne (oczywiście tylko te z Zachodu) w zasadzie dobrze przyjęły jego wystąpienie sejmowe z poprzedniego dnia. Wyraźnie tym zbudowany, po obejrzeniu dziennika telewizyjnego opuścił Sztab Generalny WP. 13 kwietnia spotkał się z Kulikowem, jednakże stanowczo przeciwstawił się sprecyzowaniu konkretnego terminu wprowadzenia stanu wojennego oraz podpisaniu dokumentów z tym związanych.

W połowie kwietnia zagrożenie interwencją zbrojną ZSRR zaczęło się powoli cofać, ale chyba naprawdę nigdy nie ustało. Związek Radziecki nigdy nie wycofał z PRL rozwinętego w czasie ćwiczeń „Sojuz 81” wojennego systemu dowodzenia siłami interwencyjnymi.

Po znanych komunikatach „Solidarności” o pojawieniu się tu i ówdzie nowych jednostek i instalacji radzieckich grupa starszych oficerów Sztabu Generalnego WP na własną rękę podjęła badanie sprawy. Rozpoznanie to przynosiło niekiedy szokujące – jeśli nie groteskowe – informacje. Tak np. dowódca 3. Dywizji Zmechanizowanej poinformował, że w rejonie lotniska Radawiec koło Lublina znajduje się grupa radzieckich żołnierzy ze sprzętem łączności pod dowództwem majora, który nawiązał z nim oficjalny kontakt, prosząc o żywność. Według oświadczenia tegoż majora jego grupa została przerzucona z terytorium ZSRR w celu przyjęcia w ciągu najbliższych 3 dni bliżej nieokreślonego zrzutu powietrznego AR na tym lotnisku. Wobec wyczerpania własnych zapasów żywności zwrócił się on o pomoc do dowódcy garnizonu w Lublinie.

Dyskretne, nieoficjalne rozpoznanie doprowadziło do potwierdzenia wszystkich sygnalizowanych przez „Solidarność” miejsc rozwinęcia nowych radzieckich grup i instalacji wojskowych.

Szef Sztabu Generalnego nie dawał temu wiary i nawet polecił mi udzielenie pomocy w przygotowaniu wywiadu pełnomocnika Rządu PRL do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce gen. dyw. Michała Strygi dla telewizji polskiej, w którym miał on zdementować krążące na ten temat pogłoski, kiedy pod wpływem oficjalnych informacji, jakie wpłynęły z jednostek wojskowych z terenu, trzeba było z tego zrezygnować, aby nie doprowadzić do jeszcze jednej kompromitacji władz. Szef Sztabu Generalnego gen. Siwicki dalej nie dawał temu wiary, ale na wszelki wypadek zwrócił się do szefa Sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej z prośbą o wyjaśnienia. W odpowiedzi otrzymał szyfrogram, że rzeczywiście w czasie ćwiczenia „Sojuz 81” na terytorium PRL rozwinęte zostały punkty łączności, na których nadal – w ramach przygotowania młodego rocznika – szkoleni są młodzi radzieccy żołnierze. Szef Sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej wymienił 18 rejonów nowo rozwinętych

radzieckich instalacji łączności. Nie były to oczywiście wszystkie nowe miejsca pobytu jednostek radzieckich, ale dano już temu spokój.

K.: Interesujący byłby Pański komentarz, dlaczego na wiosnę Rosjanie, mając już właściwie na terytorium PRL znaczną liczbę wojsk oraz rozwinięty wojenny system dowodzenia, nie zdecydowali się na jakieś stanowcze kroki? Zanim jednak do tego dojdziemy, chciałbym Pana prosić o odpowiedź na dwa pytania, które nasuwały mi się, gdy słuchałem Pańskiej wypowiedzi. Pierwsze: czy wojsko, a zwłaszcza generał Jaruzelski, było zamieszane w prowokację bydgoską?

R. J. K.: Trudno mi odpowiedzieć, na ile gen. Jaruzelski – jako premier rządu i minister obrony narodowej – zamieszany był osobiście w to, co się stało w Bydgoszczy. Natomiast z całą pewnością mogę zaświadczyć, że zarówno on, jak i szef Sztabu Generalnego gen. Siwicki byli na bieżąco informowani o przebiegu wypadków w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Wiem także, iż wieczorem 19 marca Wałęsa telefonował z interwencją do premiera. W sprzeczności z prawdą – a zgodnie z otrzymanymi instrukcjami – adiutanci premiera odpowiedzieli Wałęsie, że gen. Jaruzelskiego nie ma na miejscu. Wiem także, iż Oddział Propagandy Specjalnej Głównego Zarządu Politycznego WP – pod osobistym nadzorem gen. bryg. Tadeusza Szaciło oraz szefa GZP gen. dyw. Józefa Baryły – opracował i wydrukował ulotki o samookaleczeniu się Jana Rulewskiego, które jeszcze w ciągu nocy z 19 na 20 marca na polecenie gen. Siwickiego samolot wojskowy rozrzucił z powietrza nad Bydgoszczą.

K.: Drugie pytanie: kiedy Rosjanie włączyli się do planowania stanu wojennego w Polsce oraz na czym polegała rola Kulikowa i jego sztabu w Legnicy na Śląsku?

R. J. K.: W Ministerstwie Obrony Narodowej planowaniem stanu wojennego zajmowali się wyłącznie Polacy. Rosjanie włączyli się do tego dopiero w końcu marca 1981 roku, i to tylko w charakterze nadzorców „konsultantów”. Na szczeblu wykonawczym ich udział ograniczył się właściwie do wydania 27 marca 1981 zaleceń generalnych oraz do skontrolowania 8 kwietnia, jak ich zalecenia zostały wykonane. Po 8 kwietnia, to jest po zapoznaniu się z wniesionymi korektami do planów, po stwierdzeniu, że ich najważniejsze zalecenia zostały uwzględnione oraz po zabraniu jednego egzemplarza planów do Legnicy, ich rola sprowadzała się jedynie do wywierania presji na gen. Jaruzelskiego i Siwickiego, aby plany te zostały podpisane, a tym samym mogły być wprowadzone w życie w każdej chwili.

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – jak mogę sądzić z moich służbowych kontaktów z tym resortem – Rosjanie włączyli się do tych spraw znacznie wcześniej i ich udział w samym planowaniu był znacznie większy. Wierzę, że

szczegóły współpracy Rosjan z MSW, zwłaszcza przy sporządzeniu listy osób przewidzianych do internowania, będą z czasem również ujawnione.

Co się tyczy roli marszałka Kulikowa i jego sztabu w Legnicy, był to już drugi (po kryzysie czechosłowackim w roku 1968) przypadek, kiedy Naczelny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych państw Układu Warszawskiego okazał się kluczową figurą w rozwiązywaniu wewnętrznych problemów państwa będącego członkiem tego ugrupowania militarnego.

Niemal od początku wybuchu strajków na Wybrzeżu marszałek Kulikow kierował przygotowaniem akcji militarnych Związku Radzieckiego oraz niektórych innych państw Układu Warszawskiego przeciwko Polsce. W pierwszej fazie kryzysu, a więc do wiosny 1981, przygotowania te koncentrowały się wyłącznie w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR. Od wiosny 1981 swą kwaterę przeniósł on do Legnicy. Załącznikiem legnickiego sztabu Kulikowa był wyłącznie radziecki zespół oficerów, którzy kierowali ćwiczeniem „Sojuz 81”. Po zakończeniu tych ćwiczeń jego sztab rozdzielił się na dwie części. 47 wyższych radzieckich oficerów pozostało w Polsce w Legnicy, natomiast reszta wróciła do Moskwy.

18 kwietnia w Sztabie Zjednoczonych Sił Zbrojnych w Moskwie Kulikow przeprowadził odprawę z grupą 60–80 członków tego sztabu i oświadczył im, że na prośbę rządu PRL zostają skierowani do Polski, aby udzielić pomocy polskim komunistom. Cała ta grupa oficerów radzieckich oraz innych armii Układu Warszawskiego 24 i 25 kwietnia została skierowana do Legnicy.

Od 25 kwietnia na stanowisku dowodzenia Kulikowa w Legnicy stale przebywała grupa wyższych oficerów radzieckich w liczbie od 107 do 130. W porównaniu ze sztabem Jakubowskiego, który był rozwinięty w tym samym miejscu przed i w czasie inwazji Czechosłowacji, sztab ten był co najmniej dwukrotnie liczniejszy. Oficerowie sztabu Kulikowa byli odizolowani od świata zewnętrznego oraz całkowicie odcięci od polskich środków masowego przekazu, w tym także od prasy partyjnej i wojskowej.

Sztab Kulikowa posiadał w swej dyspozycji jeden komplet polskich planów stanu wojennego i, stosownie do rozwoju sytuacji w kraju, zajmował się uaktualnianiem własnych alternatywnych i uzupełniających planów na ewentualną konieczność użycia armii radzieckiej oraz innych armii Układu Warszawskiego.

Radziecki personel tego sztabu – przy współpracy Przedstawicielstwa Naczelnego Dowódcy ZSZ przy Wojsku Polskim, który mieścił się w Warszawie przy ulicy Krzywickiego – prowadził codzienną analizę i ocenę sytuacji społeczno-politycznej w Polsce oraz przekazywał raporty w tej sprawie radzieckiemu kierownictwu w Moskwie.

Jedyną zauważalną od roku 1968 zmianą w roli Naczelnego Dowódcy ZSZ było to, iż w tamtych czasach marszałek Jakubowski zajmował się wyłącznie przygotowaniem i przeprowadzeniem samej operacji militarnej przeciwko Czechosłowacji. Rozmowy z kierownictwem czeskim prowadził natomiast wyłącznie Breżniew i jego przyboczna świta.

W czasie kryzysu w Polsce oprócz strony militarnej marszałek Kulikow wziął na siebie główny ciężar bezpośrednich kontaktów i rozmów z partyjno-politycznym kierownictwem PRL. Kontakty Kani i Jaruzelskiego z Breżniewem były tylko od święta. Na co dzień torturował ich wyłącznie Kulikow. U schyłku kryzysu Kulikow nawet nie zawsze i nie ze wszystkimi chciał rozmawiać. Szczycił się na przykład tym, że w pałacyku przy ulicy Sulkiewicza, gdzie czasami rezydował, wyrzucił Kanię za drzwi, bo przyszedł do niego o zbyt późnej porze, a w dodatku był pijany. To, że Kania był wówczas pod wpływem alkoholu, mogło być wymysłem zagniewanego marszałka, ale fakt, że został on z rezydencji Kulikowa wyproszony, bo trzymał się kursu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i był przeciwny użyciu siły, jest faktem historycznym.

K.: Abyśmy mogli zamknąć omawianie okresu wiosennego, chciałbym usłyszeć, jakie okoliczności – Pana zdaniem – powstrzymały Rosjan po raz wtóry od bezpośredniej interwencji zbrojnej w Polsce? Czy to była znowu reakcja Zachodu, do której doszło na podstawie Pana tajnych informacji, czy też wystąpiły jakieś inne czynniki?

R. J. K.: Wydaje mi się, że na wiosnę przesądziły w zasadzie te same przyczyny, które powstrzymały ZSRR od inwazji grudniowej. Z jednej strony bardzo silna akcja dyplomatyczna nowej administracji amerykańskiej prezydenta Reagana oraz większości państw Europy Zachodniej, z drugiej zaś obawy Rosjan, jak na użycie siły zareaguje społeczeństwo polskie, a nawet sama armia.

Oni kontrolowali górne szczeble hierarchii wojskowej, ale mieli uzasadnione obawy o szczeble średnie i niższe. W owym czasie społeczeństwo polskie nie było dostatecznie zorientowane, jakie są nastroje wojska, ale Rosjanie znali je dobrze. Po jesiennym poborze w roku 1980 prawie jedną trzecią stanu osobowego żołnierzy służby czynnej stanowili młodzi ludzie, którzy albo byli uprzednio członkami „Solidarności”, albo uczestniczyli w zorganizowanych przez ten związek różnych formach protestu społecznego. Po wiosennym wcieleniu młodego rocznika tacy ludzie to była już połowa stanu armii, ale radzieckie obawy nie kończyły się na tym. To, co napawało ich być może jeszcze większym niepokojem, to fakt, że idee „Solidarności” udzieliły się ogromnej części kadry oficerskiej. Nawet niektóre organizacje partyjne wojska pośrednio lub bezpośrednio udzielały poparcia „Solidarności”. Tak np. organizacja partyjna Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego potępiła prowokację bydgoską, a imiennie Główny Zarząd Polityczny WP, który był bezpośrednio w tę prowokację wmieszany. Dziesiątki innych, podobnych w swej wymowie, przypadków solidaryzowania się z „Solidarnością” Rosjanie mogli śledzić właściwie we wszystkich niemal ogólnonarodowym frontu sprzeciwu przeciwko użyciu siły, do którego dołą-

W tym stanie rzeczy – wobec bardzo zdecydowanej postawy państw zachodnich, wobec wyraźnego zarysowania się po prowokacji bydgoskiej jakiegoś ogólnonarodowego frontu sprzeciwu przeciwko użyciu siły, do którego dołą-

czyła się nawet znaczna część Ludowego Wojska Polskiego – oferta władzy krajowej, a zwłaszcza gen. Jaruzelskiego, że zrobi to na własny rachunek, okazała się dla Rosjan lepsza niż wzniecenie w Polsce pożaru, który trudno byłoby ugasić albo koszty którego dla ZSRR byłyby zbyt wielkie.

K.: Z tego, co Pan dotychczas powiedział, wynika, że gen. Jaruzelski, wspólnie zresztą ze Stanisławem Kanią, obiecywał Rosjanom wprowadzić stan wojenny, ale nie ulega kwestii, że czynił wiele, aby ten moment jak najdłużej odwlec, a może nawet aby się z tego całkowicie wymigać. Kiedy, Pana zdaniem, nastąpił przełom w ich podejściu do tej sprawy i kiedy zaczęli poważnie myśleć o tym, co nastąpiło 13 grudnia 1981 roku?

R. J. K.: W postawie Stanisława Kani, od momentu wybrania go na I Sekretarza KC PZPR aż do IV Plenum KC PZPR, na którym został zmuszony do rezygnacji, nie było żadnych zmian. Kania przychylił się wprawdzie do żądań radzieckich, ale w istocie uznawał tylko walkę środkami politycznymi. Niewykluczone, że gdyby w Polsce wystąpiła nie urojona przez Moskwę, ale faktyczna kontrewolucja i sięganie siłą po władzę, Kania aprobowałby nawet i stan wojenny. Ale takich zagrożeń nie widział i stanowi wojennemu, tak długo, jak tylko mógł, przeciwwstawiał się.

Po IX Nadzwyczajnym Zjeździe, na którym w demokratycznych wyborach uzyskał mandat PZPR, jego niechęć do użycia siły przekształciła się w zdecydowany opór.

W postawie gen. Jaruzelskiego, prawdopodobnie pod wpływem potwornej – skoordynowanej z działaniami rodzimej targowicy – radzieckiej presji, której towarzyszyły nie mniejsze napięcia wewnątrz kraju, można było zauważyć wyraźne skłanianie się do rozwiązań siłowych jeszcze przed wystąpieniem oczekiwanych przez niego „sprzyjających ku temu warunków”. Był już temu bardzo bliski w połowie czerwca. Odzwierciedleniem tego było jego wystąpienie na kolejnym, odbytym 19 czerwca 1981 roku, posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju, poświęconym sprawie ewentualnego wprowadzenia stanu wojennego. Mówił on wówczas między innymi: „Trzeba poczynić korekty w scenariuszu wprowadzenia tego stanu. Na przeprowadzenie akcji »Wiosna« nie ma obecnie sił. Jest wielce prawdopodobne, że stan wojenny wprowadzi się dopiero w szóstym, siódmym dniu eskalacji bądź trwania zaburzeń, strajków czy niepokoju. Należy widzieć możliwość działań ograniczonych do poszczególnych regionów, a także selektywnego uruchamiania przewidzianych planem przedsięwzięć”.

Od tego czasu, z małą przerwą w okresie przygotowań do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i tuż po jego zakończeniu, gen. Jaruzelski coraz bardziej oddalał się od linii politycznej Stanisława Kani. Krytyczny moment przyszedł na początku września, kiedy to – mimo dość złożonej sytuacji na tle dostępu „Solidarności” do środków masowego przekazu – I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania podtrzymywał swój sprzeciw wobec dość stanowczego żądania premiera-gene-

rała, aby wprowadzić na tym tle stan wojenny. Z tego, co wiem z bardzo pewnego źródła, powiedział on wprost gen. Jaruzelskiemu: „dałem swoje słowo, że nie użyjemy siły na VI i IX plenum KC PZPR, a także na Nadzwyczajnym Zjeździe Partii, i muszę go dotrzymać”.

W tej sytuacji gen. Wojciech Jaruzelski zwołał na 13 września posiedzenie Komitetu Obrony Kraju, na które zaprosił Stanisława Kanię, aby wyrzucić na nim odpowiednią presję i wymusić zgodę na rozpoczęcie tak długo przygotowywanego uderzenia.

Posiedzenie było starannie wyreżyserowane przez samego premiera. Jednym z posunięć przygotowawczych było specjalne spotkanie kierownictwa MSW z kierownictwem Sztabu Generalnego dla uzgodnienia wspólnej linii i taktyki działania na posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju. Spotkanie odbyło się wieczorem 10 września w Sztabie Generalnym WP. Ze strony MSW uczestniczył w nim gen. dyw. Czesław Kiszczak oraz gen. dyw. Bogusław Stachura. Ze strony MON szef Sztabu Generalnego WP gen. broni Florian Siwicki oraz wszyscy czterej jego zastępcy: gen. dyw. Tadeusz Hupałowski, gen. dyw. Jerzy Skalski, gen. dyw. Antoni Jasiński oraz gen. bryg. Mieczysław Dachowski.

Po tej owocnej naradzie, na odbytym 13 września 1981 roku nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju z udziałem zaproszonego Kani, wojsko i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wystąpiło we wspólnym bloku z postulatem niezwłocznego wprowadzenia stanu wojennego.

Gen. Kiszczak przedstawił „druzgocące dowody” parcia „Solidarności” do kontrrewolucyjnej zmiany ustroju PRL, poinformował o rzekomym tajnym planie „Solidarności” przejęcia środków masowego przekazu, a także o tym, że ruch ten posiada jakiegoś ukrytego sprzymierzeńca w samym centrum planowania stanu wojennego. Jako dowód tego przytoczył fakt, iż duża część działaczy „Solidarności” zna dokładnie nasze plany, łącznie z planem internowania, listą osób przewidzianych do aresztowań, a nawet kryptonimem tej operacji. W dalszej części swego wystąpienia gen. Kiszczak przedstawił stan przygotowania MSW do wprowadzenia stanu wojennego, stwierdzając, że są one w pełni gotowe do działań. W konkluzji zwrócił się o podjęcie decyzji politycznej o wprowadzeniu stanu wojennego.

Gen. Siwicki stwierdził na wstępie:

Sztab Generalny WP podziela przedstawioną przez Ministra Spraw Wewnętrznych, tow. gen. dyw. Cz. Kiszczaka ocenę zamiarów przeciwnika, który na pierwszej części zjazdu „Solidarności” odkrył swoje karty. Jesteśmy zgodni co do tego, iż w forsowanej obecnie przez radykałów nowej próbie sił same środki polityczne nie będą już w stanie powstrzymać niekorzystnego biegu wydarzeń w kierunku kontrrewolucyjnej zmiany systemu społeczno-politycznego oraz przejęcia władzy przez siły wrogie socjalizmowi.

Od początku konfliktu niezmiennie uważamy, że wprowadzenie stanu wojennego powinno być ostatecznością. Z tym większym niepokojem przyjmujemy – przygotowaną na wielką skalę przez ekstremę „Solidarności” – konfrontację o dostęp do środków masowego przekazu

oraz ustanowienie anarcho-syndykalistycznej koncepcji samorządów pracowniczych, która tę ostateczność w sposób niebezpieczny przybliży.

Wychodząc z powyższej oceny, gen. Siwicki – zgodnie z wytycznymi gen. Jaruzelskiego – przedstawił Komitetowi Obrony Kraju do rozpatrzenia dwa zasadnicze warianty działań.

W wariancie pierwszym: „W wypadku proklamowania przez KKP »Solidarność« gotowości strajkowej lub strajku prasy, radia i telewizji połączonego prawdopodobnie z kontynuowaniem dotychczasowych bądź rozpoczynaniem nowych lokalnych i regionalnych form protestów, w tym także strajków” – gen. Siwicki zaproponował: „rozpocząć podwyższanie gotowości bojowej sił zbrojnych, sił resortu Spraw Wewnętrznych oraz ogólnej gotowości niektórych centralnych i terenowych organów administracji państwowej – jako wyraz zdecydowania władzy do radykalnego przeciwdziałania destrukcjom”.

Omawiając ten wariant działań, gen. Siwicki stwierdził:

Demonstracyjnie jawne oraz prowadzone z pełną determinacją przygotowania obronne w dziedzinie bezpieczeństwa państwa mogą spowodować cofnięcie się ekstremy bądź czasowe złagodzenie jej presji i rozpoczęcie poszukiwań możliwych do przyjęcia przez władzę rozwiązań bez przekraczania progu fizycznej konfrontacji.

Wariant ten tworzy tylko pewną niewielką szansę przezwyciężenia impasu bez użycia siły. Jego zasadniczą słabością jest natomiast rezygnacja z czynnika zaskoczenia.

W dalszym wywodzie szef Sztabu Generalnego WP stwierdził:

Z punktu widzenia skuteczności działania organów i sił egzekwujących postanowienia o stanie wojennym, zwłaszcza prowadzenia niezwykle istotnych operacji specjalnych, wcześniejsze ujawnienie przygotowań nie jest celowe. Dlatego też drugi wariant – traktowany przez Sztab Generalny, a także resort Spraw Wewnętrznych jako zasadniczy – zakłada:

– po pierwsze – pełną skrytość przygotowań;

– po drugie – taki dobór momentu wprowadzenia stanu wojennego, który zapewniłby największe zaskoczenie niezbędne zarówno do celów operacyjnych, jak i wywołania silnego wstrząsu w społeczeństwie.

Przy omawianiu tego wariantu gen. Siwicki poinformował:

Analiza posiadanych i stale uaktualnianych dokumentów planistycznych i wykonawczych upoważnia do zameldowania, iż w sensie organizacyjnym możliwe jest obecnie właściwie w bardzo krótkim czasie sięgnięcie do tego środka obrony państwa.

W konkluzji gen. Siwicki stwierdził:

Stan wojenny jest niezwykle trudną i złożoną operacją. Już sam fakt odwołania się władzy do tego środka obrony spowodować może różne, nieznanne nam dziś, reakcje społeczeństwa. Jak zwykle w takich przypadkach o charakterze szczególnym pozostaje kwestia użycia broni. Mamy jednak prawo sądzić, że przeciwko decyzji władz może aktywnie wystąpić jedynie nie-

liczna ekstrema, natomiast większość społeczeństwa odczuwająca poważne dokuczliwości obecnego stanu zachowa wstrzemięźliwość, a następnie władzę poprze. Ponadto trzeba uwzględnić fakt, iż nie jesteśmy sami. W przypadku niekorzystnego rozwoju sytuacji zawsze możemy liczyć na pomoc naszych niezawodnych przyjaciół. Rodzi się więc potrzeba pełniejszego zacieśnienia sojuszniczej współpracy ze Związkiem Radzieckim oraz pozostałymi państwami Układu Warszawskiego. W ocenie Sztabu Generalnego WP istnieje jednak duża szansa rozstrzygnięcia problemów własnymi siłami. Dla osiągnięcia tego celu konieczne jest zdecydowanie ofensywne i precyzyjnie zsynchronizowane działanie wszystkich pozostających w dyspozycji państwa sił.

Wiceminister Obrony Narodowej i sekretarz Komitetu Obrony Kraju – gen. broni Tadeusz Tuczapski przedstawił komitetowi do rozpatrzenia akty prawne stanu wojennego (w 99% te same, z którymi kraj zapoznał się 13 grudnia).

Za wprowadzeniem stanu wojennego wypowiedzieli się właściwie wszyscy członkowie KOK.

Przebieg posiedzenia zaskoczył Stanisława Kanię. Nie kwestionując nieuchronności wprowadzenia stanu wojennego, powiedział on jednak, że: „konfrontacja z wrogiem klasowym jest nieunikniona. Oznacza to walkę środkami politycznymi, a dopiero gdy te zawiodą, mogą być stosowane represje”.

Od 13 września 1981 roku tylko Kania stał na przeszkodzie podjęcia ostatecznej decyzji politycznej o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Usunięcie tej przeszkody nie było trudne. Zaszczuty przez Moskwę, która niemal zaraz po IX Nadzwyczajnym Zjeździe Partii zaczęła go zupełnie ignorować, zmuszony został do ustąpienia miejsca temu, w kim Moskwa pokładała jeszcze ostatnią nadzieję. Formalna rezygnacja Kani z funkcji I Sekretarza KC PZPR nastąpiła – jak wiadomo – 18 października 1981 roku, na IV Plenum KC PZPR. W praktyce faktyczną władzę w partii utracił on właściwie w tym momencie, kiedy 13 września 1981 roku sprzeciwił się użyciu siły przeciwko „Solidarności”.

Mimo że 13 września w obecności Kani Komitet Obrony Kraju nie podjął żadnej ostatecznej decyzji, nazajutrz – na osobiste polecenie gen. Jaruzelskiego – Sztab Generalny, przy współpracy MSW, przystąpił do szczegółowego opracowywania trzech dodatkowych wariantów wprowadzenia stanu wojennego:

- pierwszy – w przypadku zagrożenia strajkami okupacyjnymi;
- drugi – w sytuacji trwania strajków okupacyjnych;
- trzeci – polegający na stopniowym „wpełzaniu w stan wojenny”.

Równocześnie z tym przystąpiono do przestawiania MON na wojenną strukturę dowodzenia. W ramach tej struktury Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego WP miał stanowić główne centrum kierowania państwem w czasie stanu wojennego. Po wzmocnieniu zarządu oficerami z innych instytucji MON oraz funkcjonariuszami kluczowych resortów cywilnych w zarządzie miały funkcjonować dwa zespoły:

- planowania, na czele którego postawiono mnie (Ryszarda Kuklińskiego) oraz
- dowodzenia, którym miał kierować płk Franciszek Puchała.

Od końca września zaczęto przygotowywać miejsca pracy oraz wyposażać je w specjalne środki łączności do kierowania operacjami w czasie stanu wojennego.

W skromnych pomieszczeniach mojego oddziału zaczęło się robić ciasno, a atmosfera pracy stawała się coraz bardziej nerwowa. Do stałego zespołu operacyjnego, który dyżurował bez przerwy od momentu ogłoszenia strajków na Wybrzeżu w roku 1980, włączeni zostali dodatkowo oficerowie z innych instytucji centralnych MON oraz funkcjonariusze MSW. Drzwi do mojego gabinetu, gdzie zbiegały się wszystkie nici planowania, prawie się nie zamykały. Po blisko rocznym okresie przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego przyzwyczaiłem się do przelewania planów na papier. We wrześniu zaczęły się jednak pierwsze zderzenia z tymi samymi sprawami, tyle że w jednostkowych ludzkich wymiarach. Źle się czułem, słuchając przedstawiciela wydziału propagandy KC PZPR, kiedy roztaczał przede mną wizję zamknięcia tygodników i gazet, które czytałem i nawet ceniłem, albo gdy zaczął wymieniać nazwiska publicystów, których lubiłem słuchać lub czytać, a którzy mieli niebawem zamilknąć. Strach mnie ogarniał, gdy słyszałem nazwiska różnych oportunistycznych miernot dziennikarskich, które miały zastąpić moich ulubionych redaktorów.

Jeszcze gorzej czułem się w służbowych kontaktach z przedstawicielami MSW, a zwłaszcza z dyrektorem zarządu tego ministerstwa płk. Bronisławem Pawlikowskim, któremu marzyła się „noc długich noży” – krwawa rozprawa z niektórymi działaczami „Solidarności”. Wiedziałem, że jego ręce mogą być za krótkie, by mogły dosięgnąć tych wszystkich, do których pałał nienawiścią. Niepokoiło jednak to, że operacja internowania pozostawała w wyłącznej gestii resortu płk. Pawlikowskiego.

W sumie, mimo sprzeciwu Kani, przygotowania do tego, co miało nastąpić 13 grudnia, ruszyły pełną parą już w połowie września. W październiku i listopadzie ciężar przygotowań wyraźnie przesunął się do MSW oraz wydziału propagandy KC PZPR, które miały przygotować silne, trafiające społeczeństwu do przekonania usprawiedliwienie użycia siły. W tamtym czasie dla generała Jaruzelskiego, który doskonale zdawał sobie sprawę, że w Polsce – ze względów historycznych – zawsze będzie potępiony ten, kto tę siłę przeciwko społeczeństwu użyje, stworzenie sobie jakiegoś alibi było sprawą bodajże najważniejszą.

Ponieważ z fabrykowaniem dowodów o sterowanej rzekomo z Zachodu kontrrewolucji nic nie wychodziło, MSW oraz wydział propagandy KC uruchomiły wszystkie swe siły, aby „Solidarność” przedstawić społeczeństwu jako ruch pchany przez jej przywódców do konfrontacji, a nawet jako siłę niszczącą, natomiast władze jako stronę występującą w obronie państwa i jego obywateli.

W końcu października następuje spiętrzenie fali strajkowej. W szczególności jednogodzinny ostrzegawczy strajk powszechny, do którego doszło 28 października, wpłynął w sposób decydujący na dalszy bieg wydarzeń. W dniu tym byłem na posiedzeniu Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego w Budapeszcie i miałem możliwość obserwowania, jak co najmniej połowa

członków tego organu, w tym wszyscy Rosjanie i Polacy, śledziła przebieg tego strajku i jego wyniki. Jeszcze tego samego dnia wieczorem otrzymaliśmy w Budapeszcie oficjalne informacje, że strajk się nie udał. Według szacunku Sztabu Generalnego WP i wstępnych obliczeń strajk poparło zaledwie niecałe 40% członków „Solidarności”; ponad połowa zakładów i pracowników uznała, że był on nieusprawiedliwiony i w strajku udziału nie wzięła. Była to najlepsza wiadomość, jaką Kulikow usłyszał od wielu miesięcy.

Kiedy 31 października wraz z delegacją WP pod przewodnictwem gen. Molczyka wylądowaliśmy na płycie wojskowej lotniska Okęcie, od jednej z najwyższych postawionych osobistości wojskowych, które nas witały, usłyszałem to, czego się obawiałem już 13 września: „Decyzja już zapadła. W tej chwili »Najwyższy«, czyli Jaruzelski, uzgadnia z sojusznikami konkretny termin i plan operacji”.

2 listopada, około godziny 14, zostałem wezwany do zastępcy szefa Sztabu Generalnego WP – gen. dywizji Jerzego Skalskiego, który nadzorował planowanie stanu wojennego przez Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego. Razem ze mną wezwani zostali: szef Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP gen. Wacław Szklarski oraz pozostali dwaj jego zastępcy – płk Czesław Witt i płk Franciszek Puchała.

W tym gronie gen. Skalski w tonie najwyższej powagi poinformował nas o dwóch nowych, niezwykle ważnych elementach, które będą miały istotny wpływ na nasze planowanie. Pierwszym z nich był fakt, że do generała Jaruzelskiego skierowane zostało formalne ultimatum pewnej grupy sekretarzy PZPR szczebla centralnego i terenowego, którzy zagrozili przejściem inicjatywy w swoje ręce w przypadku dalszego zwlekania z rozpoczęciem akcji. Drugi element to wiadomość z wiarygodnego źródła, że Amerykanie są w posiadaniu najnowszej wersji naszych planów łącznie z projektami aktów prawnych regulujących stan wojenny. Ultimatum sekretarzy nie wywołało większego wrażenia, gdyż Moskwa posługiwała się targowicą od grudnia 1980 roku, a ponadto niewiele to zmieniałoby podjęte już decyzje. Nikt z nas nawet nie pytał o nazwiska autorów ultimatum, domyślając się, że chodzi tu o Stefana Olszowskiego, Stanisława Kociotkę, współautora grudniowej masakry na Wybrzeżu, twardogłowego Tadeusza Grabskiego, a w wojsku gen. broni Eugeniusza Molczyka, gen. broni Włodzimierza Sawczuka, gen. dyw. Tadeusza Krępskiego i jeszcze kilku innych.

Natomiast wiadomość, że nasze tajemnice przeciekły na Zachód i w każdej chwili „Solidarność” może być ostrzeżona, sparaliżowała wszystkich obecnych.

Doszło do dramatycznej wymiany zdań. Wszyscy zabierający kolejno głos: gen. Szklarski, płk Puchała, płk Witt zapewniali, że nie mają nic z tym wspólnego i oddawali się do dyspozycji władz bezpieczeństwa. Występujący jako ostatni z tej trójki płk Witt powtórzył od dawna głoszony przez siebie pogląd, iż wszystkie dotychczasowe akcje „Solidarności” od jej powstania aż do dnia dzisiejszego wskazują, że ma ona ukrytego sojusznika w samym centrum władzy.

Kiedy oczy wszystkich skierowały się na mnie, aby usłyszeć, co ja o tym sądzę, doszedłem już do siebie i byłem zdecydowany potwierdzić tezę płk. Witta oraz oświadczyć, że byłem jednym z nich i przedstawić swoje racje. Zacząłem od tego, że w pełni podzielałem opinię mojego poprzednika, że jestem do dyspozycji władz i gotów jestem współdziałać w toczącym się śledztwie... Kiedy zacząłem zbierać myśli, aby kontynuować dalej, gen. Skalski przerwał mi, twierdząc, że on nie prowadzi śledztwa (tym zajmują się służby bezpieczeństwa), a ponadto grono podejrzanych nie ogranicza się do nas czterech. Powiedział następnie, że powinniśmy się zastanowić, jak najlepiej zorganizować naszą pracę, aby wykonać stojące przed nami zadania. Otwierając na ten temat dyskusję, gen. Skalski poinformował nas o wnioskach, jakie w opinii gen. Jaruzelskiego oraz gen. Siwickiego wynikają z powstałej sytuacji.

Wniosek pierwszy: w świetle otrzymanego ultimatum, od wprowadzenia stanu wojennego nie tylko nie ma odwrotu, ale musimy być do tego gotowi wcześniej niż szykująca się do przejścia władzy targowica.

Wniosek drugi: w związku z tym, że nasze plany przeciekły na Zachód, musimy być przygotowani na dużo większe trudności. Jest bowiem pewne, że jeśli „Solidarność” zostanie ostrzeżona, to podejmie sprzedające akcje obronne, a więc ogłosi strajk generalny i wezwie załogi do zabarykadowania się w fabrykach i zakładach pracy. Gdybyśmy do tego dopuścili – mówił generał – to naszych sił może nie wystarczyć i będą musieli pomóc nam inni. Aby tego uniknąć, musimy być gotowi do akcji uprzedzającej jakiejkolwiek posunięcia „Solidarności”.

Od 2 do 7 listopada w Sztabie Generalnym WP wszystko szło w tym kierunku, jaki w imieniu kierownictwa MON przedstawił nam gen. Skalski. W tym stanie rzeczy dzień, w którym Ludowe Wojsko Polskie w podniosłym nastroju święciło uroczyste sześćdziesiątą czwartą rocznicę rewolucji październikowej, stał się ostatnim dniem mojej służby w jego szeregach.

K.: Jest ludzkie i zrozumiałe, że w sytuacji poważnego zagrożenia pańskiego życia oraz ewentualnych represji wobec pańskiej najbliższej rodziny, zdecydował się Pan opuścić kraj. Czy mógłby Pan przedstawić, jak do tego doszło?

R. J. K.: Zagrożenie nie wyłoniło się nagle i niespodziewanie na początku listopada. Mimo to nigdy nie myślałem o opuszczeniu kraju. Nawet po 13 września, kiedy organy bezpieczeństwa wszczęły w moim środowisku energiczne poszukiwania źródła przecieku naszych planów do „Solidarności”, pozostałem na swoim miejscu. Ponieważ ujawnienie kryptonimu operacji internowania „Wiosna” zawężyło krąg podejrzanych do tych, którzy go znali, liczyłem się z aresztowaniem w każdej chwili. Całą swoją reakcję ograniczyłem jednak wyłącznie do napisania czegoś w rodzaju politycznego testamentu. Ale wtedy czułem się jeszcze potrzebny. Między 2 i 7 listopada tę wiarę coraz bardziej traciłem.

W godzinach rannych 7 listopada uczestniczyłem w rutynowej odprawie szefa Sztabu Generalnego WP. Gen. Siwicki nie miał nam nic nowego do zakomunikowania, ale właśnie to jeszcze bardziej przekonało mnie, że nic już nie może zapobiec wprowadzeniu stanu wojennego.

Opuszczając około południa małą salkę konferencyjną Sztabu Generalnego WP, zacząłem zbierać myśli. Co dalej? Kierowca mojej wołgi ruszył pełną szybkością z ulicy Rakowieckiej, aby jak zwykle Puławską, I Armii Wojska Polskiego, Trasą Łazienkowską i Wisłostradą dowieźć mnie do naszego mieszkania na Nowym Mieście. – Dziś nie musimy się spieszyć – zwróciłem się do kierowcy, prosząc go, aby jechał bardzo powoli. Po raz pierwszy od ponad roku zacząłem przyglądać się przechodniom, domom, a nawet drzewom mojego miasta.

Kiedy mijaliśmy Zamek Królewski, przypomniałem sobie niewielki epizod, kiedy zupełnie bezwiednie naraziłem się gen. Jaruzelskiemu. Otóż w czasie przygotowań do posiedzenia Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego, które miało miejsce w grudniu 1979 roku w Warszawie, generał spytał mnie, co Niemcy pokazywali członkom komitetu w czasie ostatniego posiedzenia w Berlinie i co my możemy im pokazać u nas. – Niemcy – odpowiedziałem – zaprezentowali swój szklany Pałac Kultury i Odpoczynku, bo ze spuścizną Bismarcka mieli jeszcze pewne zahamowania. Ale my naprawdę mamy coś godnego do pokazania temu gremium. W świetle przewidywanej problematyki posiedzenia obiekt ten jest bardzo na czasie, towarzyszu generale! – Co takiego? – zapytał z zaciekawieniem minister obrony narodowej. – Zamek Królewski – odparłem. W tym momencie twarz generała tak się zmieniła, jakbym popełnił jakiś wyjątkowy nietakt. Zmrożony odwrócił się i bez słowa zaczął się oddalać. – Ja wiem, że zamek nie jest jeszcze wykończony – powiedziałem, podążając za sztywną postacią generała – ale nawet w tym stanie, w jakim jest obecnie, robi niezwykle wrażenie. Ja tam chodzę i wiem... W tej chwili ten pokaz naszej historii jest jak najbardziej... – Nie skończyłem, gdyż generał nie chciał tego słuchać. Uważał, że pokazanie Rosjanom naszego Zamku Królewskiego w momencie, gdy zażądali oni od Polski oraz reszty państw Układu Warszawskiego zrzeczenia się resztek suwerenności nad siłami zbrojnymi, może być poczytane za prowokację. Dziś prowokacją wobec ZSRR jest „Solidarność” i dlatego trzeba ją zniszczyć.

Kiedy z Wisłostrady zaczęliśmy skręcać w ulicę Sanguszkę, mój sympatyczny żołnierz-kierowca, którego lubiłem jak własnego syna, zapytał, kiedy ma przyjechać pod dom, aby mnie zawieźć do pracy. – Jutro z pułku wal prosto na parking Sztabu Generalnego – odpowiedziałem – samochód może być potrzebny oficerom naszego oddziału. W poniedziałek tak samo... Jeśli będę cię potrzebował, zadzwonię. – Mijając ulicę Przyrynek, po raz któryś z rzędu zauważyłem dwóch młodych ludzi szybko odwracających twarze. Podobna sytuacja na końcu ulicy Rajców tuż przy plebanii kościoła Najświętszej Marii Panny, a więc niecałe 50 metrów od mojego domu. Sterczeli tam dzień i noc prawie od tygodnia.

Wiedziałem dobrze, że nie są to ekstremiści „Solidarności”, którzy – według oficjalnych ostrzeżeń moich przełożonych – zamierzali porwać członków rodzin ważnych osób wojskowych, aby w drodze szantażu łagodzić, a nawet załamać operację stanu wojennego. Wiedziałem również doskonale, że nie jest to także ochrona mojej rodziny przed taką ewentualnością, ponieważ w tym celu miało być użyte wojsko, a nie cywilna służba bezpieczeństwa. Domyślałem się, że zostałem już obstawiony.

Nie oczekiwałem, że aresztowanie nastąpi natychmiast, a nawet w ciągu najbliższych dni, gdyż służba bezpieczeństwa musiała najpierw wytropić najistotniejsze dla śledztwa moje ewentualne konspiracyjne kontakty i powiązania wewnątrz sił zbrojnych PRL, w relacjach z Armią Radziecką i pozostałymi armiami Układu Warszawskiego, z partią, opozycją, „Solidarnością” itd. Niemniej jednak sytuacja była poważna i mogłem się w swych rachubach mylić. Zacząłem więc od porządkowania domu, gdzie oprócz dużej biblioteki, w której znajdowały się również pewne pozycje drugiego obiegu, miałem jednak duży zbiór najbardziej tajnych materiałów i dokumentów dotyczących nierównoprawnej współpracy wojskowej PRL ze Związkiem Radzieckim w ramach Układu Warszawskiego oraz wszystkich przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego, co przecież łatwo można było zakwalifikować jako materiały szpiegowskie.

Tu muszę wyjaśnić, że nigdy nie podważałem celowości pozostawiania Polski w Układzie Warszawskim na zasadzie sojuszu równoprawnych sprzymierzeńców, ale z dezaprobatą odnosiłem się do wszystkiego, co przekształcało tę organizację w narzędzie radzieckiego ekspansjonizmu, co pozbawiało państwa członkowskie suwerennych praw do kierowania własnymi siłami zbrojnymi i własną obroną, co wreszcie tworzyło podstawy do ingerencji ZSRR w wewnętrzne sprawy Polski. Ponieważ moje opinie w tych sprawach spotykały się jedynie z negatywnymi reakcjami moich przełożonych, w pewnym momencie zacząłem gromadzić odbitki niemal wszystkich protokołów posiedzeń, uchwał i decyzji państw Układu Warszawskiego od momentu powstania tej organizacji, aż do jesieni roku 1981, łącznie z materiałami wyrażającymi stanowisko PRL we wszystkich rozpatrywanych sprawach.

Od listopada 1980 roku zacząłem gromadzić wszystkie dokumenty i materiały dotyczące stanu wojennego. Spośród innych materiałów miałem bardzo cenne dokumenty dotyczące udziału Polski w radzieckiej inwazji Czechosłowacji w roku 1968, roli Wojska Polskiego w tragicznych wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu, spraw represji za praktyki religijne w wojsku, a także wszystkie osobiste notatki z tajnych rozmów i rokowań kierownictwa MON PRL z Rosjanami.

Wszystkie zgromadzone dokumenty traktowałem jako pewnego rodzaju rozwiniecie i poszerzenie prowadzonego przeze mnie od sierpnia 1968 roku, z wielkimi przerwami, dziennika, a właściwie notatek pisanych nocami, z myślą, że może kiedyś wyłonią się możliwości wydobycia ich na światło dzienne. Osobiste papiery, takie jak: listy, spis telefonów, adresy, zdjęcia znajomych i wszystko,

co choćby w najmniejszym stopniu mogło narazić niewinnych ludzi, selekcjonowałem i paliłem 4, 5 i 6 listopada. 7 listopada, zaraz po powrocie do domu, zacząłem palić moje cenne archiwum. Mieszkanie było pełne dymu, ponieważ przy tak dużej ilości papieru komin odmówił posłuszeństwa. Aby nie ulec zaczadzeniu, otwierałem okna, ale uchodzący z mieszkania dym zwracał uwagę krążących wokół domu tajniaków, którzy mogli w każdej chwili wtargnąć do mojego domu.

Z drugiej strony coraz bardziej uświadamiałem sobie, że niszczę kopie dokumentów o dużej wadze historycznej, których oryginały zapewne nigdy nie będą ujawnione. Ponieważ w czasie ewentualnego aresztowania nic już nie mogło mi ani zaszkodzić, ani pomóc, postanowiłem opuścić kraj wraz z pozostałymi, niespalonymi dokumentami. Wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie, aby przedstawić okoliczności, jak do tego doszło. Wierzę jednak, że kiedyś w przyszłości i te sprawy będą mogły być ujawnione.

K.: Wspomniał Pan, że z dezaprobatą odnosił się Pan do wszystkiego, co przekształcało Układ Warszawski w narzędzie radzieckiej dominacji nad Polską. Czy mógłby Pan powiedzieć, jak wygląda stosunek zależności Wojska Polskiego od dowództwa radzieckiego? Czy jest to stosunek rozkazodawczy, czy też Jaruzelski ma możliwość przeciwstawiania się decyzjom Układu Warszawskiego albo poddawania ich pod dyskusję?

R. J. K.: – Przede wszystkim chciałbym rozwiać panujący na Wschodzie i Zachodzie mit, że sama przynależność do Układu Warszawskiego niejako automatycznie pozbawia państwa członkowskie suwerennych praw do decydowania o swoim losie, w tym także decydowania w sprawach własnej narodowej obrony. To jest zwykłe nieporozumienie, ponieważ ani zawarty w roku 1955 Układ (który zresztą jest jawny i powszechnie dostępny), ani żadne jego tajne klauzule tych suwerennych praw poszczególnych państw członkowskich nie przekreśliły. Z niezbywalnych praw suwerenności państwa członkowskiego Układu Warszawskiego korzysta w całej rozciągłości Socjalistyczna Republika Rumunii, która prowadzi nie tylko niezależną od ZSRR politykę, ale zachowała także całkowicie niezależną od ZSRR obronę narodową. W dziedzinie obrony narodowej Rumunii, w tym także dowodzenia jej siłami zbrojnymi, nie ma dwóch prawd: jednej na użytek własnego społeczeństwa i armii, a drugiej na użytek wspólnoty socjalistycznej pod przewodnictwem Związku Radzieckiego, jak to jest w PRL.

Rumunia bez żadnych dwuznaczności i niedomówień ustanowiła w swej konstytucji, że siłami zbrojnymi Socjalistycznej Republiki Rumunii, zarówno w czasie pokoju, jak i wojny, dowodzi narodowe dowództwo i od tego konstytucyjnego prawa rumuńskie kierownictwo nigdy nie odeszło. Rumunia, mimo znacznej presji, jaką na nią wywierano, w ramach Układu Warszawskiego nigdy nie podpisała żadnego dwu- lub wielostronnego porozumienia, które by tę zasadę naruszało. W ten sposób socjalistyczna Republika Rumunii – mimo iż jest

członkiem Układu Warszawskiego oraz ma takie same jak Polska uwarunkowania geostrategiczne – pozostała wyłącznym dysponentem swych sił zbrojnych oraz swego potencjału obronnego.

Sytuacja PRL, której przywódcy od schyłku lat sześćdziesiątych zaczęli stopniowo wyzybywać się suwerennych praw Polski do dysponowania własnymi siłami zbrojnymi i własną obroną, jest bardzo skomplikowana, choć nie we wszystkich warunkach i sytuacjach beznadziejna.

Beznadziejna jest tylko w okresach zagrożenia wojennego oraz na czas wojny, ponieważ – zgodnie z przyjętym przez PRL na przełomie roku 1979/1980 tak zwanym „Statutem Zjednoczonych Sił Zbrojnych i organów kierowania nimi na czas wojny” – w tych sytuacjach kierowanie obroną Polski oraz dowodzenie jej siłami zbrojnymi przechodzi całkowicie w ręce tak zwanego Jedyne Najwyższego Naczelnego Dowództwa. PRL zgodziła się dobrowolnie, że tym Jedynym Najwyższym Naczelnym Dowództwem będzie niepodzielnie Najwyższe Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, a jego organem roboczym wyłącznie radziecki Sztab Generalny. Strona polska zgodziła się nawet na to, że przy Najwyższym Naczelnym Dowództwie nie ma i nie będzie żadnego polskiego przedstawiciela lub choćby misji łącznikowej.

Polskimi Siłami Zbrojnymi radzieckie Najwyższe Dowództwo dowodzić będzie poprzez swe niższe organy dowodzenia. I tak:

Polski Front, a więc całe operacyjne Wojska Lądowe oraz Wojska Lotnicze, podlegać mają bezpośrednio radziekiemu Naczelnemu Dowódcy na Zachodnim Teatrze Działań Wojennych.

Całą Marynarką Wojenną PRL, łącznie z jej lądowymi bazami, dowodzić będzie dowódca Floty Bałtyckiej ZSRR, który w sytuacji zagrożenia lub wojny staje się automatycznie dowódcą, a jego sztab sztabem tak zwanej Zjednoczonej Floty Bałtyckiej państw Układu Warszawskiego.

Nawet Wojska Obrony Powietrznej Kraju (uważane od momentu ich sformowania za trzon obrony własnego terytorium) nie będą dowodzone przez narodowe, lecz przez radzieckie dowództwo. Pikantnym szczegółem porozumienia w tej sprawie jest ustanowienie uprawnień radzieckiego dowództwa do używania jednostek obrony powietrznej kraju poza terytorium PRL.

W sumie, w przypadku zagrożenia i wojny, do 90% ludowego Wojska Polskiego znajdzie się bezpośrednio pod rozkazami radzieckich dowództw. W gestii narodowego kierownictwa wojskowo-politycznego pozostaną właściwie jedynie krajowe jednostki logistyczne, jednostki inżynieryjno-techniczne zabezpieczenia tranzytu wojsk radzieckich przez terytorium PRL oraz jednostki przewidziane do szkolenia rezerw dla uzupełniania strat wojennych.

Wszelkie rozkazy i dyrektywy dowództwa radzieckiego kierować będą bezpośrednio do podległych im polskich wojsk z pominięciem narodowego dowództwa. W praktyce oznacza to nieograniczone prawo ZSRR do dysponowania Ludowym Wojskiem Polskim, bez żadnych uprzednich konsultacji z władzami

PRL. Będący pod radzieckimi rozkazami żołnierze WP nie mają nawet zagwarantowanej narodowej, to jest polskiej jurysdykcji, polskich sądów wojennych. Nawet praca partyjno-polityczna koordynowana będzie nie przez KC PZPR, lecz przez radziecki wydział polityczny przy Naczelnym Dowództwie na Zachodnim Teatrze Działania Wojskowych.

Rola narodowego dowództwa PRL ograniczona będzie wyłącznie do funkcji wszechstronnego zaopatrzenia walczących pod radzieckim dowództwem wojsk polskich, szkolenia rezerw oraz uzupełnienia ludzkich i materialnych strat wojennych.

Wszystkie powyższe ustalenia, z uwagi na ich wyjątkowo drażliwy charakter, okryte są najwyższą tajemnicą i nikt w Wojsku Polskim, poza ścisłym kierownictwem MON, nie ma o nich zielonego pojęcia. Nawet dowódcy rodzajów sił zbrojnych i okręgów wojskowych znają tylko tę część postanowień, która ich bezpośrednio dotyczy.

W czasie pokoju radzieckie kierowanie siłami zbrojnymi i obronnością państw Układu Warszawskiego zamaskowane jest szyldem tak zwanego Zjednoczonego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Dowództwo to zorganizowane jest w taki sposób, że wszystkie stanowiska kierownicze od Naczelnego Dowódcy, szefa Sztabu, zastępców Naczelnego Dowódcy do spraw Obrony Powietrznej, Lotnictwa, Flot, Techniki, Tyłów, poprzez wszystkie szczeble w dół, aż do szefa oddziału (wydziału) w Sztabie i Komitecie Technicznym Zjednoczonych Sił Zbrojnych obsadzone są wyłącznie przez kadrę radziecką. Oficerowie pozostałych armii Układu Warszawskiego – niezależnie od nazwy zajmowanych stanowisk – spełniają wyłącznie funkcje informacyjne i łącznikowe w odniesieniu do ich własnych armii narodowych.

W czasie pokoju radzieckie Zjednoczone Dowództwo ZSZ państw Układu Warszawskiego, będące faktycznie filią Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR – przynajmniej oficjalnie – nie ma uprawnień tak wielkich jak w czasie zagrożenia i wojny.

Z pewnymi, zresztą dość istotnymi wyjątkami, które odnoszą się do wojsk Obrony Powietrznej Kraju oraz systemu przestawiania sił zbrojnych PRL ze stanu pokojowego na wojenny – dowództwo to nie ma żadnych formalnych praw do kierowania lub dowodzenia Wojskiem Polskim ponad głową ministra obrony narodowej lub szefa Sztabu Generalnego. Wszelkie dyrektywy, rozkazy czy też rekomendacje Naczelnego Dowódcy ZSZ mogą być kierowane wyłącznie do ministra obrony narodowej lub szefa Sztabu Generalnego WP, i dopiero po odpowiednim ich przerobieniu w Ministerstwie Obrony Narodowej kierowane są w dół pod firmą Ministerstwa Obrony Narodowej PRL. Z reguły projekty dyrektyw i rozkazów kierowanych do WP jeszcze przed podpisaniem przez Naczelnego Dowódcę ZSZ uzgadniane są z ministrem obrony narodowej, który może je przyjąć bez zastrzeżeń, może zgłosić propozycje zmian lub wręcz odrzucić. W ważniejszych sprawach, na wniosek ministra obrony narodowej, decyzje

podejmuje premier rządu i I sekretarz KC PZPR. Jednakże od chwili gdy gen. Jaruzelski został ministrem obrony narodowej, w sferze polityki i rozwiązań militarnych Rosjanie nigdy nie mieli kłopotów z Polską. W latach 1968–1981 otrzymywali wszystko, co chcieli, bez potrzeby sięgania ponad głowę polskiego narodowego dowództwa. Na początku lat osiemdziesiątych kontrolowali już właściwie wszystko, co było związane z obronnością PRL oraz funkcjonowaniem jej sił zbrojnych.

Moskwa określa np. w cyklach wieloletnich stan liczebny Wojska Polskiego na czas pokoju i wojny, jego struktury organizacyjne, uzbrojenie i wyposażenie, stan gotowości bojowej i mobilizacyjnej, kierunki szkolenia, zadania i plany użycia w czasie wojny itd., itp.

Z przyjętych w tym względzie zobowiązań Ministerstwo Obrony Narodowej PRL rozliczane jest przez radzieckie dowództwo dwukrotnie w ciągu roku. Istnieje podwójny system sprawozdań. Jedne sprawozdania do Moskwy przesyła Ministerstwo Obrony Narodowej, a drugie identyczne w formie i treści, lecz oparte na radzieckich źródłach – radzieckie Przedstawicielstwo Naczelnego Dowódcy ZSZ przy WP. Moskwa analizuje te sprawozdania, porównuje i z wszelkich odchyleń od przyjętych zobowiązań, niewykonania planów lub tylko niedokładności polskiej wersji sprawozdań, trzeba się gęsto tłumaczyć.

Są nawet takie paradoksy, że stan liczebny Wojska Polskiego, który Polska zgłosiła w czasie rokowań wiedeńskich (oczywiście niezgodny z prawdą), określony został przez Sztab Generalny Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie. Ponieważ nieprawdziwe dane komplikowały negocjacje w Wiedniu w roku 1980, Sztab Generalny WP zamierzał je nieco przybliżyć do rzeczywistych. Towarzyszyłem właśnie gen. Siwickiemu w jego zabiegach w tej sprawie w Moskwie i byłem osobistym świadkiem, kiedy dwugwiazdkowy radziecki generał Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR powiedział memu szefowi Sztabu Generalnego WP *nierzła*, po czym wręczył nam gotową kartkę z danymi, którymi mogliśmy operować w negocjacjach z Zachodem.

Na podstawie przyjętych przez PRL zobowiązań Sztab Generalny musi uzgadniać z radzieckim dowództwem między innymi pokojową dyslokację jednostek Wojska Polskiego.

Rosjanie mają zagwarantowane prawo prowadzenia inspekcji i kontroli jednostek Wojska Polskiego. Brak konkretnych ustaleń, co mogą oni kontrolować, a czego nie, prowadzi np. do takiej sytuacji, jaka miała miejsce na początku lutego 1981 roku, kiedy pod pretekstem kontroli przygotowania Wojska Polskiego do ćwiczeń „Sojuz 81”, radzieccy generałowie ze Zjednoczonego Dowództwa sprawdzali w istocie gotowość różnych szczebli i jednostek polskich do konfrontacji z „Solidarnością”.

Pytał Pan, czy generał Jaruzelski ma możliwość przeciwstawienia się decyzjom dowództwa Układu Warszawskiego albo poddawania pod dyskusję sowieckie decyzje. Domyślam się, że chodzi Panu o możliwość przeciwstawienia

się takim decyzjom, jak np. inwazja Polski czy też jakakolwiek inna forma ingerencji tych państw w wewnętrzne sprawy Polski. Gdyby Pan to samo pytanie sformułował bezimiennie, odniósł np. do przywódcy państwa członkowskiego Układu, nie byłoby kłopotów z odpowiedzią. Odpowiedziałbym bez wahania tak, ponieważ Układ Warszawski nie daje żadnemu państwu członkowskiemu czy grupie państw Układu Warszawskiego formalnego prawa do mieszania się w wewnętrzne sprawy innego państwa członkowskiego, nie mówiąc już o zbrojnej interwencji. Kto tej zasady broni, może się do niej odwoływać. Ja znam przypadki, kiedy w sprawach o najwyższym znaczeniu dla ZSRR Socjalistyczna Republika Rumunii mówiła nie i nic jej się z tego powodu nie stało. Jeden z nich miał np. miejsce na posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego, które odbywało się w Moskwie 23 listopada 1978 roku. Otóż na tym posiedzeniu strona rumuńska nie chciała się zgodzić na uchwałę, która zawierała generalne postanowienie o uznaniu Najwyższego Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych ZSRR za jedyne dowództwo sił Układu Warszawskiego na czas wojny. Kiedy wierni sojusznicy ZSRR zaczęli za to atakować Rumunię, prezydent Ceaușescu wstał od stołu obrad i wraz z całą delegacją rumuńską opuścił Moskwę. Radziecka presja na Rumunię trwała jeszcze cały rok 1979, ale w końcu Moskwa musiała się cofnąć. Prezydent Ceaușescu chce być lojalnym sojusznikiem Związku Radzieckiego, ale nie jego poddanym. Jego kraj nie uczestniczył w inwazji Czechosłowacji oraz nie podpisał, jak już wspomniałem – żadnych porozumień, które podawałyby w wątpliwość suwerenny status Socjalistycznej Republiki Rumunii. Sytuacja gen. Jaruzelskiego – który w przeszłości udzielił czynnego poparcia Związkowi Radzieckiemu w jego inwazji Czechosłowacji, a więc uznał *de facto* prawo ingerencji Układu Warszawskiego w wewnętrzne sprawy państw członkowskich oraz tak dalece uzależnił obronność Polski od Związku Radzieckiego – jest zupełnie inna i dlatego trudno mi jest wyobrazić sobie okoliczności, w których – nawet gdyby bardzo pragnął – mógłby Rosjanom powiedzieć stanowczo nie.

K.: Jak wiadomo, są tacy ludzie i w Polsce, i za granicą, którzy dopatrują się w generale Jaruzelskim jakiegoś Konrada Wallenroda, który kierując się względami patriotycznymi, uratował kraj przed katastrofą. Jak Pan to widzi?

R. J. K.: Ja widziałem i widzę to nadal, że w Polsce była realna szansa uniknięcia i radzieckiej interwencji, i stanu wojennego. Na początku kryzysu generał Jaruzelski nie sprawował najwyższej funkcji w państwie. Niemniej od sierpnia roku 1980 jego głos ważył najwięcej. Gdyby wspólnie ze Stanisławem Kanią znaleźli w sobie więcej godności i siły, gdyby nie okazywali uległości wobec Moskwy, lecz stanęli uczciwie na gruncie zawartych umów społecznych, Polska prawdopodobnie wyglądałaby dziś zupełnie inaczej.

[4/1987]

Spis treści

BASIL KERSKI, ANDRZEJ STANISŁAW KOWALCZYK

Wstęp 5

Redaktor

CZESŁAW MIŁOŚZ

Uwagi wdzięcznego współbiedniaka 23

KRZYSZTOF POMIAN

Jerzy Giedroyc w historii Polski 27

BOHDAN OSADCZUK

Pożegnanie z Jerzym Giedroyciem 35

KS. HENRYK HOSER SAC

Homilia na pogrzebie śp. Jerzego Giedroycia 37

Trzecia Rzeczpospolita

ALAIN BESANGON

Adamowi Michnikowi w odpowiedzi 43

JAN PROKOP

Czemu jest tak źle, skoro jest tak dobrze? 45

ROBERT KACZMAREK

Pierwszy stracony rok 53

REDAKCJA

Prezydent RP 65

BARBARA SPINELLI

Warszawa – w dzień po pierwszej turze 67

SMECZ

Z ukosa 73

KRZYSZTOF POMIAN, JERZY GIEDROYC

Rozmowa Krzysztofa Pomiana z Jerzym Giedroyciem 83

JERZY GIEDROYC Jak wyjść z impasu?	91
KRZYSZTOF WOLICKI Spadanie	95
REDAKCJA Dekomunizacja: pozory i rzeczywistość	101
TERESA TORAŃSKA Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem	105
WIKTOR WOROSZYLSKI Kto się boi Jacka Kuronia?	115
ANDRZEJ MENCWEL Czego Polacy potrzebują?	123

„Solidarność” i polska opozycja demokratyczna

BOLESŁAW SULIK Oblężeni	139
SOCJUSZ Polityczne działania i programy	149
SOCJUSZ Ile jest dróg?	157
RYSZARD JAGŁA Optymizm pesymisty	173
L. B. Po wizycie papieża	181
REDAKCJA Polski Sierpień	191
A. B. C. 1956 – 1970 – 1980	199
REDAKCJA Obserwatorium	209
ZYGMUNT MYCIELSKI List z Polski	211
REDAKCJA Zamach na papieża	219

REDAKCJA Obserwatorium	221
REDAKCJA Niepodległość i Rosja	227
REDAKCJA „Solidarność”	233
STEFAN KISIELEWSKI O nowe hasło	237
REDAKCJA Nasza ocena	243
KRZYSZTOF POMIAN 13 grudnia 1981	251
SOCJUSZ Przy zasadach stójmy	255
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI Dziennik pisany nocą	267
REDAKCJA Trudny i drażliwy problem	277
REDAKCJA O Nagrodę Pokoju Nobla dla Wałęsy	281
MACIEJ POLESKI 21 uwag o dialogu z terrorystą	283
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI Proces o podpalenie PRL	291
Od Redakcji	299
MACIEJ POLESKI Program i organizacja	303
Od Redakcji	319
REDAKCJA Obserwatorium	321
REDAKCJA Obserwatorium	323
REDAKCJA Dialog	325

REDAKCJA Amnestia i ciąg dalszy	329
REDAKCJA Obserwatorium	333
REDAKCJA Obserwatorium	337
REDAKCJA Obserwatorium	343
REDAKCJA Obserwatorium	347
REDAKCJA Obserwatorium	351
JAKUB KAPIŃSKI Prawica – lewica	355
REDAKCJA Obserwatorium	363
REDAKTOR [JERZY GIEDROYC] Stan wojenny w PRL a administracja amerykańska	367
REDAKCJA Obserwatorium	371
REDAKCJA Kryzys w „Solidarności”	377
REDAKCJA Obserwatorium	381
REDAKCJA Obserwatorium	385
REDAKCJA Obserwatorium	391
REDAKCJA Obserwatorium	397
REDAKCJA Obserwatorium	403

Rozpad PRL

LEON MARKOWSKI Chory człowiek Europy	409
JADWIGA KWIATKOWSKA Życie codzienne w PRL	415
JADWIGA KWIATKOWSKA Przebieg wydarzeń 198*	423
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI, KONSTANTY A. JELEŃSKI Rozmowa o Iwaszkiewiczu	431
LESZEK KOŁAKOWSKI Pałka i teoria	439
WŁODZIMIERZ BRUS, RADEK SIKORSKI O gospodarce Polski i bloku sowieckiego	449
RYSZARD J. KUKLIŃSKI Wojna z narodem widziana od środka	459